

PRZEMYSŁAW PIOTROWSKI



RADYKALNI

TERROR

VIDEOGRAF

PRZEMYSŁAW PIOTROWSKI



RADYKALNI

TERROR

VIDEOGRAF

PRZEMYSŁAW PIOTROWSKI

RADYKALNI
TERROR

VIDEOGRAF

Redakcja

Anna Seweryn

Projekt okładki

Dariusz Kocurek

Korekta

Urszula Bańcerk

Wydanie I, Chorzów 2017

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA

41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c

tel. 32-348-31-33

office@videograf.pl

www.videograf.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.

01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

dystrybucja@dictum.pl

www.dictum.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2016

tekst © Przemysław Piotrowski

ISBN 978-83-7835-589-2

Ukochanym rodzicom. Dziękuję, za wszystko.

Prolog

Gruz, pył i zgnilizna. Zgnilizna na polach, na farmach, na ulicach miast. Zgnilizna, która wypełnia nasze serca i dusze. Wszyscy brodzimy w niej po pas, wyrwać się nie sposób. Jest wszędzie, otacza nas cuchnącym pierścieniem, żywi się resztkami naszej energii, wysysa ostatnie ludzkie odruchy.

To jest mój świat. Mroczny, plugawy i zły do szpiku kości. Ponury jak ściernisko przed burzą, surowy jak ostrze samurajskiego miecza, podły jak ojciec gwałcący swoje dzieci. Dlatego jeśli jeszcze nie podjęliście ostatecznej decyzji, szczerze odradzam lekturę, bo po niej już nigdy nie będziecie tacy sami. Poznanie przyszłości to dar, który równie dobrze może okazać się przekleństwem. Klątwa, która już po raz trzeci rzuciła ludzkość na skraj zagłady. W otchłań najczystsze, pierwotnego zła...

Mam na imię Jakub Krystian Polak, ale mówcie mi Kuba. Mam trzydzieści trzy lata i najchętniej już dawno strzeliłbym sobie w łeb. Niestety, nie mogę. Trwa wojna i jeśli chcecie poznać moją historię, dobrze się nad tym zastanówcie, bo już nigdy nie zdołacie o niej zapomnieć. Matkę zgwałcono i zarżnięto jak świnię, broniącemu ją ojcu odrąbano głowę, moja kobieta udusiła się po tym, jak oblano ją żrącym kwasem. Jest jeszcze Anna, właściwie Ania, moja młodsza siostra. Żyję dla niej i w zasadzie tylko dla niej. Mógłbym powiedzieć, że dla wszystkich kobiet, dzieci, starców, dobrych ludzi, którzy nie chcą poddać się tej okrutnej tyranii. To jednak byłyby tylko puste słowa, może nawet zwykłe kłamstwo.

Ania jest dla mnie wszystkim i będę bronił jej do ostatniej kropli krwi. Nie pozwolę, aby kiedykolwiek wpadła w brudne łapska tych chorych skurwysynów. Oni są jak zaraza, jak rak podstępnie rozwijający się w zdrowym ciele, zajmujący kolejne komórki, perfidnie żywiący się nimi. Nie znają litości, nie wiedzą, co to współczucie, w ich języku nie istnieje słowo „miłosierdzie”. Ich księga im tego zabrania, ich Bóg im na to nie pozwala. Dla nich jesteśmy tylko świniami.

Nie wiem, czy ktoś z was kiedykolwiek widział wojnę na własne oczy. Niektórzy może, większość pewnie nigdy nie miała styczności z trupem. Świstające kule, huk wystrzałów, nawoływania przełożonych zagrzewających do walki, w końcu heroiczny bój z nieprzyjacielem — pewnie większość właśnie tak sobie ją wyobraża. Kiedyś pewnie mielibyście rację, wojna

zawsze miała w sobie jakąś romantyczną głębię, przyciągała ludzi jak magnes, potrafiła wyzwalać w nich pokłady nieprawdopodobnych emocji. Na lekcjach historii nasi zawsze byli tymi dobrymi, źli prędzej czy później przegrywali. Ta wojna jest inna, po stokroć plugawa. Nie my ją wywołaliśmy, ale to my jesteśmy pierwszym bastionem oporu wobec wszechogarniającego zła. Zła pierwotnego, które po raz pierwszy może zapanować nad całym znanym nam światem. Przez długie lata karmiło się naszą dobrocią i naiwnością, aż jego siepacze w końcu ruszyli mordować. Spod ich ostrzy nie uchodzą nawet niemowlęta...

Nie mam zamiaru was umoralniać ani tym bardziej mówić, co jest dobre, a co złe. Tego nie osądzi nawet sama historia, bo zadecyduje zwycięzca, jeśli w ogóle pozostanie po nas cokolwiek prócz radioaktywnego pyłu. Ta wojna to nie tylko bitwa narodów czy cywilizacji. To rozstrzygający bój pomiędzy dobrem i złem, Bogiem i Szatanem, miłością i nienawiścią. Rozstrzygający i nieodwołalny. Armageddon. Sąd ostateczny.

Nie wiem, czy chcę dotrzeć końca, pewnie nikomu z nas nie będzie to dane. Ludzkość straciła kontrolę, spuściła ze smyczy najgorsze koszmary. Bestie ruszyły na żer, gotowe na okrucieństwa, jakich nie jesteście w stanie sobie nawet wyobrazić. Nie dają mi wyboru. Muszę wypuścić swoją. Niech nasyci się krwią wrogów.

KUBA

19 sierpnia 2023 roku, La Manga, Hiszpania

To była chyba najpiękniejsza noc w moim życiu. Długa, gorąca, wypełniona szalonym i namiętym seksem z moją cudowną Nawal. Kochaliśmy się na dachu hotelu Londres, z którego roztaczał się cudowny widok na rozdzielony wodami Morza Śródziemnego z jednej strony i Morza Mniejszego z drugiej, długi na piętnaście kilometrów i wąski na zaledwie kilkaset metrów półwysep o dźwięcznie brzmiącej nazwie La Manga. Ciepłe podmuchy bryzy muskały nasze nagie ciała, zgiełk bawiących się na ulicach ludzi tylko podsycił zmysłową atmosferę. Gdy zasypialiśmy, słychać było już tylko szum fal, a na bezchmurnym niebie skrzyły się tysiące gwiazd oplatających księżyc w pełni.

Czułem, jak wypełnia mnie miłość. Nigdy czegoś podobnego nie doświadczyłem, ale po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, że do kobiety można czuć coś więcej niż tylko pożądanie. Pomimo młodego wieku posiadałem ich już kilkanaście, ale z żadną z nich nie miałem zamiaru wiązać się na stałe. Poprzednia, czarnoskóra Boliwijka o imieniu Birginia, którą poznałem podczas jednej z imprez w pobliskiej Murcji, była cudowna, ale prócz bajecznego seksu i swoistego szacunku nie czułem do niej nic więcej. Vicky, bo tak w skrócie mówili do niej przyjaciele, lub *gatita* czy *morenita*, jak zwracałem się do niej ja, pozwoliła mi odkryć zupełnie nowy wymiar tego, co można robić z kobietą w łóżku. Była też cudowną, dobrą i wierną osobą, która zasługiwała na prawdziwe szczęście. Odszedłem, bo wiedziałem, że nie będę w stanie jej go ofiarować. Była o sześć lat starsza, miała siedmioletniego syna. A ja? Wiecznie balujący student, który w głowie miał niewiele więcej niż kilka zwojów mózgowych nastawionych jedynie na trzy rzeczy: laski, trening i imprezy do samego rana. Chłopaka nawet polubiłem, czasem prosiła mnie, abym pod jej nieobecność się nim zajął, zdarzało się pomóc mu w odrabianiu lekcji, raz nawet zabrałem go na mecz. Nie widziałem jednak swojej przyszłości z Vicky. Powiecie, że byłem egoistą, i nie będziecie się mylić. Do tej pory byłem cholernym egoistą. Ona w pewnym momencie chyba uwierzyła, że coś z tego może być, dla mnie było to tylko osiem miesięcy nasyconych namiętymi uniesieniami. Ten układ musiał się w końcu wyczerpać. To było zbyt piękne, a życie rzadko składa się jedynie z chwil cudnych i upojnych. Dziś wiem, że jest wręcz przeciwnie, że życie to pasmo

bólu i cierpienia.

To jednak jeszcze nie był ten czas, choć już wtedy nic nie mogło zatrzymać ponurego przeznaczenia. Nie przywiązywałem więc do tego specjalnej wagi i brałem z życia garściami to, co najlepsze. Pożegnałem się z Vicky i na wiosnę wyruszyłem do La Mangi, imprezowej mekki wybrzeża Costa del Sol, niemal w całości wypełnionej hotelami, knajpami i dyskotekami. Studenckie życie Erasmusa nie było łatwe, kasy brakowało niemal zawsze, więc trzeba było dorobić trochę w miejscu, gdzie napiwki od angielskich i niemieckich turystów pozwalały uciąć trochę grosza na następny rok. Tak wylądowałem za barem hotelu Londres, a w nim poznałem moją obecną miłość, dziewczynę prosto z marokańskiej pustyni, śliczną i tajemniczą Nawal.

Pierwszy raz ujrzałem ją w tej głupiej białej koszulce z koronkowym kołnierzykiem. Miała na sobie czarną spódnicę do kolan, która doskonale podkreślała jej kształtne pośladki, wieńczące długie i niesamowicie zgrabne nogi. Kręcone blond włosy — tak, blond, bo zupełnie niepotrzebnie je wtedy farbowała, co dość szybko zdołałem wybić jej z głowy, tym bardziej że efekt przypominał kolor wyjałowionej sierści lisa — opadały na jej ramiona i jędrne piersi. Podkreślone brązową — to było połączenie jakiegoś czerwonego, brązowego i... ech, jestem facetem i nie znam się na kolorach — szminką pełne usta dosłownie jakby prosiły, aby do nich przyłgnąć i zatopić się w rozkoszy ich całowania. To jednak, co zrobiło na mnie największe wrażenie, to jej oczy. Duże, nie, wielkie, wręcz ogromne oczy błyszczały jaskrawą zielenią, mieniły się jak dwa dorodne szmaragdy w promieniach zachodzącego słońca i od pierwszego wejrzenia mnie zniewoliły. To jedno spojrzenie — nieco kokieteryjne, odrobinę czarujące i kuszące, a jednocześnie tak naturalne i swobodne — dosłownie ścięło mnie z nóg. Dosłownie, bo idąc w kierunku baru, zamyśliłem się i zahaczyłem o podwyższenie, przez co z impetem grzmotnąłem o bar i oszołomiony osunąłem się na podłogę. Wtedy ona podbiegła i przyłożyła do guza, rosnącego z prędkością błyskawicy tuż nad skronią, kilka kostek lodu. Pamiętam te urocze zielone oczy, jedwabiste włosy na moich policzkach i ten śmieszny koronkowy kołnierzyk. Pierwszy dzień w pracy miałem z głowy i drżałem, żeby szef nie wyrzucił takiego fajtlapy. Ech, w sumie nie bałem się zwolnienia, ale tego, że mogę stracić możliwość codziennego przebywania z cudem natury, który spowodował, że mój upadek stał się tym, czym dla wielu ludzi jest ta cienka czerwona linia, po przekroczeniu której już nie ma możliwości powrotu.

Zakochałem się. Zakochałem się bez pamięci, zupełnie odleciałem, straciłem kontrolę, poczułem słynne motyle w brzuchu. Jak szalone fruwały i rozbijały się po całym moim ciele, a ja po prostu pielęgnowałem moje uczucie z każdą minutą, godziną, każdym kolejnym dniem.

W końcu, po prawie miesiącu podchodów, Nawal mi uległa, a ja pocałowałem ją po raz pierwszy. Nigdy nie zapomnę tej chwili. Był późny wieczór, tuż przed północą. Właśnie skończyliśmy pracę i wypiliśmy po drinku w towarzystwie przyjaciół. Alkohol dodał mi odrobiny odwagi i wychodząc z lokalu, zaproponowałem jej spacer po plaży, na co — przy mojej wewnętrznej i nieopisanej wręcz radości — ochno przystała. Szliśmy tak wzdłuż brzegu, brodząc stopami w rozbijających się falach, rozmawialiśmy o pracy, potem o życiu, planach na przyszłość. W końcu usiedliśmy i wpatrując się w gwiazdy, umilkliśmy. To był ten moment, kiedy musiałem zaryzykować, więc z duszą na ramieniu dotknąłem jej dłoni. Nie oponowała, zamiast tego delikatnie zakleszczyła swoje palce na moich i spojrzała na mnie tymi wielkimi szmaragdowymi oczami, jakby chciała mnie przeświecić, a raczej przewertować moją duszę kartka po kartce. Dopiero po kilku sekundach, które trwały dla mnie prawdziwą wieczność, odważyłem się ją pocałować. Odwzajemniła pocałunek, a potem namiętnie kochaliśmy się na plaży przez całą noc. Świat zawirował...

To było blisko pół roku temu, a ja dziś kochałem ją jeszcze mocniej. Wczoraj wieczorem Nawal powiedziała mi, że jest w trzecim miesiącu ciąży, a ja przyjąłem tę nowinę z wielką radością. Nigdy bym nie przypuszczał, że mogę tak zareagować na wiadomość o tym, że dziewczyna nosi w brzuchu moje dziecko, przynajmniej nie teraz. Gdy jednak usłyszałem to z jej ust — a muszę dodać, że widziałem w jej oczach niepokój, jak ją przyjmę — moje serce zabiło do niej, a w zasadzie do nich dwoje, jeszcze większą miłością. Po prostu kochałem ją ponad wszystko, ona była mi przeznaczona, z nią chciałem spędzić resztę życia, wychowywać wspólnie dzieci i się zestarzeć. Cudowne, absolutnie wyjątkowe i niepowtarzalne uczucie. Oddałbym za nią życie.

Dzisiejsza pobudka była jak zwykle cudowna i — jak to Nawal miała w zwyczaju — zaskakująca. Sen przeobraził się w jawę, a może to jawa rozbijała senne wizje... W każdym razie ocknąłem się w momencie, gdy już niemal dochodziłem w ustach mojej ukochanej. Jakimś cudem udało mi się nie wybudzić do momentu, aż moim ciałem wstrząsnęły gwałtowne, niezwykle

przyjemne spazmy i po chwili maksymalnego napięcia znów bezwładnie opadłem na rozłożony koc. Poczułem, jak ciepło wypełnia moje żyły, a kilka podmuchów morskiej bryzy próbuje nieco schłodzić rozgrzane zmysły. Po chwili spod koca wysunął się kruczoczarny pukiel kręconych włosów, następnie dwa szmaragdy i wydatne usta. Nawal z delikatnym, nieco trudnym do rozszyfrowania uśmiechem położyła głowę na mojej piersi i objęła tors prawą ręką.

Cudowna kobieta...

Leżeliśmy tak w milczeniu przez kilka następnych minut, czułem na szyi jej gorący oddech, na ciele aksamit skóry, kręcone kosmyki delikatnie łaskotały moje ramię. Tarcza słońca leniwie zaczęła unosić się nad horyzontem, a jego promienie wkrótce oświetliły nasze zmęczone, choć szczęśliwe twarze. Tak, byłem wtedy szczęśliwy, byliśmy oboje. Myślę, że czuła się przy mnie bezpieczna, przynajmniej w tej magicznej chwili. Jej serce biło mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi, niemal słyszałem jego kolejne uderzenia. Nie ze strachu, a z miłości. Cieszyło mnie to, przepełniało męską dumą i dziwnym uczuciem, którego nigdy wcześniej nie doznałem. Jakbym od tej chwili stał się jej obrońcą, opiekunem i strażnikiem w jednej osobie. Ich obrońcą...

W tym krótkim momencie — zupełnie nie wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy — zapragnąłem się jej oświadczyć. Gdybym tylko miał pierścionek, najlepiej taki z wielkim zielonym szmaragdem, który doskonale pasowałby do koloru jej oczu, jestem niemal pewny, że bym to wtedy uczynił. Nie byłem jednak przygotowany na taką ewentualność i zdecydowałem, że zrobię to przy najbliższej okazji. Nie żebym się przestraszył, a tym bardziej spanikował. Po prostu chciałem, aby ten moment był idealny, żeby Nawal poczuła się jak prawdziwa księżniczka, którą zresztą od zawsze dla mnie była. Cudem natury, boskim darem, na który nie zasłużyłem, ale który został mi ofiarowany, aby zmienić moje marne i puste życie.

Dziś bardzo żałuję, że tego nie zrobiłem. Wtedy ta historia może potoczyłaby się zupełnie inaczej...

— Wolałbyś chłopca czy dziewczynkę? — spytała znienacka, ale nie musiałem się długo zastanawiać.

— Syna — odparłem bez namysłu. — Później możemy zmajstrować córkę — dodałem żartobliwie i pocałowałem ją w usta.

Wtedy po raz pierwszy poczułem ukłucie strachu na myśl o tym, co nas czeka. O odpowiedzialności. Wciąż byłem jedynie biednym, choć zakochanym

po uszy studentem, nie miałem ani pewnej pracy, ani konkretnych perspektyw na przyszłość. Co prawda znałem się na programowaniu i tworzeniu stron internetowych, dzięki czemu już teraz potrafiłem od czasu do czasu podłapać jakąś fuchę, ale żeby poważnie myśleć o tym, jak o źródle utrzymania dla mojej rodziny, trzeba było skończyć studia, zaliczyć magisterkę w Polsce, a potem znaleźć stałą i pewną pracę. Wypadałoby też przedstawić Nawal rodzicom, wcześniej oświadczyć się, w końcu wziąć ślub.

Ten nagły nawal myśli nieco mnie przytłoczył, ale nie zepsuł doskonałego nastroju. Zawsze potrafiłem sobie poradzić, więc i tym razem wszystko powinno się jakoś ułożyć. Chyba najbardziej obawiałem się tego, jak przedstawię rodzicom tę nowinę. Mama, choć miała swoje lęki, potrafiła jeszcze podejść do tematu rozsądnie. Gorzej wyglądało to z ojcem, który od lat był zatwardziałym islamofobem i na każdym kroku podkreślał, że „ciapuchy, kozojebcy czy turbaniarze” zaleją Europę i prędzej czy później powstaną przeciw nam, rdzennym mieszkańcom kontynentu. Szczerze nienawidziłem u niego tego zaściankowego podejścia, ale akceptowałem i traktowałem jako formę strachu przed nieznanym i niezrozumiałym, bo jedyny kontakt z wyznawcami islamu ojciec miał w zasadzie tylko w Berlinie, gdzie rzeczywiście stali się już stosunkowo sporym problemem, zajmując blisko połowę miasta i sporadycznie domagając się wprowadzenia prawa szariatu. Pomijając od lat mieszkających tam Turków, byli to w głównej mierze imigranci z najbardziej zacofanych religijnie Iraku, Afganistanu czy Pakistanu, a na ich podstawie nie można było oceniać całej społeczności. Sam miałem w życiu do czynienia z setkami muzułmanów i wiedziałem, że zdecydowana większość z nich jest zupełnie normalna, a salaficcy ekstremiści, głoszący chęć powrotu do religii przodków, to jedynie margines. W każdym razie przedstawienie ojcu przyszłej synowej mogło nastreczyć pewnych problemów, bo choć Nawal mówiła mi, że jest muzułmanką jedynie z urodzenia i hołduje raczej laickiemu podejściu do życia, to jej śniada cera i południowe geny musiały spowodować, że wnuk lub wnuczka będą bardziej „egzotyczni”. Według słownika mojego ojca miał być w połowie „ciapuchem”...

Odrzuciłem tę myśl, bo widok rozczarowania na twarzy ojca był w tej chwili ostatnim, jakiego potrzebowałem. W sumie to głównie mnie to obchodziło. Musiał zaakceptować Nawal i przywyknąć do tego, że będzie jego synową, która urodzi mu wnuka lub wnuczkę. Aż takim zacofanym burakiem, który nie byłby w stanie zaakceptować wyboru swojego syna, to chyba nie był.

Taką przynajmniej miałem nadzieję.

Nawal wciąż leżała na mojej prawej piersi, na lewej rysując paznokciem jakieś sobie tylko znane wzory. Czułem bicie jej serca i miałem nieodparte wrażenie, że nie jest do końca pewna — i tu nie potrafię tego jednoznacznie ocenić — mojego do niej uczucia czy ogólnie intencji, jakie mną kierują, powiedziałbym, że byłem w stanie zwietrzyć nawet nutkę strachu.

— Nigdy mnie nie skrzywdzisz? — Jej pytanie trafiło niemal w sedno tego, co wyczuwałem, wsłuchując się w jej płytki oddech i szybko bijące serce, choć muszę przyznać, że mimo wszystko się go nie spodziewałem.

— Nigdy, Nawal — odrzekłem i przycisnąłem ją do siebie nieco mocniej. — Kocham cię i zrobię wszystko, abyś była ze mną szczęśliwa. A każdemu, kto będzie chciał mi cię odebrać, to...

Nie pozwoliła mi dokończyć, tylko położyła palec wskazujący na moich ustach i szepnęła do ucha, że mi ufa i mnie kocha. Motyle znów rozłożyły w moim brzuchu swoje kolorowe skrzydła, a do krwi chlusnęło tsunami błogiej serotoniny. Kilka głębokich pocałunków spowodowało, że znów byłem „gotowy”, ale gdy niechcący oparłem rękę o blachę pokrywającą dachowy wywietrznik w kształcie grzybka, oparzyłem się.

— Chodźmy do pokoju, bo zaraz się tu usmażymy jak dwa *kurczaczki* — rzuciła z uśmiechem Nawal, ostatnie słowo wymawiając po polsku, jedno z tych, które wyjątkowo śmieszyło ją w moim, jak to mówiła „sza-sza-szym” języku.

Fakt, że słowo „kurczak” i „kutas” w języku hiszpańskim brzmią niemal tak samo (*pollo* — kurczak, *polla* — kutas) miał swój dodatkowy wydźwięk, a zdecydowanie nie miałem zamiaru usmażyć sobie narządu, który tak bardzo ceni sobie każdy facet.

Słońce już przypiekało nasze policzki i najlepszym rozwiązaniem było zejście z dachu, który już wkrótce nagrzałby się jak patelnia na pełnym ogniu. Tym bardziej że mogliśmy sobie pofolgować, gdyż załatwiłem u szefa dwa dni wolnego, abyśmy mieli możliwość choć trochę nacieszyć się tą wspaniałą nowiną. Tym, co pozwoliło mi podjąć ostateczną decyzję, był fakt, że brakowało wina i — od wczorajszego wieczoru Nawal już nie piła alkoholu — ananasowego soku, aby choć trochę zwilżyć spierzchnięte od słońca i tysięcy pocałunków usta.

Moja szmaragdowa królowa raz jeszcze ścisnęła mój będący w pełnej gotowości członek i z zalotnym uśmiechem ruszyła w stronę nadbudówki,

gdzie znajdowały się schody do wnętrza hotelu. Jej jędrne pośladki rytmicznie zafalowały w takt zmysłowych kroków, a ja raz jeszcze pomyślałem, jakim jestem szczęściarzem. Chwyciłem pustą butelkę po winie oraz zgnieciony wcześniej karton po soku i po chwili potruchtałem za targającą pod pachą koc Nawal.

Znów się kochaliśmy, a gdy w końcu targnęły nami spazmy potężnego orgazmu, opadliśmy na łóżko i ciężko dyszeliśmy. Patrzyłem w sufit i starałem się nie myśleć o niczym, po prostu delectować się tym cudownym i wyjątkowym stanem „po”. I byłem bliski ideału, gdyby nie jedna myśl, która kołatała mi się po głowie już od jakiegoś czasu, a dziś zaatakowała ze zdwojoną siłą. Sam nienawidziłem podejmować tego typu tematów zaraz po seksie i bardzo ceniłem Nawal za podobną skromność w tych chwilach, ale w pewnym momencie po prostu mi się wymknęło.

— Dlaczego nigdy nie mówisz o swojej rodzinie? — wypaliłem zupełnie zniecierliwym tonem, który zaskoczył nawet mnie samego. — Pytam, bo zawsze unikasz tego tematu i...

— Cśśś... — Nawal tylko przyłożyła palec do ust, dając mi do zrozumienia, że tym razem ja spaliłem moment.

Nie wiem, czy wyczuła moją dociekliwość i zrozumiała, że łatwo nie odpuszczę, ale po krótkiej chwili głęboko westchnęła i odwróciła głowę w moją stronę, rzucając spojrzenie, jakiego jeszcze z jej strony nie uświadczyłem. Jej wielkie zielone źrenice rozszerzyły się, jakby właśnie otwierały wrota do najgłębszych zakamarków jej duszy.

— Nie mówiłam o rodzinie, bo nie chcę mieć z nią nic wspólnego — rzekła w końcu i sięgnęła po chudego, mentolowego papierosa.

Na szczęście po chwili dotarło do niej, że nie jest jedyną, która wciągnęłaby trujący dym, i odłożyła go luzem na szafkę. Fakt, że popalała, był chyba jedyną wadą, jaką w niej dostrzegłem, bo byłem zaciekłym przeciwnikiem tego głupiego nałogu. Tym razem może nawet pozwoliłbym jej po niego sięgnąć po raz ostatni, bo czułem, że to, co chce mi powiedzieć, będzie dla niej trudne. Cierpliwie czekałem, aż się otworzy, choć poczułem lekkie ukłucie, gdy dostrzegłem, jak zadrżały jej dłonie. W końcu oparła głowę o prawą rękę, odrzuciła wadzący jej kosmyk kruczoczarnych włosów i raz jeszcze spojrzała mi głęboko w oczy.

— Naprawdę chcesz się tego dowiedzieć? — upewniła się, jakby

usłyszała pytanie, które — tak mi się przynajmniej zdawało — zadałem jej w swoich myślach.

— Chcę, Nawal. Kocham cię, nosisz teraz moje dziecko. Chcę wiedzieć, skąd pochodzisz, kim są twoi rodzice i rodzeństwo. Nawet myślałem, aby wybrać się w twoje rodzinne strony, aby ich poznać i...

— Mam nadzieję, że nigdy nie poznasz ani mojego ojca, ani moich braci. Nie chciałbyś tego, uwierz mi.

— Ale zrozum... Męczy mnie to i nie rozumiem... Powiedz, czy oni zrobili ci coś złego?

— Nie, na szczęście nie zdążyli, ale tylko dlatego, że moja ciotka pomogła mi uciec, gdy chcieli zabrać mnie do sąsiedniej wioski, gdzie... — Jej głos załamał się, a szmaragdy zaszklily się i rozbłyły długo skrywaną tajemnicą.

— Oni chcieli mnie oszpecić, Kuba, chcieli mnie wyciąć... to znaczy... wy na to mówicie „obrzezać”.

Po jej policzku spłynęła pierwsza łza, a zaraz potem kolejne. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, otarła je wierzchem dłoni, a gdy postanowiłem ją przytulić, powstrzymała mnie i odruchowo odsunęła się. Poczułem złość, jeśli nie powiedziec gigantyczne wkurwienie. Oczywiście nie na moją ukochaną, a na tych bydlaków, którzy o mało nie okaleczyli mojego szczęścia. Gdyby znaleźli się w zasięgu mojej ręki, to chyba rozszarpałbym ich na kawałki.

— Nawal... Nie chcę, żebyś płakała, i jeśli...

— Skoro już zaczęłam, to usłyszysz wszystko. — Nawal nie pozwoliła mi dokończyć, a jej szmaragdowe oczy nabrały wyjątkowo smutnego wyrazu.

— Ten horror chodzi za mną od lat i... — Przerwała i osunęła się na poduszkę w czerwone kwiaty. — Wiesz, że nikomu o tym dotąd nie mówiłam?

Milczałem. Uznałem, że właśnie milczenie będzie najlepszą odpowiedzią na jej pytanie, jednocześnie pozwoli jej opanować emocje i rozpocząć skrywaną przez lata ponurą historię z dzieciństwa. Nagle poczułem, że wcale nie jestem pewien, czy chcę ją usłyszeć. Przestraszyłem się, ale już było za późno. Nawal rozpoczęła swoją opowieść, która już wkrótce miała przywołać najgorszy z koszmarów.

— Urodziłam się w szałasie, gdzieś na pustynnym pograniczu Maroka, Algierii i Mauretanii, w jednej z berberyjskich rodzin zamieszkujących te nieurodzajne i jałowe ziemie. Dodajmy bardzo religijnych, bo na tamtych terenach islam jest zakorzeniony wyjątkowo mocno, z wszystkimi jego

surowymi prawami i nakazami. Nie wiem, na ile interesowałeś się tym tematem, ale mówiąc „surowymi”, mam na myśli prawo koraniczne, czyli boskie prawo szariatu...

Nieznacznie kiwnąłem głową na znak, że rozumiem, o czym mówi, choć wkrótce miałem się przekonać, że tak naprawdę nie miałem o tym zielonego pojęcia. Nawal wzięła głęboki oddech i na chwilę zamknęła oczy. Głośno przełknęła ślinę i kontynuowała:

— Dorastałam w skrajnej biedzie i do dziewiątego roku życia praktycznie nie miałam kontaktu z nikim prócz ojca, matki, trzech braci i dwóch ciotek, z których jedna mieszkała w Marrakeszu, a druga w Hiszpanii. Gdy skończyłam dziesięć lat, ojciec zaczął zapraszać do mojego namiotu mężczyzn. I od razu cię uspokoję, nie musisz się martwić, bo nic mi nie zrobili. Nie zgwałcili, nie molestowali, nawet nie mogli dotknąć. Przynajmniej do czasu aż mnie poślubią. Pewnego wietrznego dnia przyszedł okropny, pomarszczony jak kora starego drzewa mężczyzna, do którego ojciec mówił Abdul. Nie miał oka i prawie żadnych zębów prócz jednej groteskowo sterczącej czarnej dolnej jedyńki. Jemu jednemu pozwolił się do mnie zbliżyć na odległość pozwalającą poczuć ten ohydny smród wydobywający się z jego ust, coś jak mieszanina gnijącego mięsa, taniego tytoniu i kału. Od razu się rozplakałam, przez co później dostałam tęgie lanie...

Nawal naciągnęła poszewkę pod samą szyję, ukrywając pod nią jedną z wystających piersi, jakby bała się, że za jej obnażenie może spotkać ją z mojej strony kara. Znów zamknęła oczy i mocniej niż zwykle zacisnęła powieki. Miałem dziwne wrażenie, że oddała się ode mnie, tak jakby całą sobą wędrowała przez czasoprzestrzeń, aby zaraz znaleźć się w swoim namiocie, gdzieś na odległej pustyni. Znów wzięła głęboki oddech.

— Ojciec ofiarował mnie temu mężczyźnie, a w zasadzie sprzedał za cztery kozy i dwa wielbłądy. Tak to się robi w miejscach takich jak to, w którym się urodziłam. Nie wiem, ile ten facet mógł mieć lat, przynajmniej z pięćdziesiąt, choć tamten klimat szybciej wyciąga życie z ciała i wyglądał na wiele więcej. Był jednak zamożny, z dobrego klanu, już miał trzy żony. Wsławił się również walką z niewiernymi, czym zasłużył sobie wśród lokalnych mieszkańców — i nie tylko — na wielki szacunek. Podobno osobiście ściał aż dwudziestu dwóch i choć samej liczby nie jestem pewna, to wykorzystując ich nieuwagę, podejrzałam jego aparat, w którym chwalił się ojcu zdjęciami i filmami z egzekucji, jakich dokonał. Uwierz mi, że były

przeokropne, a u takiej dziewczynki jak ja, która kompletnie nie znała życia, wywołały totalny szok. W moich oczach od pierwszego kontaktu był potworem, ale teraz zamienił się w bestię z najgorszych koszmarów. Jak się okazało, nie myliłam się, bo przed zaślubinami postawił jeden warunek. Musiałam zostać poddana pełnemu obrzezaniu...

Nawal wciąż patrzyła w sufit, jakby obawiając się mojego spojrzenia, które, zanim się zorientowałem, nagle przysłoniła cienka warstwa łez. Nie mogłem nad tym zapanować, choć bardziej były wyrazem złości i gniewu niż smutku i współczucia. To było egoistyczne podejście, bo zdawałem sobie sprawę, że powinienem skupić się na dramacie mojej ukochanej, tymczasem przed oczami wciąż miałem zwizualizowaną twarz tego okropnego starucha, którego — gdyby tylko wpadł w moje łapska — rozerwałbym na strzępy gołymi rękoma.

— Data zaślubin została wyznaczona na kolejną pełnię księżyca, która miała nadejść za trzy tygodnie. Mama próbowała mi wytłumaczyć, co mi zrobią i dlaczego muszę poddać się temu tradycyjnemu obrządkowi, ale byłam zbyt przerażona, aby móc o tym słuchać. Płakałam dzień i noc. Nie raz i nie dwa dostałam za to lanie od ojca i gdyby nie pewien zbieg okoliczności, zapewne dziś żyłabym strasznie okaleczona i skazana na łaskę i niełaskę tego starego zwyrodnialca. Na szczęście dzień przed planowanym wycięciem moich narządów w odwiedzinach przybyła ciotka Fatima z Marrakeszu. Raz lub dwa razy w miesiącu przyjeżdżała i dowoziła nam trochę „miastowych” rzeczy i jedzenia. Gdy mnie ujrzała, od razu wyczuła, że coś jest nie tak i wykorzystując nieobecność ojca, wypytała mnie o powody mojego smutku, jeśli nie powiedzieć, skrywanej pod nikabem rozpacz.

— Ona cię uratowała... — Byłem przekonany, że wypowiedziałem te słowa tylko w swojej głowie, ale chwilę później Nawal spojrzała na mnie, jej oczy zdradzały wielkie podniecenie i nagły przypływ nadziei.

— Tak, pod osłoną nocy zabrała mnie najpierw do Marrakeszu, a potem wysłała do drugiej ciotki, która od lat mieszkała w Maladze. Ona się mną zajęła, ale... — Zamilkła na moment, minimalnie zadrżał jej podbródek. — ...krótco później dowiedziałam się, że ciocia Fatima nie żyje, a ja z drugą ciotką i czworgiem kuzynostwa musimy uciekać. Ukryliśmy się w Madrycie, a po kilku latach przeprowadziliśmy do Murcji, w której mieszkamy do dziś.

Nie powiem, żebym poczuł się, jakbym został zdelony obuchem w łeb, ale historia mojej ukochanej mnie przytłoczyła. Teraz Nawal patrzyła na mnie

swoimi szmaragdowymi oczami, jakby szukała zrozumienia i wsparcia. Łzy znów napłynęły jej do kącików, a ja w przypływie potężnych emocji mocno ją przytuliłem. Przywarła do mnie i wtedy coś w niej pękło — rozplakała się jak dziecko. Gdy po kilkudziesięciu sekundach nieco się uspokoiła, a ja poluzowałem uścisk, oderwała głowę od mojej piersi i ponownie wbiła we mnie swoje szmaragdowe spojrzenie.

— Obiecuj, że mnie nigdy nie skrzywdzisz, Kuba. Obiecuj, proszę...

— Jej ton był niemal błagalny, a ona wydała mi się krucha i bezbronna jak drobny listek targany porywistym, jesiennym wichrem.

— Obiecuję, Nawal. Kocham cię, kocham dziecko, które w sobie nosisz, i zrobię wszystko, abyście oboje byli bezpieczni i szczęśliwi — odparłem bez chwili wahania. — Nie pozwolę, aby ktokolwiek i kiedykolwiek was skrzywdził — dodałem i kilkakrotnie pocałowałem ją w usta i czoło, a następnie znów mocno przytuliłem.

Poczułem jej nieopisaną uległość. Tego ranka oddała mi się bezgranicznie.

Na śniadanie zjedliśmy grzanki z przecierem pomidorowym, szynką pata negra i oliwą z oliwek. Kawa bon bon pozwoliła stanąć na nogi po wyczerpującej nocy i miłym, choć równie trudnym poranku, a niewiele później uraczyliśmy się sokiem z niesamowicie słodkich hiszpańskich pomarańczy. Gdy tak odpoczywaliśmy i cieszyliśmy się wolnym czasem na hotelowym balkonie, do apartamentu weszli Michał ze swoją dziewczyną Moniką. Mieli akurat dwuipółgodzinną przerwę, więc była sposobność, aby omówić plany na dzisiejszy wieczór. W końcu taka okazja nie zdarza się często.

— Nie za dobrze wam? — spytał Michał, który od liceum miał ksywę „Afgan”, bynajmniej nie z powodu swojego pochodzenia, gdyż był rodowitym góralem ze Szklarskiej Poręby i moim bliskim przyjacielem. Miał jednak nieco południowe rysy, stosunkowo ciemną jak na Polaka karnację i bardzo gęsty i twardy zarost, co pozwoliło przykleić mu taką a nie inną łatkę. Co jednak najważniejsze, to właśnie on namówił mnie na tę uniwersytecką wymianę, za co już dziś mogłem mu po stokroć dziękować, gdyż dzięki niemu poznałem moją ukochaną Nawal.

— Po takiej nocy człowiek musi odpocząć... — sugestywnie odparłem i rzuciłem uśmiech, który mówił wszystko to, co miało być dodane w domyśle.

— Nic już nie mów, bez szczegółów, proszę. — Michał uniósł rękę i pokazał Nawal, że ma zakręconego i nieco głupkowatego faceta.

Gdy z Moniką zrzucali z siebie firmowe ciuchy i przebierali się w luźniejsze, my ustalaliśmy, czy wiadomość o ciąży przekazać im już teraz, czy może dopiero wieczorem. Zdecydowaliśmy, że powiemy przy kolacji.

Chwilę później do nas dołączyli. Michał miał na sobie jedynie krótkie ciemnoniebieskie spodenki, a Monika dwuczęściowy, dodam bardzo seksowny, strój kąpielowy i luźną białą koszulkę z dużym, wiązanym dekoltem. Oboje prezentowali się bardzo zgrabnie i doskonale się uzupełniali. On — wysoki, dobrze zbudowany, ciemnooki brunet, ona sporo niższa i filigranowa blondynka z czarującym uśmiechem i niebieskimi oczami.

Monika włożyła na głowę wielki słomiany kapelusz i zaczęła kokietować swojego chłopaka. Znałem ją jeszcze dłużej niż Michała, choć zawsze traktowałem jako swoisty dodatek do starego druha Krzyśka — od nazwiska ksywka „Figur” — który był jej starszym bratem. Niestety, wybrał zupełnie inne życie i w ostatnich latach nasze drogi dość mocno się rozeszły. Bardzo ją lubiłem, była piękna i — co nie zawsze idzie w parze — diabelnie inteligentna, choć dla mnie kompletnie asekualna, gdyż od zawsze traktowałem ją jak siostrę mojego przyjaciela.

— Idziecie z nami na plażę? — spytała, wciąż prężąc się przed Michałem. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, jej facet burknął, że szczerze mówiąc, to wolałby zostać w chłodnym apartamencie. — Ewentualnie mogę pójść na basen — dodał i osunął się na rattanowy fotel.

— Nie chciałbyś nasmarować tego jędrnego i seksownego tyłka olejkiem? — Monika zalotnie wypięła pośladki i kusząco nimi potrząsnęła.

Michał zerknął na nie łapczywie, a potem na mnie i kiwnął głową, co miało oznaczać: „Idziecie z nami?”.

— Idziemy. W ogóle dziś chcemy świętować — rzuciłem i chwyciłem kolano wylegającej się w bikini na balkonowym leżaku Nawal. — Chodź, mój ty *kwiatuszku* — to słowo znów wymówiłem w języku polskim, gdyż *kwiatuszek* był po *kurczaczku* kolejnym, które wyjątkowo ją bawiło. — Mamy misję namówić Michała i Monikę na nocne szaleństwa.

Gdy wstawaliśmy, Michał z Moniką już bezceremonialnie się obściskiwali. Pomyślałem, czy kochają się tak mocno, jak ja z Nawal. W sumie byli ze sobą już prawie pięć lat...

Plażowanie było krótkie, ale intensywne, gdyż Michał z Moniką musieli wkrótce wracać do pracy, aby przygotować nakrycia, a następnie obsłużyć

gości hotelowych podczas obiadu. Ostatecznie ustaliliśmy, że wyjdziemy w miasto tuż po kolacji. Co prawda oboje musieli następnego ranka zerwać się do pracy już o szóstej rano, ale na La Mandze tego typu problemy nie istniały. W najlepszym wypadku człowiek przespał się kilka godzin, w najgorszym z marszu brał szybką kąpiel, przebierał się i szedł do roboty, a nockę odsypiał w przerwie po śniadaniu. Była krótka, ale nie mieliśmy problemu z szybkim wróceniem do formy, a godzinka lub półtorej godzinki snu szybko stawiało nas na nogi. Nie pierwszy i z pewnością nie ostatni raz. O ile Monika mogła wrócić do apartamentu wcześniej i wcale bym się o to na nią nie obraził, o tyle Afgan nie miał wyjścia i miał pić ze mną do samego rana. Szczerze mówiąc, nie mogłem doczekać się, gdy w końcu przekażę mu tę wspaniałą wiadomość. Korciło mnie już na plaży, ale ostatecznie ugryzłem się w język.

Dochodziła godzina pierwsza, a słońce na niebie prażyło niemiłosiernie, tym bardziej że nie przeszkadzała mu nawet najmniejsza chmurka. W końcu Michał i Monika musieli wracać do restauracji, a my uznaliśmy, że lepiej nie wystawiać się na tak silne promienie, zresztą Nawal nie lubiła się opalać i na plażę chodziła ze mną tylko dlatego, że dla mnie była to czysta przyjemność. W sumie nigdy jej o to nie spytałem, ale miałem wrażenie, że chyba nieco wstydzi się swojej ciemniejszej karnacji. Wiecznie schowana pod parasolem, wręcz unikała słońca, rzadko też wchodziła do wody. Zamiast bikini, które idealnie podkreślałoby jej zmysłowe kształty, zazwyczaj zakładała na siebie koszulkę bądź zwiewną sukienkę — które zresztą również bardzo lubiłem, bo moja ukochana we wszystkim wyglądała cudownie — najbardziej skąpe ciuszki szykując dla mnie na wieczór lub noc. Wówczas bywało, że zakładała jedynie strój kąpielowy, jakąś spódniczkę i szpilki, czasem sprawiając tym, że gapiło się na nią pół knajpy lub dyskoteki, w której akurat przebywaliśmy. Byłem dumny, że ten skarb należy tylko do mnie, ale jednocześnie podobne sytuacje doprowadzały mnie do zdrowej zazdrości. Nigdy nie wypominałem jej jednak tego, jak się ubiera. Po pierwsze, za każdym razem dawała mi do zrozumienia, że to ja jestem jej jedynym mężczyzną, po drugie, czułem, że mnie kocha, a po trzecie, grzechem byłoby zasłaniać przed światem taki cud natury. No i w końcu — choć to najbardziej przyziemny powód — na La Mandze prawie każda kobieta wyglądała wyzywająco, wszak mieszkaliśmy i pracowaliśmy w stolicy szaleństwa i rozpusty wybrzeża Costa del Sol.

Do wieczora było jednak jeszcze sporo czasu i musieliśmy sobie go

zorganizować jak najlepiej. Postanowiliśmy, że dziś nie będziemy skąpić grosza na przyjemności i na początek poszliśmy do uroczej kawiarenki nad samym brzegiem morza, o nazwie Cafe del Sol. Ja zamówiłem kawę z mlekiem, a Nawal ulubioną bon bon, następnie uraczyliśmy się przepyszными lodami, ja o smaku stracciatelli, czekolady i wanilii, a ona truskawki, pistacji i mango. Rozmawialiśmy o dziecku, marzyliśmy, cieszyliśmy się tymi cudownymi chwilami, które było nam dane przeżywać. Gdy na nią patrzyłem, czułem się naprawdę szczęśliwy. Miała na sobie jedynie błękitne bikini i wielkie okulary przeciwsłoneczne, jej czarne, kręcone włosy przy mocniejszych podmuchach unosiły się na wietrze, a ona wolną ręką zagarniała kosmyki. W drugiej trzymała topniejącego loda, który raz za razem niknął pomiędzy jej pełnymi, ciemnoczerwonymi i cholernie ponętnymi ustami. Moimi ustami, moimi i tylko moimi. Tak mi się przynajmniej wówczas zdawało...

Gdy wyszliśmy z kawiarni, wybraliśmy się na długi spacer po upstrzonej setkami sklepików centralnej części półwyspu i kupiliśmy sobie kilka drobnostek. Nawal wybrała jakąś designerską bransoletkę i obcisły biały top z numerem dziewięćdziesiąt pięć na piersiach, a ja niebieską koszulę z motywami surferskimi i bordowo-kremowe spodenki w kratę. Zadowoleni z zakupów, zaszliśmy jeszcze do restauracji Maria del Mar, gdzie zamówiliśmy dwie paelle, dla mnie oczywiście klasyczną z kurczakiem, a dla Nawal z owocami morza, za którymi ja nie przepadałem, żeby nie powiedzieć dosadniej: po prostu ich nie lubiłem. Postanowiłem, że już od tego momentu zacznę świętować i nie odmówiłem sobie dwóch drinków Cuba Libre, które w ten tropikalny dzień szybko uderzyły mi do głowy, dzięki czemu poczułem delikatny, przyjemny szmer, który zapowiadał jeszcze bardziej relaksujący wieczór. Zwykle Nawal zamówiłaby sobie orzeźwiający mojito, ale tym razem — z czego nie omieszkałem się trochę ponabijać — musiała zadowolić się jedynie zimną cytrynadą z dodatkiem mięty. Jak by nie patrzeć, czekało ją jakieś półtora roku bez kropli alkoholu — kolejne sześć miesięcy ciąży i następne sześć do dwunastu podczas karmienia piersią.

Opuściliśmy lokal z pełnymi brzuchami i w znakomitych humorach. Skwar nie był już tak uciążliwy, słońce nie prażyło tak okrutnie, a temperatura spadła do dwudziestu dziewięciu stopni Celsjusza. Od morza wiała przyjemna bryza, która niosła ze sobą bukiet zapachów śródziemnomorskiej roślinności, której jako facet rozróżnić do tej pory nie potrafiłem ani trochę. W każdym razie

unoszący się w powietrzu aromat był niezwykle przyjemny, świeży i ożywczy, pozwalał przywołać same miłe wspomnienia i doskonale nastrojał przed nieuchronnie zbliżającym się wieczorem, który mieliśmy zamiar spędzić w towarzystwie moich — teraz już także Nawal — przyjaciół.

Wracając do hotelu, wybraliśmy drogę wzdłuż piaszczystego brzegu, który wciąż był okupowany przez setki plażowiczów. Nie przeszkadzali nam jednak, choć raz musiałem się uchylić przed piłką, która wypadła z kółka grających w wodzie turystów. Szliśmy tak przez około pół godziny, trzymając się za ręce jak para zakochanych po uszy nastolatków, śmiejąc się, ściskając i sporadycznie całując. Byłem... byliśmy w siódmym niebie.

Gdy w końcu skręciliśmy w kierunku skrzydła hotelu Londres, mieszczącego się przy zatoce oddzielającej półwysep od stałego lądu, wskazówki na tarczy zegarka wyraźnie poinformowały, że wybiła godzina siódma. Prawdopodobnie musieliśmy niedawno minąć się z Michałem i Moniką, którzy poszli do pracy, mieliśmy zatem prawie trzy godziny do momentu ich powrotu. To oznaczało, że mogliśmy sobie jeszcze trochę pofolgować, był czas na szybki seks, chłodną kąpiel i gorącą kawę. Brugal już chłodził się w zamrażarce, podobnie pepsi w lodówce. Musiałem jeszcze tylko wycisnąć świeży sok z ananasa i cytryny, ewentualnie pomarańczy, tak w razie czego, żeby był większy wybór przy robieniu drinków. Plan był prosty — przed wyjściem wychylić flaszkę rumu, a następnie ruszyć na podbój roztańczonej La Mangi i bawić się do białego rana. W końcu okazja była niepowtarzalna. Przecież wkrótce miałem zostać tatą...

W drzwiach minęliśmy się z dwoma Arabami, z którymi zostaliśmy zakwaterowani przez pracodawcę w jednym z apartamentów, zanim nie postanowiliśmy wysupłać symbolicznej opłaty i zamieszkać z dziewczynami. Tunezyjczyk Hamza wyglądał na typa po czterdziestce, choć w rzeczywistości miał zaledwie trzydzieści jeden lat. Bardzo religijny, zawsze ze swoim czerwonym dywanikiem do modłów pod ręką, był całkowitym przeciwieństwem swojego ziomka Mustafy, który w naszym gronie dorobił się ksywy „Różowa Koszula”. Mówił, że wierzy w Allaha, ale jego nauki miał głęboko w dupie. Nie stronił od wysokoprocentowego alkoholu (choć popijał pod stołem, bo w jego mniemaniu Allah wtedy nie był w stanie dostrzec grzechu), popalał trawkę i nigdy się nie modlił, a przynajmniej nikt z nas go na tym nie przyłapał. I ten jego kiczowaty styl... Ubierał się jak gwiazda estrady lat osiemdziesiątych, obwieszał się grubymi jak palec łańcuchami z tombaku

i miał dwa złote zęby. Jak by nie patrzeć, Hamza i Mustafa tworzyli kapitalny i prześmieszny duet. Na początku nawet się dogadywaliśmy, ale z każdym kolejnym dniem wychodziły różnice naszych kultur, które w codziennym życiu były coraz trudniejsze do pogodzenia. Pomijam fakt, że gdy zabrakło papieru toaletowego (z którego wcześniej namiętnie korzystali), po prostu przestali go używać, że nie sprząтали i wiecznie zostawiali w kuchni okropny syf — to wszystko byłbym jeszcze w stanie przeżyć. Nasze relacje ochłodziły konkretnie dwie rzeczy. Po pierwsze, z ust Hamzy usłyszałem coś, co dość mocno nadszarpnęło mój stosunkowo tolerancyjny stosunek do muzułmanów, a po drugie, nie mogłem znieść ich pogardliwych spojrzeń na Nawal, które doprowadzały mnie do szału.

Dlatego po blisko trzech miesiącach mieszkania z Hamzą i Mustafą oraz Hiszpanami Gabrim i Carlosem (ich obu akurat bardzo lubiłem) wyprowadziliśmy się z Michałem i zamieszkaliśmy wspólnie z dziewczynami, które również opuściły swój dotychczasowy apartament. Jak się okazało, było to doskonałe posunięcie, gdyż w końcu mogliśmy żyć na własnych zasadach, a poza tym kilka dni później do pracy przyjęto kolejnych czterech Arabów: Algierczyka, dwóch Marokańczyków i Libijczyka, którzy od początku wydali mi się jeśli nie wrogo do mnie nastawieni, to przynajmniej niezbyt otwarci i przyjaźni. Na szczęście nie miałem z nimi zbyt często kontaktu, gdyż pracowali w drugiej, mniejszej restauracji, po robocie też nie musiałem oglądać ich wiecznie ponurych twarzy. Gorzej, że czasami obowiązki zmuszały do tego Nawal i choć nigdy mi się nie poskarżyła, to w korytarzach plotkowano, że odzywali się do niej oschle, niezyczliwie i z pogardą. Gdy próbowałem poruszyć z nią ten temat, rzuciła krótko, żebym zapomniał o sprawie, bo jest przyzwyczajona, a kultury wbijanej im do głowy od urodzenia nie wybije, ot tak, po jednej rozmowie, ba, nawet gdybym stłukł ich na kwaśne jabłko i zamknął na tydzień w ciemnej celi z tysiącem jadowitych pajaków. Zaufałem jej i dałem sobie spokój, choć każdy z nich był cherlawym typkim i z osobna mógłbym przemielić ich na papkę. W każdym razie odpuściłem. Nie było sensu.

Do mijających nas Hamzy i Mustafy wciąż pozostała mi jednak jakaś słabość i zawsze mówiliśmy sobie *hola*, czasem nawet byliśmy w stanie pogadać na stołówce czy przy hotelowym basenie. Przywitaliśmy się, choć odruchowo przepuściłem obu po mojej prawej stronie, gdzie nie było Nawal. Wiedziałem, że czuje się w ich obecności niepewnie, a właściwie po prostu

źle, dlatego podświadomie zawsze starałem się trzymać ją z dala od jej mużmańskich ziomków. Wtedy po raz kolejny pomyślałem, że chyba przesadzam. Czy już zamieniałem się w jakiegoś islamofoba?

Nie byłem pewny, czy tylko mi się zdawało, czy rzeczywiście któryś z nich znów burknął pod nosem słowo, które tak doskonale już znałem. Słynne *sharmouta*, czyli po arabsku *kurwa*, *dziwka*, *szmata*, słyszałem już wielokrotnie, ale starałem się nie myśleć o tym w ten sposób, raczej na siłę tłumaczyłem sobie to nadużywaniem „mięsa”, tak jak ja czasem zbyt często korzystałem z naszego rodzimego *kurwa*, które jako jedyne słowo było doskonale zrozumiałe dla wszystkich Hiszpanów, Ekwadorczyków, Kolumbijczyków, Argentyńczyków, Anglików, Włochów, Koreańczyków i Arabów, z którymi pracowałem. I które też kilkakrotnie wprowadzało zamieszanie wśród moich obcojęzycznych koleżanek, przez co czasami musiałem się z Michałem gęsto tłumaczyć. Próbowiałem się oszukiwać, że sprawa z *sharmouta* wygląda tak samo, choć w głębi serca wiedziałem, że mówią to tylko wtedy, gdy widzą mnie w towarzystwie Nawal.

Najwyraźniej się nie przesłyszałem, bo ukochana mocniej ścisnęła moją dłoń i pociągnęła mnie w kierunku schodów. Znaliśmy się zaledwie pół roku, ale czytała moje emocje jak otwartą książkę. Czasem nie zdążyłem jeszcze o czymś pomyśleć, a ona już mnie powstrzymywała bądź — w zależności od sytuacji — zachęcała do działania. Cudowna kobieta.

Gdy wkładałem klucz do zamka, Nawal objęła mnie z tyłu i delikatnie dmuchnęła, a następnie musnęła językiem rozpalony kark. Zanim otworzyłem drzwi, już ścisnęła w dłoni mój twardy jak kamień członek. Chwilę później znów namiętnie się kochaliśmy.

Nie byłem nawalony, ale miałem już lekko w czubie. Butelka ciemnego brugala, którą wypiliśmy przed wyjściem z apartamentu, zrobiła swoje, gdyż tym razem drinki były rozlewane na trzy, a nie jak zazwyczaj na cztery osoby. Wtedy też wydało się, że Nawal jest w ciąży, co niezmiernie ucieszyło naszych przyjaciół, a Monika nawet pogroziła Michałowi palcem, że od dziś odstawia tabletki, bo nie chce być w tyle.

Nasz kolejny przystanek, który właśnie opuszczaliśmy, słynna, rozbrzmiewająca rytmami gorącej salsy i bachaty Punta Cana, pozwoliła nam rozgrzać ciała i umysły oraz uwolnić całą gamę targających mną emocji. Latynoskie rytmy polubiłem jeszcze za czasów Vicky, która wciągnęła mnie

w swoje południowoamerykańskie towarzystwo, a które zresztą bardzo, ale to bardzo polubiłem.

Przeciskając się przez schody pełne skąpo ubranych dziewczyn i grupek wypacykowanych turystów, czułem, jak cały mój organizm paruje. W środku dyskoteki było gorąco, klimatyzacja, jeśli w ogóle działała, to chyba specjalnie na najniższych obrotach, aby wytworzyć specyficzny, ociekający seksem klimat rozgrzanych niemal do czerwoności ciał. Koszula kleiła mi się do pleców, serce waliło jak dzwon Zygmunt i choć bawiłem się w środku doskonale, ucieszyłem się, gdy w końcu mogłem nabrać w płuca świeżego powietrza. Najwyraźniej Nawal również potrzebowała nieco odsapnąć, bo na ramionach i karku skrzyły się kropelki potu, a włosy, szczególnie u nasady, były mokre. Wyglądała jeszcze bardziej seksownie niż zwykle. Młoda mama mojego dziecka...

Gdy w końcu precyzyjnie przeszliśmy przez niewielki plac, usiedliśmy na murku oddzielającym plażę od promenady. W świetle migających tysiącami kolorów reklam i wszędobylskich ekranów przewalały się tłumy turystów łaknących dzikiej, wręcz orgiastycznej zabawy. Pomiedzy nimi krążyli naganiacze z ulotkami w dłoniach, przy wysepkach zieleni swoje pozycje zaczęły zajmować prostytutki. Młodzi mężczyźni z butelkami i puszkami z piwem krążyli od lokalu do lokalu, wydzierając się wniebogłosy, podobnie grupki roznegliżowanych i wyglądających na wyjątkowo łatwe kobiet, najczęściej Brytyjek lub Niemek. Od czasu do czasu można było dostrzec jakąś parę lub dwie, choć te najczęściej uciekały od zgiełku głównej promenady i w świetle księżycy spacerowały po plaży.

My też długo nie wytrzymailiśmy. La Mangę z wszystkimi jej dobrodziejstwami poznałem już kilka miesięcy temu i nocne, rozpasane do granic możliwości balangi tego słynnego kurortu nie robiły już na mnie żadnego wrażenia, a nawet bardziej męczyły, niż bawiły. Jedno spojrzenie na Nawal wystarczyło, abyśmy zrozumieli się bez słów. Też miała dość.

— Idziemy odsapnąć na plażę, co wy na to? — spytałem miziających się Afgana z Salsetą (Monika dorobiła się takiej ksywy, gdy w murcjańskim lokalu o nazwie La Clave, podchmielona, wskoczyła na bar i odtańczyła salsę, wzbudzając aplauz nie tylko męskiej części gości).

— Noc zapowiada się na długą. Możemy wziąć po zimnym piwku i posiedzieć — odparł Michał.

— Tym bardziej że mamy księżyc w pełni — dodała Monika.

— Uwielbiam księżyc w pełni, jest taki romantyczny, prawda, Misiek? — westchnęła i uwiesiła się na szyi partnera.

Przeskoczyliśmy na drugą stronę murku i nasze stopy natychmiast ugrzęzły w chłodnym piasku. Ściągnąłem sandały, wziąłem od Nawal jej szpilki i ruszyliśmy w stronę spokojnego morza, które srebrzyło się odbitym blaskiem księżycowej tarczy i tysięcy migoczących gwiazd. Plaża była stosunkowo szeroka i już po chwili odgłosy „Sodomy i Gomory” zaczęły cichnąć, a gdy dotarliśmy do wody, niemal zupełnie oddały pole szeptom rozbijających się o brzeg fal. Gdy w końcu rozłożyliśmy się tuż przed granicą mokrego piasku, pociągnąłem łyk zimnego piwa. Poczułem, jak delikatny powiew morskiej bryzy połechtał moje policzki i szyję, kątem oka dostrzegłem, jak uniósł w górę kilka pukli kręconych włosów Nawal. Zapatrzyła się w morze.

— Jaki macie plan? — zapytał zniechęca Michał.

Szczerze mówiąc, nie miałem ochoty teraz o tym rozmawiać, bo po pierwsze, jeszcze nie miałem żadnego, a po drugie, to nie było miejsce i czas na tego rodzaju dysputy.

— Co dokładnie masz na myśli? — dopytałem, dając sobie chwilę na znalezienie odpowiedzi, która wcale nie była taka oczywista. Nagle poczułem też pewien dyskomfort, miałem wrażenie, jakby to pytanie zadała Nawal, a tylko padło z ust mojego przyjaciela.

— No, wiesz... Lato wkrótce się skończy. Potem ostatni rok na UCAM-ie, który zleci wyjątkowo szybko. Co później? Chcesz, a w zasadzie powinienem zapytać, chcecie jechać do Polski?

— Chciałabyś zamieszkać w Polsce, Nawal?

Przerzuciłem odpowiedzialność na moją księżniczkę. W sumie właśnie zdałem sobie sprawę, że nigdy jej o to nie zapytałem, tak naprawdę nigdy na poważnie nie rozmawialiśmy o wspólnej przyszłości. Tej prawdziwej, dorosłej, z wyrzeczeniami, problemami dnia codziennego, rutyną, która zapewne przyjdzie prędzej czy później.

— Jeśli mnie zechcesz... — odrzekła i nie odwracając wzroku od horyzontu, delikatnie uśmiechnęła się.

— Uuu... Nawal chce ci chyba coś przez to powiedzieć. — Afgan wyraźnie zaczął nas podpuszczać.

— Nawal wie, że ją kocham — uciałem, nie chciałem wchodzić na tematy zaręczyn, ślubu i temu podobnych.

Pragnąłem się oświadczyć, ale jeszcze nie teraz. Najpierw musiałem

przegryźć w sobie jej ciężę i zabezpieczyć plan na najbliższą przyszłość.

— Okej, okej. To jasne jak słońce. W każdym razie my chyba jednak wracamy do Polski. Gospodarka się poprawiła, oboje znamy języki.

No i wiesz... będziemy u siebie.

— Nie podjęliśmy jeszcze decyzji — dorzuciła zaczepnie Monika.

— W sumie to ja bym jeszcze gdzieś pojechała...

Zaczęli się przekomarzać, a ja myślami byłem już przy najbliższej przyszłości. Nie wiem dlaczego, ale właśnie teraz zaczęły do mnie docierać wszystkie aspekty związane z tym, że będę ojcem. Przecież Nawal wkrótce będzie musiała zrezygnować z pracy, a ja od października będę mógł robić tylko na pół etatu. Urodzi na wiosnę, tuż przed ostatnimi egzaminami, do tego czasu trzeba się jakoś utrzymać. Co prawda parę tysięcy euro miałem odłożone, ona pewnie też, ale głupio byłoby się wypompować z kasy i wracać do kraju z pustym portfelem. No i jeszcze rodzice... Jak oni to przyjmą? Wypadałoby ich w końcu poinformować, a oni przecież nawet nie wiedzą, że mam dziewczynę Arabkę...

Nie wiem, czy Nawal wyczytała myśli z mojej twarzy, czy po prostu miała jakiś szósty zmysł, ale gdy zaczęły nachodzić mnie te wszystkie wątpliwości, poczułem jej ciepły dotyk na swojej dłoni. Zacisnęła swoje długie i smukłe palce na moich, jakby chciała dodać mi otuchy. Przyjąłem ten gest i znów poczułem motyle w brzuchu. Spojrzałem na nią, Nawal wciąż patrzyła w morze, jej oczy nabrały teraz nieprawdopodobnego głębokiego koloru ciemnozielonego szmaragdu, w którym odbijało się srebrzyste światło księżyca. Pomyślałem, że wygląda jak bogini i cały ten ciężar zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nagle poczułem pewność, że damy radę. Że czeka nas cudowna przyszłość, że nasza miłość przezwycięży wszystkie problemy. Ta kobieta dawała mi nieprawdopodobną siłę...

— Jeszcze będzie czas, aby o tym pogadać, choć nasze plany teraz zdeterminuje mały Kubuś albo... hm... Kubinka? — zażartowałem, powoli podnosząc się i otrzepując piasek ze spodenek i koszulki.

— Chyba Kubanka — podchwyciła żartobliwie Monika. — Jak będzie córa, to będzie tańczyć salsę, jak ciocia.

— Dobra, wstajemy. Badulake czy Havana?

— Najpierw Badulake, a potem Havana. — Afgan nie dał nam wyboru.

Gdy otrzepywaliśmy się z piasku, ujrzałem, jak Nawal dyskretnie wytarła dłonią kącik lewego oka. Pocałowałem ją w szyję i delikatnie położyłem dłoń

na jej brzuchu. Poczułem, jak moje oczy się zaszkliły, ale ukryłem to. Ruszyliśmy dalej świętować.

Gdy opuszczaliśmy Havanę, byłem już solidnie pijany. Nie zataczałem się specjalnie mocno, tym bardziej nie „peplałem”, ale czułem, że rum już konkretnie uderzył mi do głowy. Michał był chyba w jeszcze gorszym stanie, bo w drodze do hotelu dwa razy musiałem wyciągać go z przydrożnych krzaków. Szliśmy poboczem ulicy prowadzącej przez plac budowy osiedla dla najbardziej nadzianych turystów, usytuowanego niecały kilometr od centrum i drugi od naszego hotelu. Dokoła było niemal pusto, ale najwyraźniej wyglądaliśmy na tyle kiepsko, że dziewczyny nie chciały się do nas przyznawać i wyprzedziły o kilkadziesiąt metrów, od czasu do czasu wołając tylko, abyśmy przyspieszyli kroku. Pamiętam, jak po pijaku mówiliśmy sobie z Michałem, jakimi jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, jak się kochamy i w ogóle jesteśmy megazajebisci. Jednym słowem klasyczne męskie pieprzenie na bombie, finalna faza przed walnięciem się spać i obudzeniem następnego dnia z potężnym kacem. Nie pierwszym i nie ostatnim w życiu.

Gdy mijała nas jasna furgonetka, nie zwróciłem na nią specjalnej uwagi. To był bardzo poważny błąd. Mój wzrok przykuła dopiero w momencie, gdy z piskiem opon zahamowała tuż obok naszych kobiet. Instynktownie przyspieszyłem kroku, a po kilku sekundach zacząłem biec. W tym czasie z pojazdu wyskoczyło już czterech mężczyzn, którzy zaczęli wykrzykiwać coś po arabsku. Adrenalina spowodowała, że nagle poczułem się niemal zupełnie trzeźwy. Byłem pewny, że nie są przyjaźnie nastawieni, a gdy w rękę jednego z nich błysnął stalowy pręt, poczułem, jak serce podchodzi mi do gardła.

— Uciekaj, Nawal! — wrzasnąłem, biegnąc co sił w nogach, ale moja ukochana stała, jakby zamieniła się w słup soli.

Z tyłu słyszałem biegnącego Michała, który też coś wykrzykiwał. Nie wsłuchiwałem się jednak, mój wzrok i wszystkie pozostałe zmysły zostały nakierowane na tę jedną niewielką postać, która nosiła w łonie moje dziecko.

— Zostawcie je, skurwysyny! — krzyknąłem ponownie, gdy jeden otwartą dłońią uderzył Nawal w twarz, a drugi złapał Monikę za włosy i powalił na ziemię.

Usłyszałem rozpaczliwy pisk dziewczyny Michała, Nawal pomimo tego, że została spoliczkowana, milczała.

Dotarłem do pierwszego z mężczyzn. Nie zdążyłem nawet zarejestrować

długiego i błyszczącego ostrza w jego dłoni i nie bacząc na konsekwencje, jakimś cudem unikając zranienia, staranowałem go. Obaj upadliśmy na ziemię, siła uderzenia była na tyle duża, że nóż wypadł mu z ręki i przeturlał się po ulicy kilka metrów dalej. Widziałem gniew w jego głęboko osadzonych, ciemnych jak najczarniejsza noc oczach, zepsute i wyszczerzone zęby, spomiędzy których kipiała ślina, jak u wściekłego psa. Przez następne kilka sekund szamotaliśmy się, przeciwnik był szczupły, ale bardzo silny. W pewnym momencie udało mi się uwolnić z jego uścisku i kilkakrotnie uderzyłem go pięścią w twarz, która natychmiast zaczęła broczyć brunatną w tym półmroku krwią. Chciałem jak najszybciej odszukać wzrokiem Nawal, więc gdy nadarzyła się okazja, przytknąłem przedramię do jego szyi i uniosłem głowę. Zdołałem tylko dostrzec, że moja ukochana leży na ziemi, a jakiś stary Arab pastwi się nad nią, okładając ją czymś, co przypominało kij lub pręt. Gdy próbowałem zerwać się w jej kierunku, światło ulicznej lampy przysłonił jakiś cień i poczułem, jak moja głowa niemal odrywa się od kręgosłupa. Zadzwońło mi w uszach, jakbym wsadził ją do wnętrza kościelnego dzwonu, obraz zawirował i bezwiednie osunąłem się na twardej asfalt. Krew zalewała mi oczy i chwilę później zwymiotowałem. W idiotycznej niedorzeczności pomyślałem, że to cholerny wstyd porzygać się przy ludziach.

Zanim straciłem przytomność, zdołałem dostrzec Afgana, który pada na ziemię pod ciosami dwóch brodatych mężczyzn. Próbowałem jeszcze złapać oddech, ale chwilę później nastąpiła ciemność.

Obudził mnie chlust wody. Była zgnięta i cuchnąca, jakby stała w wiadrze bardzo długi czas. Wtedy przyszedł ból głowy, jakiego nie doświadczyłem chyba nigdy w życiu. Napierdałała mnie z taką mocą, jakby ktoś z sadystyczną lubością wwiercał mi w skronie wiertła grubości palca. Krew pulsowała i wyciekała z rany, w ustach czułem jej słodki i metaliczny smak. Nagle do mnie dotarło...

Nawal!

Uniosłem głowę, ale wtedy dostałem kopniaka prosto w nos. Usłyszałem, jak chrupnęła kość i kolejny napad bólu przeszył moje ciało. Jęknąłem, wtedy kolejna fala wody chlusnęła na moją twarz.

— Dobrze ci teraz, niewierny psie? — syknął mężczyzna łamaną angielszczyzną, miał spuchnięte wargi, a pod nosem przyschniętą krew.
— Świnia, brudna pierdolona świnia. Odrąbiemy ci łeb i nabijemy na płocie

naszego domu, niech Allah nas poprowadzi!

— *Allahu Akbar!* — rozbrzmiało kilka kolejnych głosów.

Z trudem uniosłem głowę, spodziewając się kolejnego ciosu, ale tym razem nie nadszedł. Nieco zamazany obraz zaczął się wyostrzać. Leżałem na brzuchu, w jakiejś zatęchłej ruderze, zza zasłoniętych okien przebijały promienie słońca. Ręce i nogi miałem spętane, czułem, jak więzy wpijają mi się w skórę. Byłem bezbronny jak dziecko. Wtedy ujrzałem moją ukochaną.

— Kuba... — rzekła drżącym głosem. — Przepraszam cię, kochany.
— Nawal chlipała. — To wszystko moja wina. Przepraszam i...

Brodaty staruch nie pozwolił jej dokończyć i zamasyście ją spoliczkował, a potem wypluł z siebie kilka zdań po arabsku. Nawal wykrzyczała mu coś w odpowiedzi, ale nie byłem w stanie zrozumieć co. Co mnie uderzyło najbardziej (prócz całej tej beznadziejnej sytuacji, w której się znajdowaliśmy) — mówiła do niego, jakby już wcześniej się znali. Mężczyzna chwycił ją za włosy i znów wymierzył kilka siarczystych uderzeń. Obróciłem się na bok, ale nie byłem w stanie zerwać pętających mnie więzów. Napiąłem wszystkie mięśnie i zakląłem jak szewc, ale oczywiście nie mogło to nic zmienić.

Dopiero wtedy dojrzałem leżącego tuż obok Michała, jego ręce i nogi również były skrupowane plastikowymi opaskami, w usta wciśniętą miał brudną szmatę. Leżał na brzuchu, z jego nosa sączyła się mieszanina śluzu i krwi, oczy wyglądały, jakby pękły mu wszystkie naczynka, czerwone jak u dzikiego zwierza. Wpatrywał się w jeden punkt, odruchowo powiodłem tam wzrokiem. Obraz był straszny...

Rozciągnięta na stole i przywiązana za nadgarstki do jego narożników leżała na brzuchu Monika. Jej sukienka była porwana, posklejane blond włosy zwisały niemal do brudnej podłogi, na rękach widać było głębokie otarcia, rozłożone uda i pośladki były naznaczone ogromem siniaków i krwiaków. Po wewnętrznej stronie nóg spływały cienkie strużki krwi.

Coś ścisnęło mi żołądek tak mocno, że omal nie puściły mi zwieracze. Opanowałem się jednak, musiałem od podobnego losu uchronić Nawal. W tej chwili nie było miejsca na współczucie, należało działać.

— Kim jesteście? — wydukałem po angielsku, ból wciąż rozrywał mi głowę.

— Zamknij się... — wyrwał się ten, który przed chwilą kopnął mnie w nos, ale pomarszczony staruch w tradycyjnej arabskiej galabii nie dał mu

dokończyć.

Warknął coś w swoim dialekcie i pewnym gestem dłoni zastopował go. Podszedł do mnie i kucnął w odległości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów.

— Zabrałeś coś, co należało do mnie, niewierny psie. Nazywam się Muhammad Chalil Abi Rabi'a, a to moi synowie: Muhammad, Jusuf, Ossama i Amir. — Słowa te wypowiedział bardzo spokojnie stosunkowo dobrą angielszczyzną, w jego brunatnych oczach wyczuwałem jedynie lód.

— Zbecześciłeś honor mojej córki, obcując z nią jak z brudną świnią. Teraz ona też jest świnią, rozumiesz, poganinie? Zrobiłeś z niej świnię, brudną maciore, która na dodatek nosi w sobie świńskiego bękarta. Zapłacisz za to, zapłacicie oboje.

To powiedziawszy, splunął mi w twarz i wstał na równe nogi. Zanim się obejrzałem uniósł galabiję i wyciągnął penis, po czym oddał mocz wprost na moją twarz. Wiązanka najgorszych możliwych przekleństw, jakie w akcie desperacji z siebie wyrzuciłem, nie pomogła ani trochę, a jedynie zachęciła pozostałych mężczyzn, aby dołączyli do ojca. Próbując złapać oddech, słyszałem ich śmiechy, a w tle dźwięk, który rozdzierał moje serce — rozpaczliwe wołanie o litość Nawal. Błagała ich, aby przestali, a ja, całkowicie bezbronny, leżałem w kałuży cuchnących szczyń. Wydarłem się, ile miałem sił w gardle, na próżno.

Krew i mocz zalały mi oczy, a ponieważ nie mogłem ich wytrzeć, obraz stał się nieostry. Widziałem jedynie kontury postaci, które stłoczyły się w jednym miejscu, obok na krześle siedziała Nawal. Mówili coś, modlili się, ale prócz powtarzającego się od czasu do czasu *Allahu Akbar* nie byłem w stanie zrozumieć ani słowa. Robili to coraz bardziej żarliwie, kołysząc się w kółku i dziwnie dygocząc. Nie miałem pojęcia, do czego się szykują. Może gdybym wiedział, zareagowałbym szybciej, zrobił cokolwiek... Zamiast tego czekałem, nie zdając sobie sprawy, że tracę cenne sekundy. Jezu... gdybym tylko wiedział...

Gdy w końcu obraz odzyskał ostrość, ujrzałem, jak moja ukochana próbuje rzucić więzy. Podczołgałem się odrobinę, ale zatrzymało mnie podwyższenie, zwykły, nie wyższy niż trzydzieści centymetrów pierdolony schodek. Nie byłem w stanie go pokonać bez zwrócenia uwagi oprawców, co prawda zanurzonych w jakimś dziwnym religijnym rytuale, ale wciąż znajdujących się zbyt blisko. Nagle kątem oka dostrzegłem, że Nawal rzuca mi

porozumiewawcze spojrzenie. Chciała, abym skierował wzrok na stary fotel przy oknie, co też uczyniłem. Tuż nad nim powietrze przecinała smuga jasnego światła z zewnątrz, która z początku mnie oślepiła i dopiero po chwili zrozumiałem, co miałem dostrzec — przy oparciu leżała jej torebka, a w niej zapewne musiał być telefon.

Adrenalina znów buchnęła w żyłach, poczułem, jak zalewa mnie fala gorąca. To była szansa, bo dzieliły mnie od niego nie więcej niż dwa metry. Zerknąłem na kiwających się jak w transie ojca i braci Nawal, po czym jak najciszej mogłem, przeturlałem się w kierunku fotela. Stare deski lekko skrzypnęły i zacisnąłem powieki w oczekiwaniu na krzyk któregoś z mężczyzn. Nic takiego nie nastąpiło, za to obracając się ponownie przez moment złapałem spojrzenie Michała. Nigdy takiego nie widziałem, wyrażało setki sprzecznych emocji, od beznadziei, przez cierpienie, błysk nadziei, po żądze mordu. Przeturlałem się raz jeszcze i poczułem, jak o moją twarz otarł się zwisający z oparcia pasek torebki. Chwyciłem go w zęby, zerknąłem na trzęsących się w tym przedziwnym obrzędzie mężczyzn, po czym delikatnie szarpnąłem. Przy trzeciej próbie torebka zsunęła się z fotela na podłogę, szczęście dopisywało, bo zamek był otwarty, a telefon niemal na samym wierzchu.

Znów rzuciłem okiem na modlących się krewnych Nawal, następnie spojrzałem na moją ukochaną. Jej szmaragdowe oczy były teraz pełne lęku, ale zza cienkiej warstwy łez przebijała nadzieja. Musiałem się pospieszyć.

Niestety, plan runął w chwili, gdy w końcu udało mi się chwycić telefon. Nie zdążyłem jednak wykręcić żadnego numeru, bo modły zmieniły się w niezrozumiały potok wrzasków. Mężczyźni zorientowali się w sytuacji, jeden z nich podszedł do mnie i dwukrotnie kopnął w brzuch. Zwinąłem się w kłębek, ale wtedy kolejne dwa kopniaki wylądowały na mojej rozoranej już wcześniej skroni. Na szczęście — a może i nieszczęście, bo czasem myślę, że lepiej by było zostać wówczas skatowanym na śmierć — ojciec surowym tonem zastopował atak agresji syna. Ból był tak silny, że nie miałem nawet sił krzyczeć. Adrenalina wciąż jednak krążyła i zacisnąłem zęby, nie mogłem się poddać, musiałem walczyć i za wszelką cenę bronić Nawal oraz naszego dziecka. Wtedy ktoś chwycił mnie za podbródek i szarpnął głowę w górę.

— Zrobiłeś z mojej siostry świnię, będziesz miał więc świnię — wycedził przez zaciśnięte zęby najstarszy z braci, jak się domyślałem, po ojcu, Muhammad. Miał duże i odstające uszy, perkaty nos i głęboko osadzone,

ukryte pod gęstymi brwiami oczy.

— Błagam was... Dlaczego to robicie? Ona jest waszą...

— Ona była naszą siostrą i córką mego ojca. Teraz jest świnia, tak jak ty.

— Jezuuu... dlaczego...

— Jezus ci nie pomoże, niewierny psie. Naszym prorokiem jest Mahomet.

I on was dziś ukarze. Wszyscy zasługujecie na śmierć.

— Nawal jest w ciąży... Jak możecie mordować ciężarną siostrę?

Powiedz mi, co mówi werset trzydzieści dwa, sura piąta twojej świętej księgi...

Musiałem grać na czas, a przy tym nie okazywać strachu i słabości. Ci ludzie żywili się lękiem i gardzili słabymi. Najwyraźniej zadziałało, bo uszaty Arab zamilkł i zdumiony spojrział na ojca.

— *Ten, kto zabił człowieka, który nie popełnił zabójstwa i nie szerzył zgorzienia na ziemi, czyni tak, jakby zabił wszystkich ludzi. A ten, kto przywraca do życia człowieka, czyni tak, jakby przywracał do życia wszystkich ludzi* — wyrecytowałem z pamięci znany mi fragment Koranu, który tak często słyszałem z ust Hamzy w czasie naszych rozmów o religii.

— Czyż nie to jest napisane w waszej świętej księdze? — dodałem wyzywającym tonem.

Senior rodu rzucił mi surowe spojrzenie, był wyraźnie zaskoczony tym, co przed chwilą odważyłem się wypowiedzieć. Synowie milczeli, czekając na reakcję ojca, a ja, ciężko dysząc, próbowałem wytrzymać srogi wzrok pomarszczonego starca, który gdyby mógł zabijać, już padłbym trupem. Zbliżył się do mnie bardzo powoli i nachylił się. Przeciągnął językiem po zębach, wstrętnie przy tym mlaskając, i zmierzył mnie raz jeszcze pełnym odrazy spojrzeniem.

— Znajomość Świętej Księgi jeszcze nie czyni cię człowiekiem, niewierny psie. Gdybyś był jednym z nas, nigdy nie pozwoliłbyś mojej córce ubierać i zachowywać się jak kurwa. I wiesz co, chłopcze... — Staruch zawiesił głos i wyszczerzył zęby w groteskowym uśmiechu.

— Wy, Europejczycy, jesteście głupi i naiwni jak dzieci. Myślicie, że jak umiecie czytać, to potraficie zrozumieć boskie prawa zawarte w Księdze. Gównu rozumiecie! — warknął i wcisnął mi palec wskazujący w ranę na skroni, a ja jęknąłem z bólu. — Nie macie o tym żadnego pojęcia, psy!

— Zaczął nim wiercić, a następnie pukać, jakby chciał udowodnić, że za żadne skarby nie wbije mi do głowy swoich racji. — Nie rozumiecie, że werset

Świętej Księgi, który tu bezbożnie wyrzygałeś ze swoich plugawych ust, dotyczy ludzi, a człowiekiem jest ten, który jest poddanym Najjaśniejszego Pana, *Allahu Akbar!* — Synowie zawtórowali z ojcem pochwałą Boga. — Wy, niewierne psy, jesteście tylko zwierzętami, odrażającymi i brudnymi świniami. I tak będziecie traktowani. Już wkrótce wszyscy padniecie na kolana, a z błogosławieństwem Najjaśniejszego, *Allahu Akbar*, każdemu z was odrąbiemy głowę i zatkniemy na płotach waszych domów. Wasz czas dobiega końca. Jesteście na tyle durni, że jeszcze tego nie widzicie, ale zapewniam cię, że niedługo każdy chrześcijanin, Żyd i wyznawca innego boga niż Najjaśniejszy Allah, *Allahu Akbar*, padnie pod mieczem Proroka. Wasze żony i córki przywdzieją burkę i zostaną naszymi niewolnicami. Nauczymy je pokory, będą uległe i posłuszne, a my będziemy uprawiać ich pola, kiedy i jak będziemy chcieli. Gdy będą rodzic naszych synów, was, wszystkich mężów i ojców, będą już wtedy żreć robaki.

— Zabijcie mnie, ale błagam, wypuście Nawal — odparłem w akcie desperacji, wiedziałem już, że ten człowiek jest takim fanatykiem, że nie mam najmniejszych szans wzbudzić w nim jakichkolwiek wyższych uczuć. Może przynajmniej zlituje się nad Nawal i moim dzieckiem... — Ona jest człowiekiem, jest muzułmanką...

— Ha... — zachnął się Arab. — Nikt nie zamierza jej zabijać, choć według boskiego prawa szariatu, *Allahu Akbar*, powinienem to zrobić. Nie uciekła jednak sama, gdyż była dzieckiem i znalazła się pod wpływem zdradzieckiej ciotki, co akceptuję jako okoliczność łagodzącą. Jednak kara za splamienie honoru rodziny jej nie ominie i będzie surowa. A ty, poganinie, będziesz patrzył, jak ją wymierzam, zanim mój najmłodszy syn, Amir, nie odrąbie ci tego plugawego łba.

To rzekłszy, wstał i dał znak wysokiemu, na oko trzydziestoletniemu, brodatemu mężczyźnie w jasnej galabii. Od pozostałych wyróżniała go podłużna blizna, a w zasadzie trzy ślady ciągnące się od czoła aż po dolną część policzka. Przecinały lewą brew, pod którą błyszczało sztuczne oko. „Jednooki” zaczął szperać w dużej sportowej torbie, a wiekowy Arab wydał kolejne dyspozycje. „Uszaty” i ten, którego powaliłem na asfalt, ruszyli w kierunku rozciągniętej na stole Moniki i nie zważając na jęczenie i postękiwanie Michała, rozcięli jej więzy. Nie wiem, czy miała jeszcze tyle siły, czy zadziałał instynkt, ale gdy tylko zorientowała się, że nie jest spętana, natychmiast rzuciła się do ucieczki. Nie zrobiła jednak nawet kroku, bo

barczysty Muhammad chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Zapiszczała i rzuciła się na niego z pazurami, ale męczyzna potężnie zdzielił ją w twarz i ciało znów stało się wiotkie. Ojciec rodu nie zwrócił na to najmniejszej uwagi i podszedł do najmłodszego, mającego nie więcej niż dziewięć, może dziesięć lat, syna z wyróżniającą się gładką, pozbawioną zarostu twarzą. Położył mu dłoń na głowie i zawadiacko zmierzwił czarną czuprynę, po czym pochylił się i wręczył mu duży żołnierski nóż z ząbkowanym ostrzem.

Na moment straciłem oddech, poczułem i usłyszałem bicie własnego serca. Ten skurwysyn naprawdę chciał wyręczyć się tym niewinnym dzieckiem! Chryste!

Zacząłem się szamotać, ale tylko straciłem siły. Michał wił się na podłodze jak opętany i bezsilnie patrzył, jak dwóch brodaczy wynosi nieprzytomną Monikę. Nawal jako jedyna zdawała się zachowywać spokój, choć w jej oczach skrzyły się emocje, jakich do tej pory jeszcze nie widziałem. Wyglądała jak drapieżna lwica, która chce za wszelką cenę bronić swoich młodych. Spokojnie wyczekiwała na najbardziej dogodny moment do ataku, w jej oczach nie było widać przerażenia, a jedynie niewysłowioną pogardę i pragnienie walki. Nie miałem pojęcia, co planuje, ale instynkt podpowiadał mi, że jest gotowa do największych poświęceń.

Gdy człowiek z blizną wyciągnął i pokazał ojcu niewielką fiolkę, Nawal zaczęła wrzeszczeć po arabsku, próbując wyrwać się z więzów. Serce mi krwawiło, ale nie byłem w stanie jej pomóc. Jak larwa podpełzłem do stopnia i spróbowałem go sforsować. Nie udało się. Wrzasnąłem w akcie rozpacz i kompletnej niemocy. Wtedy pomarszczony staruch ostatni raz zmierzył wzrokiem fiolkę i podszedł do mnie. Przycisnął butem moją głowę do podłogi.

— Tak wygląda kara za zhańbienie rodziny — syknął, w tle usłyszałem krzyk Nawal. — Podziwiał swoje dzieło, zanim Amir wyśle cię do piekła. — To rzekłszy, odwrócił się i ruszył w stronę mojej wybranki.

Zawyłem z bezsilności, chciałem umrzeć, tu i teraz. Już wiedziałem, co staruch chce zrobić...

Wtem usłyszałem dźwięk, który spowodował, że znów zapragnąłem żyć. Chciałem żyć jak najdłużej, doczekać do narodzin dziecka, poślubić Nawal, kupić psa, wybudować dom z kominkiem i zestarzeć się w nim z moją ukochaną kobietą.

Policyjne syreny! Pieprzone policyjne syreny! Słyszałem je już bardzo

wyraźnie, jechali nas uratować! Dzięki Bogu!

— Jada tu! — ryknąłem. — Słyszysz, pierdolony kozojebco?! Dorwą was, zaraz tu będą! — krzyczałem jak opętany, musiałem walczyć o każdą sekundę.

Prawie parsknąłem śmiechem, gdy moje słowa się potwierdziły i Arabowie, którzy wynieśli gdzieś Monikę, wparowali do pokoju jak oparzeni. Targały mną skrajne emocje, raz czułem panikę, sekundę później chciało mi się śmiać, zaraz potem byłem gotowy każdemu z nich wyrwać i żywcem pożreć serce. Syreny były coraz donośniejsze, choć wciąż dochodziły z oddali. Pomyślałem, że się uda. Nie umrzemy tu...

Wśród mężczyzn wybuchło spore zamieszanie, przez moment trwał chaos, ale staruch opanował sytuację i zaczął wydawać niezrozumiałe dla mnie polecenia. Chwilę później zrobił coś, co na zawsze zmieniło moje życie. W jednej sekundzie zniszczył wszystkie moje plany i marzenia, wyrwał mi z piersi serce i poszatkował je na tysiące małych kawałeczków.

Kwas chlusnął na twarz Nawal, a ona krzyknęła. Tak przeraźliwie naturalnie wyrzuciła z siebie ten ostatni czysty dźwięk, po którym z jej znikających ust zaczęły wypływać już jedynie chrapliwe odgłosy charczenia i rżenia. Widziałem, jak twarz dosłownie rozpuszcza się pod wpływem żrącego roztworu, pojawiają się dymiące dziury, niegdyś szmaragdowe oczy topią się i wypływają z oczodołów, leniwie sunąc wzdłuż lśniących czerwieni policzków. Nawal łapczywie chwytła powietrze, ale jej usta wypełniała już jedynie mieszanina kwasu, stopionych tkanek i włosów. Krzyczałem, a ona wiła się w konwulsjach nieopisanego bólu.

Wtedy poczułem na gardle zimną stal. Gdy po chwili ujrzałem nad sobą gładką twarz młodego chłopaka, już mi kompletnie nie zależało. I tak nie byłbym w stanie sobie wybaczyć. Nigdy, przenigdy...

Ostatnie, co zarejestrowałem, to rozbiegane i pełne trwogi oczy młodziana, jego spocone skronie i otwarte w grymasie przerażenia usta. Później już tylko błysk ostrza tuż nad moim gardłem. Umierałem z nadzieją, że kiedyś spotkam starucha po drugiej stronie...

KUBA

Szumia fale, gdzieś sporadycznie zaskrzeczy mewa, pod głową cicho chrzęści chłodny piasek. Patrzę w usłane gwiazdami niebo i ogromną, pokrytą doskonale widocznymi kraterami tarczę księżyca, który subtelnym blaskiem rozświetla spowitą mrokiem plażę. Na horyzoncie majaczy ledwo dostrzegalny kontur statku, który ponurym basem oznajmia swoją pozycję.

Jestem zrelaksowany i szczęśliwy, wiem, że tuż obok leży moja Nawal. Czuję jej ciepły oddech na szyi, powietrze delikatnie pieści moją skórę. Chyba już śpi, serce uderza miarowo i jednostajnie. Słyszę je nad wyraz dobrze. Wiem, że bije dla mnie.

Zanim zamknę powieki po raz ostatni, spoglądam na twarz mojej ukochanej. Jest idealna, piękna i szlachetna. W świetle księżyca wygląda jak wykuta w jakiejś jedynej w swoim rodzaju boskiej materii. Uśmiecham się, zdając sobie sprawę, że wygrałem los w najtrudniejszej loterii w całym wszechświecie.

Gdy już chcę osunąć się w spokojny i głęboki sen, widzę na jej ustach dziwną skazę. Rozrasta się i czernieje, na policzkach dostrzegam rosnące plamy. Nagle wargi rozsuwają się w niemym krzyku, a skóra spływa z czaszki jak rozgrzany wosk. Widzę już tylko białe kości i ziejące czernią oczodoły. Błagam, żeby ten koszmar się skończył, ale on trwa. Pokryta czarnymi włosami czaszka drga, jakby była żywa, uśmiecha się w okropnym grymasie, a ja wciąż słyszę, jak bije serce Nawal. Wciąż czuję na skórze jej oddech. Teraz cuchnie i jest zimny jak dotknięcie samej kostuchy.

Robi się jasno, piecze, potwornie piecze! Proszę, niech ten koszmar się skończy. Mam coś w sobie, wciąż słyszę kolejne uderzenia serca. Coraz głośniej! Dlaczego wciąż słyszę jego bicie?! Boli! Piecze! Kuuurwa, kiedy to się skończy?!

Znów osuwam się w mrok. Słyszę znajomy głos. To moja matka...

— Synku, jesteśmy przy tobie. — Jest pełen miłości, ale i trwogi. —
Błagam cię, wróć do nas.

— Proszę opuścić pomieszczenie. Pani syn potrzebuje teraz odpoczynku. Ten atak mógł go zabić.

Stanowcze i surowe polecenie zmusiło mnie, abym otworzył oczy. Postaci były nieostre, gdyż światło niemal całkowicie mnie oślepiało. W tle usłyszałem kolejny kobiecy głos, który przetłumaczył ostatnie słowa.

— Ale on.

— Nie ma dyskusji. Proszę wyjść!

— Chodź, Ewa. Wrócimy, jak nam pozwolą. Wiedzą, co robią, Kuba jest w dobrych rękach. — Ten głos też był znajomy, choć ton inny niż zwykle. Ojciec.

— Krrgh. ghrhr. — Nie byłem w stanie wydusić z siebie żadnego słowa, coś ewidentnie mnie blokowało.

Jak przez mgłę widziałem kontury moich rodziców, ojciec obejmował roztrzęsioną matkę i prowadził ją w kierunku wyjścia. Dziwnie się poczułem, bo w ogóle nie chciałem się z nimi widzieć. Było mi wstyd, choć nie potrafiłem przypomnieć sobie dlaczego. Dopiero po chwili pojawił się krótki przebłysk pamięci, ale właśnie wtedy pochyliła się nade mną jakaś pulchna kobieta z wielkimi okularami na nosie. Kilka sekund później znów nastąpiła ciemność.

Obudziło mnie miarowe pikanie aparatury medycznej, a dokładnie aparatu rejestrującego każde kolejne uderzenie mojego serca. W jasnym pokoju nie było nikogo. Ściany wyglądały jak poszatkowane przebijającymi się przez uchylone żaluzje promieniami słońca. Na szafce po mojej lewej stronie stały kolorowe kwiaty, a pod sufitem brzęczała klimatyzacja.

Oddychałem płytko, ale równo. Powoli zaczęła wracać przytomność umysłu i po chwili byłem już pewny, że leżę na szpitalnym łóżku. Pomieszczenie wyglądało na niezwykle sterylne, w powietrzu nie unosiły się nawet najmniejsze drobinki kurzu, nie byłem też w stanie wyczuć żadnej woni. Dopiero po kilkunastu sekundach zorientowałem się, że jestem podłączony do mnóstwa przewodów, a z ust wystaje mi jakaś rura. Byłem zaintubowany, a pracę mojego organizmu przejął teraz respirator, który pompował do płuc życiodajny tlen.

Nie umarłem. A przynajmniej nie umarło moje ciało. Godzinę temu, może wczoraj, nie wiem, w każdym razie ostatnim razem słyszałem głosy matki i ojca. Przylecieli z Polski? Jak długo tu leżę? Te i inne pytania zwały się na mnie jak wyburzany wieżowiec, choć podświadomie wciąż uciekałem od zadania sobie tego jednego, jedyne... Co z Nawal? Co z naszym dzieckiem? Czy jeśli mi się udało, to? Adrenalina znów uderzyła w żyłach na widok rozpływającej się twarzy mojej księżniczki. Respirator i pulsometr przyspieszyły pracę, a mnie zalała fala gorąca. Próbowałem odrzucić od siebie ten widok, ale zagnieździł się w moim umyśle jak rak, infekując każdy

kolejny organ. Widziałem jej twarz, słyszałem przeraźliwy krzyk, czułem swąd palonej skóry, swoją niewysłowioną bezsilność i okropny wstyd. Zamknąłem oczy, po policzkach popłynęły mi łzy. Chciałem wrzasnąć, wykrzyczeć cały mój ból, ale wydałem jedynie dziwne charknięcie, po którym poczułem potworne pieczenie w gardle.

Aparatura musiała już wariować, bo nagle otworzyły się drzwi i do sali szybkim krokiem weszły dwie kobiety. Jedna z nich, znajoma pulchna blondynka w okularach, przytrzymała mi dłonią głowę i poświeciła w oczy, druga zaczęła grzebać przy kropłówcę. Gdy po chwili pulsometr nieco zwolnił, nachyliła się i wymówiła moje imię.

— Jakubie, słyszysz mnie? Wiem, że mówisz po hiszpańsku. Potrzebuję potwierdzenia, że mnie słyszysz. — Jej głos był bardzo dźwięczny, choć ton stanowczy. — Mrugnij, jeśli rozumiesz, co do ciebie mówię.

Mrugnąłem — Zaraz przyjdzie do ciebie doktor Turan. Jest najlepszym specjalistą na całym wybrzeżu. Zaufaj mi, kolego, wyjdiesz z tego — dodała i bardzo przyjaźnie się uśmiechnęła, prezentując szereg białych jak śnieg zębów.

Mrugnąłem ponownie.

— Naprawdę nie wiesz, jak bardzo cieszymy się, że się wybudziłeś. Cały personel trzyma za ciebie kciuki, Jakubie, i.

W tym momencie drzwi ponownie się otworzyły i do sali wszedł wysoki i szczupły brunet z krótkim, choć bardzo gęstym zarostem na twarzy. W rękach trzymał papierowy bloczek. Pielęgniarka ustąpiła mu miejsca, a on pochylił się nade mną i z bliska zlustrował okolice mojej szyi i twarzy. Kilkakrotnie kiwnął głową i wydał usta w grymasie zadowolenia. Zerknął na swoją pracownicę, która poinformowała go, że jestem przytomny i słyszę, co do mnie mówią.

— Witaj, Jakubie. Nazywam się Alejandro Sanchez Turan i jestem chirurgiem otolaryngologiem chirurgii głowy i szyi. Pamiętasz, co się stało?

Mrugnąłem, nie opanowałem napływających łez.

— W tej chwili musisz odpoczywać, ale mogę cię zapewnić, że jesteś w dobrych rękach i wrócisz do zdrowia. Twoje gardło ucierpiało, ale na szczęście rana nie była bardzo głęboka i udało się ją zszyć, przy okazji reperując uszkodzoną tchawicę. Za dwa dni odłączymy cię od respiratora i będziesz mógł porozmawiać z rodzicami, którzy są w poczekalni. Jeśli czujesz się na tyle dobrze, aby choć na chwilę zobaczyć ich już teraz, mrugnij,

proszę.

Nie mrugnąłem.

— Rozumiem, Jakubie. Odpoczywaj i staraj się nie wykonywać żadnych ruchów głową. Zszyte tkanki zrastają się dobrze, ale wciąż są świeże i lepiej ich nie nadwierać. Jutro rano przyjdę ponownie i sprawdzę, jak się czujesz. Tymczasem zbieraj siły. — Doktor położył rękę na moim przedramieniu i delikatnie mnie poklepał.

Gdy wstawał, uniosłem dłoń i chwyciłem go za poję kitla. Odwrócił się i spojrzał na mnie, następnie na wystający z kieszeni dzinsów notes, który wskazywałem palcem. Od razu domyślił się, o co mi chodzi i położył go obok mojej dłoni, po czym włożył w nią długopis. Koślawo napisałem tylko j eden wyraz — NAWAL.

Nie zauważyłem, że w tym samym czasie druga z pielęgniarek majstrowała przy kroplówce. Zanim doktor zdołał mi odpowiedzieć, bez mocy osunąłem się w mrok.

Następnego poranka doktor Turan faktycznie przyszedł i raz jeszcze mnie zbadał. Zrobił to jednak dopiero po blisko godzinie, bo musiał zaaplikować mi końską dawkę środków uspokajających. Tak, wcześniej potwierdził to, czego byłem pewien niemal od samego początku, zgasił ostatni, ledwo tłący się promyk nadziei. Nawal nie przeżyła. Kwas przez tchawicę dostał się do płuc i dokonał takich spustoszeń, że moja ukochana udusiła się, zanim jeszcze do budynku wkroczyli policjanci, a krótko później ratownicy. Nie mogłem opędzić się od myśli, że musiała cierpieć niewyobrażalne męki...

Moje blizny goiły się szybko, dzisiejsza medycyna potrafiła działać cuda. Doktor Turan, zadowolony z dobrze wykonanej roboty, dał mi kilka porad i ostrzegł, że następnego dnia przyjdzie do mnie oficer policji, który będzie chciał zadać kilka pytań. Upewnił się, czy jestem gotowy na to spotkanie. Przytaknąłem, chciałem poznać jak najwięcej szczegółów sprawy, bo wszystkie moje myśli krążyły wokół zemsty. Nie można było cofnąć czasu i przywrócić mojej ukochanej do życia, ale należało zrobić wszystko, aby tych skurwysynów dopadła sprawiedliwość, najlepiej moja sprawiedliwość. Poprosiłem też o możliwość zobaczenia się z Michałem, który, jak się okazało, znajdował się na oddziale obok, z kilkoma ranami kłutymi karku i pleców. Doktor zdradził tylko tyle, że były płytkie i w sumie niezbyt groźne, a Afgan już maszeruje po szpitalu, ale ze względów bezpieczeństwa nasze widzenie nie

jest jeszcze możliwe. Dobre wiadomości o jego zdrowiu przyjąłem z ulgą, niestety, nie był w stanie udzielić mi żadnych informacji na temat Moniki, która zniknęła jak kamfora. To oznaczało jedno — została porwana.

Doktor Turan na tym zakończył, a chwilę później czekała mnie dziwnie mało oczekiwana — a w zasadzie niemile widziana — wizyta moich rodziców. Nie wiem dlaczego, ale nie chciałem ich przyjmować. Oczywiście, zrobiłem to — matka nie wybaczyłaby mi, gdybym postanowił inaczej — ale wizyta była wyjątkowo nienaturalna. Mama tylko płakała i płakała, a ojciec próbował ją pocieszać. Kilka razy delikatnie mnie przytuliła, czasem zaśmiała się przez łzy, on potrzywał za dłoń i poklepał po ramieniu. Sam nie wiem, czy wzruszyłem się ich obecnością, miłością i opieką, jaką mnie otoczyli, czy może rozryczałem się, bo ciągle myślałem o tym, co się stało z Nawal i naszym dzieckiem. W każdym razie pękłem, rozbeczałem się jak ostatnia pizza, klasowa ofiara i życiowy nieudacznik. Nie chciałem, aby rodzice ujrzeli mnie w takim stanie, szczególnie ojciec. W jego oczach widziałem gniew, potężne uczucie musiało targać nim w środku jak wichura szmacianą lalką. Zdołał jednak opanować emocje i utrzymał nerwy na wodzy. Byłem ciekaw, ile już wie, co przekazała mu policja. Zdawałem sobie sprawę, że nie jest zły na mnie ani na to, że przez pół roku nie powiedziałem im prawdy. Czułem jednak wstyd, upokorzenie, a nawet swoisty rodzaj hańby, jaką się okryłem, nie potrafiąc — kimkolwiek Nawal by dla niego nie była — uchronić przed śmiercią mojej kobiety i dziecka, które nosiła w swoim łonie. Mojego syna lub córki, jego wnuka lub wnuczki. Myślę, że wyczytał to w moich oczach, choć nie dał tego po sobie poznać. Także dzień później, gdy w końcu pielęgniarka usunęła rurę z gardła i tym samym zostałem niejako zmuszony do rozmowy z rodzicami.

— Wiesz, kim byli ci ludzie? — zapytał ojciec po wymianie kilku zdań na temat mojego samopoczucia.

— Wiem — odparłem krótko i poczułem, jak moje żyły znów wypełnia gorąca lava, na samą myśl o bandzie tych sukinsynów ciśnienie skakało mi jak choremu na miazdżycę w ostatniej fazie przed śmiercią.

— To jej krewni, prawda? — Jego ton był oschły, miałem wrażenie, że wyczuwam w nim jakąś chorą nutkę triumfu.

Kiwnąłem głową, doktor Turan nakazał mi oszczędzać struny głosowe, poza tym każde wychrypiane słowo wciąż sprawiało mi ból. Ojciec zacisnął zęby i przygryzł wargi pod gęstym wąsem. Zaczął sapać, zacisnął prawą pięść

i przyłożył ją do ust. Wiem, że korciło go, aby powiedzieć: „A nie mówiłem, że tych cholernych turbaniarzy to trzeba...” — tu każdy mógłby dodać swoją hardcorową wersję — ale powstrzymał się, wziął głęboki oddech i zapewnił mnie, że jest ze mnie dumny, że muszę być twardy, że wyjdę z tego i tak dalej, i tak dalej. Po tych słowach matka znów się rozbeczała, a ja spojrzeniem dałem ojcu do zrozumienia, że potrzebuję odpoczynku. Pojął w mig i chwilę później oboje wyszli, zapewniając mnie, że w razie czego będą czuwać w poczekalni.

Nie było mi jednak dane odetchnąć dłużej niż kilka minut. Drzwi znów się otworzyły i do przyciemnionej sali wszedł doktor Turan w towarzystwie jakiegoś typu, który na kilometr śmierdział gliną. Średniego wzrostu, dobrze zbudowany, nosił ciemne okulary Oakleya i pedalski kolczyk w uchu. Z głębokiego dekoltu przepoconej szarej koszulki wynurzał się kołtun włosów, a kilkudniowy zarost pokrywał jego policzki, jakby zostały liźnięte pędzlem z czarną farbą. Cwaniacko-groźno-poważny wygląd dopełniała łysa głowa i przenikliwy wzrok. Pies jak malowany, powiedziałyby mój stary przyjaciel Figur, którego prędzej czy później się tu spodziewałem. W sumie prędzej niż później. Jeśli jeszcze go tu nie było, to pewnie leciał z jakiegoś zadupia na końcu świata, gdzie akurat wykonywał czarną robotę, aby dowiedzieć się, kto jest odpowiedzialny za porwanie jego siostry. A on nie odpuszczał. Nigdy.

— Jak się masz, Jakubie? — zapytał doktor i przedstawił oficera murcjańskiej policji, Juana Mondragona.

Hiszpan kiwnął głową, nie przestając żuć gumy. Odwzajemniłem gest.

— Detektyw Mondragon chciałby zadać ci kilka pytań odnośnie do tamtego wieczoru. Jesteś na siłach, aby z nim porozmawiać? — dodał tonem sugerującym, że to moje zdrowie jest tu najważniejsze, i jeśli uznam, że nie chcę być przesłuchany, to doktor nakaze oficerowi odejść z pustymi rękoma. Przynajmniej do czasu, aż uzna, że moje samopoczucie jest na tyle dobre, abym nie mógł się uchylać od tego obowiązku.

Przytaknąłem. Chciałem z nim porozmawiać, i to bardzo. Doktor Turan zostawił nas samych i gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Mondragon usiadł na krześle przy oknie. Ostre promienie słońca rzuciły na jego twarz poszatowane żaluzjami światło, ukazując spoconą czaszkę. Mondragon grzecznie przedstawił się i zadał kilka podstawowych pytań dotyczących mojej osoby, zazwyczaj wcześniej sugerując konkretną odpowiedź, co oszczędziło mi nieco bólu. Moim zadaniem było w zasadzie jedynie potwierdzenie

oczywistych faktów: imienia, nazwiska, adresu, uniwersytetu, w którym się uczę, miejsca pracy. Potem zaczęły się schody.

— Proszę powiedzieć, panie Polak, co pan widział w nocy z dziewiętnastego na dwudziesty sierpnia?

Lekko chrząknąłem, aby sprawdzić, czy w ogóle jestem w stanie tak długo mówić. Na szczęście ból był znośny.

— Zanim zacznę... Czy wiecie, co stało się z Moniką Figurską?

— Szukamy jej — odparł nieco zmieszany Mondragon, jakby chciał ukryć fakt, że są od jej odnalezienia równie daleko, co leżący na szpitalnym łóżku student, któremu kilkadziesiąt godzin temu poderżnięto gardło. — Cała hiszpańska policja jej szuka. Proszę mi wierzyć, że robimy, co w naszej mocy. Dopadniemy tych bandytów.

— Wie pan, że ona została brutalnie zgwałcona?

— Mam już takie informacje.

Za wszelką cenę chciałem tego uniknąć, ale w jednej chwili postawiłem się w jej sytuacji. Jeśli w ogóle jeszcze żyje, pewnie leży gdzieś skulona, może w jakiejś ciemnej piwnicy, a ci zwyrodnialcy zabawiają się z nią, kiedy im przyjdzie ochota, podczas gdy ja wygodnie sobie leżę i dyskutuję z jakimś pedalskim oficerem policji. „Kurwa mać” — pomyślałem i zacisnąłem zęby, aby się nie rozpłakać. Nie ze smutku, ale złości i bezsilności. Łzy wylewałem każdej nocy, widząc oczami wyobraźni mojego dorastającego syna lub rozkwitającą córkę, dojrzewającą w roli matki Nawal, rodzinne spotkania z dziadkiem i babcią w domu w Zielonej Górze. Nic z tego nie będzie miało miejsca. Nigdy.

— Proszę mi zaufać, odszukamy ją — dodał Mondragon, zapewne wyczuwając, że targają mną coraz bardziej gwałtowne emocje.

— Nie chcę tego słuchać. Po prostu ją znajdźcie. — W mojej głowie znów pojawił się obraz spętanej, brudnej i zakrwawionej filigranowej blondynki w jakiejś mrocznej, zatęchłej norze. — Od czego mam zacząć?

— Najlepiej od początku.

Zacząłem więc moją ponurą historię. Mondragon od czasu do czasu przerywał mi, aby dopytać o szczegóły, jak się domyśliłem, chciał sprawdzić, czy moje i Michała zeznania się pokrywają. Wykorzystywałem te chwile, aby przepłukać gardło odrobiną wody, co dawało mi trochę wytchnienia.

Tymczasem przyszła pielęgniarka i przyniosła rodzaj jakiejś różowej papki, która miała stać się moim dzisiejszym obiadem. Nawet smakowała,

przypominała owocowy jogurt, choć miała konsystencję kaszki dla niemowlaków.

— Jeśli znajdziecie tych ludzi. — zacząłem, mój podbródek zadrżał z nerwów — .jaka kara ich czeka?

— O tym zadecyduje sąd, panie Polak. Na szczęście hiszpański wymiar sprawiedliwości zaostrzył kary za zabójstwa honorowe, które w ostatnich latach stały się prawdziwą plagą. Wie pan, to już ósmy taki przypadek w tym roku w kraju i.

— Nawal to nie jakiś pieprzony przypadek! — warknąłem i zmierzyłem oficera surowym spojrzeniem.

— Przepraszam, nie to miałem na myśli, panie Polak. Chciałem powiedzieć, że zabójstwa honorowe to nowy wymiar przestępczości. Migranci, którzy od lat milionami szturmują Europę, przynieśli ze sobą zwyczaje, z którymi wcześniej nie mieliśmy do czynienia. Ten jest jednym z najgorszych.

— Z porwaniami chyba już mieliście styczność... — rzuciłem pełnym ironii tonem — Dopadniemy ich. — Mondragon nie dał wyprowadzić się z równowagi, choć w żaden sposób mnie nie przekonał. Gorzej, ja mu po prostu nie wierzyłem — Myślę, że dziś na tym skończymy, panie Polak — dodał po chwili. — Pana pomoc jest dla mnie bardzo cenna. Jeśli nie ma pan więcej pytań, to pozwoli pan, że wrócę do pracy.

— W sumie to mam jedno.

— Słucham, panie Polak.

— Gdzie waszym zdaniem mogli zabrać Monikę?

— Wie pan. nie powinienem udzielać takich informacji. dla dobra śledztwa. — mruknął niepewnie Mondragon.

— Czy wyglądam na kogoś, kto poleci z tym do telewizji albo tym bardziej pojedzie jej szukać na własną rękę? — spytałem, ironicznie wskazując dłonią na moje czterdzieści szwów na gardle.

Hiszpan ocenił ewentualne zagrożenie, ale najwyraźniej nie znalazł żadnego.

— Trop prowadzi do Barcelony. Na południe od Murcji nie uciekli, bo nie mieliby jak wydostać się z kontynentu, czy to drogą wodną, czy powietrzną. Sądzimy, że będą próbowali przycziąć się w Barcelonie, a potem ruszą do granicy z Francją. To w zasadzie ich jedyna szansa, aby wydostać się z kraju.

— A jeśli zdołają przekroczyć granicę?

— Na to pytanie panu nie odpowiem, panie Polak. Nie lubię gdybać, to nieprofesjonalne, w moim zawodzie takie podejście nie jest dobre. Jedyne, co mogę obiecać, to że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby odnaleźć pana przyjaciółkę i doprowadzić bandytów przed oblicze sprawiedliwości.

Mondragon powiedział to w taki sposób, że zrobiło mi się na sercu odrobinę źlej. Wiadomo, nie było sensu się napalać, policja ma swoje procedury i będzie działać wedle nich, jak zawsze i wszędzie. Przy odrobinie szczęścia uda się namierzyć morderców, ale czy dla Moniki nie będzie już za późno? Ktoś kiedyś powiedział, że zawsze należy mieć nadzieję i wierzyć do samego końca. Ja też uwierzyłem, gdy usłyszałem policyjne syreny, a gdy po śmierci Nawal było mi już wszystko jedno, obudziłem się tutaj. Nadzieja to kawał kurwy. Nie można jej ufać.

— Niech pan ją po prostu znajdzie — rzuciłem na odchodne, w tym czasie Mondragon już zbierał się do wyjścia.

— Proszę być dobrej myśli — odparł i drzwi się za nim zamknęły.

Znów zostałem sam, co przyjąłem z dużą ulgą. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo ta rozmowa mnie zmęczyła. Zamknąłem oczy i już po kilku chwilach zasnąłem.

Obudziłem się wieczorem, gdy przemiła pulchna pielęgniarka w okularach — dopiero dziś nad ranem przedstawiła się jako Maria — przyniosła mi kolację, na którą składała się znana mi różowa papka o konsystencji kaszki dla niemowląt. Zjadłem ją w towarzystwie moich rodziców, którzy, szczególnie matka, już trochę ochłonęli, widząc, że powoli wracam do zdrowia. Koniecznie chcieli, abym jak najszybciej wrócił z nimi do rodzinnego domu, ale starałem się unikać tego tematu jak ognia. Z tyłu głowy wciąż kołatała mi się myśl, że to jeszcze nie koniec. Nocami wyobrażałem sobie, jak ścigam morderców Nawal, w końcu dopadam ich i każdemu z nich podrzynam gardło, patrząc się prosto w oczy, z których powoli ulatuje życie. Zresztą miałem i inne pomysły, zemsta potrafi być niezwykle kreatywna. Zalęgła się w umyśle jak rak, który każdego dnia, każdej godziny żywił się moją nienawiścią i rozrastał, wizualizując jak żywe wszelakie potworności, do których mógłbym się posunąć, mając oprawców Nawal i moich przyjaciół pod nożem. Wyobrażałem sobie przeciągły krzyk ojca, gdy polewam go tym samym żrącym kwasem, odkrawam mu kolejne płaty skóry i powolutku zrywam z miotanego spazmami ciała. Gwałcicieli Moniki widziałem brutalnie branych przez

opłaconych więziennych osiłeków, rznętych perfidnie i mocno zardzewiałymi rurami i drucianymi szczotami. Momentami myślałem, że zwariowałem, bo wcześniej nigdy nie zastanawiałem się nad tak porąbanymi rzeczami. Nienawiść i żądza zemsty płonęły jednak we mnie żywym ogniem. Nie wiem, czy byłbym w stanie posunąć się do zachowań, które sobie wyobrażałem, ale myśl o sprawianiu im bólu, tak fizycznego, jak i psychicznego, sprawiała mi niesamowitą przyjemność, czasem wręcz ulgę, była dla mnie swojego rodzaju *katharsis*, oczyszczała mnie i pozwalała przeżyć kolejny dzień, żywiąc się nadzieją, że kiedyś te krwawe obrazy się ziszczą.

Według doktora Turana za trzy dni mogłem opuścić mury szpitala, oczywiście pod warunkiem, że będę stosował się do jego zaleceń. Ubezpieczyciel zaoferował miejsce w samolocie mogącym przewozić ciężko chorych, choć w moim przypadku chyba nie było to konieczne. Szwy powoli znikwały, rana zrosła się i nie babrała. Czułem jedynie dyskomfort przy przełykaniu i poruszaniu szyją, ale i te uciążliwości według doktora wkrótce miały zniknąć. Cóż, w dzisiejszych czasach przyszywano ludziom ręce, nogi, a nawet penisy, bez większych uszczerbków w ich funkcjonowaniu, robiono przeszczepy niemal wszystkich organów, łączono niewidzialne gołym okiem nerwy, ba, zastanawiano się, jak przenieść ludzką świadomość do świata cyfrowego. Czym zatem było zespolenie naciętej tchawicy i zaszywanie płytkiej rany na gardle? Obecnie można by uznać to za drobny zabieg, po którym pozostanie jedynie brzydka pamiątka od ucha do ucha. Pamiątka, która na zawsze miała odcisnąć swoje piętno na moim marnym życiu i po dziś dzień przypomina mi o tym, z kim mamy do czynienia.

Tuż przed dwudziestą drugą rodzice wyszli i zostawili mnie samego. Miałem nadzieję, że wrócili do hotelu i w końcu trochę odpoczną. Ojciec radził sobie z całą sytuacją jak zwykły facet, był wkurwiony na swoją bezsilność, ale przynajmniej nie rozpaczał nad rozlanym mlekiem. Matka przechodziła to gorzej i nigdy nie było wiadomo, kiedy znów wybuchnie płaczem, aby chwilę później śmiać się i dziękować Bogu za to, że uchronił jej syna. Cóż, kochałem ją za to, wiem, że byłaby gotowa wydrapać oczy, pewnie nawet wyrwać serce każdemu, kto chciałby mnie skrzywdzić. Taka już natura matek — bronią swoich młodych bez względu na okoliczności. Tak jak Nawal w godzinie swojej śmierci.

Przez kilkanaście następnych minut leżałem, patrząc w sufit, i rozmyślałem. Wiedziałem, co chcę zrobić, ale bałem się wykroczyć numer do Krzyśka.

Miałem cichą nadzieję, że już wcześniej wyręczył mnie Michał, ale była ona raczej płonna, gdyż nasze telefony zniknęły. Jednak w przeciwieństwie do Afgana miałem tę przewagę, że numer do starego przyjaciela (który dla niego był w zasadzie jedynie przyszłym szwagrem) pamiętałem doskonale od lat. A skoro jeszcze się tu nie pojawił, zapewne nie wiedział, co stało się z jego siostrą. W końcu ktoś musiał go poinformować i najwyraźniej padło na mnie.

Chwyciłem pozostawioną mi przez rodziców komórkę i powoli wstukałem numer. Nie czekałem długo.

— Z kim rozmawiam? — usłyszałem niski głos przyjaciela.

— To ja, Kuba.

— Siema, brachu! Długo się nie odzywałeś — przywitał się przyjacielskim tonem — No hej... — zaciąłem się, po prostu nie wiedziałem, jak zacząć.

— Powiedz mi tylko, że wszystko w porządku, bo od kilku dni chodzę jak struty, mam złe przeczucie, a nie mogę dodzwonić się do Moniki. Ty też nie brzmisz najlepiej, chory jesteś czy co?

Od razu wiedział, że coś jest nie tak, nawet mnie tym specjalnie nie zaskoczył. Ten facet miał szósty zmysł.

— Jest syf, straszny syf, bracie...

— Masz kłopoty? Coś z Moniką? — Krzysiek spoważniał jeszcze bardziej.

— Nie wiem, jak ci to przekazać, więc powiem krótko. Monika została porwana. — Zamknąłem oczy i poczułem, jak całe moje ciało zalewa uczucie przeraźliwego wstydu. — Ona.

— Kto i kiedy ją porwał? — Figur zadał to pytanie bardzo powoli, wręcz ze stoickim spokojem — Arabowie, a dokładnie ojciec i bracia mojej Nawal. — Mój głos zadrżał na dźwięk jej imienia, oczy znów się zaszkliły.

— Kiedy to się stało i gdzie teraz jesteś?

— Pięć dni temu i.

— Kurwa, Kuba! Dopiero teraz do mnie dzwonicz?!

— Przepraszam, Krzychu, ale nie mogłem wcześniej. Oni poderżnęli mi gardło i. — Znów zawiesiłem głos, a łzy bezwiednie spłynęły mi po policzkach. — Figur, oni zabili moją Nawal.

Usłyszałem kilka trzasków i coś przypominającego zgrzyt zębów. Mój przyjaciel dyszał do słuchawki, oczami wyobraźni widziałem, jak na jego łysej czaszce pęcznieją żyły, a oczy zamieniają się w ślepia drapieżcy. Kiedyś

nie potrafił panować nad emocjami.

— Jesteś w tej całej Murcji? — spytał przez zaciśnięte zęby.

— Tak.

— Czekaj tam na mnie. Wkrótce przylecę.

— Jasne.

Znaliśmy się prawie dwadzieścia lat i rozumieliśmy bez słów. Krzysiek jednak nie rozłączył się. Wiedziałem, że mnie przejrzy i wyczuje, że nie jestem z nim do końca szczery.

— Jest coś jeszcze? — spytał po chwili, nie dając mi już żadnego wyboru. Przełknąłem ślinę tak głośno, że aż zagrała mi w przełyku. — Kuba, czy chcesz mi powiedzieć coś jeszcze? — Krzysiek sugestywnie powtórzył pytanie.

Język stanął mi kołkiem w gardle. Odruchowo znów zamknąłem oczy, broniąc się przed zalewem wstydu, uczuciem niesamowicie dogłębnym i okropnie dojmującym, od którego nie dało się uciec. Zaczynałem rozumieć, dlaczego rzymscy centurionowie, nie dopełniwszy obowiązków, podrzynali sobie gardła, a samurajowie, tracąc honor, popełniali seppuku. Hańba jest okrutnym uczuciem.

— Zgwałcili ją. zgwałcili i zabrali — odparłem w końcu drżącym głosem, mój podbródek trząsł się jak kilkuletniemu chłopcu, który podczas spaceru zgubił z oczu rodziców.

Usłyszałem, jak palce przyjaciela zaciskają się na telefonie, a następnie trzask pękającej obudowy. Zdałem sobie sprawę, że właśnie obudziłem śpiący wulkan.

MONIKA

*Z PAMIĘTNIKA porucznik Moniki Figurskiej,
pseudonim „Ghula”*

To koniec mojego życia, koniec mojego życia, koniec mojego życia...

Wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, że to dopiero początek. Gdy zaczęłam spisywać ten pamiętnik, już rozumiałam, że właśnie tam narodziłam się po raz drugi. W tej ponurej, zatechłej dziurze, w jednej z tysięcy kamienic Barcelony. Poród był trudny i bolesny, ale w końcu zrzuciłam pęta strachu i zagłębiłam się w najczarniejszą otchłań mroku. Gdyby historia potoczyła się inaczej, dziś pewnie ciągnęłabym brudne kutasy tłustych arabskich wieprzy.

Już nie ciągnę. Ja na nich poluję.

*Trzeci dzień niewoli, sierpień 2023 roku, Barcelona,
Hiszpania*

Znów krzyknęłam, a raczej wrzasnęłam jak opętana w poczuciu kompletnej, obezwładniającej umysł i ciało bezsilności. Dźwięk wsiąkł w zatechłe od grzyba ściany. Krzyk nawet nie odbił się echem, pozostając zamknięty w ciemnej piwnicy, jakby był przypięty do łańcucha i nie mógł odlecieć choćby kilka metrów dalej. Usłyszałam jego ponury brzęk i poczułam, jak zimna stalowa obejmka ociera się o przetartą i obolałą kostkę. Skuliłam się na cuchnącym materacu, było mi zimno, doskwierały pragnienie i głód. Gdybym tylko mogła zasnąć i już nigdy więcej się nie obudzić.

Tak się nie da, to byłoby za proste. Gdybym przynajmniej miała coś ostrego. Podobno podcięcie żył nie jest tak bolesne, pewnie dlatego tak wielu samobójców wybiera ten sposób odebrania sobie życia. Choć kawałek szkła, też można by spróbować. Nic nie stracę, po prostu odejdę. Przecież to i tak koniec mojego życia.

Dlaczego to musiało przytrafić się akurat mnie? Nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi na to pytanie, choć zadawałam je sobie średnio raz na minutę. Z tylu milionów kobiet akurat ja musiałam zostać zgwałcona i porwana przez bandę jakichś arabskich zwyrodnialców. Co się stało z Michałem, Kubą i Nawal? Czy żyją? Czy Nawal podzieliła mój los?

Gdybym tylko miała jakiś kawałek szkła. Jedno szybkie cięcie wzdłuż wewnętrznej strony przedramienia i wystarczy poczekać. Pewnie zaboli, ale to nic w porównaniu z tym, co mi zrobili. To był dopiero ból! Okropny,

porażający jak grom podczas burzy, jak strzał z dwururki prosto w brzuch, jak widok ukochanej osoby rozdieranej na strzępy przez stado wygłodniałych wilków.

Najpierw jeden, potem drugi, trzeci i czwarty. W ich oczach nie było widać litości, napierali brutalnie, gdy próbowałam się opierać, bili pięściami, czułam ich cuchnące oddechy. Wpychali tam brudne paluchy, całe obrzydliwe łapska. Śmiali się, drwili i szydzili. W końcu każdy wypełnił mnie swoim plugawym nasieniem. Moje usta były pełne brudu, skóra płonęła, we wnętrzu tysiące żyłek cięły mnie kawałek po kawałku.

Pragnę śmierci.

Tak było przedwczoraj, wczoraj, dziś rano. Nie jestem naiwna i wiem, że to nie koniec. To nawet nie początek, a jedynie skromne preludium. Gwałcą mnie każdego dnia, czasem pojedynczo, czasem wszyscy naraz. Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam. Już nie chcę. To koniec mojego życia.

Znów krzyknęłam, ale bez nadziei na jakąkolwiek pomoc. Nikt nie mógł mnie usłyszeć w tej zatechłej dziurze. Padłam na cuchnący materac i skuliłam się w pozycji embrionalnej. Przykryłam się starym, przesiąkniętym okropną wonią stęchlizny kocem. Wyglądał podobnie do tego, na którym kiedyś spała Negra, moja czarna suka, na którą namówiłam tatę, gdy poszłam z klasą do schroniska. To było tak dawno temu.

Zamknęłam oczy i pomyślałam o rodzicach. Tak bardzo za nimi tęskniłam. Pragnęłam się z nimi połączyć, jak nigdy wcześniej, nawet wtedy, gdy krótko po tym nieszczęsnym wypadku wpadłam w depresję i chciałam się zabić. Głupia byłam. Dziś jednak oddałabym duszę diabłu, aby zamknąć oczy i obudzić się dopiero po drugiej stronie, w objęciach mamy i taty. Ciekawe, czy na mnie czekali, ciekawe, czy mnie teraz widzą? Chyba nie, tato by na to nie pozwolił. Gdy umierał, obiecał, że na zawsze pozostanie moim strażnikiem i nie dopuści, aby stało mi się coś złego. Gdzie zatem j esteś, tato? Gdzie j esteś...?

Spod zamkniętych powiek przecisnęło się kilka kolejnych łez. Musiałam wyglądać okropnie. Nie myłam się od momentu wyjścia z hotelu, moje ciało było pokryte siniakami, otarciami, zakrzepłą krwią, śliną i spermą, które przyschły na czarnej od kurzu skórze. Próbowałam je z siebie zmyć, ale tylko wydrapywałam sobie na ciele kolejne rany. Czułam się potwornie splugawiona.

Ostatni raz dali mi jeść krótko po tym, jak mnie zgwałcili. Gardziłam tym

kawałkiem ichniego chleba, ale gdy tylko najmłodszy z nich zamknął za sobą drzwi, wgryzłam się w kromkę jak lwica w mięso upolowanej ofiary. Po jedzeniu nie było już jednak śladu, pozostawioną wodę też wypłam do ostatniej kropli i choć nie miałam pojęcia, która może być godzina, głód i pragnienie doskwierały wyjątkowo mocno. Musiało być późno.

Usłyszałam kroki. Odruchowo skuliłam się jeszcze bardziej. Wiedziałam, że w końcu znów wybrzmia za drzwiami. Były jak najgorszy koszmar, ale i obietnica zaspokojenia palącego pragnienia i dojmującego głodu. Bałam się, ale jednocześnie z nadzieją ich wyczekiwałam. Wsłuchałam się w ich rytm, poznałam właściciela. Zbliżał się posiłek. Chyba.

Drzwi skrzypnęły i mrok rozdarł promień światła z podwieszanej na suficie korytarza jarzeniówki. Zmrużyłam oczy i przysłoniłam je dłonią. Wątpa i niewysoka postać weszła do środka, po chwili zapaliła żarówkę, która najpierw syknęła, następnie kilkakrotnie mignęła, aby po chwili rozjaśnić ciemność i ukazać wnętrze piwnicy w pełnej okazałości.

Pomieszczenie było dość przestronne, ale wyjątkowo surowe i niemal zupełnie puste. Ściany i sufit zżerał grzyb, linoleum na podłodze w wielu miejscach było powyginane i odchodziło od betonu. W rogu naprzeciwko mnie znajdowała się brudna umywalka, a nad nią wisiało pęknięte lustro, ślad wyraźnie wskazywał, że ktoś musiał w nie uderzyć z pełną premedytacją lub kogoś na nie pchnięto. Przeszło mi przez myśl, że mogłabym wykorzystać kawałek szkła, ale szybko wyrzuciłam ją z głowy. Po pierwsze, mój łańcuch nie sięgał tak daleko, a po drugie, teraz bardzo, ale to bardzo chciałam się napić i zjeść. Bliżej mnie stała jedynie muszla klozetowa, z której wcześniej byłam zmuszona korzystać, choć omal nie zwymiotowałam podczas wypróżniania się. Wody oczywiście nie było, by dało się splukać.

Młody Amir zbliżył się w milczeniu. Miał na sobie szare dresowe spodnie i podkoszulkę w biało-czerwone paski, na głowie sterczała ta dziwna czerwona czapka z wiszącym czarnym frędzlem — tarbusz, jak wkrótce miałam się dowiedzieć — w rękach trzymał miskę i kubek. Przez moment pomyślałam, że wygląda komicznie, choć kolejne burknięcie w brzuchu przywołało mnie do ponurej rzeczywistości. Łakomym wzrokiem gapiłam się w naczynie wypełnione kuskusem, na którym — gdy Amir postawił je przy moim materacu — dostrzegłam kilka plam czegoś, co przypominało sos. Wtedy poczułam też intensywną woń mięsa i mieszanki przypraw, z której najmocniej przebijał cynamon i mięta. Moje ślinianki oszalały i nie czekając

na pozwolenie, włożyłam dłoń do środka, aby po chwili napchać usta smacznym, ciepłym posiłkiem. Miska nie należała do małych, ale zanim się obejrzałam, była pusta, a ja wygrzebywałam palcami resztki. Kątem oka dostrzegłam postawiony kubek z wodą, wychyliłam go na dwa łyki i wytarłam wierzchem dłoni usta.

Amir stał i przyglądał mi się. Dopiero po chwili zorientowałam się, jak muszę wyglądać, kurczowo trzymając w dłoniach pusty kubek. Zaciskałam go tłustymi od jedzenia palcami, niepewnie zerkając na walające się dokoła pozostałości, na które podświadomie już się czałam Brudna, zakurzona, z rozmazanym makijażem i w podartej sukience, bardziej przypominałam zagonione w pułapkę zwierzę niż człowieka. W nagłym odruchu wstydu poprawiłam urwane ramięczko i naciągnęłam materiał na wystającą pierś.

Amir wciąż na mnie patrzył. Uniosłam wzrok i przez moment nasze spojrzenia spotkały się. Jego ciemnobrązowe oczy rozświetlał dziwny blask. Wyrażały ciekawość i... były piękne. Tak, piękne. Nie wiem, jak w takiej chwili mogłam o tym pomyśleć, ale ten młody chłopak miał naprawdę czarujące spojrzenie. Musiałam go speszyć, bo chwycił miskę i kubek i truchtem wybiegł z piwnicy. Zrobił to tak szybko, że zapomniał zgasić światło, ale gdy tylko pokonał kilka schodów, zawrócił i po chwili znów zostałam sama w kompletnej ciemności.

Rozplakałam się i padłam na zdezelowany materac. Był mokry i lepki, podłożyłam więc dłonie pod głowę i skuliłam się, aby jak najdłużej zachować ciepło. Pomyślałam, że zasnę, ale schody znów zaskrzypiały. Wzdrygnęłam się, bo poznałam, że tym razem to nie mały Amir.

Drzwi otworzyły się i do piwnicy wszedł wysoki mężczyzna w dresie. Instynktownie cofnąłam się w kierunku ściany, wtedy zapalił światło. Zbliżając się do mnie, zahaczył o wiszącą żarówkę, przez co jego postać stała się jeszcze bardziej upiorna, twarz raz jaśniała, aby po chwili zniknąć w cieniu, jaśniała i znów niknęła w mroku. Dopiero gdy stanął nie więcej niż metr ode mnie, zauważyłam, że w ręku trzyma duży żołnierski nóż. Serce podskoczyło mi do gardła.

— Spójrz na mnie — rozkazał, szczerząc zęby w grymasie pogardy, jego oczy były zimne jak lód i nie wyrażały żadnych emocji.

Uniosłam wzrok, choć byłam tak przerażona, że prawie zemdlałam. Mężczyzna wysunął język i obleśnie oblizał dolną wargę, po czym splunął na ziemię i zsunął spodnie.

— Ssij go, suko — warknął i chwycił mnie za włosy.

Odezwał się instynkt przetrwania, wykonałam polecenie. Coś mi szepnęło, że kiedyś za to zapłaci...

NIEWIERNY

2 lutego 2033 roku, na południe od Berlina

Zadam wam jedno proste pytanie. Czym jest ZŁO? Czyż nie zawahaliście się, próbując znaleźć odpowiedź? Pytanie zdaje się banalne, ale to tylko iluzja, jak fatamorgana na pustyni, ofiarowująca nadzieję zagubionym i znużonym wędrowcom. Zdradliwa jednak i zawsze stawiająca kolejne pytania, ostateczną odpowiedź przynosząc dopiero w godzinę śmierci.

Dawno, dawno temu, tak dawno, że moje dzieciństwo wydaje się jedynie mglistym wspomnieniem na wietrze historii, wąpiłem w jego istnienie. ZŁO nie istniało, liczyła się tylko prawda. Jedyna słuszna, niepodważalna i święta. Dziś wiem, że byłem w błędzie, a prawda, jakakolwiek by dla ludzi nie była, białych, czarnych, śniadych i żółtych, wierzących w Jezusa Chrystusa, Allaha, Jahwe, Buddę czy tysiące małych, nic nieznaczących bożków, była jedynie wytrychem do bram piekieł. Sztuczką realnego bytu, który załęgł się w umyśle pracłowieka, gdy pierwszy raz w ziemię gruchnął piorun, wybuchł pierwszy wulkan i uderzyło pierwsze tsunami. Gdy pierwotny po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czym jest jasność i ciemność, dlaczego jest sucho i mokro, ciepło i zimno.

Wtedy ZŁO zrzuciło odpowiedzialność z pierwotnego i pozwoliło żyć z grzechem zaniechania. Puściło go wolno, pozwalając uwierzyć w przeznaczenie i zrzucić brzemień wyboru. Zasiało ziarno, które kiełkowało, przez wieki pęczniejąc w coraz bardziej żyznym umyśle, karmiąc się chciwością, pogardą i nienawiścią, aby w ciągu ostatnich pokoleń wystrzelić i opleść serca jak bluszcz mury starych zamczysk.

Dziś wszystkich nas trzyma w morderczym uścisku. Niemożliwe jest wyrwać się z jego szponów, chwast przez tysiąclecia zakorzenił się zbyt głęboko. Rozpoczął się ostatni etap, to faza gnilna. Czuję, jak gnije wszystko dokoła. Moje serce zionie zgnilizną. Gnije nawet moja dusza...

Wiem, że też jestem potworem Dziś wszyscy jesteśmy potworami.

Odkładam książkę i chwytam stary AK-47. Zimna stal już pokryła się kurzem. Gdy powieje cuchnący wiatr, znowu się rozgrzeje.

KRZYSIEK

Czarna toyota land cruiser mknęła prawie pustą autostradą, na horyzoncie majaczyły już słynne murcjańskie wzgórza, za którymi w potężnej dolinie leżała stolica regionu. Dochodziła dziesiąta wieczorem, mimo to układające się do snu słońce wciąż od czasu do czasu łypało zza szczytów, oślepiając kierowców sunących na zachód. Za oknami migały sporadycznie kępy wysuszonych krzaków, niemal pustynny krajobraz ciągnął się od niewielkiego lotniska San Javier na wybrzeżu, gdzie kilkadziesiąt minut temu Krzysiek wysiadł z samolotu.

— Jesteś wolny — powiedział mu dwadzieścia cztery godziny temu major Deschamps, ale jego zachrypnięty głos wciąż dźwięczał mu w uszach. — Masz miesiąc.

— Dziękuję, panie poruczniku — odparł.

— Nie dziękuj. Wiem, że w tej sytuacji i tak nie miałbym z ciebie pożytku, sierżancie. Mam tylko jedną prośbę...

— Słucham, panie poruczniku.

— Nie narób bałaganu. Po prostu sprzątaj po sobie, bo nie mam zamiaru później tłumaczyć się górze.

— Zrobię, co w mojej mocy, poruczniku.

— Idź więc i znajdź ją. Powodzenia, sierżancie. Odmaszerować.

Ta krótka rozmowa wciąż jeszcze kołatała się w jego myślach. Deschamps ceniał go za lojalność, odwagę i nieprzeciętne umiejętności w walce, ale decyzja o przyznaniu mu miesięcznego urlopu wcale nie była taka oczywista. Zaciągnięcie się do Drugiego Cudzoziemskiego Regimentu Piechoty w Nimes oznaczało absolutne poddaństwo, pięcioletni kontrakt, w czasie którego człowiek oddawał swoją wolność, aby służyć nowej ojczyźnie.

Najemnik — tak mógłby go nazwać szary obywatel tego świata. Żołnierz, który przyszedł do Legii, aby nabić własną kiesę na wojnie, nieszczęściu i śmierci innych, często niewinnych ludzi. Dziś Krzysiek byłby w stanie zabić za podobne oszczerstwo, bo Legia to honor, wierność i poświęcenie wśród towarzyszy broni, bez względu na ich kolor skóry czy wyznanie. Dyscyplina i koleżeństwo, odwaga i lojalność. A do tego czarna, kurewsko czarna, najczarniejsza robota, której nikt inny się nie podejmie. Ludzie nie mają o niej pojęcia, a przecież otrzymane zadanie to świętość i zawsze trzeba je wykonać, nawet za cenę własnego życia.

Taka właśnie była Legia Cudzoziemska. Stare życie, złe czy dobre, radosne czy ponure, musiało pozostać za wysokim, nieprzeniknionym murem na długie pięć lat, tak jak rodzina, przyjaciele i znajomi. Krzysiek, pomimo młodego wieku, właśnie przedłużył kontrakt. Kończył siódmy rok w najbardziej elitarniej jednostce bojowej francuskiego wojska i jednej z najlepszych na świecie.

Wstąpił do niej, gdy miał zaledwie osiemnaście lat. To była jego ostatnia szansa, inaczej prędzej czy później trafiłby za kratki. W tym wieku człowiek jest jeszcze głupi, on taki właśnie był. Kibol zielonogórskiego „Falubazu”, który na jednej z ustawek zabił. Nie chciał tego, to miała być tylko honorowa bójka między fanami dwóch żużlowych ekip. Trafił jednak w szyję i zmiażdżył krtań. Przeciwnik udusił się własną krwią, w ciżbie walczących ultrasów nawet niezauważony. Jeszcze tego samego dnia wieczorem Krzysiek siedział w punkcie werbunkowym w Nimes, gdzie podpisywał pięcioletni kontrakt na zabijanie dla Francji. To go uratowało, był szybszy od polskiego wymiaru sprawiedliwości.

Przeprawa przez góry zajęła zaledwie kilka minut, droga była pusta, a do tego wcale nie tak kręta, jak się tego spodziewał. Ogólnie cała podróż z posterunku w masywie południowego Nigru minęła mu stosunkowo szybko. Miał szczęście, bo z Maradi nie było łatwo wydostać się na własną rękę. Przypadek sprawił, że do stolicy, Niamey, leciało wojskowym czarterem kilku wysoko postawionych oficerów, więc po uprzedniej interwencji porucznika Deschampsza zabrał się z nimi. W innym wypadku musiałby skorzystać z liczącej ponad sześćset kilometrów, niepewnej i przede wszystkim niebezpiecznej przeprawy lądowej, co trwałoby zdecydowanie dłużej, a dojazd na miejsce autobusem wcale nie byłby taki oczywisty. Co prawda główne węzły komunikacyjne nadal były pod kontrolą rządu, ale bezwzględna partyzantka wciąż zakładającego w Afryce nowe bastiony i rosnącego w siłę Państwa Islamskiego mogła zaatakować w każdej chwili. Podległe jej Boko Haram opanowało już niemal całe terytorium północnej Nigerii i coraz częściej zapuszczało się do Nigru, który powoli stawał się najbardziej niestabilnym państwem regionu. Siły rządowe nie mogły poradzić sobie nie tylko z zagrożeniem z południa, ale także z zachodu i północy, gdzie lokalne oddziały filii Państwa Islamskiego z wciąż próbującym się przeciwstawić dżihadystycznym grupom Algierii i Mali oraz całkowicie upadłej Libii siały spustoszenie w przygranicznych wioskach i miastach. Szczęście jednak

dopisało i na lotnisku w Niamey był ledwie pięć godzin od rozmowy z porucznikiem, po kolejnych ośmiu startował rejsowy do nieformalnej stolicy Maroka, Marrakeszu, stamtąd już tanimi liniami do Murcji.

Zanim się obejrzał, majestatyczne szczyty zniknęły za plecami i oczom ukazało się rozległe miasto. W blasku zachodzącego słońca błyszczało tysiącami odcieni żółci i czerwieni, a w oddali górował potężny pomnik Jezusa Chrystusa, który z rozpostartymi rękoma sprawował pieczę nad swoimi owieczkami. Monumentalny, dostojny, w blasku ostatnich promieni na swój sposób magiczny, miał Murcję u stóp. Oczywiście daleko mu było do słynnego Chrystusa z Rio de Janeiro, ale — Krzysiek prychnął pod nosem — i tak największa tego typu figura na świecie znajdowała się pod rodzinną Zieloną Górą, w oddalonym o zaledwie czterdzieści kilometrów Świebodzinie. Zresztą kiedyś musiał wspiąć się na sam jej szczyt, aby dokonać jednej z największych kibicowskich akcji w historii, gdy z kumplami przewiesili długi na czterdzieści metrów szalik w żółto-biało-zielonych barwach żużlowego klubu, aby tym sposobem przywitać ściągających na derbowe spotkanie fanów ze Stali Gorzów. Mówiła o tym cała Polska, nawet zagraniczne media. „Stare, jakże piękne lata” — pomyślał i nerwowo ugryzł się w dolną wargę, po czym mocniej wcisnął pedał gazu. Nie mógł się dekoncentrować takimi rzeczami, nie teraz.

Nawigacja wskazywała, że do celu pozostał niecały kilometr. W końcu jego oczom ukazała się La Calle Obispo Sancho Davila, ulica w imigranckiej dzielnicy, gdzie Kuba z Michałem wynajmowali mieszkanie w czasie studiów na Universidad Católica San Antonio de Murcia. Dziś po południu obaj opuścili szpital, więc umówili się właśnie tutaj. To Krzyškowi odpowiadało, można było w spokoju ocenić sytuację i podjąć kroki mające na celu odnalezienie Moniki. Jeśli... Odrzucił tę myśl. Ona żyje i czeka na ratunek. Na pewno.

Zaparkował na niewielkim placu, jakich w hiszpańskich miastach tysiące. Kilka ławek, parę nieodzownych drzew dających wytchnienie w cieniu, plac zabaw dla dzieci, a w środku duża palma. Otaczały go czteropiętrowe budynki z czerwonej cegły, tworzące nierówną, wyraźnie „doklejaną” latami mozaikę architektoniczną. Zmierzchało i osiedle zaczynało budzić się do życia, z każdej strony dochodziły głosy przekrzykujących się Latynosów, nacji tyle głośniejszej, co przesympatycznej. Najbardziej gwarowo było przy niewielkiej knajpce, gdzie kilku starszych mężczyzn siedziało na plastikowych krzesłach i sącząc piwo,

oglądało mecz. W powietrzu unosiły się zapachy wybornych kolacji, paelli, tortilli czy meksykańskiego burrito, całość przy akompaniamencie tysięcy przygrywających cykad.

— Hej, tutaj, Figur! — Krzysiek podniósł wzrok i zobaczył stojącego na balkonie przyjaciela.

Machnął ręką i ruszył pod wskazane drzwi. Nie musiał dzwonić, bzyzący dźwięk wyraźnie oznajmił, że może wchodzić. Gdy przekroczył próg, ujrzał, jak z windy próbuje wygramolić się starsza pani w ogromnych okularach, była bardzo otyła i z trudem się poruszała. Wokół niej skakał jakiś szary, wynędzniały kundel, szczekając jak opętany. Zdzieliła go smyczą po grzbiecie i burcząc coś po nosem, opuściła klatkę. Krzysiek wszedł do windy i spojrzął w lustro. Wystarczyła chwila na nieznośnym upale, aby na wygolonej czaszce pojawiły się krople potu. Nie odrywając wzroku od swojego odbicia, wsunął rękę pod spoconą koszulkę w poszukiwaniu kawałka tak cennej dla niego blachy. Wydatna szczęka zacisnęła się, a kości policzkowe zarysowały jeszcze wyraźniej. Niebieskie oczy błysnęły złowrogim blaskiem, na krzywym i noszącym ślady wielu złamań nosie pojawiło się kilka dodatkowych zmarszczek.

Dopiero gdy drzwi windy z cichym sykiem ponownie otworzyły się, zorientował się, jak mocno trzyma swój nieśmiertelnik. Dzierżył w dłoni wszystko, czego się nauczył, całe swoje życie. Poluzował uścisk i głośno przełknął ślinę. Wiedział, że najbliższe dni pokażą, czy jest godzien go nosić. I czy w ogóle jest coś wart.

Kilka chwil później stał przy lekko uchylonych drzwiach z drewnianą tabliczką, na której wyryty był numerek dwadzieścia trzy. Nie zapukał, popchnął je. W korytarzu stali Kuba i Michał. Wyglądali jak dwa zbite psy.

KUBA

— Cześć, brachu — rzekłem zawstydzony i wyciągnąłem rękę, aby uściskać się z dawno niewidzianym przyjacielem.

Figur przywitał się jak zawsze, po męsku, o mało nie gruchocząc mi wszystkich kości. Zawsze był duży, ale dziś przypominał kulturystę. Wielka klata, wyżyłowane łapy, byłem przekonany, że na brzuchu sześciopak twardy jak skała. Nie zabrakło też świeżych blizn, z których najbardziej rzucała się ta na nosie, ciągnęła się od łuku brwiowego niemal do górnej wargi.

— Kolba — rzucił, dostrzegając moje zainteresowanie jego najnowszą pamiątką i uściskał się z Michałem — Dostałem kolbę kałacha prosto w ryj — dodał, gdy zorientował się, że obaj chyba nie do końca złapaliśmy, o co mu chodzi.

— Kto cię tak urządził? — spytałem.

— Akcja w Egipcie, odbijaliśmy porwanych turystów z rąk tych pierdolonych dżihadystów. Wiesz... na tym parszywym świecie nie ma już bezpiecznych miejsc...

Chyba nie powiedział tego z premedytacją, ale ostatnie zdanie zabrzmiało wyjątkowo ponuro w zaistniałej sytuacji. Jak by nie patrzeć, miał rację. Nigdzie nie było już bezpiecznie.

— Żyje? — dopytałem, jakby podświadomie odwołując się do celu naszego spotkania.

— Kto?

— Ten, który przywalił ci tą kolbą?

— Nie, nie żyje. Pokaż szyję. — Krzysiek zmienił temat, a ja zsunąłem specjalny, nasączony lekiem medyczny szal, który doktor kazał mi nosić przez najbliższe dni. Pochylił się i przyjrzał się bliźnie. — Miałeś szczęście, brachu, amatorskie cięcia, płytkie i niechlujne. Jednak gardło też trzeba umieć poderznąć. — dodał, zasępiając się nieco.

Wyciągnąłem z lodówki po zimnym piwie, ale Krzysiek rzucił krótkie: „Dzięki, nie dziś”. Odłożyłem je, bo sam i tak nie mogłem, a Michał, pijąc alkohol jako jedyny, pewnie poczułby się głupio. Zamiast tego z lodówki wyciągnąłem sok ananasowy, do szklanek dorzuciłem po kilka kostek lodu. W salonie wciąż było gorąco jak diabli, a klimatyzacja jak na złość wysiadła. Gdy do niego wszedłem, Krzysiek siedział w milczeniu, Michał ze spuszczoną głową czekał jak na ścięcie. Nie byli może przyjaciółmi na zabój, ale znali się

dobrze, więc ten ponury widok nieco mnie zaniepokoił.

Z balkonu wciąż ciągnęło upalne powietrze, koszulka kleiła mi się do pleców. Wciąż czułem się słabo, ale na tyle dobrze, aby nie rozczulać się nad sobą. Atmosfera gęstniała z każdą sekundą, pomyślałem, że jeszcze chwila i będzie można ją kroić nożem. Postawiłem na stole szklanki z sokiem, Krzysiek wodził wzrokiem za każdym moim ruchem.

— Siadaj w końcu — warknął zniecierpliwiony, a ja osunąłem się na stary fotel.

Znaliśmy się całe życie i wiedziałem, że ten ton nie miał za zadanie mi dokopać. Krzychu taki po prostu był, surowo ciosany typ, który nigdy się nie pierdoli i mówi to, co myśli, bez zbędnych ceregieli i dbania o konwenanse.

— Słuchaj, Krzysiek. — zacząłem, ale mnie zatkało.

— To wy mnie posłuchajcie. — Wykorzystał chwilę mojego zawahania, choć, jak go znam, to nawet gdybym zaczął mówić i tak by mi przerwał. — Znamy się całe życie, a przynajmniej z tobą, Kuba. Tobie, Michał, oddałem swoją siostrę, obu was traktuję jak braci. Dlatego zanim zaczniemy, chcę, aby jedna sprawa była jasna. — Figur zawiesił na chwilę głos i spojrzał nam w oczy. — Nie winię was za to, co się wydarzyło — kontynuował. — Ale teraz musicie przestać się mazać jak pizdy. Minęło już siedem dni, a to przy porwaniach bardzo dużo. Dlatego trzeba się spieszyć. I dla jasności, mam zamiar ją odnaleźć na własną rękę, bo psiarni nie ufam Z wami lub bez was...

— Na mnie możesz liczyć — odrzekłem bez wahania, podświadomie chyba liczyłem na taki właśnie obrót sprawy.

— Też w to wchodzę — dorzucił wciąż nieco speszony Michał.

— A więc ustalone. Opowiedzcie mi dokładnie, co się stało, wszystko, w najdrobniejszych szczegółach, każdy detal może być na wagę złota. Jeszcze dziś pojedziemy w miejsce, gdzie doszło do porwania, potem tam, gdzie was przetrzymywano. — Krzysiek chwycił w dłoń swój nieśmiertelnik i zacisnął tak, że aż zbieleły mu kłyckie.

— A co potem? — niepewnie spytał Michał.

— Potem zaczniemy szukać Moniki. Znam takich jak oni, wiem, jak działają, wiem, jak myślą i do czego są zdolni. I obiecuję wam, że dorwę tych skurwysynów, a potem każdego z osobna obedrę ze skóry, jak pierdoloną cebulę.

Poczułem, jak adrenalina wdziera się niepohamowanym strumieniem do moich żył. Nie mogiem już uratować mojej Nawal, ale wciąż miałem szansę

sprawić, by jej oprawcy cierpieli. Podnieciłem się, od teraz liczyła się tylko zemsta.

Opuszczaliśmy Murcję w momencie, gdy na ulicę wylęgały kolejne tabuny imprezowiczów. Gorączka sobotniej nocy właśnie się rozpoczynała, w normalnych okolicznościach zapewne i my byśmy dzisiaj ruszyli w miasto...

Usiadłem z tyłu, byłem zmęczony i bolało mnie gardło. Krzysiek w milczeniu prowadził wypożyczoną terenówkę, Michał nerwowo szukał wzrokiem tylko sobie znanych punktów za oknem. Nie potrafił ukryć targających nim emocji, jego dłonie niespokojnie wędrowały po całej twarzy, lewa noga trzęsa się kompletnie nie do rytmu płynącej z głośnika hiszpańskiej ballady. Myślałem o tym, co powiedziałem rodzicom. Ojciec chyba zrozumiał, choć nie pochwalał i za wszelką cenę próbował mnie odwieść od tego, co planowałem. Matka usłyszała tylko to, co chciała: że nie wrócę z nimi, bo czuję się już stosunkowo dobrze i nie chcę zawalić całych trzech lat studiów, które rozpocząłem na UCAM-ie jako jeden z uczestników międzyuniwersyteckiej wymiany z programu Erasmus. W przyszłym tygodniu musiałem zaliczyć dwa niezwykle ważne egzaminy i choć zapewne moja aktualna sytuacja pozwoliłaby mi je przełożyć, nie chciałem być do tyłu. Doktor Turan jedynie utwierdził ją w tym, że z medycznego punktu widzenia moje obrażenia to ledwie draśnięcia, więc ostatecznie jakoś to przeboleła. Oczywiście trzeba było długo ją przekonywać, był moment, że w ogóle nie brała pod uwagę faktu, że nie wrócę z nimi do Polski. Uparłem się jednak, że nie pojedę, i koniec. Musiała więc się z tym pogodzić i dziś rano oboje odlecieli do domu, gdzie czekała na nich moja mała siostra Ania.

Przywołałem sobie jej obrazek w giewon. Zawsze uśmiechnięta pięciolatka z dwoma blond warkoczykami, jak mawiali rodzice, „owoc ich dojrzałej miłości”, pojawiła się na świecie dziewięć miesięcy po ich tygodniowym, romantycznym wypadzie do Paryża. Lekko piegowata, z małym, zadartym noskiem i dużymi, błękitnymi oczami, zawsze potrafiła mnie rozbawić i sprawić, że humor wracał z siłą rozpedzonej ciężarówki. Z oczywistych względów została w Polsce pod opieką babci, nie rozumiałaby, a widok rozbitej psychicznie matki mógł tylko niepotrzebnie namieszać jej w giewon. Tęskniłem za nią, bardzo ją kochałem i traktowałem jak małą księżniczkę. Pamiętam, jak udawałem rycerza na białym koniu, a ona piszcziała z radości. Tak bardzo chciałem, aby kiedyś poznała Nawal...

Znów poczułem, jakby ktoś włożył moje serce w imadło. I ścisnął, gniótł, bezlitośnie miażdżył, chcąc osuszyć je do ostatniej kropli krwi. Zamknąłem oczy i zacisnąłem zęby, mimo to poczułem, jak z kącików oczu urwały się pojedyncze łzy. Wziętem głęboki oddech, aby się uspokoić, wtedy kątem oka dostrzegłem we wstecznym lusterku wzrok Krzyska. Nasze spojrzenia spotkały się tylko na moment, bo po chwili bez słowa skupił się na drodze.

— Co wiecie na temat islamu? — spytał bez żadnych emocji, ścisząc przy okazji radio.

— Nie pytaj — warknął Michał. — Skurwysynów bym wszystkich...

— Opanuj się — przerwał mu Krzysiek. — Domyślam się, że w obecnej sytuacji kojarzy się wam obu chujowo, ale chcę wiedzieć, ile o nim wiecie.

— No co... agresywna religia, dżihad, walka z niewiernymi, zalewa Europę wraz z milionami imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki. Można dorzucić wojnę, terrorystów, Państwo Islamskie...

— Kuba? — wciął się Krzysiek.

— Chyba nie będę obiektywny po tym, co zrobili.

— Spróbuj.

— Dla mnie... — Na chwilę wstrzymałem się, ten temat zaczynał być dla mnie bardzo bolesny i powodował, że krew od razu szybciej krążyła w żyłach.

— Dla mnie to zawsze była religia jak każda inna, może z tą różnicą, że mniej tolerancyjna i w paskudny sposób traktująca kobiety. Dziś to... No, co mam ci, kurwa, powiedzieć, Figur? To wylęgarnia jebanych debili, gwałcicieli i morderców, co robią to wszystko w imię swojego popierdolonego Boga.

— Prawda — rzucił Michał, wyrywając zębami kawałek skórki przy paznokciu.

— To wszystko?

— Szczerze to nic do nich nie miałem, dopóki nie zaczęli krzywo patrzeć na Nawal. Wkurzało mnie to strasznie, te ich burknięcia pod nosem, jestem niemal pewien, że wyzywali ją od kurew, specjalnie się z tym nie kryjąc. W pamięć zapadła mi też rozmowa z Hamzą, z którym ja i Afgan przez jakiś czas mieszkaliśmy na La Mandze pod jednym dachem — Co takiego ci powiedział?

— Wiesz... gadaliśmy na temat religii. Akurat Afgana z nami nie było, bo kończyłem zmianę z Carlosem i właśnie z Hamzą. Po robocie wzięliśmy z zaplecza kilka piwek i przy kolacji sobie popijaliśmy, poza Hamzą oczywiście, który nie wzięłyby do ust nawet kropelki alkoholu.

— Nie pił, bo był tak bogobożny?

— Nawet nie masz pojęcia jak! Pamiętasz te jego modły, Afgan?

— Pewnie, zawsze mnie budził, jak tłukł łbem w ten obleśny dywanik.

— No, w każdym razie był cholernie wierzący i stosował się do wszystkich praw zawartych w Koranie, tak przynajmniej nam mówił, a czasem próbował nas nawet nawracać. I tak gadaliśmy sobie, kolejne piwka zaczęły uderzać nam do giowy. Nie wiem, co Hamza sobie wkręcił, ale naprawdę zaczął nas urabiać i przekonywać do swoich racji, a raczej — jak to określał — prawdy objawionej w Świętej Księdze. Wiesz, że nie jestem religijny, więc domyślasz się, że podłapałem temat i zaczęliśmy tak sobie gawędzić. Opowiadał te swoje dyrdymały, jak to szanuje Żydów i chrześcijan, jako Ludzi Księgi, że nie rozumie — czytaj: gardzi — ateistami i wyznawcami innych religii. Zagłębialiśmy się w te wszystkie ich dogmaty, dajmy te o niejedzeniu świń czy biciu kobiet. W pewnym momencie trochę z Carlosem na niego wsiedliśmy, przycisnęliśmy, chyba nawet zaczęliśmy się nabijać z tych bzdur, które plótł jak opętany. To był prosty chłop i łatwo było go wyprowadzić z równowagi, więc zadawaliśmy mu coraz to trudniejsze pytania, na które nie znał odpowiedzi. Gdy nie wiedział, jak zripostować, to zawsze ratował się Koranem, mówiąc, że w nim wszystko jest wyjaśnione, bo to Święta Księga, objawiona Mahometowi przez Allaha.

— Coś tam chyba jednak wiesz... — wtrącił Krzysiek. — Ale nie przerywam, kontynuuj.

— Zaczęliśmy go dociskać i w końcu zapytałem, co by zrobił, gdyby dano mu możliwość zabijania niewiernych i nie spotkałaby go za to żadna kara. A dokładnie gdyby dostał w łapska kałacha i mógł walić we wszystkich, choćby tu, na La Mandze. Wiesz, co wypalił? — Figur rzucił w lusterku jedynie krótkie, choć znaczące spojrzenie. — Warknął, że strzelałby jak do kaczek, bo to dla niego jak splunąć. Czujesz?

— No i...?

— No... kurwa, zatkało nas! Po chwili skumał, że palnął głupotę, i zrobił się czerwony jak burak. W końcu zapytałem, czy sam siebie słyszał, bo przecież według wyznawców islamu ja i Carlos jesteśmy niewiernymi. Wtedy próbował jakoś wybrnąć i powiedział, wiesz... tak niby półserio, że nam dałby szansę, bo nas lubi. Ogólnie chciał obrócić wszystko w żart, zaśmiał się, ale nam miny lekko zrzedły. Obaj doskonale wiedzieliśmy, że powiedział to, co w nim naprawdę siedziało i...

— I to jest właśnie islam, panowie — wtrącił Krzysiek. — Niebezpieczny i nieprzewidywalny, a nade wszystko pokrętny i obłudny. Nigdy nie wiesz, co jego wyznawcy mają w głowie, szczególnie ci konserwatywni i pobożni. To kwestia złożoności tego wyznania, znoszenia się jego poszczególnych praw, kolidowania ze sobą nawzajem, czasem kompletnego wykluczania się. To nie wina tych prostych ludzi, oni zwyczajnie stosują się do zaleceń swojej wiary, a przede wszystkim wybranej interpretacji autorstwa swoich duchownych. A uwierzcie mi, że ta sama sprawa może być wyjaśniana na dwa zupełnie sprzeczne sposoby. Wybiórczość interpretacji jest kluczem do zrozumienia tej religii, a tym samym toku myślenia jej wyznawców.

— No ja już żadnemu z nich na pewno nie zaufam — burknąłem pod nosem — Islam jako religia sam w sobie nie jest groźny — kontynuował Krzysiek. — Ale w połączeniu z prawodawstwem, które w wielu krajach arabskich jest tożsame z wyznawaną wiarą, zamienia się w okrutny system polityczny, w którym państwo posiada całkowitą kontrolę nad społeczeństwem. Wiecie, o czym mówię?

— System totalitarny...

— Żeby tylko. W tym połączeniu islam to szczytowa forma systemu totalitarnego. Marzenie Hitlera, Stalina i wszystkich tyranów w historii. Każdy z nich próbował wprowadzić kult wodza, władcy absolutnego, ojca narodu, który miał być kimś w rodzaju Boga. W Korei Północnej boskość Kimów jest przecież oficjalnie uznana. Mahomet, jako twórca islamu, wykonał niezwykle cwany myk i w to miejsce wprowadził Allaha, nieistniejący byt, którego boskości przecież nie da się podważyć. Islam oferuje przywódcę, który nigdy nie umrze i nie pomyli się, w którego lud ślepo wierzy, a tym samym nie trzeba go do niego przekonywać. Wierni są wobec Boga, tegoż przywódcy, całkowicie ulegli, posłuszni i pełni pokory. Nikt nigdy nie modlił się do Hitlera czy Stalina — i to jest właśnie przewaga islamu, oczywiście traktując go jako ustrój polityczno-społeczny. Obywatele wielbią go bezwarunkowo. Przecież w dosłownym tłumaczeniu „islam” znaczy „uległość wobec Allaha”. Jeśli dodamy do tego fakt, że odejście od wiary jest karane śmiercią, to mamy genialny ustrój totalitarny z surowym prawem szari’atu, dyscyplinującym kontrolującym życie człowieka w sposób absolutny.

— Daleko nie trzeba szukać, najlepszy przykład to Państwo Islamskie — rzucił Michał, kiwając głową na znak pełnego zrozumienia.

— Dokładnie. Pozostaje kwestia tych, którzy nie chcą się podporządkować

systemowi — czytaj: wyznawców innych religii. Oni są traktowani jak obywatele drugiej, gorszej kategorii, co jest całkowicie zgodne z zaleceniami Koranu. Z czymś wam się to kojarzy?

— Z nazistami na przykład?

— Zgadza się. Oni też dzielili ludzi na lepszych, czyli swoich, Aryjczyków, Niemców — zwał jak zwał — i gorszych: Żydów, Słowian, czarnoskórych, mieszańców, wszelkiej maści obywateli odbiegających od ich wyimaginowanego modelu. Wszyscy wiemy, jak to się skończyło.

— Kurwa... trochę ostro jedziesz, ale to ma sens — rzekłem, wciąż rozważając to, co przed chwilą usłyszałem. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym w ten sposób, ale przedstawiane przez Krzyśka tezy mogły się bronić.

— Oczywiście, wcale nie musi do tego dojść, jeśli religia pozostanie religią, a ludzie będą czerpać z niej tylko to, co najlepsze. W normalnym państwie, nawet o wyraźnej przewadze muzułmanów, gdzie jest widoczny rozdział między religią a stanowionym prawem i — co bardzo ważne — istnieje wolność wyznania, każde przestępstwo wobec osoby innej wiary jest, a przynajmniej powinno być, ścigane. Gorzej, gdy „prawo boskie” daje przyzwolenie na coś, co normalnie powinno być uznane za czyn karalny. Wtedy rodzi się patologia, czego najlepszym przykładem jest właśnie Państwo Islamskie ze swoim dosłownie interpretowanym i — co najgorsze — bezwzględnie egzekwowanym prawem szariatu.

— Nie rozumiem, dlaczego ludzie się na to godzą? Przecież to idiotyczne żyć obwarowanym takimi zakazami i nakazami — prychnął Michał.

— A myślisz, że obywatele Korei Północnej pragną władzy Kima?

— No pewnie nie, ale oni mają zryte przez propagandę berety, zresztą są w permanentnym strachu przed władzą.

— Sam sobie odpowiedziałeś. Jednocześnie muzułmanie często nie są nawet do tego zmuszani, od dziecka mają robione pranie mózgów i naprawdę szczerze wierzą, że szariat to najlepszy system prawny. Każdy z nich powie ci, że Koran to Święta Księga, objawiona przez Allaha, więc jej treść jest, oczywiście, święta. Duchowni i imamowie, ogólnie szeroko pojęta władza, tylko to wykorzystują. Zresztą mają łatwiej, bo mieszkańcy krajów arabskich to w dużej części wciąż analfabeci lub niewykształceni wieśniacy i dużo łatwiej nimi sterować. To taki ciemny lud.

— Pewnie masz z tym wszystkim styczność na co dzień...

— Taką wybrałem sobie pracę. — Krzysiek spojrział na nawigację, na

horyzoncie już kolorowym blaskiem rozświetlały ciemne niebo banery dyskotek La Mangi. — Wrócimy do tej rozmowy, chłopaki, bo najwyraźniej zbliżamy się do celu.

— Walczyłeś z nimi? — Michał nie dawał za wygraną, a ja odniosłem nieodparte wrażenie, że atmosfera w jednej chwili zgęstniała.

— Rzadko... — mruknął Krzysiek. — Zazwyczaj tylko po nich sprzątam... — Figur nie oderwał wzroku od przedniej szyby, ale dostrzegłem, jak palce mocniej zaciskają się na kierownicy, której okleina aż zatrzęszczała. Cokolwiek robił, nie chciał o tym teraz rozmawiać. Może lepiej w ogóle nie pytać...

Chciałem jeszcze jakoś spuentować tę dyskusję, ale w tym momencie światła reflektorów padły na tablicę z napisem „La Manga”. Znowu poczułem, jak szponiasta dłoń chwyta moje serce i ściska je. Aż zaboląło.

MONIKA

Z pamiętnika porucznik Moniki Figurskiej, pseudonim „Ghula”

Czwarty dzień niewoli, sierpień 2023 roku, Barcelona, Hiszpania

Czasem zastanawiam się, co by się stało, gdyby ten młody chłopak wtedy nie przyszedł. Zdołałabym przegryźć sobie żyły? Nie wiem, ale marzyłam o śmierci. Chyba każda kobieta czułaby na moim miejscu to samo. Tego nie da się opisać, to po prostu niemożliwe, najbardziej przerażające słowa nie oddadzą tego, co działo się wtedy w mojej gowie. A koszmar przecież dopiero się zaczynał...

Przyszedł z wiadrem i moką szmatą. Z początku na każdy jego dotyk reagowałam gwałtowną ucieczką, choć stać mnie było jedynie na drobne uniki. Drżałam jak liść smagany porywistym wiatrem, moje nagie ciało wyglądało, jakby przejechał po nim kombajn, całe posiniaczone, pokryte mniejszymi i większymi otarciami, klejące się od spermy, krwi, moczu i brudnych paluchów moich oprawców. Nawet nie wiem, ilu ich było, straciłam rachubę po dziesiątym, choć gwałcili mnie jeszcze przez wiele godzin. Długich jak całe wieki.

Niewyobrażalnie dołujące uczucie. Przesiąkłam nim na wskroś, zawładnęło moim umysłem do tego stopnia, że każda moja myśl krążyła wokół realnej możliwości odebrania sobie życia. On tymczasem w milczeniu obmywał moje rany. Każdy kontakt mokrej szmaty ze skórą był tak bolesny, jakby ktoś przykładał do niej rozpaloną zapałkę, ale pieczenie zdawało się na swój sposób przyjemne. Czulałam się jak porzucona suka, którą znalazł w śmietniku jakiś dzieciak i gorliwie próbuje się nią zaopiekować, nie zdając sobie sprawy, że swoimi poczynaniami sprawia jej ból. Choć wciąż przeraźliwie się bałam, instynkt podpowiadał, że ten chłopak to moja jedyna opoka. Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas, zanim samcza żądza nie zawładnie jego ciałem i umysłem. Leżałam skulona jak w łonie matki, gdy Amir pochylił się, aby zwilżyć moje spękane usta. Znów się wzdrygnęłam i odruchowo uniosłam wzrok, a nasze spojrzenia spotkały się. Miał piękne oczy, zza których przebijało życie. Prawdziwe i jeszcze nieskalane. Trwało to tylko ułamek sekundy, bo mój „opiekun” zabrał rękę i speszony odwrócił

giowę. Pomyślałam, że jest jeszcze taki niewinny.

Amir wstał, trzymając w ręku moką szmatę, z której kapały brudne krople, raz za razem z cichym stukotem uderzając o betonową podłogę. Zmusiłam się do uśmiechu, ale chłopak cofnął się kilka kroków i zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę, coś mamrocząc. Gdy z trudem uniosłam się do pozycji klęczącej, Amir pociągnął nosem i splunął wprost na mnie. Myślałam, że za chwilę zrobi mi krzywdę, jak inni, ale jedynie rzucił szmatą w moim kierunku i wybiegi z piwnicy.

W kompletnym przerażeniu słuchałam, jak wypłakuje się i krzyczy jak dziecko, któremu właśnie odebrano lizaka lub kazano zając się znienawidzonymi obowiązkami w czasie, gdy koledzy wychodzili pokopać piłkę. Nie rozumiałam, co mówi, ale domyślałam się, o co chodzi. Zdałam sobie sprawę, że zapewne został do tego zmuszony, jako najmłodszy członek rodziny, gdyż żaden z braci nie miał zamiaru zajmować się zbrukaną niewolnicą. Mój szukający szansy umysł sprawił mi psikusa i w oczach tego chłopaka o twarzy cherubinka dostrzegłam to, czego tak szalenie pragnęłam. Poczułam, że nadzieja umyka jak powietrze z niezawiązanego balonika. W oczach znów stanęły mi łzy i ukryłam twarz w dłoniach. Aby nie krzyknąć z rozpacz, wbiłam paznokcie w skórę na czaszce, wyobrażając sobie, jak przebijam się do mózgu, a moje ciało bezwiednie opada w ostatnim, śmiertelnym spazmie. Nie umarłam, więc w desperacji chwyciłam kolejne pukle włosów i włożyłam całą siłę, aby je sobie wyrwać. Nie wiem dlaczego. Zaczynałam wariować, wpadłam w obłąd.

Wtedy drzwi znów się otworzyły i do piwnicy wszedł Amir. Jego oczy były podpuchnięte i czerwone od płaczu, ale tym razem nie odwrócił wzroku. Głowę trzymał wysoko i patrzył na mnie hardo. Wargi ułożyły się w dziecięcym grymasie wymuszonej pogardy.

„Mały potworek” — pomyślałam i oczami wyobraźni ujrzałam, jak przegryzam mu tchawicę.

— Jesteś dziwka! — krzyknął po angielsku, gdy stanął nade mną. —
Dziewka, dziwka, dziwka! — powtórzył i znów mnie opluł.

Dziwnie i groteskowo zabrzmiało to w ustach tak młodego chłopca, w zasadzie dziecka, które pewnie nie rozumiało nawet tego, co mówi. Mimo wszystko znów instynktownie się cofnęłam. Wtedy Amir podniósł szmatę i znów zaczął mnie obmywać. Tym razem już nie tak delikatnie, bardziej stanowczo, wręcz agresywnie, nie zważając na mój ból. Ze strachu poddałam

się i nie oponowałam nawet wtedy, gdy zaczął ścierać zakrzepłą krew z wewnętrznej strony moich ud. Odruchowo przysłoniłam moje łono resztkami podartej sukienki. Amir cofnął rękę i spojrzał na mnie. Jego oczy wyrażały całą gamę targających nim emocji. Zmoczył szmatę w wiadrze i wrócił do pracy, ale wtedy chwyciłam go za nadgarstek.

— Ja sama — rzekłam najspokojniej jak potrafiłam, chłopak zmarszczył brwi. — To boli, umyję się sama — dodałam, próbując wzbudzić litość.

Udało się, bo Amir puścił szmatę. Nie byłam pewna, czy zrozumiał, co do niego mówię, ale w jego spojrzeniu ujrzałam przeblysłk czegoś, czego podświadomie szukałam. Nie potrafię jednoznacznie określić, ale to było jak samotne drzewo w zimnej tundrze czy łódka na bezkresie oceanu. Obietnica nadziei.

— Ty, dziwka, dziwka! — krzyknął Amir i moja wiara w cud prysnęła jak mydlana bańka.

Co gorsza, usłyszałam ciężkie kroki na schodach.

KUBA

26 sierpnia 2022 roku, La Manga, Hiszpania

Plan był prosty: zacząć się na któregoś z muzułmańskich współpracowników z hotelu Londres i wypytać go, co wie. Wątpiłem w szanse jego powodzenia, ale zdałem się na nos Krzyśka, który był w tym zakresie szkolony. Uważał, że mordercy nie mogli działać sami i musieli dostać cynk. Pierwszymi podejrzanymi z automatu stali się więc muzułmańscy koledzy z pracy, którzy od początku nie akceptowali naszego związku i otwarcie gardzili Nawal jako kobietą. Zakładając, że mogli wyznawać podobnie skrajne wartości jak jej ojciec i bracia, ten trop stawał się jeszcze bardziej wiarygodny.

Dla mnie cała ta historia była mocno naciągana, ale rozumując na chłodno, rzeczywiście było mało prawdopodobne, aby Muhammad i jego synowie znaleźli Nawal przypadkiem. Ich akcja była szybka i na pewno zaplanowana. Porwali ją prosto z ulicy, bez świadków (nie licząc mnie i Afgana, gdyż bez wątpienia mieliśmy zostać zamordowani), następnie zawieźli do przygotowanego lokum na odludziu, gdzie w torbie czekał przygotowany kwas. Trudno jednak było mi sobie wyobrazić, żeby Hamza czy Mustafa mogli być tak zakłamanymi skurwielami, aby posunąć się do takiego czynu. Jednocześnie żaden z nich nigdy specjalnie się z nami nie spoufalał, każdy trzymał dystans i większość wolnego czasu spędzał wśród przyjaciół z własnego kręgu kulturowego. Od zawsze dzielił nas niewidzialny mur. Wcześniej się nad tym nie zastanawiałem, ale naturalnie wyrastał przy zawarciu znajomości z mężczyzną wychowanym w kulturze islamu. Nigdy żadnego z nich mocno nie uściskałem, nie zwierzyłem się ze swoich problemów, nawet nie przybiłem konkretnej „piątki”, choć podobne gesty z dużo większą łatwością przychodziły mi w stosunku do Hiszpanów, Włochów czy choćby wszelkiej maści Latynosów. Pomiędzy mną a muzułmanami zawsze stała wysoka, twarda i odporna na próby przekroczenia ściana, choć do tej pory tego sobie nie uświadamiałem. Istniała jedynie w naszych umysłach, ale zdawała się nie do skruszenia.

Siedzieliśmy w samochodzie i czekaliśmy, aż któryś z poszukiwanych typków pojawi się na ulicy. Prostsza opcją zdawało się wywabienie ich na zewnątrz, co byłoby dla nas sprawą banalnie prostą, ale Figur chciał wszystko zrobić po cichu i bez świadków. Nie pytałem dlaczego, podświadomie

uciekając od odpowiedzi, którą tak naprawdę znałem Zastanawiałem się tylko, w jak wielkie gówno z premedytacją wdeptuję i jakie będę musiał ponieść konsekwencje. Ale gdy tylko zaczynały ogarniać mnie zwątpienie i strach, przed oczami pojawiała się spływająca jak z manekina twarz Nawal. Lęk odchodził, wracał gniew. I pragnienie zemsty.

— Czy to nie jeden z waszych kumpli? — przerwał ciszę Krzysiek.

W naszą stronę kierował się znany mi Algierczyk, którego od razu poznałem po charakterystycznym, cwaniakowatym chodzie. Niski, ale okropnie butny i nieprzyjemny typ, zawsze patrzył na mnie i Nawal bykiem, każde jego spojrzenie było pełne pogardy. Co tu dużo mówić, nie lubiłem go, tak samo, jak on mnie. Kilka razy chciałem nawet dać mu w pysk, ale zawsze zwyciężał rozsądek. Jego bym nie żałował...

— To Algierczyk, Rabah, tak się chyba nazywa — odrzekłem — Kawał gnoja. Razem z tym drugim... tym Marokańczykiem... no...

— Karimem — pomógł mi Afgan.

— Tak, z tym Karimem, byli chyba najbardziej wkurwiający w całej ekipie. I chyba najbardziej szkalowali i gardzili Nawal.

— Mówiliście, że dołączyli do pracy dość późno...

— Jakoś na przełomie lipca i sierpnia.

Figur wnikliwym wzrokiem omiół okolicę, w promieniu kilkudziesięciu metrów nie było nikogo, jedynie na plaży bawiła się jakaś grupka zapewne już pijanej młodzieży. Rabah zbliżał się do nas chodnikiem wzdłuż ogrodzenia, łapczywie zaciągając się papierosem. Znajdował się nie dalej niż dwadzieścia metrów.

— Bierzemy go — rzucił Figur. — Czekaście i nie wychylajcie się.

Nie mieliśmy zamiaru. Ustaliliśmy, że czarną robotą zajmie się Krzysiek. Znał się na tym i był w tym dobry. Za długo się znaliśmy, aby prężyć muskuły, starając się udowodnić, że może na nas liczyć. To on wydawał polecenia.

Gdy otworzył tylne drzwi i zaczął grzebać w bagażniku, Rabah właśnie wkroczył w osnuty mrokiem kawałek chodnika pod nieświecącą lampą, który wybraliśmy na miejsce obserwacji. Algierczyk po raz ostatni mocno zaciągnął się papierosem i wystrzelił niedopałek za pręty ogrodzenia czyjejs posiadłości. Znalazł się na wysokości naszego pojazdu.

— Masz ogień, przyjacielu? — usłyszeliśmy przytłumiony głos Krzyśka, który z papierosem w ustach zbliżył się do Rabaha.

Algierczyk przystanął, jakby nieco onieśmielony potężną i muskularną

sylwetką nieznanego jegomościa. Coś odburknął i zaczął grzebać w kieszeni starych dzinsów. W końcu wyjął zapalniczkę i podał ją Figurovi. Nie spodziewał się tego, co nastąpi w ciągu kilku kolejnych sekund.

Krzysiek krótkim prawym gruchnął go w brzuch, lewą dłonią niemal natychmiast zakrywając usta. Uderzenie wydawało się lekkie, ale musiało mieć moc, bo Rabah złożył się jak scyzoryk. Wszystko trwało krótką chwilę i zaraz leżał skulony w tyle land cruisera, a Figur kilkoma wprawnymi ruchami pętał mu ręce i nogi. Zanim spokojnie ruszyliśmy w kierunku pustyni, zamyśliłem się, czy mój przyjaciel wypożyczył tę terenówkę, z góry zakładając, że będziemy potrzebować właśnie tak pojemnego bagażnika.

Noc była bezchmurna, a blade światło księżycowego rogala subtelnie rysowało górskie szczyty na horyzoncie. Toyota powoli posuwała się w giąb niemal jałowych terenów, porośniętych jedynie kępami wysuszonych krzaków, które od momentu zjazdu z piaskowej drogi coraz częściej szurały o podwozie. Koła chwilami zapadały się w nierównym podłożu, ale terenowy land cruiser z napędem na cztery koła radził sobie do tej pory bez problemu.

„Fajna przejażdżka — pomyślałem — Oczywiście, gdyby nie fakt, że w bagażniku mieliśmy coraz głośniejszego faceta ze szmatą w zębach, którego — co gorsza — porwaliśmy. Tak właśnie, daliśmy wpierdziel, zwiążaliśmy i porwaliśmy. Złamaliśmy prawo, staliśmy się przestępcami i możemy trafić za to do więzienia!”

Przeciagnałem dłonią po bliźnie na szyi. „Chuj z tym! — warknąłem do siebie w myślach. — Jeśli ten gnojek jest w to zamieszany, to kara go nie ominie. Sam mu rozerwę mordę, jak będzie trzeba...”

Jęki Rabaha powoli stawały się nie do zniesienia, więc odwróciłem się i na fali wkurwienia grzmotnąłem go w łeb. Ulżyło mi trochę.

— Hej, co robisz?! — krzyknął Michał, w jego tonie dało się wyczuć rodzaj wyrzutu.

— Nic, wnerwiają mnie te jego jęki — odparłem poirytowany.

— Wyluzuj, może on...

— Zawsze chciałem to zrobić, choćby za te bluzgi w stosunku do Nawal. Szmaciarz jeden...

— Afgan ma rację, Kuba. Uspokój się, bo w nerwach nic nie wskórasz — przerwał mi siedzący za kierownicą Krzysiek, a we wstecznym lusterku zobaczyłem jego surowe spojrzenie.

— Dobra już, okej. Kiedy w końcu staniemy? Już z godzinę przedzieramy

się przez te bezdroża.

Gdy tylko skończyłem ostatnie zdanie, czarna toyota wyhamowała do zera, wznecając chmurę kurzu. Figur wyłączył silnik i zaciągnął hamulec ręczny.

— Tu będzie dobrze — stwierdził i wyszedł z samochodu, a my zaraz po nim.

Noc była gorąca, a dokoła koncert grały tysiące świerszczy. W powietrzu unosił się przyjemny zapach jakiejś nieznannej mi rośliny. „To pewnie te krzaki” — pomyślałem i ostrożnie przeciągnąłem się, aby przypadkiem nie przesadzić i nie rozerwać szwów. Blizna była coraz bardziej elastyczna i nie czułem już tego niekomfortowego spięcia. Dobry omen.

— Jeśli chcecie, to możecie iść się odlać, a ja z nim pogadam — zasugerował Krzysiek, otwierając bagażnik. — Do tej pory was nie widział i lepiej żeby nie zobaczył.

— Nie musimy mu przecież ściągać opaski — rzucił niepewnie Michał; odniosłem wrażenie, że boi się, ale nie chce się do tego przyznać. — Zresztą mógł już poznać nasze głosy.

— Wątpię. Ofiara porwania zazwyczaj jest na początku tak przerażona, że w ogóle nie wie, co się wokół niej dzieje. Poza tym mówiliście, że nie utrzymywaliście z nim osobistych kontaktów, czyż nie?

— Ja z nim zamieniłem zaledwie dwa zdania, gdy przyszedł do pracy — włączyłem się do rozmowy, raz jeszcze analizując nasze ewentualne kontakty w czasie pobytu na La Mandze. — Nie sądzę, aby pamiętał mój głos.

— W sumie ja też tylko na początku...

— Zatem nie będzie problemu. Możemy najpierw spróbować we trójkę, nie ściągając mu opaski. Jeśli tak bardzo chcecie przy tym być — podsumował Krzysiek i chwycił szarpiącego się Rabaha za nogi. — Może pójdzie gładko — dodał pod nosem i z niesamowitą łatwością przeniósł spętanego mężczyznę przed maskę samochodu. — Włączcie światła. Długie! — krzyknął, rzucając na ziemię „kieszonkowym” Algierczykiem, jak workiem ziemniaków.

Mrok rozświetlił silny snop dwóch reflektorów. Tysiące maleńkich ziarenek piasku krążyły w ich świetle jak wzbudzony kurz w dawno niesprzątanym pokoju. Każdy ruch Krzyśka lub klęczącego, choć wciąż szamoczącego się Rabaha wzniecał z twardego i spękanego podłoża jeszcze więcej drobnego pyłu. Wysiadłem z samochodu i stanąłem obok Afgana. W jego oczach widziałem zwątpienie, jeśli nie powiedziec przerażenie. Dostrzegłem, jak nerwowo przełyka ślinę. Bał się. Ja chyba też...

Figur chwycił Rabaha za potargane włosy z taką siłą, że usłyszałem, jak trzeszczy mu skóra na czaszce. Skierował jego twarz wprost w snop światła z reflektora, a drugą ręką ścisnął mu szczękę. Nie byłem pewny, ale miałem wrażenie, że coś chrupnęło. Algierczyk jęknął z bólu.

— Nie znasz mnie, ale musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań — zaczął Krzysiek, choć dopiero po chwili skojarzyłem, że zwraca się do niego po francusku.

Nie znałem za dobrze tego języka, ale byłem w stanie wychwycić sens wypowiedzi. Pomyślałem, że to świetny pomysł, wszak każdy Algierczyk z racji przeszłości kolonialnej zna język francuski równie dobrze jak arabski, a dodatkowo jego użycie mogło zmylić zupełnie zdezorientowanego i przerażonego Rabaha. Jego pociągła twarz była brudna, dało się dostrzec ślady po łzach. Z nosa sączyła się cieniutka strużka krwi. Mimo to szarpnął kilka razy głową, próbując wyrwać się z uścisku potężnej graby.

— Nie radzę się opierać — ostrzegł Krzysiek. — To będzie oznaczać dla ciebie ból. Na pewno domyślasz się, że potrafię go zadawać. Wszystko jednak zależy od ciebie, przyjacielu.

Figur mówił powoli, ważąc każde słowo. Skłamałbym, gdybym powiedział, że wyglądał, jakby robił to pierwszy raz. Gorzej, zdawał się prowadzić przesłuchanie jak profesjonalista. Odkleił taśmę i wyciągnął szmatę z gardła Rabaha.

— Ja nic nie zrobiłem — bronił się. — Nie wiem dlaczego... ja nic...

— Zamknij się! — warknął Figur i znów wepchnął materiał w zęby rozdygotanego mężczyzny.

— Chcę jedynie dowiedzieć się, skąd Muhammad i jego synowie wiedzieli, gdzie szukać Nawal Said, a w zasadzie Nawal Abi Rabka.

— Ja nic nie wiem, nie wiem nic, przysięgam na Allaha i jego proroka Mahometa. Nic nie wiem, nic a nic.

— Sądzę, że kłamiesz przyjacielu. — Figur powiedział to ze stoickim spokojem, a potem wymierzył potężny cios w brzuch.

Rabah złożył się jak harmonijka i zaczął charczeć. Po chwili z powrotem uniósł jego głowę na wysokość snopu światła.

— Powiedz, skąd Muhammad Chalil Abi Rabka wiedział, gdzie szukać swojej córki.

— Naprawdę nie wiem, Allah mi świadkiem, że nie wiem, o czym mówisz... — Rabah zaczął szlochać jak dziecko, Krzysiek przez chwilę

w ciszy analizował sytuację. — Może Karim.. — niepewnie napomknął młody muzułmanin i wnet wrzasnął, jakby obdzierano go ze skóry, a ja dostrzegłem, jak Figur dociska kolanem jego krocze.

— Karim, powiadasz... — syknął przez zęby. — Daję ci ostatnią szansę, chłopcze. Powiesz mi teraz wszystko, co wiesz, albo cię potnę i zakopię żywcem na tej pustyni.

Nie byłem pewien, co dokładnie powiedział Krzysiek, ale wiedziałem, że były to groźby. Przez następne sekundy słychać było jedynie grające świerszcze, a z oddali dało się wyłowić dudniący szum lądującego samolotu.

— Idźcie się odlać, panowie — zaordynował po chwili Krzysiek. — Chcę mu spojrzeć w oczy, a potem trochę go oprawię.

— Że co zrobisz... ? — zapytał wyraźnie przestraszony Afgan.

Mnie też coś ścisnęło w żołądku.

— Mówiłem, że nie musicie tego oglądać.

— Ale on... może on nie kłamie i naprawdę nic nie wie, i...

— Chcesz odnaleźć swoją kobietę? — Ton Krzyśka tym razem zdradzał wyraźne zniecierpliwienie, jeśli nie powiedziec wkurwienie.

— Chcę, ale... no cholera... No nie wiem, co chcesz mu zrobić, ale to chyba już lekka przesada.

— Michał jakby zebrał w sobie więcej odwagi. — Nikt w normalnym świecie nie „oprawia” człowieka, bo coś podejrzewa i myślę, że...

— Chuj mnie obchodzi, co myślisz, Afgan! — warknął poirytowany Krzysiek. — Moja siostra jest w łapskach tych skurwysynów i zrobię wszystko, aby ją odnaleźć i uratować. Nie mamy czasu na zabawę, stary. Monika cierpi, wkrótce pewnie sprzedadzą ją do burdeli, jeśli już tego nie zrobili. I jak będzie trzeba, to obedrę ze skóry każdego, kto jest w stanie naprowadzić mnie na jej trop. Rozumiesz? Rozumiecie?

Obaj milczeliśmy. Bałem się tego, co robiliśmy, ale w duszy cieszyłem się, że prowadził nas ktoś taki jak Krzychu. On był z innego świata, tego mrocznego i plugawego, gdzie śmierć i cierpienie to dla ludzi codzienność. Świata, którego nie dostrzegamy lub dostrzec nie chcemy, tego z filmów i wieczornych wiadomości, tego, w którym wybuchają bomby, ludzie zabijają się za wiarę w innego boga czy za szklankę wody.

Spojrzałem na Michała, jego twarz wyrażała tysiące sprzecznych emocji. Mimo wszystko zacisnął szczękę i nie powiedział nic więcej. Może też zrozumiał? Przecież oni nie mieli podobnych rozterek. Kilka dni temu

udowodnili to nad wyraz dosadnie. Zabrali wszystko, co dla mnie najcenniejsze.

Skurwysyny... Jeśli ten kutas coś wie, niech Figur to z niego wyciągnie...

Chwyciłem Michała za ramię i odwróciłem się na pięcie. Nie oponował, choć jego oczy gorały.

— Zaufajcie mi, on kłamie — rzucił na odchodne Krzysiek, jakby chciał nieco uspokoić emocje. — Ten gnojek doskonale wie, o co chodzi. A teraz idźcie już, muszę porozmawiać z nim w cztery oczy...

Gdy w milczeniu zaczęliśmy oddalać się od samochodu, usłyszałem charakterystyczny świst wyjmowanego z pochwy ostrza. Kątem oka dostrzegłem, jak błysnęło w mocnym świetle reflektora. Zrobiło mi się gorąco i zakręciło w głowie. Spojrzałem na Michała, facet wyglądał, jakby zobaczył ducha.

Wtedy do mnie dotarło, że zaraz sforsujemy granicę, po której przekroczeniu nie będzie już odwrotu.

Nie zdążyłem się odlać, gdy ciszę rozdarł klakson land cruisera, a chwilę później kilka donośnych gwizdów, których autorem z pewnością był Krzysiek. Gwałtownie odwróciłem się w tamtym kierunku, niechcący obsikując sobie spodenki. Zakląłem szpetnie i zapiąłem rozporek. Samochód stał nie więcej niż sto metrów od nas, czerwone tylne światła wyraźnie odznaczały się w otulającym pustynny krajobraz mroku, jeszcze większe wrażenie robił snop przednich reflektorów, który głęboko wcinał się w złowrogą ciemność. „Dziwny i niepokojący obrazek” — pomyślałem i odszukałem Afgana, który właśnie odchodził od kępy wysuszonych krzaków.

— Chyba nas woła — zagadnąłem, gdy Michał się zbliżył.

— Zatem szybko mu poszło — odparł, nieco sarkastycznie.

— Obyś miał rację — rzuciłem i obaj ruszyliśmy w kierunku samochodu.

Gdy stanęliśmy obok Figura, właśnie czyścił ostrze swojego noża, choć trafniejszym określeniem byłoby „pieprzonej maczety”. Kawał stali raz za razem odbijał światło reflektora, a ja zastanawiałem się, czy w szmatę wsiąkło już dużo krwi. Znów zrobiło mi się gorąco, miałem wrażenie, jakby nade mną stał kat z wielkim toporem, tylko czekając na rozkaz odcięcia mojej głowy. Wisiał nade mną strach, a raczej permanentny lęk przed tym, co robię, co robimy wszyscy. Co tu dużo mówić, bałem się jak jasna cholera.

Odetchnąłem dopiero, gdy zobaczyłem Rabaha w tej samej pozycji, na

kolanach i z opaską na oczach. Czym prędzej omiotłem wzrokiem całą postać i ku lekkiemu zdziwieniu zaobserwowałem, że na ciele ani ubraniu nie było żadnych śladów krwi. Jediną różnicą było to, że nie miał na sobie spodni, które leżały obok. Mimo to młody Algierczyk chlipał jak dziecko i mamrotał coś po arabsku.

— I co? — zagadnąłem odruchowo, chyba nawet do końca nie zdając sobie z tego sprawy.

— Dowiedziałem się wszystkiego, czego chciałem— odrzekł Krzysiek, chowając lśniący majcher do skórzanej pochwy.

— Tak po prostu ci powiedział?

— Owszem — W jego głosie czuć było nutkę samozadowolenia, a gdy raz jeszcze spojrzałem na Rabaha, zobaczyłem ciemną plamą na białych majtkach.

Delikatny powiew od morza przyniósł okropny fetor świeżych ekskrementów.

— Zesrał się? — spytałem z niedowierzaniem — Jak widać, to gówniarz. Szkoda, że już nie ma mózgu. W każdym razie przyznał się do wszystkiego.

— Jak to przyznał się? Jest w to wszystko zamieszany? — zgorszył się Afgan, jakby nie mogąc uwierzyć, że pozwolił sobie krytykować Krzyśka.

— Nawet bardziej niż wam się wydaje. Wciąż zastanawiam się, czy nie zakopać tu gnojka...

— Ale jak...? Co on ma z tym wspólnego? — wypaliłem niemal równocześnie z Michałem — Opowiem wam po drodze.

— Po drodze gdzie?

— Do Barcelony.

NIEWIERNY

12 lutego 2022 roku, Berlin, tereny dzisiejszych Niemiec

Cuchnę zgnilizną...

Czuję, że ON wciąż wypełnia moją zgniłą duszę...

Kim jestem? Po czyjej stronie walczę? Co jest moim celem? Dziś już chyba nikt nie zna odpowiedzi na te pytania. One nie mają sensu, nie mamy wpływu na nasze przeznaczenie. Los świata został przypieczętowany setki tysięcy lat temu. Wtedy, gdy po raz pierwszy pomyśleliśmy, że staliśmy się czymś więcej. Gdy staliśmy się ludźmi.

Czy w ogóle jeszcze nimi jesteśmy? Czy istoty rozumne są w stanie robić sobie takie rzeczy? Kiedyś ktoś dzielił nas na lepszych i gorszych, twierdził, że część nie zasługuje, aby być człowiekiem, stawiał na równi z dzikimi zwierzętami. Nie miał racji, w ogóle nie miał racji. Nawet one, nawet drapieżne bestie bez krzty rozumu i samoświadomości, napędzane jedynie pierwotnym, brutalnym instynktem, nie są w stanie robić takich potworności. Nawet robactwo nie sprawia cierpienia swoim pobratymcom, aby zaspokoić swoje chore żądze, nawet ono lubieżnie nie syci się krzykami rozpacz, drżeniem żon i matek oraz udręczeniem bezsilnych mężów i ojców.

Bo czyż zwierzęta mordują? Nie, zwierzęta zabijają. Wtedy, kiedy muszą, kiedy się bronią lub potrzebują zaspokoić głód. Uśmiercają w zgodzie z odwiecznymi prawami natury.

Ludzkość lubuje się w czym innym Ludzkość morduje. Z pełną premedytacją i świadomością cudzego cierpienia. Ludzkość wyrzyna, szlachtuje, eksterminuje, masakruje, tępi, rżnie, wycina, pali, gwałci... Można by tak długo. Czy kiedykolwiek słyszeliście, aby któreś z tych określeń zostało użyte wobec zwierzęcia? Drapieżcy? Dzikiej bestii?

Kim więc jesteśmy, jakimi potworami się staliśmy? Jakim prawem stawiamy się ponad resztę stworzeń na tej przeklętej planecie? Do jakiego stopnia jesteśmy w stanie usprawiedliwić swoje czyny? Kto nas z nich rozgrzeszy? A co jeśli TEN, który jest dla nas zwierciadłem naszych pragnień, rozgrzeszy nas zanim jeszcze je popełnimy? Co jeśli z premedytacją zacznie pobudzać nasze żądze, przekonywać i zachęcać, że tylko ON jest tym jedynym i należy GO bronić za wszelką cenę, eliminując tych, których serca nie obrosły

jeszcze trującym bluszczem tak obficie?

Co jeśli powie „idźcie i zabijajcie w moje imię”?

Żyliśmy w iluzji...

ON mówił to już od dawna, między wierszami, sącząc jad powoli i cierpliwie. A my poszliśmy, od tysięcy lat ludzie szli i idą po dziś dzień wyznaczonym przez NIEGO szlakiem. Od tysięcy lat jesteśmy JEGO niewolnikami, JEGO żądza z każdym pokoleniem rosła, a ON stawał się silniejszy. Od pierwszego pierwotnego, który uwierzył, żywił się nią, a JEGO apetyt tężał. W miejscu, które uznajemy za matnię cywilizacji, zagnieździł się najgłębiej, przez tysiące lat kamuflując swoją prawdziwą twarz. To tam siał najwięcej swojego zatrutego ziarna, żywiąc się rosnącymi plonami, to tam ewoluował, szukając ujścia dla swojej pierwotnej natury, przez wieki niestrudzenie infekował ludzkie umysły i czerpał siłę z narastającej nienawiści. Ukrył się, pozwalając nam uwierzyć, że zniknął na zawsze. Im dalej od JEGO legowiska, tym bardziej byliśmy pewni, że raz na zawsze zrzuciliśmy pęta, którymi związał naszych prapradziadów. Odrąbiliśmy zwycięstwo, poczuliśmy się panami życia i śmierci. ON jednak wciąż cierpliwie uprawiał swoje pole.

W końcu nasycił się wystarczająco i zrzucił maskę. Szok jakiego doznaliśmy, widząc JEGO przerażające oblicze, zgniłe serce, a zarazem niewyobrażalną potęgę i ilość zainfekowanych przez NIEGO dusz, nie pozwolił uwierzyć, że ON naprawdę istnieje. Jak szaleńcy w kółko powtarzaliśmy, że to nie dzieje się naprawdę, że to tylko nic nieznacząca iluzja, która wkrótce uleci z kolejnym podmuchem wiatru historii. Nie podjęliśmy walki, przestraszyliśmy się, schowaliśmy głowę w piasek, wierząc, że zdołamy GO udobruchać, że jest tylko chorą imaginacją naszych umysłów, którą jesteśmy w stanie utrzymać w ryzach, ugłaskać, w końcu zapomnieć, że kiedykolwiek miała czelność zakłócić nasz uporządkowany świat.

Nigdy nie potrafiliśmy wyciągać wniosków z historii...

Znów popełniliśmy grzech niewysłowionego zaniechania...

Ogromny głód w końcu został zaspokojony, a wtedy ON zuchwale zaatakował i spuścił ze smyczy swoje najwierniejsze psy. Postanowił uderzyć z pełną mocą i stworzył monstrum, które wznieciło pożar nienawiści. W duszach JEGO wyznawców w końcu zakwitł długo dojrzewający owoc. Pierwotne zło o niewyobrażalnej potędze skruszyło ostatni mur, a ON przejął

ich ciała we władanie. Ponury zniwiarz nareszcie zaczął zbierać plony.

Już wiem, że nie jesteśmy w stanie GO pokonać. Nienawiść, którą się karmi, jest bardzo zaraźliwa. Rozprzestrzenia się jak śmiertelny wirus, a następnie aktywuje w ciele nosiciela. To jego największa siła, najpotężniejsza broń. Dziś jest już w każdym z nas, tak naprawdę była od wieków noszona w genach przez kolejne pokolenia. ON dał iskrę, która roznieciła pożar.

Dlatego w tej wojnie nie będzie zwycięzcy. ON nigdy nie zginie, jak karaluch przeżyje wszystko, przetrwa w ostatnim z nas.

My możemy tylko walczyć o każdy kolejny dzień. ON i tak wygrał.

Czuję na policzku JEGO cuchnący oddech, zawsze GO zdradza, gdy się zbliża. Czas chwycić za broń. Nadchodzą JEGO siepacze.

Dziś ziemia znów spłynie krwią. Niech się nią nasyci.

MONDRAGON

27 sierpnia 2022 roku, Barcelona, Hiszpania

Noc była ciepła. Juan Mondragon leżał nago w wynajętym pokoju hotelowym przy słynnej La Ramblí, próbując odstresować się po ciężkim dniu pracy. Zza okna dochodziły odgłosy ulicznego zgiełku, a w telewizji emitowali mecz słynnej FC Barcelony, której jako rasowy madridista szczerze nienawidził, ale regularnie oglądał, bo — jak zawsze powtarzał mu ojciec — wroga trzeba znać. Specjalnie nie skupiał się na ekranie niewielkiego telewizora, z którego ledwo słyszalnie sączył się komentarz lokalnego dziennikarza. Chciał w końcu doznać orgazmu i odprężyć się przed pójściem spać. Dlatego mocniej chwycił za włosy ciemnoskórą prostytutkę i docisnął jej głowę w dół, sugerując, aby postarała się trochę bardziej.

Eliza — bo tak na wejściu przedstawiła się kobieta — wsunęła penis aż do gardła i wyuczonymi ruchami zaczęła go pieścić agresywniej. Mondragon jeszcze przez chwilę skupiał się na pełnych ustach kochanki, aby po chwili z głośnym jękiem zadowolenia wypełnić je spermą. Poczuł, jak zalewa go fala błogości, choć ani na chwilę nie puścił kosmyków czarnych włosów. Dopiero po dłuższej chwili poluzował uchwyt i uśmiechnął się do wciąż jeszcze pieszczącej jego jądra Elizy.

— Dzięki — rzucił krótko i zupełnie puścił czarny pukiel. — Znasz się na rzeczy, mała — dodał i zasugerował gestem, żeby zeszła z łóżka.

Co prawda zapłacił za całą godzinę, ale nie miał ochoty na seks, był zbyt zmęczony. Dobrze wykonana laska w zupełności mu wystarczała, aby spokojnie zasnąć i nie myśleć o znoju minionych i przyszłych dni. Czuł się odprężony, przynajmniej w tej chwili.

Eliza kiwnęła głową na znak, że przyjmuje ten lichy komplement, i wyszła do toalety, a Mondragon znów skupił się na meczu. Doświadczony Neymar właśnie pędził lewym skrzydłem, minął jednego rywala, potem następnego, ale bezkompromisowy wślizg trzeciego obrońcy zatrzymał rajd Brazylijczyka i piłka została wyekspediowana poza boisko. „Barca” prowadziła z FC Sevillą tylko jeden do zera i wynik wciąż był sprawą otwartą. Mondragon pomyślał, że może jeszcze poprosi Elizę o masaż pleców, ale zrezygnował z pomysłu. Mecz zbliżał się do końca, a on chciał się wyspać, bo rano czekała go masa gównianej roboty. Dziewczyna już zrobiła swoje i mogła iść szukać kolejnego klienta, których na La Ramblí nie brakowało.

Gdy o tym pomyślał, akurat wyszła z toalety, wciąż tylko w czerwonym staniku. Miała szerokie biodra i wielki tyłek. Fałdki tłuszczu trzęsły się na jej pośladkach, udach i talii, podobnie ogromne piersi, których kształt — gdyby tylko zostały uwolnione z biustonosza — z pewnością pozostawiał sporo do życzenia. Usiadła na krześle i sięgnęła do torebki po papierosa.

— Długo tu będziesz? Bo jakby co, to wiesz... — zagadnęła, gdy zaciągnęła się po raz pierwszy.

— Jeszcze parę dni — odparł Mondragon, nie odwracając oczu od ekranu.

— Jak chcesz, to dam ci swój numer, bo nie zawsze jestem dostępna na ulicy...

— Zostaw na stole.

Eliza wyciągnęła coś na wzór wizytówki i położyła na okrągłym, szklanym blacie. Dyskretnie zerknęła na elektroniczny zegarek przy szafce nocnej, co Mondragon natychmiast wychwycił, choć nie dał tego po sobie poznać. Lubił tak drażnić się z ludźmi i obserwować ich reakcje. Wiedział, że — jak by tego nie nazwać — honor dziwki nie pozwala jej pierwszej zasugerować końca „randki”, która została opłacona jeszcze za kolejne ponad dwadzieścia minut. Jasne było też to, że on — co jako doświadczona i dyplomowana prostytutka Eliza na pewno wyczuwała — nie oczekuje już więcej usług z jej strony. Pytanie brzmiało, czy dziewczyna ma ochotę trochę odpocząć i poczeka do końca, czy woli wyjść wcześniej i liczyć, że szybciej trafi następnego klienta. Znowu pomyślał o tym masażu. Może to jednak nie taki zły pomysł?

Gdy już chciał zmienić zdanie, dobry humor zepsuł mu Neymar, który po podaniu ze środka pola podwyższył na dwa do zera, czym praktycznie przypieczętował zwycięstwo Barcelony. Mondragon zaklął pod nosem i wyłączył telewizor.

— Możesz się ubrać — burknął w nerwach, a Eliza niemal natychmiast chwyciła wiszące na krześle majtki i czym prędzej je założyła.

Chwilę później miała już na sobie obcisłą białą sukienkę, tak krótką, że odkrywała nie tylko uda, ale i dolną część obfitych pośladków. Naciągnęła ją jak tylko mogła i poprawiła obcasy, stukając nimi o podłogę.

— Pomożesz mi? — Prostitutka odwróciła się tyłem i eksponując nagie plecy, zasugerowała, aby Mondragon zapiął jej zamek.

— Pewnie, skarbie — odparł, głośno wypuszczając powietrze i niechętnie podniósł się z łóżka.

Eliza wciągnęła brzuch, a on z trudem zapiął suwak sukienki aż pod

łopatki.

— Dzięki za drinka, wielkoludzie — rzuciła i odwróciwszy się w jego stronę, zalotnie się uśmiechnęła. — Gdybyś chciał jeszcze jutro albo kiedyś... Wiesz, może w tyłek albo coś...? — Uniosła brwi w geście zachęty.

— Mam twój numer i dam ci znać.

— Kolegów też możesz zaprosić...

— Nie psuj na koniec tego sympatycznego spotkania, Eliza — odparł nieco poirytowany Mondragon. — Dzięki za zajebistą laskę. Zadzwoń, jak będę w potrzebie, a teraz idź już.

— To ja dziękuję. — Czarnoskóra prostytutka wydeła pełne usta, puszczając mu buziaka, i wyszła z pokoju.

Oficer został sam Chwycił pilot i z nadzieją znów włączył telewizor, ale właśnie pokazywali powtórkę gola na trzy do zera, autorstwa polskiego napastnika, Arkadiusza Milika, którego Barcelona sprzątnęła sprzed nosa ukochanemu Realowi Madryt, wykupując go z włoskiego SSC Napoli. „Jak zwykle zresztą” — pomyślał i westchnął ciężko, po czym sięgnął po butelkę z resztką ciepłego już piwa i przechylił ją do dna. Skrzywił się, nie było już smaczne, wręcz odrzucało. Ostatnie spojrzenie na ekran — na zegarze odmierzającym czas spotkania widniała już osiemdziesiąta czwarta minuta i było pozamiatane.

— Ech, człowiek nie może mieć wszystkiego — wymamrotał pod nosem i wyłączył telewizor, bez nadziei na zmianę wyniku na niekorzyść Katalończyków.

Odstawił pustą butelkę i gdy już miał zbierać się do łazienki, aby wziąć prysznic, leżący obok smartfon zadrżał i niebezpiecznie przesunął się do brzegu stolika nocnego. Dzwonił Jose Manuel Carrasco, kapitan barcelońskiej policji, z którą współpracował przy sprawie. Okropny służbista, a przy tym koszmarny pedant.

— Dobry wieczór, kapitanie, coś pilnego o tej porze?

— Witam, detektywie. Mamy coś, co może pana zainteresować.

— Słucham... — Mondragon przewrócił oczami, gdy zwizualizował sobie chudego jak patyk pięćdziesięciolatka w okularach, z charakterystyczną posrebrzaną siwizną na skroniach. Widział go dwukrotnie i obu spotkań nie wspominał najlepiej. Nigdy z facetem nie poszedłby na piwo.

— Dostaliśmy cynk o białej kobiecie z Europy Wschodniej, najprawdopodobniej Polce, która odpowiada rysopisowi poszukiwanej

Moniki Figurskiej. Widziano ją na Rambla del Raval.

— Otrzymam jakieś wsparcie?

Pytanie należało do oczywistych, dzielnica El Raval od zawsze należała do jednej z najgorszych w mieście. Dziś to pakistańsko-marokańskie getto było siedliskiem patologii, bezprawia i przemocy. Wejście tam bez wsparcia, aby na własną rękę szukać porwanej dziewczyny, ocierało się o samobójstwo. W myślach Mondragona przelatywało tylko jedno słowo — twarde i soczyste „kurwa”.

— Nie, dopóki ta informacja nie zostanie potwierdzona.

— I że niby ja mam ją potwierdzić o północy w tej wylęgarni ekstremistów?

— My tylko panu pomagamy, detektywie. Mamy tu swoje problemy, nie muszę chyba dodawać, że wciąż brakuje nam ludzi.

Mondragon zacisnął zęby, aby nie powiedzieć temu cholernemu słuźbiście, co sądzi o nim i całej tej pieprzonej katalońskiej policji. Nikt w Hiszpanii ichnie lubił. Nadęte buraki...

— Wiadomo coś więcej? Adres, lokal?

— Niestety. Ale pocieszę pana, że ta ulica nie jest długa.

— Wiem, jak wygląda — prychnął nerwowo. — Najgorsza dziura, sami złodzieje, dziwki i alfonsi...

— Tu akurat muszę przyznać panu rację, detektywie Mondragon.

— Macie dla mnie coś jeszcze?

— Na razie tyle. Proszę jutro pojawić się na posterunku, może wywalczy pan coś więcej.

— Jasne... Dzięki za cynk.

Mondragon wyłączył się i zaklął tak szpetnie, jak tylko mógł. Wszystko szlag trafił. Jeszcze przez moment rozważał, czy nie przełożyć tego na następny dzień, ale szybko się z tego wycofał. To by nie było profesjonalne, ani trochę. Zresztą dziwki nie chodzą za dnia, one pracują w nocy. I jeśli gdzieś tam jest Monika Figurska, to teraz był najlepszy czas, aby ją namierzyć. Przy odrobinie szczęścia może jeszcze dziś dopadnie i aresztuje jej porywaczy i morderców Nawal Abi Rabki. Zamknie sprawę, pokaże katalońskim cwaniaczkom środkowy palec i wróci na stare śmieci. Barcelona przyprawiała go o mdłości.

Po raz ostatni włączył telewizor. FC Barcelona—FC Sevilla 4:0.

Kurwa jego mać!

MONIKA

Z pamiętnika porucznik Moniki Figurskiej, pseudonim „Ghula”

Szósty dzień niewoli, 2023 rok, Barcelona, Hiszpania

Tego ranka obudziłam się cała obolała. Adrenalina, która buzowała w moich żyłach od początku porwania, najwyraźniej zaczęła puszczać. Wczoraj w końcu nikt mnie nie zgwałcił ani nawet nie molestował, a wieczorem Amir przyniósł mydło, gąbkę i wiadro z wodą, abym mogła się obmyć. Może dlatego tak się czułam? Nie wiem, ale dziś miałam wrażenie, jakby ktoś oplótł moje ciało ciernistym krzewem róży, żeby nie powiedzieć: drutem kolczastym. Każdy ruch powodował ból, każdy dotyk sprawiał, że skóra paliła żywym ogniem. Gdy Amir przyniósł mi kawałek chleba z kozim serem, nie byłam w stanie przełknąć ani kęsa.

Od czasu, gdy zwyzywał mnie od dziwek, widziałam go kilka razy. Regularnie przynosił mi jedzenie i wodę. Raz nawet chyłkiem poczęstował mnie kubkiem gorącej herbaty, była bardzo mocna i słodka, ale pyszna. Dziwnie się wtedy zachowywał, jakby bał się, że zostanie przez kogoś nakryty. Czy sam wpadł na ten pomysł i lękał się gniewu ojca? Nie wiem, ale widziałam w jego oczach coś więcej, tak jakby traktował mnie inaczej, nie jak zwierzę lub niewolnicę, ale jak człowieka. Gdzieś za tymi pięknymi brązowymi oczami kryły się pokłady głębokich uczuć, jakby jeszcze nie do końca skażone plugastwem tego świata, świata jego ojca i braci. Kilka razy próbowałam go zagadnąć, ale wtedy zazwyczaj zamykał się w sobie, czasem nawet uciekał. Raz — wtedy gdy przyniósł mi gorącą herbatę — udało mi się skruszyć mur.

— Mam na imię Monika — przełamalam się, gdy wzięłam drugi łyk pysznego napoju. — A ty jak masz na imię? — Oczywiście znałam je, ale musiałam jakoś zacząć.

Amir spojrział mi w oczy, ale zawstydzony zaraz spuścił wzrok. Nie wyzwał mnie od dziwek, tylko niepewnie burknął:

— Amir.

— Piękne imię. Czy coś znaczy?

— Książę — odburknął pod nosem, wciąż wpatrując się w podłogę.

— Moje imię oznacza samotna — kontynuowałam — Czuję się teraz

bardzo samotna, wiesz, Amirze?

Chłopak milczał, ale w jego oczach dostrzegłam dziwny błysk. Chwilę później po policzku spłynęła mu łza, którą natychmiast wytarł rękawem — Ty dziwka, dziwka! — krzyknął i rozpłakał się, po czym wybiegł z piwnicy.

Ugryzłam się w język, niepotrzebnie wywierałam na nim presję. Co to dziecko miało odpowiedzieć? Głupia byłam. Na szczęście, po kilku minutach wrócił. Wszedł z podniesioną głową i bez słowa stanął koło mnie, wpatrując się przed siebie. Jego zacięty wyraz twarzy nawet lekko mnie rozbawił, widziałam, że walczy sam ze sobą i chce pokazać, że jest twardym i nieustępliwym mężczyzną. Pozwoliłam mu tak się poczuć i pokornie oddałam pusty kubek.

— Dziękuję, Amirze, jesteś bardzo miły — rzekłam, tak ulegle, jak tylko potrafiłam. Chłopak nie zareagował, po prostu wziął go i bez słowa wyszedł. Gdy opuszczał pomieszczenie, widziałam, że się ucieszył. Dziecko potrafi mówić każdym swoim gestem..

Dziś Amir stał nade mną, choć tym razem z pełną powagą w oczach. Znów miał na sobie ten czerwony kapelusik, w którym wyglądał doprawdy uroczo. Gdy zauważył, że nie jestem zainteresowana jedzeniem, dostrzegłam na jego twarzy zakłopotanie. Zaczął dziwnie poruszać ustami i marszczyć brwi. Coś go gryzło. Nagle pochylił się.

— Jedz — powiedział i delikatnie przysunął kubek z wodą i talerz z kromką chleba oraz kawałkiem wysuszonego sera. — Musisz jeść i pić.

Zaskoczył mnie swoim zachowaniem. Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek pierwszy rozpocznie jakąkolwiek rozmowę. Uśmiechnęłam się i nie zważając na ból w przełyku, ugryzłam dwa kęsy i popiłam wodą. Na początku wydawało mi się, że to było złudzenie, ale gdy tylko znów uniosłam wzrok, dostrzegłam, jak kąciki jego ust nieco się uniosły. Amir uśmiechnął się do mnie.

— Bardzo dobre jedzenie — podłapałam — Dziękuję ci, Amirze.

— Jedz do końca, szybko — odparł.

W jego głosie wyczułam coś, co w tym miejscu zdawało się nierealne i kompletnie absurdalne — troskę.

— Dlaczego szybko? — zaryzykowałam pytanie.

— Dziś praca. Zaraz przyjdzie pani i cię przygotowuje.

— Jaka... pani? — Ostatnie słowo ledwo przeszło mi przez gardło. Sama nie wiedziałam, czy ta wiadomość mnie ucieszyła, czy przeraziła.

— Jedz szybko, nie ma czasu — ponaglił mnie i gdy tylko przechyliłam kubek do dna, niemal wyrwał mi go z ręki.

Gdy chwycił talerz, na schodach usłyszałam kroki. Były inne niż zwykle. Poczułam, jak moje obolałe ciało przeszywa zimny dreszcz. Kto tym razem?

Drzwi się otwały i do piwnicy weszła kobieta w czarnym nikabie, w rękach niosła skórzaną torebkę, a pod pachą niewielkie fioletowe pudełko. Amir wystrzelił jak z procy i zanim się zorientowałam, zniknął na schodach. Wtedy znów pękłam i się rozbeczałam. Tak strasznie mi go brakowało...

Gdy po kilku chwilach zebrałam się w sobie i podniosłam głowę, kobieta w nikabie klęczała przy mnie i patrzyła. Niestety, pomimo tego, że bardzo tego pragnęłam, w jej oczach nie było ani współczucia, ani litości, ani jakiegokolwiek uczucia mogącego sprawić, abym znów uwierzyła. Jej wzrok był zimny jak lód, oczy o kolorze ciemnego mahoniu świdrowały każdy centymetr mojego ciała, jakbym była jakimś towarem na sprzedaż. Ona oceniała moją przydatność i wartość. Boże...

— Błagam, pomóż mi... — wydusiłam z siebie glosem pełnym rozpacz. Podobno tonący brzytwy się chwytą — ci, co tak mówią, mają cholerną rację.

— Milcz, niewolna — syknęła.

— Ale błagam panią, ja...

— Milcz, bo każę cię wychłostać, niewierna! — warknęła groźnie, a jej oczy zapłonęły niewysłowioną pogardą.

Zamilkłam, próbując stłumić w sobie kolejny wybuch płaczu. Trzęsłam się jak osika, byłam bezbronna, czułam się jak ranna łania wśród stada głodnych wilków. Tak jak ona nie miałam najmniejszych szans, byłam skazana na ból i cierpienie do ostatniego tchnienia. Tak naprawdę już umarłam. Już nie żyłam. Tak bardzo bym chciała zamknąć oczy i już nigdy ich nie otworzyć...

— Spójrz na mnie! — rozkazała nieznajoma.

Uniosłam głowę i lęklonie otworzyłam zażawione powieki. Dookoła stały już rozstawione kosmetyki: perfumy, cienie do oczu, tusze do rzęs, jaskrawe szminki. Kobieta w nikabie już trzymała w dłoni pędzelek i po chwili zaczęła nakładać mi puder.

KUBA

28 sierpnia 2022 roku, autostrada nr 7, na wysokości Walencji, Hiszpania

Obudziły mnie promienie słońca, które chytrze zaczęły zakradać się do wnętrza samochodu. Z Murcji wyjechaliśmy około czwartej nad ranem Rabaha zostawiliśmy, nagiego i ze związanymi rękami, na środku pustkowia. Pewnie w ciągu kilku godzin, góra trzech, dotarł do najbliższej drogi, ale nie baliśmy się, że nas sypnie. Przynajmniej tak twierdził Krzysiek, a nam nie pozostawało nic, jak tylko mu zaufać. W końcu chłop znalazł się na tej robocie. Półgębkiem wspomniał, że facet jest w to zamieszany, ale wszystko powie nam w drodze do Barcelony. Choć mnie korciło, nie cisnąłem go w tym temacie. Afgan też odpuścił, tym bardziej że czuł przed potencjalnym szwagrem większy respekt. Może Figur chciał sobie w giowie coś jeszcze poukładać?

Zanim opuściliśmy Murcję na dobre, zajechaliśmy jeszcze do rudery, w której Muhammad z synami zamordowali Nawal i chcieli zabić nas. Wątpiłem, aby Krzysiek mógł z tej wizyty wynieść jakieś konkretne wskazówki i pewnie gdyby ten pustostan nie znajdował się po drodze na „siódemkę”, to w ogóle byśmy do niego nie wracali. Wróciliśmy jednak, a ja przeżyłem paskudne „deja vu”.

Drzwi wciąż były oklejone policyjną taśmą, ale nikt już nie pilnował miejsca zbrodni, więc spokojnie mogliśmy spenetrować budynek. Pamiętam, że serducho kołatało mi jak serce dzwonu, a za każdym razem, gdy światło mojej latarki padało na podłogę, ścianę czy jakieś stare meble, miałem wrażenie, że ujrzę tam rozpływającą się twarz mojej arabskiej księżniczki. Momentami byłem naprawdę przerażony, ale na szczęście po jakimś czasie udało mi się opanować paranoidalne wizje i jakoś dotrwałem do końca tej traumatycznej wizji lokalnej. Same poszukiwania — tak jak podejrzewałem — okazały się bezowocne. Krzysiek pytał nas tylko, gdzie dokładnie leżeliśmy, w jakich pozycjach, pytał o chronologię wydarzeń. Wizyta w ruderze trwała — jak się później okazało — zaledwie kilkanaście minut, choć dla mnie czas nie był tak łaskawy. Miałem wrażenie, że siedzieliśmy tam całymi godzinami. Dosłownie godzinami! Nie spodziewałem się, że tak mocno to przeżyję, w pewnym momencie nawet się popłakałem, gdy ujrzałem na betonowej posadzce ślady krwi mojej ukochanej. Nie mogłem zrozumieć, że do tej pory

tego nie posprzątali...

Spojrzałem na zegarek, dochodziła szósta rano. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, kiedy odpłynąłem, wsparty o szybę. Gdy się obudziłem, różnica była tylko taka, że za kółkiem siedział Michał, a Krzysiek lekko pochrapywał na miejscu pasażera. Przetarłem oczy i przeciągnąłem dłonią po szyi. Skóra na bliźnie była giadka, ale napięta. Wyraźnie potrzebowała nawilżenia, więc szybko wyciągnąłem z plecaka maść (w środku znajdowało się też kilka ciuchów na zmianę, kosmetyki i mały prowiant) i delikatnie ją rozsmarowałem, a następnie wklepałem w okolice wciąż przecież gojącej się rany. Chwilę później wziąłem kilka łyków wody.

— Gdzie jesteśmy? — spytałem kierowcy.

— Właśnie minęliśmy Walencję. Do celu mamy jeszcze ze trzy godziny, może trochę więcej.

— Zmienić cię?

— Nie, spoko, też przełamalem się trochę. Zmieniliśmy się z Figurem całkiem niedawno, gdy spałeś.

— Jak chcesz, ale mógłbyś gdzieś stanąć, bo muszę się odlać.

— Za niecałe dziesięć kilometrów będzie stacja, to się zatrzymamy.

W sumie to i tak musimy zatankować, a do tego wypiłbym jakąś kawę.

Odwróciłem się w kierunku okna. Akurat jechaliśmy kawałkiem autostrady na niewielkim wzgórzu, z którego widać było wschodzące nad morzem słońce. Jego promienie skrzyły się na spokojnej tafli jak tysiące rozsypanych brylantów, ich blask wręcz oślepiał. Zsunąłem z giowy ciemne okulary i przykleiłem policzek do szyby.

Zanim się obejrzałem, samochód zatrzymał się na stacji benzynowej. Otworzyłem drzwi i od razu uderzył mnie gorący podmuch. Sierpniowe słońce prażyło niemiłosiernie, mimo że dopiero niedawno wyłoniło się zza horyzontu. Przeciągnąłem się, w tym czasie Michał obszedł maskę land cruisera.

— Zatankuję, a ty skocz po jakieś kawy — zaproponował.

— Figur twardo śpi, bo nie wiem, czy mu kupować?

— Weź mu też.

W tym momencie okno toyoty lekko osunęło się w dół.

— Podwójna czarna z dużą ilością cukru — wybrzmiał bas z wnętrza pojazdu.

— Czyli ile tych łyżeczek? — dopytałem, niemal wsadzając nos w uchyloną szparę pomiędzy szybą i nadwoziem — Przynajmniej cztery, jak

kawa będzie bardzo duża to sześć.

Nie rozumiałem, jak można pić kawę z taką ilością cukru, sam nie słodziłem od lat, dzięki czemu mogiem delektować się prawdziwym smakiem. Z drugiej strony duża ilość cukru dawała człowiekowi kopa zaraz po przebudzeniu. Może taki był zamysł Krzyśka? Postanowiłem, że w związku z tym kupię sobie batonik.

Wysikałem się i zamówiłem trzy kawy na wynos oraz po czekoladowym batoniku dla każdego. Pomyślałem, że nie będę obzerał się sam Chłopaki najwyraźniej musieli odlać się przy zmianie kierowcy, bo żaden z nich nie zdecydował się odwiedzić toalety, więc czym prędzej ruszyłem w stronę samochodu. Michał zapłacił kartą przy dystrybutorze i zaraz po mnie wszedł do pojazdu. Krzysiek właśnie przecierał oczy. Rozdałem wszystkim po kawie.

— Możemy jechać? — spytał nieco retorycznie Michał.

— Tak — niemal równocześnie odpowiedzieliśmy ja i Figur.

Prawie sześciolitrowy silnik V8 cicho mruknął i wróciliśmy na autostradę numer siedem — Jaki masz plan? — zwróciłem się do Krzyśka po krótkiej chwili ciszy.

— Jest duża szansa, że Monika wciąż jest w Barcelonie. Znam tam jednego faceta, to stary przyjaciel z Legii. Nazywa się Franco i jest Włochem. On nam pomoże na miejscu, jestem przekonany, że już rozpuszcza wici. Poza tym zorganizuje nam broń.

— Broń? — dopytałem — Przecież umiesz strzelać — odparł Krzysiek.

Kiedyś pasjonowałem się strzelectwem i miałem epizod jako zawodnik jednego z zielonogórskich klubów sportowych, słynnej, mającej na koncie medalistów olimpijskich Gwardii.

— No umiem, ale to co innego — odparłem, nieco zbity z tropu.

— Gnat to gnat, poradysz sobie. Afgana też szybko przeszkolę.

— No nie wiem... — zaczął niepewnie Michał. — Też kiedyś strzelałem, ale nie o to tu chodzi. Stary, no, kurczę... Nie jestem jakimś bandytą.

— Ty nie, ale oni tak. Czującymi słówkami i poklepywaniem po plecach ich nie pokonasz. Zrozum to wreszcie, jeśli chcesz dalej brać w tym udział. Zabijając Nawal i porywając Monikę, wypowiedzieli nam wojnę, a na wojnie się strzela. Taki jest ten pieprzony świat.

— Masz rację, przepraszam — odparł Michał po krótkiej chwili milczenia, w jego oczach ujrzałem, że to było bardzo szczere. — A skoro już rozmawiamy o planach... — Zawiesił na chwilę głos. — Wciąż nie

powiedziałeś nam, co dokładnie wyciągnąłeś od Rabaha...

Krzysiek wziął porządny łyk kawy, który jakimś cudem nie oparzył mu przełyku. W radiu leciał akurat jakiś wesoły hiszpański utwór, który nijak miał się do zaistniałej sytuacji. Figur wyłączył odbiornik i poprawił się w siedzeniu.

— Rabahto gówniarz, ale nie taki głupi, na jakiego wygląda — zaczął Krzysiek. — I z jego punktu widzenia nie zrobił nic złego. Po prostu poinformował rodzinę o „zaginionej” córce, a dodatkowo trochę na tym zarobił.

— On ich po-in-for-mo-wał? — zapytałem z niedowierzaniem i od razu pozałowałem, że nie zakopaliśmy go na tym cholernym pustkowiu.

— Tak, przez Internet. Zrobił to, co każdy porządny muzułmanin, w jego mniemaniu oczywiście, zrobić powinien.

— Czyli, kurwa, co?! — Coraz trudniej było mi utrzymać nerwy na wodzy.

— Zobaczył ładną muzułmankę, która nie stosuje się do praw zawartych w Koranie i wrzucił jej zdjęcie na www.trackyourwife.com To taki portal społecznościowy dla muzułmanów, ostatnio stał się niezwykle popularny i ma już miliony użytkowników. Coś wam mówi ta nazwa?

— „Wytrop swoją żonę”, ale przecież Nawal...

— No tak, ona zamężna nigdy nie była, ale portal, który kilka lat temu był nakierowany na szukanie żon, które uciekły od mężów, został rozbudowany i dodano w nim wiele nowych opcji. Można de facto znaleźć każdą dziewczynę. Wystarczy, gdy mąż, ojciec czy brat wrzuci na portal zdjęcie poszukiwanej żony, córki czy siostry, a ktoś w świecie zrobi fotkę takiej osobie i również wgra ją na www.trackyourwife.com Strona jest wyposażona w moduł, który natychmiast analizuje rysy twarzy i potwierdza bądź nie, czy na obu zdjęciach jest ta sama osoba.

— I to zrobił ten Rabah?

— Dokładnie, wspólnie z tym swoim kumplem Karimem Gdy program porówna rysy i potwierdzi zgodność, którą oczywiście można jeszcze uwierzytelnić wpisywanymi danymi, jak wiek, wzrost, kolor oczu czy znaki szczególne, obie strony dostają wiadomość, że postać na zdjęciach to ta sama dziewczyna. Wtedy mogą zacząć pertraktacje odnośnie do ceny za ujawnienie miejsca pobytu poszukiwanej kobiety. Rabah wziął za to trzy tysiące euro. W gotówce.

Milczałem Przez moją giową przelatowała masa pytań bez odpowiedzi.

Czy wszystkiemu winien był Rabah? Czy ten mały, pieprzony Arabek jednym zdjęciem zniszczył cały mój świat? Czy Nawal zginęła przez niego?

— Pierdolony... jebany w dupę kozojebca. Dlaczego skurwysyna nie... ?

— Już wiesz, dlaczego nie chciałem wam powiedzieć wszystkiego od razu? — Figur nie dał mi dokończyć.

Poczułem, jak krew zaczyna mi się gotować w żyłach. Nie wytrzymałem i eksplodowałem milionem przekleństw. Po policzkach znów pociekły łzy.

— Nie on ją zabił, Kuba. Rabah to gówniarz, który nie do końca mógł sobie zdawać sprawę, do czego się przyczynia. Teraz są setki, tysiące, ba, dziesiątki tysięcy podobnych do niego domorośłych łowców hańbiących islam kobiet. W jego mniemaniu robił dobrze...

— Przynajmniej ty przestań pieprzyć głupoty! — warknąłem i odwróciłem wzrok w kierunku okna.

Za szybą rozciągał się górzysty krajobraz pasma Sierra d'Irta. Zgarnąłem z policzków kilka łez i nieświadomie przyłożyłem pięść do ust, poczułem ich słony smak. Pomyślałem, że pociągam nosem jak smarkacz, któremu zabrano lizaka. Przez kilka kolejnych chwil po prostu tępo gapiłem się za szybę. Widok porośniętych krzewami i karłowatymi drzewami wzgórz pozwolił mi nieco się uspokoić.

— Przepraszam, poniosło mnie — przyznałem Chłopaki nic nie odpowiedzieli, ale jestem pewien, że rozumieli mój ból.

— A skąd wiedziałeś, że Rabah kłamie? — zagadnął trochę z innej beczki Michał, który od dłuższego czasu milczał, skupiając się na prowadzeniu samochodu.

Krzysiek przygryzł dolną wargę i lekko się zamyślił.

— Wiecie co to jest *takijjal* — spytał po chwili.

— Co takiego?

— *Takijja*, to po arabsku.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział Michał, a ja przytaknąłem.

— To pewna domena... może lepsze słowo to „strategia”, pozwalająca oszukiwać niewiernych w celu ochrony islamu i muzułmanów. Kłamstwo jako takie jest potępiane przez Koran, ale w przypadku, gdy dany wyznawca jest w niebezpieczeństwie lub ma szansę na podstępne szerzenie swojej wiary, może kłamać na wszelkie możliwe sposoby. Ma pozwolenie przysięgać na Koran, na Allaha i Mahometa i jeśli robi to, aby uniknąć krzywdy lub na rzecz dobra islamu, krzywoprzysięstwo nie będzie grzechem. Muzułmanie

w dzisiejszych czasach regularnie stosują *takijję* wobec niewiernych, choćby powtarzając takie wierutne bzdury, jak to, że islam to religia pokoju, że zakazuje bicia kobiet czy zabijania niewiernych. Każdy, kto choć odrobinę interesuje się tematem, doskonale wie, że to kłamstwa mające na celu ukrywanie ciemnej strony tej religii. W Koranie i Sunnie jest mnóstwo wersetów potwierdzających powyższe, które są dowodami nie do obalenia. Ale do czego zmierzam... — Krzysiek wziął solidny łyk kawy i kontynuował: — Wielokrotnie miałem do czynienia z islamskimi radykałami, którzy próbowali mnie wykiwać. Ogólnie w większości przypadków potrafię poznać, czy ktoś kłamie, czy nie. Wiecie... ruchy żrenic, mimika twarzy, pot, nawet odmienny zapach — byłem szkolony w zakresie przesłuchiwania więźniów. Od razu wyczułem, że ten młody coś ukrywa, a gdy zaczął wypierać się głębokiej wiary i przysięgać na Allaha i Koran, byłem już pewny, że nie tylko kłamie, ale jest w to w jakimś stopniu zamieszany.

— Przyznam, że był przekonujący... — burknął pod nosem Michał.

— Czyż nie? — nieco triumfalnie spytał Krzysiek. — Mógłby tak płakać i przysięgać na Allaha całą noc. Klasyczna *takijja*, na którą nabiera się większość naiwnych i nierozeznanych w prawach i zasadach islamu ludzi Zachodu.

— A czym go w końcu przekonałeś?

— Powiedzmy, że mam swoje sposoby.

— Kurwa, Krzychu...

— Gdy poszliście się odlać, to wyciągnąłem nóż i pokazałem tatuaż Legii. To Algierczyk, więc doskonale wie, kim są i co robią legionieści. Następnie powiedziałem, że znam wszystkie jego sztuczki, bo moją pracą jest tępienie islamskich radykałów. W końcu zagroziłem, że utnę mu jaja i wepchnę do gardła, a potem wsadzę go do wnętrza wypatroszonej świni i zakopię na tym pustkowiu. Wtedy się zesrał.

— Masz do nich podejście... — Michał zachichotał.

— Potem już poszło łatwo. Opowiedział mi wszystko bardzo szczegółowo. Niestety, mówił prawdę co do tego, że nie ma do Abi Rabfi żadnego kontaktu, gotówkę odebrał od niego we wcześniej umówionym miejscu. Usłyszał natomiast, gdy jeden z jego synów rozmawiał przez telefon i mówił coś o powrocie do Barcelony. Stąd można wnioskować, że mają tam swoją bazę, być może prowadzą nawet jakieś interesy, tym bardziej że stolica Katalonii jest teraz największym skupiskiem muzułmanów nie tylko

w Hiszpanii, ale w całej południowej Europie. To co mnie jednak zestresowało najbardziej, to fakt, że Rabah usłyszał też coś o Paryżu, a to jest dla nas dużo gorszą informacją.

— Paryż?

— Najniebezpieczniejsza metropolia Europy, gdzie muzułmanie w zasadzie przejęli miasto, zastraszając władzę kolejnymi rozruchami. Pamiętacie dwudziesty pierwszy?

— Rząd wyprowadził na ulice wojsko — rzuciłem bez większych emocji, choć doskonale pamiętałem te straszne wydarzenia, które wstrząsnęły całym światem. To był największy zamach w historii Starego Kontynentu, porównywalny jedynie do ataku na World Trade Center w Nowym Jorku. Na stadionie Stade de France podczas meczu gospodarzy z Niemcami wybuchły cztery bomby, zabijając blisko sześciuset kibiców, kolejnych ośmiuset zginęło, tratując się nawzajem podczas panicznej ucieczki. To był szok i wybrany kilka miesięcy wcześniej prawicowy prezydent w akcie desperacji postanowił w końcu rozprawić się z ekstremistami raz na zawsze. Wyprowadził na ulice miasta wojsko w sposób nie do końca przemyślany, niemalże szturmując kolejne dzielnice. Niestety, trafił na niespodziewany i bardzo ostry opór, setki tysięcy muzułmańskich mieszkańców stanęło w obronie swoich praw, wzniesząc zamieszki, które dziś nazywamy powstaniem paryskim. Ponad cztery tysiące ofiar, kilka razy więcej rannych, zabici policjanci, żołnierze, zdewastowane setki komisariatów, szkół i urzędów, nie wspominając o sklepach, kawiarniach czy restauracjach. Spłonęło kilkadziesiąt tysięcy samochodów, a nawet kilka kościołów, z których jeden został dosłownie wysadzony w powietrze. Blisko dwa miliony muzułmanów to potężna siła, która pokazała, że nie da się stłamsić ani nie pozwoli na ograniczenie swobód obywatelskich, które zostały wcześniej wywalczone.

— I nawet wojsko nie dało sobie rady i rząd musiał pójść na dalekie ustępstwa, aby nie wywołać wojny domowej, bo Marsylia, Lyon i Tuluza też zapłonęły — mówił Krzysiek. — Paryż uległ wtedy szantażowi, poddał się, wskutek czego tylko rozzuchwalił muzułmanów, którzy de facto stali się największą siłą w stolicy Francji. Dziś to mekka wyznawców islamu, a tym samym wszelkiej maści radykałów, włącznie z bojownikami Państwa Islamskiego, którzy z łatwością mogą ukryć się wśród braci w wierze. Nie możemy pozwolić, aby Abi RabFa tam dotarł, bo... Po prostu nie możemy. — Figur zacisnął pięść, aż zatrzeszczały mu ścięgna.

— Ale czy granica z Francją nie jest zamknięta? — zagadnąłem, choć było to pytanie z gatunku tych retorycznych, bo każdy, kto choć trochę orientował się w sytuacji geopolitycznej, wiedział, że strefa Schengen po kryzysie migracyjnym praktycznie przestała istnieć.

— Od trzech lat, ale co to daje? Na drogach masz szlabany, ale pogranicznicy nie są w stanie chronić całej jej długości. To po prostu niewykonalne, a trzeba wziąć pod uwagę, że wciąż brakuje kadr, bo nikt nie chce narażać się za marne grosze. Przemysł, szczególnie żywego towaru, który stał się w ostatnich latach najbardziej dochodowy, kwitnie w najlepsze.

— Ostatnio czytałem, że w Szwecji Bractwo Proroka w pierwszym starciu w wyborach zdobyło prawie trzydzieści procent głosów i jest już drugą siłą w parlamencie — wtrącił się Afgan. — Tam też sytuacja robi się napięta.

— Szwecja to wyjątkowy przypadek, gdzie głupota rządzących przekroczyła wszelkie granice, a kraj z każdym kolejnym dniem dąży do samozniszczenia. Niestety, w innych państwach wcale nie jest dużo lepiej, choć one przynajmniej próbują coś zrobić. Belgia i Holandia całkowicie zamknęły granice i robią, co mogą, aby wprowadzać ograniczenia dla imigrantów spoza Unii, gdyż siedemdziesiąt procent rodzących się dzieci jest z rodzin muzułmańskich, a mniejszość islamska zbliża się już do krytycznego punktu, w którym wkrótce może zamienić się w większość. Ostatnio doszło do sporych zamieszek, gdy pojawił się pomysł ograniczenia opieki socjalnej, oczywiście nie obyło się bez ofiar, choć rząd znów musiał wycofać się w obawie przed powtórką z Paryża. W Niemczech też liżą rany po ubiegłorocznym zamachu w metrze. Dwie bomby, dwieście dwanaście ofiar — to wszystko spowodowało, że nawet tam zaczęto szukać jakiegoś rozwiązania, ale każda próba ograniczenia praw muzułmanów kończy się kolejnymi zamachami albo zamieszkami. W większych miastach Anglii, która kilka lat po Brexicie wzięła się za imigrantów bez pardonu, regularnie dochodzi do starć pomiędzy chrześcijanami i wyznawcami Allaha. Europa zaczyna przypominać pieprzone pole bitwy. I najgorsze jest to, że nikt nie wie, jak wybrnąć z tego ślepego zaułka, bo każdy ruch ze strony rządów kończy się mniejszym lub większym rozlewem krwi.

— Boją się — syknął Michał.

— Niestety, ale taka jest prawda. A przykład idzie z góry, więc policjanci czy pogranicznicy także wolą się nie narażać. Tym bardziej że mają takie a nie inne dyrektywy. Wciąż w komunikatach zaniżają statystyki przestępstw

popelnianych przez muzułmanów, zbrodniarza Araba nazywają Azjata, a do tego mają zakaz mówienia, że wyznaje islam Wolą trzymać się z dala od tego typu spraw. Tu naprawdę robi się syf, panowie. Nawet we względnie spokojnej jeszcze Hiszpanii. Nikt nam nie pomoże. Nikt, kurwa! — ostro zaakcentował na koniec Krzysiek i wychylił do dna kubek z kawą, który chwilę później niemal zniknął w jego zaciśniętej pięści.

Na огоłonej czaszce wyrosły pulsujące żyły, zdradzając wzbierający gniew. Widziałem, że robi wszystko, aby opanować narastającą wściekłość. On też się bał, choć to był inny rodzaj strachu. Lękał się o życie swojej ukochanej siostry, więzionej przez bezwzględnych morderców, brutalnie zgwałconej i zapewne gwałconej każdego kolejnego dnia. Cierpiącej i czekającej na cud, na ratunek i wybawienie z łapsk bezlitosnych oprawców. Współczułem mu, współczułem im obu. Michał i Krzysiek, nawet Monika, mieli jednak coś, co mnie zostało odebrane. Mieli nadzieję...

Odchyliłem głowę do tyłu i zamknąłem oczy. Natychmiast nawiedziła mnie wizja wykrzywionej w grymasie niewysłowionego bólu twarzy Nawal, która rozpływała się jak maska płonącego manekina. Zrozumiałem, że w chwili próby nie zawaham się.

Zabiję Muhammada. Zapiardolę go jak psa.

MONDRAGON

28 sierpnia 2022 roku, Barcelona, Hiszpania

Krótko po północy Mondragon wyszedł z hotelu i udał się w górę La Rambli. Noc wkraczała akurat w kulminacyjną fazę, setki podpitych turystów krążyły od kawiarni do kawiarni, od baru do baru i od dyskoteki do dyskoteki. Dziesiątki natarczywych prostytutek, głównie z głębokiej Afryki, zaczęła chłopaków, często bezceremonialnie chwytając ich za tyłek czy jądra, obejmując i szepcząc do ucha sprośne słówka. Rozpustna La Rambla oddychała pełną piersią, a gwar tysięcy imprezowiczów powodował, że Mondragona zaczęła boleć głowa.

Jedynym plusem całej tej gównianej sytuacji był fakt, że dzielnica El Raval graniczyła z El Gothico, w której aktualnie się znajdował, i do celu miał zaledwie kilometr. Okolicę znał stosunkowo dobrze, bo po pierwsze, wielokrotnie był w Barcelonie, a po drugie, jako doświadczony glina podejrzewał, że jeśli poszukiwana może być gdzieś przetrzymywana, to najpewniej właśnie w muzułmańskiej dzielnicy El Raval. Dlatego wynajął tani hotel przy najsłynniejszej ulicy Barcelony, aby wtopić się w tłum turystów, a potencjalny cel mieć w zasięgu kilometra.

Jak zwykle miał nosa.

Dotarł do La Boqueria, która wyglądała jak jakaś środkowoafrykańska dzielnica czerwonych latarni. Ciemnoskóre prostytutki dosłownie zalewały przechodniów całymi grupami, zachęcając ich do szybkiego seksu, a przy okazji tych najbardziej podpitych okradając z portfeli i telefonów. Tak jak tego przypakowanego blondyna na rogu, na oko Skandynawa, który właśnie stracił najnowszy smartfon, i jego chudego kumpla w czapeczce bejsbolowej, którego portfel wędrował już z rąk do rąk jak po sznurku, aby zaraz zniknąć w torebce jednej ze stojących kilkadziesiąt metrów dalej koleżanek. Za kilka, może kilkanaście minut obaj będą przeklinać ten dzień, może nawet złożą zawiadomienie o przestępstwie. I tak nic nie odzyskają, policji to nie obchodziło. Takich jak oni było tysiące każdego dnia.

Cholerne eldorado.

Mondragon skręcił w prostopadłą do La Rambli Carrer de THospital. Już po kilkunastu krokach zgiełk ucichł, a on poczuł się, jakby znalazł się w zupełnie innym świecie. W zasięgu wzroku nie spacerowała ani jedna osoba, nie licząc samotnego mężczyzny z psem i zerkającej z okna, opartej

o parapet starszej kobiety o natapirowanych włosach. Poza tym cisza i pustka. To samo miasto, ta sama dzielnica, a zaledwie kilka kroków w bok i okolica zmieniała się nie do poznania. Na samym końcu dostrzegł kolejne światła. Tam czekała już Rambla del Raval.

Odruchowo sprawdził, czy jego glock znajduje się w kaburze pod marynarką. Był na miejscu, naładowany i gotowy do użycia. Pomyślał, że tam, gdzie idzie, i tak by się nie przydał. Jeśli wyceluje w potencjalnego przestępcę, sam znajdzie się na celowniku przynajmniej dziesięciu gnatów. Trzeba to rozegrać inaczej, przede wszystkim mądrze. Oni nie grzeszą inteligencją, za to wiedzą, jak okradać, gwałcić i... zabijać.

Mondragon wydał usta i zacisnął zęby. Pomyślał, że znów zachowuje się jak głupek. Może i profesjonalista, może dobry policjant, ale głupek. Po co tak naraża się za te marne grosze? Po co w ogóle zajmuje się tą sprawą, skoro nikt go z tego porządnie nie rozliczy? Równie dobrze mógłby posiedzieć w Barcelonie kilka dni, podjeść w miejscowych knajpkach, powylegiwać się na plaży, a potem wrócić z informacją, że nie trafił na żaden ślad porywaczy. W dzisiejszych czasach, gdy góra cisnęła, aby zaniżyć dane odnośnie do przestępstw dokonywanych przez muzułmanów, nikt by się podobnym raportem nie przejął, a Juan zostałby poklepany po plecach, być może nawet dostałby pochwałę i drobną premię.

Po kiego grzyba szedł więc do paszczy lwa z przeświadczeniem, że odnajdzie tę dziewczynę z drugiego końca Europy? Takich jak ona były tu tysiące, regularnie sprzedawanych i kupowanych, gwałconych, dręczonych i wykorzystywanych do zarabiania na prostytucji. Czy jej odnalezienie cokolwiek zmieni? Jeśli nawet ją namierzy, to jak zdoła ją wyrwać z rąk porywaczy, którzy na każdym rogu mają swoich ludzi? W tej dzielnicy jeden drugiemu rękę myje, panuje absolutna zmowa milczenia, w każdym oknie może czaić się szpieg, który lotem błyskawicy przekaże szefom informację o podejrzanym typku, chyłkiem uciekającym z wyglądającą jak prostytutka blondynką. Zanim zrobi kilkanaście kroków, ktoś da mu w łeb i zaciągnie do jakiejś piwnicy na spytki, jeśli oczywiście od razu nie dostanie kulki w tył głowy. Przecież policja i tak tu nie zagłada. Boi się.

Prócz mnie...

Mondragon zaklął siarczyście. Jak można bać się we własnym kraju bandy imigrantów? Dlaczego wszyscy są wobec nich tak ulegli? Jakim cudem Hiszpania, ba, cała cholerna Europa, pada przed nimi na kolana i daje się

dymać w dupę? Splunął w nerwach na chodnik i spojrzął w niebo. To wszystko było całkiem popieprzone, w ogóle nie trzymało się kupy. To po prostu nie miało żadnego sensu.

Chociaż...

Czasem Mondragon zastanawiał się, czy ci mądrzele z rządu — a w zasadzie rządów, bo często myślał o całej Europie — którzy tak chętnie oddają kraj milionom obcych kulturowo imigrantów, nie robią tego według wypracowanego na szczytach władzy schematu. Planu, który ma długofalowy cel, mający dokonać radykalnych zmian w coraz bardziej niebezpiecznym i nieprzewidywalnym świecie. Z drugiej strony...

Po co walczyć z wiatrakami? Może lepiej poddać się i pofrunąć na skrzydłach wiatru, po prostu przyjmując to, co ze sobą niesie? Trudno mu było wyobrazić sobie fakt, że w Hiszpanii zaczyna funkcjonować prawo koraniczne, ale czyż jego łagodniejsza wersja nie brzmi dla faceta kusząco? Wystarczyłoby przejść na islam i drzwi do nowego świata stanęłyby otworem. On, singiel, od zawsze mający problemy z kobietami, mógłby znów rozkwitnąć. Nie musiałby użerać się z coraz bardziej wyemancypowanymi tyrankami, gdyż każda musiałaby automatycznie uznać jego wyższość, zgiąć kark i zaakceptować męską władzę. Taką posłuszną kobietę byłby nawet w stanie pojąć za żonę. Codziennie szykowałaby gorący posiłek, sprzątała dom, kto wie, może nawet wychowywała dzieci. Nie miałyby prawa powiedzieć „nie”, gdyby akurat miał ochotę na seks, musiałaby spełnić wszystkie jego zachcianki bez kręcenia nosem, a gdy w końcu znudziłaby mu się i w łóżku, to wzięłaby sobie drugą żonę. Zresztą mógłby po prostu legalnie pójść do burdelu i skorzystać z usług „niewiernej”, z którą zrobiłby wszystko, czego tylko zapragnie. I, co najlepsze, wcale nie musiałby tłumaczyć się żonie. Ha, czy to nie całkiem sympatyczna wizja? Totalna wolność, a przy tym pełna micha i błysk w chałupie. Zapomniałby... mecze. Już nigdy żadna baba nie suszyłaby mu głowy w kwestii oglądania sportu, szczególnie piłki nożnej. Tego po prostu nienawidził...

Cóż, islam miał i dobre strony, choć Mondragon wiedział, że ma zbyt miękkie serce. Wiedział, co to miłość, bo kiedyś pokochał pewną piękną i wyjątkową dziewczynę, i wybranki, w pełnym tego słowa znaczeniu, nie byłby w stanie traktować tak przedmiotowo. Nawet gdyby mógł, nie uderzyłby swojej kobiety, nie zrobił jej krzywdy, pewnie miałby problem, aby oficjalnie pójść do prostytutki, nawet jeśli byłoby to normalne i w nowej rzeczywistości

całkowicie akceptowalne, wyrzuty sumienia i tak by go zjadły. Pewnie pomagały w kuchni, odkurzały i zabierały na romantyczne kolacje, choć z reguły wydawały mu się one drętwe i naciągane. Najpewniej nawet znosiłyby marudzenie i gładzenie, czasem tak irytujące, wręcz doprowadzające go do szewskiej pasji. Do tej pory przez pracę, piłkę i „meromantyczne” podejście do związków cztery potencjalne żony przeszły mu koło nosa. Najdłużej był z ostatnią z nich, Marią del Mar, prawie sześć lat, ale i ona w końcu mu podziękowała. „Nie spełniasz moich oczekiwań” — powiedziała mu pewnego dnia, po czym wyszła i zniknęła z jego życia. Wrócił wtedy z kilkudniowej akcji w Maladze, był zmęczony i pragnął spokoju, ale też zrozumienia i miłości. Ona przywitała go w seksownej czerwonej sukience i wysokich szpilkach, aby po chwili wyrzygać mu litanie swoich niezaspokojonych potrzeb i zniknąć za drzwiami, pozostawiając za sobą jedynie zapach kuszących perfum i donośne echo stukających obcasów. Był tak zmęczony, że nawet nie oponował. Po prostu wysłuchał, a gdy zniknęła, osunął się na łóżko i zasnął. Obudził się jako singiel... W islamie taka sytuacja nie byłaby możliwa. To był plus. Niezaprzeczalny.

Raz jeszcze upewnił się, że glock jest na miejscu. Dotyk chłodnej stali pozwolił mu wrócić do rzeczywistości. Jeszcze sto metrów i stanie na rondzie El Raval. Zerknął w prawo, gdzie na rogu stało trzech śniadych mężczyzn, mieli może po dwadzieścia lat. Natychmiast zwrócił ich uwagę, kątem oka dostrzegł, jak odprowadzali go wzrokiem, jeden wykonał ręką jakiś młodzieżowy gest. Wyczuł ich siłę, aż od nich biła. Pewnie każdy z nich za paskiem miał gnata i nie zawahałby się go użyć. To on był tu obcy i musiał się podporządkować.

Żeby glina czuł się w swoim kraju jak w strefie wojny...

Nagle odgłosy nocy znów powróciły, światła i neony rozbłysły, a z kawiarni rozniosły się mocne zapachy kawy i sziszy. El Raval powitało go męskim, pełnym buzującego testosteronu uściskiem *Gdzie jesteś, Moniko?*

KUBA

28 sierpnia 2022 roku, Barcelona, Hiszpania

Franco Zaccherini mieszkał w jednej z kamienic bezpośrednio z widokiem na Sagrada Familia, najświetniejszą bazylikę Barcelony i całej Hiszpanii. Strzeliste wieże wręcz nachalnie kłuły w oczy, a rzucany przez nie cień wkradał się do niewielkiego pokoju na poddaszu, w którym siedziałem z Krzyskiem, Michałem i oczywiście właścicielem tego przybytku, wielkim jak czołg Włochem, który Włocha wcale nie przypominał. Może prócz typowego, wielkiego i haczykowatego nosa, jakiego nie powstydziliby się sam Juliusz Cezar. Poza tym miał krótkiego jeża i wąsy, a jego umięśnione barki i klatka niemal rozsadzały napiętą do granic możliwości koszulkę. Spod rękawka wystawał kawałek tatuażu, dokładnie takiego samego, jaki na ramieniu nosił Figur. Co tu dużo gadać — facet wyglądał jak kawał twardego skurczybyka.

Nawet nie wiedziałem, kiedy Krzysiek zdołał się z nim umówić, ale Franco czekał na nas z garem spaghetti. Byliśmy głodni, więc zjedliśmy ze smakiem, Krzysiek pałaszował z taką prędkością, że bałem się o to, czy z rozpędu nie wchłonie też talerza. Wiedziałem, że każda minuta, ba, każda sekunda, jest dla niego niezwykle cenna. Gdzieś tu zapewne znajdowała się Monika, dla której — od początku byłem tego absolutnie pewien — mógłby oddać życie. Czasem w tej kwestii wątpliwości miałem wobec Afgana, który trochę zamknął się w sobie. Nie wiem, może przeżywał to na swój sposób, może nie chciał wywyższać się ze swoimi uczuciami do Moniki, chyba też trochę bał się swojego „szwagra”. W każdym razie czasem wyglądał, jakby jemu zależało mniej. Takie wtedy sprawiał wrażenie. Mylne, jak się później okazało. Dziś biję się w pierś za to, że kiedykolwiek wątpiłem, wiem, że mój brak wiary w przyjaciela był głupi i żaloszny. Nie jestem pewien, czy sam byłbym w stanie zrobić dla Nawal to, co on dla Moniki...

— Masz pewność, że znajduje się w El Raval? — spytał po hiszpańsku Krzysiek i wytarł chusteczką brudne od sosu usta.

— Prawie stuprocentową, tylko nie jestem pewny, w której norze — odparł głosem grubym jak brzmienie kontrabasu potężny Włoch. — Mój kontakt, chłopak, którego kiedyś wyrwałem z obozu dżihadystów, zdradził mi, że do dzielnicy wrócił też Abi Rabka. To znany radykał, ścigany za powiązania przy zamachach w Berlinie, Brukseli, Rzymie i Paryżu. W dzielnicach takich jak El Raval — praktycznie nieuchwytny. Wiesz... tacy

jak on to bohaterowie dla większości tych kretynów.

— Ale skąd wiesz, że Monika też tu jest? — dopytał z wyraźnym zniecierpliwieniem Krzysiek.

Zaccherini wytarł usta i wyciągnął z wymiętej paczki papierosa. Włożył go w kącik ust i odpalił.

— Chłopak słyszał na dzielnicy, że Abi Rabka wydał sporą imprezę, na którą zaprosił kilkunastu przyjaciół. Chciał pochwalić się tym, że odzyskał honor, a przy okazji zdobył kolejną niewolnicę, chrześcijankę o blond włosach, podobno niezwyklej urody.

Nikt już nie jadł, wszyscy w skupieniu słuchali barczystego Włocha. Był od nas starszy, na oko grubo po trzydziestce. Mówił ze specyficznym akcentem, od czasu do czasu zaciągając się i wplatając włoskie słowa. Mimo wszystko byłem w stanie zrozumieć wszystko, nie zdziwiłem się więc, gdy na słowo „impreza” i „przyjaciele” znów zatrzeszczały w pięściach Figura wszystkie ścięgna. Nietrudno było się domyślić, że goście Muhammada nie spotkali się, aby jedynie popatrzeć kobiecie w oczy. Obserwując reakcję przyjaciela z wojska, Zaccherini na chwilę zamilkł, ale widząc, że Krzysiek ostatecznie nie stracił kontroli, kontynuował:

— Chłopak podał mi pięć potencjalnych lokacji, z których ja wybrałem dwie najbardziej prawdopodobne. Od razu mówię jednak, że po bardzo powierzchownej obserwacji, zadzwoniłeś dopiero wczoraj wieczorem, więc nie miałem wiele czasu, aby się upewnić, dlatego mogę się mylić.

— Sprawdzimy każdą, jeśli będzie trzeba — wyrwał się Krzysiek i ponownie zacisnął szczękę w nerwowym tiku.

Zerknąłem też na Afgana, siedział w milczeniu, wyraźnie spłoszony całą sytuacją. Sam pewnie nie wyglądałem dużo bardziej przekonująco.

— Mam nadzieję, że się nie mylę... — potężny Włoch wstał z fotela i ruszył w kierunku ściany.

Wisiał tam przepiękny obraz torreadora walczącego z czarnym i rozjuszonym bykiem Zaccherini podszedł do malowidła i ściągnął je, odsłaniając niewielki sejf.

— Musimy się jednak spieszyć — dodał, odstawiając obramowane płótno na podłogę.

— Co masz dokładnie na myśli? — spytał niespokojnie Krzysiek.

— Dla radykalnych muzułmanów uroda jest ważna, ale nie mniej istotna jest historia niewiernej. Twoja siostra jest dla Abi RabFi bardzo cenna, bo

jest swoistym zadośćuczynieniem za stratę córki. Może otrzymać za nią wysoką cenę, a targ niewolników w Saint-Denis, oczywiście nieoficjalny, już za cztery dni.

— Kurwa... Paryż... — syknął Krzysiek i odsłonił zęby w geście dezaprobaty.

— Tam ma swoją norę, a Barcelona jest jedynie przystankiem w drodze do stolicy Francji. Tu chce przeczekać wzmożoną aktywność na granicy i akcję poszukiwawczą, a gdy ją przekroczy, to hulaj dusza, piekła nie ma. Tam będzie czuł się jak u siebie, już nikt od czasów powstania paryskiego nie boi się policji.

— Nie możemy dopuścić do tego, aby przekroczył granicę — rzekł pochłonięty myślami Krzysiek, w prawej dłoni ścisnął swój nieśmiertelnik z taką siłą, że stalowy łańcuszekomal nie przebił mu skóry na karku.

— Dlatego nie mamy czasu. Abi Rabka będzie spieszył na targ, bo wie, że może sporo zarobić. A jeśli twoja siostra spodoba się jakiemuś szejkowi, to może dostać za nią nawet bańkę euro. Przy średniej cenie, wynoszącej kilka tysięcy, taka oferta zdaje się nie do odrzucenia. Tym bardziej że salafici są coraz bardziej nękani przez służby, których akcje wymusza społeczny opór wobec oficjalnych, momentami bezczelnych nawoływań imamów do walki z niewiernymi. Wiesz, że ostatnio przeszedł kilkunastotysięczny marsz przez samą La Ramblę?

Natychmiast przypomniałem sobie, jak leżałem w szpitalu i oglądałem wieczorne wiadomości. Oddzieleni od reszty kordonem policji muzułmanie szli wzdłuż najszynniejszej ulicy Barcelony, krzycząc, że Hiszpania należy do nich, że pragną oddzielnego kalifatu, że każdy, kto obraża islam, powinien mieć obcięta giowę, a wkrótce to w ogóle podbiją Europę i zaprowadzą prawo szariatu. Oczywiście, doszło do zadymy, choć w przeciwieństwie do Paryża, Marsylii czy Berlina, policja dość agresywnie ją spacyfikowała i zamieszki nie eskalowały w kolejną lokalną wojenkę. Z tego, co pamiętam, obyło się nawet bez ofiar, nie licząc kilkudziesięciu poturbowanych demonstrantów z obu stron.

Złapałem się na tym, że na każdym kroku dostrzegam to, czego przez ostatnie lata w ogóle do siebie nie dopuszczałem, a wręcz starałem się wyprzeć ze świadomości. Po prostu nie chciałem wierzyć, że problem islamu naprawdę istnieje, że to nie tylko pojedyncze zamachy w największych europejskich miastach, ale coraz częstsze żądania tysięcy, zdawałoby się,

normalnych muzułmanów, którzy domagają się narzucenia swoich rygorystycznych praw, grożąc mieszkańcom europejskich miast obcięciem giów. Fakt, mainstreamowe media również miały w tym swój udział, bo prócz podnoszenia rabanu w przypadku największych zamachów jak ognia unikały krytyki islamu, aby nie rozjuszać muzułmańskich społeczności, gdyż najmniejsza iskra mogła spowodować krwawe zamieszki. Tak naprawdę zazwyczaj milczały w ogóle, nie informując ludzi o przypadkach kradzieży, gwałtów, zabójstw, a nawet lokalnych rozruchów.

Chciałem włączyć się w rozmowę, ale zrezygnowałem. Nie było czasu, aby prowadzić podobne dysputy, zresztą każdy wiedział swoje. Teraz trzeba było skupić się na zadaniu. Muhammad Abi Rabi'a, morderca mojej ukochanej Nawal, był blisko. Poczułem, jak krew znów szybciej zaczyna pulsować w moich żyłach...

— Chuj mnie obchodzą demonstracje tych debili — warknął zniecierpliwiony Krzysiek, który przez ostatnie kilkanaście sekund zdawał się odpłynąć gdzieś daleko. — Masz te gnaty, o które cię prosiłem? — Figur skierował wzrok na grzebiącego w sejfie Włocha, który wyciągał ostatni z czterech przedmiotów zawiniętych w kawałek szmaty.

— Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? — nieco zawadiacko spytał Franco i odwinął jedno z zawiniątek.

To był pistolet. Stał błysnęła w promieniach słońca, a ja poczułem, że mój organizm przestał produkować jakąkolwiek ślinę. Nie tylko mnie z nerwów zaschło w gardle, Afgan wpatrywał się w wielkiego jak tur gospodarza, próbując opanować narastające przerażenie. Myślę, że obaj zdaliśmy sobie w tym momencie sprawę, że to już nie są przelewki.

— Naprawdę chcesz dać broń swoim... przyjacielom? — spytał Franco, patrząc na nas z politowaniem, z kącika ust niedbale zwisał mu papieros, co jeszcze bardziej wzmagало jego lekceważący ton.

— Beretta, kaliber dziewięć milimetrów, piętnastostrzałowy, tak jak chciałeś, zresztą mamy podobny gust. — Włoch przetarł lufę jasną szmatką i wycelował w jakiś sobie znany punkt w oddali za oknem. — Dla nich mam dwa glocki, siedemnastki, nie będą im zbyt ciężkie i same nie wystrzelą — dodał z wyraźnie wyczuwalną drwiną.

Głupio się czułem, ale gdy po chwili niewielki pistolet znalazł się w mojej ręce, zdenerwowanie odeszło. Nie różnił się specjalnie od sportowego, którym kiedyś strzelałem w klubie. Moja wiedza z pewnością nieco

zardzewiała, ale odruchowo namierzyłem mechanizm uwalniający dwurzędowy magazynek, który wysunął się z uchwytu do wolnej dłoni. Odłożyłem go, odciągnąłem zamek i zajrzałem do komory, była pusta. Z powrotem włożyłem pusty magazynek, zwolniłem rygiel i wycelowałem przed siebie. Wyglądało profesjonalnie? Nie wiem, ale bardzo tego chciałem. Tak czy inaczej, w oczach obu żołnierzy na pewno wypadłem lepiej od Michała, który wyglądał, jakby zimna stal parzyła go w ręce. Tylko zważył pistolet w dłoni i odłożył obok talerza. Gdybym miał określić jednym słowem jego aktualny stan umysłu, to najlepiej pasowałoby do niego określenie „osrany”.

— Obiecałem staremu, że nie będę angażował chłopaków z jednostki — rzucił pewniejszym tonem Krzysiek, wciąż pieszcząc dłonią pokazną beretkę, jej lufa lśniła znacznie bardziej niż mój matowy glock.

— Mam to w dupie — odparł Franco. — Może mi mówić, co mogę, a czego nie mogę, gdy jestem w robocie. A przede mną jeszcze pół roku wolnego, zanim podpiszę kolejny kontrakt — co też nie jest przesądzone, bo coraz bardziej chwalę sobie życie w cywilu— więc może mi skoczyć. Zresztą nie myślałeś chyba, że pozwolę ci pójść tam samemu?

— Był moment, że chciałem ci tego zabronić, ale przecież cię nie powstrzymam, czyż nie?

— Nie powstrzymałoby mnie stado dzikich i kurewsko rozjuszonych byków — rzekł swoim tubalnym basem Franco i klepnął przyjaciela w ramię z taką siłą, że mnie i Afgana pewnie zwaliłby z nóg.

— A więc bierzmy się do roboty i pokaż mi te muzulmańskie nory. Skurwysyny zapłacą za każdą krzywdę Jaką wyrządzili mojej siostrze.

Przez uchyloną szybę land cruisera słychać było nocny gwar. Mimo że okolica nie należała do naj głośniejszych, a wąska uliczka na tle innych wyglądała na senną, to na pewno nie brakowało jej swoistego klimatu. Nie tego, którym Barcelona chwali się w przewodnikach, raczej ponurego, cuchnącego nędzą i bezprawiem. W zasięgu oczu widać było jedynie kawiarnię, kebab i knajpę do palenia sziszy. Pozostałe lokale właściciele już pozamykali, w końcu zbliżała się północ. Większość bram było wykonanych z blachy falistej, która na starych kamienicach wyglądała wyjątkowo szpetnie. Ich dolne partie pokrywało kiepskiej jakości graffiti, a dookoła walały się tony śmieci.

Czułem się nieswojo, jakbym był tu nieproszonym gościem. W Meksyku,

Quito czy Caracas miejscowi powiedzieliby, że jestem *gringo*, tutaj nie miałem zielonego pojęcia, jak nazywają obcych. Arabowie wciąż byli dla mnie zagadką, nie rozumiałem ich zwyczajów i toku myślenia. Co najgorsze, nie znałem języka, przez co czułem się bezbronny jak dziecko.

Z zamyślenia wybił mnie zapach pieczonej baraniny. Był bardzo intensywny, z silną domieszką przypraw, których nie potrafiłem jednoznacznie nazwać. Gdzieś w oddali muezzin zaintonował *adhan*, wieczorne nawoływanie do modlitwy. Trzech brodatych mężczyzn w podeszłym wieku, którzy siedzieli przy plastikowym stoliku, kilkanaście metrów od nas, rozłożyło podręczne dywaniki, tak zwane *sadzadze*, i zaczęło codzienny rytuał. Żarliwie wypowiadali kolejne formułki *sałat*, konkretnie nocnej *iszy*, *niemal za każdym razem uderzając głową w podłogę. Zawsze mnie to bawiło, bo wielokrotnie byłem świadkiem modlitw Hamzy, ale dziś wcale nie było mi do śmiechu. Tak naprawdę to cholerne zawrodozenie mnie przerażało.*

Czy nasz plan wypali? A co jeśli nie?

Zamysł był prosty jak budowa cepa. Ja z Michałem mieliśmy czekać w samochodzie, aż Krzysiek z Franco zrobią rozpierduchę, następnie na dany sygnał podjechać przed wyjście z kamienicy i gdy obaj wsiądą z Moniką i Muhammadem do środka, z piskiem opon ruszyć przed siebie. Mnie się podobało, bo nie musiałem być bezpośrednio zaangażowany w walkę, której po prostu się bałem, i nie byłem zmuszony do użycia broni. Moim zadaniem było jedynie pokierować pojazdem kilka przecznic, gdzie kółko przejąłby ostatecznie Zaccherini, który uliczki Barcelony znał jak własną kieszeń. Nasza nieobecność podczas akcji miała też uzasadnienie, gdyż pomijając fakt, że w podobnych sytuacjach nie mieliśmy absolutnie żadnego doświadczenia i bylibyśmy głównie ciężarem, to wynikała też ze względów bezpieczeństwa, gdyż Abi Rabfa i jego synowie mogli nas po prostu rozpoznać, a wtedy z pewnością wszystko szlag by trafił. Zresztą ze swoją wciąż świeżą i połyskującą blizną i tak rzucałem się w oczy, powiedzmy, że dla muzułmanów byłem jednym z pierwszych podejrzanych o niecne wobec nich zamiary.

Dzięki pomocy swojego przyjaciela z wojska Krzysiek nie musiał też liczyć na naszą pomoc w identyfikacji Abi Rabfi i jego synów. Prócz najmłodszego członka rodziny wszyscy byli albo poszukiwani, albo na oku służb. Krzysiek z Franco mieli swoje kontakty i z łatwością zdołali uzyskać ich zdjęcia i portrety psychologiczne. A te nie wyglądały dobrze. Muhammad był

uważany za salafitę zdolnego do najbardziej szalonych czynów, niebezpiecznego terrorystę i bezwzględnego mordercę, jednego z organizatorów najbardziej krwawych zamachów we Francji, Niemczech i Włoszech. Jego prawą ręką był pierworodny Muhammad — kojarzyłem go doskonale przez te odstające uszy — trzydziestopięcioletni dżihadysta z kilkuletnim doświadczeniem na wojnie w Syrii, Iraku i Libii, prócz ojca wydawał się najgroźniejszy. Trzydziestoletni Jusuf — to ten ze sztucznym okiem, który podał staremu kwas — też był jednym z walczących na Bliskim Wschodzie członków Państwa Islamskiego, który podobno został nawet wzięty do niewoli, gdzie stracił oko. Mój rówieśnik, Ossama — to z nim szamotałem się na ulicy, zanim dostałem w łeb — miał odpowiadać za kontakty pomiędzy starszą a młodą i szukającymi swojej drogi muzułmanami, których werbował do wspólnej misji. Dzięki talentowi do komputerów i wrodzonej charyzmie był w stanie, głównie dzięki portalom społecznościowym, pozyskiwać wiele zagubionych dusz.

Oczywiście głównym celem była Monika, dopiero później Muhammad i jego synowie. Zgodziliśmy się co do tego, jak jeden mąż. Przez moment widziałem, że Afgan nerwowo zacisnął zęby, ale przełknął fakt, że mężczyźni, którzy na jego oczach gwałcili Monikę, będą mieli szansę na uniknięcie kary. Prócz jednego — ojca tej pojebanej rodzinki. Abi Rabka senior musiał odpowiedzieć za zamordowanie mojej ukochanej Nawal. To on był mózgiem, on wydawał polecenia i to na nim spoczywała główna odpowiedzialność za wszystko, co się stało. Synowie, oczywiście, nie byli bez winy, ale w obecnej sytuacji nie istniała możliwość, aby porwać ich wszystkich. To fizycznie było po prostu niewykonalne. Figur obiecał jednak, że żaden z nich nie przeżyje, jeśli stanie mu na drodze, co nieco poprawiło humor tak Michałowi, jak i mnie. Najważniejsza była jednak Monika. I staruch. Ona miała odzyskać wolność, a on zostać wyrwanym ze swojego łańcucha i oddanym w moje ręce. Moje ręce...

Jak dziwnie to wszystko brzmiało, czasem miałem wrażenie, że zupełnie nierealnie. Że znajduję się w jakimś filmie albo, jeszcze lepiej, matriksie. Przecież jeszcze zaledwie tydzień temu byłem zwykłym studentem hiszpańskiego uniwersytetu, dorabiającym sobie w hotelu w turystycznym kurorcie, jak tysiące mi podobnych, a jedyne problemy, jakie miałem, to że muszę rano wstać do pracy i czy znajdę czas na trening, a potem siłę, aby jeszcze wyjść na imprezę. Ostatnie kilkanaście godzin przed zamordowaniem

Nawal mój umysł zaprzętało coś jeszcze, a w zasadzie ktoś. Nienarodzone dziecko — syn lub córka, tego już nigdy się nie dowiem — w jednej chwili rozwinęło we mnie pokłady miłości i odpowiedzialności, jakich nigdy bym się po sobie nie spodziewał. Zaledwie kilka dni temu byłem szczęśliwym, młodym i zakochanym człowiekiem z planami na wspólne życie z moją cudowną Nawal i dzieckiem, które nosiła w swoim łonie.

A dziś? Dziś byłem porywaczem i potencjalnym przestępcą, kto wie, może wkrótce mordercą, targanym żądzą odwetu i zemsty, pragnącym śmierci i cierpienia zupełnie obcych mi ludzi. Siedziałem z pistoletem za paskiem w wielkim land cruiserze, ukrywając bliznę po poderżniętym gardle, z jednej strony lękliwie wyczekując sygnału od żołnierzy Legii Cudzoziemskiej, a z drugiej marząc o momencie, gdy będę mógł spojrzeć temu staremu Arabowi prosto w spróchniały ryj. Moje kolejne wizualizacje były aż nadto wybujałe i czasem zastanawiałem się, czy nie popadam w paranoję i nie przemieniam się w jakiegoś psychopata. Żądza mordy pęczniała we mnie z każdym kolejnym tchnieniem Jeszcze tydzień temu miałbym problem, aby zabić psa, dziś prawdopodobnie nie miałbym oporów, aby Muhammada żywcem obedrzeć ze skóry i patrzeć, jak zdycha, błagając o litość.

Tak, byłem w stanie zabić. Chciałem tego, pragnąłem wyrzucić z siebie te wszystkie tłamszące mój umysł emocje. Pragnąłem zamordować tego Araba z pełną premedytacją, nie bacząc na konsekwencje. Czy jeszcze byłem tą samą osobą... ?

Nagle usłyszałem trzask zapalniczki. Gwałtownie obejrzałem się i ujrzałem Michała, który właśnie odpalał papierosa. Na co dzień gardził fajkami, więc tym bardziej mnie to zdziwiło. Ręce trzęsły się mu jak u alkoholika w ostatnim stadium delirium, miał podkrążone oczy i był błydy. Zakasłał chwilę po tym, jak wciągnął do płuc pierwszą porcję trującego dymu.

— Wszystko w porządku? — spytałem, choć bałem się równie mocno co on, ale po prostu lepiej potrafiłem robić dobrą minę do złej gry.

— Tak. Nie. To znaczy nie wiem, kurwa! — odparł roztrzęsionym głosem, a ja miałem wrażenie, że zaraz wysiądzie z samochodu i po prostu pobiegnie jak najdalej stąd.

— Też jestem zesrany, ale nie myślę o tym — wyznałem, próbując go nieco uspokoić. — Gdy tylko ogarnia mnie strach, to myślę o tym gnoju Abi Rabki. To pomaga, stary...

— Ja nie boję się tego, że coś mi się stanie. Zrobiłbym wszystko, aby

uratować Monikę i nawet jestem zły, że nie mogłem iść z nimi. Ja po prostu tego nie ogarniam...

— Też o tym myślałem przed chwilą...

— Stary, a jak coś pójdzie nie tak? Jak Monika już nie żyje? Albo jak oni pozabijają tych Arabów? Przecież będziemy współwinni morderstwa! A jeśli im się nie uda i Muhammad z synami ich tam zajebią? Utną im łby? Kurwa! — Papieros omal nie wypadł mu z dłoni, gdy próbował strzepnąć tytoń poza uchylone okno.

Był bardzo spięty, że siedział jak na szpilkach, to było mało powiedziane. Też mnie coś ukłuło pod sercem, chwilę później adrenalina rozlała się po całym ciele, krew dosłownie zaczęła buzować w żyłach, czułem ją w każdej kończynie, każdym palcu, pulsowała mi w skroniach, powodując wrażenie coraz większego ucisku w czaszce. Nie powiedziałem słowa, ale zacząłem panikować. Łakomym spojrzeniem obrzuciłem paczkę papierosów, która leżała w schowku na drobniała. Chwyciłem ją i wyciągnąłem jednego, ale równie szybko zrezygnowałem. Na mnie fajki nigdy nie działały, no, chyba że chciałbym zwymiotować. To byłoby teraz najgłupszą rzeczą, jaką mogłem zrobić.

Opanuj się, debilu... To jest ten moment, stań na wysokości zadania, głupi studenciku!

Zacisnąłem dłonie na kierownicy z taką siłą, jakbym chciał wepchnąć ją po maskę. Trwałem tak przez krótką chwilę.

— Afgan, skup się! — rzuciłem znienacka. — Wyrzuć tego cholernego kiepa i skup się na zadaniu. Nie możemy dać dupy! — Sam zdziwiłem się tonem mojej wypowiedzi, a Michał niemal natychmiast pozbył się do połowy wypalonego papierosa.

— Okej, tylko...

— Nie ma tylko, kurwa! Swoim zachowaniem ściągasz uwagę. Rozejrzyj się.

Czas modlitwy właśnie się skończył i na ulicy pojawiło się kilka grupek mężczyzn, głównie dwudziestoparolatków w dresach lub dzinsach i nieco za dużych koszulkach, niektórzy pomimo parnego wieczora chowali głowy w kapturach. Wszyscy bez wyjątku palili papierosy, w kółeczku krążyły skręty, a w tle grała hip-hopowa muzyka.

„Pieprzona Barcelona... Gaudi pewnie przewraca się w grobie” — pomyślałem. Wtedy zza rogu wyłoniło się trzech chłopaków, na oko w naszym

wieku. Wyzywajaco patrzyli wprost na nas, a po chwili zaczęli coś krzyczeć i gestykulować. Nic z tego nie rozumiałem, co przerażało mnie jeszcze bardziej. Nie tylko mnie...

— Kurwa mać! — zaklął Afgan, w jego tonie przebijały napięcie i strach.
— I co teraz zrobimy, mądralo?

— Spokojnie — odrzekłem, choć w środku drżałem jak wstrząśnięta galareta. — Może się tu nie pofatygują...

— Lepiej włącz silnik i przeparkujmy.

— Poczekaj, nie panikujmy. — Tak naprawdę to już srałem w gacie.

— Cholera, idą tu!

Trzech młodych muzułmanów ruszyło w naszym kierunku, wymachując rękoma i wykrzykując coś po arabsku. W końcu zrozumiałem, gdy jeden z nich rzucił po hiszpańsku: „Co tu, kurwa, robicie? Wypierdalać, niewierne skurwysyny!”. To było krótkie, ale treściwe. Byli nie dalej niż piętnaście metrów. Przekręciłem kluczyk i silnik toyoty wydał groźny pomruk. Wtedy dostrzegłem, że jeden z nich sięga za pasek spodni, w świetle latarni błysnęła stal.

— Jedź! — krzyknął Michał, a ja wrzuciłem wsteczny i z piskiem opon zacząłem cofać.

„Chuj wszystko strzelił” — pomyślałem, gdy wpakowałem się w dwa śmietniki. Co z Krzyskiem i Franco? Przecież nie możemy ich zostawić! Zajedziemy od drugiej strony? Ale jak? Przecież na pewno od razu nas namierzą...

Huk kolejnych wystrzałów rozerwał ciszę sennej uliczki, a chwilę później coś gruchnęło jakieś trzydzieści metrów przed nami. Trójka zadziornych młodzieńców odwróciła się i zaczęła uciekać.

— Jedź, kurwa! — darł się Afgan, a ja, kompletnie zdezorientowany, ruszyłem z miejsca.

Kto strzelał janknie oni? Gdy wrzuciałem dwójkę olśniło mnie. Jak to kto? Krzysiek i Franco! Padły kolejne strzały i jak na potwierdzenie z okien kamienicy wypadł kolejny mężczyzna i w akompaniamencie tłuczonego szkła grzmotnął o asfalt, niemal tuż przed naszą maską. Tylko Figur mógł dać nam taki znak.

Instynktownie zahamowałem. Zerknąłem we wsteczne lusterko, ale trójka chłopaków już dawno znikła za rogiem, ulica opustoszała w mgnieniu oka. Cofnąłem kilka metrów, pod drzwi, do których kilkadziesiąt minut temu weszli

legioniści. Afgan darł się, ale nie słyszałem, a może po prostu nie chciałem słyszeć, co wykrzykuje. Stałem i czekałem. Kolejne sekundy dłużyły się jak godziny. Całość przypominała film, który został puszczony w starym kinie, dodatkowo w zwolnionym tempie. Kolejne klatki przeskakiwały, a ja trwałem jak posąg. Najpierw na balkonie pojawił się mężczyzna, potem kolejny i po drugiej stronie ulicy jeszcze jeden. Mrok rozświetlił ogień z luf, pękła szyba, usłyszałem trzask kruszonego szkła. Ujrzałem twarz Afgana wykrzywioną w przedziwnym grymasie.

— Gaaazzuuu!!! — Jego krzyk był jak echo wołającego o pomoc z głębi jakiegoś ogromnego kanionu.

Gdy już zacząłem zwalniać pedał sprzęgła, kątem oka dostrzegłem dwa postawne cienie, które wyskoczyły z kamienicy. Krzysiek otworzył tylne drzwi i oddając jeszcze dwa strzały, wskoczył do środka.

— Jedź! — wydarł się jak mógł naj głośniej, a ja z piskiem opon wyrwałem do przodu.

W ostatniej chwili do pojazdu wskoczył Franco, przez co pierwsze metry jechaliśmy, wlekąc jego nogi po ulicy. Kilka sekund później drzwi się domknęły. Dopiero wtedy uzmysłowiłem sobie całą prawdę. Nie było z nimi Moniki, nie było Muhammada.

Wszystko dokumentnie spierdolili.

MONDRAGON

28 sierpnia 2022 roku, Barcelona, Hiszpania

Usiadł na jednej z ławeczek przy El Raval. W butelce, którą męczył od godziny, wciąż znajdowało się jeszcze prawie pół piwa San Miguel, które jako uczciwy obywatel Hiszpanii pił, aby wesprzeć będącą od lat w kryzysie gospodarkę. Tym razem nie dla przyjemności, Mondragon próbował wtopić się w tłum żądnych zakazanych rozkoszy turystów i namierzyć poszukiwaną Monikę Figurską, która według Jose Manuela Carrasco, kapitana barcelońskiej policji, była widziana na jednej z ulic El Raval podczas nagabywania potencjalnych klientów.

Wszyscy wiedzieli, że dzielnica muzułmańska to mekka dla wielbicieli dziewczyn z Europy Wschodniej: Polski, Ukrainy, Rosji, Litwy, Czech, Bułgarii czy państw bałkańskich. Tutejsi stręczyciele wyspecjalizowali się właśnie w porywaniu i zmuszaniu do prostytucji atrakcyjnych dziewczyn z tych krajów, gdyż uważali je za najpiękniejsze. Blondynki o niebieskich oczach były dla nich synonimem klasycznej europejskiej urody białej chrześcijanki, zatem najbardziej poszukiwane, a tym samym najcenniejsze. Handel żywym towarem od zawsze był dochodowym biznesem, ale od niedawna nabrał wręcz hurtowego charakteru. Los tysięcy biednych dziewczyn tak naprawdę nikogo nie obchodził, bo ani policja, ani lokalni politycy czy biznesmeni nie mieli zamiaru kiwnąć w tym względzie palcem Nawet mieszkańcy przymykali na to oko. Zresztą nie tylko w El Raval...

Nowoczesne niewolnictwo miało się w dzisiejszych czasach wyśmienicie, a europejskie metropolie prześcigały się w seksofercie. Na wszystkim łapę trzymali głównie Pakistańczycy, Somalijszczy, Afgańczycy, Irakijczycy i gangi z krajów Maghrebu, które w ciągu kilku lat niemal wyeliminowały specjalizujące się w stręczycielstwie grupy z Bałkanów. Od czasów pamiętnego skandalu w angielskim Birmingham, gdzie przed niemal dziesięciu laty policja ze strachu przed posądzeniem o rasizm po cichu przyzwalała na gwałty tysięcy rdzennych Brytyjek i imigrantek z państw Europy Wschodniej przez gang Pakistańczyków, muzułmanie w innych dużych europejskich miastach poczuli się jeszcze bardziej zuchwale. Po nie tak dawnych gigantycznych zamieszkach w Paryżu i Marsylii, a następnie nieco już mniejszych w innych metropoliach, ich śmiałość i bezczelność stała się wręcz absurdalna. Targi niewolnic wcale nie były już czymś wyjątkowym,

oczywiście nieoficjalne, najczęściej w opuszczonych halach czy katakumbach pod ulicami miast, ale większość mieszkańców arabskich dzielnic doskonale wiedziała, gdzie i kiedy się one odbywają. Zasilone milionami imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu getta stały się miastami-państwami, gdzie policja nie miała wstępu. W najlepszym razie udające się na interwencję radiowozy były obrzucane jajkami i kamieniami, w najgorszym— ostrzelane, czasem niezapowiedziane wtargnięcie stróżów prawa kończyło się kolejnymi rozruchami, co, oczywiście, włodarzy miast mocno biło po kieszeni. Media też odpuściły temat problemu islamskiego. Od czasu ataków na francuski magazyn „Charlie Hebdo” coraz więcej dziennikarzy zaczynało bać się o własne bezpieczeństwo i pisali jedynie to, co musieli. Odrąbanie głów przez „nieznanych sprawców” parze dziennikarzy szwedzkiej gazety „Aftonbladet” zamknęło usta pozostałym śmiałkom To była słynna sprawa.

Dwudziestodzieciolatek Agata i trzydziestosiedmiolatek Ulf odważyli się ukazać wyniki własnego śledztwa w sprawie zatajania przez rząd statystyk gwałtów na szwedzkich uczennicach przez muzułmańskich imigrantów.

W szkołach dochodziło do kuriozalnych sytuacji, gdy nauczyciele w obawie przed oskarżeniem o rasizm ukrywali podobne przypadki, policja umarzała sprawy „z braku dowodów” i do więzienia wsadzała ojców zgwałconych dziewczynek, którzy w akcie desperacji próbowali dokonywać samosądów. Dlatego tematu muzułmańskich dzielnic nikt nie chciał dotykać, jak śmierzącego psiego gówna na środku alei w parku, które wszyscy omijają, udając, że go nie dostrzegają.

A kobiety? Kobiety, które miały to nieszczęście i trafiały w czeluści jednego z podobnych gett, były stracone. Przepadały jak kamień w wodę. Tak jak w El Raval. Świat zmierzał w porąbanym kierunku...

— Cześć, przystojniaku. Masz ochotę na loda? — zalotnie zagadnęła Mondragona śliczna blondynka o przyjaznej twarzy i niebieskich oczach. Zaszła go od tyłu i natychmiast przysiadła się, wolną dłoń kładąc na wewnętrznej stronie jego uda.

— Masz swoją kwaterę?

— Pewnie, słodziaku. Trzydzieści euro za łaskę, pięćdziesiąt za seks, a jak chcesz pociupciać w dupkę, to dorzucisz jeszcze trzydzieści — wyrecytowała wyuczoną formułkę, z wyraźnym wschodnioeuropejskim akcentem. Naprawdę była bardzo ładna.

— Przyjmujesz sama?

— Oczywiście. Nikt nam nie będzie przeszkadzał, jak u tamtych Bułgarek.
— Wskazała z niesmakiem grupę czterech dziewczyn nagabujących turystów jakieś dwadzieścia metrów na lewo. — One podchodzą do klienta przedmiotowo. Ja jestem dobrą dziewczyną, ekskluzywną.

Młoda blondynka odgarnęła niesforny kosmyk kręconych włosów i szeroko się uśmiechnęła, ukazując rząd białych zębów.

— Skąd pochodzisz?

— Jestem z Polski, znasz Polskę?

— Powiedzmy, że mam znajomego...

— To chyba teraz nie odmówisz... ? Idziemy, słodziaku?

Blond piękność położyła rękę na jego kroczu i zaczęła delikatnie masować członek. Wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia kilka lat, choć pewnie miała naście. Jaka była jej historia?

— Jak masz na imię, skarbie?

— Monika, a ty?

Mondragon aż się wzdrygnął, ale nie stracił czujności. To nie była ta, której szukał, nawet trochę podobna, ale na pewno nie ona. Zwyczajny zbieg okoliczności.

— Juan— odparł i przechylił butelkę z piwem do końca. — Wygrałaś, jestem twój.

— To ja jestem twój a, słodziaku. — Zachichotała i chwyciwszy jego dłoń, pomogła mu wstać.

Gdy ruszyli w kierunku jej kwatery, Mondragon poczuł ukłucie wstydu, odezwało się sumienie.

W czym była gorsza od tej czarnoskórej prostytutki, której zapłacił za zrobienie laski dwie godziny temu? Czy los tamtej dziewczyny nie był równie ponury? To, że dawała dupy na La Rambl i nie należała do jednego z afgańskich czy pakistańskich alfonsów, dawało mu rozgrzeszenie?

„Olać to — pomyślał. — Sam świata nie naprawię. Muszę po prostu dobrze wykonać zleconą mi robotę. I tyle”.

Po raz ostatni dyskretnie sprawdził, czyjego glockjest na miejscu. Był w gotowości.

Weszli do obskurnej klatki schodowej w pierwszej z szeregu czerwonych kamienic znajdujących się w spokojnej uliczce, zaledwie kilkanaście metrów od głównej alei El Raval. Od razu uderzył go paskudny i jedyny w swoim rodzaju smród stęchlizny. Mondragon rozejrzał się. Ściany pokrywały

dziesiątki bohomasów, paskudnego graffiti bez ładu i składu, wiele z nich zżerał grzyb, doskonale widoczny w nieprzyjemnym żółtawym świetle. Przez zastałe powietrze przebijała woń moczu.

— Winda nie działa, ale przyjmuję na pierwszym piętrze — rzuciła Monika i pociągnęła swojego klienta za rękę w kierunku szerokich, okrężnie wijących się schodów.

Kilka chwil później przekroczyli próg jej kwatery. Pokój był przestronny i, o dziwo, bardzo czysty. Dwa duże, otwarte na oścież okna pozwalały na odpowiednią cyrkulację powietrza, dzięki czemu smród stęchlizny zniknął. Pomiędzy nimi stało wielkie łóżko z purpurowym baldachimem i szkarłatną, idealnie ułożoną pościelą.

Dziewczyna przynajmniej starała się, aby naprawdę było przyjemnie. Kątem oka dostrzegł rozsuniętą szafę, z której nachalnie łypały skórzane pejcze, lateksowe stroje, różnej wielkości dilda. Na haku wisiała nawet maska przeciwigazowa.

„I do tego fuli serwis” — dodał w myślach.

Zanim się obejrzał, młoda dziewczyna już zrzuciła z siebie obcisły top i zabierała się do odpinania koronkowego stanika.

— Poczekaj — rozkazał i delikatnie chwycił ją za przedramię.

— Jeszcze nie powiedziałaś, na co się decydujesz, skarbie, bo pieniądze biorę z góry — odparła i gwałtownie zsunęła biustonosz. Jej piersi były krągłe, sutki duże i bardzo kuszące.

— Poczekaj, to znaczy...

— Zapłata z góry — naciskała i z lekkim rozdrażnieniem wystawiła rękę.

Mondragon wyciągnął portfel i włożył jej w dłoń pięćdziesiąt euro.

Uśmiechnęła się i natychmiast drapieźnie chwyciła go za krocze.

— To jak chcesz, słodziaku? Wolisz na...

— Usiądź, chcę najpierw porozmawiać.

— Wolę zrobić ci laskę.

— Chcę pogadać — stanowczo odparł Mondragon. — Załóż ten stanik i usiądź.

Śliczna blondynka zmierzyła go podejrzliwie, najwyraźniej nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy.

— Czego chcesz, człowieku? — fuknęła. — Jeśli masz jakieś specjalne zachcianki, to mów od razu, bo...

— Usiądź, teraz chcę tylko porozmawiać.

— Nie podoba mi się to — warknęła. — Jesteś z policji?

— Szukam tej dziewczyny. — Mondragon wyciągnął zdjęcie Moniki Figurskiej i wystawił je przed oczy stojącej topless prostytutki. — Widziałas ją?

— Nie widziałam Koniec spotkania. Tam są drzwi!

— Ona też jest z Polski. I też ma na imię Monika...

— Głuchy jesteś, człowieku? Wypierdalaj!

— Jeśli mi pomożesz, ja pomogę tobie. Chcesz stąd uciec?

Prostyutka zawahała się, a po chwili jej niebieskie jak tafla oceanu oczy zaszkliły się. Przygryzła dolną wargę, aby opanować narastającą rozpacz, ale nie powstrzymała łez, które nagle urwały się z kącików i spłynęły po policzkach.

— Mogę cię wyrwać z łapsk tych Arabów, ale musisz mi pomóc. Wskaż mi, proszę, miejsce pobytu tej dziewczyny albo tych mężczyzn... — W górę powędrowały zdjęcia starego Muhammada Abi Rabki i jego trzech synów. — ... a jeszcze dziś będziesz wolna.

Młoda Polka drżała, w jednej chwili z drapieżnej, butnej i wyuzdanej dziwki zmieniła się w zagubioną i przerażoną dziewczynkę. Widząc niezdecydowanie rozdartej i skołowanej kobiety, wyciągnął swoją policyjną legitymację.

— Nazywam się Juan Mondragon i jestem oficerem policji. Od tej decyzji zależy twoja przyszłość, Moniko. Możesz wrócić do rodziny i...

— Oni mnie zabijają, jak...

— Nie pozwolę im na to, Moniko.

— Nie rozumiesz... Oni... oni mojej koleżance, Aksanie, obcięli głowę na oczach nas wszystkich. Kurwa... zrobili to scyzorykiem...

— Chcę ich za to wsadzić do więzienia. — Mondragon chwycił roztrzęsioną kobietę za przeguby i spojrzał jej w oczy. — Gdy tylko wskażesz mi miejsce pobytu tej dziewczyny... — Zdjęcie znów powędrowało na wysokość oczu prostytutki. — ...zadzwońię po posiłki. Antyterrorysty wkroczą tam i albo ich wystrzelają, albo wyciągną za chabety i skutych wpakują za kratki. — Mondragon mówił powoli i wyraźnie, aby młoda Polka zrozumiała każde słowo. — To jest twoja szansa, Moniko, podobna może się nie powtórzyć. Wystarczy, że...

— Nie znam jej, nigdy nie widziałam. Ale pamiętam tego z tym sztucznym okiem — Drżącym palcem wskazała Jusufa Abi Rabi'ę.

— Jesteś pewna?

— Zgwałcił mnie... Razem z tym drugim — Skierowała swój wzrok na najstarszego syna, Muhammada. — Robili to, trzymając mi nóż przy gardle...

W tym momencie nie wytrzymała i wybuchła głośnym szlochem Mondragon mocniej ścisnął jej nadgarstki.

— Moniko, powiedz mi, czy wiesz, gdzie ci mężczyźni przebywają?

— Nie jestem pewna, ale mogę wskazać miejsce, gdzie mnie zabrali — odparła po chwili, wciąż chlipała i pociągała nosem jak mała dziewczynka.

— Mogłabyś mnie tam zaprowadzić?

Prostytutka pokręciła przecząco głową.

— Nie mogę opuszczać mojego rejonu — wymamrotała przez łzy. — Od razu się zorientują. Boże... Nie wiesz, do czego są zdolni i... Nie jestem pewna, czy dobrze robię... Błagam, pomóż mi...

I wtedy pękła, a łzy trysnęły z pięknych, morskich oczu, mocząc jego białą koszulkę i poły marynarki. Wtuliła się mocno w jego klatkę piersiową, a Mondragon objął ją i próbował pocieszyć. Zawsze starał się być twardym gliną, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę jego serce jest miękkie jak wata. Potworne wyrzuty sumienia spadły na niego jak kawał zbrojonego betonu, uniósł głowę w górę i zamrugał, aby oddalić od siebie to przytłaczające uczucie. Udało się dopiero po kilkunastu sekundach, cennych sekundach.

„Świata nie uratuję, ale tej dziewczynie pomogę” — pomyślał i spojrzał na szafę z erotycznymi gadżetami. Na ścianie w lewym rogu wisiało kilka kolorowych peruk.

— Przebierz się, zmyj makijaż, zmień się tak, jak tylko wy to potraficie robić. Zabiorę cię stąd, a potem zaprowadzisz mnie do ludzi ze zdjęć.

— Ale...

— Nie ma żadnego „ale”. Nie zostawię cię tu. Szykuj się, zaraz wychodzimy!

Gdy opuszczali kamienicę, silne uderzenie jakimś tępym przedmiotem w potylicę powaliło Mondragona na ziemię. Kiedy tracił przytomność, słyszał tylko pełen trwogi krzyk młodej dziewczyny z Polski. Ostatnie, co przyszło mu na myśl, to scyzoryk. Potem osunął się w mrok.

MONIKA

Z pamiętnika porucznik Moniki Figurskiej, pseudonim „Ghula”

Ósmy dzień niewoli, 2023 rok, Barcelona, Hiszpania

Umarłam..

To była śmierć, kto tego nie przeżył, ten nie zrozumie. Człowiek potrafi umrzeć za życia, choć jego serce wciąż będzie wybijać swój rytm. Ciało to tylko powłoka, kupa mięsa, ścięgien i kości, zamknięta w skórzanym worku. To nic nieznaczące naczynie.

Dusza...

Ona potrafi cierpieć po stokroć bardziej niż ciało.

Dzisiaj odeszła na zawsze. Wiem, że już nigdy nie wróci. Wrota zostały zatrzaśnięte.

Tej nocy budziłam się dziesiątki razy. Koszmar trwał bez względu na to, czy spałam, czy też byłam w pełni świadoma. Czasem myślę, że gdyby ktoś wyrwał mi serce, to horror trwałby nadal.

Zresztą trwa do dziś.

Tej nocy odebrali mi wszystko. Tej nocy sprawili, że na zawsze stałam się potępiona. Tej nocy z tego niegdyś pięknego ciała została jedynie jałowa wydmuszka. Znienawidziłam je bardziej niż wszystkich moich oprawców razem wziętych. Nienawidziłam aksamitnej skóry, niebieskich oczu, pełnych ust i długich włosów, nóg do nieba, sprężystych pośladków i jędrnych piersi. To ciało stało się moją klątką, okrutnym koszmarem i ostatecznym przekleństwem.

Tej nocy zgwałciło mnie kilkunastu mężczyzn. To były demony, diabły wcielone. Bili mnie, opluwali, wyzywali. Zmusili, żebym piła ich cuchnący mocz i obrzydliwą spernę. Śmiali się i szydzili, drwili z moich łez. Zanim wyszli, wytarli mną brudną od błota, krwi, spermy i szczyń podłogę, jakbym była zwykłą kuchenną szmatą.

Moje ciało, niestety, nie odeszło wraz z duszą. Serce wciąż wykonywało swoją pracę, krew dalej płynęła w moich żyłach, a płuca wypełniały się zatechłym powietrzem. Nie chciało się poddać i uwięziło mnie jak pedofila w zbiorowej celi pełnej zwyrodniałych gwałcicieli. Dusza umarła, ale coś pozwoliło dziś znów otworzyć powieki. Pierwotny instynkt wciąż trzymał

mnie przy życiu.

Spróbowałam poruszyć palcami, ale nawet głębszy oddech sprawiał mi nieopisany ból. Dostrzegłam, że leżę w fekaljach. Dlaczego nie stanęło mi serce, tylko puściły zwieracze? Co za pieprzona ironia...

Kilkanaście centymetrów od mojej głowy stał kubek z wodą oraz talerz z ryżem i jakimś sosem. Zawsze dawali mi więcej po tym, jak się wyżyli. Dlaczego po prostu mnie nie zabijają?

Instynkt kazał mi przysunąć naczynia i mimo nieustającego bólu najpierw upiłam trochę wody, a potem zanurzyłam palce w pokarmie. Jak zwierzę, przestraszone i głodne, nabierałam kolejne porcje i wpychałam sobie do upodlonych ust. Hiena żrąca padlinę zapewne wyglądałaby przy mnie jak dama na salonach...

Przypieszyłam, gdy usłyszałam hałas na schodach. Zazwyczaj o tej porze przychodził Amir, ale tym razem odgłosy kroków oznajmiały, że zbliża się więcej osób. Kolejna odsłona mojego horroru? Może tym razem w końcu naprawdę umrę...

Pospiesznie wepchnęłam do ust ostatnie okruszki. Wtedy zamek przeskokzył i drzwi się otwały. Od razu wyczułam, że coś jest nie tak, nigdy nie zarejestrowałam podobnych odgłosów, a dziś potrafiłam już rozpoznać każdego z braci po głosie, chodzie, nawet oddechu. Rozbłysła żarówka.

W piwnicy stali wszyscy moi oprawcy: Muhammad ojciec, Muhammad syn, Jusuf, Ossama i Amir — dziś ich imiona prześladują mnie każdej nocy — a obok nich dwoje nieznanych mi ludzi. Nietrudno było się domyślić, że również zostali porwani. Mieli spętane ręce i zakneblowane usta. Wiek mężczyzny pozostał dla mnie tajemnicą, bo jego łysa głowa wyglądała, jakby przejechał po niej kombajn. Kobieta musiała być natomiast bardzo młoda, bez makijażu wyglądała na nie więcej niż siedemnaście, może osiemnaście lat. Miała naturalnie piękne i przyjazne rysy. Pomyślałam, że biedna dziewczyna nie ma pojęcia, co ją czeka.

Senior rodu wydał w swoim szpetnym języku jakieś polecenie i najstarsi synowie powalili ich na kolana. Kobieta cicho chlipała, mężczyzna przewracał oczami, sprawiał wrażenie nie do końca świadomego tego, co się dokoła dzieje. Wtedy ojciec przywołał Amira, schylił się i coś do niego powiedział. Młody kilkukrotnie przytaknął, choć dostrzegłam, że nie jest do końca przekonany. Więcej, bał się, w jego oczach zauważyłam strach.

Stary Arab wręczył mu nóż, a w zasadzie niewielki scyzoryk.

Zakrwawiony mężczyzna w jednej chwili oprzytomniał i zaczął wydawać jakieś nieartykułowane jęki. Na znak ojca ten ze sztucznym okiem wyrwał mu z gardła knebel.

— Nie ujdzie wam to na sucho — wymamrotał. — Wiedzą, gdzie jestem. Posiłki są już w drodze.

— Wątpię — odparł z drwiną w głosie stary. — Ale jeśli taka jest wola Allaha, Allahu Akbar, pokornie poddam się jej.

— Zabicie policjanta zwali ci na głowę całą armię pieprzonych antyterrorystów i...

— Milcz, psie! — warknął Abi Rabka. — Twoje nikczemne usta kalają ten dom. Obrażasz Allaha, otwierając je w mojej obecności. To dzielnica Proroka, tu panuje szariat! I dziś tu zdechniesz, taki właśnie los wybrał dla ciebie Wszechmocny Allah, Allahu Akbar! — zagrzmiał, a jego synowie zaraz po nim zaintonowali pochwałę swojego Boga.

Arab ze sztucznym okiem odchylił głowę policjanta do tyłu, eksponując pulsującą aortę na gardle. Mężczyzna próbował się wyrwać, ale żelazny chwyt oprawcy był równie silny jak imadło. Muhammad Abi Rabka skinął na Amira, a najmłodszy syn nieśmiało podszedł do ofiary.

Boże!!!

Zrozumiałam, co się zaraz stanie. Nie odważyłam się wydać jakiegokolwiek dźwięku, ale w myślach krzyczałam jak opętana. Zamknęłam oczy, ale nie było mi dane opuścić tego makabrycznego spektaklu. Najstarszy syn natychmiast podszedł i brutalnie zmusił mnie, abym otworzyła powieki. Po policzkach bezwiednie pociekły łzy.

Pierwsze cięcie nie zrobiło policjantowi większej krzywdy, ale kolejne otworzyły gardło i poląła się krew. Amir wykonywał ruchy, jakby co najmniej piłował grube polano drewna, dla dziesięcioletniego dziecka każdy jeden był wielkim wysiłkiem. Mężczyzna zaczął charczeć i rzezić, szkarłatny strumień tryskał na jego klatkę piersiową i podłogę. W pewnym momencie puściła główna aorta i wystrzeliła fontanna jasnoczerwonej krwi, niemal w całości obryzgując małego Amira.

Nie wytrzymałam i zwymiotowałam. Wpadłam w otchłań. Patrzyłam, ale nie widziałam, jak chłopiec wybuchnął płaczem, słuchałam, ale nie słyszałam panicznych krzyków nastoletniej dziewczyny. Wszystko było umazane krwią, a twarz policjanta wciąż poruszała się i wykrzywiała w przedziwnych grymasach. Amir upuścił ostrze i chciał wybiec, ale ojciec chwycił go za

ramię i kazał patrzeć, jak starszy brat kilkoma uderzeniami swojego wojskowego noża odrąbuje głowę mężczyzny, choć ta wciąż stawiała opór i nie chciała oderwać się od korpusu. W końcu chwycił ją w umorusane posoką łapska i zaczął okręcać dokoła własnej osi. Przez ułamek sekundy w swoistej niedorzeczności pomyślałam, że wygląda jak rolnik próbujący wyrwać z ziemi dużą kapustę. W końcu z chrupnięciem pękł kręgosłup i ciało bezwiednie opadło na betonową podłogę. W przerażeniu dostrzegłam, że powieki wciąż się poruszają. Odrąbana głowa mrugała, jakby wciąż była żywa.

— Tak kończą ci, co nie godzą się z wolą Allaha, Allahu Akbar — zwrócił się do mnie po angielsku pomarszczony staruch.

Potem skinął na starszego syna, który przyłożył zakrwawione ostrze do szyi kobiety. Tym razem weszło głęboko już za pierwszym razem. Oczy dziewczyny w jednej sekundzie stały się czerwone jak dwie dorodne czereśnie, a po chwili niemal wyszły z orbit. Zanim się obejrzałam, głowa o bujnych blond włosach potoczyła się po podłodze i zatrzymała tuż obok mnie.

Ona też zamruwała, a ja wrzasnęłam w niemym krzyku kompletnego obłąkania.

NIEWIERNY

28 lutego 2022 roku, okolice granicy polsko-niemieckiej, ok 100 km od Berlina

Na moich książkach osiadł kurz. A ja idę przed siebie. Takie są rozkazy. Odnaleźć źródło zarazy i wybić do nogi. Rozkazy.

Jest zimno, moja broń pokryła się szronem Zimna stal błyszczący w promieniach zachodzącego słońca koloru brudnego moczu. W ciemnych okularach gwiazda zdaje się chora, jakby układała się do snu na zawsze. Pomiędzy kikutami butwiejących drzew łąpie po raz ostatni, po czym znika, pozostawiając krwistoczerwone chmury. To nigdy nie jest dobry omen.

Zwiastun kroczącego zła...

Przecieram brudne szkła z pyłu i ściągam maskę. Szary pył podobno już tak szybko nie zabija. Przynajmniej tak mówią, ale czy to prawda? Trudno ocenić, bo śmierć jest w moim świecie jak oddychanie. Pojawia się każdego dnia, jest cholernie regularna, umrze dopiero razem ze mną. Kto wie, czy nawet wtedy ktoś nie poda mi respiratora...

Śmierć... Czasem myślę o niej z radością. Czasem marzę, aby po mnie przyszła. Radioaktywny opad już jednak wykonał swoją robotę. Nie jest tak groźny, jak w dzień sądu. Słabi chorują i znoszą to gorzej, tacy jak ja ich bronią. I walczą o każdy kolejny dzień.

Ile jeszcze? Jak długo wytrzymam? Ile żyć zdołam jeszcze odebrać, zanim ponura kostucha zgłosi się po moją zgniłą duszę?

Bo gniję jak wszystko, co mnie otacza. Spróchniałe drzewa, rozkładające się plony, zdechła zwierzyna. Wszystko to kiedyś było żywe i zielone, dziś ma kolor śmierci, cuchnie jak oddech samego przywódcy, ich jedyne go guru, do którego modlą się dniem i nocą. Ten smród zawsze wieszczy rozlew krwi.

Gdy powieje wiatr z zachodu, mocniej chwytam broń. Każdy tak robi, gdy nadciąga bestia. Bezlitosna, bezmyślna, bezdusza. Ijej zombie...

Biorę głęboki oddech, jest mroźny i ożywczy, choć przepełniony ohydłą wonią beznadziei. Tu nic nie kwitnie, pszczoła nie zabzyczy, świerszcz nie zagra. Nie słyhać nawet szumu drzew, jedynie gwizd wiatru i posępny skrzek pożywiających się kruków. Obsiadają butwiejące kikuty, gnijące truchła i bielejące szkielety. Stukają dziobami o kości i przewracają czarnymi jak sama śmierć oczami. Czemu przetrwały tylko one? Posłańcy mroku...

Za wzgórzem słońce po raz ostatni rzuca szkarłatne promienie na ten ponury świat. Zaraz spowije nas mrok, a wtedy wkroczymy do ich ula. Takie mamy rozkazy. Śmierć za śmierć.

Moczę usta w menażce z wodą, jest zimna i orzeźwiająca. Moi bracia i siostry mijają mnie, wszyscy mają maski, chronią się przed wszechobecnym pyłem Szary śnieg skrzypi pod ich żołnierskimi butami, w dłoniach dzierżą broń.

Porucznik Figurska rzuca mi treściwe spojrzenie. Daję znak, że wszystko gra, a mój wzrok jak zwykle przykuwa długie i szerokie ostrze schowane w skórzanej pochwie przytwierdzonej do jej paska. Szwajcarska robota, piękny nóż. Wiem, że dziś znów spłynie krew. Dziś znów wytnie kolejne trofea.

Nakładam maskę na twarz i dalej przedzieram się przez brudny śnieg. Nawet on wygląda paskudnie. Zdaje się trujący i zabójczy jak wszystko dokoła. Na horyzoncie już widać kontury zabudowań. To cel, tam czeka wróg. Mocniej chwytam zimną stal. Już wkrótce znów się rozgrzeje.

Ostatni raz spoglądam w niebo. Jestkwiście czerwone.

KRZYSIEK

29 sierpnia 2022 roku, Ille-sur-Tet, Francja

Panie, Boże Wszechmogący. Jeśli istniejesz, pomóż mi. Jeśli gdzieś tam jesteś, teraz na mnie spójrz. I wysłuchaj... Nigdy w Ciebie nie wierzyłem, nigdy Cię o nic nie prosiłem, ale w tej chwili błagam Cię o pomoc. Jeśli istniejesz, pomóż jej...

Błagam Cię, ty żalosny skurwysynie! Skoro już skazałeś ją na ten ból, przynajmniej daj jej siłę... Błagam cię...

Spójrz na mnie! Kajam się przed Tobą, klękam i proszę o choć odrobinę pieprzonej łaski...

Błagam, jeśli istniejesz, daj jej siłę...

I wiedz, Że nie odpuszczę.

Nie wybaczę.

Zabiję wszystkich.

Pierwsze krople krwi spłynęły po przedramieniu Krzyśka, który jeszcze chwilę trwając w samotnej modlitwie, podniósł się wreszcie z kolan. W dłoniach wciąż ścisnął swój nieśmiertelnik, tak mocno, że werznął się w ciało. Po raz ostatni uniósł głowę i spojrzał na krucyfik. W nawie kościółka żołnierz nie wyglądał tak groźnie, jak zazwyczaj. Jego potężna sylwetka nikła w przestronnym wnętrzu, przy dostojnym ołtarzu i kolorowym świetle rzucanym przez majestatyczne witraże.

Był mały, nieistotny, banalny i niegodny uwagi. Tak się czuł, gdy patrzył w oblicze rzeźby umierającego na krzyżu Chrystusa. Krzysztof Figurski — nic nieznaczący trybik w gigantycznej maszynie, samotny kawałek kosmicznej skały wędrujący przez niekończącą się przestrzeń wszechświata.

Jeśli istniejesz, pomóż mi.

Błagam, bo Cię przeklnę na wieki.

Pomóż mi, Boże, bo po nią jadę...

Spuścił wzrok i odwrócił się na pięcie. Gdy już chciał opuścić świątynię, kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Nie był sam, choć dopiero świtało i raczej było mało prawdopodobne, aby jakiś mieszkaniec o tej porze przyszedł się pomodlić. Wtem z półmroku wyłoniła się szczupła i pociągła twarz, a promienie słońca chwilę później nieśmiało spowiły całą sylwetkę tajemniczego przybysza.

— Synu?

Legionista zignorował wołanie.

— Synu, poczekaj...!

Ton księdza kazał mu się zatrzymać. Miał miękki, choć stanowczy głos.

Krzysiek odwrócił się w milczeniu. Kapłan powoli wyłonił się z mroku, w tradycyjnej, ciemnej szacie wyglądał jak duch, był wysoki i bardzo chudy. Jego dopiero co ogolona czaszka połyskiwała w porannych promieniach słońca.

— Nie mam czasu, muszę iść — burknął legionista.

— Jednak znalazłeś chwilę, aby tutaj przyjść. Czy udało ci się porozmawiać z Bogiem?

Młody żołnierz poczuł się zmieszany, ale jakaś siła kazała mu pozostać w miejscu. Coś go trzymało, jakby głos księdza go zahipnotyzował.

— Nie wiem, ojcie — odparł Krzysiek. — Po prostu nie wiem...

— Bóg słyszy każdego, ale to, czy wysłucha, zależy wyłącznie od nas, bo każdy z osobna nosi go we własnym sercu. — Ksiądz zbliżył się na tyle, że Figur mógł dojrzeć głębię jego hebanowych oczu.

— Widzę krew na twoich rękach, synu...

— To moja krew i...

— Jesteś żołnierzem... — Kapłan nie dał mu dokończyć i wymownie spojrzał na pokryty szkarłatem nieśmiertelnik, który już zabarwił na czerwono koszulkę na piersiach. — Widzę w twoich oczach żar i pasję. Ale nie tylko, czuję też niepohamowaną żądzę krwi...

— Przepraszam, proszę księdza, ale naprawdę muszę iść — rzekł Krzysiek, ale nie ruszył się ani o centymetr, miał wrażenie, że pętały go jakieś niewidzialne więzy.

Kapłan cierpliwie czekał, świdrując go wzrokiem tak przenikliwym, jakby zaglądał na dno jego duszy.

— Zgwałcili i porwali mi siostrę, robią to cały czas... — wypalił nagle Krzysiek, samemu nie mogąc uwierzyć w to, co mówi, po policzkach znów popłynęły łzy, ale nie próbował się przed nimi bronić. Człowiek stojący przed nim miał osobliwą moc, która działała na niego nieprawdopodobnie kojąco, jak balsam na otwartą ranę na jego sercu. — Tylko ona mi pozostała, ojcie. Wiem, że wciąż żyje, bo ten stary skurwiel chce ją sprzedać na targu niewolników. Dlatego zrobię wszystko, absolutnie wszystko, jak mi Bóg nie pomoże, to zaprzędam duszę samemu diabłu, aby ją odnaleźć i pomścić każdą jej krzywdę. — Ostatnie zdanie wysyczał niemal przez zaciśnięte zęby.

— Zemsta nie jest drogą do Królestwa Bożego, synu. Ona zawsze prowadzi do piekła.

— Ale właśnie tam się wybieram... — Figur wniknął wzrokiem głęboko

w oczy kapłana.

— Te muzulmańskie ścierwa zapłacą za każdą sekundę jej cierpienia — warknął i już chciał odejść, gdy pojął, że wciąż jest bezwolny, jakby ktoś przyspawał go do podłogi.

— Nie odwiode cię od tego, co chcesz zrobić, ale zapamiętaj jedno, synu. W piekle rządzi diabeł, ale to nie znaczy, że jest zamieszkane jedynie przed demony. Większość stanowią zbłąkane i udręczone dusze, które kiedyś skuszone jego obietnicami, dziś cierpią męki pod butem władcy tego ponurego przybytku. Pamiętaj o tym, gdy trafisz w to miejsce. Pamiętaj, że nie każdy jest jego sługą i nie każdy wyznaje jego kult. Powiem więcej, zdecydowana większość jego poddanych, gdyby mogła, uciekłaby z miejsca, do którego podążasz, które nazywamy... które ty nazywasz piekłem Pamiętaj o tym, gdy na szali znajdzie się czyjeś życie...

Nagle niewidzialne więzy puściły i Figur poczuł się oswobodzony. Po raz ostatni spojrzął księdzu w oczy, ale nie dostrzegł w nich jednoznacznej odpowiedzi. Przedziwna metafizyczna więź, jaka połączyła ich na te kilka minut, rozplynęła się jak mgła. Teraz stał przed nim jedynie kościsty mężczyzna w habicie i z różańcem w dłoniach, kilkanaście centymetrów poniżej bujał się lśniący srebrnym blaskiem krzyżyk.

— Weź go, synu, i nigdy nie odwracaj się od Boga — rzekł kapłan i owinał go wokół prawej dłoni swojego rozmówcy.

Młody żołnierz nawet nie drgnął, pozwalając kapłanowi na ten niespodziewany gest, chwilę później zalała go fala błogiego spokoju. Zamknął oczy, po policzkach znów popłynęły łzy. Zacisnął różaniec w pięści z taką siłą, że kilka kolejnych kropel krwi skapnęło na podłogę.

Otworzył powieki i z zaskoczeniem spostrzegł, że jest sam Rozejrzał się dookoła, ale w kościele prócz niego nie było żywej duszy. Ksiądz zniknął, jakby wyparował, zupełnie bezszelestnie rozplynął się w powietrzu.

Czy to możliwe? Gdzie się podział? Czy ja już wariuję?

Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku wyjścia. Echo jego kroków wypełniło przestronną, choć na swój sposób przytulną salę.

Gdy chwycił mosiężną klamkę, zorientował się, że w dłoni wciąż ścisną ociekający szkarłatem różaniec...

KUBA

29 sierpnia 2022 roku, Ille-sur-Tet, Francja

Do sennej miejsciny u podnóży francuskich Pirenejów zajechaliśmy kilka minut po siódmej. Granicę minęliśmy w wysokich górach, na jednej z bocznych, krętych dróg, aby nie rzucać się w oczy. W tym względzie zaufaliśmy Franco, który wciąż był dla mnie człowiekiem zagadką. Do tej pory nie wiedziałem, jaka więź łączyła go z Krzyśkiem, ale musiała być cholernie silna, skoro pakował się w ten syf z własnej woli. Może miał wobec niego dług wdzięczności? Może Figur kiedyś uratował mu na misji życie? Powodów mogło być wiele, w każdym razie Włoch dołączył do naszej ekipy, choć nie miał ku temu żadnego dostrzegalnego na pierwszy rzut oka powodu.

Do granicy dojechaliśmy trochę po piątej, prowadził Zaccherini, który — tak jak słusznie podejrzewałem — zajmował się przemytem broni, najlepiej znał teren, kto wie, może miał nawet opłaconych celników. Szczęście dopisało, bo maleńki posterunek, który bardziej przypominał wychodek niż budynek rządowy, wyglądał na pusty, w każdym razie nikt nas nie zatrzymał i spokojnie pojechaliśmy dalej, pomimo że pół bagażnika „Frankowego” grafitowego forda explorera wypełniały torby i walizki z bronią i najnowocześniejszym sprzętem elektronicznym. Z oczywistych względów ostrzelanego land cruisera zostawiliśmy na posesji Włocha pod Sabadell.

Nie przespałem ani minuty, choć próbowałem się do tego zmusić. Serce wciąż waliło mi w piersi jak opętane, adrenalina buzowała w żyłach, a ja pomimo cudownych widoków za oknem myślałem tylko o ojcu Nawal. Może dlatego tętno wciąż miałem wysokie, jakbym dopiero co skończył dziesięciurundowy pojedynek, nie mogłem się jednak opędzić od imaginacji jego wysuszonej słońcem i pooranej bruzdami twarzy, dosłownie czułem na sobie jego surowy wzrok i cuchnący zgnilizną oddech.

Skurwysyn...

Mieliśmy pecha, bo Abi Rabka wyjechał z Barcelony kilka godzin wcześniej, oczywiście zabrał ze sobą Monikę i bandę swoich popieprzonych synków. Krzysiek i Franco dowiedzieli się tego od jego ludzi. Nie pytałem jak, nie wnikałem w szczegóły, byli legionistami i mieli swoje sposoby. Wiem tylko to, co widziałem i słyszałem. A widziałem dwie postaci, które po serii wystrzałów wyleciały z trzeciego piętra przez okno i została po nich mokra plama. Czy tym samym stałem się współwinny ich śmierci? Szczerze mówiąc,

gównie mnie to obchodziło. Nie wiem dlaczego, ale fakt, że ci ludzie zdechli na ulicy jak niechciane kundły, na swój sposób wręcz mnie cieszył. Gdy ruszyłem z piskiem opon i przejechałem po zwłokach jednego z nich (dla spokoju ducha założyłem, że był już wtedy martwy), poczułem, że żyję. Adrenalina wręcz rozsadzała mi żyły, a ja jechałem podziurawionym od kul land cruiserem, z wściekłym uśmiechem na ustach. Dziwne i niespotykane uczucie, którego — choć starałem się o tym nie myśleć — tak naprawdę pragnąłem więcej.

Gdy ostatecznie udało nam się umknąć z El Raval, Franco przejął stery i bocznymi drózkami udał się do swojej dziupli pod Sabadell, na obrzeżach Barcelony. W tym czasie Krzysiek, może i trochę chaotycznie, opowiedział nam, co stało się w środku kamienicy, a raczej szpetnego burdelu, głównie dla ludzi z lokalnego półświatka. Wyjątkowa aparycja naszych przyjaciół nie wzbudziła większych podejrzeń, więc poprosili o niebieskooką blondynkę, która nie mówi „nie”. Wyłożyli trzysta euro, a cherlawy i karłowaty Afgańczyk zaprowadził ich na górę. Do wyboru mieli trzy prostytutki, które spełniały ich wymagania, niestety, wśród nich nie było Moniki, żadna nie była nawet Polką. Wtedy Figur „grzecznie poprosił” pracownika, aby powiedział mu, gdzie jest jego siostra. Najwyraźniej był przekonujący, bo konus wyznał mu wszystko, czego Figur oczekiwał, podobno stosunkowo szybko.

Krótko później ktoś ich spostrzegł i wynikła strzelanina. Niemal od początku skazana na niepowodzenie atakujących, którzy przy doświadczonych i zaprawionych w bojach legionistach wyglądali jak dzieci z pukawkami na wodę. Krzysiek i Franco położyli trupem trzech w środku, dwóch wylądowało na ulicy. Gdy przebili się przez korytarz, land cruiser czekał już w umówionym miejscu, więc czym prędzej wskoczyli, a ja z piskiem opon wyrwałem do przodu.

Po około godzinie jazdy dotarliśmy do ukrytego w gąszczu krzewów budynku, który przypominał starą, rozpadającą się ruderę. Okna od południa były zabite sztachetami, a zadaszenie nad gankiem niebezpiecznie chyliło się ku upadkowi. Po połamanej pergoli przy wejściu pięły się pędy dzikiej winorośli, dodając chałupie szczypty tajemniczości. Obok stała stodoła i kilka zardzewiałych, od dawna nieużywanych maszyn rolniczych, dalej wraki starych samochodów, w większości nienadające się już do jazdy powypadkowe rzęchy, które tutaj znalazły swoje miejsce wiecznego spoczynku. Posesja sprawiała wrażenie opuszczonej, gdyby nie fakt, że dokoła

działki stał solidny płot, a w środku biegały cztery amstafy, gotowe w jednej chwili rozerwać na strzępy każdego nieproszonego gościa. Od początku do końca czułem się w ich obecności niepewnie, choć muszę przyznać, że niepotrzebnie, bo w przy swoim panu zachowywały się bardzo karnie.

Franco zajmował się handlem bronią, tak przynajmniej udało mi się wywnioskować po ich wspólnej wizycie w piwnicy. Krzysiek wrócił ze sporych rozmiarów walizką, w której, jak się później okazało, znajdowała się zdemontowana snajperka. Otworzył ją na stole i sprawnymi, wyuczonymi ruchami złożył karabin w niecałe dwie minuty. Sig Sauer 550, szwajcarskie cacko, prezentował się naprawdę okazale. Piękna broń, która nawet na milczącym i prowadzącym swoje własne wojny Afganie zrobiła piorunujące wrażenie.

— Chcesz ich wszystkich pozabijać? — spytałem, obserwując starego przyjaciela, który przystawił sobie kolbę do klatki piersiowej i sprawdzał celownik optyczny.

— Tak— odrzekł bez chwili wahania, nie odsuwając oka od lśniącego okularu, nie drgnął nawet najmniejszy mięsień na jego twarzy.

Zrozumiałem, że wkroczyliśmy na drogę bez powrotu. Dotarło to do mnie z taką mocą, jakby ktoś wbił mi tę informację do giowy ciężkim młotem. Bez względu na to, czy zginiemy, czy wyjdziemy z tego cało, już nigdy nic nie będzie takie samo. To było jasne i oczywiste. I wiecie co? Miałem to w dupie. Chciałem nowego otwarcia, pragnąłem stać się pierdolonym aniołem zemsty, ta wersja zaczynała mnie coraz bardziej podniecać. Zdałem sobie sprawę, że Figur mi imponuje, jego postura, muskulatura, swoista szorstkość w obyciu, ale i niesamowity hart ducha. On był prawdziwym mężczyzną, nie jakimś żalonym studenciakiem z mlekiem pod nosem. Chłopak, z którym popijałem pierwsze piwa, z którym podrywałem pierwsze dziewczyny, z którym wychowywałem się na jednym osiedlu i kumplowałem od czasów podstawówki, był dziś kimś z innego, nieosiągalnego dla mnie świata. Może i surowego, może i brutalnego, ale prawdziwego. Jak pieprzony John Rambo był twardym, nieustępliwym, samowystarczalnym żołnierzem, człowiekiem honoru, odważnym, zdecydowanym, posiadającym wyjątkowe, poparte morderczym szkoleniem umiejętności, które w każdej chwili może wykorzystać, aby momentalnie zmienić się w maszynę do zabijania.

Kurwa! Był tylko o dwa lata starszy, startowaliśmy z tego samego pułapu. I co sobą reprezentowaliśmy? Czy nie byłem przy nim żalonym pizdą... ?

Krew się we mnie gotowała, gdy myślałem, jaki ze mnie mięczak. Zwykła dupa wołowa, która pozwoliła porwać i zamordować ciężarną ukochaną, a potem poderznąć sobie gardło przez jakiegoś dzieciaka. Musiałem to zmienić. Zrozumiałem, że chcę być taki jak Krzychu. Chcę stać się mężczyzną...

Dochodziła dziesiąta. Siedziałem oparty łokciami o ławę i myślałem Afgan spał w samochodzie, a Franco, dopiwszy kawę, poszedł zapalić na pobliską ławkę z punktem widokowym Chyba wszystkim nam udzieliła się potrzeba chwilowego odizolowania się, psychicznego odpoczynku, który mogliśmy odnaleźć jedynie w samotności. Najbardziej zdziwiła mnie postawa Krzyśka, który po prostu zniknął. Gdy przyjechaliśmy do tej zabitej dechami, choć na pewno pięknej i posiadającej swój urok (turysta mógłby nawet rzec bardziej dosadnie — zapierającej dech w piersiach) miejsciny, mój stary przyjaciel postanowił, a my na to przystaliśmy z nieskrywaną radością, że powinniśmy się zatrzymać, złapać choć kilka godzin snu i przede wszystkim coś zjeść. Do tej pory wszyscy, chyba wszyscy, a na pewno ja i Afgan, byliśmy jak tykające bomby. Teraz przyszła chwila wyciszenia, tak nam... tak mi cholernie potrzebna.

Niebo było błękitne i całkowicie bezchmurne. Słońce przypiekało coraz mocniej, wystarczyło, że moje przedramię znalazło się poza cieniem rzucanym przez zielony parasol Heinekena, a od razu dawało się odczuć jego moc. Na szczęście wytchnienie dawał wiejący od zachodu wiatr. W oddali majaczyły szczyty Pirenejów, w które beznamiętnie wpatrywał się Franco Zaccherini, paląc kolejnego papierosa.

Gdzie ja, kurwa, jestem?

Zamknąłem oczy i potrząsałem głową, aby uwolnić się od podobnych, debilnych pytań. Sam wybrałem tę drogę i żeby stać się mężczyzną — tak jak Krzychu — musiałem nią podążać. Nie mogiem wycofać się jakobesrana ciota, wiem, że nie straciłbym jedynie szacunku chłopaków, ale po prostu już nigdy nie mógłbym spojrzeć w lustro. Znów doznałem tego cholernie dogłębnego uczucia, jakby jakiś niewidzialny byt otoczył mnie, przytłoczył, obezwładnił, a następnie wgniół w ziemię i podeptał. Wstyd i hańba są naprawdę okropne. Nie sposób przed nimi uciec. Zawsze cię dopadną.

— Pospałeś? — Z zamyślenia wybił mnie znajomy głos Krzyśka.

— Chyba chwilę, tutaj mnie odcięło. A gdzie ty się podziewałeś tyle czasu? — spytałem i przeciągnąłem dłońmi po twarzy, żeby się nieco

rozbudzić.

Krzysiek gwizdnął, chcąc zwrócić uwagę Franco. Włoch odwrócił się i wymownie machnął ręką, dając znak, że już do nas idzie.

— W kościele. Afgan śpi?

— Chyba tak, ale... ty i kościół? — spytałem z lekkim niedowierzaniem — Zostawmy to — uciał Krzysiek i usiadł naprzeciwko mnie.

Nie cisnąłem go dalej, nie było sensu. Dostrzegłem jednak dziwny blask w jego oczach, nie potrafiłem tego jednoznacznie określić, ale wyglądał, jakby był lekko zawstydzony, a zarazem jeszcze bardziej zdeterminowany. Machnął ręką w kierunku samochodu. Obróciłem się i ujrzałem Afgana, który właśnie wygramolił się z grafitowej terenówki. Po chwili byliśmy już w komplecie.

— Czas omówić plan działania, panowie — rozpoczął po hiszpańsku Krzysiek. — Pytanie numer jeden — czy każdy z was chce dalej brać w tym udział? — Wszyscy w milczeniu kiwnęli głowami. — Chcę to usłyszeć głośno i wyraźnie — naciskał Figur, każdemu z nas po kolei patrząc prosto w oczy.

Wszyscy jak jeden mąż odpowiedzieliśmy krótkie *si*.

Przez ułamek sekundy przeleciał mi przez głowę widok zapłakanej matki, ale zaraz przysłonił go obraz rozpływającej się twarzy mojej ukochanej Nawal, a następnie pysk tego starucha. Chwila zawahania zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

— A więc dobrze — kontynuował Krzysiek. — Podsumujmy wszystko raz jeszcze. Jedziemy do Paryża, a dokładnie do Saint-Denis, prawie milionowej dzielnicy, w której ponad dziewięćdziesiąt pięć procent mieszkańców to muzułmanie. Według najnowszych badań ponad trzydzieści procent z nich to wierni o mocnych odchyłach radykalnych, a blisko pięć procent to ekstremiści. To daje nam przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy ludzi, którzy są w stanie nas zabić tylko za to, że jesteśmy biali i nie wierzymy w Allaha.

— Jedziemy prosto w paszczę lwa — mruknął Franco.

Przełknąłem ślinę, aż zagrała mi w gardle.

— Dość obrazowo, ale tak to można ująć — skonstatował Krzysiek. — W tym miejscu od lat policja się nie pojawia, a po powstaniu paryskim w zasadzie ma nieoficjalny zakaz od samych władz, aby nie prowokować mieszkańców. Przekraczając tę niewidzialną granicę, wkroczymy na teren wroga, w dosłownym znaczeniu. O ile w ciągu dnia jeszcze będziemy mogli się poruszać w miarę bezpiecznie, udając żadnych mocnych wrażeń turystów, o tyle w nocy nasze możliwości będą znacznie ograniczone.

— Jest aż tak niebezpiecznie? — spytałem, nie do końca wiedząc, co mój przyjaciel ma na myśli.

— Panuje niepisana zasada, że w nocy niewierny nie ma tam wstępu, a jeśli jest na tyle głupi, aby spróbować ją złamać, to musi liczyć się z tym, że wróci w samych majtkach. Jeśli będzie miał szczęście, oczywiście...

Kątem oka dostrzegłem, że noga Afgana podskakuje pod stołem jak opętana, wprawiając w drżenie ławę, na której siedzieliśmy. Też się bałem, choć próbowałem zachować pozory i niewzruszoną minę. Legioniści nie dali nic po sobie poznać. Myślę, że Krzysiek przeanalizował sobie wszystkie za i przeciw, ostatecznie uznając, że nasza obecność się przyda. Inaczej już dawno by nam podziękował. Jednym słowem byliśmy pełnoprawnymi członkami ekipy.

Figur kontynuował:

— Targ niewolników zaczyna się za trzy dni i będzie trwał kolejne trzy. Nie znamy jego lokalizacji, ale akurat to nie będzie zbyt trudne do ustalenia. Ale nawet gdy się tego dowiemy, nie wej dziemy tam bez zaproszenia i...

— Też nie do końca tak to wygląda — przerwał mu Franco. — Jeden z moich całkiem niedawnych klientów zachwalał kupno niewolnicy i opowiadał mi, jak wygląda taki proces. Biali czy niewierni też mogą przyjść kupić sobie dziewczynę lub... chłopca, jak kto woli.

— Jesteś pewny, że bez zaproszenia?

— Wbrew pozorom organizatorzy nie dbają tak bardzo o wyznawaną religię, a raczej zasobność portfela. Owszem, zaproszenie jest obowiązkowe, gdy chciałbyś dostać się do sekcji, gdzie licytują najbogatsi, ale większa część targu jest dostępna dla wszystkich.

— To dobra wieść... — Figur zmarszczył brwi, analizując fakty.

— Ale to nie rozwiązuje w pełni naszego problemu, bo i tak będziemy jednymi na sto — tłumaczył Franco. — Bez wątpienia organizatorzy będą mieć nas na oku i jeden fałszywy ruch może spalić cały temat. Poza tym Monika zapewne trafi do sekcji dla krezusów, inaczej Abi Rabi'a tak by nie ryzykował i zostawił ją gdzieś po drodze, w jednym z podrzędnych burdeli, albo po prostu zabił.

— Chyba że traktuje ją jak swoje trofeum... — syknął Krzysiek.

Widziałem jak zadrgała mu powieka, gdy Zaccherini wspomniał o hipotetycznej śmierci jego siostry.

— Wtedy niekoniecznie będzie chciał ją sprzedać — zripostował potężny

Włoch. — Ale szczerze w to wątpię, jest chciwy jak oni wszyscy, a kasa mu potrzebna, bo służby odcięły ich ostatnio od wsparcia finansowego od szejków z Bliskiego Wschodu. A Monika z taką historią będzie warta fortunę.

— Wkurwia mnie takie gadanie o niej jak o jakiejś wystawowej lalce — obruszył się Figur. — Ale kontynuujmy, przepraszam, poniosło mnie... — dodał po chwili, zaciskając zęby w nerwowym tiku.

— Czy jest jakakolwiek możliwość, aby Abi Rabka się nas spodziewał? — spytał po chwili Franco, w tonie wyczułem nutkę agresywnej podejrzliwości.

— Ci, których w burdelu wzięliśmy na spytki, to już zimne trupy.

— Rabah wciąż żyje... — wtrąciłem, pragnąc choć na chwilę zaistnieć w dyskusji prawdziwych mężczyzn.

— Nie ma kontaktu z Abi Rabką, a poza tym Rabah to gówniarz, żaden terrorysta czy bandzior z typu tych z El Raval. Do tej pory pewnie nie może pozbyć się sraczki. Nic nie powie — zapewnił nieco poirytowany Krzysiek, choć dostrzegłem, że nie jest do końca zadowolony z takiego obrotu sprawy.

— To nie było rozsądne... — zaczął Zaccherini.

— Wiem, do jasnej cholery! — warknął. — Zaufajcie mi, że ten szczył wciąż siedzi na kiblu, myśląc, że mogę po niego wrócić.

— Okej, więc nie ma tematu — zamknął wątek włoski kompan, musieli mieć do siebie bezgraniczne zaufanie. — A więc według moich informacji na targ wejdziemy, ale na tę chwilę więcej nie ustalimy w tej kwestii. Dopóki nie zobaczymy, gdzie się odbywa i nie ocenimy naszych szans, nie możemy stworzyć sensownego planu działania. Czy macie w Paryżu jakieś znajomości?

— Mam kuzynkę — wyskoczyłem jak Filip z konopi, ale od razu połapałem się, że palnąłem totalne głupstwo.

Jakie ta znajomość mogła mieć znaczenie? Owszem, Zaccherini zadał to pytanie nam wszystkim, ale dało się czuć w tym pewną sztuczność. Franco może nami nie gardził, ale we mnie i w Afganie w najlepszym wypadku widział bezużyteczny balast, a już na pewno nie osoby, na które można liczyć, szczególnie w kryzysowych sytuacjach. Wcale mnie to nie dziwiło, bo choć przy pierwszej akcji nie spękaliśmy, to facet miał w zasadzie rację. Byliśmy mięczakami.

— Kim jest twoja kuzynka? — spytał śmiertelnie poważnie Krzysiek.

— Nooo... dobra, nie ma co gadać, ona nam nie pomoże — odpowiedziałem, nieco zażenowany swoją naiwnością.

— Wyluzuj, powiedz, kim jest — Figur naciskał.

— Jest artystką, gra na saksofonie — burknąłem, mając wrażenie, że jeszcze bardziej się pograżam — Ale... — Dzięki temu drobnemu faktowi mogłem wyjść z tej sytuacji z twarzą. — ... Kaśka spotykała się kiedyś z Marokańczykiem A poza tym zna pewnego arabskiego dilera. Wiem, bo kiedyś sam wciągałem jego kokainę. Nie wiem, jaką ma z nim relację, ale to chyba ktoś w rodzaju przyjaciela albo coś w ten deseń. To raczej nie gruba ryba, ale wprowadził nas do jednego z najlepszych hoteli w mieście, na baletach witano go, jakby znał wszystko i wszystkich. Nie wiem, czy to może nam pomóc...

Urwałem, speszony, z twarzy Krzyśka i Franco nie mogłem wyczytać, czy w ogóle biorą na poważnie to, co mówię. Na Afgana nawet nie spojrzałem, choć kątem oka widziałem jego nerwowe tupanie pod ławką.

— Michał?

— Nie pomogę wam Nikogo nie znam — Franco?

— Paryż zawsze omijałem z daleka... — westchnął, zawiedziony. — Już to przeanalizowałem, mam kilku znajomków i klientów, ale nikogo, komu mógłbym zaufać.

— Nie mamy więc wielkiego pola manewru. Pojedziemy najpierw do człowieka, który od trzech lat mieszka w osiemnastej dzielnicy, która graniczy z Saint-Denis. Nazywa się Ayo Mosisi i jest Sudańczykiem — Kto to jest? — zapytał Franco.

— To muzułmanin, ale ręczę za niego. Facet był w Chartumie chirurgiem, ale Żołnierze Kalifatu Północnego Sudanu, takie sudańskie ramię Państwa Islamskiego, zmusili go do pracy na froncie. Miał leczyć bojowników, ale opiekował się też przetrzymywanymi w obozach jeńcami, głównie kobietami, bo mężczyzn i chłopców prawie zawsze mordowano. Wiecie... gwałcili i torturowali je tam bez opamiętania, ale nie chcieli zabijać, przynajmniej tych najmłodszych i najładniejszych. Wyznaczyli Ayo do opieki nad nimi, miał po prostu utrzymywać je przy życiu. Ale jego umiejętności wykorzystywali też na inne sposoby. Na początku się stawiał, ale zagrozili, że skrzywdzą rodzinę, więc zgodził się na ich haniebne praktyki. Jednym z głównych zadań było na przykład wycinanie narządów pojmanym jeńcom, które bojownicy sprzedawali następnie na czarnym rynku.

— Dzikusy... — syknąłem — Robili wiele innych okropnych rzeczy. Wiem, bo po nich sprzątałem...

— Nie zazdrozczę ci, stary — burknął Zaccherini. — Cieszę się, że wtedy stacjonowałem w jeszcze stosunkowo spokojnej Algierii. Słyszałem o tej masakrze w Malakal. Syria to przy tym dziecinna igraszka.

— Wracając do tematu, Ayo był zmuszany do udziału w wielu strasznych czynach, ale zdołał uratować prawie pięćdziesiąt osób, głównie chrześcijanek. Gdy dowiedział się, że bojownicy planują wymordować wszystkich, nie oszczędzając dzieci, a nawet niemowląt, zanim ruszą dalej na południe, schował je w przypadkowo odkrytej piwnicy jednego z liceów zamienionych na tymczasowy obóz. Ryzykując życie, nie tylko własne, ale także swojej rodziny, skłamał, że nie wie, gdzie są i prawdopodobnie uciekły. Sam nie potrafił jednoznacznie odpowiedzieć, czy mu uwierzyli, może nie zgładzili go tylko dlatego, że potrzebowali dobrego chirurga. W każdym razie zanim wyszli z miasta, wyrznęli maczetami niemal wszystkich mieszkańców, prawie sto tysięcy ludzi w ciągu dwóch dni. To była istna hekatomba, masakra biblijnych rozmiarów. Między innymi dlatego ONZ skierował tam siły pokojowe, jak zwykle za późno. Ktoś musiał jednak posprzątać ten syf, więc Francuzi wysłali ludzi od czarnej roboty, czyli nas...

— Ooo, cholera... — jęknąłem Jednak w pierwszej chwili nie dotarła do mnie skala tego, co przed chwilą usłyszałem Jak przez mgłę pamiętałem, że kiedyś wspomnieli coś w wiadomościach, ale to wydawało mi się takie odległe i nierealne. Sto tysięcy? W ustach faceta z ekranu, w garniturze i z wymalowanymi ustami i oczami, zabrzmiało to jak jakaś ponura statystyka. A Figur tam był. On to widział. Brodził po kolana w morzu krwi...

— To jak temu Ayo udało się przeżyć? — zapytał, zaciekawiony, choć niezbyt przejęty tłem całej historii Franco.

— Zabrali go ze sobą, ale gdy odkryto te uratowane kobiety, które z Ayo zrobiły świętego, dowództwo kazało nam go przejąć za wszelką cenę. Nie wnikając w szczegóły, już dwa dni później udało nam się go odbić z rąk tych ścierw. Facet miał swoje pięć minut w mediach, potem wraz z całą rodziną otrzymał azyl. Wybrał pracę w jednym ze szpitali w Paryżu.

— Ale w czym on może nam pomóc? — zapytałem, czułem się w towarzystwie coraz pewniej.

— Ayo prowadzi też prelekcje na temat dialogu międzykulturowego, głównie wśród trudnej i coraz częściej uciekającej w najróżniejsze radykalizmy młodzieży. Publicznie opowiada o swoich przeżyciach na wojnie, walczy z siejącymi nienawiść imamami, no po prostu stara się wyplenić tę

patologię. To facet z misją. Wierzy w to, co robi. W każdym razie ma doskonały wgląd w aktualną sytuację na ulicach północnego Paryża.

— Skąd wiesz, że będzie chciał nam pomóc?

— Zadzwoiłem do niego godzinę temu, Kuba — rzekł tonem, jakby to, co powiedział, było tak oczywiste, jak to, że jutro wszędzie słońce. — Jest przygotowany na nasz przyjazd. To naprawdę dobry człowiek i wyznawana przez niego wiara nie ma z tym nic wspólnego. Nienawidzi ekstremistów równie mocno, jak ja czy ty. Poza tym, wiecie... facet czuje, że ma wobec mnie dług aż do śmierci.

Pokiwałem głową, podobnie jak reszta chłopaków. Mieliśmy punkt zaczepienia. Figur zawsze myślał do przodu. Gdy ja zastanawiałem się nad egzystencjalnymi pierdołami, on ustawiał na szachownicy swoje pionki, planował, szukał rozwiązań. Czy kiedykolwiek mógłby rozłożyć ręce i poddać się? Nigdy, byłem tego pewny. Cholernie mi imponował.

— Skoro wszystko jasne, to zbieramy się. Dochodzi dziewiąta, a do Paryża mamy jakieś osiem godzin jazdy — rzucił Krzysiek i skinął na włoskiego przyjaciela.

— Poprowadzisz? — burknął Franco, rzucając mi zawadiackie spojrzenie.

Kluczyki od explorera pofrunęły w moją stronę, a ja pewnym chwytem złapałem je w garść.

— Pewnie — odparłem i poczułem, że ten drobny gest sprawił mi radość. Poczułem się akceptowany.

MONIKA

Z pamiętnika porucznik Moniki Figurskiej, pseudonim „Ghula”

Dziesiąty dzień niewoli, 2023 rok, Paryż, Francja

Tego ranka, może wieczoru, a może nawet w środku nocy, obudziły mnie szepty. Bałam się otworzyć oczy, aby znów nie ujrzeć odrąbanej giowy albo — sama nie wiem, co gorsze — obrzydliwej mordy jednego z moich oprawców, ale gdy tylko usłyszałam język polski, moje serce od razu zabiło mocniej. Instynkt nakazał mi zachować maksymalną ostrożność, więc wciąż udawałam, że śpię. Nie było to łatwe, gdyż całe moje ciało potwornie bolało, a w giowie czułam każdą pulsującą żyłkę, miałam wrażenie, że jest jak przesadnie nadmuchany balon, który może pęknąć w każdej chwili.

Nie wiem, co mi dali, ale od momentu, gdy ta biedna blondynka utkwiała we mnie ostatnie spojrzenie, prawie nic nie pamiętam. Jedynie przebłyski świadomości, krzykliwe glosy, warkot silnika, zapach benzyny. Śniłam koszmary o pokoju, którego wszystkie ściany spływały krwią, o dzieciach, których powykrzywiane w okropnych grymasach twarze szyderczo się do mnie śmiały, o trupach wstających z grobów i żywiących się padliną krukach. Wszystkie moje wizje zawsze spowijał mrok, żaden sen nie był radosny, zawsze tylko ból i cierpienie. Tak jak teraz...

Szepty się nasiliły, usłyszałam cichy szloch, a następnie szuranie. Dokładnie takie samo, jakie wydawało moje ciało, gdy odruchowo cofałam się pod ścianę, kiedy przychodziły po mnie te arabskie potwory.

Szczęk łańcucha?

Nie należał do mnie, bo nawet nie drgnęłam. Czułam na kostce zimną obejmę, ale na pewno to nie ona wydała ten dźwięk. Znów ten brzęk. I kolejne szepty. Po polsku...

Uniosłam lewą powiekę. Delikatnie, aby nie wzbudzać zainteresowania. Nie byłam sama, to pewne. Leżałam w pozycji embrionalnej, ale nie poruszając głową nawet o centymetr, mogłam dostrzec dwie skulone postaci. Siedziały na starych materacach, oparte o przeciwległą ścianę. Ich twarze były ukryte w cieniu, a brudne nogi otulało żółtawe światło. Dłonie jednej z nich niknęły pomiędzy udami, ramiona drżały. Była całkiem naga. Druga miała na sobie minispódniczkę w kolorowe kwiaty i dziewczęcy, zwiewny top, a na

nogach różowe tenisówki. Też dygotała z zimna.

Mimo wszechogarniającego bólu podniosłam się i od razu zauważyłam, że te dwie dziewczyny nie są jedynymi w pomieszczeniu. Po lewej, wciśnięta w narożnik, siedziała jeszcze jedna blondynka, a na prawo kolejne trzy. Jedna z nich klęczała z uniesioną w górę głową i złożonymi do modlitwy dłońmi. Nie rozumiałam wszystkiego, bo szeptała po rosyjsku, ale nietrudno było się domyślić, że odmawiała pacierz.

Moja pobudka spowodowała poruszenie wśród dziewczyn, szczególnie dwóch naprzeciwko mnie. One na pewno pochodziły z Polski, co mnie na swój sposób ucieszyło, jeśli w ogóle takie słowo mogło pasować do tego pieprzonego miejsca. Ale przynajmniej teraz nie byłam sama. Postanowiłam, że zagadnę pierwsza.

— Długo tu jesteście? — spytałam, kierując swój wzrok w stronę moich krajanek.

— Też jesteś z Polski? — z zaskoczeniem odparła ta w różowych tenisówkach, musiała być jeszcze dzieckiem, bo jej głos był bardzo dziewczęcy. Pomyślałam, że wyjątkowo nie pasuje do tego miejsca.

— Mam na imię Monika, a wy?

— Ja jestem Dorota, a to Ola. — Wskazała na skuloną obok, całkiem nagą koleżankę, która nagle zamilkła, wpatrując się we mnie podejrzliwym wzrokiem. Ona z pewnością miała mniej szczęścia i już doznała upokorzenia z rąk tych bydlaków. — Tam siedzi chyba jakaś Szwedka. — Kiwnęła głową w kierunku dziewczyny w narożniku. — Mało rozmowna... A, o tam... — Ponowiła gest. — .. .jakiś Ruskie chyba albo Ukrainki, dla mnie to jeden grzyb.

Mówiła to w sposób, jakby w zasadzie nic się nie stało, jakby to wszystko było częścią jakiejś dziwnej zabawy gimnazjalistów. Pomyślałam, że skoro wciąż ma na sobie ubranie, a jej ciało jest jeszcze stosunkowo czyste i nie nosi śladów gwałtu, dziewczyna najwyraźniej jeszcze nie pojmuje grozy swojej obecnej sytuacji. Może jej młody umysł bronił się właśnie w taki sposób. Wychyliła się w moim kierunku i gdy ciemnożółte światło padło na jej twarz, upewniłam się, że dziewczyna ma nie więcej niż piętnaście lat.

— Wiecie, gdzie jesteśmy? I jak długo tu przebywamy? — ponowiłam pytanie.

— Ostatnie, co pamiętam, to Aliego. Moja kumpela mi go przedstawiła. Przystojniak, ale taki podejrzany. Od razu przeczuwałam... — Ton jej głosu

wciąż był żałośnie niepasujący do zaistniałej sytuacji. — Postawił mi drinka i... potem już nic nie pamiętam „Ile ty masz lat, dziewczyno, żebyś dawała sobie stawiać drinki przez nieznanomych facetów? — pomyślałam — Głupia dziewczucha...

— Gdzie to było?

— Na dyskotece.

— Ale gdzie dokładnie?

— Nie wiem, gdzieś w Paryżu.

— W Paryżu?!

To słowo zadźwięczało mi w głowie z taką mocą, jakbym wstawiła ją pod strumień wodospadu. Byłam w Paryżu?

— Kiedy to było? — ciągnęłam, próbując ustalić swoje położenie.

— Nie wiem, chyba wczoraj — odparła „Dorotka”.

Jej niemal kreskówkowy głos drażnił mnie. Nie to, żebym jej źle życzyła, ale pomyślałam, że wkrótce będzie wyc, błagając o litość, która nie nadejdzie.

Raz jeszcze omiotłam wzrokiem wnętrze pomieszczenia. Było podobnej wielkości jak poprzednie, w którym mnie przetrzymywano, ale bardziej wilgotne. Ściany z czerwonej cegły sugerowały stare budownictwo, zapewne znów w centrum miasta. Nad głową zamontowano grubą rurę, z której biła odrobina ciepła. Nie na tyle, aby ogrzać pomieszczenie, ale było chyba trochę przyjemniej niż wcześniej. A może się przyzwyczaiałam? Podobno człowiek potrafi zaaklimatyzować się do niesprzyjających warunków nieprawdopodobnie szybko. Podobno...

Pomyślałam o bracie. On też szybko musiał zaaklimatyzować się w nowych warunkach. Jako głupi i niepokorny kibol, nienawidzący munduru, zadał śmierć, a dzień później sam przywdział wojskowy uniform i oddał się pod rozkazy przełożonych. Ciekawe, co teraz robi? Czy w ogóle wie, że zostałam porwana? A jeśli tak, to czy mnie szuka?

Myślałam już o tym tysiące razy, ale tłąca się nadzieja za każdym razem była tłamszona przez moich oprawców. Próbowałam analizować wszystkie możliwości, ale z każdym dniem wiara ustępowała bezsilności. Dziś, tak daleko od Murcji, w wielomilionowym Paryżu, ukryta w jakiejś zatechłej piwnicy, miałam praktycznie zerowe szanse. Dziwiłam się tylko, że wciąż chciałam żyć. Pamiętam moje pierwsze dni i szok, jakiego doznałam po brutalnych gwałtach — wtedy naprawdę marzyłam o śmierci. Instykt przetrwania jest jednak niezwykle silny i każde kolejne upokorzenie

powodowało, że coś we mnie rosło. Gdy w końcu zmusili mnie do patrzenia, jak młody Amir, a potem jego brat odrąbują głowy tej dwójce nieznanym mi ludzi, myślałam, że po prostu pęknie mi serce. Ale nie pękło, a ja dziś dalej chciałam żyć, walczyć o każdy dzień, pielęgnować wzbierającą nienawiść i trwać w oczekiwaniu na dogodny moment na ucieczkę. Moment, który mógł nigdy nie nadejść, ale nie o to tu chodziło.

Płonęła we mnie żądza odwetu tak straszego, że same myśli o tym, co mogłabym zrobić tym gnojom, doprowadzały mnie na skraj swoistego podniecenia. Gdyby nie zaistniała sytuacja, powiedziałabym nawet — błógiego stanu ukojenia. Nie, więcej! Pieprzonej radości! Trudno opisać to słowami, ale z każdym dniem czułam się silniejsza, dostrzegałam w sobie pokłady takich emocji, o jakie nigdy wcześniej bym się nie podejrzewała. Kilka tygodni temu widok odrąbywanych głów mógłby doprowadzić mnie do obłędu, dziś zrobiłabym tym Arabom dokładnie to samo, bez mrugnięcia okiem, wcześniej odgryzając im kutasy, wyłupiając oczy i obdzierając ze skóry. Samo wyobrażenia tego, jak wrzeszczą i błagają o litość, doprowadzały mnie do ekstazy.

Żywiłam się podobnymi myślami, dzięki nim mogłam znosić ból, upodlenie, wstyd, głód, pragnienie, zimno. Kobięcy instynkt podpowiadał mi, z każdym dniem coraz głośniejszy, że to wcale nie koniec mojego życia. Ludzie potrafili przez lata funkcjonować w niemieckich obozach zagłady czy syberyjskich gułagach. Nauczyli się, jak przetrwać, jak walczyć o każdy łyk wody i okruch chleba, jak zachowywać się w stosunku do swoich oprawców, aby uspić ich czujność. Znosili upokorzenia, zaglądali śmierci w oczy, aby kiedyś wrócić do świata żywych. Ja też musiałam się tego nauczyć. Z jedną różnicą... Ja nie przebaczę. Nigdy.

Drzwi otwarły się nagle. Poczułam na plecach ciarki na myśl, że znów mogą wziąć mnie na górę. Usłyszałam kilka pisków, dziewczyny skuliły się jeszcze bardziej, jakby próbowały wtopić się w ceglana ścianę, jedna z Rosjanek rozplakała się jak dziecko. Siedząca najbliżej wejścia, Szwedka, skryła twarz w dłoniach, były posiniaczone i podrapane.

Od razu poznałam postać, która wkroczyła do środka. Z przesadnie dużą taczą w rękach szedł mały Amir w swoim śmiesznym, czerwonym kapelusiku. Pomieszczenie wypełnił zapach mięsa, mimo to dziewczyny nieufnie cofnęły się pod ścianę. Tylko ja przywitałam go uśmiechem, o dziwo nawet niewymuszonym. Nie wiem dlaczego, ale wobec tego chłopca miałam w sobie

więcej ciepłych emocji, a przynajmniej mocno ambiwalentnych. Z jednej strony nienawidziłam go za to, kim za kilka lat może się stać, a z drugiej widziałam w nim niewinne i bezbronne dziecko, wciągnięte przez ojca i braci w ich wynaturzony świat pełen przemocy. Zastanawiałam się, czy też stanie się taki jak oni, czy też będzie równie brutalny i bezwzględny, czy zdławią w nim wszelkie opory i wyrzuty sumienia. W każdym razie obecnie był dla mnie tym, czym dla zagubionego podróżnika oaza na pustyni. Swoistą odskocznią od wszechobecnego okrucieństwa i beznadziei. I moich okropnych myśli...

Amir postawił tackę na podłodze i w milczeniu rozniósł miski z jedzeniem i wodą wszystkim dziewczynom. Do mnie podszedł na końcu. Przykucnął i spojrzał na mnie tymi wielkimi oczami. Dostrzegłam w nich przerażający wręcz smutek. Mimo wszystko kąciki jego ust lekko się uniosły i Amir uśmiechnął się, ledwo zauważalnie, ale to był prawdziwie szczery uśmiech, pełen żalu i współczucia, ale zarazem chyba najszczerzy i najbardziej przejmujący, jaki widziałam w życiu.

Młody Arab położył miskę i szklankę z wodą, a następnie dyskretnie sięgnął do kieszeni, po czym wsunął mi w dłoń jakąś drobną rzecz. Położył palec na ustach, dając znak, abym zawartość zachowała tylko dla siebie, po czym wstał i w milczeniu odszedł. Gdy zamek w drzwiach znów ze zgrzytem przeskokczył, wszystkie dziewczyny już łąpczywie opróżniały swoje miseczki. Nie czekając dłużej, wykorzystałam sytuację i dyskretnie przyjrzałam się podarunkowi.

W brudnej dłoni trzymałam zieloną landrynkę.
„Kolor nadziei...” — pomyślałam

NIEWIERNY

29 lutego 2022 roku, okolice granicy polsko-niemieckiej, ok 100 km od Berlina

Czy wiecie, kim jest największy zabójca w historii świata? Kto jest odpowiedzialny za najwięcej ofiar?

Mordowali królowie, cesarze i dyktatorzy. Jedni najeżdżali i wycinali w pień całe cywilizacje, inni ciemnieżyli swoich poddanych przez całe dekady. Przez jednych nazywani zdobywcami, dla innych okazywali się krwiożerczymi i bezlitosnymi tyranami. W historii znajdziemy i takich, którzy nie okazywali litości nikomu. Obcy, swoi, dla nich nie było żadnej różnicy. Okrutnicy...

Ale to tylko pionki w szponach prawdziwej bestii. To ona jest odpowiedzialna za największe hekatombę, zawsze winna jest tylko ona. Od tysięcy lat bawi się, sącąc jad kolejnym pokoleniom, posługuje się tysiącami sztuczek, jest sprytna i wyjątkowo przebiegła. Czasem wykorzystywała naszą naiwność, żądzę władzy, pychę, wiarę, potrafiła posłużyć się nawet niewidocznymi gołym okiem mikrobami. Od zawsze miała i do dziś ma bardzo bogaty arsenał. Wiecznie nienasycona...

Jednak nawet ta kreatura do pięt nie dorasta drepczącemu po jej śladach. Jej najokrutniejszy siepacz, ponury kosiarz, padlinożerca. To jemu zostawia prawdziwie brudną robotę, a on kroczy za swym panem i pożera wszystkich, na których spoczęło ponure spojrzenie bestii.

GŁÓD.

Najwierniejszy i najbardziej przerażający sługus, gotowy do ostatecznych zniw ludzkich ciał i dusz. To on odziera z człowieczeństwa, miesza w umysłach i doprowadza na skraj szaleństwa. A gdy już przekroczymy ostateczną granicę, wrywa z ciał nasze dusze i pozostawia wyjałowione, puste naczynia, wiedzione jedynie instynktem przetrwania, goniące za pożywieniem, wiecznie głodne i pełne dzikiej żądz.

Zwierzęta, drapieżcy, krwiopijcy. W końcu padlinożercy...

W moim świecie GŁÓD to istota wręcz namacalna, wyczuwalny byt, który zawsze zwiastuje ból i cierpienie. Jak dzisiejszego wieczoru...

Wycieram pot z oczu, na moich dłoniach w świetle księżycy skrzą się krople krwi. Nie jest moja, należy do tych, którym GŁÓD zabrał duszę. Biedacy.

Porucznik Figurska rozgląda się po okolicy. Wiem, że wypatruje śladów tych, których dziś nazywamy zarazą. Uszli nam, zostawiając jedynie trzy wbite w zmrożony grunt krzyże, na których pozostawili nam wiadomość. Wiedzieli, że przyjdą bezduszni i pożywią się tym, co zostało im ofiarowane.

Oficerowie Adam Waluś, Marcin Cichocki i Natalia Wróblewska odeszli, cierpiąc niewyobrażalne męki. Zostawieni na okrutną śmierć przez siewców nienawiści, są naszą pokutą. Za to, że chcemy zemsty, karmimy się nią i zabijamy równie bezwzględnie, nie szczędząc kobiet i dzieci. Najsmutniejszych ofiar tej niekończącej się wojny, bezdusznych zombie, których jedynym grzechem jest to, że chcą przetrwać. Dziś miały ostatnią ucztę. Teraz ich truchła leżą w śniegu, jeszcze ciepła krew ryje tunele w szarym puchu. To tylko mięso i kości. Ich dusze odeszły już dawno, okiełznane przez bestię i jej najokrutniejszego sługę. Gdzie są teraz? Nie wiem, ale pragnę wierzyć, że nie zostaną potępione.

Oni tylko chcieli zjeść...

Spoglądam w księżyc i nabieram powietrza. Jest skażone, ale już mi wszystko jedno. Czuję, jak coś ściska moje serce, przełyk staje się suchy jak Sahara. W kącikach oczu pojawiają się niechciane łzy. Otula mnie mrok i upiorna cisza. Trwam w zawieszeniu między życiem i śmiercią, cierpieniem i wytchnieniem, dobrem i złem. Z otępienia wybawia mnie głos porucznik Figurskiej. Padają kolejne rozkazy. Znam ją tyle lat i wiem, że nie zawróci. Nie wróciłaby nawet, gdyby nasi przyjaciele wciąż żyli. Taka już jest, jej drugie imię to „nienawiść”. Jako jeden z niewielu rozumiem ją doskonale...

Czas ruszać.

Na niebie zaczynają pojawiać się kruki, słyszę ich odrażający skrzek. Łapczywie zerkają na górę kościstych zwłok, krążą nad naszymi głowami coraz bardziej niecierpliwie. One też są głodne.

KUBA

Paryż przywitał nas pochmurnie. Już w połowie drogi pogoda zaczęła się psuć, z zachodu nadciągnęły tłuste obłoki, z których raz za razem spadały ciężkie krople. Po jednej z takich ulew, gdy słońce nieśmiało przebiło się przez chmury, jego promienie wyczarowały przepiękną tęczę. Choć wszyscy na nią zerkali, nikt nie odważył się skomentować tego fenomenu natury, ponury nastrój, w jakim pokonywaliśmy kolejne kilometry, zniechęcał do podobnych dyskusji.

Droga do celu minęła we względnej ciszy, tylko czasem przerywanej bębnieniem kropli o karoserię auta lub rozmowami o islamie i o tym, co może nas spotkać u celu podróży. Krzysiek pouczał nas, jak powinniśmy się zachowywać, aby nie rzucać się w oczy i nie prowokować miejscowych, wymienialiśmy uwagi na tematy religijne i polityczne. Próbowaliśmy snuć hipotezy na najbliższą przyszłość, która wyglądała w moich oczach coraz mroczniej.

Do tej pory naprawdę nie zdawałem sobie sprawy z otaczającej mnie rzeczywistości. Owszem, zazwyczaj była ona odgradzona od reszty świata i zamknięta w wielkomiejskich gettach, pełnych bezprawia i przemocy, ale istniała. Czasem zaledwie kilka przecznic od turystycznych szlaków miasta takie jak Paryż, Barcelona, Berlin, Londyn, Bruksela i wiele, wiele innych zmieniały się nie do poznania. W zamkniętych środowiskach, w których zdecydowaną większością byli muzułmanie, życie toczyło się na zupełnie innych zasadach. Biedne i pozostawione samym sobie społeczności toczył rak radykalnego islamu. W tak zwanych strefach „no-go” rządziło prawo szariatu, policja nawet nie próbowała z tym walczyć; obawiając się wzbudzenia kolejnych zamieszek, w ogóle się tam nie zapuszczała. Lokalnymi kacykami byli więc miejscowi, często radykalni kaznodzieje bądź przestępcy trudniący się sprzedażą narkotyków, wymuszeniami, stręczycielstwem, nierzadko o powiązaniach z siatką terrorystyczną, czego doskonałym przykładem był Muhammad Abi Rabka. Nieniepokojeni przez władze, coraz śmieiej narzucali zwykłym ludziom swoje skrajne, często wręcz fanatyczne rozumienie islamu, przez co ekstremizm rozwijał się w ostatnich latach nader szybko, szczególnie że był mocno — choć oczywiście nieoficjalnie — wspierany petrodolarami z państw Zatoki Perskiej.

Ta tendencja nabrała rozpędu głównie w Paryżu, który od dziesięcioleci

był mocno związany ekonomicznie i politycznie z szejkami z Bliskiego Wschodu, a do tego cała migracja znalazła swój europejski raj właśnie w stolicy Francji. Od czasu krwawego zamachu na Stade de France obiekt ten (który decyzją władz został po powstaniu paryskim zamknięty) stał się swoistą mekką nie tylko wszelkiej maści radykałów, ale także wszystkich uchodźców, którzy nie potrafili odnaleźć się w innych miejscach w Europie. Zazwyczaj najbiedniejszej i najmniej wyedukowanej części tych społeczności, na wprost analfabetów, drobnych przestępców, gwałcicieli, złodziei czy byłych żołnierzy Państwa Islamskiego. Jak nietrudno się domyślić, skutki napływu takiego elementu dziś były opłakane, bo niemal cały północny Paryż i jego przedmieścia stały się muzułmańską enklawą bezprawia, w której znajdowali schronienie wszyscy terroryści, a ekstremizm kwitł jak nigdy wcześniej. I nawet pomimo tego, że niepisana zasada pomiędzy lokalnymi kacykami a miejskimi władzami zabraniała kolejnych zamachów na terenie stolicy (i rzeczywiście była przestrzegana), to przyszłość Miasta Miłości rysowała się w coraz czarniejszych barwach, gdyż czteromilionowa muzułmańska społeczność (choć dziś już nikt nie był pewien, ile milionów muzułmanów żyło w Paryżu, na pewno kilka) potrzebowała więcej przestrzeni i coraz agresywniej wdzierала się do centrum, z każdym miesiącem niebezpiecznie zbliżając się do Sekwany. Dziś dzielnice dziewiąta i dziesiąta, które zawsze były swoistym buforem oddzielającym przedmieścia od regionów turystycznych, bogatych w takie atrakcje, jak Luwr czy wieża Eiffla, już w połowie były zamieszkane przez muzułmanów, i choć wciąż nie podlegały jeszcze koranicznemu prawu, to coraz częściej krążyła po nich „policja szariatowa” A to wszystko zmieniło się w zaledwie dwa lata...

Europa zaczynała tracić swoją integralność, w obawie przed wybuchem wojny domowej poddała się, pozwalając na powstanie w największych metropoliach muzułmańskich minipaństwów, które, zasilane lawinową imigracją z Afryki i Azji, zaczęły rozrastać się w szalonym tempie. Paryska porażka była dla Europy klęską państwowej władzy, która dziś była trzymana w szachu przez kaznodziejów i terrorystów, którzy na każdą groźbę odebrania przywilejów swoim pobratymcom odpowiadali przemocą.

Tak od dwóch lat było w Paryżu. Pozornie spokojnie, ale gdy przebijaliśmy się przez zatłoczone ulice dziesiątej dzielnicy, miałem wrażenie, że coś wisi w powietrzu. Nie potrafiłem tego jednoznacznie określić, może udzieliła mi się atmosfera strachu przed tym, o czym nasłuchiwałem się po

drodze, ale czułem się, jakbym znalazł się na planie jakiegoś gangsterskiego filmu, w którym w każdej chwili ktoś może wyskoczyć zza rogu i puścić serię z karabinu maszynowego prosto w nasz samochód. Wyraźnie wyczuwałem napięcie, ludzie jakby nerwowo przemykali pod ścianami budynków, kierowcy impulsywnie reagowali na pozostałych uczestników ruchu drogowego, nawet ptaki skrzeczały, jakby broniły gniazda przed mającym chrapkę na jaja drapieżnikiem Ferment, niepokój, taka cisza przed burzą. Dosłownie i w przenośni...

Zmierzaaliśmy w okolice dworca, gdzie na podziemnym parkingu planowaliśmy zostawić samochód. Zabieranie go do La Goutte D'Or, w pobliżu której mieszkał Ayo Mosisi, byłoby niezwykle ryzykowne. Ustaliliśmy więc, że do celu dotrzemy metrem, które wciąż było głównym środkiem komunikacji nie tylko dla mieszkańców, ale także turystów. Planowo mieliśmy wstąpić do sklepu jednej z jego córek, która handlowała afrykańskimi bibelotami. Tam już powinien czekać Mosisi.

Szczerze wątpiłem, aby udało nam się wtopić w tłum, chociaż takie metropolie jak Paryż czy Londyn, pełne były ludzi tak dziwnych i wyjątkowych, że w zasadzie żadne odstępstwo od normy (jeśli w tych miastach istniało coś takiego jak norma) nie wzbudzało podejrzeń. Krzysiek i Franco mieli aparycję typów spod ciemnej gwiazdy, a ja byłem zmuszony zakupić szalik lokalnego klubu piłkarskiego, aby ukryć wciąż jeszcze gojącą się ranę. Najbardziej obawiałem się o kondycję psychiczną Afgana, który po prostu zdawał się bać własnego cienia. Zaufałem jednak Figurowi, który najwyraźniej uznał, że jego obecność jest potrzebna. Zresztą na mojego przyjaciela patrzyłem z perspektywy własnych lęków i obaw, co samo przez się powodowało, że ulegała ona wypaczeniu. Przecież sam mogłem wyglądać niewiele lepiej, bo pod maską kozaka tak naprawdę srałem w gacie. No, może nie dosłownie, ale przynajmniej kilka razy dziennie nachodziły mnie głupie myśli o Abi Rabi'm, jego ofiarach, o tym, że mogę stać się jedną z nich, nigdy nie dokonując zemsty za zamordowanie mojej Nawal. Zastanawiałem się, ile bólu mógłbym znieść, gdybym trafił w łapska tego starucha, jak by mnie torturował, co bym czuł, gdyby ostrze znów zagłębiło się w mojej szyi. Albo gdyby chciał mnie spalić lub wykastrować... Boże... Sama myśl powodowała, że skręcało mnie w brzuchu. Przecież bojownicy ISIS znani byli z wyjątkowo okrutnych egzekucji i jeśli coś poszłoby nie po naszej myśli, to w najlepszym wypadku mógłbym stracić głowę, w najgorszym...

Lepiej nie myśleć. Ale ja myślałem zdecydowanie za dużo, czasem wręcz nie mogłem się opędzić od podobnych projekcji w mojej głowie, dziwnych scenariuszy, które tylko nakręcały moją coraz bardziej porąbaną wyobraźnię. Kiedyś czytałem, że gdy głowa zostanie odcięta bardzo szybko, oczy rejestrują obraz jeszcze nawet przez kilkadziesiąt sekund. Ciekawe, czy ofiara jeszcze mogła być wtedy świadoma, czy umierając, widziała otaczającą ją okolicę, broczący krwią korpus i szyderczy śmiech swojego oprawcy? Brzmiało to absurdalnie, ale przecież wciąż jeszcze nikt nie mógł tego potwierdzić...

Znowu... kurwa!

Muszę skupić się na celu.

Zacisnąłem powieki najmocniej jak mogłem, to zawsze pomagało mi oczyścić umysł. Chwyciłem plecak i wyjąłem maść, po czym delikatnie wsmarowałem w szyję. Skóra była sprężysta, co ewidentnie wskazywało, że rana goiła się świetnie. Gdy przejechałem wewnętrzną stroną dłoni po zrośniętej tkance, powierzchnia wydała mi się wręcz jedwabista. Blizny zawsze miały delikatniejszą fakturę.

— Jesteśmy na miejscu, panowie — rzekł pewnym tonem Krzysiek i wyłączył nawigację.

Przed oczami ukazał mi się niewysoki budynek dworca, którego dach niemal na całej długości był podparty rzędem kolumn. Zaraz obok znajdował się wjazd do podziemnego parkingu. Figur w milczeniu skierował się właśnie w tę stronę, a ja w nagłym przypływie nienaturalnego podniecenia sięgnąłem do schowka po broń. Gdy chwyciłem w dłoń chłodną stal, przez moje ciało przeszedł dreszcz. To był bardzo przyjemny dreszcz.

Wynajęliśmy kwatere przy Rue du Faubourg Saint-Martin w środku dziesiątej dzielnicy, zaledwie kilka przecznic od granicy strefy szariatu. Przyjął nas śniady Francuz, zdecydowanie arabskiego pochodzenia, wydawał się jednak całkiem normalny. Pokazał lokal, skasował pieniądze i oddalił się, życząc miłego pobytu.

Skupiliśmy się na zadaniu. Sklep córki Mosisiego znajdował się jakieś trzysta metrów od stacji Barbes-Rochechouart, na granicy dzielnic Montmartre i La Goutte D'Or. Ta okolica (a szczególnie La Goutte D'Or, czyli Złota Kropla) już przed powstaniem paryskim rozbrzmiewała zawodzeniem muezzinów, słynęła też z jednego z najwyższych wskaźników przestępczości nie tylko w stolicy, ale w całej Francji. Sąsiadująca ze wspaniałą i niezwykle popularną wśród turystów bazyliką Sacre-Coeur (którą przed pięciu laty

miałem okazję zwiedzić, rozkoszując się z moją dziewczyną Kasią genialnym widokiem na cały Paryż) Złota Kropla za dnia kusila setkami knajpek i sklepików z pamiątkami, w nocy zmieniała się w siedlisko zła i przemocy, w którym rządzą dilerzy, alfonsi i przemytnicy. Ja zapamiętałem ją raczej pozytywnie, doceniając egzotykę i wyjątkowy, przesiąknięty afrykańskim duchem charakter. Byłem niezmiernie ciekaw, jak bardzo przekształciła się od czasu mojej ostatniej wizyty.

Dochodziła godzina dziewiętnasta, więc do zmroku mieliśmy jeszcze przynajmniej dwie i pół godziny. Pomimo zachmurzonego nieba i dość porywistego wiatru, który przywiał ciepły front znad Atlantyku, ulice tętniły życiem. Szybko jednak weszliśmy do stacji metra Strasbourg-Saint-Denis i udaliśmy się do celu podróży.

Nie wiem, czy byłem aż tak zestresowany, ale nawet się nie obejrzałem, gdy wysiedliśmy na stacji Barbes-Rochechouart. Gdy tylko zeszedliśmy po schodach na ulicę, uderzyła mnie swoista normalność tego miejsca. Owszem, zdecydowana większość mieszkańców wyglądała na ludzi pochodzenia arabskiego lub afrykańskiego, ale życie toczyło się tak jak wszędzie indziej. Ktoś coś kupował, ktoś inny sprzedawał, ktoś spieszył na rowerze w sobie tylko znanym kierunku. Na ulicach jak zwykle panował niesamowity harmider, a kierowcy trąbili na siebie niemal ciągłym sygnałem. Sklepy z ciuchami, przydrożne knajpki czy salony urody pękały w szwach. Zwyczajność tego miejsca naprawdę była uderzająca. Co gorsza, miałem wrażenie, że ta ciężka atmosfera, którą wyczuwałem w zamożniejszych dzielnicach, tutaj jakby wyparowała.

Gdy już zacząłem nieśmiało podejrzewać, że chyba wysiedliśmy na złej stacji, Afgan delikatnie pociągnął mnie za koszulkę i wskazał tabliczkę na skrzyżowaniu przy światłach. Na żółtym tle można było przeczytać (o dziwo po angielsku, co później skojarzyłem z faktem, że pomimo kiepskiej reputacji wciąż kręciło się tu wielu turystów): SHARIAH CONTROLLED ZONE. Powyżej i poniżej znajdowało się wyjaśnienie, że człowiek znajduje się w strefie, w której jest zobligowany do przestrzegania prawa szariatu, a co za tym idzie — zakazane jest picie alkoholu i branie narkotyków, palenie papierosów, granie w kasynie, prostytutka, a nawet głośna muzyka. Ten widok przywrócił mnie do rzeczywistości i dopiero wtedy zorientowałem się, że jednak nie wszystko jest takie „normalne”.

Przede wszystkim na ulicach praktycznie nie było kobiet, w zasięgu

wzroku dostrzegłem tylko trzy w czarnym nikabie i dwie szukające mocnych wrażeń turystki z chustami na głowie, które szczelnie zakrywały kolorowym materiałem twarz przed pożądlivym wzrokiem setek krążących po ulicach mężczyzn. Pomyślałem, że niezli debile z ich partnerów, którzy, najwyraźniej lekko zmieszani, maszerowali obok. Obaj wysocy, ale przeraźliwie chudzi, z blond czuprynkami, zdecydowanie nie wyglądali odstraszażąco.

Nie dostrzegłem też nikogo, kto miałby w ustach papierosa bądź trzymałby puszkę z piwem, ale dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, że w całym tym wielkomiejskim zgiełku nie słyszę żadnej muzyki! Absolutnie zero melodyjnego dźwięku, choćby faceta grającego na gitarze czy bezdomnego umilającego sobie czas grą na harmonijce. Nic...

Moje serce zaczęło bić szybciej. Niby nic takiego się nie stało, ale zrozumiałem, że nie znajduję się już pod jurysdykcją Francji, no, może oficjalnie tak, ale na pewno nikt tu nie przejmował się prawem republiki. Szedłem ulicami, gdzie rządziło surowe prawo szariatu i choć na pierwszy rzut oka życie toczyło się zwyczajnie, to niewykluczone, że za kradzież gazety mógłbym stracić rękę, a za wypicie piwa lub zapalenie papierosa zostać publicznie wychłostany. Nie mieściło mi się to w głowie i szczerze wątpiłem, aby rzeczywiście mogła spotkać mnie tak sroga kara, mimo wszystko chyba nie odważyłbym się kusić losu...

Ruszyliśmy wzdłuż Boulevard de Rochechouart, bulwaru prowadzącego do słynnej dzielnicy artystów i malarzy — Montmartre, w której niegdyś mieszkały takie postaci, jak Vincent van Gogh, Pablo Picasso czy nasz Fryderyk Chopin. Kiedyś była jedną z największych atrakcji turystycznych, szczyca się między innymi wspaniałą bazyliką Sacre-Coeur, ale także bardziej przyziemnymi pokusami, jak czarujący amatorów rozkoszy plac Pigalle czy najsłynniejszy nocny klub świata — Moulin Rouge. Pamiętam, że podczas mojej ostatniej wizyty miejsce to od razu podbiło moje serce, głównie za sprawą absolutnie wyjątkowego i chyba niespotykanego nigdzie indziej klimatu. Rozliczne knajpki wabiły egzotycznymi zapachami i niepospolitymi trunkami, uliczne wystawy prowokowały, aby sięgnąć do kieszeni i zakupić szkic lub obraz lokalnego malarza, a tutejsi artyści niemal na każdym rogu przygrywali na skrzypcach czy saksofonie. W głowie utkwilo mi też wspomnienie z targu różności, na którym można było dostać bibeloty dosłownie z każdego zakątka świata. Spędziliśmy tam dobre dwie godziny i gdyby nie moja wytrwałość w odciąganiu Kaśki od kolejnych kolorowych

stoisk, to pewnie zastałby nas wieczór, a w końcu późna noc.

Właśnie na skraju Montmartre' u, niemal u podnóża wzgórza o tejże nazwie, na którym dumnie wznosiła się bazylika Sacre-Coeur, swój sklepik z pamiątkami miała córka Ayo Mosisiego, o dźwięcznie brzmiącym imieniu Huma. Do celu mieliśmy niecałe pół kilometra, więc wątpiłem, aby dzielnica malarzy zachowała swój klimat, jaki na zawsze utrwalił się w mojej pamięci. W strefie szariatu było to absolutnie niemożliwe, a według naszych ustaleń spora część Montmartre' u była już pod kontrolą tego koranicznego prawa i jedynie słynna biała świątynia oraz kilka głównych szlaków wciąż jeszcze broniło się przed coraz częściej nagabującą turystów lokalną policją szariatową. Nawet władze wydały oficjalne oświadczenie, aby udając się w te rejony, unikać spożywania alkoholu, zwłaszcza zaś do kobiet, aby nie epatowały skąpym i wyzywającym strojem Cóż, tutaj lepiej było nie chodzić w minispódniczkach...

Staraliśmy się udawać turystów, choć nie wiem, czy dobrze nam to wychodziło. W sumie nie wzbudzaliśmy specjalnego zainteresowania, choć ja miałem wrażenie, że jest dokładnie na odwrót. Pocieszałem się tym, że nie byliśmy jedynymi „niewiernymi” w okolicy (pominąwszy tamte dwie pary, idąc wzdłuż bulwaru, spotkaliśmy jeszcze dwie grupki młodych facetów, którzy zdecydowanie nie wyglądali na wyznawców islamu), mimo to wciąż miałem nieodparte uczucie, że moje ruchy śledzi przynajmniej kilkadziesiąt par oczu. Podobne dopadało mnie kiedyś w zatłoczonych miejscach po zapaleniu trawki. Nieprzyjemne i bardzo niekomfortowe. Jakby wszyscy bezczelnie się na mnie gapili.

Chłopaki zaczęli dyskutować, ale z zamyślenia wyrwałem się dopiero w momencie, gdy Krzysiek skręcił z bulwaru w prawo, aby niemal natychmiast odbić w lewo, w boczną uliczkę o przyjemnej nazwie Rue d'Orsel. To przy niej swój sklep miała Huma.

Była wąska i w przeciwieństwie do innych pokryta kocimi łbami, a do tego praktycznie wyłączona z ruchu, gdyż większość miejsca zabierały kolorowe wystawy wszelkiej maści sklepików i straganów. Najwyraźniej nikt nie przejmował się naszym wyglądem, bo od razu jeden z arabskich sprzedawców próbował wcisnąć mi tanie walizki, Michał musiał opędzać się od brodatego człowieka, który oferował mu jakieś dywany (wyglądały naprawdę niesamowicie i gdyby nie nasza obecna sytuacja, nie wykluczam, że skusiłbym się na jeden), a chłopaki z przodu walczyli, aby uchronić się przed

natarczywymi sprzedawcami stojących przed sklepem skuterów. Gdy tylko dostrzegli, że nie mają szans opchnąć swoich maszyn Krzyškowi i Franco, od razu zaatakowali nas. Zdołaliśmy czmychnąć jednak na drugą stronę ulicy, gdzie znajdował się niewielki lokal gastronomiczny, oczywiście serwujący jedynie potrawy „halal”, czyli w przypadku mięsa tylko po uboju rytualnym i, co dla muzułmanina absolutnie kluczowe, z wyjątkiem krwi i wieprzowiny. W środku dostrzegłem mężczyznę z dwiema kobietami w burkach, zakrywających wszystko, nawet oczy, oraz czwórka dzieci w wieku od dwóch do może siedmiu, ośmiu lat. Patrzyłem z niedowierzaniem, jak obie kobiety starają się spożywać swoje potrawy, szczególnie ta, na której talerzu znajdowała się jakaś wariacja spaghetti. Z najwyższym trudem wsuwały widelec pod materiał (dodam, że nie każda próba była udana i jedzenie po prostu spadało na stół), pilnując się, aby nie odsłonić choćby centymetra swojego ciała. Wyglądało to komicznie, żeby nie powiedzieć: groteskowo, ale powstrzymałem się od śmiechu. Po pierwsze nie byłem w nastroju, a po drugie zapewne żadna z nich nie przyodziła się w burkę z własnego wyboru.

Dalej minęliśmy sklep z abajami, nikabami, a także bardziej „frywolnymi”, bajecznie kolorowymi chimarami, czadorami i hidżabami. Jeden z manekinów prezentował też burkini, muzułmański strój kąpielowy dla kobiet. Już nieraz widziałem na żywo niewiastę odzianą w podobny, głównie na plażach Hiszpanii, ale zawsze wracało to samo pytanie: „Po co?”. Pomijam oczywiste komplikacje przy pływaniu, gdyż woda sprawiała dużo większy opór, ale nie mogłem pojąć, jak można dusić się pod kolejnymi warstwami materiału, gdy z nieba lał się czterdziestostopniowy żar. To nawet nie było śmieszne, ale po prostu głupie.

Przebijaliśmy się przez gwarny tłum, starając się unikać kontaktu wzrokowego ze sprzedawcami. W innym przypadku następował natychmiastowy atak i zarzucenie klienta tysiącem bibelotów, wręcz błagalne prośby o choćby przyjrzenie się bogatemu asortymentowi czy obietnice wytargowania najniższej ceny. Na mojej głowie wylądowały między innymi kolorowe kapelusze, tanie naszyjniki, jeden chciał mi nawet wcisnąć galabiję i kefiję, w ogóle nie biorąc pod uwagę faktu, że nie wyglądam na muzułmanina i raczej nigdy nie przyodziłbym się w ten tradycyjny arabski strój.

Idąc i odpędzając się od natarczywych sprzedawców, dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że przecież znajdujemy się już w dzielnicy malarzy, tej samej, którą pamiętałem z czasów mojej wizyty z Kašką. Czy to możliwe, aby

Montmartre tak diametralnie zmienił się przez te kilka lat? Gdzie artyści, wystawy, egzotyczne knajpki i towarzysząca na każdym rogu muzyka?

Moje rozmyślenia przerwał widok kolejnej tabliczki z napisem SHARIAH CONTROLLED ZONE, który gwałtownie przywrócił mnie do rzeczywistości. Zrozumiałem, że klimat Montmartre'u przepadł i już nie wróci. Nigdy...

To była przykra myśl, ale przecież ludzie jakoś tu żyli, nikt nie płakał, nie darł się wniebogłose, będąc palonym, katowanym czy obdzieranym ze skóry na centralnym placu, jak to miało miejsce w newsach o bojownikach ISIS i ich wyczynach na podbitych przez siebie terenach. W nocy zapewne nie było pijackich burd, nikt nie zagłuszał ciszy walącą basem muzyką techno, ludzie nie truli się tytoniem i nie tracili ciężko zarobionych pieniędzy na automatach czy w kasynie. Brzmiało to trochę jak jakaś utopia, ale życie wyglądało tu całkiem normalnie. Oczywiście, było inne, dla przeciętnego Europejczyka dość egzotyczne, ale najwyraźniej do wytrzymania. Właśnie ta „normalność” uderzyła mnie najbardziej. Szariat szarłatem, ale wszystko wskazywało na to, że nawet pod tym surowym prawem dało się przyzwoicie funkcjonować.

Z głową pełną podobnych przemyśleń przeszedłem z chłopakami jeszcze około stu metrów, do następnego skrzyżowania. Po drodze minęliśmy stragan, który spowodował, że choć nie byłem głodny, to moje ślinianki rozpoczęły szalone harce. Taką liczbę nieznanymi mi, ale niezwykle kolorowych i smakowicie wyglądających owoców oraz warzyw widziałem pierwszy raz w życiu. Klienci przekrzykiwali się ze sprzedawcami, wazyli, mierzyli, oceniali, targując się o każdą garść. Gwar był niewyobrażalny, dlatego zrezygnowałem, gdyż nie chciałem spowalniać chłopaków i pomyślałem, że tego rodzaju przyjemności zostawię na później. Zbliżaliśmy się do celu i była szansa, że może uda się kupić coś w drodze powrotnej.

Dostrzegłem też, że z ulicy stopniowo zaczęły znikać punkty stricte arabskie, ustępując miejsca tym oferującym towary i usługi raczej afrykańskie, kojarzące mi się głównie z centralną częścią tego wielkiego kontynentu. Coraz rzadziej kręcili się też mieszkańcy o typowo bliskowschodnich rysach, pojawiły się pierwsze kobiety bez chust na głowach. W końcu też usłyszałem muzykę, na rogu trzech czarnoskórych mieszkańców wybijało rytm na ręcznie wykonanych bębnach, jednemu z kącika ust zwiisał papieros. To musiało oznaczać jedno — opuściliśmy strefę szariatu.

Gdy tylko o tym pomyślałem, naszym oczom ukazał się niewielki sklepik, na którego różowej markizie widniał napis „Huma African Decoration”. Był

zdecydowanie mniej nachalny od pozostałych, choć wystawiony asortyment od razu przykuwał oko, głównie za sprawą pociągłych, długich nawet na metr drewnianych masek, których oblicza kojarzyły mi się z tą prawdziwą, czarną Afryką. Przyznam, że były naprawdę piękne, podobnie jak ręcznie strugane figurki nienaturalnie szczupłych kobiet z dzbanami bądź garnkami na głowie, mężczyzn z dzidami i łukami. Wrażenie robiły też pojemne i bajecznie kolorowe wazy i misy oraz wielkie, zapewne raczej ozdobne, drewniane sztuce. Oczopląsu dostałem jednak dopiero w momencie, gdy weszliśmy do środka. Liczba drobiazgów zalegających na wystawie, na półkach, stołach, nawet parapetach była wręcz oszałamiająca. Pomyślałem, że prędzej bym oszalał, niż był w stanie na coś się zdecydować.

W powietrzu unosił się przyjemny zapach kadzideł. Właścicielka właśnie podlewała jakieś dziwne kwiaty o fioletowych kielichach. Miała kształną pupę i długie nogi, z ulgą przyjąłem fakt, że nie nosiła żadnego nakrycia głowy. Cienkie i bardzo długie warkoczyki opadały wzdłuż pleców i kończyły się na wysokości jędrnych pośladków, pokreślonych przez obcisłe dzinsy. Obróciła się i grzecznie z nami przywitała, jej szeroki uśmiech był szczery, a śnieżna biel zębów niesamowicie kontrastowała z czarną jak sierść pantery skórą. Rysy twarzy emanowały dziewczęcą niewinnością, z czerwoną konewką w dłoni wyglądała bardzo naturalnie i... ponętnie.

— Nazywam się Hurna — przedstawiła się po francusku i rozkładając ręce, zaprosiła do zapoznania się z towarem.

— Moje imię to Krzysztof, wierzę, że ojciec przygotował panią na naszą wizytę — bez zbędnych ceregieli odparł Figur.

Egzotyczna piękność uśmiechnęła się i skinęła głową na znak, że byliśmy oczekiwanymi gośćmi. Odstawiła konewkę przy doniczce i z gracją skierowała się za ladę; poruszała się niesamowicie cicho, jakby jej stopy w ogóle nie dotykały podłoga.

— Proszę za mną — rzekła i zniknęła w wąskiej wnęce, a ja z racji tego, że byłem najbliżej, ruszyłem za nią jako pierwszy.

Wiem, że nie powinienem myśleć o takich rzeczach, ale jej pośladki powodowały, że oczy automatycznie kierowały się w dół. Zawsze uważałem, że właśnie czarnoskóre kobiety mają najpiękniejsze pupy, ale ta była po prostu perfekcyjna. Nie mogiem się opanować, to był odruch bezwarunkowy i choć trochę głupio się z tym czułem, to mój wzrok niemal nie odrywał się od kusząco kołyszących się bioder tej młodej dziewczyny. Pomyślałem, że Nawal

pewnie by mnie za to zabiła, wtedy jej uśmiechnięta twarz od razu zwizualizowała się w moim umyśle. Patrzyła na mnie z wyrzutem pod tytułem: „Jak śmiałeś spojrzeć na inną?”, a potem z rozbrajającym, łobuzerskim uśmiechem objęła mnie i szepnęła do ucha czułe słówka.

Przeszły mnie ciarki i głośno przełknąłem ślinę. Wziąłem głęboki oddech, aby opanować emocje i się nie rozkleić. Wciąż ją bardzo kochałem...

Po krótkiej wspinaczce wąskimi i stromymi schodami weszliśmy do czegoś w rodzaju przedsionka. Hurna poczekała, aż wszyscy znajdziemy się w środku i dyskretnie dała znać, abym ściągnął buty, co oczywiście jak najszybciej uczyniłem, a po mnie reszta chłopaków. Otworzyła wysłużone już drzwi i weszliśmy do jasnego korytarza. W środku unosił się zapach przygotowywanej kolacji. Niczego mi nie przypominał, ale moje ślinianki znów gwałtownie się przebudziły. Był bardzo intensywny i kusił nieznanym, a co najważniejsze, niósł ze sobą obietnicę smacznego posiłku.

— Hurna, czy to ty, skarbie? — usłyszałem zza uchylonych drzwi.

— Przyprowaǳiłam gości, tato — odparła, gdy chwyciła klamkę i otworzyła je na oścież. Tyle byłem w stanie zrozumieć nawet po francusku.

Usłyszałem, jak zaskrzypiała podłoga i nieco płochliwie przekroczyłem próg. W środku stał niski i bardzo szczupły czarnoskóry mężczyzna w okularach jak denka od słoika. Miał na sobie jasnoniebieską koszulę wsuniętą w ciasno spięte paskiem spodnie. Bordowy krawat zdawał się zdecydowanie za duży, podobne wrażenie sprawiały kościste dłonie o niewiarygodnie długich palcach. Wyglądał jak manekin, na którego ktoś nałożył ciuchy przynajmniej o dwa rozmiary za wielkie.

— Witam was serdecznie, drodzy przyjaciele — rzekł czystym i bardzo dźwięcznym francuskim — Cieszę się, że mogę was gościć w moich skromnych progach.

Mosisi wyciągnął rękę, aby przywitać się z każdym z nas. Uścisk jego dłoni był zaskakująco silny. Gdy w końcu przyszła pora na Krzyśka, gospodarz objął go i mocno poklepał po plecach. Wyglądało to trochę komicznie, bo wątpię, aby ważył chociaż połowę tego, co Krzysiek, ale dawka emocji, jaką niósł ze sobą ten drobny gest przyjaźni, niemal mnie przytłoczyła. Dramatyczne przeżycia kreują między ludźmi relacje, z jakich przeciętny człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy. Teraz byłem świadkiem jednej z nich.

— Usiąǳcie i rozgośǳcie się. Moja żona zaraz przyniesie kolację i posilimy się — rzekł i skinął do Humy, aby zostawiła nas samych.

W skład rodziny Ayo Mosisiego wchodziła żona Gusun, dwaj synowie: nasz rówieśnik Tarią i piętnastoletni Musa, oraz trzy córki: osiemnastoletnia Huma, trzynastoletnia Jaśmin i czteroletnia Thuraja. Pani domu, korpulentna i wyższa od męża, przyprowadziła wszystkie swoje pociechy i przedstawiła nam, zanim jeszcze kolacja została podana. Dzieciaki były grzeczne i posłuszne, na twarzach malowała się powaga, jakby właśnie zdawały przed surową komisją jakiś poważny egzamin. Trochę dziwnie się czułem, ale krępującą mnie nieco sytuację rozluźniła najmłodsza Thuraja, która w pewnym momencie wybuchła niekontrolowanym śmiechem, przez co irytująca mnie pompatyczność tej chwili znikła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Po wymianie uprzejmości cała gromadka wróciła do swoich obowiązków, w pokoju został jedynie najstarszy syn, Tarią. Widziałem, że Krzysiek jest niecierpliwym i najchętniej od razu przeszedłby do konkretów, ale najwyraźniej uznał, że nie może naruszać pewnych praw panujących w domu swojego przyjaciela, dlatego, uprzednio prosząc Mosisiego, aby ze względu na nas przeszedł na język angielski, wdaliśmy się w niezobowiązującą rozmowę, która mimo usilnych prób obu stron wydała mi się wyjątkowo drętwa.

Na szczęście, nie trwało to długo i po paru minutach w drzwiach pojawiła się pani domu, w rękach niosąc zdobioną tacę, na której znajdowały się trzy głębokie naczynia — z ich wnętrza roznosił się niezwykle intensywny zapach pieczonego mięsa. Kiszki grały mi marsza już od momentu, gdy zwęszyłem ten niezwykle przyjemny zapach, więc gdy kolacja pojawiła się na stole, upewniwszy się, że nie strzelę jakiegoś *fauxpas*, od razu zabrałem się za jedzenie.

Podczas posiłku dowiedziałem się, że pani Mosisi przygotowała dla nas tradycyjne danie z północnego Sudanu. W jej skład wchodziły: kofta — rodzaj mięsnego szaszłyka z baraniny z cebulą i czosnkiem, maschi — pomidory nadziewane mieloną jagnięciną i ryżem oraz jako dodatek fuul — pasta z bobu, wszystko oczywiście mocno doprawione lokalnymi przyprawami, z których najmocniej przebijały: cynamon, kolendra, kumini imbir.

Kolacja, choć ostra jak diabli, była przepyszna, mimo to na początku musiałem się hamować, aby nie wyjść na jakiegoś nieokiełzanego żarłoka. Szczęśliwie, na widok ilości, jakie pochłaniają Krzysiek i Franco, moje wątpliwości zniknęły i jadłem tyle, ile chciałem, a gdy pani Gusun przyszła z dokładką, wszyscy szczerze podziękowaliśmy i wychwalaliśmy pod niebiosa

jej umiejętności kulinarne. Przyjęła komplementy z uśmiechem, kłaniając się nam i dziękując, ale i tak największą satysfakcję nasze pochlebstwa sprawiły chyba samemu Mosisiemu, którego żylasta i dość mocno naznaczona ponurą przeszłością twarz nabrała dużo bardziej pogodnego wyrazu.

Po posiłku pani domu wyniosła brudne talerze i przyniosła dwa dzbanki wody z cytryną i miętą, co przyjąłem z nieprawdopodobną ulgą, gdyż nieprzyzwyczajony do tak ostrej kuchni przełyk palił mnie niemal żywym ogniem. Gdy ugasiłem pragnienie i odstawiłem szklanę na solidny dębowy stół, poczułem, jak atmosfera gęstnieje. Chwila, dzięki której choć na chwilę zapomniałem o śmierci Nawal i celu naszej wizyty, nieuchronnie zbliżała się do końca.

W pokoju unosił się teraz zapach aromatycznych kadzideł. Zza uchylonego okna słychać było uliczny gwar, gdzieś daleko rozbrzmiała policyjna syrena. Zmierzchało.

— Moja siostra została porwana i według moich informacji ma zostać sprzedana na targu niewolników — bez zbędnych ceregieli zaczął Krzysiek.

Gospodarz zamknął oczy i głęboko westchnął. Myślę, że od razu zrozumiał, że przyszedł czas na spłatę długu wdzięczności. Figur kontynuował:

— Zwróciłem się do ciebie, stary druhu, bo wiem, że znasz specyfikę tego miejsca, ludzi i ich lokalną mentalność. Wiem, że od lat zajmujesz się walką z młodzieżowym ekstremizmem i masz wiedzę odnośnie do osób i środowisk radykalnych, które organizują ten haniebnny targ.

Gdy mój przyjaciel zawiesił głos, Mosisi przygryzł wargę i nerwowo poprawił okulary. Sięgnął po szklanę z cytrynadą, aby dać sobie szansę na zebranie myśli. Dostrzegłem, że jego chuda jak patyk ręka zadrżała.

— Bardzo mi przykro, przyjacielu, moje serce krwawi z tego powodu — rzekł po chwili, spuszczać wzrok. — Oczywiście, postaram się pomóc ci tak, jak tylko będę w stanie. Znasz nazwisko człowieka, który ją porwał? — dodał, odkładając szklanę na blat stołu.

— Tak, to niejaki Muhammad Chalil Abi Rabi'a.

Mosisi znów zamknął oczy i głośno przełknął ślinę. Imię i nazwisko z pewnością nie były mu obce.

— Oczywiście wiem, kim on jest, Krzysztofie — powiedział, kiwając głową w sposób, który zdecydowanie nie wróżył nic dobrego. — To bardzo niebezpieczny człowiek, bardzo, bardzo groźny i nieprzewidywalny.

— Wiesz, gdzie mogę go znaleźć?

— Jest przynajmniej kilka miejsc, w których może przebywać, ale nie ma żadnej gwarancji, że tam go znajdziesz. To cień, wie, jak się ukrywać, jest niezwykle ostrożny. Przynajmniej kilka razy francuskie służby się na niego zasadzały, ale zawsze unikał aresztowania. Nie tylko dlatego, że potrafił wywieść ich w pole, ale także dlatego, że był w stanie ściągnąć pół dzielnicy, aby odparła atak antyterrorystów. Gdy kilka tysięcy ludzi staje w jego obronie, to nawet wojsko nie jest w stanie wyciągnąć go z jego dziupli bez ryzyka rozlewu krwi. A władze tego obawiają się najbardziej — kolejnych zamieszek i powstania, jak to przed dwoma laty, nikt nie chce ryzykować kolejnej wojny w centrum Paryża. Podobne rozruchy mogą rozlać się na cały kraj, a do tego właśnie dąży Abi Rabi’ a i jemu podobni. Oni chcą wywołać wojnę domową, realnie przenieść dżihad do europejskich stolic.

— Jak zatem mogę się do niego zbliżyć?

— Praktycznie rzecz biorąc, nie możesz. A przynajmniej nie w ciągu dwóch czy trzech dni.

Figur starał się zachować kamienną twarz, ale wiedziałem, że w środku wulkan powoli budzi się do życia. Zaccherini tępym wzrokiem gapił się w swoją cytrynadę, a Afgan w podłogę. Próbowałem analizować słowa gospodarza domu i coraz wyraźniej dostrzegałem beznadziejność naszej sytuacji. Z jednej strony to wydawało się nie do pomyślenia, ale z drugiej fakty wskazywały, że jesteśmy w strefie wojny. Znajdujemy się na terenie wroga, który podstępnie zasiedlił tereny od lat należące do rdzennych Europejczyków i teraz trzyma ich... nas w szachu. Każdy ruch przeciwko muzułmanom jest na rękę ich radykalnym przywódcom, bo może wywołać iskrę, która doprowadzi do rozlewu krwi, a w końcu upragnionej wojny. To było po prostu niepojęte...

— Oni ją zgwałcili, Ayo — rzekł Figur po chwili niekomfortowej ciszy.

— Oni ją gwałcili wielokrotnie — dodał i zacisnął zęby tak mocno, że dało się słyszeć nieprzyjemny zgrzyt.

— Rozumiem twój ból, przyjacielu — odparł Mosisi, a jego oczy zaszklily się na wspomnienie mrocznej przeszłości, do której — byłem tego pewien — w tej chwili powrócił.

Zamknąłem powieki, czując, że się rozklejam, ale nie zdołałem powstrzymać narastających emocji.

— Abi Rabi’ a zamordował moją ciężarną ukochaną — wyrwałem się znienacka, ale wcale tego nie żałowałem, nie mogiem wstydzić się targających

mną namiętności, tym bardziej że dla Nawal nie było już żadnej nadziei. — Polał jej twarz kwasem i kazał mi patrzeć, jak płonie.

— O Allahu... — wyszeptał Mosisi, a po jego policzku spłynęła pierwsza łza.

— Ona... ona była jego córką — dorzuciłem drżącym głosem, walcząc ze sobą, aby nie rozbeczeć się jak małe dziecko.

Łez jednak nie zatrzymałem i choć szybko wytarłem je wierzchem dłoni, mimo wszystko poczułem się głupio. Jak mięczak. Znów zapadła niezręczna cisza. Napiłem się wody, próbując zatrzymać niepotrzebne podniecenie. Nie chciałem znów wyjść na płacziwą pipę. Choćby przed Zaccherinim, który zdawał się nie zwracać na mnie uwagi, wciąż tępo gapiąc się w szklanekę z napojem — Bardzo mi przykro, będę dzielił także twój ból, Jakubie — odezwał się po dłuższej chwili Mosisi.

Jego nosząca ślady mrocznej przeszłości pociągła twarz wyglądała teraz na jeszcze bardziej wychudzoną, białka skrytych za okularami oczu nabrały barwy różu. Jeśli kiedykolwiek miałbym ocenić poziom empatii, to ten człowiek wygrałby każdy ranking. On naprawdę nam współczuł i w jego reakcjach nie było choćby odrobiny aktorstwa. Może dlatego, że kiedyś sam widział podobne rzeczy na własne oczy? Może dlatego, że codziennie musiał obcować z gwałconymi i katowanymi kobietami, wysłuchiwać ich szlochu i błagań o pomoc, której nie mógł udzielić? Może dlatego, że nie był w stanie ulżyć ich cierpieniom, a jedynie utrzymywał przy życiu, poniekąd przyczyniając się do trwającego miesiącami horroru?

Na ulicy mijamy tysiące osób, które wydają się szarymi, nic nieznaczącymi trybikami w mozolnie pracującej od wieków maszynie ludzkiej historii. Wiele z nich skrywa pod maskami wyjątkowo barwne życie, czasem dobre, czasem złe, a czasem niewyobrażalnie przerażające. On był jednym z tych, którzy przeżyli piekło w dosłownym znaczeniu. I potrafił żyć dalej, ten ciężar go nie przytłoczył, co więcej, poświęcił życie na ratowanie nie tylko ciał na szpitalnych łóżkach, ale także dusz swoich braci w wierze. Ayo Mosisi, chudy i mikrej postury, ale w środku silny i twardy jak hartowana stal. Prawdziwy człowiek z misją.

— Czy jesteś nam w stanie pomóc, Ayo? — przerwał ciszę Figur, jego ton był spokojny mimo tego, że we wnętrzu z pewnością szalała wściekła burza.

Gospodarz otarł łzy, jego syn trzymał go za dłoń, próbując w milczeniu pocieszyć zdruzgotanego ojca. Myślę, że też był dobrym człowiekiem —

Nigdy bym ci nie odmówił, przyjacielu — odparł, a ja poczułem, jak przeszedł mnie nieprzyjemny dreszcz. — Zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale tak naprawdę czuję się bezsilny. Czasem myślę, że już nic nie zdoła zatrzymać tej spirali nienawiści... — dodał, pełen rozgoryczenia, a ja nie mogłem oprzeć się wrażeniu, jakby właśnie stracił resztki tłącej się w nim nadziei.

Krzysiek wychylił swoją szklankę do dna i poprawił się w krześle. Lekko nachylił się w kierunku gospodarza, aby skrócić dystans.

— Wiesz, gdzie odbędzie się targ niewolników? — spytał.

— To żadna tajemnica, przyjacielu — odparł nieco zdziwiony gospodarz. — Ten haniebny spektakl będzie miał miejsce w ruinach Stade de France.

Ta informacja gruchnęła w nas jak grom z jasnego nieba. Czy to w ogóle mogło być możliwe? Targ niewolników na piłkarskim stadionie?

— I służby przejdą nad tym do porządku dziennego? — dopytał Figur; nawet on był zaskoczony tą szokującą informacją.

— Sam tego nie rozumiem, bo główny imam, Hussein Rashid bin Ali, ogłosił to wczoraj podczas jednego z kazań. Osobiście uważam, że to jakaś forma wyzwania rzuconego rządowi, chęć pokazania, że to już nie jest jego teren, że nie podlega francuskiej jurysdykcji.

— Miękkie chuje — burknął pod nosem Franco, domyśliłem się, że ma na myśli polityków rządzących krajem, dla którego jeszcze niedawno narażał życie.

— Szczerze mówiąc, to miałem w planach opuścić miasto w tym czasie — dodał Mosisi, jakby zupełnie nie dostrzegł reakcji Włocha. — Media milczą, ale w mieście chodzą słuchy, że rząd łatwo nie odpuści i może dojść do powtórki sprzed dwóch lat. Ludzie boją się, ja się boję, że znów poleje się krew — dodał, nerwowo przecierając okulary ściereczką.

Gospodarz zamilkł, celebrując tę prostą czynność. Figur z kamienną twarzą analizował jego słowa. Jasne było, że nasza sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała. Za trzy dni mogliśmy obudzić się w strefie wojny. Krzysiek wydał wargi, przejechał dłonią po kilkudniowym zaroście, a potem powiedział:

— Potrzebuję wszystkich możliwych informacji na temat Muhammada Abi Rabki i jego synów, jego kontaktów, współpracujących z nim imamów, meczetów, w których nauczają, miejsc, w których bywa, a także wszystkich możliwych wskazówek na temat targu niewolników i potencjalnych kupców mogących wyrażać zainteresowanie pozyskaniem Moniki. Dla mnie ważny

będzie każdy szczegół, Ayo...

Mosisi wyprostował się i wziął głęboki oddech. W jednej sekundzie zmienił się nie do poznania, jakby wyzwolił w sobie głęboko skrywaną siłę. Bardzo pewnie, wręcz wyzywająco, spojrział Krzyškowi w oczy, po czym skinął na siedzącego obok syna. Tarią natychmiast wstał i zniknął za drzwiami. Zaccherini zareagował nerwowo, sugestywnie zerknął na Figura, ale Krzysiek delikatnym gestem ręki uspokoił go. Ja też poczułem się dziwnie, nie będąc pewnym, czego się spodziewać.

— Przyjacielu... — zaczął Mosisi. — Zanim przekażę ci całą swoją wiedzę, chciałbym, abyś postarał się zrozumieć reguły panujące w północnym Paryżu. To dla mnie bardzo ważne, bo osoby, które spotkasz na swojej drodze, to w większości dobrzy ludzie, a w zasadzie dzieciaki, często po prostu zagubione w otaczającej je rzeczywistości. Czują się odrzucone przez społeczeństwo, skrajna bieda doprowadza je do złych wyborów, a tacy ludzie jak Abi RabFa dają im proste wytłumaczenie. Żli kaznodzieje sączą im do uszu truciznę, wypaczają nauki naszego Proroka, winę zrzucając na wszystkich, którzy nie godzą się z ich interpretacjami Świętej Księgi. Wiesz dlaczego, Krzysztofie?

— Ayo, ja chcę tylko odnaleźć swoją siostrę i gównu mnie obchodzi to, co jest napisane w Koranie — odparł Figur.

— Właśnie dlatego większość nie rozumie przesłania Allaha, który w Świętej Księdze zawarł wszystko, dobro i zło, miłosierdzie i okrucieństwo, miłość i nienawiść. On dał ludziom prawdziwy wybór i tylko od tego, jaką drogę obierzemy, zależy, jaką dostaniemy nagrodę po śmierci.

— Ja jestem tu i teraz, Ayo! — Krzychu uderzył pięścią w stół, nie dbając więcej o konwenanse. — Wiem, że moja siostra cierpi bez żadnego powodu. Zapewne każdego dnia jest gwałcona i poniewierana przez współwyznawców twojej pieprzonej religii. Ciężarna kobieta mojego przyjaciela została zamordowana przez własnego ojca tylko za to, że chciała żyć normalnie. To uważasz za wybór? Ja pierdołę taki wybór, Ayo! — warknął, wyraźnie zniecierpliwiony, a wszyscy pozostali, łącznie ze mną, w milczeniu przytaknęli jego słowom — I jeśli chcesz mnie tu nawracać, to źle wybrałeś.

W przeciwieństwie do większości głupich polityków i mądrali z telewizji wiem, co to jest i jak działa zasada abrogacji. I wybacz, ale właśnie dlatego islam jest taki, jaki jest, obłudny i zakłamany jak żadna inna religia na świecie.

Nie byłem pewny, co Figur miał na myśli, używając tego nowego

dla mnie sformułowania. Abrogacja... Najwyraźniej moja wiedza na temat islamu wciąż była mocno ograniczona, jeśli nie powiedzieć — mierna. Liczyłem, że może wkrótce rozwiną ten motyw, ale niemal równo z ostatnim słowem Krzyśka drzwi pokoju otworzyły się i do środka wszedł Taria, w rękach niósł sporej wielkości karton. Postawił go na stole, obok swojego ojca, i w milczeniu wrócił na miejsce po jego prawicy. Mosisi położył ręce na tekturowym opakowaniu i raz jeszcze spojrzał na Krzyśka.

— Mam wobec ciebie dług, którego nie spłacę nigdy, zawdzięczam ci życie swoje i całej mojej rodziny, ale powiedziałbym ci to wszystko, nawet gdyby los nigdy nie zetknął nas wtedy pod Malakal. Wiesz dlaczego, Krzysztofie?

Figur nawet nie drgnął, choć miałem wrażenie, że powoli zaczyna tracić cierpliwość. Mimo wszystko zachował spokój, dając do zrozumienia, że czeka na odpowiedź.

— Dlatego, że widzę w tobie dobrego człowieka. Przekażę ci więc wszystko, co wiem, wskażę potencjalne osoby, które mogą doprowadzić cię do Abi Rabki, podam potrzebne adresy. Ale zaklinam cię, błagam cię, nie mierz wszystkich jedną miarą i oszczędź te zagubione dusze, jeśli Najjaśniejszy nie zmusi cię do ostateczności.

— Tego ci obiecać nie mogę, Ayo... — przyznał Krzysiek, nie odrywając spojrzenia od przekrwionych oczu Mosisiego.

— Wiem, że w głębi duszy myślisz inaczej — odparł z pełnym przekonaniem sudański lekarz.

— Jesteś w stanie oddać życie za swoją siostrę, ale wiem też, że nie zabijesz niewinnego człowieka. Abi Rabka to potwór, wielu imamów to źli ludzie pragnący pieniędzy i władzy, ale większość ich słuchaczy to tylko głupie i zagubione dzieciaki. Jezus Chrystus prosił na krzyżu Boga, aby wybaczył oprawcom swojego syna, gdyż nie wiedzieli, co czynią. Ja cię proszę tylko o to, abyś w drodze do diabła nie wyrzynał tych, którzy słuchają go, bo boją się jego gniewu.

To mówiąc, otworzył karton i przesunął go w kierunku Figura.

— Tu masz wszystko, co mogę ci ofiarować. Mam nadzieję, że to pozwoli ci odnaleźć siostrę i...

— Mosisi na chwilę zawiesił głos. — ... uciąć łeb temu sługusowi szatana.

NIEWIERNY

17 marca 2033 roku, gruzowisko Berlina

Płomień świecy tańczy na kartkach mojej książki. Pochłaniam kolejne wersy, próbuję znaleźć odpowiedź na dręczące mnie pytania. Tysiące kolejnych kartek nie są w stanie mi jej udzielić. Od lat nie zbliżyły mnie do niej nawet o włos.

Skąd się bierze? Co ją napędza? Dlaczego w ogóle istnieje?

NIENAWIŚĆ...

Nieuchwytna, ale jakże doskonale widoczna. Wszechobecna. Jego suka, wodząca nas na pokuszenie, żywiąca się naszymi niegodnymi czynami, trawiąca nasze serca i umysły. Gdy raz zostanie zasiana, jej ziarno pęcznieje, oczekuje na odpowiedni moment, aby wystrzelić swoje nasienie dalej. Bawi się nami jak ponury lalkarz trzymający nas na uwięzi, a my, jak bezmyślne pacynki, gramy w rytm jego muzyki. Wykorzystuje nasze ciała, aby się rozmnażać, plenić i zatruwać umysły naszych braci i sióstr.

Ja znam tę sukę, ona mnie wychowała. NIENAWIŚĆ to sroga macocha, ale potrafi kochać jak niejedna rodzona matka. Mimo że ta rzekoma matczyna miłość jest tylko iluzją, ulegamy jej, licząc, że kiedyś pomoże nam zapomnieć. A gdy już raz weźmie nas w ramiona i wciągnie do swojej ciemnej pieczary, zaczyna sączyć trujące słowa i nie wypuści, póki nie zrobimy tego, czego oczekuje. Zawsze da wolną rękę, niczego nie zabroni, stanie po naszej stronie. Więcej! Ona zachęci, zdopinguje i zmobilizuje, abyśmy wykonali zadanie jak najlepiej.

Gdy okrutna zemsta już zostanie dokonana, ona nie odejdzie. Pomoże znaleźć nam nowy cel. Jak wierna i dobra matka...

Dziś wszyscy jesteśmy jej dziećmi. Synami i córami NIENAWIŚCI. Każdego dnia wykonujemy jej polecenia, mordując się nawzajem, paląc, gwałcąc i rżnąc tych, z którymi kiedyś dzieliliśmy dach nad gową. Dlaczego sami oddaliśmy się w jej ramiona? Dlaczego nie dostrzegliśmy, że nie jest prawdziwą matką? Dlaczego nie ujrzeliśmy jej prawdziwego oblicza? Okrutnej macochy, zakłamaney i bezlitosnej kurwy, pragnącej jedynie naszego cierpienia?

Silny podmuch zimnego wiatru zdmuchnął płomień świecy i kolejne wersy mojej książki otuliła ciemność. Dziś już nie otrzymam odpowiedzi na moje pytania, choć bardzo, ale to bardzo tego pragnę.

Nie wiem, czy zdołam zmrużyć oczy po tym, co dziś ujrzałem. Wątpię w to.

Drzwi baraku otwały się, zasysając do środka drobinki zacinającego deszczu. Porucznik Figurska przestąpiła próg cuchnącego pomieszczenia i w jednej chwili kilkanaście snopów światła spoczęło na jej twarzy. Czarne krople skrzyły się na jej krótkich blond włosach, inne ryły korytarze w umorusanej krwi i sadzą twarzy. Jej ciemnoniebieskie oczy nikły za zaparowanymi goglami, które, podobnie jak wysłużony mundur, wysokie buty i nieodzowny kałasznikow, nosiły ślady niedawnej rzezi. Uniosła ochronne okulary i wyszczerzyła zęby w szyderczym uśmiechu, który przypominał grymas lwicy oblizującej kły tuż po posiłku. Jej nierówne wargi, które przecinała gruba na szerokość palca blizna, tylko potęgowały jej drapieżny wyraz twarzy. Wyglądała jak pieprzona bogini zniszczenia. Jedna z najbardziej uwielbionych cór NIENAWIŚCI.

Ściągnęła gogle i podeszła do narożnika, w którym rozłożyła swoje rzeczy. Negra, jej czarna wilczyca, leżała i cicho kwiliła. Nie ona jedna dziś została ranna. Gdy Monika — myślę, że z racji naszej wyjątkowej przyjaźni mogę tak o niej mówić — zbliżyła się i pogłaskała po sierści swoją towarzyszkę, ta polizała zimną dłoń. Jej pani sięgnęła do plecaka i wyciągnęła plastikową torebkę, po czym delikatnie, niemal z namaszczeniem, wyłożyła jej zawartość koło pyska rannej suki. Negra kłapnęła zębami. Jej największy przysmak, zasłużyła na niego.

Moje powieki powoli opadły. Ogarnął mnie nienaturalny spokój. Praktyki naszej porucznik od dawna nie robiły na mnie wrażenia. Przywykłem do tego, co robi z każdym wrogiem Rozumiem ją, ja najlepiej ją rozumiem..

Czas spać. Muszę choć spróbować. Jutro czeka nas dużo pracy. Trzeba pochować naszych braci, setki naszych umęczonych braci.

Zanim na ucztę przylecą kruki...

KUBA

Do drugiej w nocy siedzieliśmy i wertowaliśmy kolejne zdjęcia, mapki, wycinki z gazet i różnorakie zapiski Mosisiego. Gospodarz starał się nam tłumaczyć, kto jest kim, za co jest odpowiedzialny, jakie ma wpływy. Muszę przyznać, że jak na lekarza i człowieka, który zajmuje się misją ratowania trudnej młodzieży, wiedział naprawdę dużo. Materiały zbierał od ponad trzech lat, w tym czasie dwukrotnie grożono mu śmiercią, a do jednego z meczetów miał zakaz wstępu. Nie została na niego rzucona żadna fatwa, gdyż w środowisku mogłoby to zostać odebrane nie najlepiej, ale główny lokalny imam, Hussein Rashid bin Ali, stwierdził, że nauki Mosisiego są sprzeczne z przekazem Świętej Księgi i fałszywy kaznodzieja — choć nasz gospodarz wcale się za takiego nie uważał — nie ma prawa podważać nauk Proroka, a co za tym idzie, kłaść swoją osobą świętego miejsca, gdyż „miesza w głowie lojalnymi zawsze oddanym sługom Najjaśniejszego Ali aha”.

Przez radykałów był uznawany za wroga, ale nawet oni nie mieli odwagi, aby oficjalnie oskarżyć go o zdradę islamu, a tym bardziej bali się wydać na niego wyrok. Z rozmowy wywnioskowałem, że w muzułmańskiej wspólnocie był człowiekiem bardzo poważanym, który uratował niejedno życie na stole operacyjnym wyciągnął niejednego młodzieńca ze szponów naganiaczy Państwa Islamskiego. Zwykli ludzie szanowali go, dla wielu był wręcz bohaterem, swoistą przeciwwagą dla coraz bardziej drapieżnie rozwijającej się ideologii dżihadu, która zatruwała zdezorietowaną i odrzuconą przez system młodzież z północnego Paryża. Najwyraźniej Abi Rabka i jemu podobni obawiali się, że zamordowanie Mosisiego mogłoby zrobić z niego męczennika i wśród umiarkowanej części muzułmańskiej społeczności wzbudzić jeszcze większą antypatię, a wręcz chęć odwetu. Gdyby została złamana zmowa milczenia i wierni na dobre odcięliby się od radykałów, zdradzając odpowiednim służbom szczegóły działalności salafickich imamów czy osób powiązanych z siatką terrorystyczną, cały plan mógłby runąć jak domek z kart. A ten był długofalowy, więc lepiej było tolerować Mosisiego, jako stosunkowo niegroźnego piewcę umiarkowanego islamu, niż ryzykować jego zabicie i trudne do przewidzenia konsekwencje tego czynu.

Po blisko czterech godzinach analiz moje powieki zaczęły już samoistnie opadać. Mozolne poszukiwanie, tak naprawdę nie wiadomo czego, powodowało, że z każdą kolejną minutą odpływałem coraz dalej.

Zastanawiałem się, czy tak wygląda praca policjantów i innych służb, które infiltrują środowiska przestępcze. Jeśli tak, to było to cholernie nudne i nużące. W pewnej chwili już nie potrafiłem opanować odruchów zmęczonego organizmu i zacząłem ziewać jak opętany, czym zaraziłem wszystkich dokoła, z Krzyśkiemna czele. Coraz częściej pojawiał się też w mojej głowie zasłyszany termin — abrogacja. Co to było? Nie mogłem opędzić się od tej myśli, za wszelką cenę chciałem poznać znaczenie tego słowa, ale głupio mi było zapytać Figura czy choćby Mosisiego, żeby nie wyjść na ignoranta.

W pewnym momencie gospodarz zaproponował trzecią już tego wieczoru kawę, ale Krzysiek, wcześniej zerknąwszy na nasze zmęczone twarze, grzecznie mu podziękował i ogłosił koniec pracy. Przyjąłem to z ulgą, gdyż pięć minut później pewnie zasnąłbym na siedząco. Jutro też był dzień i może lepiej było przespać się kilka godzin, aby obudzić się w pełni sił. Mosisi również zdawał się zadowolony z takiego obrotu sprawy i zamiast czarnego napoju przyniósł nam koce, po czym sam opuścił salon i zostawił nas samych.

Choć mogłem położyć się na kanapie, wybrałem podłogę, na której leżał miękki zielony dywan z afrykańskimi wstawkami. Zaccherini wziął się tymczasem za czyszczenie broni, co nieco zbiło mnie z tropu. Uznałem jednak, że nie będę się wygłupiał i mogę to zrobić choćby jutro rano, gdy wszyscy wrócimy do dalszego planowania. Afgan stanął przy oknie i wpatrując się w głąb ponurej ulicy, szcztokował zęby. Zawsze był pod tym względem nawiedzony i nawet jeśli wracał do domu w stanie agonalnym, to tę czynność musiał wykonać, choćby na czworakach. Cóż, każdy miał swoje nawyki.

Mnie po prostu chciało się spać. Gdy w końcu wygodnie się ułożyłem, a moje powieki bezwiednie opadły, znienacka powróciła „abrogacja” „Co to, kurwa, jest?” — zadałem sobie to pytanie po raz kolejny. Pomimo zmęczenia otworzyłem oczy i spojrzałem na Krzyśka, który właśnie układał się do snu pod ścianą. Przez moment pomyślałem, czy go nie zapytać, ale uznałem, że to nie jest w tej chwili najlepszy pomysł. Zresztą od czego jest Internet...

Zawahałem się, ale „abrogacja” kusiła zbyt mocno. Wyciągnąłem smartfon, który zostawili mi w szpitalu rodzice. Dostrzegłem dziewięć nieodebranych połączeń, sześć od matki i trzy od ojca, a do tego drugie tyle wiadomości tekstowych. Wiedziałem, że będę musiał oddzwonić albo przynajmniej coś odpisać, ale to nie była pora na tego typu czynności. Wszedłem w sieć i wpisałem w wyszukiwarkę „abrogacja w islamie”.

Kliknąłem pierwszy artykuł, który wisiał na portalu euroislaml. Znałem tę stronę już wcześniej i wiedziałem, że jest stosunkowo neutralna i nieuprzedzona, a jedynie stara się obiektywnie przedstawiać wszystko, co związane z islamem w Europie, nie uciekając jednak od zagrożeń z nim związanych. Zagłębiłem się w lekturze.

Początek był trudny i nie do końca dla mnie zrozumiały, ale zrzuciłem to na karb zmęczenia, więc pomiąłem fragmenty o najbardziej teologicznym zacięciu. Tekst był długi, więc omiotłem go wzrokiem, podświadomie szukając tego, co mógł mieć na myśli Mosisi, próbując rozmawiać o islamie z Krzyżakiem W pewnym momencie moją uwagę przykuł podrozdział traktujący o abrogacji w odniesieniu do dżihadu. Czytałem:

Chociaż nie cały terrorizm ma swe źródła w islamie, religia ta odpowiedzialna jest za zdecydowaną większość zamachów. Błędem jest zakładanie, że skrajne jej interpretacje są wypaczeniem. Stwierdzenia, że w religii nie ma przymusu, a dżihad to przede wszystkim wewnętrzna walka, a nie święta wojna, mogą zyskać sympatię słuchaczy na uniwersytetach

1 w placówkach dyplomatycznych, jednak wynikają z niezrozumienia idei abrogacji w islamskiej teologii. Należy stwierdzić, że to, w co wierzą uniwersyteccy badacze, i to, co sądzi większość muzułmanów — czy chociażby co skrajniejsi — to dwie różne rzeczy. Dla wielu islamistów i radykalnych muzułmanów abrogacja jest faktem, a to, co Zachód nazywa terrorem, jest sprawiedliwością.

Za życia Mahometa islamska społeczność przeszła trzy etapy rozwoju. Na początku, w latach 610—622, Ałlah nakazywał powściągliwość. Gdy muzułmanie przenieśli się do Medyny (lata 623—626) Ałlah pozwalał im walczyć jedynie w wojnie obronnej. Jednak w ciągu ostatnich sześciu lat życia Mahometa (lata 626—632) Ałlah pozwolił muzułmanom prowadzić wojny ofensywne — najpierw przeciwko politeistom, a z czasem również przeciwko monoteistom pokroju żydów z Khaybar. Gdy tylko Mahomet dostał boskie pozwolenie na zabijanie w imieniu Ałłaha, ruszył w bój.

Najważniejszy z punktu widzenia abrogacji i dżihadu przeciwko niewiernym jest dziewiąty rozdział Koranu („Skrucha”). To jedyny rozdział, który nie zaczyna się słowami „ W Imię Ałłaha Miłosiernego i Litościwego!”. Komentatorzy są zgodni co do tego, że Mahomet doznał tego objawienia w 631 roku, rok przed śmiercią, po powrocie do Mekki, gdy był u szczytu władzy i siły. Muhammad bin Isma'īl al-Bukhari (810—870),

redaktor jednego z bardziej znanych zbiorów hadisów, powiedział, że „Skrucha” była ostatnim rozdziałem wyjawionym Mahometowi, istnieją jednak głosy, że być może był to przedostatni rozdział. Tak czy owak, jako że powstał pod koniec życia Mahometa, rozdział ten anuluje wcześniejsze objawienia. Zatem skoro są tutaj agresywne fragmenty, unieważniają one poprzednie pokojowe treści. Muhsin Khan, tłumacz Sahih al-Bukhari, twierdzi, że Allah przekazał „Skruchę”, żeby muzułmanie mogli wyzbyć się skrupułów i podjęli walkę przeciwko wszystkim poganom i Ludziom Księgi, jeśli ci nie przejdą na islam lub nie zapłacą podatku religijnego. Tak więc na początku agresywna walka była zabroniona, a później stała się dozwolona (2:190), by w końcu stać się obowiązkiem (9:5).

„ Werset Miecza ” abrogował, anulował i zastąpił 124 wersy, które nawoływały do tolerancji, współczucia i pokoju. Suyuti twierdził, że cała mowa o wybaczeniu i pokoju w Koranie została unieważniona przez wers 9:5, który nakazuje muzułmanom walkę z niewiernymi i ustanowienie Bożego królestwa na ziemi. Zanim Mahomet otrzymał objawienie „Skruchy”, zdążył zawiązać sojusze z różnymi arabskimi plemionami. Jednak po objawieniu (2:190—192) Mahomet poczuł, że ma prawo przerwać rozejm. Zdaniem komentatora Koranu, Isma’ila bin Kathira (1301—1373), ucznia Ibna Taymiyya, sprawa jest prosta: skoro w dżihadzie chodzi o zabijanie ludzi, to Allah pokazuje w ten sposób, że brak wiary, politeizm i unikanie boskiej drogi ukazanej w Koranie jest gorsze niż fakt zabicia niewiernych. Dało to przyszłym pokoleniom muzułmanów licencję na zabijanie niewiernych jedynie z powodu tego, że nie chcieli przejść na islam.

W komentarzu Ibn Kathira na temat wersetu 9:5 czytamy, że pierwszy kalif Abu Bakr al-Siddiq, posługiwał się tym oraz innymi wersetami, żeby uzasadnić walkę z każdym, kto nie płacił religijnych podatków lub nie przechodził na islam. Ibn ‘Umar Ibn al-Khattab, odpowiedzialny za jeden z hadisów, zacytował słowa Mahometa „Dostałem rozkaz walczyć, dopóki ludzie nie przyznają, że nie ma bóstw wartych czczenia poza Allahem, a Mahomet jest jego posłańcem”. Potwierdził, że Ad-Dahhak bin Muzahim, wiarygodnie przekazujący hadisy, powiedział, że „ Werset Miecza ” „ unieważniał każde porozumienie pokojowe pomiędzy Prorokiem a jakimkolwiek bałwochwalcą, każdy traktat, wszystkie umowy”. Awfi cytował IbnAbbasa, którego zdaniem „Skrucha” anulowała wcześniejsze porozumienia pokojowe. W szkole Shafi potraktowali to jako

usprawiedliwienie zabijania każdego, kto porzucił modlitwę, i walczenia z każdym, kto odmówił płacenia podatku od mniejszości religijnych. Interpretacje te nie pozostają bez odpowiednich konsekwencji. Muhammad Sald Ramadan al-Buti, współczesny naukowiec na uniwersytecie Al-Azhar, napisał, że „werset 9:5 nie pozostawia miejsca na snucie domysłów w kwestii tego, co nazywamy wojną obronną. Werset ten potwierdza, że święta wojna, która jest wymogiem islamskiego prawa, nie jest wojną obronną, ponieważ zgodnie z prawem może też być wojną ofensywną. To jest najważniejsza i najbardziej honorowa ze wszystkich świętych wojen. Jej celem jest sławienie słowa Bożego, tworzenie islamskiego społeczeństwa i ustanowienie Boskiego królestwa na ziemi, bez względu na to, jakich środków by to nie wymagało. Ofensywna święta wojna jest jak najbardziej prawomocna”. Wojna defensywna jest niczym innym jak przejściowym okresem w islamskiej misji Proroka. Potem przyszła kolej na następną fazę, czyli wezwanie całej ludzkości do przyjęcia islamu. Nawet Ludzie Księgi muszą przejść na islam lub poddać się muzułmańskim rządóm. Stąd stwierdzenie Mahometa „ Oni nie najechaliby was, ale wy najedziecie ich”...

Moje powieki bezwiednie zaczęły opadać, tym bardziej że Zaccherini właśnie skończył czyścić swoją broń i też ułożył się do snu. Postanowiłem, że doczytam następnego dnia, ale mimo że byłem wykończony, sen nie chciał przyjść. Leżałem i myślałem o tekście na temat abrogacji. Czy to wszystko mogio być prawdą? Czy rzeczywiście daliśmy i wciąż dajemy się tak oszukiwać? Pamiętam, jak Krzysiek mówił w samochodzie, że Koran jest pełen sprzeczności, ale nie myślałem, że aż w takim stopniu. Muzułmanie z nas kpili.

Zrozumiałem, że jakiegokolwiek wersetu nie zacytowałbym wtedy Muhammadowi Abi Rabki, on i tak co najwyżej zaśmiałyby mi się w twarz. Dla niego liczyła się tylko sura numer dziewięć. Wersety Miecza.

Gdy w końcu sen przyszedł i powoli osuwałem się w ciemność, pojąłem, że nie to jest najgorsze. Najbardziej przerażało mnie, że tak myśli prawie każdy wierny wyznawca Allaha...

A kiedy miną święte miesiące, wtedy zabijajcie bałwochwalców, tam, gdzie ich znajdziecie; chwytajcie ich, oblegajcie i przygotowujcie dla nich wszelkie zasadzki! Ale jeśli oni się nawrócą i będą odprawiać modlitwę, i dawać jałmużnę, to dajcie im wolną drogę. Zaprawdę, Bóg jest

przebaczający, litościwy!” — werset 5, sura19, At-Tauba (Skrucha), Koran.

MONIKA

Z pamiętnika porucznik Moniki Figurskiej, pseudonim „Ghula”

Jedenasty dzień niewoli, 2023 rok, Paryż, Francja

Moje przeczucia okazały się prawdziwe. Mała Dorotka jeszcze tego samego dnia została zabrana na górę. Gdy po kilku godzinach przynieśli ją i rzucili na materac, przypominała ludzki wrak. Młode ciało zostało zbrukane, cuchnęła moczem i spermą swoich oprawców, jej mahoniowe włosy były rozczochrane i posklejane, pod nosem dostrzegłam zaschlą krew. Odzyskała przytomność dopiero po jakimś czasie, ale z tej niewinnej, choć głupiej dziewczuchy nie zostało nic. Teraz kuliła się pod ścianą, na każdy dźwięk reagując gwałtownym wycofaniem. Kwiliła jak porzucona przez swojego pana suczka. Odkryłam, że nawet nie jest mi jej żal, a chyba czułam wręcz jakąś chorą satysfakcję. Nie wiem dlaczego, to było obrzydliwe, ale w jakiś dziwny sposób pozwalało mi czuć się lepiej.

Wszystkie etapy, którym Dorotka musiała w najbliższych dniach stawić czoło, ja miałam już za sobą. Wkraczałam w nowy rozdział mojej gehenny, który rozpoczął się następnego dnia.

Po śniadaniu, które tradycyjnie przyniósł Amir, do piwnicy przyszedł „Jednooki”. On przerażał mnie chyba najbardziej. Był brzydki jak diabeł, a gdy mnie gwałcił, robił to bardzo brutalnie. Nawet ten pomarszczony staruch nie budził we mnie takiej odrazy jak jego obłąkany syn. Na samą myśl o jego szczerbatym i cuchnącym pysku zaczynałam drzeć jak osika.

Byłam przekonana, że znów czeka mnie zbiorowy gwałt. Próbowałam odłączyć myślenie, przenieść się w czasie i przestrzeni, jak podobno robią to hinduscy jogini, opuścić ciało, które przez ostatnich kilkanaście dni stało się dla mnie więzieniem. Niestety, zawsze kończyło się tylko na życzeniach, a ja zostawałam w mięsno-skórzanej powłoce pomiędzy stadem dzikich wilków. Najpierw obserwowały, szydziły, pastwiły się, w końcu rzucały się na mnie jak na zagubioną owcę, kąsały, szarpały, w końcu pożerały. Dokładnie tak, one pożerały moją duszę, kawałek po kawałku wyszarpywały resztki godności. Ale nie tym razem...

„Jednooki” zaprowadził mnie do przestronnego i jasnego pokoju, w którym przebywały dwie kobiety w czarnych nikabach. Tak bardzo brakowało mi

słońca! Jego promienie wdzierały się przez wysokie, otwarte na oścież okna, zza których dochodził gwar budzącego się miasta. Słyszałam odgłosy gwałtownie hamujących samochodów, pisk opon, klaksony. Ktoś musiał się spieszyć, bo stukot jego obcasów odbijał się echem od ścian budynków, gdzieś indziej kilka głosów przekrzykiwało się w nieznanym mi języku. Nozdrza podstępnie kusił intensywny zapach pieczywa i kebabu. Moje serce najbardziej ucieszył jednak widok dwóch gołębi, które beztrosko przechadzały się po parapecie i od czasu do czasu wesoło gruchały. Pomyślałam, że mają sielskie życie...

Mój oprawca krzykliwym tonem wydał kilka komend i dwie kobiety w nikabach posłusznie podniosły się z gustownej sofy. Cicho zbliżyły się do mnie, niemal jak duchy, jakby płynęły tuż nad powierzchnią drewnianej podłogi. Wzięły mnie pod ręce, a „Jednooki” prychnął i bez słowa wyszedł z pokoju. Gestem wskazały, abym usiadła, co natychmiast uczyniłam. Niższa z nich podeszła do drzwi i przekręciła zamek. Gdy tylko to zrobiła, odpięła kwef i oswobodziła kruczoczarne włosy. Ta, która została przy mnie, postąpiła tak samo i spod czarnego materiału również wystrzeliła burza hebanowych loków. To był szok...

Ich usta lśniły jaskrawą czerwienią, aksamitna skóra zdawała się pozbawiona jakichkolwiek skaz. Obie miały duże, brązowe oczy, spojrzenie, podkreślone umiejętnymi wyważonym makijażem, było bardzo przenikliwe, wręcz zniewalające. Nawet gdybym chciała wtedy coś powiedzieć, to chyba nie wydusiłabym z siebie słowa. Ich uroda, wdzięk i swoista dostojność, mimo niewątpliwie bardzo młodego wieku, zaskoczyły mnie nie mniej niż brzydota i sadyzm moich oprawców.

— Nie bój się, niewolnico — rzekła czystą angielszczyzną niższa. — Mam na imię Dżamila, a to moja siostra Asala. Dzięki woli Najjaśniejszego trafiłaś do nas, a my wypełnimy ją i przygotujemy cię do podróży, która odmieni twoje marne życie.

— Nie zrobimy ci krzywdy — łagodnie dodała druga, w jej uszach skrzyły się dwa okazałe rubiny.

Milczałam, kompletnie mnie zatkało. Patrzyłam się na te piękne kobiety, próbując oswoić się z tą diametralną zmianą. Myślałam, że znów będę brutalnie zgwałcona, a tymczasem siedziałam w towarzystwie dwóch młodych dziewczyn o aparycji arabskich księżniczek. Tylko utwierdziłam się w tym przekonaniu, gdy obie zrzuciły nikaby, odsłaniając idealnie kształtne ciała,

których nie powstydzilyby się kandydatki na Miss Świata. Nosily suknie, które kojarzyły mi się z opowieściami z „Baśni z tysiąca i jednej nocy”. Pierwsza — jasnozłota, szyta ciemniejszymi, złotymi nićmi, lekko prześwitywała, nienachalnie zdradzając obfite krągłości właścicielki. Kuszająca, wręcz filuterna bielizna wyraźnie odznaczała się pod miękkimi zwiewnym materiałem także uAsali, która miała na sobie absolutnie prześliczną suknię z czerwonego jedwabiu. Wyglądały jak boginie.

Głos kobiecej natury zrobił swoje i dosłownie przeniosłam się do innego świata. Ból, cierpienie, wstyd, hańba — wszystkie one zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a ja w tej idiotycznej niedorzeczności pomyślałam, że dałabym się pokroić za takie kreacje. Poczułam się przy nich jak szara myszka, bo choć nigdy nie narzekałam na swój wygląd — ba, zawsze uważałam się za bardzo atrakcyjną — to i tak, nawet zakładając mój najbardziej seksowny ciuch, nie dorównałabym im w połowie. Po prostu nie mogiam uwierzyć, że pod tymi czarnymi szmatami mogą chować się tak piękne i niesamowicie ponętne kobiety. Szczerze mówiąc, nigdy nawet się nad tym nie zastanawiałam, ale moje ogólne wyobrażenie tego, co może kryć się pod nikabem, było zgoła inne od tego, co właśnie ujrzałam na własne oczy.

— Jak brzmi twoje imię, niewolnico? — spytała czule, wręcz tkliwie Dżamila, a mnie uderzyła skrajna ambiwalentność tej sytuacji. Słowo „niewolnica” pasowało w tej chwili jak pięść do oka.

— Mam na imię Monika.

— Co ono oznacza w twoim języku?

— Samotna — odparłam i zdałam sobie sprawę, jak trafnie zabrzmiało to w mojej aktualnej sytuacji.

— Moje imię oznacza „piękna”.

— A moje „czysta” — dodała Asala i obie obdarowały mnie szczerymi uśmiechami.

Nie wiedziałam, jak się zachować, trudno mi było dopuścić do siebie myśl, że nagle ktoś jest dla mnie miły. Owszem, przebłyski pozytywnych uczuć widziałam u Amira, ale te śliczne kobiety zachowywały się jak anioły. Ich buzie, głosy i gesty całkowicie przeczyły temu, czego doznawałam od tych okrutnych mężczyzn. Kim były? Ich siostrami, córkami, żonami?

— Macie piękne imiona i... — Zawiesiłam głowę, łzy napłynęły mi do oczu.
— Dziękuję wam bardzo, dziękuję...

Tylko tyle zdołałam z siebie wydusić. Szok, który przeżywałam, wręcz

mnie przytłoczył. Te kilka serdecznych aktów sprawiło, że prawie całkiem się rozkleiłam. Moje opiekunki, widząc targające mną uczucia, podniosły się z sofy i wyciągnęły ręce.

— Chodź z nami. Sprawimy, że ty też znów będziesz piękna i czysta.

Po tych słowach chwyciły mnie pod łokcie, po czym poprowadziły w kierunku kremowych drzwi. Poddałam się ich woli, chyba wyobraziłam sobie coś, czego nie powinnam. Nadzieja jest jedynym uczuciem w swoim rodzaju...

Ze środka dobiegał cichy szum. Gdy w końcu przekroczyliśmy próg, ujrzałam gustowną łazienkę. Na grafitowych płytkach znajdował się delikatny orientalny wzór oraz bogate dekoracje, malowane złotą i srebrną nicią. Po prawej stronie stała drewniana toaleta na strzelistych nogach, podtrzymywała stylową umywalkę, nad którą wisiało przepiękne lustro. Wyjątkowego klimatu dodawał szycowny abażur, a nienachalne dodatki dopełniały szycowny wystrój tej niezwykłej łazienki.

Mój wzrok zatrzymał się na cudnej wannie, która właśnie wypełniała się ciepłą wodą. W wilgotnym powietrzu unosiła się para — obietnica gorącej i przyjemnej kąpieli.

— Pomożemy ci zdjąć ubranie — rzekła Asala i wspólnie zsunęłyśmy z ramion podartą sukienkę. Ból przypominał o sobie, gdy materiał dotykał zadrapań i otarć. Kiecka była w strzępach i natychmiast wylądowała w wiklinowym koszu, podobnie porwany stanik. Majtek od dawna nie miałam. Gdy już byłam całkiem naga, instynktownie spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Ujrzałam umorusaną, posiniaczoną i upodloną dziewczynę, wyglądała jak bezdomna narkomanka. Dżamila i Asala nie pozwoliły mi dłużej pastwić się nad samą sobą i delikatnie, choć stanowczo, poleciły wejść do wanny.

Nie wytrzymałam...

— Kim jesteście? — spytałam, musiałam to wiedzieć. — Dlaczego jesteście dla mnie takie miłe? Spojrzały po sobie, tym razem nie uśmiechnęły się.

— Pokornie służymy swojemu mężowi i wypełniamy jego wolę — odparła Dżamila.

Asala jedynie skinęła na znak, że potwierdza te słowa.

— Kto nim jest?

— Czcigodny Muhammad Chalil Abi Rabka.

Opadły mi ręce. Ten wysuszony staruch?
Poczułam silne pieczenie. Gorąca woda z mydłem zaczęła oczyszczać
moje rany.

KUBA

Obudziłem się o świcie. Chciałem spać dalej, ale myśli wciąż krążyły wokół abrogacji i tego, co ze sobą niosła, a do tego Franco koszmarne głośno chrapał. Mimo wszystko trzy godziny snu pozwoliły przegonić zmęczenie, a ja wykorzystałem czas o poranku, aby odszukać więcej informacji dotyczącej tego tematu.

Kolejne artykuły nie pozostawiały wątpliwości. Według zdecydowanej większości praktykujących muzułmanów najpóźniejsze objawienia Mahometa anulowały te wcześniejsze. Co się za tym kryło? Ano to, czym obywatele cywilizacji Zachodu byli i są karmieni od lat — koraniczne kłamstwo dotyczące podejścia do dżihadu. Wszyscy piewcy i obrońcy islamu zawsze podkreślali, że ma on charakter pokojowy. I rzeczywiście, mieli się czym podeprzeć, gdyż w czasie pierwszych objawień Mahometa, gdy jeszcze nie miał armii, był słaby i musiał zginać kark przez innymi, prorok mówił o tolerancji, życiu w zgodzie z odmiennymi religiami, miłości i pokoju. Robił to z prostej przyczyny — nie miał innego wyjścia, bo będąc słabym, musiał utrzymać się przy życiu. Jego podejście z czasem zaczęło się jednak zmieniać. Mahomet rósł w siłę, a jego poglądy zaczęły ewoluować wraz z kolejnymi zdobyczami wojennymi. Gdy w końcu osiągnął szczyt swojej potęgi, zaczął nawoływać do dżihadu, czyli walki z niewiernymi. Najbardziej obfite w tego rodzaju nakazy są wersety z ostatniego, dziewiątego rozdziału, pod tytułem „Skrucha”, w którym to zostały zapisane finalne objawienia proroka. Słynne Wersety Miecza, w których Mahomet wielokrotnie mówi o zabijaniu wyznawców innych religii i nienawiści wobec wszystkich, którzy nie uznają jego zwierzchnictwa, po dziś dzień są podstawą i fundamentem islamu, którego ostatecznym celem jest zapanowanie nad całym światem. Dyskusja na ten temat wśród osób niemających pojęcia o Koranie i zawartej w nim treści, zazwyczaj sprowadzała się do cytowania konkretnych wersetów traktujących o miłości i pokoju (w przypadku obrońców islamu) lub nienawiści i wojnie (w przypadku antagonistów). Muzułmanie zawsze wybielali wyznawaną przez siebie religię, powołując się na te pierwsze, Wersety Miecza wiecznie deprecjonując, a czasami wręcz beczelnie kłamiąc, że w ogóle nie istnieją. Ich największym osiągnięciem było jednak to, że zdołali sprytnie ukryć przed większością społeczeństw zachodnich zasadę abrogacji, czyli znoszenia się kolejnych zapisów w Koranie. Najprościej mówiąc — zataili fakt, że

wszystkie wersety dotyczące tolerancji i pokoju zostały anulowane przez wersety mówiące o dżihadzie. Zatem powoływanie się na te pierwsze było z góry zaplanowanym oszustwem, gdyż w praktyce utraciły one swoją ważność. Pomyślałem o *takijji*, o której w czasie podróży do Barcelony wspominał Krzysiek. Idealnie wpisywała się w cały schemat.

Najśmieszniejsze w tym wszystkim było to, że na temat pokojowej natury islamu najczęściej wypowiadali się zazwyczaj kompletnie zaślepieni swoją ideologią multi-kulti skrajni lewicowcy, którzy nie mieli zielonego pojęcia o treści zawartej w Koranie. Jeszcze lepiej, praw muzułmańskiej mniejszości najbardziej zaciekle bronili homoseksualiści czy feministki, którzy dla radykalnych wyznawców islamu byli pierwszymi do odstrzału. Nie mogiem pojąć, że ludzkość, pomimo faktu, że poleciała w kosmos, wciąż jest tak głupia i daje nabierać się na tak proste sztuczki. Sam czułem się jak skończony idiota. Przez lata kolegowałem się z wieloma ludźmi, dla których byłem po prostu niewiernym. Może nie wszyscy myśleli w ten sposób, może trochę przesadzam, ale — dopiero teraz zacząłem to dostrzegać — wielu podchodziło do tego właśnie tak. Zaczynałem rozumieć, że pomieszkiwałem z ludźmi, którzy byliby w stanie mnie zabić tylko dlatego, że nie wierzę w ich Boga.

Nie zapomnę tego, co w nerwach wyrzucił z siebie Hamza... *Strzelałbym do niewiernych jak do kaczek, dla mnie to jak splunąć* — mówił człowiek, z którym mieszkałem pod jednym dachem, ba, nawet w jednym pokoju, którego traktowałem jak kumpla i nawet pomimo dość istotnych różnic kulturowych naprawdę go lubiłem. Pojąłem, że dyskusja z nim na temat religii była z góry skazana na porażkę, a moje i Carlosa argumenty nie miały najmniejszych szans przebić się przez mur indoktrynacji. On w głowie miał dżihad, choć na co dzień potrafił to doskonale ukrywać. W końcu pękł, nie wytrzymał i ujawnił swoje prawdziwe myśli. Powiedział, że mógłby nas zabić. Zastanawiałem się, czy rzeczywiście byłby w stanie to zrobić... Wziąć maczetę lub nóż i uciąć mi głowę. Tak po prostu, bo nie chcę przejść na islam. Popatrzeć mi w oczy i bez żadnych skrępułów wbić ostrze w gardło.

Coraz bardziej mnie to przerażało. Trudno mi było wyobrazić sobie podobną sytuację. Nie miałem pojęcia, że los kiedyś rzuci nas jeszcze na te same tory. W ponurym czasie. Gdy zatriumfuje zło.

Wstałem pierwszy i od razu udałem się do łazienki. Nie miałem szczoteczki, więc nałożyłem pastę na palec. Gdy przemyłem twarz

i spojrzałem w lustro, dostrzegłem zmianę, której się nie spodziewałem. Moje rysy były inne, jakby bardziej męskie, ascetyczne, chłodne. Zniknęła młodzieńcza radość i beztroska, pojawił się grymas, który określiłbym jako mieszaninę smutku, cierpienia, złości i jakiejś nieokreślonej żądz. Kilkudniowy zarost potęgował to wrażenie, a nierówna, szarpana wieloma cięciami blizna na szyi dodawała mi bardziej surowego, wręcz bandyckiego wyrazu.

Spodobało mi się to, zrobiłem kilka groźnych min, w idiotyczny sposób napawając się tą zmianą. W końcu wyobraziłem sobie Abi Rabkę, który błaga o litość, a ja beznamyślnie oprawiam go jak świeżo upolowanego dzika. Nie ma we mnie współczucia, nie ma zmiłowania. Jest tylko gniew i pragnienie zemsty.

Ścisnąłem krawędzie umywalki, gniew niepostrzeżenie powrócił.

Chyba naprawdę się zmieniałem. Nienawiść, która toczyła każdą komórkę mego ciała, ewoluowała, a ja razem z nią. Priorytety obróciły się o sto osiemdziesiąt stopni, zmieniła się perspektywa. Tak jakbym ściągnął różowe okulary. Zrozumiałem, że przez te dni nie uśmiechnąłem się ani razu. Nie mogiem, to nie byłoby w porządku wobec Nawal. Wciąż była w moim sercu, wciąż nosiłem w sobie żalobę.

I pragnienie zemsty.

Oporządziłem się. Blizna lśniła świeżością, ale nie czułem już żadnego dyskomfortu. Wróciłem do pokoju. Chłopaki najwyraźniej też nie mogli spać, bo Krzysiek siedział na sofie, jakby w ogóle nie zmrużył oka, a Michał i Franco powoli się ogarniali.

— Jaki plan? — rzuciłem, nie mając na myśli konkretnego adresata.

— Zjemy śniadanie i wracamy do roboty. Przed nami jeszcze dużo pracy — odparł Figur. Napinał i luzował swój biceps, jakby darzył go jakimś wyjątkowym uczuciem. Chwilę później wziął się za robienie pompek.

Podszedłem do okna, było uchylone i dało się słyszeć gwar budzącego się miasta. Stałem tak przez chwilę, wpatrując się w bliżej nieokreślony punkt. Moje myśli krążyły wokół Abi Rabki. Gdzieś tu był, całkiem niedaleko. Wieści z Barcelony musiały dotrzeć do jego uszu, to było bardziej niż pewne. Pytanie, czy się tym w ogóle przejął. Tu, w Paryżu, na swoim terenie, zapewne czuł się bezpieczny.

Boże, jak ja pragnąłem dorwać go w swoje łapska!

Chęć odwetu chyba zaczynała mnie zaślepiać, strach powoli zmieniał się

w mobilizację. Myśli o porażce zazwyczaj wypierałem, nienawiść płonęła zbyt mocno, abym mógł brać pod uwagę, że coś się nie uda. Całą nadzieję pokładałem w Krzysku, który stał się dla mnie wzorem do naśladowania. Pragnąłem przeistoczyć się w twardego i nieustępliwego skurwysyna, dokładnie takiego jak on. Nie mogiem okazać słabości — słabi zawsze przegrywali. Musiałem zamienić się w drapieżcę i dopaść tego, który zabił moją Nawal. Nic innego mnie nie interesowało. Absolutne, pierdolone NIC.

Dyskutując mało albo wcale, dotrwaliśmy do momentu, gdy pani domu przyniosła nam mocną herbatę, a następnie śniadanie, na które składało się świeże pieczywo, ser i jakaś egzotyczna sałatka na bazie oliwek, pomidorów, twarogu i chyba pieczonej wołowiny z dodatkiem nieznanym mi przypraw. Zjedliśmy je ze smakiem w towarzystwie gospodarza i jego najstarszego syna. W czasie posiłku nie podejmowaliśmy tematu Abi Rabfi i szeroko pojętego islamu, raczej milczeliśmy i słuchaliśmy. Ayo najwyraźniej czuł się w obowiązku podtrzymania konwersacji, dlatego opowiedział nam o pracy w szpitalu i planach swoich dzieci. Czas beztroski musiał się jednak skończyć i gdy zjedliśmy, pani Mosisi zabrała brudne naczynia i w ich miejsce postawiła mocną, aromatyczną kawę. To był znak, że wracamy do pracy.

Przez kolejną godzinę Krzysiek przeglądał materiały Mosisiego. Rozmawiali głównie po francusku, więc nie rozumiałem wszystkiego, ale każde zdjęcie, artykuł czy zapisek musiał przejść przez ręce wszystkich obecnych w pokoju, w tym moje. Było to niezwykle nużące, właściwie nie widziałem sensu w przeglądaniu tych wszystkich fotografii i świstków papieru. Nie potrafiłem wyobrazić sobie, abym mógł wnieść jakiś konkretny wkład w planowanie, ale dzielnie omiatałem wzrokiem każdy dokument, aby nie wyjść na ignoranta. Spostrzegłem, że Michał również wziął sobie do serca słowa Figura, bo starannie przyglądał się każdemu zdjęciu, które trafiło w jego ręce. Pewnie udawał jeszcze bardziej niż ja, niewykluczone, że Krzysiek z Franco doskonale zdawali sobie z tego sprawę, ale żaden z nich nie dał tego po sobie poznać.

Przeglądałem kolejne fotki, część z nich była z tyłu opisana, padały imiona i nazwiska, daty urodzenia, pochodzenie, poziom radykalizowania, dokonane przestępstwa, czasem kilka luźniejszych zapisków odnośnie do sytuacji złapanego w kadr mężczyzny.

Chwyciłem kolejne zdjęcie i poczułem, jak zalewa mnie fala gorąca.
— Hej... to... — wyrwałem się, skupiając wzrok reszty kompanów.

— Co jest? — spytał szczerze zaciekawiony Krzysiek.

Nie zareagowałem, tylko przyjrzałem się wysokiemu mężczyźnie na zdjęciu, który na jakimś skwerze rozmawiał z dwoma innymi. Mieli na sobie ciepłe ubrania, w tle znajdował się plac zabaw. Skupiłem wzrok jeszcze bardziej, musiałem upewnić się, że moje przypuszczenia są prawdziwe. Krzysiek podszedł do mnie i odgryzając soczysty kawałek jabłka, zaglądnął mi przez ramię.

— Co jest, Kuba? — powtórzył pytanie i podsunął mi kolejną fotkę, na której znajdował się ten sam mężczyzna. Niewiele różniła się od poprzedniej, ale rysy jego twarzy były na zbliżeniu wyraźniejsze. Już nie miałem wątpliwości.

— Znam tego faceta — oznajmiłem Mosisi niemal podskoczył, słysząc moje słowa, i jego chude jak patyki palce natychmiast znalazły się obok moich, łąpczywie przekręcając zdjęcie. Kątem oka dostrzegłem, jak Figur zerknął na mnie, a potem znów na mężczyznę na fotografii.

— To znaczy... — zawahałem się. — ... na tym zdjęciu nie ma brody, ale jestem prawie pewien, że to ten facet, który kiedyś załatwił nam... porcję kokainy — dodałem niepewnie, w obecności Mosisiego poczułem się zawstydzony.

Teraz już wszyscy wpatrywali się w zdjęcie na blacie ławy, atmosfera zgęstniała.

— Jesteś tego pewny, czy prawie pewny? — spytał Krzysiek, tonem, który spowodował, że moje jelita związały się w supeł.

— Twarz jest bardzo podobna — odparłem, tymrazem już pełen wątpliwości.

— Pamiętasz, jak się nazywał tamten człowiek? — wtrącił się Mosisi, nerwowo poprawiając okulary.

— Kazał mówić na siebie „Lecu” albo jakoś tak.

— *Le cou* — poprawił mnie Mosisi z silnym francuskim akcentem — To znaczy szyja. Takim pseudonimem posługiwał się, gdy przed laty handlował narkotykami.

Poczułem ulgę, a po chwili zalew endorfm. Jeszcze nie wiedziałem, że właśnie skazałem człowieka na śmierć.

Z duszą na ramieniu stałem pod słynną wieżą Eiffla. Dookoła setki turystów kłębiły się jak rój robotnic w rozemocjonowanym mrowisku, wielu

niecierpliwie przebierało nogami w długiej i zakręconej kolejce, czekając na możliwość wejścia na szczyt stalowego giganta. Kiedyś też byłem na ich miejscu. Zastanawiałem się, czy po wielu godzinach oczekiwania, gdy w końcu znajdą się na samej górze, przyjdzie rozczarowanie. Pamiętam, że ja się wręcz wkurwiłem Owszem, widok był fenomenalny, ale równie piękny rozciągał się choćby z okolic bazyliki Sacre-Coeur, z tą różnicą, że aby się tam dostać, nie trzeba było stać godzinami w kolejce do windy, w której człowiek, ściśnięty jak sardynka w puszcze, wjeżdżał na pierwszy poziom, gdzie... a jakże, wiła się już następna kolejka.

Wtedy byłem turystą, dziś — szukającym zemsty renegatem Jak to się wszystko szybko zmieniło...

Przetarłem dłonią skórę na szyi. Blizna skryta pod mokrym od potu szalikiem Paris Saint-Germain była doskonale wyczuwalna. Spojrzałem w nieśmiało łypiące zza chmur słońce, którego promienie od czasu do czasu przemykały pomiędzy stalowymi elementami najświetniejszej budowli Francji. Popołudnie było stosunkowo ciepłe i bezwietrzne, ale w powietrzu dało się wyczuć napięcie. Nie byłem w stanie tego jednoznacznie określić, ale spomiędzy przenikających się zapachów pieczywa, potu, spalin czy okolicznych krzewów podstępnie wyzierało coś jeszcze. Jakiś dziwny, bezwonny, ale mimo wszystko wyczuwalny swąd. Niby wszystko zdawało się takie zwyczajne, niby wszyscy wyglądali na radosnych i skorych do zabawy. Ale gdzieś tam w tłumie krył się strach.

Zastanawiałem się, czy podobnie było w innych europejskich metropoliach. Przez ostatnie lata setki drobnych zamachów „samotnych wilków” i kilkanaście dużych, w których ofiary były liczone w dziesiątkach czy setkach, wprowadziły do życia ludzi permanentny lęk. Na co dzień odrzucany przez mieszkańców, którzy starając się nadać swojemu życiu pozory normalności, robili wszystko, aby udawać przed samymi sobą, że w zasadzie to wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ale strach zawsze podążał za nimi, czaił się na przystanku autobusowym, w metrze, na lotnisku, nawet na ulicy, w kolejce po bułki czy za rogiem własnej kamienicy. Stał się nieodłącznym towarzyszem Ta wieża, ten harmider, te tłumy tym razem mnie przytłaczały. Miałem wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią: turyści, przechodnie, czarnoskórzy sprzedawcy bibelotów. Dźwięk grzechoczących figurek wieży Eiffla w ich rękach doprowadzał mnie do szału. Szczęśliwie, w okolicy nie było wojskowych i policji. Mer Paryża ponad rok po powstaniu

paryskim, gdy sytuacja się uspokoiła, odwołał stan wyjątkowy i ściągnął z ulic ludzi z bronią. To miało spowodować, że mieszkańcy znów poczują się normalnie. Wątpię, aby mu się udało...

Nie mogłem zawieść, musiałem odegrać swoją rolę perfekcyjnie. Miałem wyszukać w tłumie „Lecu” i potwierdzić jego tożsamość. Niby proste, ale jakże cholernie trudne. Przecież facet mógł się zmienić. Pamiętam, że wtedy miał elegancko przyciętą brodę, na zdjęciach Mosisiego był ogolony, co w ogóle nie korespondowało z jego radykalnymi poglądami. Może to jednak nie był on? Ale przecież takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają...

A co jeśli nie będę stuprocentowo pewny? Jeśli będę musiał go zagadać, usłyszeć głos, może nawet przypomnieć się, udać, że to przypadkowe spotkanie, aby ostatecznie potwierdzić jego tożsamość? „Lecu” był gwałtcielem i mordercą. A ja miałem z nim zagrać jak w jakimś gangsterskim filmie. Czyste szaleństwo...

Według źródeł Mosisiego naprawdę nazywał się Abdelhamid Nazzar i pochodził z Algierii. Do Francji wyemigrował z rodzicami, gdy miał zaledwie kilka lat. W młodości zajął się sprzedażą narkotyków, szybko awansował w hierarchii (mniej więcej w tym okresie poznałem go podczas wizyty u mojej kuzynki, w 2017 roku), ale za dilerkę w końcu trafił za kratki. To właśnie tam się zradycyzował i po rocznej odsiadce wyjechał do Syrii, gdzie wstąpił w szeregi Państwa Islamskiego. Wrócił przed dwoma laty i stał się jednym z zaufanych członków terrorystycznej siatki Abi Rabki.

— To bardzo niebezpieczny człowiek— ostrzegał Mosisi. — Ma na koncie wiele ofiar z czasów walk dla ISIS, w Paryżu zajmuje się stręczycielstwem. Znany jest jednak z tego, że nie należy do pobożnych, to zwykły bandyta, socj opata, który w przeciwieństwie do większości naprawdę zindoktrynowanych radykałów pokroju Abi Rabki religię wykorzystuje instrumentalnie. Lubi blichtr, szybkie samochody, drogą biżuterię. Radykalni imamowie i sam Abi Rabka tolerują jednak jego luźniejsze podejście do nakazów Świętej Księgi, gdyż jest dla nich nieoceniony jako wabikna białe kobiety, które najpierw gwałci, a następnie sprzedaje w niewolę.

Te słowa długo jeszcze wybrzmiewały w naszych głowach, gdy wracaliśmy do swojej kwatery przy Rue du Faubourg Saint-Martin, gdzie następnie ustaliliśmy plan działania. A ten był stosunkowo prosty, choć niepozbawiony sporej dozy ryzyka. Jeszcze u Mosisiego zadzwoniłem do kuzynki, ale okazało się, że nie ma do niego numeru, bo już nie mieszka

w Paryżu, gdyż zdecydowała się opuścić stolicę Francji tuż po najszlachetniejszych zamieszkach. Musieliśmy radzić sobie w inny sposób, a dopomógł nam nieoceniony gospodarz, który zdradził, że „Lecu” często szuka swoich ofiar w okolicy wieży Eiffla. Niestety, tylko tyle, nie był w stanie określić, gdzie je zabiera lub gdzie przebywa w wolnym czasie. Pewność miał co do jednego — to właśnie na Polach Marsowych namierzał dziewczyny, które później porywał i sprzedawał do burdeli. Nikt jednak nie dawał gwarancji, że akurat dziś bądź jutro się tam zjawi. Prawdę mówiąc, szanse były znikome, tym bardziej że to rozległy i zatłoczony teren, przez co łatwo można było przeoczyć jego przybycie. Na plus zaliczyliśmy fakt, że wśród tylu ludzi wyszkolony żołnierz mógłby zdjąć go praktycznie niepostrzeżenie. Ale najpierw trzeba było go znaleźć...

„Lecu” był naszym punktem zaczepienia, zajmował się stręczycielstwem, więc istniało spore prawdopodobieństwo, że może też wiedzieć, gdzie jest przetrzymywana Monika. Należało tylko jakoś do niego dotrzeć i wyciągnąć tę informację. Ta część była domeną chłopaków z Legii. I choć byłem bardzo ciekawy, w jaki sposób chcą sprawić, aby „Lecu” zaczął mówić (w końcu był szkolonym żołnierzem, w przeciwieństwie do Rabaha), uznałem, że nie będę wnikał w szczegóły. Nieoczekiwanie wyręczył mnie Afgan.

— Jak chcecie zmusić go do gadania? — spytał w czasie omawiania planu.

— Jest jeden niezawodny sposób — odparł Krzysiek i skierował wzrok wprost na siedzącego naprzeciw Zaccheriniego.

— Nikt nie skłamie — prychnął w odpowiedzi potężny Włoch, a prawy kącik jego ust uniósł się pod wąsem w szyderczym uśmiechu.

Nie zdradzili jednak swojego planu w tym temacie, Afgan ustąpił, nie chcąc testować cierpliwości Zaccheriniego i Figura. Ja też nie cisnąłem, nie chciałem być nachalny, wciąż nie wiedziałem, jak poruszać się w świecie prawdziwych mężczyzn, choć zaczynałem rozumieć, że milczenie w odpowiednich momentach bywa na wagę złota. Michał chyba też zaczynał to rozumieć. Może wziął to sobie do serca aż za bardzo, bo prawie w ogóle się nie odzywał. Obserwował, chłonał każdy gest i ruch, sposób dedukcji, technikę planowania. Milczał, ale coraz rzadziej przypominał mi tego zagubionego studenciaka sprzed kilku dni. Jakby się hartował, twardniał, jego oczy stały się chłodniejsze. Nie wiem, jakie myśli kłębiły się w jego giowie, ale coś w nim pęczniało. Nigdy go o to nie spytałem, ale byłem prawie pewny,

że to samo trawiło mnie...

Czysta nienawiść.

To był krótki flesz, ale moje serce załomotało, a włoski na ciele stanęły dęba. Pociągła twarz „Lecu” mignęła mi pomiędzy głowami ludzi w kolejce do wieży Eiffla. Gwałtownie ruszyłem z miejsca i grzecznie przepaszając grupę chińskich turystów, przebiłem się na mniej zatłoczoną przestrzeń.

Zobaczyłem go ponownie. Był wysoki i szczupły, więc wyróżniał się w tłumie. Miał na sobie szarą designerską kurtkę, a zaczesane do tyłu czarne włosy lśniły brylantyną. Udając zaciekawionego turystę, zbliżyłem się na odległość kilku kroków, starając się unikać kontaktu wzrokowego. „Lecu” nosił pod kurtką biały, rozpinany pod szyją T-shirt, który podkreślał wysportowaną klatkę piersiową, na nadgarstku błyszczał masywny, zapewne nietani zegarek. Jasnoniebieskie dzinsy spinał szeroki pas z ozdobną kłamrą, która przedstawiała szykującą się do ataku kobrę. Pomimo faktu, że mierzył przynajmniej metr dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, miał na nogach buty na niewysokim obcasie, ich faktura w różnych odcieniach brązu przypominała skórę krokodyla lub innego gada.

„Lecu” sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnął papierosa. Odpalił go, a nasze spojrzenia na ułamek sekundy spotkały się. Poczułem ciarki na plecach, przypominałem sobie zdjęcia terrorystów, którzy tysiącami wjeżdżali do Europy, wykorzystując wielomilionową migrację. Złapani w kadr przez bezimiennych dziennikarzy, wyglądali tak jak on, przystojni, uśmiechnięci, ich twarze zdawały się godne zaufania, ciemne oczy przenikliwym spojrzeniem rozbrajały szczerością. Pozory... Wszyscy oni byli bezwzględnyimi mordercami, gwałcicielami, wyzutymi z wyższych uczuć zbrodniarzami. Pamiętam, jak ich zdjęcia i filmy z czasów służby były odnajdywane w sieci: w towarzystwie mas trupów, z odciętymi głowami kobiet i dzieci w rękach, podczas gwałtów, które najczęściej kończyły się śmiercią ofiary. Na tamtych fotkach też byli uśmiechnięci...

Nie pamiętam, żeby któryś z nich poniósł karę za tamte czyny, media zainteresowały się tematem tylko chwilowo, aby niemal natychmiast zupełnie zamilknąć, nawet pomimo niepodważalnych dowodów w postaci zdjęć, nagrań i filmów. Polityczna poprawność zamknęła usta wszystkim bez wyjątku. Więcej, w Szwecji poszli jeszcze dalej i byłym oprawcom z Państwa Islamskiego oferowali darmowe domy, wyżywienie i opiekę psychologa, aby mogli „uporać się z mroczną przeszłością i wrócić na łono społeczeństwa”.

Nie wspominam o zasiłkach, które częstokroć były wyższe niż zarobki ciężko pracujących obywateli, którzy nie dość, że harowali jak woły, aby jakoś wiązać koniec z końcem, to jeszcze byli zmuszeni dokładać się do wygodnego życia byłych terrorystów. Bezwzględnych, bezlitosnych, nieopisanie okrutnych zwyrodnialców z piekła rodem. To było chore, a jednak wszyscy to akceptowali, nawet ja, słysząc kiedyś podobne newsy, specjalnie się tym nie przejmowałem i choć moje nastawienie — pomimo zdecydowanie liberalnych poglądów — w tym temacie było negatywne, to i tak przechodziłem nad tym do porządku. Europa Zachodnia została spętana znową milczeniem i doznała masowego zaślepienia na niezaprzeczone fakty, jakiejś dziwnej, niespotykanej, wręcz masochistycznej uległości.

Dziś już nie byłem ślepy. Dostrzegałem niebezpieczeństwo. Odczułem je na własnej skórze.

Oczy są podobno zwierciadłem duszy. Oczy „Lecu” potrafiły kłamać... Ten ułamek sekundy, gdy nasze spojrzenia spotkały się, dał mi jednak pewność, że to ten sam człowiek, którego kiedyś przedstawiła mi kuzynka. Mimo upływu lat wyglądał nawet lepiej niż wtedy, ale to był on. Kiedyś zwykły, nie wyróżniający się diler narkotyków, dziś ogolony, zadbany, wystylizowany na arabskiego księcia przystojniak, zdawał się idealnym wabikiem na młode, naiwne Europejki, które nie miały pojęcia, że to tylko maska kryjąca wyjątkowo szkaradne oblicze.

Tak czy inaczej, teraz miałem pewność, że to ten sam facet. Dziś wiedziałem też, że gwałciciel, morderca, sadysta. Ilu takich codziennie mijamy na ulicach... ? Świat jest do kitu.

Najwyraźniej moja twarz nie wzbudziła w nim żadnych podejrzeń, bo po prostu odwrócił wzrok i mocno się zaciągnął. Wtedy niebieski balonik wypełniony helem, który przez cały czas dzielnie trzymałem w dłoni, powędrował w górę. Dałem chłopakom znak, że wykonałem powierzone mi zadanie.

Nie minęła nawet minuta, gdy poczułem szarpnięcie za koszulkę. U mojego boku stał Krzysiek.

— Jesteś pewny, że to on? — spytał, dyskretnie wskazując na taksującego okolice, w poszukiwaniu kolejnej ofiary, „Lecu”.

— Tak — odparłem, choć korciło mnie, aby dorzucić jeszcze: „Nie puściłbym tego pieprzonego balonika, gdybym miał jakiegokolwiek wątpliwości”. Zaczynało mnie wkurzać, że Krzysiu z Franco wciąż traktowali

mnie jak gówniarza. Może i nie byłem komandosem, ale pracowałem w teamie równie wytrwale. Wyciągnąłem ich spod ognia w Barcelonie, teraz namierzyłem dla nich człowieka, który mógł być kluczem do odbicia Moniki. I, do kurwy nędzy, potrafiłem rozpoznać jego twarz!

— Idź do samochodu i każ podjechać Michałowi w umówione miejsce. Będziemy tam góra za pięć minut — rozkazał.

Na szczęście, nie doczekałem się spodziewanego pytania: „Zrozumiałeś?”. Kiwnąłem głową i bez słowa ruszyłem w kierunku pobliskiej Avenue de la Bourdonnais, gdzie w naszym explorerze czekał Afgan. Dotarłem tam w niecałe dwie minuty, po drodze mijając kilkanaście turystycznych autokarów i trzy radiowozy. Te ostatnie były puste, a w okolicy nie dostrzegłem żadnych policjantów, więc albo działali pod przykrywką, albo obzerali się pączkami. Fakt, że mer Paryża odwołał mundurowych spod wieży Eiffla, działał zdecydowanie na naszą korzyść, choć dotarcie do samochodu, niezauważonym, ze schwytanym „Lecu”, zdawało się największym wyzwaniem. Nie zajmowało to jednak zbyt wiele mojego umysłu, pokładałem wiarę w Krzyśku — do tej pory nie dał mi żadnych powodów, abym wątpił w jego umiejętności. Wolałem skupić się na tym, aby samemu nie zawieść i wykonać krok po kroku własne zadanie.

Nasz samochód stał zaparkowany tuż za przyległym do stalowego giganta miniparkiem, w jednokierunkowej uliczce. Asfaltowa droga przechodziła tu w kostkę brukową, a stare kamienice znów rzucały cień na ulice, przypominając, że mają we władaniu stolicę Francji. Kiedyś szlajałem się z Kaśką tymi alejkami i chłonałem podniosłą atmosferę tego miejsca, dosłownie czułem bagaż historii, która zdawała się łytać zza każdego rogu, z każdego ornamentowanego balkonu i zdobionej okiennicy. Dziś nie miałem na to czasu. Zostały nam dwie minuty.

Michał dostrzegł mnie i natychmiast włączył silnik. Wiedział, co ma robić. Musieliśmy jedynie pokonać około dwudziestu metrów, przejechać przez skrzyżowanie i zatrzymać się w miejscu, gdzie parkowa alejka łączyła się z chodnikiem. To z niej mieli wyjść Franco i Krzysiek, oczywiście w towarzystwie ośmieszającego „Lecu”. Zakładałem, że będzie nieprzytomny, więc należało otworzyć tylne drzwi i upchnąć porwanego w środku, następnie pojechać do wcześniej przygotowanej piwnicy w budynku sąsiadującym z tym, w którym wynajęliśmy apartament. Krzysiek zadbał, aby miejsce było ciche i spokojne. Tak, aby nikt nam nie przeszkadzał, gdy „Lecu” będzie

przekazywał wszystkie interesujące nas informacje. Bo to, że będzie, nie podlegało żadnej dyskusji. Każdy ma swoją granicę bólu...

— Wszystko gra? — spytałem Afgana, gdy tylko zająłem miejsce od strony pasażera.

— Tak. Długo cię nie było...

— I tak mieliśmy fart, że się zjawił. Namierzanie jednego typa w środku dziesięciomilionowej metropolii to jak szukanie igły w stogu siana.

— Kurwa, stresuję się. — Michał patrzył przed siebie, a palce na kierownicy tańczyły w takt tylko jemu słyszalnej muzyki.

— W ciągu półtorej minuty powinni być — odparłem, zupełnie ignorując wyznaczenie przyjaciela i kierując rozmowę na nasze zadanie.

Afgan chyba zrozumiał aluzję, bo zacisnął palce na skórzanym obiciu i opanował niekontrolowane ruchy. Wtedy na wprost nas zza drzew wyłoniły się trzy postaci. Jedna z nich bezwładnie wisiała na ramionach pozostałej dwójki. Legioniści udawali pijanych. Michał delikatnie wcisnął pedał gazu, a ja poczułem, jak przeszedł mnie dreszcz. Ale nie bałem się. To było coś innego... Nie mogłem doczekać się przesłuchania.

KRZYSIEK

30 sierpnia 2023 roku, Paryż, Francja

Sam nie wiedział, dlaczego znów wybrał kościół. Po tym dziwnym i wciąż niejasnym dla niego samego spotkaniu z księdzem we francuskim Ille-sur-Tet Dom Boży był ostatnim miejscem, do którego planował się udać. Jednak wylądował właśnie tu, w ostatnim rzędzie jednej z tysięcy świątyń Paryża, w drewnianej ławie pod kolorowym witrażem z wizerunkiem Matki Boskiej tulącej do piersi Dzieciątka.

Od czasów komunii nie bywał w kościele, prócz dwóch wyjątków: pogrzebu swoich rodziców i gdy został zaproszony na ślub Olka, przyjaciela z „Falubazów”. Nie wierzył w Boga, był dla niego wymysłem ludzi słabych i bezbronnych, takich, którzy nie potrafią o siebie zadbać i dlatego wznoszą ręce do wyimaginowanej istoty, prosząc o pomoc, litość, błogosławieństwo czy to, czego akurat potrzebują, aby móc znieść trudy swojego marnego żywota. Zresztą nawet gdyby istniał i patrzył z góry na swoje wierne stadko, on przeklął go już dawno temu, wyrzekł się, nie mógł modlić się do kogoś, kto zabrał mu rodziców w tak młodym wieku.

A jednak znów był w jego domu. Klęczał i prosił o siłę. Dla siebie i dla niej.

Monikę zawsze traktował wyjątkowo. Jego koledzy też mieli siostry, ale mieli też matki i ojców. Ich obecność powodowała, że nie musieli patrzeć na nie w taki sposób jak on. Ich relacje często były dalekie od ideału, bywał świadkiem, jak tak bliscy sobie ludzie, raz na zawsze złączeni tą samą krwią, wyzywali się i obrzucali wszelakimi obelgami, jakby się naprawdę nienawidzili. Nie rozumiał tego. On nigdy nie odważyłby się skrzywdzić siostry. Nie wybaczyłby sobie, gdyby z jego powodu uroniła choć łzę. W końcu mieli tylko siebie.

Tym bardziej przeżył rozstanie, gdy musiał opuścić kraj i zaciągnąć się do Legii. Wiedział, że po raz pierwszy od lat Monika płakała przez niego długimi nocami, że została całkiem sama. Przez jego głupotę i bezmyślność, które doprowadziły do śmierci tego nastolatka w jednym z lubuskich lasów, a tym samym zamknęły mu drogę do normalnego życia w Polsce. W ojczyźnie czekały na niego tylko więzienne mury.

Chłopaki nie płaczą, tego zawsze uczył go tata. Nie był w stanie określić, czy mówił to wówczas poważnie, czy tylko chciał pocieszać małego Krzysia.

Jako nastoletni chłopak nie miał szansy poznać prawdziwych reguł, kanonów, zasad wyznawanych przez ojca. Jego wychowała ulica, ulica go zahartowała, utwardziła charakter, który później został we francuskiej armii wyostrzony jak żyłotka. Ulica nie uchroniła go jednak przed głupotą. Na to nie miała recepty.

Ulica wychowała też wielu tych, z którymi przyjdzie mu się wkrótce zmierzyć. Ulica i wojna.

Zacisnął mocniej dłonie na różańcu, który ofiarował mu tamten tajemniczy ksiądz. Od komunii trzymał go w rękach trzeci raz, nie chciał, aby chłopaki widzieli go z tym sznurkiem drobnych koralików. To by oznaczało słabość i bezsilność. Nie mógł dopuścić, aby kompani to dostrzegli. On, komandos Legii Cudzoziemskiej, był przerażony. Nie lękał się jednak śmierci, wrogów, bólu czy cierpienia. Bał się o Monikę, o to, czy ta drobna, bezbronna i zupełnie nieprzygotowana na taki los dziewczyna jest w stanie unieść potworny ciężar, jakim została obarczona. I o to, czy nie zdrzży mu ręka w usłanej cierniami drodze po siostrę. Gdy na muszce znajdzie się niewinna osoba. Dziecko...

Zabił w życiu (nie licząc przypadkowej śmierci kibica Stali Gorzów) dwadzieścia pięć osób, w zdecydowanej większości ludzi po stokroć złych, często zdegenerowanych i zwyrodniałych do szpiku kości. Ich nie żałował, nie miał wyrzutów sumienia. Ale wojna rzadko wybiera tylko łajdaków. Śmierć jest ślepa, a on przekonał się o tym trzykrotnie.

Za pierwszym razem nie zdołał uratować zakładniczki, której porywacz terrorysta strzelił w głowę. Miała czterdzieści sześć lat, była jedną z klientek centrum handlowego w Kairze, które zostało opanowane przez islamskich fanatyków z lokalnej filii ISIS. Winił się, bo miał zamachowca na muszce, ale mimo to nie zdecydował się pociągnąć za spust, choć wszystkie znaki wskazywały, że przeciwnik jest nieobliczalny i w każdej chwili może zabić z zimną krwią.

Drugi raz sprawił, że do dziś śnił koszmary. Trzy lata temu w Sudanie, gdy jeden z wystrzelonych przez niego naboju trafił w głowę dziewięcioletnią dziewczynkę, on niemal załamał się nerwowo. Mała Shilla znalazła się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Kula rozerwała jej czaszkę tuż nad uchem. Widok był okropny. Drobna istotka leżała w błocie, wyglądała jak porzucona szmaciana lalka, jej zbryzgana krwią koszulka na ramiączkach podwinęła się przy upadku aż po upiornie odstające łopatki, niemal całe plecy były pokryte długimi bliznami. Najgorsze było to, że ta

wychudzona do granic możliwości dziewczynka jeszcze żyła i błagalnym wzrokiem patrzyła na swoje stare i dziurawe buciki, które leżały w kałuży dwa metry dalej. Musiały być jedną z jej najcenniejszych rzeczy. W świecie opanowanym przez islamski terror. Nigdy nie zapomni tego obrazu. Zawsze będzie go prześladował. I nigdy sobie nie wybaczy.

Ludzie, z którymi wkrótce będzie walczył, nie mają podobnych dylematów. Oni nie znają litości, w ich słowniku nie ma słowa „miłosierdzie”. Gdy idziesz z nimi na wojnę, musisz być gotowy na wszystko. Albo ty, albo oni. Ayo Mosisi tego nie rozumiał, może po prostu był zbyt naiwny...

Dlatego obejrzy wszystko. Musi. Gniew i nienawiść należy pielęgnować. Tak aby ręka nie zadrżała, gdy po drodze do piekła trafi się zagubiona owieczka.

Odłożył różaniec i wyciągnął telefon. Rozejrzał się po pustej świątyni. Był sam jak palec. Wszedł w galerię filmów i włączył odtwarzanie.

Musiał poczuć gniew.

Tak aby wyrzucić ze swojego słownika słowo „litość”.

KUBA

Dawno nie czułem tak silnego podniecenia. Tak dogłębnego, niecierpliwego i perfidnie złego — jeszcze nigdy. Gdy patrzyłem na „Lecu”, nie mogłem doczekać się, kiedy wreszcie krzyknie po raz pierwszy. Nigdy bym się po sobie nie spodziewał, że tak mocno będę pragnął czyjś cierpienia, tym bardziej że ten facet tak naprawdę nic mi bezpośrednio nie uczynił.

Nienawiść płonęła we mnie coraz żywiej. Miałem wrażenie, że jej macki nie sięgały już tylko Muhammada Abi Rabki i jego synów, ale wszystkich jemu podobnych. Gdy tak stałem i obserwowałem powoli odzyskującego świadomość „Lecu”, zastanawiałem się, jak będę się czuł, gdy zamiast jakiegoś obcego mi faceta na krześle będzie siedział pomarszczony staruch, który odebrał mi wszystko. Jak szybko będzie bić moje serce, jakie wizje katuszy wykreuje mój umysł, jakie żądze zaczną targać moim ciałem, gdy w moje łapska wpadnie Muhammad Abi Rabka⁹

Nie podejrzewałem, że tak szybko mogę zmienić się w żadnego krwi sadystę. Zawsze miałem w sobie olbrzymie pokłady empatii, nigdy nie przechodziłem obok, gdy komuś działa się krzywda. Szkolnym fajłapom podawałem rękę, broniłem ich przed agresywnymi atakami starszych kolegów, nawet głodny bezpański pies potrafił spowodować, że zboczyłem do mięsnego, aby kupić kawałek mięsa z kością. Kurwa! Jeszcze kilka tygodni temu nie skrzywdziłbym cholernej muchy! A teraz? Chuj mnie obchodziło, czy „Lecu” przeżyje, czy nie. Miałem to w dupie, co gorsza, pragnąłem, aby ten w sumie obcy mi człowiek cierpiał. To uczucie było nadzwyczaj silne, bardzo intensywne. Może to intuicja, może podświadomie wiedziałem, że jest zły do szpiku kości? Nie wiem. Słyszałem, co mówił o nim Ayo Mosisi, ale tak naprawdę nie miałem pojęcia, kim był i co robił. O tym miałem dowiedzieć się już wkrótce, w chwili żalosego zwątpienia, ale nawet ta wiedza chyba niewiele zmieniłaby w tej kwestii. W kierunku otchłani pchało mnie coś innego. Chyba po prostu chciałem kogoś skrzywdzić, sprawić, żeby błagał mnie o litość, której nie otrzyma. Której nie otrzymała moja ukochana Nawal i nasze nienarodzone dziecko. Pragnąłem odwetu, ślepej zemsty. Gniew był zbyt potężny, abym mógł go pohamować. Moje serce gorało żywym ogniem, ból był zbyt dojmujący, zbudzona bestia coraz trudniejsza do utrzymania na smyczy. Tylko krew tego człowieka mogła ugasić jej gład. Przynajmniej na jakiś czas...

Chyba popadałem w obłęd. Zdałem sobie sprawę, że lekko się uśmiecham. Nie był to jednak mój naturalny uśmiech, tylko tak jakby ktoś wewnątrz zaczynał brać moje ciało we władanie. Szyderczy grymas przykleił się do mojej twarzy w niecierpliwym oczekiwaniu na to, co zaraz stanie się z owiniętym folią i związanym „Lecu”, który powoli zaczynał odzyskiwać przytomność. Siedział na krześle, ale nie był w stanie się poruszyć. Kilka centymetrów od czoła wisiała żarówka, jej niepokojący żółty blask musiał być dla niego oślepiający, tym bardziej że „Lecu” giowę miał owiniętą zaparowaną już folią.

Piwnica znajdowała się dwa piętra pod ziemią, ściany i sufit, pokryte licznymi pajęczynami, wskazywały, że nie była uczyszczana od miesięcy, jeśli nie lat. Niewielkie pomieszczenie wydawało się bardzo solidne, grube ściany i brak okien dawały gwarancję, że postronna osoba nie usłyszy tego, co rozegra się wewnątrz. Blaszane i mocno przerdzewiałe drzwi z zasuwą dodawały temu miejscu mrocznego charakteru. W środku było niemal ascetycznie, prócz taniego regału i kilku kartonów ze starymi roboczymi ubraniami nie znajdowało się nic.

Świadomość wróciła, nasz jeniec gwałtownie się poruszył. Wydał pierwsze nieartykułowane dźwięki, łapczywie chwycił ustami powietrze, zasysał folię i zaczął wpadać w panikę. My staliśmy jeden obok drugiego. Jak na jakimś gangsterskim filmie z lat pięćdziesiątych. Brakowało nam jedynie kapeluszy i płaszców do kostek, gnaty przecież mieliśmy. Na tę myśl kąciki moich ust uniosły się odrobinę wyżej. Okropny uśmiech nie chciał zniknąć, gdybym miał pomalowane usta, pewnie wyglądałbym jak Joker z filmu z Batmanem. Zrozumiałem, że to mi się po prostu podoba. Czułem się jak na planie, ale to nie był film. To była rzeczywistość, jeszcze kilka tygodni temu absolutnie nierealna, dziś najprawdziwsza z możliwych.

„Lecu” zaczął się szamotać. Jego ciałem wstrząsały niekontrolowane skurcze, próbował przebić folię językiem, przegryźć ją. Nawet ja wiedziałem, że facet zaraz się udusi, mimo to Krzysiek i Franco nawet nie drgnęli. O dziwo, odnotowałem, że Afgan też był nad wyraz spokojny. Owszem, wyglądał trochę blado, oczy miał mętne, ale nie próbował przerwać tego brutalnego i okrutnego od pierwszych sekund przesłuchania. Oddychał szybciej, jego serce musiało walić jak młot, ale nie oponował.

Nasz więzień przypominał spętane, dziko miotające się zwierzę. Próbował krzyczeć, ostatnimi siłami walczył o życie. Gdy już myślałem, że facet zaraz

wyzionie ducha, Krzysiek zrobił kilka szybkich kroków i niemal instruktażowo czubkiem noża przedziurawił folię na wysokości ust targanego opętańczymi spazmami terrorysty. „Lecu” natychmiast chciwie wciągnął powietrze do płuc, oddychał zachłannie, jakby chciał wykorzystać każdą drobinę życiodajnego tlenu. Zakaszał, odgłos natychmiast został stłumiony i uwięziony w grubych murach.

— Abdelhamid Nazzar — wymamrotał Krzysiek, niemal sylabizując prawdziwe imię i nazwisko „Lecu”.

— Kim jesteś? Czego chcesz? — charcząc, wyrzucił z siebie Algierczyk, wciąż łapczywie chwytając powietrze.

— Twoim najgorszym koszmarem — syknął Krzysiek i gruchnął go pięścią w twarz, po czym niewielką dziurę w folii zakleił szarą taśmą.

Ze złamanego nosa natychmiast chlusnęła krew i zaczęła wypełniać niewielkie przestrzenie pod folią. W kilka sekund niemal cała twarz Lecu była czerwona, a on zaczął się topić. Nawet nie próbował krzyczeć, organizm skupiał się na walce o tlen. Szkarłatne bąbelki pojawiające się w okolicach ust i nosa najdobitniej o tym świadczyły. Znow się dusił.

— Powiesz mi wszystko, czego chcę, a wtedy być może pozwolę ci żyć.
— Krzysiek wypowiedział te słowa ze stoickim spokojem, po czym przedziurawił świeżo przyklejoną taśmę.

„Lecu” splunął krwią i żarłocznie zaczął chwytać powietrze. Figur czekał, my w milczeniu razem z nim — Powiem... co zechcesz... — wystękał po chwili zawahania terrorysta, starając się unieść głowę, aby zatamować krwotok z nosa.

— Pokażę ci teraz zdjęcie pewnej kobiety, a ty powiesz mi, gdzie ona się znajduje — rozkazał opanowanym tonem Krzysiek i zrobił w folii dwie małe dziurki na wysokości oczu ofiary. Następnie uniósł smartfonze zdjęciem Moniki.

— Nie wiem, kim..

Figur nie dał dokończyć i znow zakleił otwór, dzięki któremu „Lecu” oddychał. Chwilę później potężnie grzmotnął go w brzuch. Więzień wydał nieartykułowany dźwięk, a następnie zwymiotował. Treść żołądkowa zmieszała się z krwią i rozlała na twarzy, a „Lecu” zaczął się krztusić. Wyglądał okropnie, jego facjata przypominała teraz nieudaną maskę woskową, którą niewprawy twórca za wszelką cenę chciał okleić folią, aby ukryć ją przed drwiącymi spojrzzeniami odbiorców.

Nasz jeniec szarpał się jak dziki zwierz, ale ruchy miał mocno ograniczone. Gdy już prawie stracił przytomność, Figur znów przekłuł taśmę.

— Gdzie ona jest, Nazzar?! — warknął i znów przystawił mu przed oczy ekran telefonu.

„Lecu” wziął kilka głębokich wdechów, kaszlnął, w końcu nieumiejętnie splunął. Zmrużył powieki, oślepiony jaskrawym światłem żarówki i raz jeszcze przyjrzał się fotce Moniki.

— Kimona jest dla ciebie, człowieku? — wyjęczał.

Krew i wymiociny z niewielkiej dziurki spłynęły po brodzie i szyi.

— Chuj cię to obchodzi, gnoju! Mów, gdzie jest, bo będziesz umierał długo i boleśnie.

— Co się z nim pierdolisz? — wtrącił się Franco. — Wykluj mu oko albo utnij jaja, to zacznie gadać — dodał, a „Lecu” wyprostował się jak oparzony.

— Gdzie jest ta dziewczyna? — raz jeszcze spytał Krzysiek, ignorując słowa przyjaciela.

— Nie jest zameżna, na ojca jesteś za młody, więc pewnie jesteś jej kuzynem albo bratem, czyż nie? — spytał wyzywająco terrorysta.

Muszę przyznać, że miał jaja, kimkolwiek by nie był, czegokolwiek by nie zrobił. „Lecu” należał do wilków w masie bezbronnych owiec. Figur w milczeniu patrzył na niego, myślę, że na swój sposób docenił odwagę swojego przeciwnika. Wyciągnął z pochwy swój żołnierski nóż i obrócił go kilka razy w żółtym świetle latarki. Ostrze złowieszczo błysnęło.

— Nigdy jej nie odnajdziesz, niewierny psie! — wydarł się „Lecu”. Krzyczał niewyraźnie, a do tego z wyjątkowym akcentem, więc sens słów wychwytywałem z kontekstu. — Ta szmata jest teraz nasza. Rozumiesz, pedale? Nasza!!!

Nie widząc reakcji Krzyśka, „Lecu” wyszczerzył zakrwawione zęby i splunął na ekran, ale wtedy silna graba Krzycha uwięziła jego szczękę w stalowym uścisku.

— Powiesz mi wszystko, Nazzar. Mało tego, potem zaprowadzisz mnie do niej osobiście. — Figur wypowiedział każde słowo bardzo wyraźnie, wręcz ze stoickim spokojem, choć wyraźnie podszytym groźbą. — Franco!

Potężny Włoch wyciągnął z torebki fiolkę z różowym płynem. Wyglądała inaczej niż przeciętny sprzęt laboratoryjny, bardziej profesjonalnie, była zrobiona ze szkła okutego jakimś twardym materiałem przypominającym stal. Zaccherini podszedł do Krzyśka i wręczył mu ją, następnie spojrzął na

owiniętego folią, na zmianę krztuszącego się i rechoczącego „Lecu”, po czym z politowaniem pokiwał głową.

— Niepotrzebnie to powiedziałeś, człowieku — mruknął w jego kierunku. — Zjebałeś na całej linii — dodał i oparł się o pobliską ścianę.

Nie do końca rozumiałem, co się teraz dzieje, więc zbliżyłem się kilka kroków, aby móc dostrzec reakcję naszego więźnia. Byłem cholernie ciekaw dalszego rozwoju wypadków, tym bardziej że „Lecu” okazał się kawałem twardego sukinsyna, który nie pęka na widok noża czy rozbitego nosa. Na jego miejscu zapewne już dawno zesrałbym się w gacie i wypaplał wszystko, co wiem. Tym bardziej zaczynał fascynować mnie ten świat, świat prawdziwych mężczyzn. Powoli zapominałem o tym starym, w którym byłem pizdą i do którego już nie chciałem wracać. Stawał się dla mnie coraz bardziej odległy, coraz mniej realny. Nawet nie pomyślałem, że za podobne przestępstwo mógłbym na długie lata trafić do więzienia. Porwanie, tortury, kto wie co jeszcze... Nie obchodziło mnie to jednak ani trochę. Czasem miałem wrażenie, że umyka mi gdzieś moja słodka zemsta, że śmierć Nawal zesłała na drugi plan, a ten tragiczny akt przemocy, wymierzony w moją ukochaną i nasze nienarodzone dziecko, chcę wykorzystać, aby zmienić swoje życie. Stać się takim jak Krzychu. Czy czasem podświadomie nie pragnąłem tego od lat? Czy każdy facet nie chciałby choć na chwilę być jak John Rambo? Figur imponował mi na każdym kroku, zresztą nie tylko on. Nawet „Lecu”, on też wzbudził mój podziw. Pokazał, że nie boi się śmierci, nie ucieka przed cierpieniem. Pytanie brzmiało, jak przekonać go do gadania. Kiedy pęknie, bo to, że pęknie, było niemal pewne.

Podobno każdy w końcu pęka... Ale czy rzeczywiście Krzychu zacznie oprawiać go tą swoją maczetą? Aż wzdrygnąłem się na tę myśl...

Mój przyjaciel wytarł ekran z krwi i raz jeszcze uniósł smartfon przed oczy „Lecu”. Usłyszałem język rosyjski, w tle rozbrzmiewała typowa dla tego kraju muzyka.

— Lubisz ostre filmy, gnoju, co? — spytał z odrazą. — Walisz sobie wtedy gruchę?

Nie wiedziałem, o co Krzyśkowi chodzi, wtedy jeszcze nie zrozumiałem aluzji. Mój przyjaciel palcem powiększył otwory na oczy, wyciął dziurki na wysokości uszu, wcisnął w nie słuchawki i dla pewności zakleił taśmą. Następnie podłączył je do telefonu, który ułożył na kolanach skrupowanego terrorysty. Aparat również dla pewności zamocował taśmą.

— Więc obejrzyj to sobie, mendo jebana. Obejrzyj to bardzo dokładnie — syknął Krzysiek przez zaciśnięte zęby, następnie podniósł się i machnął ręką, zachęcając nas wszystkich do opuszczenia pomieszczenia.

— Zostawiamy go tu samego? — spytałem z niedowierzaniem.

— Damy mu chwilę na zapoznanie się z „rzeźnikiem” — odparł Krzysiek.

— Z kim? — Teraz już byłem zupełnie zbity z tropu.

— Później wam wyjaśnię — rzucił po polsku do mnie i do Afgana, gdy opuszczaliśmy ponurą suterrenę.

Chwilę później zardzewiałe drzwi ze zgrzytem zamknęły się. „Lecu” został sam na sam z tym dziwnym filmem i własnymi myślami. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jego los został już przypieczętowany i za swoje ohydne czyny nie otrzyma rozgrzeszenia. Nawet sroga, najsrogsza pokuta nie będzie w stanie wymazać tych wszystkich okropieństw, których się dopuścił.

Nie miałem pojęcia, chyba nikt z tamtego starego, coraz bardziej odległego mi świata, nie zdawał sobie sprawy z tego, co ludzie są w stanie robić innym ludziom dla zabawy. Nasi pradiadowie, którzy pamiętali, już odeszli. Przyszłość, niedaleka przyszłość, już wkrótce miała to nam wszystkim przypomnieć.

NIEWIERNY

27 sierpnia 2022 roku, zachodnie Niemcy

Jestem zmęczony, spowija mnie mrok. Nie widziałem księżycy od tygodni, srebrna tarcza nie chce oświetlać nam drogi pośród gruzów, już nie jest drogowskazem, skryła się za kłębiastymi chmurami, z których pada czarny deszcz. Czarny jak kawa, jak skrzydła kruków uczujących na ciałach naszych braci. Od wielu dni leje jak z cebra. I nie chce przestać.

Pamiętam, gdy czarny deszcz spadł po raz pierwszy. Był środek lipca, ciepło i parno. Okolicę wypełniały śmiechy rozemocjonowanych dzieci, ćwierkanie ptaków oraz brzęczenie pszczół i trzmieli. Zanosilo się na letni deszczyk, całkiem potrzebny i oczekiwany przez mieszkańców z radością. Odpoczywałem na balkonie, po kryjomu paląc papierosa i czytając jedną z moich książek. Szukając odpowiedzi na dręczące mnie pytania, nie zauważyłem, gdy spadły pierwsze krople. Dopiero gdy wyczułem smród spalenizny, a okolicę rozdarły pierwsze pełne cierpienia wrzaski, odłożyłem ją i spojrzałem w niebo.

Dziś wiem, że to był ON. W jednym ze swoich najokrutniej szych wcieleń.

Piaskownica, dwie huśtawki, drewniana ciuchcia, sprężynowe bujaki w kształcie konika i kaczki oraz kolorowy, linowy labirynt, w którym bawiła się grupa dzieci, nagle zamieniły się w najgorszy z koszmarów. Piotr mieszkał w tej samej klatce, naprzeciwko moich drzwi, miał tylko pięć lat. Z jego ojcem, Witkiem, przechodziłem szkolenie pod okiem porucznik Moniki Figurskiej i kapitana Jakuba Polaka. Lubiłem malucha, zawsze gdy go widziałem, robiłem głupie miny, a on wybuchał szczerym śmiechem Teraz jego twarz topiła się, buchał z niej dym, a malec darł się wniebogłosey. Nie wiem dlaczego, ale jego krzyk był najbardziej przejmujący, wybijał się ponad wszystkie inne. Czarne krople wżerały się w skórę chłopca, a Piotr wisiał w linowym labiryncie i rozpaczliwie wołał rodziców. Na przemian mamę i tatę, jakby do końca nie ufając ani jednemu, ani drugiemu. Umierał w męczarniach.

Czarny deszcz runął na nasze miasto niespodziewanie. Od dwóch dni sygnał satelitarny nie działał, prąd został wyłączony. Nikt nas nie ostrzegł, że bomby wybuchły zaledwie pół godziny wcześniej w Dreźnie i Berlinie. I w wielu innych miastach Europy, dziś wiem, że nie tylko Europy.

W jednej chwili Piotr i pozostałe dzieci straciły szansę na ratunek. Obecni

na placu zabaw rodzice próbowali osłonić je własnymi ciałami, ale czarne krople pożerały wszystko. Przebijały się przez skórę i tkanki, rozpuszczały kości. Chłostały ciała bez litości, nie bacząc na błagania przerażonych ofiar. Ich krzyki trwały krótko, może kilkadziesiąt sekund. Nie więcej. Co niektóre jeszcze zadrgały w śmiertelnym tańcu, aby po paru minutach wsiąknąć w ziemię. Czasem pozostał kawałek czaszki, czasem kość miednicy, bywało, że cały szkielet z resztkami przypalonego mięsa. Nie wszędzie kwaśny deszcz był równie żrący.

Po Piotrze nie zostało prawie nic. Tylko czarno-czerwona plama, czaszka, resztki miednicy i kręgosłupa. Obok leżały resztki Witka, który nie bacząc na czarny deszcz, pobiegł ratować swojego syna. Dotarł do niego, gdy mały Piotr już zamilkł na zawsze, gdy jego oczy były tylko pustymi otworami, a usta spłynęły z resztą skóry twarzy, ukazując szereg białych zębów. Ojciec dobiegł resztkami sił, płonąc, wyglądał jak dymiący komin na dwóch nogach, który wbrew wszelkim prawom fizyki pędzi przed siebie w nadziei na ratunek swojego syna. Wyskoczył zza bloku, minął gwałtownie szarzejące i więdnące krzewy i ruszył w kierunku skarpy, na której znajdował się plac zabaw. Pokonał ją dwoma wielkimi susami, choć do tej pory dziwię się, że jego ciało było jeszcze tak gibkie. Wtedy zaczynało już odchodzić od kości. Gdy w końcu ojcowskim uściskiem połączył się z dzieckiem, był już tylko dymiącym truchłem Wyzionął ducha, jak wielu innych, kompletnie zaskoczonych i nieprzygotowanych na tak okrutny i niespodziewany los mieszkańców tego miasta. Zresztą nie tylko tego. Wielu miast.

Czarny deszcz trwał minutę, ale zdołał dokonać większych zniszczeń niż przez całe poprzednie sześć lat wojny. Dlaczego był wtedy aż tak żrący? Bo spadł tuż po detonacjach, bo sprzyjała temu burzowa pogoda, bo było parno, bo napotkał takie a nie inne warunki atmosferyczne? Gadali różne rzeczy, gadają i teraz. A prawda jest taka, że nigdy nie wiadomo, czy czarny deszcz znów nas nie pochłonie. Owszem, potrafimy się przed nim chronić, dziś nie jest już tak żrący, nie bardziej niż coca-cola. W najgorętsze dni potrafi wypalić dziurę w koszuli, ale nauczyliśmy się z nim żyć. Dostosowaliśmy się. Tak jak do głodnych szczurów, hord dzikich psów i łakomych kruków. Wszelakich bandytów, dzikich ludzi, bezdusznych, łaknących pożywić się za wszelką cenę. Ale to nie oni są najgorsi...

JEGO siepacze, siewcy zła, okrutnicy. To ich ścigamy. Oni są tymi, którzy stworzyli ten nowy, ponury świat. Musimy ich odnaleźć, odkryć ich

najświętsze miejsca, dokopać się do siedliska zła. W końcu dopaść i zniszczyć TEGO, który ma nad nimi władzę.

Jesteśmy na dobrej drodze. Coraz intensywniej czuję smród zgnilizny. Czarny deszcz w końcu osłabnie. Wtedy zostanie wydany rozkaz do wymarszu. Już wkrótce, wiem to.

Gaszę świecę i chowam moją książkę do torby. Muszę zasnąć, zebrać siły. Przed nami długi marsz do ich świętego miejsca. Podobno tam wszystko się zaczęło.

W matni zła.

KUBA

Opuściwszy piwnicę, skierowaliśmy się do naszej kwatery. Z kamienicy wyszliśmy dwójkami, aby nie rzucać się w oczy, choć w takim mieście jak Paryż, a już szczególnie w dziesiątej, chyba najbardziej zróżnicowanej kulturowo dzielnicy, nawet gdybyśmy wyglądali jak cztery pajace z kutasami przyczepionymi do czoła i pawimi piórami w tyłkach, to nikt pewnie nie zwróciłby na nas specjalnej uwagi.

Zmierzchało, na ulicach robiło się coraz gwarniej. Paryżanie powoli szykowali się na nocne eskapady, na ulicach i skwerach zbierały się grupki młodych ludzi z nieodłącznymi telefonami w rękach i słuchawkami w uszach. Franco udał się jeszcze do sklepu, aby zrobić drobne zakupy. My też szykowaliśmy się na długą i emocjonującą noc.

— Co miałeś na myśli, mówiąc, że zostawiasz go z „rzeźnikiem”? — spytałem, gdy krętymi schodami wchodziliśmy na piętro, na którym znajdowało się nasze lokum. Cieszyłem się, że w końcu możemy pogadać po polsku bez stresu, że kogoś wprowadzimy tym w zakłopotanie. Słowa „rzeźnik” użyłem, tłumacząc samowolnie wypowiedziane przez Krzyśka „le boucher”. Nie pomyliłem się.

— Nigdy nie słyszałeś o „rzeźniku”⁹ — spytał, wkładając klucz do zamka.

— No nie... to znaczy nie wiem, w jakim kontekście i...

— Chodzi o tę fiolkę z różowym płynem, prawda? — wtrącił się Afgan, który jako ostatni przekroczył próg.

— Tak. — Figur opadł ciężko na kanapę. — Dowiedziałeś się z telewizji?

— Czytałem w „Focusie”, ale kiedyś chyba też coś oglądałem na jakimś Discovery albo podobnym kanale. Nie słyszałeś o tym specyfiku? — Ostatnie słowa Michał skierował do mnie.

Normalnie poczułbym się jak ignorant, ale tym razem, gdy operowaliśmy naszym ojczystym językiem, na spokojnie i pod nieobecność Franco, czułem się swobodnie. Jakbyśmy gadali w gronie starych, dobrych przyjaciół. Ale przecież nimi byliśmy! Dziwnie się porobiło. Cała ta akcja postawiła między nami, a szczególnie między mną a Krzyśkiem, jakiś niewidzialny mur, który teraz jakby wyparował. Poczułem się pewniej, to był dobry znak.

— Nie, nie wiem, o czym gadacie, więc może w końcu wyjaśnijcie, czym jest ten cholerny rzeźnik... — rzekłem, mimo wszystko lekko poirytowany swoją niewiedzą. — I czy to na pewno dobry pomysł zostawiać „Lecu”

samego? — dodałem, chcąc nieco odciągnąć uwagę od siebie.

— Jest w stanie co najwyżej ruszyć głową, mury są wyduszone, drzwi zamknięte na kłódkę, nie ma szans, aby ktokolwiek go usłyszał, a tym bardziej żeby sam się uwolnił. Zostawiłem go tam dlatego, aby zapoznał się z „rzeźnikiem”, a następnie miał parę godzin na oswojenie się ze swoją sytuacją. Uwierz mi, że przy przesłuchaniach psychika ma największe znaczenie. Gdy człowiek zrozumie, że nie ma wyjścia, zacznie współpracować.

— To może ktoś mi, kurwa, w końcu wytłumaczy, czym jest ten pieprzony „rzeźnik”?

— Słyszałeś o „krokodylu”, takim narkotyku z Rosji? Popularnym wśród biedoty kilka lat temu...

— Tak. Uzależnieni zaczynają gnić za życia. — Pamiętałem doskonale, straszny drag, który używany regularnie, sprawiał, że ciało dosłownie zaczynało odchodzić od kości.

— No to wyobraź sobie, że „rzeźnik” to taka wersja hard. Obecnie najbardziej pożądanym produktem rosyjskich naukowców. Gdy dostaje się do krwiobiegu, zaczyna swoje dzieło zniszczenia, które trwa do siedemdziesięciu dwóch godzin. W tym czasie rozkłada tkanki, które gniją w zastraszającym tempie, wywołując ból do tej pory niemożliwy do sklasyfikowania, niemierzający się w żadnej skali. Podobno palenie żywcem, rażenie prądem czy obdzieranie ze skóry to dziecinna igraszka przy efektach „rzeźnika”. A te trwają nieprzerwanie przez kilkadziesiąt godzin. Gnijesz, krwawisz, odpada ci mięcho, a ty nic nie możesz zrobić, tym bardziej że ten specyfik dodatkowo stymuluje rdzeń nadnerczy i tarczycę, dzięki czemu do krwiobiegu przez cały czas produkowana jest adrenalina, więc ofiara utrzymuje świadomość. Cierpienie jest niewyobrażalne.

— Podobno najpierw odpada kutas, to prawda? — dopytał Michał.

— Tak mówią, ja jeszcze „rzeźnika” nie używałem, bo oczywiście jest zakazany, nawet podczas działań zbrojnych. Ale Ruscy wpuścili do sieci kilka filmów ukazujących zainfekowanego człowieka w przyspieszonym tempie. „Rzeźnik” najpierw atakuje tkanki miękkie. Po pierwszych dwudziestu czterech godzinach zaczyna gnić penis i dosłownie samoistnie oddziela się od reszty ciała, psują się też wargi, nos, uszy, zaczynają ropicć węzły chłonne. Później czernieją palce, następnie dłonie i stopy, na oczach ofiary mięso odchodzi od kości. Po siedemdziesięciu dwóch godzinach człowiek

przypomina już żywego kościotrupa, z tą różnicą, że wciąż przytomnego, świadomego i zdrowego na umyśle. Rzeźnik dopiero na końcu atakuje główne narządy, takie jak nerki, serce, w końcu mózg. Wtedy ofiara umiera.

— O w mordę! — W mojej giowie niedowierzenie mieszało się z niezdrową fascynacją. — Nazwa pasuje jak ulał.

— ISIS zapłaciłoby fortunę, żeby go zdobyć.

— Więc jakim cudem wpadł w twoje ręce?

— Zapewne domyśliliście się, czym zajmuje się Franco...

— Handluje bronią — wyprzedził mnie Michał.

— I macie odpowiedź.

— Ale to co innego niż pistolet czy karabin— stwierdziłem.

— Dziś handlarze kupują i sprzedają materiały, o których zwykły człowiek nie ma zielonego pojęcia. Kwestia ich użycia to już zupełnie inna sprawa.

— Więc skoro ISIS jest w stanie zapłacić za „rzeźnika” taką fortunę, to dlaczego... ?

— Franco ma swoje zasady, ale tu nawet nie chodzi o nie. Sprzedanie „rzeźnika” tym zindoktrynowanym debilom doprowadziłoby do hekatomb i kompletnego zachwiania na rynku. Doświadczeni handlarze, a według Franco prócz Ruskich tylko trzy osoby w Europie są w jego posiadaniu, doskonale zdają sobie z tego sprawę. W przeciwieństwie do brudnej bomby, która jest praktycznie niemożliwa do skopiowania bez drogiego i trudno dostępnego materiału radioaktywnego, dobry chemik mógłby tanio i szybko przyswoić chemiczny wzór „rzeźnika”, a następnie zacząć produkcję na masową skalę. Wyobraźcie sobie wtedy na przykład zatrucie wodociągów w jakiejś metropolii. Bez antidotum, które można podać maksymalnie w ciągu dwudziestu czterech godzin, miasto zamieniłoby się w cmentarz żywych trupów. Wyobrażacie to sobie? Tysiące ludzi człapiących po ulicach jak zombie i drących się wniebogłosy?

— Ja pierdolę... — Zabrakło mi słów, byłem kompletnie skołowany. Nie miałem pojęcia, co dzieje się na świecie. Czy naprawdę byłem przez całe dwadzieścia cztery lata aż takim ignorantem?

— Chcesz mu to podać? — spytał nieśmiało Michał, wypełniając ciszę, która zapadła po moim banalnym „wyznaniu”.

— Doświadczenie podpowiada mi, że „Lecu” nie będzie współpracował. Jest silny, ale oczywiście do złamania. Tylko że jeśli chcielibyśmy wyciągnąć od niego informacje, musiałbym go solidnie oprawić, a wtedy stałby się

strzępem człowieka. My go natomiast potrzebujemy, aby wprowadził nas na targ. „Rzeźnik” zagwarantuje nam, że ten gnojek będzie grał dla nas.

— Nie boisz się, że się wygada?

— Aż tak giupi nie jest. Gdyby Abi Rabka dowiedział się, że w jego krwi płynie „rzeźnik”, od razu wziąłby go w obroty, aby pozyskać i wyizolować czysty produkt. Pokroiliby go jak świniaka.

— No to jest pewna gwarancja — mruknąłem, przygryzając wargę.

— Gdy „rzeźnik” znajdzie się w krwiobiegu, „Lecu” będzie musiał robić wszystko, co mu rozkażemy, licząc, że w odpowiednim czasie zaaplikujemy mu antidotum. Przez dwadzieścia cztery godziny będzie na naszej smyczy. No, chyba że chce umrzeć w męczarniach, przy których wymyślne tortury samego ISIS to kaszka z mleczkiem.

— Aż tak twardy chyba nie jest?

— Nikt nie jest tak twardy — odparł Krzysiek. — W tym względzie możecie mi zaufać. „Lecu” na pewno słyszał o „rzeźniku” i doskonale zna jego legendarne możliwości, choć dla pewności zostawiłem go sam na sam z tymi ruskimi filmami. Obejrzy, posłucha, zobaczy, co go czeka, jeśli nie będzie chciał współpracować.

— A jeśli pomyśli, że blefujemy?

— Jednym z pierwszych objawów „rzeźnika” jest wysypka, która pojawia się w okolicach krocza i pod pachami. Tworzą się paskudne czarne krosty, pierwsza oznaka fazy gnilnej. Nie do pomylenia z czymkolwiek innym.

— No to chyba wyjaśnia temat. Targ zaczyna się już jutro?

— Owszem, dlatego do jutra do południa mamy czas. Wcześniej zaaplikujemy „Lecu” „rzeźnika” i powiemy, co ma robić.

Rozległo się pukanie, ustalony wcześniej sygnał zdradzał, że za drzwiami znajdował się Franco. Stojący najbliżej drzwi Michał otworzył naszemu nowemu przyjacielowi z Włoch. Co by nie mówić, powoli tak mogłem go nazywać, bo nawet jeśli wciąż traktował mnie i Afgana z góry, to wiedziałem, że w krytycznym momencie nie zostawi nas na pastwę losu. Skoro Figur na nim polegał, mogliśmy polegać wszyscy.

Franco niósł dwie wielkie siaty. Widząc nasze zaskoczenie, uśmiechnął się pod wąsem — Chyba nie myśleliście, że mając w ekipie Włocha, będziecie żreć jakieś mrożone gówno — oznajmił z pełną, choć wyraźnie wymuszoną powagą. — Na razie napijcie się piwa, a ja przygotuję wam najlepszą pizzę, jaką jedliście w swoim marnym życiu — dodał z przekąsem i rzucił każdemu

z nas po puszcze belgijskiego Stella Artois.

Smaczny posiłek i zimne piwo. Trafił w punkt.

Pizza rzeczywiście była pyszna. Jeśli Franco miał jakieś ukryte talenty, to ten kucharz z pewnością był jednym z nich. Nie pamiętałem, żebym kiedykolwiek pałaszował kolejne kawałki z takim smakiem. Myślę, że wszyscy na tę krótką chwilę zapomnieliśmy o naszej aktualnej sytuacji, co by nie mówić — nie do pozazdroszczenia, bo w końcu jutro wieczorem mieliśmy wejść w gniazdo os. Ale jutro stało się dla mnie w tej chwili bardzo odległe. Delektowałem się wyborną pizzą, nie myśląc o „Lecu”, Abi Rabi’i, Mosisim, nawet Nawal ugrzęzła gdzieś w najgłębszych zakamarkach mojego umysłu. Chciałem choć przez moment poczuć się normalnie.

Normalnie... Czym w obecnej sytuacji było „normalnie”? Spokojnie, bez stresu, bez ciągłych myśli o zemście, czując się komfortowo i nie doszukając się w każdej reakcji czy geście kompana ukrytego sensu. Milczeć bez wrażeń, że powinno się coś powiedzieć, leżeć z nogami wywalonymi na stole i oglądać durny serial albo jeszcze głupsze reality show. Nie myśleć o tym, co będzie jutro, jaka czeka mnie kara, czy zostanę złapany i czy w ogóle wyjdę z tego żywy.

Ale czy takie „normalne” życie było mi jeszcze pisane? Czy mogłem budzić się każdego dnia z wiedzą, że na moich oczach w potwornych męczarniach umarła ukochana kobieta i nasze nienarodzone dziecko? Czy kiedykolwiek byłbym w stanie wyrzucić to z pamięci, nie dokonawszy zemsty? A jeśli nawet dopadnę Abi Rabkę i jego synów, to czy wtedy zapomnę? Wątpię. Ci, których nie dotknęła taka tragedia, mogą żyć normalnie. Mówić o tolerancji, o nadstawianiu drugiego policzka, o wybaczeniu. Tacy jak ja nie. Utakichjajka system wartości zmienia się, perspektywa się zawęża, czujność wzrasta. Nie ma już wyrozumiałości, jedynie podejrzliwość i nieufność. My widzimy zagrożenie tam, gdzie inni są ślepi, dostrzegamy zło, które czai się na ulicach, mimo że maskuje się przed tymi, którzy żyją „normalnie”.

Te myśli dopadły mnie, gdy właśnie zabrałem się za ostatni kawałek pizzy. Poczułem się wyjątkowo ambiwalentnie. Ta krótka chwila relaksu przypomniła mi te zwykłe, pospolite życie studenta. Chyba nie chciałem się do tego przyznać przed samym sobą, ale cholernie się za nim stęskniłem. Jednocześnie gardziłem starym Kubą, tym pizdowatym studenciakiem bez pomysłu na życie, mięczakiem, który pozwolił zamordować swoją ciężarną

kobietę. Czasem wydawało mi się, że walczyła wtedy bardziej niż ja. Napawało mnie to przytłaczającym wstydem.

— Zejdiesz do „Lecu”? — Z zamyślenia wyrwało mnie pytanie skierowane przez Krzyśka do Franco, który właśnie wstał od stołu i odpalał papierosa.

— Pewnie, trochę się z nim podroczę — odparł barczysty Włoch i mocno się zaciągnął. — Michał, idziesz ze mną? — spytał zupełnie nieoczekiwanie.

— Nooo... tak, chętnie — odparł Afgan, nie będąc w stanie ukryć zdziwienia, jego „chętnie” pasowało tujak pięść do nosa.

Mimo wyraźnej sztuczności gest Franco spodobał mi się. Obawiałem się trochę o mojego przyjaciela, bo ostatnio zamilkł i nie do końca wiedziałem, co roi się w jego głowie, a obecność Zaccheriniego wpływała na niego — zresztą na mnie też — stresująco. Ja mimo wszystko stałem chyba w jego hierarchii nieco wyżej, tym bardziej cieszył mnie fakt, że zaczynał doceniać również starania Afgana.

Chwilę później drzwi za włosko-polskim teamem zamknęły się. Przez moment poczułem nawet ulgę, bo w końcu miałem okazję zostać z Krzyśkiem sam na sam i pogadać jak dawno niewidziani przyjaciele. To wrażenie pękło jednak jak mydlana bańka, a między nami nagle wyrósł ten niewidzialny mur, który znów rozdzielił nas jak dwóch obcych sobie ludzi. Nie wiem czemu, ale na kanapie nie widziałem starego przyjaciela, z którym piłem pierwsze piwa i podrywałem pierwsze laski — w jego miejscu siedział surowy żołnierz Legii Cudzoziemskiej.

Milczeliśmy zaledwie ze trzydzieści sekund, ale natychmiast wytworzyło się niekomfortowe wrażenie, podobne do tego na pierwszej randce lub pomiędzy dwoma nienadającymi na tych samych falach facetami skazanymi na siebie, bo ten trzeci akurat wyszedł do kibla. Poczułem się idiotycznie. Nigdy, przenigdy nie czułem się tak nieswojo w towarzystwie Krzyśka, kiedyś byliśmy kumplami na zabój, przyjaciółmi ze szkolnej ławki. A teraz? Sytuacja z Moniką spowodowała, że staliśmy się dla siebie niemal obcymi ludźmi. Co gorsza, miałem wrażenie, że z każdą godziną przepaść się pogłębia.

— Myślisz, że Ayo miał rację, mówiąc, że jestem dobrym człowiekiem? — zagaił, zupełnie mnie zaskakując, tak tonem, jak i ciężarem gatunkowym pytania.

— Krzychu... — wydukałem, ale to było wszystko, na co mnie było stać w tym momencie.

Szczerze mówiąc, marzyły mi się wspominki, a nie egzystencjalne dysputy o bólu istnienia.

— Pytam, bo uważam, że nie jestem Nie można być dobrym, krzywdząc i zabijając innych ludzi...

Figur uniósł głowę i spojrzał mi w oczy, dzielący nas mur rozpadł się jak domek z kart. Mój przyjaciel wrócił.

— Szczerze? — spytałem i nie czekając na odpowiedź oddałem: — Może i nie jesteś święty, ale na pewno nie jesteś zły.

— Zły... — Krzysiek zawiesił głos. — Czasem myślę, że coraz trudniej mi odróżnić dobro od zła.

— Zły jest Abi Rabka i jego synowie, zły jest „Lecu” i ci wszyscy terroryści, którzy wysadzają się w tłumie niewinnych albo zabijają dla ISIS.

— No, właśnie to nie jest chyba takie proste...

— To jest proste, stary! — krzyknąłem, aby maksymalnie wzmocnić przekaz. Figur tylko, zrezygnowany, pokiwał głową.

— Myślisz, że my nie zabijamy niewinnych? Myślisz, że w tych wszystkich wojnach strzelamy tylko do morderców? To tak nie wygląda. Codziennie uśmiercamy dziesiątki cywilów w imię wyższego celu, aby dostać się do ludzi pokroju Abi Rabki. Mimo postępu technologicznego w zbrojeniach wciąż zdarzają się przypadkowe naloty na bazy czy szpitale, ktoś źle poda współrzędne, ktoś po prostu się pomyli. Drony to już w ogóle, zwykli zimni zabójcy. O tym raczej nie mówią w mediach, czasem może coś wspomną, ale robią to w taki sposób, aby zrzucić winę na innych albo natychmiast przykryć to bardziej szokującym newsem. Niestety, tam, na wojnach, śmierć wciąż zbiera swoje żniwo, wbrew temu, co zobaczysz czy czego nie zobaczysz w telewizji. Ci ludzie wciąż giną od naszych kul. Zastanawiałeś się, jak nas postrzegają? Myślisz, że widzą w nas dobrych czy złych?

Monolog Figura zaczął zbaczać na coraz bardziej grząski grunt. Nie miałem pojęcia, co mu odpowiedzieć, choć pytanie było bardzo sugestywne, a odpowiedź, jakiej oczekiwałem, jasna i klarowna. Zaczynałem się jednak gubić, bo miałem wrażenie, jakby Krzysiek usprawiedliwiał naszych wrogów.

— Oni widzą w nas najeźdźców, Kuba. Nienawidzą nas tak, jak nasi pradziadowie nienawidzili hitlerowców. Dla nich jesteśmy wrogami już z racji urodzenia. Oglądają w Internecie, jak pławimy się w luksusie, jak półki w sklepach uginają się od kolorowych towarów, które są produkowane za miskę ryżu w krajach Trzeciego Świata. Te wszystkie reklamy i filmy działają

na ich wyobraźnię. Ale nie są tak giupi, jak nam się wydaje, potrafią liczyć i wyciągać proste wnioski. Wiedzą, że świat zachodni może funkcjonować na takim poziomie, bo od stuleci drenuje ich kraje z surowców, udziela niemożliwych do spłaty pożyczek, uzależnia je i z premedytacją utrzymuje w biedzie i zacofaniu.

Zgłupiałem. Co on pieprzył za farmazony?

— Co to ma do śmierci Nawal, Krzychu?! — warknąłem w końcu, po prostu nie wytrzymałem tego żalostnego roztkliwiania się, Figur był ostatnią osobą, którą mógłbym podejrzewać o podobne zachowanie. — Co to wszystko ma do faktu, że ojciec zabija własną córkę, brzemienną córkę, oblewaj ąc j ą kwasem?!

Poczułem, jak do oczu napływają mi łzy, chyba nawet nie ze smutku, ale ze złości. Figur patrzył na mnie jak stary dobry przyjaciel, ale jego wzrok błędził gdzieś daleko.

— Oni nas po prostu nienawidzą... — rzekł zrezygnowany, myślę, że chciał coś dodać, ale w ostatniej chwili zrezygnował.

Niepokoiliła mnie jednak postawa Krzycha, który sprawiał wrażenie, jakby przestawał panować nad sytuacją.

— Jacy „oni”?

— Wszyscy.

— Do czego zmierzasz, bo nie wiem, o co ci, kurwa, chodzi? — spytałem w końcu, już nieco zirytowany całą tą niespodziewaną i dziwną rozmową.

Figur wyciągnął swój pistolet i potrząsnął nim w dłoni.

— Widzisz to? Zabiłem w życiu dwadzieścia pięć osób. Prawie wszyscy byli żołnierzami dżihadu. Widziałem rzeczy, przy których ataki terrorystyczne w Europie to dziecinna igraszka. Brodziłem po kolana we flakach tysięcy wypatroszonych dla zabawy ludzi. Musiałem sprzątać po tych zwyrodnialcach całe morze trupów, głównie kobiet i dzieci. I wiesz co? Gówno! Nikt się tym nie przejął, państwa zachodnie wypięły się i tak naprawdę nie kiwnęły palcem, prócz wysłania kilku jednostek podobnych do mojej, aby zapakowały ciała w plastikowe torby i wrzuciły na ciężarówki, które pojechały w nieznanym kierunku. Masakra w Sudanie pod Malakal... Tyle ludzie dowiedzieli się w wiadomościach. Nic więcej. Kolejna rzeź i tyle. Większość po usłyszeniu tej informacji poszła robić sobie kolację albo wypić piwo. Tak jakby podobne jatki stały się czymś normalnym, wręcz oczekiwanym, jako kolejny sensacyjny news.

— Chyba przesadzasz trochę...

— Najgorsze jest to, że tych radykalnych islamskich skurwysynów jest coraz więcej. I dalej wszyscy mają to w dupie, myśląc, że żyją w bezpiecznej i spokojnej Europie. No bo przecież ataki terrorystyczne czasem się zdarzają, tak już jest skonstruowany ten świat... Ale nikt nawet specjalnie nie zastanawia się, że od momentu, gdy Państwo Islamskie pojawiło się w Syrii, kolejne jego komórki rosną jak grzyby po deszczu. Mają swoje bastiony na całym Bliskim Wschodzie, Afryka Północna jest już prawie stracona. Tak naprawdę mają swoją świetnie zorganizowaną siatkę w sercu Europy. Wiesz dlaczego?

Nie odpowiedziałem, zresztą nie musiałem, Krzysiek tego nie oczekiwał. Kontynuował:

— Bo nienawiść do nas jest zakorzeniona zbyt głęboko. Większość muzułmanów jest tak zindoktrynowana, że akceptują prawo szariatu, wręcz domagają się go we własnych krajach. W ich oczach islamiści są prawie jak wybawcy. Przeganiają wszystkich ludzi Zachodu, tych, którzy byli prezesami, dyrektorami, kierownikami, szefami, którzy jeździli drogami samochodami i nosili kosztowne garnitury. Oferują tym biednym ludziom szansę na poczucie się lepszym, demonizując nas jako niewiernych, którzy odrzucili boskie prawa i oddali się rozpuście. A dżihadyści? Dają proste odpowiedzi. Dlatego tak łatwo zdobywają kolejne tereny. Bez wsparcia miejscowej ludności nie byłiby w stanie. Nikt o tym nie mówi, ale to nie ich traktują jak wrogów, to my jesteśmy okupantami, których trzeba się pozbyć. Islam ogłupił masy i nakarmił je nienawiścią, której nie da się wykorzenić, ot tak. Oni nas naprawdę, szczerze i do cna nienawidzą.

— Ale co to ma do naszej sytuacji, do śmierci Nawal i porwania Moniki?

— Ano to, że te masy są także tutaj. Gdyby ich nie było, to nie byłoby marszów w obronie szariatu, nie byłoby ukrywania terrorystów pokroju Abi Rabki, policja mogłaby spokojnie wjeżdżać do dzielnic i wyłapywać co bardziej radykalne jednostki. A jak to wygląda? Mundurowi nie mają tam wstępu, bo od razu są atakowani, ekstremiści są przez mieszkańców ukrywani, a często nawet bronieni! Rozumiesz, do czego to wszystko dąży? — Figur na chwilę zawiesił głos, ale nie oczekiwał, że odpowiem — Do wojny, stary, do prawdziwej wojny. Tu, u nas, w środku pieprzonej Europy! Pamiętasz, co powiedział ci Abi Rabka, zanim... ?

— Pamiętam — Najgorsze jest to, że ten gnój ma rację. Terroryci tak naprawdę już zwyciężyli, osiągnęli to, na czym najbardziej im zależało.

Wygrali nienawiść, nienawiść mas, a nienawiść zawsze prowadzi do wojny. Rdzenni Europejczycy nienawidzą islamu, muzułmanie nienawidzą nas za to, że my nienawidzimy islamu. Kółko się zamyka, a pętla coraz bardziej zaciska. Każda rzeź miała swoje korzenie w zasianej nienawiści. Dziś Europa to tykająca bomba, której lont powoli się dopala.

Krzysiek miał rację. Nienawiść była w wielu z nas. Tysiące Europejczyków poczuło na własnej skórze, czym jest ideologia dżihadu. Ginęli w zamachach bombowych, w strzelaninach, rozjechani przez ciężarówki, czasem na ulicy, od ciosu nożem czy maczetą. Ich rodziny i przyjaciele, jeśli do tej pory jeszcze byli tolerancyjni lub choćby neutralni, zmieniali się w zagorzałych wrogów islamu. Nienawiścią zarażali znajomych, pogarda rozprzestrzeniała się z każdym dniem coraz szybciej. W Europie nie było już chyba miejsca wolnego od nienawiści i choć lewicowi politycy robili dobrą minę do złej gry, a społeczności starały się udawać, że są tolerancyjne i przyjazne, to każdy wiedział, że ten balon w końcu musi pęknąć. Pytanie nie brzmiało „czy?“, tylko „kiedy?“.

Sam byłem zresztą nosicielem Nienawiści płonął we mnie żarem tak silnym, że gdyby ktoś dał mi kałasznikowa i pozwolił bezkarnie strzelać do muzułmanów, to sam nie wiem, czy od razu nie pociągnąłbym za spust. Każdego dnia pielęgnowałem w sobie obraz „złego muslima” Nie myślałem o uciekających przed wojną kobietach i dzieciach, przed oczami zawsze miałem jedynie tego spróchniałego starucha lub cwaniakowatych dwudziesto- czy trzydziestoparolatków, którzy podczas swoich kretyńskich marszów wygrażają nam, Europejczykom, jak to wkrótce wszędzie wprowadzą prawo szariatu, a ci, którzy nie zechcą się podporządkować, muszą liczyć się z tym, że ich głowy zostaną zatknięte na przydomowych płotach. Zresztą projekcji w głowie miałem więcej: muzułmanie obrzucający policję kamieniami i koktajlami Mołotowa, muzułmanie napastujący i gwałcący nasze kobiety, muzułmanie stojący w kolejkach po zasiłki, muzułmanie handlarze narkotyków, muzułmanie aroganci, kłamcy, złodzieje, stręczyciele, despoci, prześladowcy. No i oczywiście —jako wisienka na islamskim torcie — muzułmanie jako bezwzględni, okrutni i zwyrodniali mordercy. Dziś traktowałem ich jak wcielenie zła i choć zdawałem sobie sprawę, że nie powinienem generalizować (w końcu Ayo Mosisi i jego rodzina też byli wyznawcami Allaha, jakże innymi od moich aktualnych wyobrażeń, a w europejskich miastach mieszkały miliony normalnych i zasymilowanych ludzi), to robiłem to

z pełną świadomością i akceptacją dla tak niegodziwego uogólniania.

Masy robiły dokładnie tak samo. Nie widziały, a w zasadzie nie chciały widzieć odcieni szarości. Tylko białe i czarne, dobre i złe. Figur miał cholerną rację. Europa siedziała na beczce prochu, a lont właśnie się dopalał. Pomyślałem o tym, co dziś czułem pod wieżą Eiffla, to napięcie, niemal namacalny lęk, który podstępnie krążył wśród turystów i mieszkańców stolicy. Ileż można tak żyć?

Kontemplowałem słowa przyjaciela na tyle długo, że nie zauważyłem, gdy ten wstał od stołu i znalazł się za moimi plecami. Ocknąłem się dopiero, gdy położył swoją wielką grabę na moim barku.

— Jutro wejdziemy w sam środek ula, przyjacielu — rzekł i poklepał mnie po ramieniu. — I nie będziemy brać jeńców...

— Kogo masz na myśli? — dopytałem nerwowo, choć tak naprawdę doskonale znałem odpowiedź — Każdego, kto stanie nam na drodze.

Poczułem, jak skręca mi kichy. Chyba właśnie teraz do mnie dotarło, że to koniec zabawy. Cokolwiekjutro się stanie, na pewno zginą ludzie.

Spojrzałem na resztki po pizzy. To mógł być mój ostatni porządny posiłek w życiu.

MATEUSZ

31 sierpnia 2023 roku, okolice Calais, Francja

— Wypierdalać, jebane ciapuchy! Wypierdalać, bo porozjeżdżam robactwo! — Mateusz Szykiel darł się sam do siebie, bo w tym harmidrze klaksonów i ryku potężnych silników dziesiątków wolno sunących tirów i tak nikt na zewnątrz nie usłyszałby jego wrzasków.

Robił to, aby rozładować frustrację, jaka obezwładniała go za każdym razem, gdy spedytor wysyłał go z towarem do Anglii. Dziś szczęśliwie właśnie zjechał z promu i choć czekał go jeszcze załadunek w Paryżu, w głowie kołatała się już myśl o szklaneczce zimnego Jacka Daniel'sa na werandzie w cichej i spokojnej Dąbrówce Wielkopolskiej.

Mateusz od ośmiu lat pracował jako kierowca ciężarówki. Zazwyczaj kursował między Polską i Hiszpanią lub Włochami, ale sporadycznie musiał godzić się na nużącą i niebezpieczną podróż na Wyspy. Niebezpieczną, bo prowadzącą przez osławioną wśród tirowców „Dżunglę Calais”. Nikt w jego firmie nie chciał jeździć do brytyjskiego Southampton, nawet pomimo tego, że towar — głównie naturalne i nefaszerowane chemią polskie mleko, które na Wyspach miało w ostatnich latach niezwykle powodzenie — nie należał do tych najcenniejszych, był jednak niezwykle wrażliwy i nawet gwałtowniejsze hamowanie mogło doprowadzić do mlecznej katastrofy. Zdarzyło mu się to dwukrotnie. Za pierwszym razem przysnął na trasie i wjechał do rowu. Obudził się dopiero w momencie, gdy nowiutkie yoIyo już złapało pobocze, ale gwałtowna próba wyjścia z opresji tylko pogorszyła sytuację, przyczepa się wywróciła i cały towar szlag trafił. Za drugim razem właśnie w okolicy przeprawy promowej o mało nie rozjechał dwóch nastoletnich chłopaków. Zdesperowani koczowniczym trybem życia w „dżungli”, po prostu wyskoczyli przed samą maskę, z rękami uniesionymi w górę, jakby chcieli się poddać. Docisnął pedał hamulca i zatrzymał się dosłownie centymetry od śniadych wyrostków, którzy natychmiast wykorzystali szansę i obiegli ciężarówkę, aby spróbować dostać się do naczepy. Szykiel nie zdołał ochłonać, gdy w ich ślady ruszył cały tabun młodych mężczyzn, którzy po chwili wdarli się do naczepy, licząc, że tym razem uda się przedostać przez francusko-angielską granicę. Szczęście w nieszczęściu, rozlane mleko ze zniszczonych butelek i kartonów skutecznie ich odstraszyło. Imigranci jedynie dokończyli dzieła zniszczenia i niemal do cna splądrowali resztki ocalałych opakowań, po czym,

zdając sobie sprawę, że kierowca nie będzie przekraczał granicy bez towaru, po prostu odeszli, triumfalnie wznosząc nad głowami zgrzewki mleka i wykrzykując coś w nieznanym języku.

„Dżungla Calais” — przekleństwo wszystkich przewoźników — od lat była najbardziej jaskrawym pomnikiem wielomilionowej imigracji z Afryki oraz Bliskiego Wschodu. Wielokrotnie równana z ziemią przez francuskie służby, zawsze odradzała się jak Feniks z popiołów, za każdym razem zdawała się rzucać wyzwanie państwu, na którego terytorium postanowiła zapuścić korzenie. Kolejni prezydenci zapowiadali rozprawienie się z tysiącami nielegalnych przybyszów, obiecywali pomoc zdruzgotanym mieszkańcom pobliskiego miasteczka, ale za każdym razem imigranci wracali. W końcu, w 2021 roku, po zamachu bombowym na Stade de France i krwawym powstaniu paryskim, państwo francuskie poddało się. Na nic zdały się błagania lokalnych mieszkańców, nie pomagały protesty i czarne marsze — tak te odnoszące się do kolejnych ofiar na Drodze Śmierci (tak nazywano trasę do promu, gdzie kierowcy, obawiając się o zniszczenie towaru, napad rabunkowy, a nawet własne życie, czasem po prostu rozjeżdżali próbujących ich zatrzymać desperatów), jak i te mające na celu zwrócenie uwagi publicznej na wszechobecną przestępczość i okrutny los mieszkańców okolicznych miejscowości. Jeszcze przez pół roku tubylcy walczyli, ale pęczniąc w zastraszającym tempie „Dżungla” spowodowała, że masy imigrantów zaczęły zawłaszczać kolejne budynki w Calais, zmuszając mieszkańców do opuszczenia domów. Tym bardziej że stworzone brygady samoobrony zostały skrytykowane przez rząd, a policja zamiast wspomóc ludzi w walce o ich ziemię, pacyfikowała kolejne grupy i aresztowała tych najbardziej aktywnych. W końcu, gdy miejscowi stracili nadzieję na pomoc, a coraz częstsze grabieże, napady i gwałty nie tylko nie znajdowały zrozumienia ze strony państwa, ale były z premedytacją wyciszane i zamykane pod dywan, kilku najbardziej zdesperowanych, w tym trzech ojców brutalnie zgwałconych dziewczynek, ruszyło dokonać samosądu. Zdołali wtargnąć do „Dżungli” i zastrzelić kilkanaście osób, po czym sami zostali w odwecie zabici. Władze, nie mogąc ryzykować lokalnej wojny domowej, po cichu zaoferowały pozostałym mieszkańcom wysokie odszkodowania w zamian za opuszczenie domostw. Była to kusząca perspektywa, bo rekompensaty znacznie przekraczały wartość nieruchomości, więc ludzie, poza kilkoma wyjątkami, wzięli kasę i odeszli, pozostawiając swoje domy na pastwę nielegalnych imigrantów. Calais z dnia

na dzień stało się miastem upadłym, w którym schronienie znaleźli także wszelkiej maści przestępcy, bandyci, sutenerzy i oczywiście terroryści. Kawałek francuskiej ziemi został wyjęty spod prawa, a policyjne radiowozy krążyły jedynie w okolicach autostrady do przeprawy promowej, gdyż każda próba interwencji służb za niepisaną granicą powodowała nerwowość muzułmańskich społeczności w całym kraju. A tego rząd bał się jak ognia i unikał wszelkich działań, które mogłyby zaognić i tak już napiętą sytuację. Calais i okolice, podobnie jak północny Paryż, stały się synonimem upadku państwa francuskiego, które już nie miało pomysłu na wyjście z kryzysu bez krwawych zamieszek, którymi muzułmańscy przybysze straszili za każdym razem, gdy jakiś polityk odważył się podać w wątpliwość panujące *status quo*.

To wkurzało Mateusza najbardziej. Jakim cudem taka potęga jak Francja pozwoliła, aby w większości nawet niepiśmienni przybysze sterroryzowali cały kraj? Szykiel nie mógł tego pojąć, nie był w stanie zrozumieć, dlaczego w zachodnioeuropejskim, cywilizowanym państwie prawa nikt nie potrafił zapanować nad agresywnymi bandami imigrantów, którzy ataki na ciężarówki traktowali jak polowania na dziką zwierzynę. Policja, owszem, krążyła od czasu do czasu wzdłuż trasy do doku, ale radiowozy po tygodniu takich patroli zaczynały przypominać wraki. Bezkarni przybysze za nic mieli stróżów prawa i regularnie obrzucali pojazdy kamieniami czy butelkami, więc ich obecność nie miała w zasadzie żadnego wpływu na bezpieczeństwo.

„Droga Śmierci” niemal każdego dnia spływała krwią. W głównej mierze ofiarami byli szukający szansy imigranci, którzy ginęli pod kołami ciężarówek, ale na liście zgonów coraz częściej pojawiali się kierowcy. Znikali głównie ci, którzy lubili się dobrze zabawić, czy to na pobliskich parkingach, czy nawet w samym Calais, gdzie szukali wrażeń i towarzystwa tanich i egzotycznych przybyszek z Afryki czy Bliskiego Wschodu. Co mniej czujni tracili portfel, mający mniej szczęścia kończyli nadzy, przywiązani do drzewa, a tak zwane kozaki — z kulą głowie. Jednemu, niejakiemu „Grubemu Hansowi”, znanemu ze swojego zamiłowania do młodych i uległych dziewczyn, nieznani sprawcy odcięli przyrodzenie i głowę, a korpus porzucili w pobliżu drogi. Najśmieszniejsze, a raczej najstraszniejsze w tym wszystkim było to, że media nawet się na ten temat nie zająknęły, a Facebook, Twitter i inne popularne platformy społecznościowe usuwały wpisy traktujące o śmierci Hansa i blokowały konta najbardziej aktywnych użytkowników.

Te myśli powodowały, że krew zaczynała buzować Mateuszowi w żyłach. Dokładnie tak jak teraz, gdy przez jezdnię przebiegli mu kolejni młodzi mężczyźni z kijami w dłoniach. Choć za cel obierali sobie ciężarówki jadące w drugą stronę, częstokroć obrzucali kamieniami tiry wracające z Anglii. Tak po prostu. Dla zabawy? Z pogardy? Nienawiści?

On też ich nienawidził. Dla niego byli robactwem, które należy tępić. Tak jak tego zamaskowanego chudzielca, który właśnie przemknął mu przed maską. W ręku niósł butelkę z zamoczoną w środku szmatą — zapewne koktajl Mołotowa. Na kogo szykuje taką niespodziankę?

Mateusz znów siarczyście zaklął i nerwowo docisnął pedał gazu. Coraz częściej nachodziły go głupie myśli. Do tej pory jeszcze nie miał nikogo na sumieniu, ale gdyby ten zakapturzony gnojek z chustą na twarzy trafił pod jego koła, chyba nie miałby większych wyrzutów sumienia. Może uchroniłby kogoś od poparzenia, może nawet uratowałby komuś życie, kto wie. W Calais niczego nie dało się wykluczyć. Młodzieniec zdołał jednak uskoczyć i chwilę później zniknął w mroku. Jeszcze na chwilę pojawił się w świetle reflektorów kolejnej ciężarówki, wymachiwał rękami w jego kierunku, ale za kilka sekund znów pochłonęła go ciemność.

Szykiel uchylił okno i wyciągnął papierosa. Właśnie minął najbardziej niebezpieczny fragment trasy, więc spokojnie mógł wpuścić do auta trochę świeżego powietrza, bez stresu, że przy okazji do kabiny wpadnie kamień. Zaciągnął się mocno, aby oczyścić umysł ze złych myśli, przeciągnął wierzchem dłoni po spoconym czole i kliknął ekran zamocowanego po prawej stronie tabletu. Rzucił okiem na kilka najświeższych newsów, sprawdził, jak wygląda trasa do Paryża i włączył ostatnie dwadzieścia minut *Gladiatora*, którego mógł oglądać w nieskończoność. Do najbliższego bezpiecznego przystanku miał jeszcze prawie godzinę, więc postanowił, że przejrzy Facebook, który w trakcie pracy był jego oknem na świat.

Potem, gdy w końcu zaparkuje maszynę, wyciągnie dwa piwka i po raz kolejny spróbuje napisać do Kuby, który ostatnio przepadł jak kamień w wodę. Młody nie odbierał telefonu, nie odpisywał na wiadomości, pewnie dobrze się bawił, przebierając w kusych spódniczkach na plażach La Mangi.

— Zazdroszczę ci, chłopie — mruknął pod nosem na myśl o kuzynie i wystrzelił niedopałek przez okno.

Chwilę później wskoczył na — jak to określał — autopilota i zatopił się w finałowej walce Maximusa z cesarzem Kommodusem.

MONIKA

Z pamiętnika porucznik Moniki Figurskiej, pseudonim „Ghula”

Trzynasty dzień niewoli, 2023 rok, Paryż, Francja

Dwie księżniczki nie odstępowały mnie na krok. Przez kolejne półtora dnia otoczyły mnie opieką, o której do tej pory mi się nie śniło. Z niesamowitą wprawą i wyjątkową delikatnością oczyściły i zaleczyły moje rany. Maści, olejki i balsamy, jakich w tym celu używały, wydawały się egzotyczne, a ich woń nie zawsze była przyjemna, a w każdym razie w zdecydowanej większości zupełnie obca. Mimo to z ulgą przyjmowałam ich troskliwe starania, gdyż każda chwila z Dżamilą i Asalą — choć z racji ich pozycji i przynależności do rodziny im nie ufałam — odraczała powrót do piekła, które znajdowało się w piwnicy.

Nie miałam pojęcia, dlaczego akurat ja trafiłam pod kuratelę obu piękności, więzionych dziewczyn było przynajmniej sześć i w zasadzie każda mogła znaleźć się na moim miejscu. Staralam się jednak o tym nie myśleć, skupiałam się na czym innym. Bo jakkolwiek cudnie wyglądała moja obecna sytuacja, nie mogła trwać w nieskończoność, a wszystkie starania żon tego okrutnika Abi Rabki miały jakiś ukryty cel. I choć miałam swoje podejrzenia, a Dżamila i Asala w innych okolicznościach mogły wydawać się materiałem na świetne przyjaciółki, nie odważyłam się zapytać, dlaczego to robią, a tym bardziej poprosić o pomoc w ucieczce. Oczywiście było, że są w stu procentach wierne swojemu mężowi i moje życie nie ma dla nich żadnego znaczenia. Chociaż nawet gdybym mogła snuć przypuszczenia, że jest inaczej, to nie wiem, czy chciałabym znać swoje przeznaczenie, które z każdą kolejną godziną przerażało mnie coraz bardziej. Tym bardziej że pomimo swojej wyjątkowej troskliwości i serdeczności Dżamila i Asala wciąż mówiły do mnie per niewolnico.

Przez tych kilkadziesiąt godzin wspólnie jadłyśmy, malowałyśmy się, ubierałyśmy w bajecznie kolorowe suknie z jedwabiu i innych delikatnych jak płatki kwiatów tkanin, w wolnych chwilach nauczyłam się nawet grać w tryktraka — tradycyjną arabską grę, którą Dżamila i Asala ubóstwiały ponad wszystko inne. Zastanawiałam się, czy nie jest ich jedyną prawdziwą rozrywką, bo nie miałam wątpliwości, że są — nawet jeśli się do tego same

przed sobą nie przyznawały — tylko służącymi zamkniętymi w złotej klatce. Podobnie jak ja nie posiadały prawa giosu i musiały wypełniać wszystkie rozkazy swojego jedyne go władcy, którym był stary, odpychający i przeraźliwie brzydki Muhammad Abi Rabi'a. Miałam też przekonanie graniczące z pewnością, że doskonale zdają sobie sprawę z okropieństw, jakich dopuszcza się ich mąż na porwany ch i więzionych dziewczynach, gwałcąc je, a nawet mordując. Zresztą myśl o tym, że dobrowolnie mogą iść z nim do łóżka, przyprawiała mnie o mdłości. W tym człowieku wszystko było odrażające: wygląd, smród, zachowanie, nawet gios. Gdy przypominałam sobie, jak dyszał nade mną, robiło mi się ich nawet żal. Zastanawiałam się, czy gdyby miały wybór, same zgodziłyby się na taki los. Myślę, że nawet gdyby takowe pytanie padło z moich ust, nigdy nie uzyskałabym szczerzej odpowiedzi. Prawdziwie naturalne były chyba jedynie w trakcie gry w tryktraka, wtedy też widziałam na ich twarzach autentyczną radość, gdy wykonały dobry ruch, bądź złość, gdy coś poszło nie po ich myśli.

Właśnie skończyły kolejną partię i trzeci raz z rzędu zwyciężyła Dżamila. Na twarzy Asali, która po moich obserwacjach zdawała się kimś w rodzaju drugiej, jakby bardziej uległej żony, dostrzegłam grymas niezadowolenia, jeśliby nie powiedzieć — dużego zawodu. Rzuciła mi spojrzenie w stylu „znów mnie ograła, ale teraz na bank się zrewanżuję” i z zaciętym wyrazem twarzy zaczęła zbierać swoje pionki. Wyglądała jak mała panienska przyozdobiona w kobiece szaty. Niektóre, w moim mniemaniu jedyne szczerze zachowania, ukazywały ją, Dżamilę w mniejszym stopniu również, jako niewinne i na swój sposób zmuszone do bycia kobietami dziewczynki. Bo ile mogły mieć lat? Szesnaście, siedemnaście, może osiemnaście? Gdy ujrzałam je po wieczornej kąpieli, gdy zrzucały z siebie zmysłowe stroje i zmywały cały makijaż, ich młodzieńcze rysy aż nadto rzucały się w oczy. Owszem, ich ciała miały już wszelkie krągłości, mogły wydawać się nawet nad wiek rozwinięte, ale obie arabskie piękności były jedynie podlotkami, które w Polsce teoretycznie nie mogłyby nawet kupić w sklepie piwa.

Gdy moje opiekunki przygotowywały się do następnej partii, rozległo się donośne pukanie. Natychmiast wstały z podłogi i zapięły kwefy, aby ukryć twarze. Siedziałam za ledwie metr od nich, ale kompletnie mnie zignorowały. Przez moment tknęło mnie, że to zły znak. Ale czy mogłam spodziewać się czegoś innego? Kogoś innego niż jeden z tych demonów w ludzkiej skórze?

Dżamila z gracją ruszyła w kierunku drzwi, pochyliła głowę i łagodnie

otworzyła zamek. Na widok postaci w progu zadrżałam, a moje ciało przeszedł lodowaty dreszcz. „Jednooki” rzucił mi pogardliwe spojrzenie, jego wzrok palił moje zbrukane ciało. W jednej sekundzie wróciło wspomnienie gwałtu. On był najbrutalniejszy, bił mocno, szarpał za włosy i ręce, pluł i drapał jak dziki zwierz. Serce podeszło mi do gardła, gdy ujrzałam w jego jedynym oku błysk tego prymitywnego pożądania, sama nie wiem czy reszta była jedynie wytworem mojej wyobraźni, ale miałam wrażenie, że drugie, przecież zupełnie martwe, poruszyło się, a po gęstej brodzie przesunął się jego obleśny jęzor.

Wtedy nad wyraz spokojnie wypowiedział kilka słów, z których nie zrozumiałam oczywiście zupełnie nic. Modliłam się, aby Asala nie chwyciła mnie zaraz pod ramię i nie odprowadziła w ręce tego zboczeńca. Na szczęście, nic takiego nie nastąpiło, a Dżamila po krótkiej wymianie zdań grzecznie się ukloniła i cichutko zamknęła mu drzwi przed nosem. Odetchnęłam z ulgą, gdy chwilę później przekręciła zamek. Potwór został po drugiej stronie. Dżamila skinęła w kierunku Asali, która oddaliła się w stronę sypialni. Sama chwyciła mnie pod ramię i obdarowała słonecznym uśmiechem (zaraz po zamknięciu drzwi usunęła z twarzy kwef), po czym zaprowadziła do wielkiego, drewnianego stołu, który stał przy oknie. Chwilę później do salonu wróciła Asala, w dłoniach niosła sporych rozmiarów dekorowaną kolorowymi kamieniami walizczkę. Gdy tylko położyła ją na blacie, uchyliła wieko i moim oczom ukazała się przedziwna toaletka, wypełniona fiołkami, pędzelkami, ściereczkami i pudełeczkami. Chwilę później dziewczyna ponownie skierowała się do sypialni i przyniosła dwa kolorowe dywaniki z frędzelkami, które doskonale już znałam. Gdy tylko położyła je na podłodze, z pobliskiego minaretu rozległo się wołanie do modlitwy. To oznaczało, że właśnie wybiło południe. Uliczny gwar zamarł w jednej niemal chwili, silniki samochodów przestały pracować, kroki i głosy przechodniów ucichły. Donośne zawołanie muezzinów nie zagłuszyło jednak w całości kościelnych dzwonów, które odezwały się gdzieś niedaleko. Ten dźwięk — choć byłam wierząca, ale niepraktykująca — powodował, że nadzieja tliła się. Wbrew wszystkiemu, co do tej pory przeżyłam, przypominał mi o tym, że wciąż żyję. A póki żyję, mogę nienawidzić. Z każdym dniem, każdą godziną coraz mocniej.

Dziś wiem, że właśnie to uczucie pozwoliło mi przetrwać...

Zacisnęłam zęby i z ukrywaną pogardą spojrzałam na Dżamilę i Asalę, które wznosiły modły w stronę Mekki, a ponieważ okno było zwrócone

w kierunku południowo-wschodnim, obie wyglądały, jakby były pokłony próbującemu przebijać się przez chmury słońcu. Przez ułamek sekundy przeszło mi przez myśl, że teraz mogłabym chwycić walizeczkę i trzepnąć w głowę przynajmniej jedną z nich, z drugą pewnie jakoś bym sobie poradziła. Ale nawet jeśli obie padłyby nieprzytomne, to co mogłabym uczynić dalej? Zawołać przez okno o pomoc? Otworzyć drzwi i spróbować czmychnąć głównym wejściem? A może spróbować wyjść na gzyms i znaleźć najbliższą rynnę, a następnie zsunąć się na dół? Pierwsza opcja raczej odpadała, bo o ile nie byłam zbyt świadoma życia w muzułmańskich społecznościach, to wiedziałam jedno — ta grupa jest zazwyczaj bardzo hermetyczna i prawdopodobieństwo, że ktoś odważy się udzielić mi pomocy, było praktycznie zerowe. Opcja numer dwa miała szanse powodzenia w zasadzie jedynie teraz, czyli w czasie modłów, ale sama myśl, że będę musiała przedostać się przez nieznany mi labirynt korytarzy i pokojów, w których mogą czaić się moi oprawcy, powodowała, że nogi już teraz były jak z waty. Trzecia ewentualność najpewniej skończyłaby się upadkiem z czwartego piętra, który mógłby zadać mi szybką, choć niekoniecznie bezbolesną śmierć. Każda z opcji przerażała mnie o tyle, że w razie gdyby próba okazała się nieudana, bez dwóch zdań znów trafiłabym w łapska tych potworów, a jeśli wcześniej byli zdolni robić mi tak okrutne rzeczy bez powodu, to nawet nie chciałam sobie wyobrazić, co mogliby uczynić, gdybym próbowała im uciec. Myślę, że gdyby podobna szansa nadarzyła mi się w tamtej ciemnej piwnicy, nie wahałabym się. W pięknym apartamencie, w którym — jakkolwiek by to nie zabrzmiało w tej całej ponurej sytuacji — byłam dopieszczana przez dwie arabskie piękności, moje pragnienie ucieczki było mocno osłabione, szczególnie biorąc pod uwagę ewentualne konsekwencje.

Patrzyłam więc na modlące się żony Muhammada Abi Rabki, które raz za razem były pokłony, mrużąc coś w kółko pod nosem Ani razu nie zaszczyciły mnie spojrzeniem, w pełnym skupieniu oddając się modłom do swojego... Boga? No właśnie... Jaki Bóg pozwoliłby na to, co robił mi ich mąż i jego synowie? Jaki Bóg mógł być tak bezduszny i nie ukarać swoich wyznawców za takie bezsensowne okrucieństwo wobec osoby, która nigdy nie zrobiła im najmniejszej krzywdy?

To nie mógł być Bóg. To był Szatan...

Gdy o tym pomyślałam, resztki nadziei znów ulotniły się, a ich miejsce zajęła kompletna bezsilność i czarna rozpacz. Zrozumiałam, że wciąż jestem

tylko niewolnicą, która w każdej chwili może zostać zabrana do podziemi i zgwałcona przez bandę brudnych i cuchnących brutalnych, zdana na ich łaskę i niełaskę, a każda moja próba ucieczki może skończyć się tak samo, jak tej biednej dziewczyny, której przy mnie „Jednooki” odciął głowę. Kontrasty, jakie mnie spotykały w ciągu ostatnich dni, były tak silne, że gubiłam się w swoich odczuciach. Koszmarna brzydota i naturalne piękno, odrażający smród i egzotyczne aromaty, upodlenie i serdeczność, ból gwałtu i rozkosz gorącej kąpieli. Wszystko to przeplatało się jak w jakimś chorym kalejdoskopie, okręcanym przez szponiaste dłonie nieokreślonego diabelskiego bytu. Demona w najczystszej postaci, który omotał umysły moich oprawców, robiąc z nich swoje narzędzia, aby w końcu osiąść i mnie.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że mu się udało...

Modły dobiegły końca. Dżamila i Asala z wdziękiem złożyły dywaniki, a ta druga zabrała je i odniosła do sypialni. Niższa podeszła do mnie i znów obdarowała ciepłym uśmiechem. Usiadła na krześle obok i odgarnęła kruczoczarne włosy, które opadły jej na czoło i oczy.

— Modliłyśmy się za ciebie, niewolnico — rzekła dobrotliwym tonem. Zatknęło mnie. Przed chwilą myślałam, że mogłabym wydrapać im oczy. To wszystko było tak cholernie niezrozumiałe i dziwne...

— Nic nie odpowiesz? — zagadnęła.

— Cieszę się — odparłam nieszczerze, w jej oczach nie widziałam tego, co podświadomie chciałam ujrzeć. Nie widziałam nienawiści.

— Modliłyśmy się, aby jutro wieczorem litościwy Allah okazał ci łaskę. W ustach tej pięknej kobiety takie słowa nie powinny zabrzmieć groźnie, ale to jedno zdanie zmroziło krew w moich żyłach, a serce podeszło do samego gardła.

— Jaką łaskę... ? — wydukałam, a w kącikach moich oczu, choć bardzo z tym walczyłam, zaczęły szklić się wzbierające łzy.

— Nie bój się, niewolna. Allah jest dobry i litościwy.

— Jeśli poddasz się jego woli, na pewno ci to wynagrodzi — dodała Asala, która niczym duch zjawiła się po mojej prawej ręce.

Chwyciła dłoń i przetarła ją jedwabną, nasączoną jakimś płynem ściereczką, po czym sięgnęła po cieniusieńki pędzelek i zamoczyła go w jednej z otwartych fiolek. Po chwili Dżamila dołączyła do swojej przyjaciółki i obie w milczeniu i z pełnym zaangażowaniem zabrały się do pracy. Na mojej skórze niemal w magiczny sposób zaczęły pojawiać się

wymalowane henną wzory, które wkrótce miały pokryć prawie całe moje ciało.

KUBA

Krzysiek udał się do toalety za potrzebą, Franco z Michałem podejrzanie długo nie wracali. Minęła już przynajmniej godzina od czasu, gdy poszli do piwnicy i zastanawiałem się, jak radzi sobie mój przyjaciel w tej zapewne niezwykle stresującej dla niego sytuacji. Pomijam już fakt obcowania ze szczelnie owiniętym folią bandytą, bo on akurat nie był w stanie zagrozić mi w żaden sposób. Bardziej interesowała mnie socjalizacja z tym potężnym Włochem, którego obecność wiecznie powodowała u mnie — zapewne u Afgana tym bardziej — podwyższone ciśnienie. Nie z powodu jego postury czy niecnych planów względem nas, a po prostu chęci udowodnienia mu, że wcale nie jesteśmy takimi bezużytecznymi gówniarzami, za jakich nas uważał. Akcja w Barcelonie, podczas której zachowaliśmy się przynajmniej przyzwoicie, z pewnością nieco podniosła nasze notowania, moja pomoc — choć z pewnością bardziej polegała na wykorzystaniu szczęśliwego zbiegu okoliczności — w namierzeniu „Lecu” jedynie potwierdziła fakt, że nie jesteśmy jedynie zbytecznym balastem, ale do pełnej akceptacji droga była jeszcze bardzo długa i wyboista. Czasem czułem się, jakbym na swój sposób rywalizował z Michałem o względy tego żołnierza, a w zasadzie obu żołnierzy, i brał udział w jakimś chorym i pokręconym wyścigu szczurów, którego zwycięzca ostatecznie zapewni sobie tytuł prawdziwego mężczyzny.

To było bardzo giupie, ale nie mogiem opędzić się od tego typu nachalnych myśli. Chciałem jak najszybciej wyrzucić je z głowy, więc wyciągnąłem telefon i wszedłem na Facebook, do którego z racji ostatnich wydarzeń nie zaglądałem przez długi czas. Na ikonce miniatury kuli ziemskiej znajdowało się osiemnaście powiadomień, które zupełnie zignorowałem. Czekąco też trzydzieści jeden wiadomości. Kliknąłem i — tak jak się spodziewałem — autorką zdecydowanej większości była moja mama, która, nie mogąc się do mnie dodzwonić (od przyjazdu Krzyśka do Murcji ignorowałem wszystkie połączenia, a jako że nikt nie znał tego numeru, mogła dzwonić tylko ona, ewentualnie ojciec), próbowała nawiązać kontakt właśnie przez Facebook. Poza nią pisali do mnie: stary przyjaciel Daniel Stachura, który wyemigrował do brytyjskiego Southampton, kolejny z przyjaciół — Adam Waluś z Zielonej Góry, a także Łukasz Rakoczy, stały klient, który zlecał mi robienie stron internetowych, moja była dziewczyna Birginia Medina i kuzyn Mateusz Szykiel, tirowiec.

Rozmowę z matką znów odłożyłem na później, nie wyobrażałem sobie, abym mógł z nią teraz dyskutować o moim zdrowiu i bezczelnie ją okłamywać, wiedząc, że jutro wchodzę do gniazda żmij, aby odbić dziewczynę mojego przyjaciela i pomścić śmierć mojej ukochanej Nawal. Jakkolwiek to wszystko niewiarygodnie brzmiało w ustach studenta, tak właśnie było i bałem się, że rozmowa z rodzicami może źle wpłynąć na moje ewentualne decyzje, gorzej, spowodować, że zacznę mieć wątpliwości i jeszcze zrezygnuję. Daniel po prostu zagadał, czy żyję i choć mógłbym mu ironicznie odrzec, że tak, owszem, ale mam czterdzieści cztery szwy na szyi, bo dziesięcioletni gówniarz nie miał siły, aby porządnie poderżnąć mi gardło, uznałem, że to nie jest najlepszy pomysł, nawet w razie gdybym ostatecznie dodał, że żartuję. Adam podpytał, czy w najbliższym czasie wracam do Polski, ale nie uzyskując żadnej odpowiedzi, nie ciągnął tematu, klient chciał dać mi robótkę, Vicky wrzuciła mi fotkę swojego wypiętego tyłka z podpisem, że chętnie dostałaby ode mnie klapsa (już wcześniej próbowała mnie w podobny sposób kusić i pomimo swojej dojrzałości chyba nie do końca mogła pogodzić się z naszym rozstaniem), więc jej wiadomość również zignorowałem. Lampka zapaliła mi się dopiero w momencie, gdy odczytałem wiadomość od kuzyna. Mateusz napisał (pisownia oryginalna):

Siema Kuba! Co u ciebie brachu? Pewnie doskonale się bawisz i bzykasz te dupiaste hiszpanki bo jato się tylko użeram z tymi ciapuchami koło tej dżungli calais. ale jutro ostatni załadunek w paryżu i wracam do polanki, w końcu kurwa! pozdro brachu!!!

Gdyby tylko Mati wiedział, w co się wpakowałem... Ciapuchy... ironia losu. Przez jego usta nigdy nie mogły przejść słowa „muzułmanie” czy „wyznawcy islamu”. To zawsze byli muslimy, kozojebcy, brudasy, złodzieje, czarnuchy czy właśnie ciapuchy. Okrutnie wnerwiała mnie ta prostota i zaściankowość starszego kuzyna, bo o ile podobne, choć chyba mimo wszystko mniej zatwardziałe stanowisko mojego ojca w tej kwestii tłumaczyłem wychowaniem w innych, komunistycznych i postkomunistycznych czasach, o tyle tak bezkompromisowe podejście Mateusza do islamu nie tylko wzbudzało we mnie poczucie wstydu, ale wręcz odrazę. Owszem, mój kuzyn nigdy nie był specjalnie wykształcony, miał poglądy mocno prawicowe, ale aż taka zawziętość mnie przerażała. Był jak beton nie do skruszenia. W ostatnich latach miał szczególnie dużo paliwa do rozniecania gorących dyskusji, bo problemy związane z wielomilionową migracją do Europy zawsze

wykorzystywał do kolejnych ataków na środowiska muzułmańskie i podnosił do wręcz apokaliptycznych rozmiarów. Nie raz i nie dwa dyskutowaliśmy o tym przy wódce (a w zasadzie jego ulubionym Jacku DanieTsie, choć ostatnimi czasy próbowałem przekabacić go na rum), ale zdecydowana większość, jeśli nie wszystkie podobne dysputy, kończyła się kłótniami, po których musieliśmy zmienić temat, bo ani on nie mógł mnie przekonać do swoich argumentów, ani tym bardziej ja nie mogłem przekonać jego. Był zatwardziałym islamofobem, po części też rasistą, bo o ile tolerował Azjatów, o tyle nie znosił Murzynów, których z grubsza uważał za nierobów. Nasze poglądy na świat różniły się diametralnie, ale poza tym zawsze utrzymywaliśmy bliskie kontakty. Bo Mateusz miał też drugą twarz, człowieka dobrotliwego i z sercem na dłoni, osoby, na której zawsze, ale to zawsze można było polegać, bardzo pomocny i życzliwy dla rodziny i ludzi, których akceptował, był do rany przyłóż. Pamiętam też, że gdy dorastaliśmy z Krzyśkiem, mieliśmy może po trzynaście, czternaście lat, Mati wielokrotnie przychodził nam z pomocą, gdy dochodziło do poważniejszych zatargów ze starszymi kolegami. Wiecznie traktowałem go jak większego (posturą też przypominał byka), choć trochę zramolałego kuzyna, z którym, owszem, można było konie kraść, ale lepiej było trzymać go z dala od towarzystwa, szczególnie tego szumnie zwanego multi-kulti.

Przypomniałem sobie naszą ostatnią rozmowę, sprzed około roku. Znów pokłóciliśmy się o „umiarkowany islam”, którego on w ogóle nie akceptował, ciągle powtarzając: „Dobry muslim to martwy muslim, bo gdy przyjdzie do wojny, to wtedy wszyscy ci, którzy teraz udają, że są tolerancyjni i dobroduszni względem innowierców, chwycą za broń i rozpoczną rzeź”. Jako przykład potwierdzający jego teorię zawsze podawał tę wołyńską, w której w okrutny sposób mordowali się najbliżsi sąsiedzi, choć jeszcze poprzedniego roku dzielili wigilijne stoły. Coś w tym było. Wkrótce miałem się dowiedzieć, choć wtedy nawet nie podejrzewałem, że historia nie tylko powtórzy się po raz kolejny, ale dopisze rozdział przekraczający wszelkie wyobrażenia, przy których rzeź wołyńska i wszystkie najstraszliwsze hekatomby w historii ludzkości staną się jedynie kroplą w morzu zdziczałego, niemożliwego do zmierzenia jakakolwiek wymyśloną przez człowieka skalą okrucieństwa.

To wszystko stało się tak szybko...

Wtedy, siedząc z komórką w dłoni i myśląc o tym, czego doświadczyłem w ciągu ostatnich kilkunastu dni, nie miałem pojęcia i wciąż, nawet pomimo

tego wszystkiego, co mnie do tej pory spotkało, nie byłem do końca przekonany. Ayo Mosisi zdawał się idealnym dowodem, że nie każdy muzułmanin jest potencjalnym terrorystą i nie każdy wierzący w Allaha jest złym człowiekiem I choć zawsze byłem wrogiem postrzegania wszystkiego w biało-czarnych barwach, to właśnie te Mateuszowe „ciapuchy” zamordowały moją ukochaną Nawal i nasze dziecko, mnie potwornie okaleczyły, a dziewczynę mojego przyjaciela i siostrę drugiego zgwałciły i porwały, aby sprzedać na targu jak owcę czy świnię.

Wiedziałem, że gdybym tylko opowiedział kuzynowi tę historię, Mateusz dałby się pokroić, aby mi pomóc. Tym bardziej że po alkoholu wiecznie widział siebie jako żołnierza Chrystusa i pogromcę islamu, wielokrotnie powtarzał, że chętnie przyłączyłby się do tych prawicowych grup, a w zasadzie bojówek, które coraz częściej całymi zastępami wkraczały do muzułmańskich dzielnic, aby prowokować lokalne społeczności. Najsłynniejsze bitwy — bo tak to można określić, wcale nie nadużywając tego słowa — miały miejsce w Londynie i Liverpoolu, gdzie kibole miejscowych klubów piłkarskich, którzy od lat nie mogli już wszczynać zadym na stadionach, znaleźli sobie nowy rodzaj zabawy. Wchodzili dziesiątkami, a czasem nawet setkami na tereny objęte (wciąż jeszcze nieoficjalnie, ale nikt, nawet policja i politycy, tego nie podważał) prawem szariatu. Drażnili miejscowych ostentacyjnym piciem alkoholu, głośną muzyką, nachalnym eksponowaniem chrześcijańskich symboli, kobiety, których było w tych grupach coraz więcej, skąpym strojem, a nawet publicznym seksem Zanim policja pojawiała się na miejscu (co nie było takie oczywiste, bo również działała na muzułmanów jak płachta na byka), dochodziło do rozrób, które czasem przeistaczały się w jatkę, podczas której w ruch szły noże, tasaki i siekiery, a coraz częściej — automatyczna broń maszynowa. Po najsłynniejszej bitwie, we wschodnim Londynie, gdzie śmierć poniosło dwieście siedem osób, a ponad tysiąc zostało rannych, muzułmański burmistrz stolicy, Farooq Tarrar, wprowadził na miesiąc stan wyjątkowy w mieście. Sytuacja uspokoiła się, choć do drobnych utarczek dochodziło cały czas w zasadzie w całym kraju.

Z Anglików przykład wzięli Niemcy, którzy zaczęli od podpaleń i ataków na ośrodki dla imigrantów, w zasadzie już od czasów słynnej szalonej kanclerz, ale dopiero po powstaniu paryskim nabrały one bardziej skoordynowanego charakteru. Bojówki neofaszystowskie, choć tępione przez

władze jak najgorsza zaraza, wciąż krążyły w okolicach ośrodków dla imigrantów i coraz częściej wdzierały się do muzułmańskich dzielnic w dużych miastach. Całkiem niedawno doszło do zamieszek w Hamburgu, gdzie zginęło ponad dwadzieścia osób i zapewne gdyby nie gwałtowna reakcja rzuconych natychmiast do boju służb antyterrorystycznych, mogłyby ewoluować w podobną bitwę do tej we wschodnim Londynie.

W Holandii, Belgii, Francji czy Szwecji wcale nie było lepiej, choć tam skala podobnych incydentów nie była jeszcze tak wielka, pomijając oczywiście powstanie paryskie, które jak na ironię przyklepało kruchy pokój pomiędzy muzułmanami a resztą społeczeństwa. Niestety, cena była wysoka, bo każdy z tych krajów na swój sposób poddał się wyznawcom Allaha i został zmuszony do przyjęcia, a przynajmniej przymykania oka na wszystkie społecznie nieakceptowane wcześniej zachowania. I tak w Szwecji nikogo już nie dziwiło wielożeństwo czy śluby z dziećmi. Pierwsze zostało zalegalizowane w 2022 roku, a pedofilia stała się tematem ogólnonarodowej dyskusji polegającej na znalezieniu „złotego środka” jeśli chodzi o wiek potencjalnej małżonki, a co za tym idzie legalnego uprawiania seksu z nieletnią. Coś, co jeszcze kilka lat temu zdawało się absolutnie niemożliwe, dziś stawało się coraz bardziej prawdopodobne, bo o ile Bractwo Muzułmańskie sugerowało — to było doprawdy ohydne — dopuszczalny wiek dziewięciu lat, to skrajnie lewicowe ugrupowania poważnie zastanawiały się, czy nie opuścić cezury do — nie mniej ohydna perspektywa — trzynastego roku życia. Kraj ten stał się ewenementem na skalę światową, szwedzka uległość, wręcz służalczość wobec napływowych przeczyła wszelkiemu logicznemu rozumowaniu.

A jednak to się działo.

Co było w tym wszystkim najgorsze, ludzie wciąż — ja zresztą też, bo przez lata odsuwałem od siebie ten problem, starając się żyć w błogiej nieświadomości — w ogóle tego nie zauważali, a przynajmniej nie chcieli, licząc, że przecież na gorze są mądrzejsi, którzy nie dopuszczą do eskalacji przemocy i prędzej czy później znajdzie się jakieś rozwiązanie, które pozwoli uspokoić negatywne emocje. Główne media robiły wszystko, aby nie donosić o kolejnych pomniejszych utarczkach miejscowych z imigrantami, naiwnie myśląc, że podobne, coraz częstsze incydenty uda się ukryć, aby nienawiść nie rozlewała się z każdym dniem jeszcze bardziej. Nikt jednak nie potrafił postawić się w sytuacji takiej jak ja. Indywidualność utonęła pod naciskiem

głupiej i całkowicie utopijnej wiary w dobro ogółu. Wszyscy zapomnieli, że wspólnota to nie jednolita masa, którą da się zaprogramować według matematycznego algorytmu, a suma tych wszystkich jednostek, dla których podobne dramaty stają się zarzewiem dla nienawiści. Jednostek skrzywdzonych, cierpiących, niemogących znaleźć pomocy u tych, którzy pośrednio przyczynili się do tych tragedii, co gorsza szkalowanych przez władze za to, że nie zgadzają się z przyjętą przez nie zasadą bezwarunkowej miłości wobec wszystkich, nawet tych, którzy zawinili, którzy okradli, zgwałcili czy zabili. To pieprzone nadstawianie drugiego policzka... Dla takich jak ja nie było już ratunku.

Rozmyślałem o tym wszystkim i coraz mocniej docierała do mnie ta oczywista prawda. Nie mogliśmy liczyć na pomoc władz, które nie dość, że nie broniły swoich obywateli, to zabraniały jedyne, co pozwalało znaleźć ukojenie dla pogrążonej w żalobie duszy. Zabraniały nienawidzić.

— Mati jutro będzie w Paryżu — oznajmiłem Krzyśkowi, jak tylko wyszedł z toalety, uznałem, że takimi informacjami należy się dzielić, nawet jeśli czysto teoretycznie mogą nie mieć żadnego wpływu na nasz plan.

— Mati?

— Wiesz, że on jeździ tymi tirami. Akurat jutro ma załadunek w Paryżu.

— Rozmawiałeś z nim? — W głosie mojego przyjaciela dało się wyczuć nutkę podejrzliwości.

— Nie, po prostu odczytałem wiadomość na Fejsie.

Figur przeciągnął językiem po dziąsłach, zawsze tak robił, gdy nad czymś intensywnie myślał. Wbił wzrok w okno, za którym migał czerwony neon zakładu fryzjerskiego znajdującego się pod nami.

— On może się przydać — oznajmił po krótkiej chwili. — Jest tirowcem, a oni zawsze mają doskonały ogląd tego, co dzieje się na drogach.

Poczułem ukłucie dumy, po raz kolejny moja obecność okazała się przydatna, bo choć nie miałem pojęcia, jak Krzychu chce wykorzystać tę wiedzę, znów zapunktowałem Taka drobnostka, a od razu poprawiła mi kiepski humor.

— Mam z nim pogadać?

— Na razie nie, poczekajmy na chłopaków. Zresztą gdzie oni, do diabła, są?

Niemal w tej samej chwili usłyszeliśmy z klatki schodowej dudniący

odgłos, niemożliwy do pomylenia z niczym innym, ciężkich wojskowych butów Franco. Po chwili ekipa była już w komplecie.

— Jak wygląda? — spytał Krzychu, gdy tylko włosko-polski team przekroczył próg naszego apartamentu.

— Zrezygnowany — mruknął Franco.

— To dobrze.

— Chłop traci nadzieję, już nie był taki hardy jak wcześniej.

— Mówił coś?

— Bełkotał coś po arabsku, widać, że schodzi z niego powietrze. Do tego narobił pod siebie, śmierdzi gównem na kilometr.

— To zawsze jest dobry sygnał. — Figur wydał usta i z zadowoleniem pokiwał głową. — Dajmy mu zatem jeszcze kilka godzin i wykorzystajmy je na omówienie planu. Potem odwiedzimy go raz jeszcze, a następnie prześpiemy się kilka godzin— rzekł i udał się w kierunku aneksu kuchennego.

Tymczasem Michał i Franco wygodnie rozsiedli się na kanapie. W oczach tego pierwszego nie dojrzałem niczego, co mogłoby mnie zaniepokoić, powiedziałbym nawet, że prezentował się lepiej niż zazwyczaj, jakby zrobił kolejny krok w stronę świata prawdziwych mężczyzn. To też był dobry sygnał.

— Zrobię kawy i zaczynamy — rzucił Krzychu i włączył elektryczny czajnik.

Tym razem plan okazał się diabelnie skomplikowany. W grę nie wchodziła akcja podobna do tej z Barcelony, bo po pierwsze, Abi Rabka mógł być na nią przygotowany, a po drugie, o ile w stolicy Katalonii tamten burdel był tylko jedną z tymczasowych nor, o tyle Paryż mienił się jego twierdzą z setkami wiernych mu, doświadczonych w zabijaniu, dobrze wyszkolonych ludzi. Ewentualna próba wejścia drzwiami skończyłaby się zapewne szybciej niż atak kobry, dlatego ta opcja odpadała już na starcie. Nawet ja, w którego oczach Figur był niczym niezwyciężony John Rambo, rozumiałem, że to nie film i dwaj tak doskonale wyszkoleni komandosi nie byłiby w stanie wyjść z tego bez szwanku, nie wspominając o zagrożeniu życia samej Moniki.

Trzeba było działać z głową, szukać słabych punktów przeciwnika, próbować dyskretnie zakraść się jak najbliżej, oszukać go i dopiero w najbardziej sprzyjającym momencie zaatakować z pełną mocą. Z niecierpliwością czekałem na plan, który już wkrótce miał pozwolić oswobodzić moją przyjaciółkę i przede wszystkim dać szansę na spojrzenie Muhammadowi Abi Rabki prosto w oczy. Zanim... Uśmiechnąłem się na samą

myśl...

Powietrze było już przesiąknięte aromatem mocnej kawy, dymu papierosowego i wciąż unoszącego się zapachu pizzy. Na dworze zrobiło się całkiem ciemno, ale gwar wcale nie zelżał, ba, stał się na tyle donośny, że aż uciążliwy, dlatego aby oczyścić umysł, wstałem i zamknąłem okiennicę, przy okazji dyskretnie puszczając bąka. To też było głupie, bo nigdy wcześniej nie miałem najmniejszych oporów, aby pierdzieć przy Krzyśku czy Michale, a jednak obecność Franco, przecież surowo ciosanego typu, w jakiś sposób mnie ograniczała. Kolejny dowód, że Włoch wprowadzał między nami swoisty rodzaj fermentu, nie w złym tego słowa znaczeniu, ale to dziwne napięcie, które powodowało, że wspomnienia z poprzedniego życia gdzieś ulatywały, a stare relacje niemal przestawały mieć znaczenie. On wprowadzał profesjonalizm, tak, to chyba dobre słowo, Franco Zaccherini sprawiał, że każdy z nas robił to, co należało, a nie to, na co akurat miał ochotę. Czyż nie zacząłem mieć głupich myśli pod jego nieobecność? Zastanawiać się nad tym, że choć na chwilę fajnie byłoby wrócić do starego życia, rozwalić się na sofie, wyłożyć nogi na stół i włączyć telewizor, aby przez najbliższą godzinę leżeć plackiem, pierdzieć w kanapę i oglądać odmóżdżający serial albo reality show? Przy naszym włoskim kompanie to nie było możliwe, nie mógłbym sobie na to pozwolić. Przy nim zawsze starałem się trzymać emocje na wodzy, nie okazywałem słabości i robiłem wszystko, aby choć wyglądać na człowieka, który jest godny zaufania i miejsca w tej niewątpliwie szczególnej drużynie. Może właśnie taki był zamysł Krzycha? Może, ale zanim przy Zaccherinim otworzyłem usta, zawsze pomyślałem dwa razy, aby nie wyjść na ignoranta. W jego świecie milczenie często było złotem.

Dlatego słuchałem i starałem się analizować każde słowo. I choć na starcie Krzysiek zaskoczył mnie totalnie, nie dałem tego po sobie poznać. O dziwo, moja rola była tu najmniej wymagająca, gdyż jako jedyny miałem znaleźć się poza stadionem, co mnie ucieszyło, bo nie byłem narażony na największe niebezpieczeństwo, ale jednocześnie nieco rozdrażniło, gdyż głównym aktorem tego przedstawienia miał być... Michał.

Znów ta idiotyczna rywalizacja... ?

— Ja? — spytał, nie dowierzając słowom Figura.

— Nie będziesz musiał nic mówić, my będziemy robić to za ciebie — spokojnie odrzekł legionista. — Wykorzystamy twoje południowe rysy, aby ich oszukać. „Lecu”, oczywiście zakładając, że będzie współpracował,

wprowadzi nas na targ jako gości z Rumunii. Będziesz grał syna jednego z bogatych przedsiębiorców, o imieniu Gheorghe Lupescu, który przybył, aby kupić sobie kilka niewolnic. Tamtejsi oligarchowie są znani z zamiłowania do nielegalnych haremów, więc nikogo nie powinno to dziwić. Nikt z obsługi nie powinien też operować językiem rumuńskim, zatem nikt nie będzie zadawał pytań. Ja i Franco będziemy twoimi przybocznymi ochroniarzami, którzy mają zapewnić bezpieczeństwo swojemu szefowi podczas transakcji.

Afgan słuchał uważnie, ale po pierwszym szoku wrócił do równowagi i spokojnie przyswajał kolejne informacje dotyczące swojej roli. W jego zachowaniu znów nie dostrzegłem oznak strachu czy paniki, którą już kilkakrotnie pokazał podczas dużo mniej niebezpiecznych zadań, choćby podczas w akcji w Barcelonie czy pochwylenia „Lecu”. Nawet nie zadrżała mu noga, która zwykle tańczyła jak słabo wytrenowana baletnica.

— „Lecu” zaprowadzi nas w miejsce, gdzie najbogatsi będą licytować kolejne dziewczyny. Gdy na podwyższeniu pojawi się Monika, jaz Franco zrobimy młyn.

— Co masz dokładnie na myśli, mówiąc „młyn”? — spytałem.

— W przygotowanych przez Franco dwóch torbach z fałszywą gotówką przemycimy miniładunki hukowe i dymne. W odpowiednim czasie użyjemy ich. Gdy już wybuchnie panika, a widoczność zostanie ograniczona do minimum, wkroczymy do akcji i odbijemy Monikę z rąk tych zbirów.

Nastała chwila ciszy, moja powieka kilkakrotnie drgnęła, nie miałem na to żadnego wpływu. Celem było odbicie Moniki, to był niezaprzeczalny priorytet, ale mnie wciąż brakowało tu pewnego szczegółu. Zacisnąłem zęby i wysyczałem:

— A Abi Rabka? — Czułem, jak wzbiera we mnie złość.

— Jeśli po drodze trafi w moje ręce, możesz być pewny, że zanim umrze, usłyszysz twoje imię — rzekł Figur, patrząc mi prosto w oczy.

Przełknąłem głośno ślinę, a moje oczy zaszklily się.

— A jeśli nie?

— Wtedy wrócimy po niego następnym razem. Nie możemy ryzykować brania go żywcem, bo...

— Nie taka była umowa, Krzychu — warknąłem, a z oczu poleciały mi pierwsze łzy, tych się nie wstydziłem, były wyrazem narastającego gniewu, palącej mnie nienawiści, irytacji, oburzenia, wściekłości, w żadnym wypadku słabości.

— Abi Rabka nie uniknie konsekwencji, ale nie możemy narażać życia Moniki ze względu na namiętności, które nami targają.

— Kurwa... — zakląłem i przeciągnąłem dłonią po twarzy, ocierając niechciane łzy i próbując opanować emocje, które, miałem wrażenie, zaraz rozsadzą mnie od środka i eksplodują na milion kawałeczków.

— Coś ci kiedyś obiecałem i dotrzymam słowa. — Niezmiennie zimnokrwistym, niezmaconym tonem Figur kontynuował: — Wszyscy, którzy skrzywdzili Monikę i bezpośrednio brali udział w zamordowaniu Nawal i... — Figur zawahał się chwilę. — ...i twojego dziecka, umrą. Tego możesz być pewien.

Zacisnąłem zęby, już nic więcej nie powiedziałem, przez co zapadła niezręczna cisza. Atmosfera zgęstniała, słyszałem swój ciężki oddech i czułem na sobie oczy wszystkich moich kompanów. Ich spojrzenia niemal paliły moje policzki.

— Kuba, muszę wiedzieć, że mi ufasz — przerwał ciszę Krzychu, zrozumiałem, że nie da za wygraną, zawsze był konkretnym typem — Ufam ci, brachu — odparłem szczerze.

Te dwa słowa spowodowały, że bardzo mi ulżyło. Figur wyciągnął swoją grabę, aby przybić mi piątkę. To był cholernie męski uścisk, znaczył więcej niż tysiąc słów, obietnica między dwoma ludźmi, którzy nie tylko sobie ufają, ale kochają się jak bracia. Poczułem ulgę, spłynęła na mnie nagle, dając zszarganym nerwom ukojenie.

Franco odpalił kolejnego papierosa, w ciszy usłyszałem skwierczenie palącego się tytoniu. Chwilę później zaszeleściła mapa, którą już wcześniej wyłożył na stół mój przyjaciel, prezent od Ayo Mosisiego.

— Co ja mam robić, gdy zacnie się bałagan? — spytał Afgan, wciąż nadspodziewanie spokojny i opanowany.

— W momencie gdy wybuchnie panika, musisz liczyć na siebie. Są dwie możliwości ucieczki... — Figur naniósł plany stadionu na siatkę wodociągów. — Pierwsza polega na wtopieniu się w tłum, wtedy jako jeden z VIP-ów powinieneś przebić się do wyjścia. W zegarku, podobnie jak my wszyscy, będziesz miał GPS, więc Kuba przez cały czas będzie wiedział, gdzie się znajdujesz i w odpowiedniej chwili złapie cię na ulicy. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, my również powinniśmy do was dołączyć gdzieś na Avenue de President Wilson, tej głównej po zachodniej stronie obiektu. Jeśli okaże się, że pojawią się jakieś problemy, plan B zakłada zejście do podmiejskich

wodociągów, które wyprowadzą nas poza teren stadionu. Według Ayo jedno znajduje się przy podziemnym parkingu, nie więcej niż sto metrów od sceny, na której będzie miał miejsce cały ten pieprzony spektakl. O, dokładnie tu. — Krzysiek wskazał palcem miejsce na mapce, która teraz przypominała pajęczynę pijanego pajaka.

— Wiem, gdzie to jest, pamiętam, jak chodziłem z ojcem po piwo na meczu z Niemcami — skomentował, marszcząc brwi, Michał. — Było słabe i paskudne w smaku, ale pierwszy raz staruszek pozwolił mi oficjalnie pić razem z nim — Dlaczego wcześniej nie mówiłeś, że byłeś na stadionie? — zaintrygowany zapytał Figur.

— Nikt nie pytał, poza tym, szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że będę musiał tam wchodzić... — z przekąsem odparł Michał.

— W każdym razie świetnie się składa, bo to powinno znacznie ułatwić ci orientację.

— Pamiętam każdy szczegół. Wtedy to było dla mnie cholernie wielkie przeżycie. Dam radę.

Zabrzmiało nie tylko szczerze, ale i naturalnie, tak jakby Michał naprawdę czuł się na siłach ogarnąć to, co może wydarzyć się w tym potężnym obiekcie. Brzmiał zupełnie inaczej, wyglądał na pewnego siebie, no, kurwa, po prostu inny facet! Zastanawiało mnie, skąd ta nagia zmiana, ale chwilowo musiałem odrzucić podobne myśli. Należało skupić się na zadaniu.

— A więc w razie kłopotów ewakuujemy się tunelami. W nich dobrze było by się nie rozdzielać, więc jeśli zdecydujesz wybrać tę drogę, daj nam trzy minuty. Jeśli do tego czasu nie dotrzemy, idź przed siebie. Prędzej czy później trafisz na studzienkę, przez którą zdołasz wyjść na zewnątrz. Sygnał nie powinien zostać zakłócony, więc Kuba będzie wciąż mieć cię na oku.

— Na ulicach może zrobić się wtedy gorąco... — rzuciłem nieco zaczepnie.

— Zgadza się, ale wtedy musisz liczyć na siebie. Jeśli zaczną się rozruchy, musisz zachować trzeźwość umysłu. Tłum jest groźny, ale nie zwraca uwagi na szczegóły, więc jeśli poczujesz jakiegokolwiek zagrożenie, gaz do dechy i jedziesz. Najważniejsze to nie stracić samochodu.

Pokiwałem głową na znak zrozumienia. Chyba wciąż nie docierała do mnie powaga sytuacji, chciałem jednak zachować się jak profesjonalista, człowiek, który rozumie, co się do niego mówi, i nie oczekuje, aby podstawić mu pod nos rozwiązanie każdego, nawet najbardziej błahego problemu. Gdy

trzeba będzie brać nogi za pas, to nie będzie sensu pytać jak, tylko trzeba będzie spierdalać. Krótko i na temat.

Przez kolejne kilkadziesiąt minut wybieraliśmy najlepszą drogę ewakuacji z miasta. W końcu do rozmowy włączył się dziwnie milczący Franco, który do tej pory jedynie bacznie słuchał i obserwował, nie angażując się w dyskusję i nie zadając zbędnych pytań. Papierosa zagryzał jabłkiem, po czym odpalał kolejnego. I tak w kółko, jakby słuchał planu wycieczki krajoznawczej zakończonej przyjemnym spływem kajakowym Pomyślałem, że z Figurem rozumieją się bez słów i każde słowo mojego przyjaciela jest dla niego czytelne, wręcz oczywiste.

W końcu nasza rozmowa dobiegła końca. Dochodziła pierwsza w nocy, a przed snem musieliśmy jeszcze odwiedzić „Lecu” Apartament opuściliśmy dwójkami, ale ostatecznie do zimnej piwnicy wkroczyliśmy całą bandą.

Dopiero gdy usłyszałem nieprzyjemny szcęk zardzewiałej zasuw, zdałem sobie sprawę, że zapomnieliśmy o pewnym, w moim mniemaniu dość istotnym, detalu. Gdy już odbijemy Monikę i uda nam się uciec z miasta, to jak podamy antidotum „Lecu”?

„Algierczyk” siedział półprzytomny w dokładnie tej samej pozycji, w jakiej go zostawiliśmy. Jego twarz przypominała rozgniecionego arbuza, który ktoś owinał folią, aby zachować resztki na później. Czerwono-żółto-brązowa maź — mieszanina krwi, śliny i wymiocin — wypełniała każdy, nawet najmniejszy kawałeczek wolnej przestrzeni między skórą a celofanem, a z niewielkich otworów na usta i oczy sączyła się nieco już podeschnięta plwocina. Na jego kolanach wciąż migał ekran przyklejonego taśmą smartfonu, a w upiornej ciszy dało się wychwycić rosyjską muzykę, która płynęła z wetkniętych do uszu słuchawek. Pomyślałem, że słuchanie tego na pełnej głośności przez kilka bitych godzin samo w sobie musi być trudną do wytrzymania torturą.

Krzysiek z Franco zbliżyli się do naszego więźnia na odległość wyciągniętej ręki. Nagle, bez ostrzeżenia, mój przyjaciel uderzył go otwartą dłońią w twarz. „Lecu” wzdrygnął się, wtedy dostał jeszcze kilka „liści” na pobudkę. Zerwał się jak oparzony, ale skrępowane ciało ledwo drgnęło. Uniósł wzrok na tyle, na ile pozwalała mu szczelnie owinięta folią głowa. Figur wyrwał mu z uszu słuchawki i gdy upewnił się, że „Lecu” jest już przytomny, gestem nakazał Zaccheriniemu, aby podał mu strzykawkę

z różowym płynem Na jej widok terrorysta zaczął charczeć i wić się jak opętany, ale jego ruchy bardziej przypominały pełzanie tłustego robala z czerwoną główką, ewentualnie schwytaną w pajęczynę gąsienicę, która już za moment miała stać się kolacją dla włochatego gospodarza, niż szamoczącą się istotę ludzką. Piwnicę wypełnił nieprzyjemny szelest celofanu, który powoli wpijał się w ciało.

— Nie... nie róbcie tego... — wystękał, ale legionista niewzruszenie kontynuował, uniósł strzykawkę w górę. — Na Allaha... zrobię, co zechcesz, człowieku, tylko... O Allahu, błaaagam... nie... — „Lecu” znów zaczął się szarpać, ale nie poruszył się więcej niż o centymetr. Strzykawka powędrowała w stronę jego przedramienia. — Nieee! — wydarł się, ale było już za późno.

Przez wbitą igłę różowa zawartość została wstrzyknięta do jego organizmu, a ja przez drobne otwory na oczy dostrzegłem zabarwione szkarłatem białka. W milczeniu oglądaliśmy ten— co by nie mówić — ohydny spektakl. Obserwowaliśmy miotającego się więźnia, który jeszcze przez kilkanaście sekund charczał jak opętany. Dopiero gdy opadł z sił, Krzychu pochylił się na wysokość jego odrażającej w tej chwili twarzy i zbliżył na odległość, która z pewnością pozwalała mu poczuć cuchnący wymiocinami oddech ofiary. „Lecu” znieruchomiał, słyszałem jego ciężkie dyszenie, które przez niewielką dziurkę w folii wydawało dodatkowo świszczący pogłos.

— Zgadza się, Nazzar, zrobisz wszystko — wysyczał Figur. — W twoim krwiobiegu płynie teraz „rzeźnik”, który już wkrótce rozpocznie swoje działanie. I jeśli... — Legionista dał znak Franco, który uniósł fiolkę, tym razem z zielonym płynem — ... chcesz otrzymać to antidotum, wykonasz każde moje polecenie.

„Lecu” nie ruszał się, wpatrywał się, teraz już czerwonymi jak dojrzale czereśnie oczami w swojego rozmówcę. Gorąły nieopisaną nienawiścią. Ciężkie dyszenie zamieniło się w sapanie, po chwili jego oddech uspokoił się.

W ciągu kilku następnych minut Krzysiek wyłożył mu cały plan. Terrorysta wysłuchał monologu w milczeniu.

— A teraz prześpij się, Nazzar, jutro musisz wyglądać — rzekł na koniec Figur i miarkując reakcję „Lecu”, poklepał go po ramieniu.

— Kiedy dostanę antidotum? — warknął nerwowo.

— Gdy Monika będzie bezpieczna. Otrzymasz szczegółową informację o miejscu, gdzie znajduje się fiolka.

— Dlaczego mam ci zaufać, legionisto? — syknął, wyraźnie akcentując

i mocno przeciągając ostatnie słowo; jego wzrok spoczął na wystającym spod opiętego na bicepsie rękawa tatuazu Figura.

— Bo nie masz wyjścia, człowieku— odrzekł mój przyjaciel i rzuciwszy mu ostatnie pogardliwe spojrzenie, odwrócił się i po chwili wszyscy w milczeniu opuściliśmy piwniczną izbę.

NIEWIERNY

6 września 2033 roku, zachodnie Niemcy

Jak silna może być miłość matki do dziecka?

Nigdy nie miałem odwagi pytać o to moich kompanów. Wielu z nich straciło swoje rodzicielki, część z nich zaginęła, niektóre być może żyją pod batem swoich oprawców. W książkach napisano wiele, ale żadna nie mogła przekazać mi choćby namiastki tego jedyne go w swoim rodzaju uczucia totalnie bezinteresownej i bezwarunkowej miłości. Chyba tylko matka jest w stanie umrzeć z uśmiechem na ustach, wiedząc, że oddaje życie w zamian za życie swojego dziecka.

I ON...

Czyż ten fortel nie był prawdziwym majstersztykiem?

ZBAWIENIE przez śmierć.

Czymże ono jest? Co oznacza? Czy ludzie od zawsze byli tak naiwni, wierząc, że śmierć jednego zbawi drugiego?

ON zawsze był przebiegły. Otoczył nas matczyną opieką, zadziałał na wyobraźnię, pozwolił uwierzyć w swoją potęgę, a następnie uspił czujność, aby móc dalej siać swoje zatrute ziarno.

Ja urodziłem się w czasie, gdy był na tyle potężny, że nie musiał udawać. Moja matka była jedynie JEGO naczyniem, które wydało mnie na świat. Więź, która powinna nas połączyć, nigdy nie zaistniała, nic została przerwana w momencie przecięcia pępowiny i oddzielenia dwóch istot, które przez dziewięć wyjątkowych miesięcy były jednością. Myślę, że wtedy mogłem być obdarowany prawdziwą miłością, uczuciem doskonałym, perfekcyjnym i skończonym Bo czyż można kogoś kochać mocniej niż istotę we własnym łonie? A potem patrzeć, jak przychodzi na świat, rozkwita i rośnie pod skrzydłami matczyne go uczucia.

Niestety, świadomie nigdy podobnej więzi nie doświadczyłem, w moim świecie była ona zakazana. Liczył się tylko ON i to ON zastępował mi matkę. Dziś wiem, że odbierając mi szansę na miłość, odebrał mi wszystko. Ale taki był JEGO plan. Pozbawić uczuć, wydrzeć duszę, odczłowieczyć. Bo kto nie zaznał miłości, ten nie czuje nic. Prócz nienawiści do tych, którzy kochać potrafią. I wciąż duszę mają. ON każe ich zabijać. Nie rozróżnia, nie kwalifikuje, nie dzieli. Ci, którzy jeszcze mają duszę, muszą umrzeć. Dopiął swego, od lat umierają tysiącami każdego dnia...

Patrzę na truchła udreńczonych matek i dzieci. Leżą obok siebie, z ruin wieży kościoła przypominają gnijący dywan z ludzkich szczątków. Smród powoli rozkładających się ciał wypełnia okolicę, ciężar cierpienia, jakiego doświadczyły te biedne istoty, przytłacza każdego z nas. Nikt jednak nie roni łez, dla wielu z nas taka sceneria to żadna nowość. W moim świecie śmierć jest jak oddychanie. Ucho drażni brzmienie ucztującego robactwa. Wokół krążą dzikie psy, nie warczą, są spokojniejsze niż zwykle. Są najedzone. Ich umorusane krwią pyski sugerują, że bestie posilają się wciąż stosunkowo świeżym mięsem. Z osmolonych zabudowań sporadycznie snują się smużki czarnego dymu, wciąż czuć swąd spalenizny. To wszystko znaki, każdy z nas wie, co przekazują. JEGO siepacze, siewcy zła, ci którzy nie wiedzą, czym jest prawdziwa miłość, są już blisko.

Moje ręce drżą. Nie wiem, czy dziś utrzymam książkę w dłoni.

Zaczynam coraz bardziej obawiać się odpowiedzi. Nie wiem, czy chcę ją znać.

Prawda może być zbyt przerażająca.

Nawet dla mnie. Nawet dla człowieka bez duszy.

MONIKA

Z pamiętnika porucznik Moniki Figurskiej, pseudonim „Ghula”

Piętnasty dzień niewoli, 2023 rok, Paryż, Francja

O świcie obudziło mnie radosne gruchanie gołębi. Gdy przekreśliłam giowę, jeden z nich zatrzepotał skrzydłami i naskoczył na swojego kompana, najwyraźniej chciał go przegonić, dostrzegając apetyczny okruch chleba, którego kilka kawałków zostawiłam na parapecie przed ułożeniem się do snu. W nocy budziłam się kilkakrotnie. Śniłam koszmary, arabskie potwory nawiedzały mnie każdej nocy, ale ta była wyjątkowa, bo dołączyły do nich moje opiekunki. Nie byłam pewna, jak tłumaczyć te straszne mary, w których mężczyźni po raz kolejny gwałcili mnie, a Dżamila i Asala, siedząc po turecku, z lubością przyglądały się brukaniu mojego ciała i duszy. Co gorsza, jedynie one wyglądały inaczej, ich twarze były powykrzywiane w okropnych, demonicznych grymasach, rechotały jak ropuchy, ukazywały szereg ostrych jak brzytwa zębów, a spomiędzy warg wysuwały się rozdwojone, węzowe języki. I te oczy... duże i żółte jak u gada, z czarną pionową kreską, mrugały, nie zamykając powiek, jakby nie chciały stracić choćby sekundy z tego okrutnego spektaklu.

Ich obecność w takiej roli zaskoczyła mnie, bo do tej pory obie kobiety — choć zdawałam sobie sprawę, że nie robią tego z czystej i nieprzymuszonej woli — nie dały mi powodu, abym mogła traktować je jak potwory, ba, od momentu, gdy pojawiłam się w tym pięknym apartamencie, zawsze były dla mnie miłe, uprzejme, serdeczne, wręcz usługujące. Gdyby tylko nie zwracały się do mnie per niewolna czy niewolnica, mogłabym rzec, że były najlepszą rzeczą, jaka spotkała mnie w ciągu ostatnich miesięcy.

Spojrzałam na swoje ręce. Pokryte były precudną mozaiką fantazyjnych wzorów przypominających kwiaty, liście, łodygi, słońca, gwiazdy czy księżycy. Dżamila i Asala przez całe poprzednie popołudnie, wieczór i pół nocy tworzyły to arcydzieło, które w tej chwili pokrywało prawie całe moje ciało. Pomyślałam, jak zareagowałby Michał, gdyby ujrzał mnie w tej niecodziennej, niezwykle kunsztownej i jakże wykwiintnej powłoce z henny...

Czy on w ogóle żył? A jeśli tak, to czy mnie szukał? A brat? On na pewno robi wszystko, aby mnie odnaleźć. Tego byłam pewna. Pracował jako żołnierz,

jakiś komandos walczący dla Francji, ale byłam już dużą dziewczynką i nie łudziłam się, że odnajdzie mnie w pojedynkę. To nie był film z Liamem Neesonem, w którym perfekcyjnie wyszkolony szpieg zabija wszystkich oprawców swojej córki, a na koniec ratuje ją i zabiera do domu.

To nie był film. To była pieprzona rzeczywistość. Filmowa bohaterka nie została skrzywdzona, ja tak. Wielokrotnie zgwałcona, opluwana, bita, plugawiona spermą i moczem tych okrutnych potworów. Nadzieja odeszła w tej ponurej piwnicy w Barcelonie. I jeśli nawet kiedykolwiek miałam wrócić do świata żywych, to nic ani nikt nie zmieniłby tej strasznej przeszłości, nikt nie wymazałby z pamięci przerażających wspomnień, które — jestem o tym przekonana — bez względu na wszystko będą wracać każdej nocy aż do śmierci.

Otarłam łzę wierzchem dłoni i wstałam z łóżka. Byłam całkiem naga, gdyż moje opiekunki wyjątkowo zabroniły mi zakładać na siebie nawet bieliznę. Mówiły, że może podrażnić i zepsuć ich wielogodzinną pracę. Stałam przy wielkim, ręcznie zdobionym lustrze i spjrzałam na swoje odbicie. Niemal całe moje ciało pokrywały fantazyjne wzory z henny, na piersiach zawijały się i okręcały wokół sutków, tworząc coś na wzór kolczastych łodyg krzewu róży, brzuch, biodra i nogi były naszpikowane setkami przepięknych ornamentowych motywów, zdobionych okręgów i trójkątów połączonych w jeden wyjątkowy, przepiękny rysunek, a na czole i policzkach przeważały drobniutkie gwiazdki, wpisane w wyrafinowane esy-floresy. Wyglądałam jak dzieło sztuki wykonane ręką genialnego artysty.

— Czyż znów nie jesteś piękna? — usłyszałam.

Asala podkraśniała się tak bezszelestnie, że aż wydawało się to niemożliwe. Zaniemówiłam.

— Spełniłyśmy daną ci obietnicę — dodała Dzamila, która również pojawiła się tak nagle, jakby dopiero co zmaterializowała się tuż za moimi plecami.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, spłynął na mnie tak ogromny smutek, że nie opanowałam emocji i wybuchłam płaczem. Uczucie było tak przytłaczające, jakby w jednej chwili rozbudziło się w każdej komórce mojego udręczonego ciała.

— Nie płacz, niewolna — troskliwie pocieszyła mnie Dzamila, podeszła i objęła dłońmi moje ramię. — Znów jesteś piękna i na zawsze taka już pozostaniesz.

Ryknełam jeszcze głośniej, łzy ciurkiem spływały po moich policzkach i spadały na puszysty, kremowy dywan. Sama nie wiedziałam dlaczego, ale płakałam jak dziecko. Bałam się, że to wszystko to jedno wielkie kłamstwo, że te żmije dają mi tylko nadzieję, pastwią się, a gdy już uwierzę, że mój los odmienił się na lepsze, przyjdzie ich okrutny mąż i z powrotem zabierze mnie do piekła.

Dzamila i Asala trzymały mnie za ramiona, ubrane jedynie w frywolną koronkową bieliznę, wyglądały lepiej niż modelki na wybiegu najnowszej kolekcji Victoria's Secret. Wyższa, z pięknymi rubinowymi kolczykami, wyciągnęła chusteczkę i delikatnie wytarła moje załzawione oczy.

— Dlaczego to robicie? — wyjęczałam, wciąż pochlipując, w lustrzanym odbiciu wyglądałam równie pięknie jak one.

— Wypełniamy jedynie wolę naszego czcigodnego męża — odparła Dzamila i przeciągnęła palcami po moim ramieniu; miała zadbane, kolorowe paznokcie.

— A on wypełnia wolę Najjaśniejszego Allaha, Allahu Akbar — dodała Asala, pochwałą Boga intonując razem ze śliczną towarzyszką.

Zamknęłam oczy.

„Allahu Akbar” — pomyślałam. „Pierdołę wasze Allahu Akbar, pierdołę was i waszego jebanego Boga” — powtarzałam w myślach, przeklinałam, bluźniałam i złorzeczyłam.

Wzięłam głęboki wdech. Nie mogłam okazywać więcej słabości. Otworzyłam oczy i przez ułamek sekundy ujrzałam w lustrze twarz z koszmaru. Gadzie oczy, rozdwojone języki, wykrzywione usta. Aż się wzdrygnęłam. Nie krzyknęłam jednak. Arabskie księżniczki wciąż się uśmiechały.

— Dziś twój wielki dzień, niewolnico — rzekła Asala i odwinęła mi kosmyk włosów zza ucha. — Czas zrobić z ciebie anioła. Będiesz najpiękniejszą hurysą na targu.

Targu? Boże...

Pojęłam, jak los okrutnie ze mnie zadrwił. Byłam niewolnicą i dziś zostanę sprzedana.

KUBA

Pistolet ciążył mi w dłoni. Siedziałem na kanapie i wpatrywałem się w ten kawał zimnej stali jak sroka w gnat, a przez moją głowę przewijały się tysiące myśli. Pomimo uwag Krzyśka, który radził, jak je odpędzić, przyszło zdenerwowanie. Lęk przed tym, co już za kilka godzin miało nastąpić.

Wcześniej nie miałem czasu na rozmyślanie. Od rana byliśmy zawaleni robotą, gdyż należało przygotować się do akcji w najdrobniejszych detalach. Tych uzbierało się mnóstwo, przez moment miałem wrażenie, że nie zdołamy tego wszystkiego ogarnąć, ale mój przyjaciel, jak zwykle, stanął na wysokości zadania i tak rozłożył obowiązki, że do czwartej po południu wszystko było gotowe.

O siódmej rano udałem się z Krzyśkiem do „Lecu”, którego po wymianie kilku zdań uwolniliśmy z więzów. Z duszą na ramieniu rozcinałem folię, bo choć ufałem ocenie doświadczonego żołnierza, to ten bandyta mnie przerażał. Gdy odwijalem z jego twarzy kolejne fragmenty celofanu — który, poprzyklejany do skóry, z pewnością szczególnie w okolicach złamanego nosa musiał sprawiać mu ogromny ból — terrorysta nawet nie jęknął. W kompletnym milczeniu patrzył na mnie przekrwionymi oczami, a ja starałem się zachować kamienny wyraz twarzy. Mimo wszystko unikałem jego wzroku jak ognia, drżąc, czy zdołam wytrzymać to pełne nienawiści spojrzenie.

Gdy w końcu oswobodziliśmy ręce „Lecu”, ten jedynie okręcił przedramiona, powodując przeskokiem kilku kostek, i rozbudził krążenie w sinych kończynach. Nie zamachnął się jednak, nie uderzył, nie próbował uciec. Ewentualna próba i tak byłaby skazana na porażkę, bo po pierwsze, wyglądał przy Figurze, delikatnie mówiąc, licho, a po drugie, jego umiejętności w walce wręcz — choć akurat tych nie mogłem jednoznacznie osądzić — z góry oceniałem jako dużo mniej rozwinięte od tych, którymi dysponował mój przyjaciel. Tym, co chyba najbardziej powstrzymywało go przed głupimi pomysłami, był jednak fakt, że w żyłach krążył już „rzeźnik”, który w przypadku niepodania antidotum rozpocząłby swoje dzieło zniszczenia, skazując „Lecu” na wielogodzinne, nieopisane cierpienie.

Więzień obmył się wodą z wiadra, następnie odział i dla ukrycia drobnych w sumie obrażeń dostał ciemne okulary. Posłusznie udał się z nami do apartamentu, gdzie na wszystkich, z wyjątkiem Franco, który zjadł wcześniej, czekało już przygotowane śniadanie. Włoch miał w tym czasie zorganizować

limuzynę, którą jedynie dla zmylenia organizatorów targu mieliśmy podjechać pod stadion, co — jako kierowcy — było moim zadaniem. Zobligował się również do zakupienia nowych ciuchów dla „Fecu” i wypożyczenia garniturów dla każdego z nas, co wbrew pozorom nastęczało najwięcej problemów, gdyż, jak wiadomo, ta część garderoby, aby dobrze leżała i człowiek mógł się dobrze prezentować, powinna być szyta na miarę. Szczęśliwie podane przez nas rozmiary pasowały jak ulał i choć w normalnych warunkach można by było dyskutować nad detalami, ogólna ocena wypadła całkiem dobrze.

Szybki trening kierowania bentleyem minął bez większych problemów i po kilkunastu minutach za kółkiem poczułem się, jakby to cacko zostało dla mnie stworzone. Tymczasem Figur raz jeszcze, tym razem już na spokojnie i bez kar cielesnych, wypytał „Fecu” o wszystkie szczegóły dotyczące targu, ewentualnych nieprzewidzianych zagrożeń, liczby i rozmieszczenia ochroniarzy, tak organizatorów, jak i samego Abi Rabki. W końcu zmusił go do wykonania telefonu do zajmującego się przyjmowaniem gości niejakiego Rachida Fakhira, aby uprzedzić go o fakcie przyprowadzenia bogatego klienta z Rumunii. Najwyraźniej obyło się bez komplikacji, tym bardziej że rozmawiali po francusku, więc Krzysiek na spokojnie się przysłuchiwał. Choć zachował kamienną twarz, musiał być ukontentowany, gdyż nawet pochwalił „Lecu” za jego starania. Ten przyjął jego słowa w milczeniu, choć byłem pewien, że gdyby tylko mógł, roztrzaskałby Figurovi czaszkę, bez mrugnienia okiem. Po obfitym, zamówionym na wynos po przeciwnej stronie ulicy obiedzie, na który złożyły się pyszne steki z wołowiny, ziemniaki i surówka, Figur w łazience nastawił — na ile to było możliwe — nos „Lecu” Algierczyk musiał być twardy i odporny na ból, bo choć wszyscy znajdowaliśmy się w salonie, usłyszeliśmy nieprzyjemne chrupnięcie, mimo to ten nie wydał z siebie nawet drobnego jęku. Następnie Krzysiek nieco go „poprawił”, aby ukryć pod makijażem ślady nocnego przesłuchania. Gdy wykąpany, „odmalowany” i ubrany „Lecu” wyszedł z łazienki, znów przypominał tego miłego i wyżełowanego amanta, który w haniebny sposób na Polach Marsowych mamił niczego niepodejrzewające młode dziewczyny. Owszem, wprawne oko mogło dostrzec lekką opuchliznę w okolicach nosa, ale ta drobna kontuzja nie powinna wzbudzić podejrzeń, a już na pewno nie zdradzała tego, co przeżył w ciągu ostatnich kilkunastu godzin.

Gdy limuzyna czekała na parkingu, garnitury wisiały w szafie, a nasze

zołądki były wypełnione gorącym posiłkiem, usiedliśmy w salonie i raz jeszcze powtórzyliśmy plan. „Lecu” został w tym czasie wyproszony do łazienki, gdyż jako nasz wróg nie musiał, a nawet nie powinien znać detali, szczególnie tych traktujących o ucieczce ze stadionu. Jego zadanie ograniczało się do wprowadzenia nas do obiektu bez zbyt drobiazgowych przeszukań i wskazania miejsca, gdzie będzie licytowana Monika. Potem mógł już tylko czekać na telefon od Krzyska, który miał mu przekazać dokładne namiary fiolki z antidotum. W jego interesie było, aby wszystko poszło zgodnie z planem, gdyż ewentualna śmierć legionisty — który jako jedyny miał znać miejsce ukrycia tak niezbędnego mu zielonego płynu — pośrednio skazałaby go na nieuchronną śmierć w straszliwych męczarniach.

Nasz samochód stał zaparkowany w jednym z podziemnych garaży w pobliżu stadionu, do którego pojechaliśmy w czasie mojej nauki jazdy limuzyną. Nie wzbudzaliśmy żadnych podejrzeń, gdyż w okolicach Stade de France już od rana kręciło się wiele drogich samochodów, zapewne zdecydowana większość należała do klientów rozpoczynającego się targu niewolników. Dlatego po dostarczeniu chłopaków pod bramę obiektu miałem udać się na znajomy parking, aby porzucić bentleya i przesiąść się do naszej terenówki. Potem znaleźć jedno z kilku wybranych wcześniej najdogodniejszych miejsc, obserwować i czekać na sygnał. Niby proste, a jak cholernie trudne. Nie wiem dlaczego, ale coraz bardziej dręczyła mnie myśl, że Abi RabFa uniknie odpowiedzialności. W ogóle mój umysł zaczynał gubić się w uczuciach, bo z jednej strony marzyłem o śmierci ojca Nawal, z drugiej nie chciałem, aby Figur zabijał tego starucha, zanim osobiście nie spojrzę mu w oczy. Sam nie wiedziałem, czego teraz pragnę, bo choć nienawiść płonęła we mnie żywym ogniem, to nie wyobrażałem sobie, aby ten pierdolony Arab umarł, nie krzycząc z bólu, nie błagał mnie o litość, gdy ja będę oprawiał go jak świeżo ubitego dzika. To brzmiało niedorzecznie, ale życzyłem mu, aby wyszedł z tego cało. Figur obiecał, że nie odpuści, a ja całkowicie mu ufałem I chyba chciałem, aby ta „przygoda” — lepszego i bardziej trafnego słowa znaleźć nie potrafię — trwała jeszcze przez jakiś czas.

Przygoda... Dla mnie to tak właśnie wyglądało i choć brzmiało fatalnie, to ostatnie dwa tygodnie traktowałem jako swojego rodzaju *katharsis*, nadzieję, że moje do granic możliwości zwykłe, płytkie i marne życie już wkrótce się odmieni. Nie wiedziałem, jak będzie wyglądać przyszłość, jak potoczą się moje losy, gdy Monika zostanie uratowana, ale byłem pewny jednego: z drogi,

jaką obrałem, nie było odwrotu, a ten kawał zimnej stali będzie towarzyszył mi już zawsze.

Spojrzałem raz jeszcze na matowego glocka, którego w ciągu ostatnich kilkunastu minut czyściłem z taką pieczołowitością, wręcz z pietyzmem, jakby miał być obietnicą mojej przemiany.

Spój rzałem na zegarek. Dochodziła piąta.

Nadszedł czas.

MONIKA

Z pamiętnika porucznik Moniki Figurskiej, pseudonim „Ghula”

Piętnasty dzień niewoli, 2023 rok, Paryż, Francja

Po bardzo skromnym obiedzie, na który składała się miska ciepłego ryżu i dwa pokrojone pomidory, Dżamila i Asala przyodziały mnie w ponętą bieliznę, na którą od razu zarzuciły czarną burkę. Po raz pierwszy miałam na sobie ten arabski strój, który, o dziwo, był stosunkowo wygodny i niemal w stu procentach zakrywał moje ciało, pozostawiając jedynie drobną szparę na oczy, też nie całkiem otwartą, bo wykonaną z drobnej siatki. Gdy zobaczyłam swoje odbicie w lustrze, znów spłynęły na mnie przytłaczający żal i beznadzieja. Tym razem nie popłakałam się, obiecałam sobie, że cokolwiek miałyby się nie wydarzyć, będę twarda i nie okażę słabości. Moje łyzy były pożywką dla tych ludzi, przekonałam się o tym wielokrotnie, gdy mój szloch wzbudzał jedynie rechot i kolejną porcję drwin u moich oprawców.

Zacisnęłam zęby i nie spanikowałam nawet wtedy, gdy przyszedł po mnie — tym razem osobiście — mąż moich opiekunek, sam Muhammad Abi Rabi’a. Na jego znak żony zdjęły ze mnie wierzchnie okrycie i zaprezentowały mnie swojemu panu i władcy. Miał na sobie biały, tradycyjny strój z biało-czerwoną kefią na giowie, który odrobinę łagodził jego ponury, ukryty pod gęstą brodą wyraz twarzy. Gdybym nie znała jego okropnego charakteru i okrucieństwa, do którego może się posunąć, mogłabym stwierdzić, że stoi przede mną miły starszy człowiek. Ilu takich mijałam w swoim życiu na ulicach? Ile bestii chodzi po tymświecie, przywdziewając podobne maski?

Abi Rabi’a zmierzył mnie baczny spojrzeniem, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że ocenia moją wartość, jak rolnik jakoś bydła na jarmarku. Czekałam tylko, aż znów włoży mi te ohydne paluchy do ust i zajrzy w zęby, ale na szczęście to nie nastąpiło. Pokiwał jedynie głową z pełną aprobatą i wyszczerzył usta w pogardliwym grymasie, po czym nakazał swoim żonom, aby znów mnie okryły, co posłusznie uczyniły.

Trudno było mi ocenić porę dnia, bo niebo było zachmurzone, a ja wyszłam na dwór w czarnej burce, która znacznie ograniczała pole widzenia. Pamiętam, że było ciepło i duszno, zapewne w sporej mierze także przez strój, jaki na sobie miałam, nieprzyzwyczajona do tak szczelnego okrywania ciała

w czasie, gdy na dworze jest prawie trzydzieści stopni, mogłam jednak nie do końca dobrze oceniać panującą temperaturę. Pamiętam też gołębie, masę gołębi, które rozbiegały się pod moimi stopami, gdy kroczyłam do terenowej toyoty, zaparkowanej w wewnętrznym podwórzu kamienicy, a raczej mojego więzienia. W pamięć zapadła mi też niewielka fontanna przedstawiająca jakąś piekielną istotę, rodzaj demona lub diabła, z ust którego tryskała woda. Jego nienaturalnie długi jęzor przywrócił niechciane wspomnienia.

Zanim znów wskrzesiłam w umyśle horror gwałtu, trzymający mnie wciąż za ramię najstarszy syn, którego zawsze kojarzyłam po paskudnie odstających uszach, wepchnął mnie na tylne siedzenie i spoczął po mojej lewej ręce. Z drugiej strony drogę ucieczki zamknął mi niespodziewanie Amir, o którego istnieniu już prawie zapomniałam. Przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że na jego cherubinkowej twarzy dostrzegłam uśmiech, ale gdy otwały się przednie drzwi i do środka weszli jego starsi bracia, w tym ten, który wzbudzał we mnie największe przerażenie — okrutny, bezlitosny i najbardziej zwyrodniały z nich wszystkich „Jednooki” — najmłodszy syn Abi Rabi’i natychmiast spoważniał.

O dziwo, sam przywódca tej chorej rodziny nie zdecydował się pojechać z nami i kątem oka dostrzegłam, jak wsiada do czarnej limuzyny, a za nim dwie smukłe postaci od stóp do głów okryte czarnym całunem, dokładnie takim jak ja. Różnica polegała na tym, że obie miały przez ramię przewieszane torebki, które zapamiętałam z pokoju na górze — kunsztownie wykonane i na pewno kosztownie drogie dzieła z krokodylej skóry, od Luisa Vuittona.

„Pieprzone dziwki” — pomyślałam i choć wcale im nie zazdrościłam, a tym bardziej nie mogłam narzekać na pieczę, jaką mnie otoczyły, to w moich oczach jawiły się jako zwykłe zdziury dające dupy temu okropnemu staruchowi za kosztowną biżuterię i fantazyjne ciuchy. Fakt, że mogły stać się żonami tego człowieka nie z własnej woli, co gorsza, zostać kupione, co też nie było wykluczone, w moich oczach nie usprawiedliwiał ich ani trochę, bo jeśli tak było, to już dawno powinny uciec albo przynajmniej próbować. Nie mogłam, po prostu nie potrafiłam sobie wyobrazić, aby tak młode i piękne dziewczęta, z których każda z powodzeniem mogłaby brać udział w wyborach miss świata, dla przyjemności chciały uprawiać seks z tym człowiekiem. To było dla mnie odrażające i napawało mnie nieopisanym obrzydzeniem. Jechaliśmy około dwudziestu minut. Mężczyźni najwyraźniej byli w dobrych humorach, bo ochoczo dyskutowali w swoim języku. Szczęśliwie na mnie nie zwracali

żadnej uwagi, więc w spokoju mogłam obserwować, co dzieje się na ulicach. Uderzyło mnie to, jak rozmawiali i — wychwyciłam to z intonacji i tonu — żartowali z małym Amirem, który kilkakrotnie szczerze się roześmiał. Machali rękoma, gestykulowali, opowiadali kawały, jakby byli grupą normalnych, szczęśliwych i kochających się braci, a nie bandą sadystycznych gwałcicieli. To było chore i wstrętne. Mroziło mnie na samą myśl, że najmłodszy z nich, ten niewinny, rozpromieniony chłopczyk w nieodzownym czerwonym kapelusiku na głowie, wkrótce zapewne stanie się takim samym bezwzględny i bezlitosny bandytą jak ojciec i starsi bracia.

Mijaliśmy kolejne skrzyżowania, a we mnie rosła złość. Widziałam przechodniów wracających z pracy, rowerzystów z zakupami, auta wypełnione młodymi ludźmi o europejskich rysach, kto wie, być może nawet moimi rodakami. Gdybym tylko mogła wyjść z samochodu, wyrwać się spomiędzy moich dręczycieli, zrzucić z siebie te czarne szmaty i zawołać o ratunek... Wolność była tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Zaledwie metr, może dwa czy trzy ode mnie przemykali normalni, wolni ludzie.

Wolni... Mój Boże...

Spojrzałam przez ramię Amira, właśnie stanęliśmy na światłach, a obok nas zatrzymał się jakiś granatowy samochód, w środku którego znajdowały się dwie młode pary. Mężczyźni siedzieli z przodu, jeden z nich palił przy otwartym oknie papierosa, drugi, miał bujną czuprynę i kolorowy T-shirt, akurat podawał do tyłu butelkę jakiegoś napoju. Gdy przekazywał ją dziewczynom, te dyskretnie pokazały palcem na mnie, a potem wszyscy wybuchli śmiechem. Poczułam, jak znów zalewa mnie fala nieopisanego żalu. Gdy w końcu zapaliło się zielone światło i ich samochód ruszył szybciej, a ja dostrzegłam na tablicy rejestracyjnej znaczek „PL”, nie opanowałam emocji i pod czarną burką znów popłynęły łzy. Chciałam krzyknąć, wrzasnąć z całej siły, ale wiedziałam, że i tak mnie nie usłyszą, a konsekwencje będą dla mnie bardzo bolesne. Tym bardziej że siedzący na miejscu pasażera „Jednooki” najwyraźniej też zauważył tę sytuację i gestykulując w stronę tych szczęśliwych ludzi, zaklął w swoim szpetnym języku.

— To już nie jest twój świat, brudna niewolnico — syknął łamaną angielszczyzną, gdy odwrócił się w moją stronę.

Nie wiem, czy palnął w ciemno, czy dostrzegł moją reakcję, ale zacisnęłam zęby, aby nie zacząć szlochać. Nienawidziłam go! Nienawidziłam ich wszystkich! Tak potężnie, że byłabym w stanie wgryźć się w jego

tchawicę, a potem gołymi rękoma wyrwać serce. Jezuuu, cóż to było za uczucie, tak palące, dojmujące, nieżnośnie rozdzierające moją duszę.

Wbiłam wzrok w jego jedyne oko, a on dodał coś w swoim języku i obrzydliwie zarechotał. Wyglądał jak potwór z najgorszych koszmarów, ale w tej chwili coś we mnie drgnęło. Już się go nie bałam, ogarnęła mnie dziwna pewność, że kiedyś mu je wydlubię i wsadzę do tej cuchnącej mordy, żeby się udławił. Ta myśl sprawiła mi przyjemność i dała chwilowe ukojenie.

Stracił zainteresowanie moją osobą w momencie, gdy po mojej prawej stronie wyrósł potężny obiekt. Przypominał stadion piłkarski i gdy tylko skierowaliśmy się na parking, poczułam się zbита z tropu. W jakim celu tam jechaliśmy, skoro miałam zostać sprzedana? Przecież na stadionach gra się w piłkę, a nie urządza targi niewolników.

Gdy zajechaliśmy od drugiej strony, zrozumiałam, że ten obiekt najlepsze czasy ma już chyba za sobą i rozegranie jakiegokolwiek meczu raczej nie byłoby możliwe. Potężna wyrwa w murze wskazywała, że...

O Boże... Przecież to...

Nie mogłam przypomnieć sobie nazwy stadionu, na którym doszło do tego słynnego zamachu bombowego, gdzie zginęło tak wielu ludzi. To tam rozpoczęło się pamiętne powstanie paryskie, które doprowadziło do olbrzymich zamieszek w całej Francji. Pamiętam, jak rozmawiałam o tym z Michałem, który od zawsze był wielkim fanem piłki nożnej, pamiętałam też telewizyjne wiadomości, podawane liczby ofiar, oburzenie elit politycznych na całym świecie. „Europejskie World Trade Center” — tak o tym pisali.

Wyrwa w murze miała przynajmniej kilkadziesiąt metrów długości i schodziła prawie do fundamentów, koło których wciąż znajdował się nieuprzątnięty gruz. Wielkie kawały betonu leżały bez ładu i składu, na niektórych fragmentach, szczególnie jednym, który wyglądał, jakby chylił się ku upadkowi i zaraz miał zmiażdżyć kręcących się pod nim ludzi, znajdowały się jeszcze krzeselka. Przez dziurę można było dostrzec wewnątrz obiektu, którego trybuny po przeciwległej stronie wciąż były wypełnione siedziskami.

Usłyszałam zawodzenie muezzinów. Zbliżał się czas modlitwy. „Uszaty” pociągnął mnie za ramię, i nakazał uklęknąć, niemal położyć się na betonowym podłożu. Chwilę później, jak wszyscy znajdujący się przy stadionie wierni, wyciągnął kolorowy dywanik i kierując się w południowo-wschodnią stronę, zaintonował pochwałę Boga. Leżałam nieruchomo, z głową przy ziemi, i obserwowałam ten zdumiewający spektakl. Ci ludzie byli jak w jakimś

dziwacznym transie, powtarzali w kółko coś po arabsku, kłaniając się co chwilę, wyglądali, jakby stracili kontakt z rzeczywistością.

Tknęło mnie i w jednej sekundzie podjęłam decyzję. Wstałam i zaczęłam biec przed siebie, jak najdalej od stadionu i masy tych wszystkich potworów w ludzkiej skórze.

KRZYSIEK

1 września 2023 roku, Paryż, Francja

Jechał niespokojny. Wiedział, że przygotował najlepszy możliwy plan, ale gdy mijali kolejne kamienice, jego umysł podpowiadał, że nie wszystko jest w porządku. Nie potrafił tego jednoznacznie opisać, przefiltrował wszystkie ewentualności kilkanaście razy. Miał wrażenie, jakby Paryż chciał mu coś powiedzieć, jakby ta gęsta, zawieszista, namacalnie kleista atmosfera tego miasta była wskazówką, znakiem, którego nie może pominąć, ale jednocześnie nie potrafi odgadnąć. Ci ludzie... zachowujący się niby zwyczajnie, ale jednak nieuchronnie dążący do czegoś nieokreślonego. Jakby czekali na coś ukrytego za niewidzialną mgłą, coś, czego on nie przewidział.

Nie obawiał się o „Lecu”, bo widział w nim — pomijając fakt, że zwykłego bandytę — szkolonego żołnierza, który doskonale zdawał sobie sprawę ze swojej sytuacji i nie mógł zaryzykować zdrady, gdyż skazałby się na nieopisane cierpienie. Jego parszywy charakter tylko utwierdzał go w przekonaniu, że Algierczyk nie ma żadnych ideałów, a jedyne, co w życiu ceni, to własny komfort.

Nie drżał też o swoich kompanów, wierzył w nich, z Michałem i Kubą na osobności porozmawiał przed akcją. Widział w ich oczach strach, który nieumiejętnie próbowali maskować poważnymi minami, ale dostrzegał też całą gamę uczuć pozwalających mu wierzyć, że zrobią wszystko, aby wykonać powierzone im zadania. Nie byli mu obojętni, szczególnie Kuba, jego wierny przyjaciel od najmłodszych lat, bez którego z pewnością nie poradziłby sobie po stracie obojga rodziców, a przynajmniej nie przeszedłby tego wraz z Moniką tak płynnie i przyzwoicie, jeśli w przypadku takiego dramatu można mówić o przyzwoitości. Z Michałem nigdy nie był tak blisko, ale szanował go, bo wiedział, że to dobry człowiek, chłopak, który kocha jego kruchą i delikatną siostrę bardziej niż siebie samego i dla niej jest zdolny do największych poświęceń. Inaczej nie zabrałby ze sobą ani jednego, ani drugiego. Pierwszym kierowała nienawiść, uczucie niezwykle silne, które w czasie pracy poznał nadzwyczaj dobrze, drugim — miłość do ukochanej osoby, jeszcze silniejsze, bo pozwalające na — jeśli kiedykolwiek by do tego doszło — złożenie największej ofiary.

Na Franco mógł liczyć zawsze. Włoch wprowadził go, przerażonego gówniarza, w arkana żołnierskiego życia, pokazał mu i wytłumaczył, że świat

to nie bajka i tylko dzięki niewielu dobrym ludziom, którzy ofiarowują siebie na ołtarzu ludzkiej głupoty, nasza cywilizacja jeszcze istnieje. Widział wielu silnych i twardych jak dębowe drewno, których życie legionisty przerosło, na którym połamali sobie zęby, widząc ilość absurdalnej, bezsensownej i niepotrzebnej śmierci w krajach, o których większość społeczeństw nawet nie wie, że istnieją, a ci, którzy tę wiedzę posiadają, nie mają zielonego pojęcia, że ludzkie życie nie jest tam warte nawet funta kłaków. Franco Zaccherini był człowiekiem, którego uważał za swojego mentora, choć ten rok temu przyznał, że uczeń przerósł mistrza. Wtedy... w nigeryjskiej dżungli, gdy został całkiem sam, odcięty i otoczony przez dwunastu bojówkarzy Boko Haram...

Aż się wzdrygnął. Spojrzał na włoskiego przyjaciela, który z taką samą obawą taksował okolicę. Czuł, że ma te same wątpliwości, nie musiał pytać, po prostu to wiedział. Gdy człowiek jest dobry w tej specyficznej robocie, widzi i czuje rzeczy, jakich nie dostrzegają inni. On czuł to coraz bardziej namacalnie i gdyby nie chodziło o bezpieczeństwo Moniki, zapewne odwołałby całą akcję. Nie mógł jednak na to pozwolić, ryzyko było zbyt duże, nie wspominając o codziennym cierpieniu ukochanej siostry. Wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby trafiła w ręce bogatego szejka z Bliskiego Wschodu lub, co gorsza, kogoś z rodziny królewskiej. Wtedy byłaby stracona na zawsze, bo odbicie Moniki w pojedynkę, a pal ichto, nawet gdyby udało mu się zebrać grupę najlepszych ludzi, w tak zamkniętych krajach i przy takiej ochronie należało do misji niewykonalnych Nawet on był na to za mały. To nie był film, a on nie był Johnem Rambo.

— Włącz radio — burknął pod nosem Zaccherini w kierunku „Lecu”, który siedział z przodu, aby pilotować Kube. — Nie podoba mi się tu, jest za cicho. Przez całą drogę nie widziałem ani jednego pieprzonego radiowozu.

— Mam to samo wrażenie — odparł Krzysiek i wskazał Michałowi, aby pamiętał, żeby trzymać głowę w górze.

Kuba w milczeniu prowadził samochód, do celu było już niedaleko, bo Stade de France właśnie po raz pierwszy mignął pomiędzy budynkami. Na kolejnych stacjach nie leciało nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia, głównie muzyka, jakieś dyskusje, gdzieś trwał telefoniczny konkurs. Krzysiek zerknął porozumiewawczo na towarzysza broni, ale nawet jeśli sytuacja miała się w jakikolwiek sposób drastycznie zmienić, mieli przecież plan B, bez którego nigdy nie rusza się na żadną akcję, tym bardziej taką, której celem jest

uratowanie najważniejszej osoby na świecie.

Podjął ostateczną decyzję. Będą kontynuować.

Stade de France przywitał ich potężną wyrwą w murze, przypominał żuchwę łobuza, który stracił jedynkę po porządnej bitce. Do środka wlewał się tłum mężczyzn, w większości ubranych w tradycyjne arabskie stroje. Zatrzymali się, wysiedli, a Kuba powoli odjechał. Gdy „Lecu” wskazał im drogę, Krzysiek usłyszał w oddali dźwięk, którego nie pomyliłby z niczym innym na świecie. Niski, przytłumiony, przerywany ryk wirujących śmigieł narastał z każdą kolejną sekundą. Znał go doskonale. Chwilę później tuż nad ich głowami przeleciały dwa wojskowe caracale.

MONIKA

Z pamiętnika porucznik Moniki Figurskiej, pseudonim „Ghula”

Piętnasty dzień niewoli, 2023 rok, Paryż, Francja

Zrobiłam za ledwie kilka kroków i potknęłam się o własną burkę. Runęłam jak długa, w ostatniej chwili instynktownie amortyzując upadek rękoma. Za plecami usłyszałam pierwszy krzyk, ale nie odwróciłam się, przed oczami miałam bramę, za którą czekała wolność. Podniosłam się, ale w tym samym momencie poczułam, jak coś chwytła mnie za gardło. Przedramię mojego oprawcy zacisnęło się na szyi z taką mocą, jakby zaraz miało zmiażdżyć mi krtań. Brama stadionu zaczęła się rozmazywać, a po chwili nastąpiła ciemność.

Obudziły mnie basowe głosy. Otworzyłam oczy i dojrzałam, że stoi nade mną kilkunastu mężczyzn, którzy gwałtownie gestykulując, dyskutują w nieznanym mi języku. Większość nosiła brody i miała na sobie galabije. W pewnym momencie jeden z nich pochylił się, wtedy obraz wyostrzył się na tyle, abym mogła rozpoznać jego twarz. Muhammad Abi Rabka gapił się na mnie wściekłym spojrzeniem — Narobiłaś mi wstydu! Przerwałaś święte modły, brudna niewolnico — warknął łamanym angielskim — Powinienem cię za to publicznie wychłostać, aż mięso odeszłoby od kości — dodał i splunął mi w oczy, jego cuchnąca plwocina zatrzymała się na zakrywającej oczy siatce.

Wtedy usłyszałam ponury, doskonale mi znany brzęk. Ktoś uniósł moją głowę, a następnie założył stalową obręcz, nawet przez materiał czułam na skórze jej zimno. Mechanizm kliknął i poczułam szarpnięcie, było na tyle silne, że obejma wbiła się i otarła mi kark. Zmuszona do wstania, zrobiłam to, bo w przeciwnym wypadku trzymający łańcuch Abi Rabka zapewne włókłby mnie po betonie. Gdy już trzymałam pion, stary zwyrodnialec spoliczkował mnie tak mocno, że znów upadłam. Warknął coś w swoim języku i kilkoma szarpnięciami znów zmusił mnie do powstania.

O dziwo, nie uroniłam ani jednej łzy, choć chyba powinnam w sytuacji, gdy raz na zawsze zamknęłam sobie szansę na oswobodzenie się z łapsk moich oprawców. Nie zapłakałam jednak, organizm skupił się na przetrwaniu. Chwyciłam obiema dłońmi za łańcuch przy samej szyi, aby nieco zredukować napięcie i kolejne szarpnięcia, których mój ciemniejszy nie skąpił. Posłusznie

ruszyłam na spotkanie ponurego przeznaczenia.

Zeszliśmy do miejsca, które wyglądało jak podziemny parking. Było w nim bardzo tłoczno, zewsząd też dochodził mnie ten złowieszczy brzęk zardzewiałej stali. Widoczność miałam mocno ograniczoną, ale nie na tyle, aby w końcu nie poznać przerażającej prawdy. Po mojej lewej dostrzegłam na drewnianym podwyższeniu kilka młodych kobiet o europejskich bądź afrykańskich rysach. W przeciwieństwie do mnie były całkiem nagie, na szyjach miały żelazne kajdany połączone długim, grubym łańcuchem. Najstarsza z nich mogła być po trzydziestce, najmłodsza zapewne nie skończyła jeszcze osiemnastu lat. Pomimo wysokiej temperatury dygotały jak liście na wietrze, zaciskały usta, dłońmi instynktownie zakrywając najintymniejsze fragmenty ich zbrukanego ciała. Jedna cicho chlipała, przez sekundę nasze spojrzenia spotkały się, nie widziałam w nich nadziei. Dokoła tłum mężczyzn, znów w zdecydowanej większości noszących tradycyjne arabskie stroje, przyglądał się kobietom, wykrzykiwał coś w swoim języku, mierzył, osądzał, wartościował. Gdy jeden z nich, tłusty jak wieprz ze świńskimi oczkami i wielkim jak cebula nosem, chwycił stojącą z brzegu blondynkę za pośladek i ścisnął jak gumową piłkę, prawie zwymiotowałam. Kobieta instynktownie podskoczyła, a grubas zarechotał. Po chwili cała grupa roześmiała się, jakby usłyszała jakiś wyjątkowo zabawny kawał, tylko stojący na podwyższeniu niski mężczyzna w turbanie wykrzykiwał i gestykułował nerwowo. Jakby nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Przy drugiej ścianie blisko dwumetrowy brodacz zachęcał do obejrzenia jego „asortymentu”. Dwie białe kobiety, na oko około trzydziestki, miały na sobie tylko stringi i szpilki, obok ze spuszczoną gioną stał półnagi chłopiec o blond włosach, liczył nie więcej niż trzynaście, może czternaście lat. Drżał, dłonie zaciskał w pięści z taką siłą, że z łatwością można było dostrzec zbielełe kłykcie. Gdy go mijałam, drogę zasłonił mi postawny facet w ciemnych okularach, za którym, lekko kulejąc, dreptał niski, słoniowaty, idealnie ogolony mężczyzna około sześćdziesiątki, podpierał się białą laską i wyglądał na Europejczyka. Podeszedł do chłopaka i palcem podniósł mu podbródek, a potem pogłaskał po policzku.

— Pięć tysięcy — padło z jego ust w języku angielskim. W odpowiedzi usłyszałam:

— Nie, nie, nie. Dziesięć minimum. Zdrowy chłopak, widać przecież, nie mogę spuścić tak...

Znów mnie zemdlilo, ale jakimś cudem zdołam się opanować. Głosy targujących się sprzedawców i klientów w końcu rozplynęły się w zgiełku setek, a może i tysięcy handryczących i wyklócających się ludzi, a ja szłam i próbowałam ogarnąć to, czego byłam świadkiem Jak to było możliwe w dwudziestym pierwszym wieku? W centrum europejskiego kontynentu i zachodniej cywilizacji? W Paryżu, romantycznym mieście miłości? Co się, kurwa mać, stało z tym popierdolonym światem? Nie mogłam w to wszystko uwierzyć, czułam się, jakbym śniła jakiś przerażający koszmar, z którego nie sposób się wybudzić. Przecież to nie było możliwe! Nie znajdowałam się w jakimś arabskim państwie na końcu świata, to była stolica Francji! Dlaczego władze do tego dopuszczały? Jak mogły przyzwalać na niewolnictwo w najczystszyim tego słowa znaczeniu? Dlaczego nie ratowały tych biednych kobiet, małych dzieci, dlaczego, kurwa, nie ratowały mnie?!

Dręczona podobnymi myślami, maszerowałam dalej, ciężka, żelazna obejma coraz bardziej wpijała mi się w kark. Nagle zrobiło się jaśniej, a gdy uniosłam wzrok, dojrzałam zniszczone trybuny. Ogołoczone z krzesłek fragmenty były pokryte graffiti, piętrzyły się góry śmieci, wśród których krążyły bezpańskie psy, ścigając się z ptactwem o wyżeranie najbardziej kuszących resztek. Domyśliłam się tego, widząc, jak jakiś podrostek zrzucił z podwyższenia, które kiedyś musiało być jednym z wejść na trybuny, kilka worków, na które zwierzyna rzuciła się jak sępy na padlinę.

Syf i smród, dokładnie taki sam jak w Egipcie, który odwiedziłam przed laty, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką. Wakacje z rodziną — mamą, tatą i bratem Jakież to było odległe, w obecnej chwili zdawało się nierealne i nieprawdziwe, jak fragment snu, który ulatuje zaraz po przebudzeniu.

Pomimo ogromnej przestrzeni placu, który kiedyś był murawą do gry w piłkę nożną, tłum wcale nie zniknął, a w niektórych miejscach nawet zgęstniał. Pod bosymi stopami czułam twarde podłoże, było pokryte piachem i ziemią, gdzieś waleły się połamane deski i wszelkiej maści śmieci. Smród odpadków mieszał się z zapachem kebabu, baraniny i sziszy. Mijałam kolejne stoiska pełne mężczyzn spożywających posiłki, odpoczywających w prowizorycznych boksach oddzielonych od innych prześwitującymi zasłonami bądź takimi z misternie utkanych drobnych, kolorowych koralików. W jednym z nich, wyglądającym na zdecydowanie bardziej luksusowe, pod czerwonym baldachimem siedział zwałisty brodac w galabii, przy jego nodze uwiązana na smyczy klęczała odziana w burkę kobieta.

Zgiełk, jaki towarzyszył temu miejscu, był nie do wytrzymania, tym bardziej że teraz zaczęły przeważać stoiska z ubraniami, tak męskimi, jak i kobiecymi, nie tylko najróżniejszej maści burkami, nikabami, hidżabami czy czadorami, ale także absolutnie fantazyjnie zdobionymi sukniami, podobnymi do tych, jakie nosiły Dżamila i Asala. Moje oko przykuł widok, który znów wywołał we mnie odruch wymiotny, nie mogło być inaczej, gdy dostrzegłam, jak za uchyloną kotarą postawny mężczyzna zakłada małej, może dziesięcioletniej dziewczynce seksowną bieliznę.

To wszystko było chore, obrzydliwe i do cna popieprzone. Każdy kolejny obrazek powodował, że mój gniew, tak, właśnie gniew, nie smutek, przygnębienie czy poczucie beznadziei, ale gniew i nienawiść narastały i płonęły we mnie coraz gorętszym żarem. W środku wrzałam i gdybym mogła, zakończyłabym ten ohydny teatr rozpasania, wrzucając bombę, aby rozerwała tych wszystkich haniebnych ludzi na strzępy. Drugą najchętniej poczęstowałabym te francuskie elity polityczne, które do tego doprowadziły i najwyraźniej — skoro to wszystko miało miejsce w stolicy ich zasranego kraju — akceptowały pomimo obowiązującego prawa.

Jak mogli do tego dopuścić... ? Jak mogli?

Nagle stoiska zniknęły i ujrzałam tłum ściśniętych jeden przy drugim mężczyzn, a przede mną wyrosła scena, na której najwyraźniej ktoś przygotowywał się do przemówienia. Dwóch młodzianów szykowało staremu i wysuszonemu jak wiór starcowi mikrofon, kolejny dokonywał ostatnich poprawek w ręcznej kamerze. Wszyscy zachowywali się nerwowo, ich ruchy były szybkie i gwałtowne. Mówca nosił okulary i prócz tradycyjnej, choć jawiącej się bardziej dostojnie, galabii na głowie nosił biały, ciasno okrywający głowę czepek. Długa, gęsta i siwa broda sięgała mu prawie do pasa. Nie dane mi było wyczekać na to, co powie, bo Abi Rabi'a znów wprowadził mnie pod trybuny, do miejsca, które kompletnie mną wstrząsnęło.

Zanim zrozumiałam, co ujrzały moje oczy, stary Arab otworzył celę i wepchnął mnie do środka. Nie byłam sama. W niezliczonych kłatkach, z których część była wielkości kojców dla psów, wegetowały setki ludzi.

Niewolnic i niewolników.

Takich jak ja.

MICHAŁ

„Głowa wysoko, skupić się na zadaniu... giowa wysoko” — Michał powtarzał sobie słowa szwagra, gdy przedzierał się przez tłum mężczyzn w galabijach. Miał na oczach ciemne okulary i doklejony zarost, wyglądający jak idealnie przystrzyżony wąż z kocią bródką, na nogach błyszczały mokasyny z ostrym szpicem. Czuł się jak idiota, ale nie mógł skupiać się na uczuciach. Musiał je wyłączyć bez względu na wszystko, co zobaczy i co usłyszy. „Głowa wysoko i przed siebie” — to mu powiedział doświadczony żołnierz i zaufał mu na tyle, że stawiając kolejne kroki, zapomniał nawet o strachu.

Przed sobą miał „Lecu”, po obu stronach swoich przybocznych ochroniarzy. Nigdy by nie pomyślał, że wystąpi w takiej roli i to nie na deskach uniwersyteckiego teatru, a na najprawdziwszym targu niewolników, na słynnym, będącym mekką muzułmańskiej społeczności w Europie, nieczynnym piłkarskim kolosie Stade de France.

Odrzucił te myśli. Liczyła się jedna: giowa do góry i przed siebie.

„Lecu” zatrzymał się przy trzech mężczyznach, ilość złotej biżuterii, którą mieli na sobie, wskazywała, że z pewnością nie należą do plebsu. Poprosili o otworzenie dwóch walizek, Krzysiek i Franco wykonali polecenie. Ukontentowani widokiem gotówki, gestem zaprosili wszystkich do środka, nawet nie przeszukali. „Lecu” twierdził, że na targu nie ma żadnego zakazu noszenia broni, tego Koran nie zabrania, a tu panowało prawo szariatu. Figur ucieszył się, choć fakt, że większość gości miała przy sobie przynajmniej broń białą, a spora grupa zapewne palną, wcale nie był tak oczywistą zaletą. Tu prawie każdy mógł wbić innemu nóż pod żebro albo zniecka poderznąć gardło. Inną sprawą był powód domniemanego ataku, który jako niedostateczny mógł skończyć się dla agresora równie srogą karą. Prawo boskie było surowe, sądy ekspresowe, a wyroki błyskawiczne.

Szli dalej. Michał miał zawsze drogę wolną, idący przodem „Lecu” torował ją, podobnie jak masywni legionieści po bokach. Kątem oka widział nagie kobiety, ale nie przypatrywał im się. Myślał tylko o jednym — giowa do góry i do przodu.

Nad stadionem znów dało się słyszeć huk śmigieł. Michał nie był w stanie ocenić, co tu robią, ale wojskowy sprzęt mógł zwiastować nieprzewidziane komplikacje. Dostrzegł to porozumiewawcze spojrzenie obu legionistów, gdy po raz pierwszy przeleciały niemal tuż nad ich giowami. Oni na pewno

wyciągnęli jakieś wnioski, ale nie było ani czasu, ani możliwości, aby podjąć ten temat głośno.

Znów niepotrzebne myśli... Trudno się od nich opędzić.

Mózg pracował na najwyższych obrotach, analizował i wartościował wszystkie obrazy i dźwięki. Dokoła głównie język arabski, czasem francuski lub angielski. Michał niewiele rozumiał, ale nie to należało do jego zadań. On miał trzymać głowę wysoko i przeć do przodu.

„Lecu” przystanął przed wejściem na boisko, Michał dostrzegł, że nie jest pokryte murawą. Nachylił się i zaczął mówić do Figura; ten z akceptacją pokiwał głową i wychylił się, aby odszukać coś, co znajdowało się za rogiem. Nakazał iść dalej. Gdy zrobili jeszcze kilka kroków drogą lekko opadającą w dół, oczom Michała ukazał się olbrzymi targ, a po jego prawej stronie — scena przypominająca estradę podczas koncertów muzycznych. Na środku stał stary człowiek, w rękę trzymał mikrofon. Zapadła cisza. Ubrany w dostojną galabiję, wyglądał jak przywódca, Michał domyślił się, że jest ich kaznodzieją. W ostatnim czasie widział w Internecie wielu imamów, również na zdjęciach Ayo Mosisiego. Tak, to musiał być on, to jego wspominał sudański lekarz. Nazywał się Hussein Rashid binAli, najważniejszy imam paryskich muzułmanów.

Gdy zaczął mówić, a jego głos z piskiem rozbrzmiał w głośnikach, Michał ucieszył się, że nic nie rozumie. Słowa duchownego nie mogły wyprowadzić go z równowagi, nie były w stanie go rozproszyć... Uniósł głowę.

„Głowa zawsze w górze” — pomyślał.

KRZYSIEK

1 września 2023 roku, Paryż, Francja

Pochylił się, aby lepiej rozumieć tłumaczenie „Lecu” Imam przemówił:

OAllahu, dałeś nam zwycięstwo! OAllahu, dziękujemy ci za Twą łaskę, dziękujemy pokornie, że wysłuchałeś naszych żarliwych modłów. Jesteśmy tu, w Paryżu, stolicy państwa niewiernych, który przez wieki był we władaniu chrześcijan, żydów i wszelkiej maści zakłamanych bałwochwalców. O Ałłahu, dziś już nikt nie podważa Twojej boskiej obecności na tej ziemi. Twoje prawo, prawo boskie, panuje dziś niepodzielnie, a my, Twoi wierni słudzy, stoimy tu przed Tobą jako dowód, że wypełniamy Twoją wolę, tak jak wszyscy pokornie Ci służący muzułmanie we Francji, Niemczech, Wielkiej Brytanii, Holandii, Belgii, Włoszech, Hiszpanii, Szwecji i wszystkich europejskich krajach, gdzie tylko został pozostawiony ślad świętej stopy islamu.

OAllahu, pokornie kłaniamy się Tobie i prosimy o łaskę podczas tegoż świętego targowiska, w czasie którego będziemy wiernie Tobie służyć, nagradzać pokornych w wierze i karać tych, którzy nie stosują się do Twych świętych zasad

A gdy przyjdzie czas, powstaniemy i ruszymy w bój, aby oddać hołd Twojemu Boskiemu Majestatowi, aby szerzyć Twoje święte słowa i srogo karać wszystkich, którzy nie zechcą przyjąć ich do swoich serc.

A gdy przyjdzie czas, zaczniemy zabijać niewiernych i brać ich córki i żony w kajdany. A gdy przyjdzie czas, chwycimy za broń i będziemy odrąbywać głowy mężów i zatykać na płotach ich

r

domów, jako przestrozę dla wszystkich, którzy kalają Świętą Księgę i czczą fałszywych bogów.

A gdy przyjdzie czas, staniemy się Mieczem Twojego Proroka i zabijemy wszystkich, którzy nie przyjmą świętego islamu, a gdy ich córki i żony będą rodzic nasze dzieci, niewierni będą już jedynie pożywką dla wszelakiego robactwa.

O Ałłahu, jesteśmy mocni, zbliża się czas wielkiej bitwy!

OAllahu, pobłogosław nas!

OAllahu, daj nam siłę, a islam opanuje nie tylko Paryż, nie tylko Francję, nie tylko Europę, ale cały świat!

Wiekowy imam uniósł obie ręce w ekstatycznym geście, a cały stadion zatrzęsł się w posadach po głośnym, wykrzyczanym przez dziesiątki tysięcy rozemocjonowanych gardeł *Allahu Akbar*. Wielokrotnie powtarzany zwrot dudnił w murach zaniedbanego przez lata obiektu, jakby zaraz miał skruszyć pozostałe ściany majestatycznego Stade de France.

Figur zachował kamienną twarz, podobnie Franco, zerknął też na Michała, który wciąż trzymał głowę w górze, choć dochodzący zewsząd tumult musiał

zrobić na nim wrażenie, gdyż dwukrotnie w ciągu kilku sekund przełknął ślinę. Trzymał się twardo, bo choć nie zrozumiał z przemówienia ani słowa, słynne „Allah Akbar”, zaintonowane tak potężnie przez tysiące gardeł w miejscu, gdzie panuje prawo szariatu, nikogo z niemuzułmanów nie pozostawiłoby bez drżenia. Nawet on, żołnierz Legii Cudzoziemskiej, dla którego radykalny islam był chlebem powszednim, poczuł, jak po kręgosłupie przeszedł mu nieprzyjemny dreszcz.

Imam jeszcze przez chwilę wsłuchiwał się w ryk tłumu, po czym oddał mikrofon wysokiemu mężczyźnie z krótko przystrzyżoną brodą i zszedł ze sceny. Gdy tumult osłabł i Figur już chciał nakazać, aby kontynuowali marsz, głośniki znów rozbrzmiały. „Lecu” przez moment wsłuchiwał się w słowa kolejnego mówcy i przetłumaczył:

— Złapali jakichś dwóch chłopaków na kradzieży. Zaraz ich ukarzą według...

— Wiem— nie dał mu dokończyć legionista.

— Lepiej tu poczekajmy. I tak nie zaprowadzę was na miejsce, bo zanim nie skończą publicznego wymierzania kary, nie zacznie się licytacja.

— Sprzedaż miała zacząć się o siódmej.

— Jest za kwadrans, a to nieprzewidziana sytuacja, ci gówniarze najpewniej zostaną ukarani na scenie.

Niemal równo z ostatnim słowem „Lecu” na podwyższenie zostało wprowadzonych dwóch chłopców w wieku około piętnastu, może szesnastu lat. Pierwszy był Murzynem, rysy i odcień skóry drugiego sugerowały, że pochodzi z Bliskiego Wschodu. Na ich twarzach malowało się przerażenie, ale posłusznie wkroczyli na środek sceny. Z miejsca, w którym zniknął kaznodzieja, wyszedł brodaty mężczyzna z tradycyjnym, zagiętym na całej długości i nieco rozszerzonym u szczytu klingi mieczem Trzymający mikrofon w kilku słowach oznajmił, jakiego oskarżeni dopuścili się występku, w tym czasie inny osobnik chwycił i usztywnił rękę Afrykańczyka. Na znak wysokiego człowiek z mieczem szybkim cięciem odrąbał dłoń chłopaka, wraz z jego krzykiem w tłumie rozniósł się przeciągły jęk. Kolejny mężczyzna chwycił szamoczącego się z bólu młodzieńca i owijając broczącą krwią ranę, sprowadził za scenę. W tym czasie drugi ze złodziei z pełnym rozpaczem grymasem na twarzy został przymuszony do wystawienia swojej dłoni. Człowiek z mieczem i tym razem się nie zawahał i chwilę później spryskana szkarłatem dłoń poturlała się po deskach, a wśród gapiów znów rozniósł się

ten przeciągły szept. Nastolatek darł się wniebogłosy, ale szybko został usunięty ze sceny i po chwili jego krzyk ucichł.

Legionista skierował wzrok na Michała, ta nieprzewidziana akcja mogła go trochę sponiewierać, ale najwyraźniej wybrał najlepsze rozwiązanie, bo z zaciśniętą szczęką spoglądał w drugą stronę, oczywiście z głową w górę. „Dobry chłopak” — pomyślał Figur. Nie obawiał się o nic, co było częścią jego planu, ale sytuacje takie jak ta mogły wprowadzić zamieszanie, szczególnie u nieszkolonych na wypadek nieprzewidzianych okoliczności Kuby i Michała.

I te caracale... Odniósł wrażenie, że gdzieś w oddali znów słyszy charakterystyczny huk ich śmigieł. One nie przyleciały tu bez powodu, tego był pewny, jak samej śmierci. Pytanie, jaki miały cel... Odpowiedź, jaka mu się nasuwała, niepokoiła go, bo mogła zepsuć cały misterny plan. Jeśli wojsko...

„Lecu” wyrwał go z chwilowego zamyślenia, tłumacząc ostatnie słowa człowieka z mikrofonem, który jakby nic się nie stało, urzędniczym tonem ogłosił, że zaprasza wszystkich VIP-ów na mniejszą scenę, zlokalizowaną przy głównej trybunie znajdującej się w najbardziej luksusowej części targowiska. Tam już zaraz miała ruszyć licytacja ekskluzywnego towaru.

Gdy „Lecu” przetłumaczył mu słowo „towar”, poczuł gwałtowny przypływ gniewu. Monika nie była „towarem”. Na samą myśl, że zaraz ją zobaczy, mocniej zabiło mu serce.

Zaraz, jak Bóg da, zabije jej oprawców.

KUBA

Zaparkowałem w jednej z bocznych uliczek odchodzących od Avenue du President Wilson. Moja obecność, o dziwo, nie wzbudzała większego zainteresowania, bo choć pierwszy kwadrans przesiedziałem jak na szpilkach, unikając kontaktu wzrokowego z każdym, kto mijał samochód, nie dostrzegłem żadnego niechętnego, a tym bardziej agresywnego zachowania ze strony przechodniów. Zdecydowana większość z nich to byli ludzie o rysach arabskich, ale nie brakowało czarnoskórych, a sporadycznie także rdzennych Europejczyków. Nieco się uspokoiłem, ale umysł wciąż pracował na poziomie czuwania.

Moje myśli, choć starałem się je odpędzić, krążyły wokół Muhammada Abi Rabki i jego cudownej córki, którą odebrał mi w tak okrutny sposób. Gdy tylko zamykałem oczy, widziałem jej uśmiechniętą twarz, szmaragdowe oczy i jedwabiste, kruczoczarne włosy. Próbowałem robić wszystko, aby na tych kilka najważniejszych godzin otworzyć w głowie szufladkę, włożyć tam wspomnienia o Nawal i jej ojcu, następnie zamknąć na klucz. Niestety, nie chciały odejść. Przeplatane myślami o rodzinie i mojej zagmatwanej sytuacji, tym, co może dziać się na widocznym kilkaset metrów dalej Stade de France, ewentualnych konsekwencjach i najbliższej przyszłości, powodowały taki mętlik w głowie, że nie byłem w stanie skupić się na aktualnej sytuacji.

Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, chwyciłem komórkę i wszedłem na Facebook. Ten zjadacz czasu, który jeszcze niedawno zdawał się niezastąpionym kompanem w chwilach samotności, pozwolił mi na chwilę oderwać się od tego wszystkiego. Bo choć zdawałem sobie sprawę, że nie mogę stracić czujności, mógł pozwolić mi oczyścić umysł ze wszystkich tych niepotrzebnych, stresujących i zżerających mnie od środka myśli. Uznałem więc, że nie zaszkodzi, tym bardziej że na GPS-ie w zegarku wszystko zdawało się iść zgodnie z planem, a co za tym idzie, miałem jeszcze przynajmniej godzinę do rozpoczęcia akcji, gdyż według Ayo Mosisiego — co następnie potwierdził „Fecu” — Abi Rabka miał zacząć licytację swoich niewolników dopiero o siódmej, co i tak zdawało się godziną umowną, gdyż nie był jedynym sprzedawcą i równie dobrze mógł zaoferować swój „asortyment” znacznie później. Nie widziałem zatem żadnego zagrożenia, zresztą przejrzanie portali informacyjnych również mogło przynieść ewentualne korzyści, choćby w kwestii przepustowości dróg ewakuacyjnych,

które uznaliśmy za najlepsze.

Nie miałem pojęcia, że tym samym właśnie wywołałem wilka z lasu.

Telefon zadurzał, co oznaczało, że najpewniej otrzymałem wiadomość. Ikonka chmurki na Facebooku nie pozostawiała wątpliwości. To był mój kuzyn Mati, który napisał:

Kurwa! ale syf, odezwałbyś się do starego kuzyna, a nie tylko bzykał te hiszpańskie dupy. Miałem mieć załadunek w Paryżu a wjechałem się w korek, bo pozamykali całe dzielnice od północy miasta i znowu chuj bombki strzelił, będzie spóźnienie Co pozamykali? Całe dzielnice? Próbowałem analizować. Kolejna wiadomość.

Widzę że jesteś aktywny chuj cie strzelił Kuba czy wpadłeś do beczki z kwasem?

Język Matiego zawsze był barwny, ale moją głowę zaprzętało teraz zupełnie co innego. Dlaczego zamknęli całe dzielnice na północy Paryża? To by oznaczało, że...

Postanowiłem odpisać, w oddali dostrzegłem dwa śmigłowce.

Siema, krótko, bo nie mogę teraz się rozpisywać, potem ci wytłumaczę. Dlaczego zamknęli północny Paryż?

W końcu, kurwa! Nie wiem spedytorka nicnie wie nie wiadomo o co chodzi ale nie masz innych problemów?

Dowiedz się proszę, nie mam czasu tłumaczyć Mati...

jestes w Paryżu?

Kurwa, Mati dowiedz się, potem ci wytłumaczę ok daj mi chwile Zrobiło mi się gorąco. Zamknięte dzielnice, śmigłowce...

Nerwowo przełączałem kolejne stacje, bo choć nie spodziewałem się zrozumieć pełnego przekazu, miałem nadzieję wychwycić coś na ten temat z kontekstu. Wszędzie muzyka albo jakieś głupie teleturnieje. Kolejna wiadomość.

Sorry nic nie wiedza mowia ze mam stanac gdzieś na parkingu i czekac na dalsze instrukcje — Szlag — zakląłem pod nosem Temperatura mojego ciała rosła, zacząłem wpadać w panikę. Skoro dzielnica była zamknięta, to jak mieliśmy się z niej wydostać?

Dzięki, odezwę się Mati Ale o co kurwa chodzi?

Nie mogę gadać, odezwę się Zegarek od Franco miał wbudowany telefon i mogłem połączyć się z Krzyśkiem, ale to była ostateczność. Ewentualna konwersacja mogła narazić ich na niebezpieczeństwo. Postanowiłem, że

poczekam Przynajmniej jeszcze chwilę.

Daj znać Mati jak coś będziesz wiedział, to bardzo ważne.

Wyszedłem z Facebooka i zacząłem przeglądać portale informacyjne, nigdzie ani słowa na temat północnego Paryża. Może niepotrzebnie panikowałem? W tym mieście podobne historie to zapewne nic wielkiego. Taką miałem nadzieję, ale nie ustawałem w poszukiwaniach. Odpaliłem Google Maps, na trasach wokół północnych terenów stolicy drogi zakorkowały się bardzo wyraźnie. Ale to przecież godziny szczytu, może przesadzam... Przecież gdyby coś się działo, media by o tym poinformowały. Chyba...

MICHAŁ

1 września 2023 roku, Paryż, Francja

Szedł z głową w górze, ale jego ciało wciąż przechodziły dreszcze. Dobrej jakości garnitur i ciemne okulary maskowały zdenerwowanie, ale widok odrąbywanej ręki i krwistej szprycy, która wystrzeliła z otwartego nadgarstka, wbił się w jego mózg jak kły pitbulla w ciało ofiary. Nie był przygotowany na taki widok, nawet pomimo długiej i — jak mu się wydawało — tak wyczerpującej wszystkie jego obawy rozmowy z żołnierzem Legii Cudzoziemskiej. Nie rozumiał, jak to możliwe, aby w miejscu, gdzie jeszcze kilka lat temu pasjonował się meczem mistrzostw Europy, widowiskiem na każdym kroku podkreślającym swój antyrasistowski, przyjacielski i pełen radosnej zabawy charakter, ktoś komuś publicznie — i co najgorsze, bez żadnych konsekwencji — odcinał dłoń, ba, odrąbywał ją mieczem jak w epokach słusznie minionych. Nie mógł pojąć, że w dwudziestym pierwszym wieku można traktować ludzi jak zwierzęta, wystawiać ich na sprzedaż i nie posiadać w sercu choć odrobiny empatii. Owszem, wielokrotnie słyszał w mediach o „handlu ludźmi”, ale te słowa nigdy nie przebijały się do jego świadomości, a mowa o setkach tysięcy dręczonych kobiet, rosnących statystykach i niebezpiecznej ewolucji tego procederu, zawsze były jedynie kolejnym newsem, po usłyszeniu którego szedł zrobić sobie herbatę albo przełączał kanał, aby obejrzeć jakiś dobry film.

Dopiero tu, gdy znalazł się w środku tego niezaprzeczalnie chorego spektaklu, który szumnie zwano targiem niewolników, dotarło do niego całe zło, jakie kroczyło wraz z islamskim prawem skazującym niewinnych ludzi na tak okrutny los. Dopiero teraz pojął, że jego ukochana kobieta, osoba, z którą

spędził ponad pięć lat życia, zawsze życzliwa, współczująca, serdeczna, a przy tym tak krucha i delikatna Monika Figurska, od dwóch tygodni codziennie mierzyła się z tym bezdusznym światem. Myślał, że to, co spotkało ją w tej zatechłej dziurze gdzieś między La Mangą a Murcją, na co bezsilnie patrzył, wijąc się jak spętany dziki zwierz, było najgorszym koszmarem. Mylił się. To był dopiero wstęp do dwutygodniowego horroru, na który pozwolił. On pozwolił... Pomyślał, że do końca życia nie będzie mógł spojrzeć ukochanej w oczy. Ale przecież... już zaraz ją ujrzy. Jak się wtedy zachowa? Czy wytrzyma? Boże...

Poczuł, jak ktoś chwyta go za ramię. To był szwagier. Dyskretnie spytał, czy się trzyma. Musiał widzieć ten nienaturalny grymas na ustach, zaciśnięte zęby, nierówny oddech i występujący na skroniach pot.

— Nie myśl — rozkazał szeptem, jakby czytał go jak otwartą księgę. — Uspokój się, wkrótce będzie po wszystkim, a teraz głowa do góry.

Dochodzili do wyraźnie wyróżniającego się na tle pozostałych straganów czarnego namiotu, w którym spokojnie zmieściłoby się boisko do siatkówki. Do środka prowadziło wejście pod baldachimem, przed którym stało dwóch okazałych Arabów. „Lecu” zamienił z nimi kilka słów, a Figur i Franco znów zostali poproszeni o pokazanie zawartości walizek. Następnie rzucając oględne spojrzenie na Michała, wręczyli Algierczykowi świstek papieru i zaprosili do środka.

Wnętrze było kameralne. Na wprost wybudowano drewniane podwyższenie, do którego z prawej strony prowadziły dostawione schodki, poniżej na wyłożonej panelami podłodze leżał olbrzymi czerwony dywan, a na nim stały trzy rzędy krzeseł, wzdłuż ścian znajdowały się drewniane ławy, ewidentnie sklecone na tę właśnie okazję. Michał najbardziej obawiał się sytuacji, że będzie jedynym Europejczykiem w towarzystwie, ale ku jego zdumieniu połowę z około dwudziestu już zajętych miejsc zajmowali podobnie do niego ubrani mężczyźni w garniturach, w różnym wieku, choć przeważali ci po pięćdziesiątce. Większość, podobnie jak on, miała na oczach ciemne okulary, ich rysy twarzy zdradzały, że nie wszyscy należą do rdzennych mieszkańców Starego Kontynentu, gdyż można było dostrzec przynajmniej dwóch o bardzo ciemnej, wręcz czarnej karnacji oraz dwóch cudzoziemców z Dalekiego Wschodu. Pozostali ubrani byli w tradycyjne arabskie stroje, choć jeden z nich, noszący na głowie okazały turban, wyróżniał się spośród reszty.

„Lecu” wskazał jedno z ostatnich wolnych miejsc, na samym skraju, na

siedzisku leżała ulotka, w której w oczy rzucały się tańczące kobiety w skąpych, choć bardzo fantazyjnych sukniach. Michał usiadł, a jego straż przyboczna wycofała się w kierunku ściany namiotu, gdzie na ławie miejsce zajęli już inni, równie dobrze zbudowani mężczyźni, jak się domyślił, ochroniarze pozostałych klientów. Starał się o niczym nie myśleć, aby nie prowokować widocznych oznak przerażenia, które z każdą kolejną sekundą coraz głośniej pukało do jego umysłu i ciała. Rozejrzał się. Siedzący obok tęgi, choć z pewnością niski mężczyzna z okrągłą i ogorzałą twarzą nieznacznie kiwnął mu na przywitanie. Był w średnim wieku, miał nieco za blisko osadzone oczy i świdrujące spojrzenie, a zadarty nos sprawiał, że przypominał prosiaka. Wyjął z kieszonki na piersi chusteczkę i delikatnie przetarł czoło i skronie. W środku było parno i aż dziw, że nikt z organizatorów nie pomyślał o zamontowaniu klimatyzacji, szczególnie biorąc pod uwagę status i zasobność portfela przybyłych gości.

Minęła siódma, w namiocie panowała niespokojna i nienaturalna cisza, jakby wszyscy wyczekiwali na coś tajemniczego i niezbadanego. Ezoteryczny klimat tego miejsca spowodował, że Michał uspokoił się, było w nim coś wręcz kojącego. Podenerwowanie udzieliło się natomiast kilku innym gościom, którzy zaczęli wachlować się ulotkami i burczeć coś pod nosem, wyraźnie niezadowoleni z panujących warunków. Gdy zostały jedynie dwa wolne miejsca, na scenę wszedł młody mężczyzna w gustownej galabii i uklonił się wszystkim obecnym. O dziwo, przemówił płynnym angielskim — Serdecznie witam panów w strefie klientów VTP — rzekł i omiół wzrokiem wszystkich gości, miał bardzo przenikliwe spojrzenie. — Dziś zaoferujemy panom dziesięć przepięknych niewiast, każda jest na swój sposób wyjątkowa, ale to, jaką osiągnie cenę, będzie oczywiście zależeć od panów.

Nastąpiła chwila ciszy, którą po chwili przerwał jeden z mężczyzn, wachlujący się niemal od początku. Był bardzo otyły i sam fakt, że siedział na krześle, a nie w fotelu, musiał być dla niego prawdziwą udręką. Tłuste podgardle i wiszące fałdy na policzkach sprawiały wrażenie, że ma więcej wspólnego z buldogiem niż istotą z gatunku homo sapiens.

— Nie macie tu klimatyzacji? Przecież nie idzie wytrzymać w tym ukropie... — wystękał oskarżycielskim tonem, jakby zaraz miał paść plackiem i wyzionąć ducha.

— Staramy się ograniczyć do minimum wszelkie zdobycze zachodniej cywilizacji — odparł ze stoickim spokojem mężczyzna na scenie. —

Przypominam, że znajduje się pan w miejscu, gdzie obowiązuje prawo boskie — dodał z wyuczonym uśmiechem na ustach.

„Buldog” z rozczarowaniem machnął ręką i dalej zaczął się wachlować.

— Nie chcę więcej zabierać panom cennego czasu, tym bardziej że pierwsza z naszych niewolnic już czeka, aby zaprezentować panom swoje wdzięki. Przypomnę tylko, że zwycięzca licytacji jest zobligowany do zapłaty natychmiast po zakończeniu naszego, miejmy nadzieję, udanego dla wszystkich spotkania. Preferujemy gotówkę. — To rzekłszy, zakręcił dłonią i wskazał w kierunku kotary.

Na scenę wyszła pierwsza dziewczyna, a Michałowi serce w jednej sekundzie podeszło do gardła.

KRZYSIEK

1 września 2023 roku, Paryż, Francja

To nie była Monika. Wysoka blondynka, która jako pierwsza wyszła na scenę, miała wschodnioeuropejskie rysy, pociągłą twarz i duże niebieskie oczy. Przyodziana była w koronkową, zdobioną kolorowymi kamieniami bieliznę, w wysokich szpilkach jej zgrabne nogi zdawały się sięgać gwiazd, długie włosy opadały na ramiona i naturalnie wydatny biust, w uszach błyszczały swobodnie opadające kolczyki.

Licytacja zaczęła się od pięćdziesięciu tysięcy euro, ale szybko dobiła do dwustu. Michał dwukrotnie uniósł rękę na znak podbicia stawki, dokładnie tak, jak polecił mu Krzysiek. „Licytuj blondynki o wschodnioeuropejskich rysach, ale nie przesadzaj ze stawkami. Niech widzą, że jesteś koneserem. W odpowiednim momencie odpuść, w tych walizkach jest pół miliona w fałszywkach, wiedzą, ile mamy” — tłumaczył mu przed wyjazdem na akcję.

Aldona, bo tak została przedstawiona przez prowadzącego, ostatecznie została kupiona za trzysta dwadzieścia pięć tysięcy euro przez jednego z arabskich szejków. Gdy schodziła z wybiegu, Figur znów usłyszał bicie swojego serca. Kolejna mogła wejść jego siostra.

To nie była jej kolej. Na scenę wkroczyła egzotyczna i bardzo młoda Afrykanka w zwiewnej sukni, ponętnie zdradzającej co znajduje się pod spodem. Przedstawiona jako księżniczka z Namibii, córka jednego z ministrów tego państwa, została kupiona za sto osiemdziesiąt tysięcy przez starszego mężczyznę z niemieckim akcentem. Następna osiągnęła zawrotną cenę równo pół miliona euro — wysoka, zgrabna, o niecodziennej urodzie, z szerokimi i pełnymi ustami młoda Szwedka trafiła do innego z szejków.

Emocje rosły z każdą sekundą i Krzysiek obawiał się, czy aby na pewno jest w stanie zachować kamienne oblicze. Robił wszystko, aby oszukać organizm, ale szkolenie nie przygotowało go na taką sytuację. Trzymał nerwy na uwięzi, ale krew w jego żyłach zaczynała bulgotać jak magma. Gdy wychodziła czwarta kobieta, poczuł drżenie na lewym nadgarstku. Tylko jedna osoba mogła wysłać mu wiadomość. Odczekał moment, aby przekonać się, czy pojawiła się Monika. Na scenę niezgrabnie wyszła kilkunastoletnia dziewczynka o niebiańskiej urodzie i rudych, prawie czerwonych włosach. Była sparaliżowana strachem, prowadzący na wstępie zaznaczył, że jest dziewicą i cena wywoławcza wynosi dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro.

Krzysiek wykorzystał moment i dyskretnie spojrział na elektroniczną tarczę zegarka.

Zamknęli całą dzielnicę, widzę śmigłowce, na ulicy robi się niespokojnie.

To nie była dobra wiadomość. Od początku przeczuwał, że coś jest nie tak. Spojrzał na Franco, Włoch już wiedział, ale spokojnie odwrócił głowę w kierunku sceny. Rudowłosa Czeszka została zlicytowana za osiemset tysięcy euro, kupił ją kolejny z szejków.

W oddali znów usłyszał znajomy huk śmigieł. Zacisnął dłoń na uchwycie walizki.

Piąta na scenę wkroczyła piękność o blond włosach. Miała na sobie jedynie bieliznę i wyglądała jak dzieło sztuki.

MONIKA

Z pamiętnika porucznik Moniki Figurskiej, pseudonim „Ghula”

Piętnasty dzień niewoli, 2023 rok, Paryż, Francja

Gdy wychodziłam na scenę, aby zaprezentować swoje wdzięki tym okropnym ludziom, serce podeszło mi do gardła. Wiedziałam jednak, że nie mogę płakać, a tym bardziej błagać o litość czy ratunek. Żaden z nich nie miał tych pojęć w swoim słowniku.

Jakąś godzinę przesiedziałam w celi, w towarzystwie podobnych mi nieszczęśni czek i nieszczęśników. W zasięgu mojego wzroku znajdowało się co najmniej kilkadziesiąt podobnych, często dużo mniejszych klatek, w których odziani w łańchmany lub całkiem nadzy ludzie, głównie młode kobiety i nastoletnie dziewczynki, musieli siedzieć skuleni, bo nie było miejsca, aby przyjąć pozycję wyprostowaną. Gdy Abi Rabka przyszedł po mnie, już w pierwszych słowach ostrzegł mnie, że jeśli znów przyniosę mu wstyd, to każe mnie wychłostać na śmierć, a moje plugawe truchło rzuci psom na pożarcie. Zacisnęłam zęby i wzięłam się w garść, bo nie miałam innego wyjścia. Jak wierna suka szłam na łańcuchu za swoim panem, aż korytarz się skończył i ujrzałam czarną płachtę. Ktoś odpiął ciężką mi na szyi żelazną obejmę i pomógł mi zdjąć burkę. Niespecjalnie zaskoczyła mnie obecność Dżamili i Asali, które w świetle lamp, tym razem bez słowa, wzięły się za ostatnie poprawki. Najpierw kazały mi umyć stopy w specjalnie przygotowanej do tego misce, podały mi ręcznik i pomogły wsunąć lśniące szpilki. Nałożyły trochę pudru, po ustach przeciągnęły szminką, założyły złote kolczyki w kształcie wielkich okręgów. Gdy już byłam gotowa, obdarzyły mnie ostatnimi, jak mogło się zdawać, szczerymi uśmiechami i równo rzekły, jakby były siostrami syjamskimi:

— Niech Allah cię prowadzi.

Po raz pierwszy rzuciłam im prosto w oczy najbardziej pogardliwe spojrzenie, na jakie było mnie stać. Uśmiechnął z ich ust, co zabolalo mnie jeszcze bardziej. Przypominały zaprogramowane roboty, które nie mają w sobie krzty emocji i wykonują tylko polecenia ich „czciwego męża”. To było żalodne.

Choć starałam się trzymać emocje na wodzy, gdy ostrożnie pokonywałam

cztery schodki, a jakiś mężczyzna odsunął kawałek czarnej płachty, poczułam gęsią skórę, choć to był wyjątkowo gorący dzień. Moje ciało przeszywały niekontrolowane dreszcze, a ja zaczęłam drzeć jak osika. Gdy znalazłam się na podwyższeniu, na chwilę zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. Podniosłam powieki i ujrzałam grono mężczyzn, w większości starszych, część w białych galabijach, część w ciemnych garniturach, z wyjątkiem jednego, w gustownym kapeluszu, który na tę okazję zdecydował się na purpurę. Mężczyzna o aparycji arabskiego księcia zaczął mnie przedstawiać. Słuchałam go, ale nie docierały do mnie jego słowa, podświadomie wykonywałam jedynie wszystkie jego polecenia, aby się obrócić, unieść ręce, położyć je na biodrach. Nie chciałam przyglądać się obliczom tych ludzi, ale godząc się z moim przeznaczeniem, szukałam chyba tego, który mógłby być dla mnie najbardziej łaskawy. Ich spojrzenia były pełne podniecenia i tej nieludzkiej żądzy, która płonęła w ich tęczęwkach, jakby w środku skrywały rozżarzone węgielki. Jeden z nich, niezwykle otyły mężczyzna w ciemnym garniturze i blond peruce, przypominający utuczonego wieprza, najczęściej podnosił dłoń, gwałtownie przebijając kolejne oferty swoich rywali. Gdy nieopatrznie nasze spojrzenia spotkały się, dostrzegłam, jak obleśnie oblizuje dolną wargę, drżał z podniecenia, a jego podgardle falowało jak wstrząśnięta galareta. Moje oczy zaszklily się i — mając w pamięci słowa Abi Rabki, broniłam się przed tym z całych sił — po policzku, pomimo wymuszonego uśmiechu na ustach, spłynęła mi pierwsza łza.

Jak najszybciej odwróciłam wzrok w innym kierunku. Spoczął na twarzy mężczyzny, który siedział na skraju drugiego rzędu. Poczułam dreszcz, który przeszył moje ciało z mocą gromu i prędkością błyskawicy. To wrażenie było tak potężne, że przez moment myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi. Przecież znałam te rysy! Czy mój umysł mógł mi płatać aż tak perfidne figle? Garnitur, broda, zaczesane na bok włosy, ale... ale...

Bum! Bum! Bum! Bum!

Aż podskoczyłam i klapnęłam tyłkiem na deski, gdy namiotem wstrząsnęły cztery wybuchy. Czułam potworny ból w uszach, kręciło mi się w giowie i myślałam, że zaraz zemdleję, a potem umrę. Gdy jednak otworzyłam oczy, zobaczyłam biały dym i fruwające w powietrzu banknoty. Rozległy się strzały. Wtedy czyjeś silne ramiona uniosły mnie w górę.

KUBA

W ciągu dwudziestu minut sytuacja zmieniła się diametralnie. Na ulicach zrobiło się niespokojnie, nie dochodziło jeszcze do żadnych ekscesów, ale coraz więcej grupek złożonych głównie z — jakkolwiek by to brzmiało — miejscowych biegało w tę i we w tę z telefonami przy uchu, gestykulowało, łączyło się z innymi. Ich konwersacje były z reguły bardzo burzliwe, raz dostrzegłem, jak większy uderza mniejszego otwartą dłońią w twarz. Stałem w dość ustronnym miejscu i do tej pory nikt się mną nie zainteresował, ale choć moja prawa dłoń niemal cały czas spoczywała na włożonych do stacyjki kluczykach, tak naprawdę nie miałem pojęcia, co mam teraz zrobić. Prawdziwy strach obleciał mnie dopiero w momencie, gdy jakieś sto metrów na prawo grupa wyrostków zaczęła demolować zaparkowanego przed kawiarnią starego czarnego jaguara. Oglądałem to z duszą na ramieniu, ale po chwili spostrzegłem, jak dwóch z nich wywleka z lokalu mężczyznę, a za nim wybiega młoda kobieta. Miała na głowie okrywający jedynie włosy hidżab, spod którego wystawały blond loki. Miotła się, machała rękami, coś wykrzykiwała. Jeden z tych gnojków, wysoki i chudy jak szkapa chłopak w czapeczce bejsbolowej, zamachnął się i zdzielił ją z taką siłą, że upadła na ziemię. W jednej chwili przypomniała mi się sytuacja z La Mangi, ale nie miałem czasu, aby wracać do przeszłości, gdyż w tym czasie reszta wyrostków tłukła już jej partnera, który leżąc na ziemi i próbując zasłaniać się przed kolejnymi kopniakami, był bez szans. Niższy, w koszulce z kapturem, w pewnym momencie nadepnął mu na głowę i zaczął skakać, dwóch jego kompanów kopało już leżącą blondynkę. Nawet gdybym chciał, nie mogłem im w żaden sposób pomóc, zresztą wziąłem sobie do serca słowa Figura, który mówił, że cokolwiekby się działo, mam być skupiony na zadaniu i nie rozpraszać się.

W końcu wstydliwie odwróciłem głowę i dostrzegłem kolejną grupę, tym razem większą. Kilku jej członków miało w rękach pałki i coś, co przypominało pręty czy łomy. Szli w moim kierunku, choć znajdowali się po przeciwległej stronie głównej ulicy, więc bacznie ich obserwowałem, ale nie panikowałem. Wtedy znów usłyszałem dudniący charkot śmigieł i nad naszymi głowami przeleciał wojskowy śmigłowiec. Mężczyźni agresywnymi gestami pokazali pilotowi, co o nim sądzą. Jeden z nich, noszący zdecydowanie za duże spodnie w hip-hopowym stylu, rzucił w jego kierunku butelką, która nie

mając najmniejszych szans osiągnąć celu, rozbiła się na ulicy. Co chwilę zerkałem na zegarek, ale ten nie chciał drgnąć, więc postanowiłem, że najwyższy czas dać znać Figurowi, że sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli. Napisałem:

Zamknęli całą dzielnicę, widzę śmigłowce, na ulicy robi się niespokojnie.

Baczenie obserwując ulicę, czekałem na odpowiedź, ale ta nie przychodziła. Powiedzieć, że mnie to stresowało, to nic nie powiedzieć. Byłem kłębkim nerwów i choć starałem się stosować do wszystkich rad, jakich udzielił mi przed akcją mój zaprawiony w bojach przyjaciel, nie byłem w stanie zachować zimnej krwi. Tym bardziej że nie miałem pojęcia, co dzieje się we wnętrzu Stade de France, czy chłopaki dają sobie radę, tak naprawdę nie wiedziałem, czy przypadkiem nie zostali rozpracowani i pochwyteni albo, o zgrozo, czy w ogóle jeszcze żyją.

Dałem sobie jeszcze trochę czasu, nie mogłem panikować, zwłaszcza że moje zadanie zdawało się najłatwiejsze, wręcz banalnie proste w porównaniu z tym, jakie przydzielili sobie. Nie mogłem ich zawieść, nie mogłem zawieść siebie i nie mogłem zawieść mojej Nawal. Przecież przez całe te pieprzone dwa tygodnie wszystko, co robiłem, robiłem dla niej. Albo...

Gówno prawda! Tak naprawdę robiłem to dla siebie i choć moja marokańska księżniczka wciąż była w moim sercu, to żaden z moich czynów nie mógł przywrócić życia ani jej, ani dziecku, które nosiła w swoim łonie. Szczerze wątpiłem, aby pochwalą to, co robiłem w tej chwili. Egoista... Zawsze nim byłem i zawsze będę. Tłumaczyłem sobie moje ryzykowne zachowanie na tysiące sposobów, a tak naprawdę kierowała mną jedynie nienawiść, chęć odzyskania splamionego honoru i pragnienie odmiany mojego marnego życia. To, co było najgorsze, to fakt, że w ostatnich dniach to ostatnie wysuwało się na pierwsze miejsce.

Mój zegarek zadrżał. Odczytałem wiadomość.

Bądź gotów.

Poczułem ulgę, ale jednocześnie zastrzyk adrenaliny. Chłopaki działali i najwyraźniej przechodzili do kluczowego momentu. Ręce trzęsły mi się jak alkoholikowi w ostatnim stadium delirium, położyłem je na kierownicy i napiąłem mięśnie. W oddali usłyszałem strzały, przed moimi oczami zaczynał rozgrywać się dramat kilku białych mężczyzn, którzy najwyraźniej zapuścili się w te rejony w najgorszym możliwym czasie. Mieli może pod trzydziestkę, ale biegli, jakby ktoś przywiązał im do uda kawał surowego mięcha i poszczuł

wyglodniałymi dobermanami. Nie mieli szczęścia, bo drogę zagroziła im inna grupa miejscowych, którzy pochwycili lub spowodowali upadek trzech z nich. Kolejnych dwóch jakimś cudem przebiło się przez zaporę, ale ich szanse na wydostanie się z dzielnicy wciąż, w moim mniemaniu, były marne. Nie odwrócili się, nie popatrzyli na swoich kolegów, którzy w tej chwili byli już kopani i okładani wszystkim, co napastnicy mieli pod ręką. Na ulice Saint-Denis wkładał się chaos.

Wtedy usłyszałem w oddali kilka wybuchów, pogłos wyraźnie wskazywał, skąd dochodzą. Dobiegały z wnętrza Stade de France.

KRZYSIEK

1 września 2023 roku, Paryż, Francja

Gdy ujrzał na scenie swoją siostrę, musiał wykorzystać wszystkie swoje umiejętności, aby nie wybuchnąć i nie rozerwać na strzępy każdego w zasięgu wzroku. Krew w jego żyłach wrzała, ale spuścił głowę i dyskretnie położył palec na zamku walizki, wiedział, że siedzący obok Włoch robi dokładnie to samo. Wystarczyło przesunąć dwie cyferki na mechanizmie, aby po pięciu sekundach nastąpiły wybuchy. Czekał, licząc na ostatnią szansę, aby opuścić to miejsce bez rozlewu krwi, nie narażając na śmierć ani Moniki, ani nikogo innego. Michał spisywał się dzielnie, choć jego unoszona co chwilę ręka drżała, a noga bezwolnie wystukiwała rytm na pokrytym dywanem podłożu. Gdy jednak kwota przekroczyła pół miliona euro, a w licytacji wciąż pozostało sześciu kupców, zrozumiał, że to musi się dokonać.

Równocześnie ze swoim towarzyszem przesunęli mechanizm Odczekał trzy sekundy i gwałtownym ruchem nogi posłał walizkę jak najdalej od siebie. Włoch zrobił dokładnie to samo, kierując ją w inne miejsce. Zanim znajdujący się w środku ludzie zorientowali się, co się dzieje, ładunki eksplodowały, a siedzący najbliżej, wielki jak tur ochroniarz klienta obok Michała zdążył zrobić tylko wielkie oczy i otworzyć usta. Gdy ogłuszający huk wypełnił pomieszczenie i w jednej chwili zrobiło się prawie całkiem białe, nóż legionisty już penetrował wątrobę sąsiada, aby ułamek sekundy później werznąć się w jego odsłoniętą szyję.

Wiedział też, że w czasie akcji jego ciało zamieniało się w maszynę, dlatego nie musiał myśleć, bo każda komórka jego zaprogramowanego organizmu doskonale zdawała sobie sprawę, co w danej chwili ma zrobić. Umysł obliczył odległość i czas, w ciągu którego dotrze do Moniki, nawet pomimo widoczności ograniczonej prawie do zera. Pewność, że „druga maszyna” zajmie się ewentualnym zagrożeniem, nie tylko ułatwiała mu zadanie, ale pozwalała zyskać cenne sekundy, które w obecnej chwili były na wagę złota.

Rozpętali piekło.

Ruszył po swoją siostrę. Dotarł w ciągu niecałych pięciu sekund, wtedy już padły pierwsze strzały, to Franco czyścił mu drogę albo osłaniał Michała. Szwagier musiał sobie poradzić, udowodnił, że jest mężczyzną.

Krzysiek chwycił siostrę i uniósł w górę. Tak bardzo chciał spojrzeć jej

w oczy, nie było jednak na to czasu. Poczuł na kostce czyjaś dłoń. Nie zastanawiał się i dwukrotnie pociągnął za spust, a kula rozerwała klatkę piersiową prowadzącego. Przerzucił siostrę przez ramię i doskoczył do tylnego wyjścia. Tak jak podejrzewał, szybszy był Włoch, który o ułamek sekundy wyprzedził go i trzema strzałami pozbawił życia mężczyzn za kotarą. Przez moment zrobiło się jasno, dostrzegł kątem oka, jak trupy, każdy z rozerwaną czaszką, dopiero uderzają ciałami o ziemię. W ogniu akcji zawsze tak to wyglądało, jak w zwolnionym filmie, klatka po klatce. Był w stanie zarejestrować ostatni grymas ofiary i strumień krwi, który dopiero miał spaść i wsiąknąć w podłogę, czasem miał wrażenie, że potrafi dostrzec lecącą kulę.

Wbiegając do tunelu pod obiektem, był pewny jednego: żaden z nich nie nazywał się Muhammad Abi RabFa.

Franco był nieoceniony, w biegu położył trupem kolejne cztery osoby. Nie było istotne, kim są, byli tu i nie byli w celach. Byli złymi ludźmi. Znał na pamięć rozkład stadionu, do wyjścia mieli około dwustu metrów. Monika nie szarpała się, musiała być ogłuszona, to pozwoliło zaoszczędzić cenne sekundy.

Minęli cele pełne więźniów, prawie wszyscy stali, wielu trzymało się krat. Krzyczeli, bali się, że też zginą. Nie zwracał na nich uwagi, z ich strony nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Przebiegli jeszcze połowę drogi, gdy zagroziła im drogę masa ludzi wlewająca się przez narożne wejście, tratowali się, na targu musiała wybuchnąć panika. Usłyszał harmider, przez który przebijał przerywany huk śmigieł caracali. Były blisko, dałby sobie uciąć rękę, że wiszą nad trybunami. Tłum był tak gęsty, że wypychani ludzie zaczęli wlewać się do tunelu. Było oczywiste, że tędy nie przejdą.

— Franco! — wrzasnął, a Włoch zatrzymał się. — Pod ziemię! — dodał i wskazał znajdujące się kilkadziesiąt metrów dalej drzwi do maszynowni.

Jednak gdy tylko zrobili pierwszy krok, kilka kul z impetem wbiło się w mur tuż za nimi. Franco odpowiedział ogniem, ale wtedy seria z kałasznikowa zza pleców spowodowała, że paru nieszczęśników w celach padło na ziemię. Zbłąkane kule trafiały w stalowe kraty, wzbudzając charakterystyczny, metaliczny dźwięk. Zostali wzięci w dwa ognie.

Intuicja, wsparta latami szkolenia, nakazała legionście zrezygnować z walki i z impetem wdarł się do toalety, za nim wycofujący się, wciąż strzelający Franco. Weszli do pomieszczenia z pisuarami, były zniszczone, z pokrytych bezkształtnym graffiti ścian w wielu miejscach odpadały płytki. Położył Monikę na posadzce, miała otwarte oczy, spojrzenie błądziło gdzieś

bez celu.

— Przynajmniej trzech od frontu, sześciu, może więcej z tyłu — skomentował Włoch, ciężko dysząc, przeładował broń.

— Wezmę ich— odparł Figur.

Zaskrzypiały drzwi od ubikacji, popełnili błąd, nie upewniając się, że są sami. Odwrócili się, Figur wycelował w intruza.

— Kurwa! — zaklął po polsku.

Pomiędzy muszlą klozetową i ścianką toalety siedział mały chłopczyk, drobnymi rączkami obejmował podkulone nogi, był przerażony, ale nie płakał, tylko wpatrywał się wielkimi hebanowymi oczami w twarz legionisty. Franco w tym czasie schylił się, aby upewnić się, że w pozostałych boksach nie ma innych niepożądanych gości. Krzysiek położył palec na ustach na znak, aby młody siedział cicho.

— Ruszamy — ponaglił Włoch.

Gdy Figur już chciał się podnieść, poczuł na nadgarstku ciepłą dłoń.

— Krzysiek... — j ęknęła Monika.

Odwrócił się, a ich spojrzenia spotkały się. Pragnął celebrować tę chwilę, ale wróg był już bardzo blisko. Teraz nie miał na to czasu.

— Zostań tu, siostra, wrócę po ciebie — rzucił krótko i pocałował ją w czoło.

Franco był już gotowy.

MONIKA

Z pamiętnika porucznik Moniki Figurskiej, pseudonim „Ghula”

Piętnasty dzień niewoli, 2023 rok, Barcelona, Hiszpania

Zapisując te słowa w zaciszu przytulnego mieszkania w Zielonej Górze, zastanawiałam się, czy w ogóle jest możliwe, aby przelać na papier choć cząstkę emocji, jakie w tej krótkiej chwili zalały moje umysł i ciało. Były jak rozszalałe tsunami, uderzyły z siłą wodospadu, a spectrum ich oddziaływania omal doprowadziło mnie do omdlenia. Mimo tych wszystkich świszczących kul, wybuchów, krzyków i zgiełku tysięcy dźwięków, mimo oczywistego niebezpieczeństwa, strachu, bólu i przerażenia widok mojego ukochanego brata wszystkie te rzeczy zepchnął w otchłań, a ja poczułam się cudownie. Zupełnie zatraciłam się, gdy usłyszałam jego głos, gdy jego ciepłe usta dotknęły mojego czoła, składając —jakkolwiek by to w tej chwili nie zabrzmiało — troskliwy pocałunek, pełen ciepła i miłości. Znowu poczułam, że żyję, że wróciłam z czeluści pełnej potworów i wszechobecnego zła.

Z szoku wyrwała mnie dopiero jakaś drobna postać, która rzuciła się na moją szyję i... wtuliła się w moją pierś. Zaskoczona, krzyknęłam i próbowałam odepchnąć chłopca, ale przywarł bardzo mocno. Wszystko działo się tak szybko, nie panowałam nad sytuacją, kolejny nieprawdopodobnie głośny huk wystrzałów też nie pomógł. Moje zszargane nerwy znowu wzięły górę, gdy dostrzegłam coś, co w jednej chwili przywołało niedawny horror. Na mojej piersi spoczywała czerwona czapeczka z wiszącym czarnym frędzlem Serce, które waliło jak szalone, omal nie wyrwało się z piersi. Nie byłam pewna, czy ze strachu, czy z czegoś, czego nie potrafiłam jednoznacznie zakwalifikować. Bałam się jednak spojrzeć temu biednemu dziecku w oczy.

Kule świstały, harmider w głównym tunelu zdawał się narastać. Zmobilizowałam w sobie wszystkie siły, jakie mi pozostały, i oderwałam chłopca od siebie. Piękne, duże, ciemne oczy utkwili we mnie pełne przerażenia spojrzenie. Amir patrzył na mnie z nadzieją, łzy płynęły mu po policzkach. Coś we mnie drgnęło i objęłam go, pragnęłam, aby wypłakał wszystkie łzy wprost na moje piersi. Przycisnęłam go tak mocno, jakbym

chciała go udusić... nie wiem, czy podświadomie tego nie pragnęłam. Nienawidziłam go, przypominał mi całe zło, które mnie spotkało ze strony jego okrutnej rodziny, ale był też przez ten czas tym promyczkiem nadziei, dającym mi siłę do walki o każdy kolejny dzień.

— Nie bój się, Amirze — rzekłam instynktownie, a on przywarł do mnie jeszcze mocniej.

Dziś myślę, że ten chłopak dał mi wtedy siłę, wyrwał z błędnego stanu emocjonalnego odurzenia. Wzięłam się w garść.

— Musimy uciekać, Amirze, musisz być dzielny, rozumiesz?

Chłopak pokiwał głową, ale nic nie powiedział, poluzował jednak uścisk, dzięki czemu mogłam ściągnąć szpilki. Zerkając przez framugę na brata i jego kompana, wyciągnęłam z uszu złote okrygi i cisnęłam w kierunku pisuarów. Wtedy podbiegi Krzysztof.

— Musimy uciekać, zostaw to dziecko — rozkazał.

— Zabieramy go — odparłam tonem nieznoszącym sprzeciwu.

— Nie mamy czasu, Monika, zostaw tego gówniarza! — krzyknął Krzysztof i złapał mnie za rękę.

— NIE! — wrzasnęłam — Błagam cię, zostaw go, bo zaraz wszyscy tu zginiemy.

— To syn Abi Rabki! — wyrzuciłam z siebie.

Krzysztof zrobił wielkie oczy, ta informacja wyraźnie go zszokowała. Chwycił dzieciaka za korpus i...

— Krzychu, kurwa, pospiesz się! — ryknął nieznajomy, widziałam, że zmienia magazynek w swoim pistolecie.

— Dziesięć sekund! — wrzasnął w kierunku kompana i spojrzał na zapłakanego i nie do końca wiedzącego, co się dzieje chłopaka. — Jesteś synem Muhammada Abi Rabki? — spytał, patrząc mu głęboko w oczy.

— No mówię przecież! — krzyknęłam.

W tym czasie Amir pokiwał głową i wyjąkał niewyraźne: „Tak, proszę pana”. Na twarzy brata pojawił się grymas wściekłego zadowolenia.

— Jesteś moją boginią — rzucił i chwycił malca pod pachę, jakby ważył nie więcej niż damska torebka. — Trzymaj się mnie i nie odwracaj się. Uciekamy stąd — dodał i pomógł mi wstać.

Podbiegliśmy do mężczyzny z pistoletem. Był wielki jak tur. Zamienił z bratem kilka zdań, których nie rozumiałam, ale zaraz potem Krzysztof polecił wybiec do głównego tunelu i pędzić do następnych drzwi. Miałam bose stopy,

ale nie zważałam na ból. Ruszyłam, za mną brat z Amirem pod pachą, na końcu jego przyjaciela. Dziś wiem, że gdyby nie ten włoski gigant, pewnie nigdy nie uszlibyśmy z życiem z tego piekła. Droga z jednej strony była już wolna, ale za plecami wciąż świstały strzały, widziałam, jak ludzie w celach leżą w kałuży krwi, inni, skuleni pod ścianą, starają się uniknąć zbłąkanej kuli. A ja biegłam przed siebie, raniłam stopy, ale nic nie było w stanie mnie powstrzymać w ucieczce do upragnionej wolności.

Dopałam drzwi i wdarłam się do jakiegoś pomieszczenia. Nie odwracałam się, słyszałam, że brat jest tuż za mną. Krzysztof rzucił Amira na ziemię, jak znudzona dziewczynka szmacianą lalkę, wyciągnął małą latarkę i zaczął penetrować pograżone w mroku wnętrze.

— Tutaj — rzucił w przestrzeń i szarpnął za drzwi, które były zamknięte.

Oddał dwa strzały w okolicę zamka i potężnym kopniakiem wepchnął je do środka, uderzenie było tak silne, że prawie poszły w drzazgi. Jego kompan stał już za winkiem, ciężko dyszał, rękaw jego garnituru był poszarpany. Nagle w jego dłoniach pojawiły się dwa przedmioty, przypominały długopisy albo coś podobnego. Mężczyzna rzucił je w kierunku, z którego przybiegliśmy, i doskoczył do nas. Zbiegając schodami w mrok, usłyszałam dwa wybuchy. Nie zatrzymałam się, przede mną szalał snop światła z latarki brata, widziałam rury, zawory, jakieś przekładnie i maszyny.

Wtedy poczułam szarpnięcie.

— Załóż marynarkę, pójdę pierwszy.

Krzysztof postawił na ziemi zszokowanego Amira, następnie okrył mnie i wymownie spojrzął na moje zakrwawione stopy. Wyjął spod paska białą koszulę i jednym silnym szarpnięciem rozerwał ją, następnie rozdzielił jeszcze na dwie części i błyskawicznie owinął pokiereszowane stopy materiałem. Jęknęłam, ale szczęśliwie adrenalina buzowała w moich żyłach na tyle, że pozwalała zapomnieć o permanentnym bólu.

— Dasz radę? — spytał niepewnie.

Potwierdziłam.

— Pilnuj tego dzieciaka. Idźcie za mną, trzymaj rękę na moich plecach.

Chwycałam Amira za rękę. Była ciepła i delikatna. Mocno ścisnął moją dłoń. W ciemności widziałam jedynie rysy jego twarzy, chciałam coś powiedzieć, ale zrezygnowałam. Nie było na to czasu. Ruszyłam za moim wybawcą i po chwili wszystkich nas otoczyła ciemność.

KUBA

Odpaliłem silnik. O dziwo, byłem daleki od paniki, owszem, podenerwowany, ale bardziej skupiony na zadaniu niż osrany po uszy. Tak naprawdę ucieszyłem się, że w końcu wchodzimy w finalny etap akcji odbicia Moniki, bo, jak by na to nie patrzeć, priorytety zmieniły się — a może zaślepiony zemstą nie dostrzegalem, że od początku były właśnie takie — i chyba powoli godziłem się z faktem, że Muhammad Abi Rabka dziś nie wpadnie w moje ręce, a ja go nie zabiję.

Spojrzałem na zegarek i na zintegrowaną z nim nawigację, punkty oznaczające chłopaków wciąż znajdowały się mniej więcej w tym samym miejscu, ale właśnie powoli zaczęły się rozdzielać. Do stadionu miałem nie więcej niż minutę drogi, więc moim zadaniem było wstrzelić się w odpowiedni moment, gdyż przebywanie tam zbyt długo mogło okazać się po prostu zbyt niebezpieczne, szczególnie jeśli chłopaki narobili bigosu i wzbudzili panikę tłumu. Według Krzyśka od momentu odczytania wiadomości miałem około sześć, osiem minut do zdjęcia ich z ulicy, w wypadku gdyby zostali zmuszeni ewakuować się tunelami, sytuacja stałaby się znacznie bardziej dynamiczna. Poza tym zawsze mogliśmy się skontaktować, bo po rozpoczęciu akcji krycie się ze sprzętem było bezcelowe.

Pomyślałem, że odczekam jeszcze dwie, może trzy minuty, ale mój plan legł w gruzach, gdy dostrzegłem zbliżającą się bandę kilkuset mężczyzn, którzy ciągnęli od strony stadionu. Byli zwartą, ale na pewno nie jednolitą grupą. Jedni nosili zwykłe europejskie ciuchy, inni tradycyjne galabije, wielu prężyło gołe klaty, twarze zasłaniaли chustami lub szalikami, w rękach dzierżyli wszelaką broń, od pałek po maczety. Wyglądali jak ruszający do walki kibole, z tą różnicą, że zamiast klubowych sztandarów nad głowami powiewały flagi Państwa Islamskiego, symbole kalifatu, półksiężycy i antychrześcijańskie hasła. Znajdowali się niecałe sto metrów ode mnie, ale pomimo prawie zamkniętych okien, doskonale słyszałem ich pełne gniewu okrzyki. Mieszały się z wyciem syren, trzaskiem tłuczonego szkła i piskiem przerażonych kobiet. Szli ławą, zalewając kolejne fragmenty ulicy i chodnika, przypominali hordę ognistych mrówek, które zostawiają po sobie jedynie zgliszcza. Idąc, uderzali i przewracali samochody, wyginali znaki, płoty i barierki, te wszystkie metaliczne dźwięki wzbudzały jeszcze większy popłoch. Zbliżali się i graniczyło z pewnością, że tym razem mi się nie upiecze i przechodząc

główną ulicą, któryś z nich w końcu zainteresuje się samotnym explorerem, stojącym w bocznej uliczce.

Gdy zobaczyłem, jak z tej dzikiej sfory nagle wyleciała butelka i rozbiła się na masce zaparkowanego po przeciwnej stronie ulicy samochodu, natychmiast go zapalając, nie miałem już żadnych wątpliwości, że muszę brać nogi za pas. Problemem było to, że odcięli mi drogę i musiałem znaleźć inną, a to generowało nieprzewidziane konsekwencje. Musiałem improwizować, dlatego nie zastanawiając się dłużej, wcisnąłem pedał gazu i wyjechałem na drogę główną. Gdy tylko to zrobiłem, na dachu rozbiła się butelka, a w tylną szybę uderzył jakiś przedmiot, powodując lekkie pęknięcie. Przyspieszyłem, tym bardziej że wokół mnie sporadycznie kręcili się rozemocjonowani młodzi mężczyźni, biegali jak opętani, wyżywali się na samochodach, przy jednej z bocznych uliczek grupa wyrostków znęcała się nad jakimiś turystami. Nad głowami znów przeleciał śmigłowiec, dobiegały z niego jakieś polecenia przez megafon, niestety, przez ten cały zgiełk nie byłem w stanie zrozumieć, o co chodzi. Dostrzegłem, jak na jednym z balkonów pojawia się znajoma czarna flaga, którą powiesił jakiś dzieciak do spółki ze szczelnie okrytą nikabem kobietą, zapewne matką lub starszą siostrą.

Wiedziałem, że muszę odbić w prawo, następnie przejechać kilkaset metrów i skręcić w lewo, aby ominąć wiaduktem pobliską autostradę i bocznymi uliczkami zajeżdżać przed stadion od drugiej strony. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić — przekonałem się o tym bardzo szybko, bo o ile najliczniejsza grupa zupełnie mnie zignorowała, o tyle samotne wilki, głównie zakapturzeni gówniarze cieszący się, że znów nadarzyła się okazja do zadymy, raz za razem miotały w mój samochód wszystkim, co miały pod ręką, o mało nie trafili mnie koktajlem Mołotowa. Dwóch z nich wyskoczyło mi nawet przed maskę, ale wykonałem zgrabny unik i ich ominąłem. Posuwałem się równoległą do autostrady uliczką, gdyż główna arteria schodziła w dół, aby zamienić się w podmiejski tunel. W tylnym lusterku dostrzegłem, że horda przeskakuje przez ogrodzenie i rozlewa się po jej obu stronach, odcinając mi jednocześnie drogę powrotną, jak leniwie sunąca rzeka, której koryto rozdziela długi i wąski pas gruntu, lub kolonia mrówek, która właśnie natrafiła na trudną do pokonania przeszkodę i rozdzieliła się na dwie równie zabójcze kolumny. Z obecnej perspektywy, znajdując się na lekkim wzniesieniu, zrozumiałem, że to nie setki — to były tysiące. Ludzka masa rozczarowanych i wkurwionych facetów, którzy właśnie dostali szansę, aby wyładować

buzujący w żyłach testosteron, zindoktrynowana przez radykalnych imamów, pełna nienawiści i pogardy armia muzułmańskich szaleńców, gotowych w imię swojego Boga krzywdzić wszystkich, którzy nie są po ich stronie.

Zdałem sobie sprawę, że właśnie wywołaliśmy zamieszki, a przynajmniej staliśmy się iskrą, która do nich doprowadziła. Ja, zwykły student z Polski, przyczyniłem się do kolejnych rozruchów w stolicy Francji! Trudno mi było oswoić się z tą myślą, tym bardziej rodziło się pytanie bardziej na miejscu — czy niepokoje zostaną stłumione, czy znów rozleją się na całe miasto? Albo miasta? Albo...

Przypomniałem sobie słowa Abi Rabki i Mosisiego. *Każdemu z was odrąbiemy głowę i zatknjemy na płotach waszych domów* — te słowa starucha werżnęły mi się w umysł bardzo głęboko. *Abi Robi'a i jemu podobni chcą wywołać wojnę domową, realnie przenieść dżihad do europejskich miast* — mówił sudański doktor jeszcze kilkadziesiąt godzin temu.

— Kurwa mać — rzuciłem pod nosem, nie mogąc do końca ogarnąć konsekwencji swoich czynów.

Z krótkiego letargu ostatecznie wyrwał mnie potężny grzmot, który doszedł z prawej strony. Chmura ognia wystrzeliła z zaparkowanego niedaleko samochodu, płomienie natychmiast zajęły koronę rosnącego obok drzewa, a okolicę wypełnił drażniący dźwięk dziesiątków samochodowych alarmów. Poczulem zapach benzyny i palonej gumy. Skręciłem w lewo i dodałem gazu. Przed sobą miałem prawie pustą drogę, nie licząc dwóch facetów na skuterach oraz kilku przechodniów, wyraźnie zagubionych i nie do końca zdających sobie sprawę z tego, co się dzieje. Sytuacja była jednak dynamiczna i na horyzoncie dostrzegłem sznur samochodów. Minałem skrzyżowanie, na rogach którego stały dwa oszklone budynki przypominające siedziby prywatnych firm lub państwowych instytucji, w ich szybach wyraźnie odbijał się płonący wrak. Nieco dalej, na przystanku autobusowym, za którym ciągnął się mur z kolorowym graffiti, dostrzegłem dwóch czarnoskórych malców z torbami treningowymi, mieli może po osiem, dziewięć lat i jakby nigdy nic czekali na kolejny autobus, który, jak zakładałem, raczej się nie pojawi. Tu wciąż było jednak stosunkowo spokojnie i tylko od czasu do czasu pospiesznie przemykali okoliczni mieszkańcy. Pomyślałem, że większość chce po prostu wrócić po robocie do domu, suto zjeść i odpocząć przed kolejnym pracowitym dniem. Chyba nie do końca miałem rację, bo już na najbliższym skrzyżowaniu organizowała się kolejna grupa, która liczyła przynajmniej kilkadziesiąt osób.

Na ławce mieszczącej się na przyległym do niego skwerze stał brodac w turbanie i z megafonem w ręku agresywnie przemawiał z podwyższenia do zebranych, głównie młodych i szczupłych mężczyzn. Nie przejąłem się tym specjalnie, tym bardziej że moje obawy wzbudziło coś innego. Z tej strony od stadionu również ciągnęła nieprzebrana masa ludzi i choć była bardziej rozproszona, a na horyzoncie widziałem zadaszenie obiektu, nie było szans, abym zdołał przebić się, nie wyrządzając krzywdy sobie lub innym.

Ponownie zakląłem szpetnie i wyminąwszy trzy blokujące mi drogę pojazdy, z piskiem opon ruszyłem przed siebie, licząc, że nadrobię trochę drogi i spróbuję od jeszcze innej strony. W oddali dostrzegłem kolejny płonący wrak, ciemny dym unosił się już wysoko nad dachami budynków. Rozwiął go dopiero pęd śmigieł helikoptera, który pojawił się znikąd i pofrunął w kierunku stadionu.

Nigdy nie widziałem działań zbrojnych na własne oczy, oglądałem je jedynie w telewizji lub w kinie, ale otaczająca mnie okolica coraz bardziej zaczynała przypominać teatr wojny. Nie takiej w pełnym znaczeniu tego słowa, ze zgliszczami zamiast kamienic, wybuchającymi bombami, taranującymi wszystko czołgami czy umundurowanymi żołnierzami prującymi seriami z broni szturmowej, atmosfera zdawała się jednak przyzwalać na wszystko. Nikt już nie zwracał uwagi na zasady ruchu drogowego, można było też podejść do pierwszej lepszej osoby i dać jej w pysk, a następnie skopać do nieprzytomności, będąc spokojnym, że nie poniesie się za to żadnych konsekwencji. Zresztą... ile osób poniosło karę za swoje nieczne czyny w czasie powstania paryskiego? Przecież wtedy trup też ścielił się gęsto. Odpowiedź brzmiała — niewielu, dosłownie garstka. Przeraziło mnie to jeszcze bardziej. Wtedy można było bezkarnie zabijać...

Wbiłem się na jednopasmową ulicę, ale drogę zatarasowała mi jakaś ciężarówka. Niemal czując na plecach oddech indoktrynowanej grupy, wjechałem na chodnik i trąbiąc, przegoniłem kilku nastolatków, którzy coś wykrzykując, rozpięchli się przed maską. Przed zdezelowaną wywrotką ciągnął się sznur pojazdów osobowych i nie miałem jak wrócić na ulicę, zgłupiałem, bo dalszą drogę zagradzały wystające słupki. Nie mogłem czekać, musiałem podejmować szybkie decyzje. Wycofałem kilkanaście metrów, następnie docisnąłem gaz do dechy i przebiłem się przez barierę, solidnie kierując terenówkę Franco. Cel jednak osiągnąłem i posuwałem się dalej wąską betonową trasą dla przechodniów. Dotarłem do kompletnie

zakorkowanego ronda, dziesiątki klaksonów znerwicowanych kierowców nic nie dawały i kolejnym zaczynały puszczać nerwy. Agresywnie przebiłem się po trawniku, następnie skosiłem żywopłot przy pobliskim bloku. Niestety, znów wpakowałem się w ślepią uliczkę. Z naprzeciwka wyłoniła się totalnie zakorkowana arteria. Zrozumiałem, że niepostrzeżenie wjechałem na niewielkie blokowisko, z którego ludzie w popłochu po prostu uciekają. Nie miałem szans przebić się, bo wszyscy pchali się, nie bacząc na jakiegokolwiek przepisy.

Zaczęła mnie ogarniać panika, bo traciłem ostatnie możliwości dotarcia w bezpośrednie otoczenie stadionu. Teraz obiekt wydawał się całkiem zablokowany, a mnie powoli kończył się czas. W ciągu kilku minut musiałem odebrać moich przyjaciół! Nie mogłem, kurwa, nawalić!

W desperacji spojrzałem na nawigację i trzy punkciki, z których dwa, o dziwo, opuściły już teren stadionu i teraz posuwały się gdzieś na wschód, czyli — przynajmniej w tym przypadku uśmiechnęło się do mnie szczęście — równoległe do mnie. Trzeci wciąż tkwił w środku, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent byłem przekonany, że to Afgan. Założenia brały pod uwagę fakt, że może się odłączyć i spróbować wydostać się głównym wyjściem, miałem tylko nadzieję, że jest w jednym kawałku. A Figur i Franco? Znajdowali się już dobre dwieście czy trzysta metrów od stadionu, oznaczające ich plamki na ekranie świeciły nieco słabiej i migąły, co sugerowało, że ostatecznie mogli zdecydować się na plan B i ewakuację kanałami. W linii prostej miałem do nich dwieście metrów, zaledwie dwie przecznice. Nerwowo wrzuciłem wsteczny i ryjąc kołami trawnik, wycofałem wóz, a następnie zahaczając lekko o latarnię, ruszyłem jak najdalej od zakorkowanego blokowiska. Przez następnych kilkadziesiąt metrów znów testowałem wytrzymałość zawieszenia, przebijając się przez krzaki, krawężniki, skosiłem też drewniane ogrodzenie pobliskiej restauracji. W ogóle nie przejmowałem się konsekwencjami takiej jazdy, tym bardziej że inni kierowcy też przestali zwracać na nie jakąkolwiek uwagę, policji się tu nie spodziewałem, a jeśli nawet jakiś radiowóz pojawiłby się w zasięgu mojego wzroku, to zakładałem, że funkcjonariusze z pewnością mieli poważniejsze problemy na głowie, choćby w postaci gromadzenia się dużych, agresywnych i uzbrojonych grup lokalnych mieszkańców o zdecydowanie radykalnych poglądach czy bezwzględnych ataków miejscowych na obcych im kulturowo turystów.

„I kto tu jest rasistą? — pomyślałem, wizualizując sobie przed oczami niedawną sytuację. — Ciekawe, czy ta blond laska z jaguara i jej facet w ogóle jeszcze żyją?”

Wjechałem z powrotem na ulicę i docisnąłem gaz, a silnik zawył rozpaczliwie. Gdy dotarłem do mostu, zakląłem jak szewc. Czy pod rzeką też ciągną się kanały? Jak na złość punkty na ekranie znikły, a ja rąbnąłem dłońmi w kierownicę, coraz bardziej skołowany i zdeorientowany. Czy aby na pewno robiłem dobrze, odjeżdżając tak daleko od stadionu? Przecież w zaistniałej sytuacji mogę nie wrócić, drogi zostaną zablokowane albo kompletnie zakorkowane. Co się stanie z Afganem? Kurwa mać!

Gdy nadzieja zaczynała mnie opuszczać, a panika coraz bardziej zuchwale wkradać się do umysłu, usłyszałem dzwonek, a zegarek zadrżał. Zjechałem na pobocze i gwałtownie zahamowałem, po czym natychmiast dotknąłem tarczy i odebrałem wiadomość.

Rue de Lorraine za pięć minut, potwierdź Ta wiadomość była prawdziwym lekiem na me skołatane serce. Figur żył i najwyraźniej miał się dobrze. Szybko wbiłem wskazaną lokalizację do nawigacji. To była następna ulica, góra sto metrów ode mnie. Potwierdziłem, a słabo migoczące punkciki znów się pojawiły, tuż za rzeką. Jeśli utrzymaliby tempo, mogli być nawet szybciej. Ruszyłem w umówione miejsce.

Mijałem kolejne zabudowania typowe dla tanich przedmieść dla imigrantów. Większość była oskubana z tynku, wymalowana nędznym graffiti, po prostu brzydka, wręcz odpychająca. W oddali po lewej stronie majaczyły kolejne blokowiska, z prawej horyzont przesłaniały hale, magazyny i wszelakie budynki przemysłowe. Może dlatego w okolicy wciąż było stosunkowo spokojnie, bo późna pora sprawiała, że większość przyległych do ulicy przybytków była zamknięta na cztery spusty, a najbliższe osiedle mieszkaniowe znajdowało się przynajmniej pół kilometra stąd. Z niecierpliwością wyczekiwałem tabliczki „Rue de Lorraine”, a gdy w końcu ukazała się moim oczom, poczułem, jak przeszywa mnie przyjemny dreszcz. Kątem oka dostrzegłem jakieś ruchy na pobliskim chodniku, ale grupka zakapturzonych mężczyzn była za daleko, aby móc mi zagrozić. Zignorowałem ich i skręciłem w lewo, jednocześnie zerkając na położenie moich przyjaciół. Byli blisko, nawet bardzo.

Pomyślałem o Monice. Czy była z nimi? Uratowali ją? A co z Abi Rabką? Krzychu go zabił? A Michał? Właśnie, kurwa, a Michał?!

Zatrzymałem się obok niewielkiej studzienki, przy murku upstrzonym na górze kolorowym dywanem z kwiatów. Cała aleja była zielona i wyraźnie odcinała się od szpetnej okolicy. Otworzyłem okno i czekałem. Z oddali słyszałem śmigłowce, tuż nad drzewami latały jaskółki, jakby chciały osobiście przekazać, że zbiera się na deszcz. Rzeczywiście, było bezwietrznie i cholernie parno, powietrze w oddali aż falowało, a na niebie kotłowały się burzowe chmury. Przeciągnąłem dłonią po czole i skroniach, strzepnąłem zebrane krople potu na chodnik i wytarłem ją w spodnie. Rozejrzałem się, ale nie dostrzegłem bezpośredniego zagrożenia, mimo wszystko zerknąłem na schowek pod prawym łokciem, w środku leżał w pogotowiu Glock. Czy byłbym w stanie go użyć? Nie wiem, ale przynajmniej stwarzał pozory bezpieczeństwa.

Kolejne spojrzenie na ekran nawigacji. Posuwali się szybko, zielone punkciki świeciły wyraźnie, byli już o krok. Chwyciłem zza siedzenia wcześniej przygotowany łom i wyszedłem na chodnik. Pomyślałem, że spróbuję unieść pokrywą i ułatwić chłopakom wyjście na powierzchnię. Żelazny dekiel był ciężki jak diabli i przesuwany, wydawał zgrzytliwy, metaliczny odgłos. Może dlatego nie zauważyłem, że nagle pojawiło się za mną trzech czarnoskórych mężczyzn. Odwróciłem się, gdy już było za późno. Dwóch łysych złapało mnie pod pachy, mieli krzepę i byli jeszcze więksi ode mnie, trzeci, nieco szczuplejszy, uderzył mnie w twarz, a następnie dwa razy w brzuch. Mówił coś o Jezusie, niewiernych, białasach, samochodzie i paru rzeczach, których nie byłem w stanie do końca zrozumieć. Z kontekstu wyłapałem, że ze mnie drwi i zaraz zabierze mi samochód. Miał lśniące zęby i przekrwione białka oczu, krótkie, odstające dready, a w uchu kwadratowy kolczyk. Zapamiętałem też pomarańczowe sportowe buty i dresowe spodnie Puma z niedopraną plamą tuż nad kolaniem. Dałem się podejść jak gówniarz i nie mogłem sobie tego wybaczyć. Gdy w końcu wyciągnął sprężynowy nóż i zaczął machać mi ostrzem przed twarzą, poczułem niekontrolowane i niezwykle silne skurcze w żołądku. Nie wiem, czy to był strach, czy efekt silnych ciosów, ale zwymiotowałem, wzbudzając pełne obrzydzenia i drwin reakcje napastników. Jednemu z nich obrzygałem rękę, więc puścił mnie, ale chwilę później wymierzył mi potężnego kopniaka w brzuch. Padłem twarzą na chodnik, solidnie się obdzierając, obraz rozmazał się, czułem potworny ból i kompletną bezsilność. Zwinąłem się w kłębek, spodziewając się ataku z każdej strony, ale ten nie nastąpił. Wciąż ze mnie szydzili, napawając się

moim cierpieniem Nagle jeden z nich, barczysty i wytatuowany facet w bokserkich ciuchach, podszedł do otwartej studzienki i z ciekawością zajrzał do środka. Gruchnęło. Raz i drugi, a pod łysym ugięły się nogi i runął jak rażony piorunem Upadł dokładnie koło mnie, twarzą w twarz. Zmroziło mnie, bo zamiast jednego oka zionęła krwawa dziura, druga, nieco mniejsza, znajdowała się niemal na środku czoła. Usta i nos drgały, jakby próbował coś powiedzieć, ale słowa nie chciały przejść przez gardło. W jedynej pozostałej źrenicy nie było już jednak widać życia. Facet był trupem Scena musiała wstrząsnąć nie tylko mną, bo pozostała dwójka stała jak wryta, typ z dreadami patrzył na swoją koszulkę, po której jak ciepła galareta spływały resztki mózgu martwego kompana. Drugi z tych, którzy mnie trzymali, kafar z okrągłą twarzą i tłustymi wargami, zaklął i wyjął zza paska pistolet. Pomyślałem, że to koniec, ale wtedy huk wystrzałów rozległ się nad moją głową ponownie. Prawie dwumetrowy olbrzym padł z rozerwaną pierśią, a typ w dreadach chwycił się za szyję, zachwiał się, ale kolejna kula trafiła go prosto między oczy i bezwładne ciało runęło na chodnik.

Ze studzienki wygramolił się Krzysiek, zaraz za nim Monika (której na początku w ogóle nie poznałem, bo wyglądała jak piękna, choć konkretnie postrzelona asystentka mistrza salonu tatuażu), jakiś dzieciak i na końcu Franco. Doznałem nieopisanej ulgi i w jednej chwili zapomniałem, że na moich oczach zginęło przed chwilą trzech mężczyzn. Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem nabrać oddechu. Krzychu chwycił mnie pod rękę i uniósł, jakbym ważył nie więcej niż mały worek ziemniaków.

— Spisałeś się, stary — wycedził, pakując mnie na tylne siedzenie. — Mamy Monikę, brachu! — dodał, podekscytowany.

— Nie mogłem wziąć Afgana... — wyjąkałem przez zaciśnięte z bólu zęby, brzuch i klatka piersiowa wciąż paliły mnie żywym ogniem — Opanuj się i mów — polecił Krzysiek.

Wziąłem kilka szarpanych wdechów i spotkałem się spojrzeniami z Moniką, dopiero teraz ją poznałem Miała mokre włosy, kosmyki przyklejały się do fantazyjnie pomalowanych policzków. W marynarce i z gołymi, również pokrytymi tatuażami nogami wyglądała dziwnie. Uśmiechnęła się i mnie uściskała, następnie chwyciła za giowę.

— Michał... gdzie on jest? — spytała drapieźnie.

— Nie wiem, nie odebrałem go — odparłem, czując, że znów zaczynam panikować.

W tym czasie Franco już ruszył z miejsca.

— Miał wybiec główną bramą. — Krzysiek zerknął na GPS i świszcząc, głośno wciągnął powietrze, w grymasie niezadowolenia. — Wciąż jest na stadionie...

— Przepraszam... nie miałem szans, obiekt zablokowany, zadymy prawie na każdym rogu. — Wypluwałem kolejne słowa jak kule z karabinu, aby przekazać jak najwięcej konkretnych informacji i w jak najkrótszym czasie.

— Musimy po niego wrócić. Jest bardzo źle?

— Setki, może nawet tysiące z bronią. Idą jak szarańcza i rozpieprzają wszystko, co znajdzie się pod ręką. Biją turystów, płoną samochody. I te śmigłowce...

— Rządowe. Musieli to planować od tygodni. Próbowaleś nawiązać kontakt?

— Nie miałem jak, nie w tej zadymie...

— Rozumiem — uciął Krzychu i szybko wystukał wiadomość na tarczy zegarka, następnie odwrócił się w kierunku Franco i zaczął tłumaczyć.

Dopiero teraz zorientowałem się, że cały czas mówiliśmy po polsku, a włoski przyjaciel zapewne nie zrozumiał ani słowa. Zaccherini skinął głową i z piskiem opon ruszył w stronę blokowiska. Zostawialiśmy za sobą prawdziwą rzeź, tak wtedy na to patrzyłem. Nie miałem pojęcia, że to dopiero preludium, a ten parny dzień na zawsze zmieni każdego z nas.

Pojechaliśmy nieznaną mi drogą, ale nie to było teraz moim największym zmartwieniem. Kierowcą był Franco, a akurat w tej kwestii można mu było zaufać w stu procentach. Krzysiek wypytał mnie o najbardziej przydatne informacje, powiedział mi też o chłopaku, na którego w pierwszej chwili nie zwróciłem większej uwagi, niemal zupełnie ignorując jego obecność. Doznałem szoku. Pomiędzy mną a Moniką siedział mały człowieczek o nazwisku Abi Rabka, drobny chłopaczek o cherubinkowej twarzyczce i w śmiesznym czerwonym kapelusiku z frędzelkami, krew z krwi człowieka, którego nienawidziłem najbardziej na świecie. Tulił się do piersi Moniki jak młodszy braciszek, a ona smukłą dłonią gładziła go po ramieniu.

Kurwa!

Dlaczego?

Przecież to bachor mordercy mojej Nawal, syn człowieka, który do spółki z jego braćmi zgwałcił Monikę i zrobił z niej niewolnicę, a do tego poderzwał mi gardło i prawie wysłał na tamten świat! Nie pojmowałem tego, ale

zaciśnięciem zębów i postanowiłem nie poruszać tematu, póki nie będziemy bezpieczni.

Michał wciąż nie odpowiadał, a my pędziliśmy wąskimi uliczkami osiedla, przez co Franco wielokrotnie musiał sprawdzać wytrzymałość swojej terenówki. Wysokie krawężniki, wystające słupki, trawniki, skwery, nie biorąc pod uwagę konieczności wymijania agresywnych, choć na szczęście niewielkich i mocno rozproszonych grup miejscowych blockersów. Na balkonach widziałem rozwieszone flagi Państwa Islamskiego i inne symbole islamu, wielkie murale na ścianach długich dwunastopiętrowców raziły swoim agresywnym charakterem, przedstawiały zamaskowanych i uzbrojonych mężczyzn z karabinami, płonące kościoły i krzyże, wojowniczo przemawiających imamów. Na balkonach nie rosły kwiaty, za to każdy jeden miał antenę satelitarną, a na sznurkach suszyło się pranie. To, co mnie uderzyło, to brak kolorów, w większości były to biało-szaro-czarne ciuchy, wśród których prym wiodły galabije, nikaby i burki. Przy kontenerach walały się tony długo nieusuwanego śmieci, opakowania po jedzeniu wisiły nawet na gałęziach drzew, na jednym z konarów czarny kot — przy górach odpadów były ich tu nieprzebrane ilości — próbował dobrać się do resztek zawartości powiewającej delikatnie czerwonej siatki. I to właśnie śmieci zdawały się najbardziej kolorowymi elementami tego ponurego krajobrazu, śmieci i wesoło ćwierkające jaskółki, które łagodziły nieco surowy obraz tej smutnej społeczności. Wspólnoty odrzuconych i żyjących poza systemem muzułmańskich imigrantów, którzy nie chcieli się asymilować, z każdym dniem bardziej pograżając się w swoim rygorystycznym, ascetycznym i pełnym gniewu świecie. Prawie wszyscy mieli afrykańskie rysy i bardzo ciemną karnację, musieli pochodzić z głębi Czarnego Lądu. Somalii, Nigerii, Sudanu, Czadu? Pewnie byli mieszanką etniczną wielu państw i państweczek północnej i środkowej Afryki. Jedno ich jednak łączyło — nienawiść do tych, którzy ich przyjęli. Do białych, niewiernych, rdzennych Europejczyków, zwał jak zwał, do wszystkich, którzy nie chcieli zaakceptować i uwierzyć w ich Boga. Nie mieli w sobie tolerancji, na którą tak zażarcie się powoływali, nie akceptowali sąsiada katolika czy krzyżaka na szyi turysty. Nie chcieli dzielić wspólnego dachu, placów zabaw, sklepów i świątyń, gardzili naszą gościnnością, nie stosowali się do panujących norm i reguł gospodarzy, którzy dali im schronienie. Pragnęli egzystować w świecie nakreślonym przed stuleciami przez jakiegoś szaleńca, a tym, którzy chcieli żyć po swojemu,

grozili obcięciem głów. Przecież mieliśmy dwudziesty pierwszy wiek! Jak to możliwe, aby ludzi mieszkający w największych metropoliach Europy mogli wierzyć w takie bzdury, ba, byli gotowi wysadzać się i zabijać w imię wyimaginowanej istoty zwanej Allahem? To było po prostu niepojęte, kompletnie absurdalne i niedające się wytłumaczyć w żaden logiczny sposób.

Dziś myślę, że ta absurdalność i irracjonalność zgubiła nas wszystkich. Po prostu nikt nie wierzył, że to może się naprawdę wydarzyć, że mroczne czasy mogą nadejść tak szybko, że ludzie w centrum Europy będą wkrótce błagali o szybką śmierć...

Nasz samochód przyjął po drodze wiele obelg i kilka kamieni, ale przebiliśmy się przez blokowisko bez większych problemów. Za kanałem wciąż było spokojniej i choć napięcie w powietrzu prawie iskrzyło, to do skali zejść przed stadionem brakowało jeszcze sporo. Pomyślałem, że na takie osiedle po prostu nikt się nie zapuszcza, w szczególności turyści. Nie było więc punktów zapalnych, nie było kogo bić i obrażać, wybijać sklepowych witryn, demolować knajp i podpalać samochodów. Muzułmanie, szczególnie najbiedniejsza warstwa tej społeczności, nie należeli do ludzi przesadnie świątliwych, ale nawet oni wiedzieli, że nie sra się we własne gniazdo.

W końcu wyjechaliśmy na nieco szerszą Rue du Progres, a na następnym skrzyżowaniu skręciliśmy na most. W tę stronę ciągnęło też wielu miejscowych, głównie w małych grupkach, ale na szczęście, droga nie była zakorkowana, nie licząc dwóch przedpotopowych peugeotów, zmierzających w tym samym kierunku co my. Zajeżdżaliśmy od północnego wschodu, z terenów osiedlowych, zamieszkanymi niemal w stu procentach przez wyznawców islamu, więc odgadłem, że lokalna młodzież sunie w kierunku stadionu, aby skorzystać z okazji i przyłączyć się do największej i najgroźniejszej grupy, w której mogła czuć się już zupełnie bezkarnie. Moje przypuszczenia potwierdziły się zaraz za kanałem, gdzie drogi na Stade de France były już wręcz oblegane — mężczyźni nawoływali się, pogwizdywali i nieco chaotycznie spieszyli w obranym kierunku. Przy niewielkim rondzie płonęły dwa samochody, szyby w sklepowych witrynach w wielu miejscach były powybijane, a szabrownicy robili swoje. Franco musiał zwolnić, aby nie porozjeżdżać ludzi, ale przeciągłe korzystanie z klaksonu miało się z celem, bo i tak nikt na niego nie reagował. Nie mogliśmy też zbyt często zwracać na siebie uwagi, bo tłum w każdej chwili mógł znaleźć w nas kolejny cel, a to było ostatnie, czego w tej chwili potrzebowaliśmy.

Między budynkami na wprost widziałem już zarys stadionu, do sygnału nadawanego przez GPS Afgana brakowało nam około pół kilometra. Posuwaliśmy się powoli wąską uliczką, zewsząd słyszałem gniewne okrzyki i z duszą na ramieniu zerkałem przez okno, mając nieodparte wrażenie, że zaraz ktoś się zorientuje i wróg doskoczy do nas jak stado hien do rannego bawołu. Szczęśliwie obeszło się bez incydentów i dotarliśmy pod bramy, które od wschodniej strony nie były tak oblegane. Za płotem wciąż stało sporo straganów, dokoła których chaotycznie kręcili się ludzie, ale w tłumie nie widać było paniki. Musieliśmy skierować się na południową trybunę i dotrzeć do wyłomu po zamachu bombowym. To stamtąd nadawał sygnał GPS mojego przyjaciela.

— Wciąż nic? — spytałem Krzyśka.

— Nic.

Zakląłem pod nosem. Do tej krótkiej wymiany zdań próbowała włączyć się Monika, ale Figur natychmiast ją uciszył.

— Zróbcie miejsce, każcie młodemu wejść za siedzenia — rozkazał. — Nie będziemy mieć wiele czasu.

Bez słowa chwyciłem dzieciaka i zacząłem go odciągać od Moniki, ale ten jak na złość jeszcze mocniej się do niej przykleił. Też musiał doznać szoku, był przerażony i zdezorientowany. Siostra Krzycha stanęła na wysokości zadania i w kilku ciepłych słowach namówiła chłopaka do zmiany miejsca, obiecując, że przez cały czas będzie trzymać go za rękę. Syn Abi Rabki rozplakał się, ale ostatecznie posłusznie wgramolił się za siedzenia i przyłgnąwszy do oparcia, objął Monikę za szyję, jakby chciał ją udusić. Ona trzymała jego wątłe ręce i nerwowo pocierała je palcami, oddychała płytko i szybko. Delikatnie mówiąc, miałem mieszane uczucia, widząc tę dziwną scenę. Nie skomentowałem i na znak legionisty zacząłem wypatrywać Michała.

Tłum przed stadionem nie był już tak gęsty, jak wcześniej. Nie wiem, co dokładnie działo się wewnątrz, ale poza murami sytuacja powoli wracała do normy. Owszem, ludzie byli podenerwowani i zachowywali się dość chaotycznie, ciągle coś wykrzykiwali i niemal z każdej strony do uszu dochodziło znieprawdzone *Allahu Akbar*, ale do totalnej anarchii brakowało sporo. Na ulicy niemal wszyscy kierowali się w tę samą stronę co my, czyli w kierunku południowej trybuny. Zbliżaliśmy się do sygnału z GPS-a.

— To mi się nie podoba — syknął przez zęby Krzychu, w tonie znów dało

się wyczuć ten jego szósty zmysł, a raczej umiejętność rozpoznania nieokreślonego zagrożenia.

Dyskretnie odbezpieczył broń, dostrzegłem, że kilku mężczyzn w galabijach przypatrywało się naszemu pojazdowi. Nie zareagowali jednak i gdy ich minęliśmy, znów wdali się w dyskusję. Do celu mieliśmy nie więcej niż sto metrów, wtedy go dostrzegłem Afgan stał na fragmencie gruzu z rozprutej trybuny i do nas machał. Wciąż miał na sobie ciemny garnitur i przeciwsłoneczne okulary. Znajdował się przy ogrodzeniu, zaraz obok jednej z bramek, przez które kiedyś musieli przechodzić kibice, aby dostać się na mecz. Wywijał rękami jak rozbitek na bezludnej wyspie do przepływającego nieopodal statku. Nie był pierwszym „niewiernym”, którego dostrzegłem w tłumie kręcących się w okolicy stadionu ludzi (większość z nich musieli stanowić bogaci klienci, bo każdy stał w asyście swoich ochroniarzy), ale nawet mnie coś tknęło. Jego zachowanie nie było naturalne. Gdy tylko o tym pomyślałem, Figur warknął coś w kierunku Franco, a Włoch wcisnął gaz do dechy.

— Głowy w dół! — krzyknął do mnie i Moniki. — To pułapka!

Wtedy padły pierwsze strzały, a ja kątem oka dostrzegłem, jak na ziemię pada jeden z przechodniów. Boczna tylna szyba poszła w drobny mak, poczułem powiew gorącego powietrza. Gdy nagle samochód uderzył w coś, a następnie podrzuciło go na progu spowalniającym, podskoczyłem i przez ułamek sekundy ujrzałem Michała, którego mijaliśmy na pełnym przyspieszeniu. Już nie machał, ale był sprowadzany do ziemi przez dwóch silnych mężczyzn w galabijach, kilku innych miało wycelowane w naszą stronę karabiny i pułało ogniem ciągłym. Słyszałem metaliczny dźwięk dziurawiących karoserię pocisków, krzyk Moniki i płacz syna Abi Rabki, huk strzałów z pistoletu Krzyśka, wrzawę podniesioną przez tłum, skowyt konających pod kołami naszego samochodu nieszczęśników. Trzymałem głowę nisko i podniosłem ją dopiero w momencie, gdy Franco przebił się przez barierki i wjechał na schody. Telepało jak podczas burzy w samolocie i po chwili zjechaliśmy na jedną z głównych dróg. Potężny silnik znów zawył i z piskiem opon ruszyliśmy przed siebie.

— Neeee! — zawodziła Monika. — Musimy wracać po Michała! Błagam!

Brat ją ignorował, dając kolejne sugestie kierowcy. Przeładował broń i odwrócił się w naszą stronę, ale w ogóle nie zwrócił na nas uwagi.

— Kurwa! — zaklął i krzyknął coś w kierunku Franco. — Ścigają nas!

Gdzie masz gnata? — warknął w moim kierunku.

— W schowku — odparłem i poczułem, jak ogarnia mnie wstyd. Krzychu sięgnął po moją broń i dał mi ją do ręki.

— Musimy się stąd wydostać. Jadą za nami i jeśli będziesz miał okazję, to wal w opony albo kierowcę. Franco nas wyprowadzi... — Ostatnie zdanie zawiesił w próżni, ale i tak dodało mi tak potrzebnej otuchy. — I natychmiast wyłącz GPS — dorzucił po krótkiej chwili.

Wziąłem się w garść i zacisnąłem dłoń na rękojeści pistoletu. Odwróciłem się. Za nami rzeczywiście jechały co najmniej dwie terenowe toyoty, ale były przynajmniej sto, sto pięćdziesiąt metrów za nami, przez co za zakrętami znikwały z widoku. Niestety, za każdym razem znów się pojawiały. Jeśli wcześniej wątpiłem, że znajduję się na terenie działań wojennych, tak teraz nie miałem wątpliwości, że wpadłem w sam środek pierdolonego piekła. Mijaliśmy płonące samochody, na chodnikach i skwerach leżały nieruchomo zakrwawione ciała, po ulicach biegali zamaskowani mężczyźni z kijami, łomami i maczetami w rękach. Gdzieś ktoś oddawał strzały, ktoś wynosił ze sklepu elektronikę, inny próbował bronić swoją napastowaną kobietę lub przemykał pomiędzy budynkami, pragnąc znaleźć bezpieczne miejsce. I te śmigłowce... Latały nad głowami jak w amerykańskich filmach o wojnie w Wietnamie, a z megafonów wciąż dudniły niezrozumiałe komendy. Chaos i anarchia opanowały północny Paryż i byłem jedną z osób, które bezpośrednio przyłożyły do tego rękę. Niepojęte...

Pędziliśmy przed siebie na złamanie karku, szczęśliwie pościg był daleko i tylko momentami czarne toyoty dawały o sobie znać mocnym światłem reflektorów za plecami. Nie mogłem ocenić, w jakiej części Paryża się teraz znajdujemy, powoli zapadał zmrok, potęgowany wiszącymi nad miastem chmurami burzowymi. Wszystko działo się zbyt szybko, a zamieszanie na ulicach tylko wzmagало wrażenie zagubienia. Pewne było jedno —jeszcze nie opuściliśmy dzielnic zamieszkałych przez imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu, bo to ludzie o rysach i karnacji charakterystycznej dla tych właśnie terenów zdecydowanie dominowali na tym obszarze. Nie przeszkadzałem Krzyškowi i Franco, którzy współpracowali po swojemu, rozmawiali też w najwygodniejszym dla nich języku francuskim. Pomyślałem o Afganie. Teraz on był w rękach Abi Rabki. Poświęcił swoją wolność za wolność swojej kobiety. To było idiotyczne, ale na swój sposób nawet mu zazdrościłem. Michał zachował się jak prawdziwy facet, a nie jak pizda. Nie musiał patrzeć,

jak jego ukochana umiera na jego oczach, jak płonie jej twarz, a skóra spływa jak z woskowej lalki, jak krzyczy, a głos więźnie jej w gardle. Zrobił to, co powinien zrobić każdy prawdziwy mężczyzna. Opanował emocje, ujarzmił strach i uratował swoją kobietę. Ta kobieta siedziała teraz obok mnie i opiekowała się synem swojego oprawcy, jakby ten gówniarz był jej rodzonym dzieckiem...

Emocje targały mną jak wichry konarami wiekowego drzewa, pustoszyły moje wnętrze jak potężne tsunami, paliły jak pożar w australijskim buszu. Poczułem, że w oczach zbierają się łzy złości, wstydu, gniewu, bezsilności. Do tego te strzały, wybuchy, śmigłowce, wrzaski przerażonych ludzi... Atmosfera mnie przytłoczyła, wszystko było takie niespodziewane, zagmatwane, niemożliwe do przewidzenia, a zarazem tak cholernie prawdziwe. Przyszłość nagle stała się teraźniejszością, młodzieńcze fantazje rzeczywistością, telewizyjne przekazy zmieniły się w niezaprzeczalne fakty, a krew już nie smakowała jak ketchup.

Z chwilowego letargu wyrwał mnie pisk opon i ostre hamowanie samochodu, które pchnęło mnie na zagłówek Franco. Wyrzuciłem skronię mocno, ale nie na tyle, aby pękła skóra. Włoch był doskonałym kierowcą, ale mimo tego cały samochód zadrżał, jakby stracił przyczepność, w końcu obrócił się bokiem i przewrócił, aż ostatecznie osiadł na dachu. Złapaliśmy gumę, a raczej komplet gum, bo wszystkie opony były w strzępach. Na szczęście prócz kilku siniaków i zadrapań nikomu nic się nie stało i wszyscy w miarę sprawnie zdołaliśmy opuścić samochód. Krzysiek pomógł wydostać się siostrze, ja na jego polecenie wyciągnąłem bękartą Abi Rabki.

Nerwowo zerknąłem w kierunku, z którego przyjechaliśmy, ale najwyraźniej musieliśmy zgubić pościg, bo nie dostrzegłem reflektorów. Dopiero wtedy do mojego ogłuszonego od uderzenia mózgu dotarł ten przeraźliwy jazgot. Odwróciłem się i dosłownie mnie zatkało. Przed nami, na jednym z tysięcy paryskich placów, kłębiły się tysiące rozwścieczonych imigrantów, a z kolejnych ulic ławą nacierały siły rządowe. Oddziały szturmowe w asyście antyterrorystów nie patyczkowały się i seriami pręły z karabinów do protestujących, którzy odważyli się podejść najbliżej. Postrzeleni padali, ale większość, trzymając się za brzuch lub głowę, czasem z pomocą kompanów, wstawała i czym prędzej znikła w tłumie.

— Walał z gumy jak nigdy — rzucił w przestrzeń Krzysiek.

Nie skomentowałem Rzeczywiście nie przypominali tych mazgajów

z telewizyjnych newsów. Nie cofali się, wręcz przeciwnie, napierali jak grecka falanga, wydając przy tym rytmiczny odgłos. Pierwotny i zwiastujący nieuniknioną śmierć. Na kolejne rozkazy przełożonych z tylnych rzędów padały strzały, a gumowa amunicja siała popłoch w zdumionym tak twarą postawą policji tłumie. Oddziały były świetnie wyszkolone i gotowe na wszystko. To po prostu się czuło. Motłoch też to zwęszył i wydawał się tracić impet, cofał się, od czasu do czasu rzucając w kierunku oddziałów butelki, kamienie, sztachety czy koktajle Mołotowa. Był spychany w naszą stronę, niemal z każdej strony. Na ulicach pojawiało się coraz więcej płomieni, łuny tańczyły na obskurnych murach. Na niebie wciąż wisiały ciężkie burzowe chmury.

Wtedy znów usłyszałem huk śmigieł helikoptera. Maszyna zawisała nad rozwrzeszczaną tłuszcą, na coraz ciemniejszym niebie wyglądała jak gigantyczna mechaniczna wałka, jej reflektory oślepiały. Podobnie jak te, które w dali rozbłysły za naszymi plecami. Caracal odpalił działka i rozpętał piekło.

NIEWIERNY

17 września 2033 roku, Linia Maginota, granica niemiecko-luksemburska

Mrok.

Tak czarny i nieprzenikniony jak ON.

Z niego powstał, w nim się narodził. Oszukał pierwotnego, wieszcząc, że jest światłością. Tysiące pokoleń uwierzyły, dały się omamić plugawemu fałszywcowi, wierząc, że poprowadzi ich do szczęścia wiecznego.

Głupcy.

Ja wiem, czym jest mrok. Otulił mnie całunem od czasu narodzin. Gdy zbliżał się JEGO czas, gdy już nie musiał kryć swojego prawdziwego oblicza, szkaradnego jak wszystkie złe uczynki, których JEGO wyznawcy dopuścili się w czasie, gdy rozpoczął swoje panowanie, wziął mnie w objęcia jak kochająca matka. Pieścił czule, zatruwając niewinną duszę, karmiąc widokami podłych czynów swoich wiernych. Widziałem wiele z nich, też byłem jego wyznawcą...

Dziś nauczyliśmy się żyć w mroku. Nie mieliśmy wyjścia, przez ponad rok ciemność była naszym wybawieniem Wybawieniem... co za ironia.

Pewnie doskonale bawił się, gdy kolejne dni i noce spędzaliśmy w podziemiach, wtuleni w ciała towarzyszy niedoli. Zmuszeni do życia w piwnicach, tunelach, kanałach, żywiąc się szczurami i wszelakim robactwem, czekaliśmy w nadziei, że jeszcze ujrzymy słońce. Wielu nie zdołało przetrwać, mrok zabrał ich w otchłań szaleństwa, otworzył w ich umysłach bramy, przez które wdarły się jego najbardziej przerażające demony. Popadaliśmy w obłęd, paranoję, opętanie. A gdy już posiadał ludzką duszę, spuszczał pierwotną bestię.

Dziś znów jestem w jego świetle. Czuwam Nieprzenikniony mrok wypełnia tunele, którymi kroczymy w poszukiwaniu JEGO siepaczy.

Brakuje nam jedzenia, nasze zapasy kończą się nieubłaganie. Wiem, że ON się śmieje. Próbuje nas opętać jak tych, którzy przemykają w mroku, czekając na naszą słabość. Poruszają się bezszelestnie, są jak złe duchy, czasem mam wrażenie, że słyszę ich oddech zaledwie kilka centymetrów za plecami. Od lat nie wychodzą na powierzchnię, teraz to jest ich dom. Widzą w ciemności lepiej niż my, mają ostre zęby i długie pazury. I zawsze są głodne.

Ewolucja przyspieszyła...

Odwracam głowę w kierunku moich towarzyszy. Mrok rozświetla błysk ognia, jego światło tańczy na betonowych ścianach. W niektórych miejscach są porośnięte grzybem, to tam szukamy istot, które ON zaprosił do swojego królestwa. Karaluchy, pajęczaki, pijawki, drobne skorupiaki, gdy dopisze szczęście, trafi się dorodny szczur. Pozwala nam żywić się JEGO pokarmem, robi to z perfidną rozkoszą. Jestem pewien, że nas obserwuje. Mrok jest JEGO domem. Idę w stronę ognia. Większość towarzyszy śpi, reszta czuwa. Daję znak Saszy, człowiekowi ze Wschodu, że idę się posilić. Jego twarz to jedna wielka blizna. Szramy są głębokie, lśnią w blasku płomieni, przecinają się na czole, policzkach i szyi, tworząc mozaikę pamięci tego, jak wygląda nasz codzienny świat. Watahy dzikich psów potrafią być groźne...

Na różnie pieką się szczury, siedem z dwunastu sztuk, które dziś udało się upolować Danielowi i Annie. Są dorodne, są obietnicą ciepłego i smacznego posiłku. Ale nie tylko. Ich słuszne wymiary są obietnicą czegoś jeszcze... Nie chcę teraz o tym myśleć, jestem głodny. Ściągam posiłek z różna i nabijam na nóż. Zapach mięsa drażni moje ślinianki. Wgryzam się, jest bardzo smaczne. Chwytam za ramię porucznik Figurską i lekko potrząsam. Trzymam dystans, bo wiem, że może być agresywna. Gwałtownie budzi się, w jej ręce błyska ostrze. Zawsze śpi z nim w dłoni. Wiem, że dręczą ją koszmary. Rozumiem to, ja najlepiej ją rozumiem...

Widząc moje oblicze, uspokaja się, a na jej twarzy pojawia się przyjazny grymas. Jej wargi zdobi blizna, która wykrzywia uśmiech, powodując, że ktoś nieznajomy może mieć mieszane uczucia. Ja wiem, że to szczery, zawsze przeproszający po gwałtownej reakcji wyraz jej przyjaźni. Porucznik chowa nóż i w milczeniu podnosi się. Kiwam jej porozumiewawczo głową i odsuwam się pod ścianę. To koniec mojej warty. Kończę posiłek i wyciągam z kieszeni świecę. Zapalam płomień i wyciągam z plecaka książkę.

Dziś też będę szukał odpowiedzi na dręczące mnie pytania.

Zanim zmorzy mnie niespokojny sen.

KRZYSIEK

1 września 2023 roku, Paryż, Francja

Lunęło jak z cebra, a niebo przeszły błyskawice. Przez ułamek sekundy naprawdę pomyślał, że caracale zaczęły walić do tłumu, ale wystrzeliły tylko kilkanaście ładunków z gazem łzawiącym. Wystarczyło, aby ludzie wpadli w panikę, w strugach deszczu wyglądali jak armia rozwścieczonych zombie, pragnących za wszelką cenę dostać się do wiszącego kilkanaście metrów wyżej śmigłowca, aby dorwać pilotów i rozerwać ich na strzępy. Zapanował totalny chaos. Sytuacja była fatalna, bo nie mieli samochodu, z trzech stron byli otoczeni przez zaciskający się pierścień oddziałów szturmowych paryskiej policji, która dodatkowo spychała tysiące wściekłych i uzbrojonych mężczyzn w ich kierunku. Co gorsza, pościg nie został zgubiony i na horyzoncie pojawiły się reflektory terenówek ludzi Abi Rabki.

Stali w kupie, w oczach Moniki malował się lęk, który zaraz mógł zamienić się w histerię. Smarkacz nie mógł się od niej odkleić, a Kuba wodził oczami po okolicy, szukając jakiejś sensownej drogi ucieczki. Franco taksował każdy centymetr placu, mając ten sam cel, analizował wszystkie możliwości i jak komputer poddawał je w mgnieniu oka szczegółowej obróbce, aby wybrać najlepszą opcję. Zatrzymał wzrok na miejscu oddalonym około pięćdziesięciu metrów od nich, na rogu przy wysokim budynku z mocno poodklejanym tylnikiem. To była ich szansa. Metro!

Nawet zakładając, że w związku z akcją tłumienia zamieszek ruch pociągów został wstrzymany, szansa na ocalenie zdawała się znacznie większa pod ziemią. Rozruchy nigdy nie rozkręcają się pod ulicami, bo to po prostu bez sensu z medialnego punktu widzenia. Coś niewidocznego traci na atrakcyjności i sile przekazu. Stąd można było wnioskować, że manifestanci będą próbowali walczyć o swoje na powierzchni, przystanki metra traktując jako ostateczność. Poza tym nie mieliśmy żadnego wyboru — to była jedyna droga ucieczki.

Na znak Krzyśka wszyscy ruszyli w tym kierunku, on sam chwycił pod pachę młodego Amira, nie zważając na jego rozpaczliwe wrzaski. Kilkadziesiąt metrów na prawo panował chaos, duszący biały dym drażnił oczy i drogi oddechowe rozjuszonych protestantów. W jego kłębach wyglądali jak jakieś dzikie plemię podczas prastarego rytualnego tańca. Jazgot był niesamowity, niektórzy wciąż próbowali podejmować walkę z policją, inni uciekali, traktując najślabszych. Jeden zakapturzony chudzielec wdrapał się na

latarnię i drąc się wniebogłosy, trzymał łopoczącą w silnym podmuchu ze śmigieł caracali flagę Państwa Islamskiego, aż trafiony gumową kulą runął w rozwścieczoną tłuszcę. Z drugiej strony rozpędzone toyoty zaraz miały wpakować się w tę samą zasadzkę, którą ktoś rozłożył na ulicy, policyjną kolczatkę do zatrzymywania uciekających przed pościgiem kierowców. Kto ją rozstawił? To miało pozostać zagadką, choć sześć innych porzuconych wozów powinno dać Krzyškowi do myślenia. Zganił się za to, bo gdyby był bardziej czujny i spostrzegawczy, mogli uniknąć tej wpadki.

Gdy opony terenówek Abi Rabki właśnie rozrywały się w strzępy, a oni wbiegli na schody do stacji metra, kątem oka dostrzegł, jak zupełnie znieacka nadjechał sportowy motor. Motocyklista gwałtownie zahamował i zeskoczył z maszyny, w ogóle nie dbając o to, że runęła na ulicę. Znał tę sylwetkę.

— Nie mam broni, nie mam broni! — darł się mężczyzna, trzymał ręce w górze, gdy zbiegał po schodach za Krzyśkiem i resztą.

— Nazzar — syknął Figur, następnie puścił Amira, chwycił „Lecu” za gardło i niemal wcisnął w wyłożoną kafelkami ścianę. — Czego chcesz?

— Chcę żyć.

— Nie jesteś nam już potrzebny. Wypierdalaj!

— Daj sobie pomoc, człowieku. Mogę was stąd wyprowadzić.

Legionista wahał się, ale przecież ten typek tak naprawdę walczył o własne życie. Miał zaledwie kilka godzin do czasu podania antidotum, w przeciwnym razie przez następne dwie doby umierałby, cierpiąc nieopisane katusze. Przed akcją Krzysiek powiedział to „Lecu” wprost, aby nie było żadnych wątpliwości — on był jedyną osobą znającą miejsce ukrycia zielonej fiołki, więc jeśli zawiedzie, po prostu strzeli sobie w łeb. Wtedy „Lecu” sam będzie już trupem — Prowadź! — warknął i zwolnił uścisk szyi terrorysty, którego białka już zdążyły zająć czerwienią.

Monika i Kuba z Amirem przystanęli, nerwowo obserwując zaistniałą sytuację, jedynie Franco na szpicy taksował okolicę i pilnował, aby od frontu nie zaskoczyło ich jakieś niebezpieczeństwo. Krzysiek z „Lecu” dołączyli do nich, Algierczyk wyszedł na czoło. Przeprowadził ich przez pokryte fatalnym graffiti tunele, przeskoczyli przez bramki i znaleźli się przy torach. Po drodze minęli kilkanaście osób, głównie zaskoczone gwałtownymi zamieszkami rodziny z dziećmi, kilka samotnych kobiet w nikabach, starszego mężczyznę o lasce, prawdopodobnie niewidomego.

— Pociągi nie kursują — oznajmił zdyszany „Lecu”. — To mała stacja

i nie przedostaniemy się innym wyjściem poza kordony policji, ale jest inna droga.

— Gdzie nas prowadzisz? — wysyczał podejrzliwie legionista.

— Jakiś kilometr w głąb tunelujest wyrwa w murze.

— Mów jaśniej.

— To jedno z wejść do katakumb.

To słowo najwyraźniej zostało zrozumiane przez wszystkich, bo każdy z osobna spojrział na Algierczyka, jakby ten właśnie ogłosił, że jutro nie wzejdzie słońce.

— Tych katakumb? — upewnił się Franco.

— Znam je dobrze, często tam bywam— bronił się „Lecu”. — To tylko sieć tuneli i grot, ale za to bardzo rozległa i może wyprowadzić nas nawet pod Luwr. Tam powinniście być bezpieczni.

— A ty dostaniesz antidotum... — rzucił z niesmakiem Krzysiek.

— Taka była umowa, legionisto — nieco odważniej wycedził Algierczyk.
— Pomagam wam w uwolnieniu tej... — Zawiesił na chwilę głos, ale szybko dodał: — ...tej kobiety, a ty dajesz mi fiolkę. Dotrzymuję umowy, robię nawet więcej niż...

— Zamilcz! — warknął Figur. — Wiem, co mówiłem, a teraz ruszaj.

Paryskie katakumby — sieć długich na ponad trzysta kilometrów korytarzy, wyrytych jeszcze za czasów cesarstwa rzymskiego jako pozostałość po kamieniołomach, z których wydobywano wapień potrzebny do budowy miasta. Aurę tajemniczości i mroczną atmosferę zawdzięczały dziesiątkom tysięcy składowanych tu czaszek i kości, które trafiły pod ziemię po decyzji króla Ludwika XVI, obawiającego się epidemii. Pod koniec osiemnastego wieku w ponurych tunelach składano tysiące zwłok nie tylko umierających, ale także mieszkańców, którzy już wcześniej spokój znaleźli na paryskich cmentarzach, wykopywanych i przenoszonych, aby zwolnić miejsce innym Katakumby miały swoją mroczną stronę także i dziś. Wstydliva dla miasta kwestia zawsze była pomijana, prasa z zasady o niej nie pisała, ludzie milczeli i woleli udawać, że temat nie istnieje. Wszyscy jednak doskonale wiedzieli, że to wylęgarnia przestępców, dilerów i degeneratów, sypialnia bezdomnych i włóczęgów, wszystkich tych, którzy nie potrafili odnaleźć się na powierzchni. To tu odbywały się undergroundowe imprezy dla młodzieży, schadzki mieli wyznawcy satanizmu oraz innych groźnych i nieakceptowanych sekt, podobno można było doznać wyrafinowanych seksualnych rozkoszy, ba, legendy

miejskie mówiły o kręceniu najbardziej zwyrodniałego porno, także pedofilskiego. Jednym słowem raj dla wszelkiej maści zboczeńców, dewiantów i ćpunów. W to miejsce nie zapuszczały się nawet uzbrojone po zęby gangi, muzułmanie zaś traktowali katakumby jak bramę do samych piekieł i unikali jakiegokolwiek kontaktu z ludźmi je zamieszkującymi.

Podróż do paryskich podziemi mogła skończyć się dla zwykłego turysty bardzo szybko i choć nie brakowało śmiałków szukających mocniej szych doznań, było to po prostu ryzykowne. Ludzie krety — jak byli nazywani ci, którzy zdecydowali się przenieść pod ziemię, głównie bezdomni wykolejeńcy — zazwyczaj nie należeli do niebezpiecznych. Oni oczekiwali jedynie spokoju. Groźna była zdemoralizowana młodzież, alfonsi, handlarze żywym towarem i wszelakiej maści ludzie związani z wynaturzonym seksbiznesem. Ich należało unikać jak ognia, ale nie robili też nic ponad potrzebne ryzyko, dlatego konfrontacja z legionistami raczej nie wchodziła w rachubę, tym bardziej w obecności przewodnika, który — jak zakładał Krzysiek — większość tych ludzi znał osobiście. Oczywiście, wędrówka tunelami nie należała ani do przyjemnych, ani do najbardziej bezpiecznych, ale obecnie była najlepszym rozwiązaniem. Zresztą podziemnymi korytarzami można było pokonać długie kilometry i ostatecznie wyjść w spokojnymmiejscugdzieś w centrum stolicy. Jeśli oczywiście ktoś potrafił poruszać się po tym mrocznym labiryncie. A skoro mieli przewodnika...

„To może się udać” — pomyślał Krzysiek, gdy maszerowali wzdłuż ściany tunelu metra. Panowała nienaturalna cisza, jedynie z oddali docierały do nich przytłumione odgłosy rozemocjonowanych ludzi, gdzieś padły strzały. Według „Lecu” ludzie Abi Rabfi byli na tyle przesiąknięci religijnym światopoglądem i prawdami objawionymi w Koranie, że raczej nie zdecydowaliby się wkroczyć do katakumb, obawiając się kontaktu z diabelskimi istotami, którymi sami straszili swoje dzieci. Demonizowanie tego miejsca było wśród muzułmanów bardzo powszechne, bo poziom zdemoralizowania i perwersji zamieszkujących lub korzystających z wyrafinowanych rozrywek podziemia jednostek pod każdym względem kłócił się z surowym prawem szariatu. Przynajmniej w jego oficjalnym przekazie i w stosunku do wyznawców Allaha.

— To tutaj.

„Lecu” wskazał dłonią długą na może dwa metry i wysoką na zaledwie pół wyrwę w murze, miała bardzo nieregularne brzegi, tak jakby została wyrąbana

kilofami bądź jakimś innym ciężkim narzędziem. Równie dobrze można było pomylić ją z jakimś drobnym wyrobiskiem i zakładając, że w środku nic nie ma, po prostu przegapić. Do wnętrza zapraszała nieprzenikniona ciemność.

— Prowadź — odparł Figur i skinął głową na zachętę.

„Lecu” wślizgnął się do środka, następnie w dziurze powoli zaczęli znikać Franco, Kuba, Amir i Monika. Szczególnie Włoch miał problemy, aby zmieścić się w wąskiej szczelinie, ale ostatecznie, wciągnąwszy potężną klatkę piersiową, udało mu się jakoś precyzyjnie. Krzysiek po raz ostatni rozejrzał się po tunelu metra, aby upewnić się, że nikt ich nie ściga ani nie śledzi. Z oczywistych względów nie ufał swojemu przewodnikowi, wiedział, że ten człowiek nie ma sumienia i gdyby mógł, przy najbliższej okazji z radością wbiłby mu nóż w plecy. Poświecił latarką, ale w zasięgu wzroku nie zauważył żadnego ruchu. W oddali słychać było kroki, mogły należeć do Abi RabFi i jego ludzi, ale szczerze wątpił, aby zdecydowali się wejść za nimi do katakumb, jeśli w ogóle dostrzegliby tę niepozorną i łatwą do przegapienia dziurę. Po krótkiej chwili wsunął się w zagłębienie.

Należało precyzyjnie się dobre kilka metrów, zanim znów można było stanąć na nogi. Klaustrofobiczny tunel przywitał go nieprzyjaźnie, ale jednocześnie lubieżnie zapraszał w głąb mrocznych czeluści. Rozejrzał się. Ściany z ręcznie ciosanego kamienia były łączone starą zaprawą, w dotyku mokre, zimne i nieprzyjemne. Czuć było wilgoć i słodkawy zapach, który Krzyškowi kojarzył się z historią i śmiercią. Powietrze wypełniało napięcie, dziwne, nienaturalne, na swój sposób straszne, jakby dokoła czaiły się duchy wszystkich pochowanych tu przed laty nieboszczyków razem z ich najbardziej niegodziwymi i podłymi występkami.

Krzysiek wstał i poczuł na karku chłodny podmuch, który tylko spotęgował to nieprzyjemne doznanie, miał wrażenie, że za plecami czai się sama kostucha i niewybrednie chce dać znać o swojej obecności. Przeładował broń, aby zająć czymś ręce i odrzucić giupie myśli. To tylko stare tunele. I nic więcej.

— Prowadź, Nazzar — rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu. — I nie próbuj kombinować — dodał groźnie.

Algierczyk prychnął, jakby słowa Krzyśka nie zrobiły na nim żadnego wrażenia i ruszył przed siebie. Drogę oświetlał sobie solidną latarką, najwyraźniej dobrze przygotował się do tego zadania. Czyżby to zaplanował? Jeśli tak, miał głowę na karku, potrafił przewidywać. To nie dawało legionście spokoju. „Lecu” zdawał się naprawdę poważnym rywalem

i wyprowadzenie go w pole wcale nie należało to rzeczy łatwych.

Szli gęsiego w ciszy. W wąskim niskim tunelu słyszeli swoje oddechy i echo stawianych kroków. Krzysiek kilka razy musiał uspokajać siostrę, przytulił ją i pogłaskał po głowie. Wiedział, że przeżyła wiele, tym bardziej pragnął zrobić wszystko, aby podnieść ją na duchu i ulżyć cierpiącemu sercu. Miała w sobie siłę, ale nie mogła pogodzić się z faktem, że jej miejsce zajął mężczyzna, z którym chciała spędzić resztę życia. Powtarzała jego imię jak mantrę, dopiero gdy Figur obiecał jej, że po niego wróci, nieco wyluzowała i skupiła się na opiece nad przerażonym i chlapiącym od czasu do czasu Amirem Kuba nie wykazywał przesadnej nerwowości, pomagał Monice, imponował opanowaniem spokojem Franco miał na oku przewodnika, a ten trzymał tempo. W pewnym momencie coś chrupnęło pod jego nogą, wydając szorstki i wstrętny odgłos. „Lecu” przystanął i wystawił rękę, stopując resztę. Odwrócił się. Snopy światła latarek powędrowały w okolice jego twarzy, dlatego przesłonił dłonią oczy, wciąż można było jednak dostrzec zarys jego twarzy. Wyglądał złowieszczo.

— Przed nami przeszkoda, która dla niektórych może być dość trudna do przebycia... — zwrócił się do wszystkich, kierując jednocześnie latarkę na Monikę i małego Amira.

— Mów jasno i konkretnie, człowieku, bo zaczynasz mnie wkurwiać — warknął Krzysiek i z trudem wyminął pozostałych, aby zbliżyć się do przewodnika.

Poświecił latarką w mroczną głębię.

— Kurwa — zaklął pod nosem i przetarł wierzchem dłoni spierzchnięte usta.

Korytarz był niemal po strop wypełniony ludzkimi kośćmi. Czaszki, piszczele, żebra, miednice i tysiące drobnych kosteczek, od palców po fragmenty kręgosłupa, przemieszane były z rozbitymi butelkami, puszkami i foliowymi siatkami, przy ścianie dostrzegł też dwie zużyte strzykawki. Nie cuchnęło zgnilizną, a ludzkie szczątki były suche jak wiór, więc zapewne przeleżały tu kilkadziesiąt, może nawet kilkaset lat. Szczury i wszelakie robactwo już dawno musiały najeść się do syta. Na niektórych czaszkach wymalowano markerem odwrócone krzyże, pentagramy i inne symbole satanistycznego kultu, na ścianach amatorskie graffiti przedstawiało wściekłe twarze rozlicznych demonów, wiszących zwłok czy składanych w ofierze niemowląt. Przykry widok, niektórzy ludzie nie mieli świętości. Bo jacy idioci

musieli wpaść na pomysł, aby na trupach zrobić sobie alkoholowo-narkotykową libację i bawić się w czczenie szatana? Głupie, rozpieszczone smarkacze...

— Przed nami góra ludzkich szczątków, ale to tylko suche kości. — Krzysiek zwrócił się do Moniki, od razu zmiękczając przekaz.

— Zakryję oczy Amirowi — odparła Jakby w ogóle jej to nie ruszyło.

— Mają ze sto albo i dwieście lat i...

— Okej, po prostu idźmy. Jak najdalej od tych sukinsynów.

„Lecu” wdrapał się na szczyt upiornej hałdy, pod jego kolanami stare kości pękały jak zapałki, wydając chrzęszczący odgłos, a on zapadał się w nich jak dziecko w basenie z tysiącami kolorowych piłek. Po chwili Franco, Kuba i Krzysiek dołączyli do niego i zaczęli rozgarniać szczątki, aby zrobić nieco więcej miejsca pod stropem — Dawno tędy nie wchodziłem, ale ta sterta ma może ze dwadzieścia metrów, a potem wszystko wraca do normy — oznajmił Algierczyk.

— Ile podobnych niespodzianek czeka nas po drodze? — spytał Krzysiek.

— Kości są w wielu miejscach, ale większej sterty niż ta nie pamiętam. Mamy do pokonania około czterech kilometrów, ale nic nam nie grozi. Zaufaj mi, legionisto.

Zaufać temu bandycie? W normalnych okolicznościach Krzysiek parsknąłby śmiechem, ale teraz oszczędził sobie podobnych komentarzy. Za plecami słyszał cichy szloch syna Abi Rabi’i i słowa otuchy kierowane do niego przez Monikę. Zmieniła się, stwardniała, był z niej cholernie dumny. Pomyślał, że jego modły zostały wysłuchane i od razu skarcił się za tak głupie podejście. Ona zawsze była silna, po śmierci rodziców nie załamała się, nie popadła w depresję. Poradziła sobie i nie było w tym ręki żadnego Boga.

Gdy w końcu przekopali się na tyle, aby móc swobodnie na kolanach przedostać się przez przeszkodę, wrócił po siostrę i jej podopiecznego i puścił ich przodem. Raczkowali gęsiego jak maluchy, kości łamały się i chrupały pod ich kolanami i rękami. Od czasu do czasu ktoś jęknął, gdy jakiś ostry fragment zranił ciało, Monika wydała z siebie kilka odgłosów świadczących o obrzydzeniu, z którym próbuje walczyć, aby nie zwymiotować. Najmłodszy śmiałek wciąż popłakiwał i głośno pociągał nosem. W końcu wszyscy znów mogli stanąć na nogi, co każdy przyjął w nieskrywaną ulgą.

— Teraz będzie łatwiej — oznajmił „Lecu” i ruszył dalej, a reszta ekipy poszła w jego ślady.

Po kolejnych dwustu metrach dotarli do groty, której ściany składały się z kości od podłogi aż po strop. Zostały ułożone główkami jedna na drugiej, dzięki czemu tworzyły szczelny mur, w kilku miejscach poprzecinany wzorami z powciskanych pomiędzy nie czaszek. Na swój sposób to było nawet piękne, wręcz majestatyczne, można było poczuć oddech historii. Z wyjątkiem jednego — paskudnego obróconego krzyża, który ktoś namalował czerwoną farbą na kościstej fasadzie, i rogatego demona z rozdziawionym pyskiem i szeregiem długich i ostrych zębów. O ile Amir wydarł się, jakby właśnie ujrzał samego szatana, to reszta zachowała spokój, jedynie Monika wzdrygnęła się, ale na szczęście od razu zajęła się uspokajaniem syna Abi RabFi. Jama była ponura i mroczna, ale wyłączając ten wandalski malunek, mniej przerażała, a bardziej skłaniała do zadumy nad śmiercią i kruchością ludzkiego życia.

— Kiedyś chciałem tu wejść, ale moja Kaśka, wiesz, Krzychu, ta eks, nie odważyła się — ciszę przerwał Kuba, który zauroczony wpatrywał się w ten niecodzienny widok. — W ulotkach widziałem, że podobnie wygląda szlak turystyczny i...

— Daleko jeszcze? — przerwał Figur i poświecił latarką w twarz „Lecu”.

— To nie szlak turystyczny, tamten jest w innej części miasta. My do wyjścia mamy jeszcze ze trzy kilometry — wyjaśnił Algierczyk, broniąc się dłonią przed oślepiającym światłem — Prowadź! Chcę stąd wyjść — rozkazał legionista i pospieszył przewodnika.

Ruszyli szerokim korytarzem Kościane fasady ciągnęły się jeszcze przez jakieś sto metrów, po czym znów przemieniły się w kamienny mur pokryty demonicznym graffiti. Prawie zawsze nawiązywało do piekła i śmierci, ale zdarzały się też niezrozumiałe bohomyzy albo napisy w stylu „tu byłem” wraz z imieniem i datą.

Zrobiło się nieco cieplej, choć temperatura wciąż nie przekraczała ośmiu, może dziesięciu stopni Celsjusza. Minęli kilka kolejnych korytarzy i pomieszczeń, tym razem mniej spektakularnych, głównie zaśmieconych butelkami i puszkami po piwie. Niepokój wzbudził w Krzyśku widok dziewczęcego wypłowiałego już bucika leżącego obok bezgłowej lalki pod jedną ze ścian, w obecnej scenerii wydźwięk był więcej niż złowieszczy. Dlatego specjalnie zasłonił ten fragment swoim ciałem, dodatkowo odwracając uwagę Moniki i pytając, jak się czuje i czy da radę. Szczęśliwie siostra dała się podejść i nie zauważyła tego przykrego i jakże ponurego obrazka.

W pewnym momencie Figur usłyszał metaliczny pogłos, zresztą nie tylko on, bo Franco od razu odbezpieczył broń, a Monika stanęła, jakby w jednej chwili zapuściła korzenie. Brzęk łańcucha? Kajdan? Musiały być bardzo ciężkie, bo wydawały głęboki i donośny pogłos. Na końcu tunelu widać było pomarańczową poświatę.

— Cśśś... — zasygnalizował „Lecu”. — Oni nie lubią nieproszonych gości.

— Jacy, kurwa, oni? — Krzyśka coraz bardziej irytowały zagrywki terrorysty, miał wrażenie, że testuje jego cierpliwość.

— Kręć tu filmy, wiesz... te niszowe.

— Ilu ich jest?

— Góra sześciu, plus ci, co chcą zarobić. Rzadko więcej niż dziesięciu.

— Znasz ich dobrze, czyż nie?

Pytanie najwyraźniej nie zaskoczyło „Lecu”, Algierczyk jedynie spojrzął z pogardą na Krzyśka i zmienił temat.

— Możemy przejść na spokojnie, bez przelewania krwi. Oni też nie chcą kłopotów, wolą liczyć kasę.

— Więc pójdźmy przodem i upewnijmy się, że mówisz prawdę.

To powiedziawszy, skinął na Franco i puknął lufą „Lecu”, aby wypuścić go przodem Kubie i siostrze nakazał zaczekać. Gdy zbliżyli się, usłyszeli kolejne odgłosy, była ich cała gama, przypominały szuranie, zawodzenie, jęki, klapsy. Z wnętrza jamy biło silne światło, a w tle buczał przenośny generator prądu. Domyślał się, czego może się spodziewać. Gdy zbliżyli się do otwartego wejścia, usłyszał chrypliwy i przepity męski głos.

— Stop, stop, kurwa, stop! Niech ta kurwa się postara albo wypierdolę ją na zbity pysk — zaczął utyskiwać. — Wytłumacz jej to, bo zaraz chuj mnie strzeli. Pierdoleni amatorzy, zero szacunku. Jedziemy od początku.

Zanim kamera została włączona ponownie, „Lecu” dyskretnie oparł się o murowaną framugę i chrząknął, dając znać o swojej obecności. Chudy mężczyzna z przerzedzonymi i spiętymi w kitkę włosami oraz czarną, stylizowaną na hiszpańską bródką aż podskoczył na swoim rozkładanym krześle.

— Kurwa, „Lecu”, kurwa! Co ty odpierdalasz i skąd przyłazisz? Pojebało się, żeby tak się skradać? — zaczął dopytywać swoim kwiecistym językiem, a w jego pobliżu w stan gotowości natychmiast wyprostowało się trzech dryblasów.

— Cześć, Romain.

— No cześć, kurwa. Naprawdę chcesz, aby cię zajebali? Umawialiśmy się na dziś?

— Nie, nie, jestem z przyjaciółmi. — Wskazał na Krzyśka i Franco. — I mam... inny temat.

— Nie mam czasu na takie pierdolenie. Aktorzy mi marzną, więc jeśli nie masz żadnej nowej laski, to spierdalaj. Widzisz, że próbuję pracować — fuknął i machnął ręką w geście dezaprobaty.

Na pierwszy plan wysuwał się jego długi i garbaty nos oraz wytatuowana i obwieszona złotą biżuterią szyja. Miał na sobie czarną koszulę z wielkim kołnierzem i džinsy, na nogach wypolerowane buty z czubem Figur uważnie obserwował reakcję Algierczyka i tylko utwierdził się w swoich przypuszczeniach. „Lecu” grał na dwa fronty i najwyraźniej sprowadzał dziewczyny nie tylko Abi Rabki. Dostrzegł też jego nerwową reakcję na słowa reżysera. Ten paskudny typ musiał mu dużo płacić, skoro pozwalał sobie na tak chamskie odzywki. I to w obecności jego „przyjaciół”.

— Chcemy tylko przejść, Romain.

Mężczyzna wyciągnął z kieszonki paczkę papierosów i odpalił jednego. Świdrował dostawcę przenikliwym wzrokiem, zmierzył stojących przy wejściu Franco i Krzyśka. Na jego twarzy malowała się cała paleta grymasów, jakby w jednym ciele walczyło ze sobą kilka postaci, od radosnej, przez zdziwioną, po megawkurwioną. Legioniści trzymali broń w pogotowiu i pozwolili dostrzec to ludziom Romaina.

— Gdybym cię nie lubił, to już byś nie żył, „Lecu”. Ale cię lubię, więc wybaczę ci to *faux pas*. Tylko pospieszcie się, cały pierdolony świat wali mi się dziś na głowę — wymamrotał mężczyzna na krześle, wykrzywiając twarz w kolejnych nerwowych tikach.

Krzysiek pomyślał, że facet na pewno nie jest normalny, a już na pewno nie należy do ludzi przewidywalnych. Równie dobrze zaraz mógł strzelić im w plecy. Nie umknęło mu też to, co akurat działo się na planie jego nowej produkcji. Sceneria dla chorych ludzi, „zбочzonych” było za słabym określeniem Ludzka fantazja najwyraźniej nie zna granic, a potrzeby zwyrodniałej klienteli Romaina przekraczały wszelkie tabu. Pytanie brzmiało, czy „aktorzy” robili to dla pieniędzy, czy byli, w szczególności kobiety, do tego zmuszani. Biorąc pod uwagę dostawy od „Lecu”, bliższa prawdy była opcja numer dwa. Ekstremalne porno zawsze przyciągało półświatek i ludzi

raczej społecznie wykluczonych, a „aktorki” rekrutowano wśród prostytutek lub bezdomnych, często wbrew ich woli. Monika nie mogła tego zobaczyć. Wiedział, że ma dobre serce i może zareagować zbyt emocjonalnie, szczególnie po tym, co sama przeżyła w czasie dwutygodniowej niewoli. Nie chciał więcej trupów, na tym bardziej narażać siostrę na niebezpieczeństwo i kolejną traumę. Pragnął po prostu stąd wyjść.

Dał znak Kubie, aby podeszli. Zbliżył się do siostry i poprosił, aby zakryła oczy małymu i sama nie zwracała uwagi na znajdujących się w środku ludzi. Następnie szepnął do ucha przyjacielowi, aby tego dopilnował i bez dalszego ociągania wkroczyli do oświetlonego białoczerwonym światłem pomieszczenia. Przemknęli wzdłuż ściany na jednym wdechu i w kompletnej ciszy. Krzysiek doskonale słyszał sprośne cmoknięcia Romaina, ale zignorował je. Żyłasty pseudoreżyser na swoje szczęście ograniczył się jedynie do tego drobnego gestu, więc nie było sensu z tego powodu ryzykować konfrontacji.

— Dzięki, Romain— rzucił na odchodne „Lecu”.

W odpowiedzi dostał jedynie lekceważące machnięcie ręką. Legionista opuścił pomieszczenie jako ostatni, czujnie obserwował wszystkich jego ludzi do końca.

— Idź przodem, będę trzymał tyły, bo nie mogę patrzeć na tego ludzkiego śmiecia — wycedził Franco, gdy tylko minęli prowizoryczną przebieralnię z masą wyuzdanych, często wręcz obleśnych kostiumów.

Rzeczywiście „Lecu” na nic więcej nie zasługiwał. Krzysiek wiedział to już od momentu, gdy przejrzał w kościele jego smartfon. To był po prostu bardzo zły człowiek, świat bez niego byłby lepszy.

Korytarze stały się coraz bardziej zaśmiecone, pod stopami wały się rozbite butelki, stare gazety, opakowania po jedzeniu. Ściany niemal w całości pokrywało chaotyczne i paskudne graffiti, w większości były to niespójne napisy, czasem malunki, z reguły brzydkie i nawiązujące do seksu czy przemocy, w niektórych miejscach nosiły ślady uderzeń, jakby ktoś chciał odłupać kawałek kilofem albo próbował przebić się na drugą stronę. Pojawiły się szczury, ich piskliwe odgłosy i spieszne dreptanie drażniły wyczulone ucho. Coraz mocniej cuchnęło stęchlizną, kałem i moczem. Zbliżali się do ludzkiego siedliska.

W pewnym momencie natknęli się na skulonego mężczyznę. Leżał w pozycji embrionalnej pod starymi i śmierdzącymi kocami. Pod głową

trzymał zmięte gazety i wełnianą czapkę. Nawet nie drgnął, gdy koło niego przeszli, jakby zmarł już dawno temu, a jakaś nieznana siła zakonserwowała jego ciało i zamieniła w doskonale zachowaną mumię. Nie był wyjątkiem, bo drogę zaczęły blokować kolejne postaci. Mężczyźni, kobiety, dzieci... wyglądali strasznie w swoich ubabranych i dziurawych łachmanach, gwałtownie zasłaniaли brudne twarze, gdy ostre światło latarek niechcący spoczęło na ich zniszczonych przez życie obliczach. Przerażliwie cuchnęli. Ludzie krety...

Nie rozmawiali w trakcie marszu, skupiali się, aby nie potknąć się o czyjś korpus, wysuniętą nogę czy nieliczne należące do tych nieszczęśników przedmioty. Okazało się to nieuniknione i kilkakrotnie kopnęli lub nadepnęli na jakąś rzecz, za co paru bezdomnych zrugalo ich w niezbyt wyszukany sposób. Nie byli jednak agresywni, raczej zrezygnowani, rozgoryczeni, zgorzkniali, ich głosy zgasły i przegrane. Prawie zawsze w bezruchu, czasem przy świeczce lub z latarką, wegetowali jak bezduszne truchła, skórzane worki mięsa i kości, których przeznaczeniem jest zgnieć pod ziemią w samotności. Skąd brali siłę, aby przeżyć kolejny dzień? Dzień...? Dla nich nie było dni i nocy. Tylko ciemna, zimna i cuchnąca otchłań.

Na rogu jednego z rozwidleń wpadł na nich postawny mężczyzna w prochowcu i kapeluszu. Wyglądał jak z jakiegoś filmu retro. Jego poorana brzdami twarz mignęła w świetle latarki tylko na chwilę, bo natychmiast zakrył ręką swoje oblicze i przyspieszył kroku.

— Pedofil — wycedził z nieskrywaną odrazą „Lecu” — Tfu! — splunął z obrzydzeniem — Akurat Koran dopuszcza pedofilię... — Figur nie wytrzymał, tak naprawdę chciałby powiedzieć temu bandycie dużo więcej, ale brzydził się nim na tyle, że wolał milczeć.

— Dobry muzułmanin nie gwałci małych chłopców — odbił piłeczkę Algierczyk.

— Zamknij się i prowadź!

— Opluwasz islam, ale czyż to miejsce nie jest mrocznym odbiciem twojego świata? — Pytanie „Lecu” było na tyle niespodziewane, a co najgorsze trafne w swojej tezie, że Krzysiek nie wydał z siebie ani słowa. Przewodnik wyczuł tę chwilową słabość i kontynuował. — Mówicie, że islam to religia nienawiści, przemocy i gwałtu, a pod waszymi ulicami tysiące ludzi żyje jak zwierzęta, sprzedają swoje ciało za paczkę chipsów, młodzież z góry schodzi tu, aby oddawać się orgiom na cześć szatana, a pedofile zakradają się

do podziemi i bezkarnie gwałcą dzieci. Dlaczego na to pozwalacie? Jak to z wami, chrześcijanami, jest?

— My... nie zabijamy innych, bo są inni, a to miejsce... to miejsce... — Figur zawiesił gios, czuł się zupełnie zbity z tropu.

— ...to jest właśnie wasz świat — dokończył za niego „Lecu”. — Ten prawdziwy, nie cukierkowy z reklam w telewizji. Odrzucacie swoich, gdy tylko komuś powinie się w życiu noga, odwracacie się plecami, udajecie, że nie widzicie, zmuszacie współwyznawców do życia w kanałach, gdzie muszą się prostytuować, zgadzać się na wymyślne perwersje ludzi z góry, aby mieć na kromkę chleba. Tak właśnie traktujecie swoich braci w wierze, a nas próbujecie uczyć tolerancji i zasad moralnych.

— Milcz i prowadź, Nazzar! Nie mam zamiaru z tobą dyskutować — warknął poirytowany Krzysiek.

— Nie szanujecie już własnych wartości i właśnie dlatego staliście się słabi. Dlatego jesteście skazani na zagładę.

— Zamknij, kurwa, ryj! — wysyczał Figur i chwycił terrorystę za gardło.

Chciał coś dodać, ale zdał sobie sprawę, że dał się wyprowadzić z równowagi nie dlatego, że jest słaby psychicznie i nie panuje nad emocjami. Kipiał ze złości, bo usłyszał gorzką prawdę. Zwolnił uchwyt, w oczach „Lecu” dostrzegł błysk, jego znaczenie było jasne dla obu żołnierzy. Brzmiało: „Wiesz, że mam rację, legionisto” Miał. Paryskie katakumby były tego żywym dowodem.

KUBA

Po czterech godzinach kluczenia w katakumbach wyszliśmy na powierzchnię. To było wyjątkowe uczucie wciągnąć w płuca świeże powietrze po burzy, nieskażone brudem i beznadzieją, które wypełniały posępne tunele paryskich podziemi. W pewnym sensie poczułem się jak nowo narodzony, jakby ta podróż pozwoliła mi przekroczyć kolejną granicę mojego jestestwa, ukazała świat, którego istnienia nie byłem świadomy. A może byłem, ale nigdy się nad nim nie zastanawiałem, odpychając od siebie podobne dywagacje? Ileż to razy widziałem bezdomnych, którzy prosili o parę groszy lub kromkę chleba? Współczułem im, ale na swój sposób nimi gardziłem, rzucałem te parę złotych lub euro, aby tylko zostawili mnie w spokoju i nie przeszkadzali w kontynuowaniu przyjemnego życia, aby nie wkraczali w prywatną przestrzeń ze swoim brudem, wiecznie towarzyszącym smrodem oraz smutnym i pozbawionym nadziei grymasem na twarzy. Wielu z nich po zdobyciu na ulicy tych kilku euro wracało zapewne do swoich podziemnych nor, gdzie pożywiali się zebranych w śmietnikach resztkami i zakupionym za wyżebrane pieniądze tanim alkoholem, aby choć na chwilę zapomnieć o swoim marnym żywocie.

Nie wiem, czy wszyscy mieli podobne spostrzeżenia, ale nikt mimo wyraźnej ulgi z powodu opuszczenia katakumb nie potrafił cieszyć się z faktu, że w końcu znaleźliśmy się w miejscu, gdzie w powietrzu nie unosiła się woń śmierci, a biała twarz nie była jedyną w zasięgu wzroku. Nasz nastrój, który po uwolnieniu Moniki z rąk tych barbarzyńców powinien być co najmniej entuzjastyczny, psuła świadomość, że tak naprawdę odnieśliśmy jedynie połowiczny sukces, ba, osiągnęliśmy założony cel, ale poświęciliśmy jednego z nas. Teraz to Michał był w rękach Abi Rabki i jeśli chcieliśmy go odbić, mogliśmy szykować się na prawdziwą wojnę, bo po pierwsze Arab musiał być rozwścieczony stratą tak cennego dla siebie „towaru”, po drugie ponizony przed swoimi ludźmi, a po trzecie — czy już o tym wiedział, czy nie — mieliśmy jego syna, wskutek czego zmuszaliśmy go do mediacji, a nie jedynie brutalnej i bezwzględnej zemsty.

Tak, to był nasz as w rękawie. Ten płaczliwy gówniarz w czerwonej czapeczce stał się gwarantem tego, że znajdujący się w niewoli Michał będzie żył. Zastanawiałem się, jakim cudem udało im się porwać tego chłopaka. Czas na podobne dysputy miał przyjść już wkrótce. Teraz musieliśmy wrócić do

rzeczywistości i zdecydować co dalej.

Na powierzchnię wydostaliśmy się w jakimś parku, według „Lecu” znajdował się w dziesiątej dzielnicy i nazywał się Jardin Yillemin. Było mokro, a powietrze pachniało świeżością. Po lewej wznosiły się jakieś oszklone budynki, a po prawej kamienice, za płotem ogrodu, po przeciwnej stronie ulicy, ciągnęła się wyłożona brukiem ścieżka, za którą w wyprofilowanym korycie płynęła rzeka. Za plecami dało się słyszeć odgłosy walki, huk śmigieł helikopterów, pojedyncze eksplozje. Na szczęście, dochodziły z oddali, a przynajmniej takie odniosłem pierwsze wrażenie, gdyż gęsta zabudowa miasta mogła mocno tłumić nawet stosunkowo bliskie dźwięki.

W parku nie było żywej duszy, dopiero za ogrodzeniem dostrzegłem jakichś przechodniów, którzy nerwowo i niecierpliwie maszerowali w sobie tylko znanych kierunkach, głośno dyskutując i gorączkowo gestykulując, zapewne w temacie aktualnej sytuacji na przedmieściach. Samochody poruszały się natomiast jak zwykle o tej porze, bez pośpiechu i zbytnej roszczeniowości w kwestii ulicznego *savoir-vivre* 'u.

— Wszystko w porządku, brachu? — spytał Krzysiek, wybijając mnie z chwilowego zamyślenia.

— Tak, j est okej, tylko...

— Wiem, odbijemy go. Zaufaj mi, Kuba, a teraz, proszę, zajmij się Moniką i tym szczyłem, bo muszę pozbyć się „Lecu” Aha, i spróbuj nawiązać kontakt z Matim Nie wiemy, jak wygląda sytuacja w mieście i które drogi są przejezdne, a on powinien mieć to ogarnięte.

— Pewnie — oznajmiłem, a mój przyjaciel klepnął mnie w ramię i odszedł, zanim zorientowałem się, co właśnie mi przekazał. Czyżby chciał wyjechać z miasta, zostawiając Afgana w rękach tych sukinsynów?

Postanowiłem, że jeszcze do tego wrócimy. Podszedłem do Moniki, która siedziała na pobliskiej ławce i głaskała po głowie wtulonego w jej piersi syna Abi Rabki. Rzuciła mi spojrzenie, którego za nic w świecie nie potrafiłem rozszyfrować, było nieobecne, jakby zapadła w stan swoistego letargu. Okryta męską marynarką, pod którą miała na sobie jedynie bieliznę, w zakrwawionych szmatach na stopach i naznaczona masą tatuaży, nie przypominała tej delikatnej i nieco postrzelonej dziewczyny z La Mangi. Wyglądała na kobietę, która przeszła piekło, za ciemnymi w tym półmroku oczami krył się ktoś inny, nieznanym mi wcześniej, surowy i zimny. Nie wiem,

czy taki był jej zamysł, ale całą sobą mówiła, jej dusza wręcz krzyczała: „Nie złamali mnie!”, a gdy tak na nią patrzyłem, czułem, jak bije od niej ta niezwykła, pierwotna siła. Usiadłem obok i objąłem ją, nie mając pomysłu, co powiedzieć.

— Będzie dobrze, Monika — szepnąłem, w tej chwili stać mnie było jedynie na tak banalny tekst, ale myślę, że właśnie tego oczekiwała.

Przytuliłem ją, a w zasadzie ich oboje. Pomimo ciepłej nocy cała drżała, jakby negując wrażenie, które sprawiała. Jej ciałem i umysłem musiały targać skrajne emocje. Trwałem tak przez chwilę w milczeniu, obserwując stojących kilka metrów dalej Krzyska, Franco i „Lecu”. Z kontekstu zrozumiałem, że Algierczyk chciał otrzymać antidotum już teraz, ale legionieści nie chcieli o tym słyszeć. Figur wskazał mu tylko strefę, do której ma się udać, a następnie czekać na telefon, gdy wszyscy będziemy już bezpieczni. Dopiero wtedy miał mu podać dokładne miejsce ukrycia fiolki z zielonym płynem Temperatura rozmowy rosła z każdą chwilą, do momentu gdy Włoch w ułamku sekundy przystawił lufę do czoła naszego przewodnika. Cierpliwie czekałem na dalszy rozwój sytuacji, zdając sobie sprawę, że chłopaki mają wszystko pod kontrolą. Po kilkunastu sekundach Algierczyk zaczął się wycofywać, dyszał, a jego przekrwione oczy zionęły nienawiścią. W końcu odwrócił się na pięcie i pobiegł w głąb parku.

Zorientowałem się, że o czymś zapomniałem Wyjąłem telefon i otworzyłem Facebook. Mati był aktywny.

Siema, jesteś? To ważne!!!

Legionieści odprowadzali wzrokiem „Lecu”.

Jestem a ty co, powiesz mi w końcu co się dzieje?

Poczułem ulgę, w tym czasie Krzysiek i Franco już zdążyli się zbliżyć.

— Nawiązałeś kontakt? — spytał mój przyjaciel.

— Tak, właśnie piszemy.

— Spytaj, gdzie jest i czy możemy do niego przyjechać. Ale to w drodze, teraz musimy złapać jakąś taksówkę.

Wstałem i natychmiast zacząłem klepać w wyświetlacz. Kątem oka dostrzegłem, że Figur przykucnęła i spojrzała Monice w oczy, następnie mocno ją objął i zaczął szeptać do ucha. Rozpłakała się.

— Chodźmy stąd — zaordynował po krótkiej chwili. — Nic tu po nas.

Wstaliśmy i ruszyliśmy w kierunku bramy parku.

Złapaliśmy dużą taksówkę, więc każdy mógł znaleźć miejsce dla siebie.

Z przodu usiadł Franco, dalej Krzysiek ze mną, z tyłu Monika z Amirem Po wymianie kilku zdań na czacie Facebooka zadzwoniłem do Matiego, który stał na jednym z licznych parkingów, przed wjazdem do Paryża, w miejscowości przy autostradzie numer jeden, o dźwięcznie brzmiącej nazwie Vemars.

— Jak to jesteś w Paryżu? — spytał z niedowierzaniem — Nie mogiem ci tego wcześniej powiedzieć. Jadę teraz w taksówce z Krzyśkiem i jego siostrą oraz dwoma innymi osobami.

— Z Krzyśkiem? Kurwa, Kuba! Czemu wcześniej mi nie powiedziałeś? O co tu chodzi z tą konspirą? Macie jakieś kłopoty?

Do spółki z Figurem w telegraficznym skrócie powiedzieliśmy kuzynowi o naszej sytuacji, oczywiście pomijając masę niepotrzebnych mu w tej chwili faktów. Klął jak szewc, słuchając naszej opowieści, nie mogąc uwierzyć w to, co dzieje się na północy Paryża. Jego informacje wskazywały natomiast, że drogi są niemal całkowicie zamknięte, a sam czeka na wiadomość od spedytorki, którą trasą najlepiej zawrócić, aby objechać stolicę i spróbować dostać się na miejsce załadunku od południa, ewentualnie anulować zamówienie i udać się do bazy w Niemczech. Problem stanowiły też zakorkowane od północy autostrady, w tym „jedyńka”, którą zdążył do miasta, dlatego nie czekając na polecenia z firmy, Mati zasugerował, że bocznymi drózkami dojedzie na stację benzynową przy autostradzie A4, prowadzącej do Reims, pierwszą za rzeką Marną, na wysokości niewielkiego miasteczka Ussy-sur-Marne, na wschód od Paryża, i tam będzie na nas czekał. Taksówkarz, słysząc, jaki jest cel naszej podróży, na początku chciał odmówić kursu, ale po rzuceniu zaporowej ceny, która ku jego zaskoczeniu została zaakceptowana i z góry zapłacona gotówką, zdecydował się zawieźć nas okrężną drogą.

Po zakończeniu rozmowy z Mateuszem Krzysiek wdał się w dyskusję z kierowcą, który z racji wykonywanej profesji również orientował się w aktualnej sytuacji na drogach i tym, co dzieje się w Saint-Denis i przyległych dzielnicach, w większości zamieszkałych przez muzułmańskich imigrantów. Zresztą teraz już nie było sensu milczeć i każde radio trąbiło w wiadomościach o potężnych zamieszkach w stolicy, więc w czasie długiej drogi mogliśmy przyswoić najświeższe informacje, tym bardziej że ostatnie prawie cztery godziny spędziliśmy w odpornym na wszystko, co dzieje się na powierzchni, paryskich katakumbach.

A działa się wiele...

Zapłonęły przedmieścia stolicy, od Sarcelles na samej północy, po

Montfermeil na północnym wchodzie, na południu słynna Grigny została całkowicie odcięta i szczelnie otoczona kordonem wojska. Zawrzała słynna „Złota Kropla”, czyli La Goutte d’Or, nieformalna brama do północnego, muzułmańskiego Paryża, to stąd najprawdopodobniej dochodziły do nas odgłosy zamieszek, gdyż — jak się okazało — park, w którym wyszliśmy z katakumb, mieścił się zaledwie kilka ulic od wynajętego przez nas apartamentu i niewiele dalej od Boulevard de Rochechouart, po której maszerowaliśmy do Ayo Mosisiego, tam też granicę grodziły pierwsze tablice informujące przybyłych, że wkraczają w strefę szariat. Wrzało na głównych ulicach Saint-Ouen i Auberyillers, kolejne ogniska wybuchały w nieco oddalonych od centrum Aulnay-sous-Bois, Clichy-sous-Bois, Montfermeil czy Villiers-le-Bel. Najgorzej było jednak w samym Saint-Denis, które w ciągu tych kilku godzin stało się celem wszystkich muzułmanów z pobliskich: La Courneve — właśnie na blokowisku tej dzielnicy odebrałem Krzyśka, Franco, Monikę i Amira — czy wspomnianych Saint-Ouen i Aubervilliers, z których wypychani przez kordony policji i wojska manifestanci zbierali się w Saint-Denis. Według informacji radiowych specjalne oddziały nacierały bez pardonu, nie brały jeńców, całymi seriami pręły w zbiorowiska z gumowych kul, a tam, gdzie spotkały się z użyciem ostrej amunicji, odpowiadały tym samym. To była nowość, bo od czasów zakończenia drugiej wojny światowej w żadnym zachodnioeuropejskim kraju władza nie strzelała do tłumu z ostrej broni automatycznej. Owszem, podczas powstania paryskiego przed dwoma laty zdarzało jej się użyć prawdziwej amunicji, ale tylko w stosunku do najbardziej niebezpiecznych i najczęściej wyizolowanych wcześniej jednostek, ewentualnie uzbrojonych grupek zwykłych bandytów. Tym razem strzelali do tłumu, a do tego mieli wsparcie snajperów. Podobno rozkaz padł zaraz po tym, jak jeden ze śmigłowców został strącony rakieta-ziemia-powietrze w okolicach stadionu. Dla władzy to był jasny sygnał, że żarty się skończyły.

Informacje rozprzestrzeniały się lotem błyskawicy i jeszcze przed północą zapłonęła Marsylia, Tuluza, Lyon, najświeższe newsy wskazywały Niceę, Metz, Nancy, Dijon czy Montpellier. Na ulicach można było natknąć się na zwłoki, w słynnym blokowisku Felix Pyat w Marsylii ktoś wyrzucił na główną ulicę kilkanaście bezgłowych ciał, wyglądających na truchła turystów. Komunikacja miejska, w tym podziemna, w wielu miastach, a przynajmniej ich najbardziej zagrożonych sektorach, została wstrzymana, rząd w trybie

natychmiastowym odwiesił stan wyjątkowy, na lotniskach wzmożono kontrole, wiele lotów zostało odwołanych bądź opóźnionych. Na pierwszy rzut oka wyglądało to chaotycznie, ale według Krzyśka wszystko zostało dokładnie zaplanowane i bez względu na to, co wydarzyło się na Stade de France, służby i tak wkroczyłyby do północnego Paryża. Nasza akcja stała się jedynie iskrą, która spowodowała wybuch negatywnych emocji wśród przybyłych na targ oraz zradykalizowanych mieszkańców, którzy tylko czekali na impuls do wszczęcia zamieszek, a co za tym idzie, przyspieszyła interwencję władzy, dodajmy: bardzo zdecydowaną i stanowczą, przynajmniej w porównaniu z poprzednimi, zazwyczaj płochliwymi, bojaźliwymi i kończącymi się układami z imamami czy lokalnymi kacykami, czytaj zwykłymi przestępcami z oczywistymi, choć skrzętnie skrywanymi powiązaniem z siatką terrorystyczną.

Powstanie paryskie numer dwa najwyraźniej stało się faktem i musiałem przyzwyczaić się do tego, że byłem jedną z osób, które bezpośrednio je wywołały, a przynajmniej przyspieszyły jego wybuch, gdyż — tak twierdził Krzysiek, a ja nie mogiem się z nim nie zgodzić — rząd i tak musiał zainterweniować, bo przyzwalanie na tak barbarzyński proceder, jak targ niewolników, musiało być policzkiem nie tylko dla rządzących, ale i dla całego państwa. Nie mogiem pogodzić się tylko z jednym: mój przyjaciel był w środku tego piekła i mógi już nie żyć. Zdecydowałem, że czas najwyższy wyjść przed szereg i aby być pewnym, że kierowca, którego rysy wskazywały, że jest Latynosem, a tym samym hiszpański najpewniej jest jego językiem ojczystym, nic nie zrozumie, spytałem po polsku:

— Jaki masz plan, Krzychu? Bo wnerwiają mnie dwie rzeczy...

— Mów...

— Po pierwsze, Afgan jest w łapach tego skurwysyna Abi Rabki, a po drugie, ten staruch i jego synalki wciąż żyją. — Na samą myśl aż skręciło mnie w żołądku i aby przyjaciel nie zauważył efektów utraty kontroli, wbiłem wzrok w przednią szybę.

Znów zaczęło kropić i kierowca włączył wycieraczki. Miarowo ścigały wodę, wydając przy tym nieprzyjemny, nieco piskliwy odgłos.

— Spójrz na mnie, Kuba — rozkazał.

Zrobił to w taki sposób, że poczułem się jak syn, który zaraz dostanie od ojca porcję życiowych rad. Właśnie takie akcje powodowały, że między nami wyrastał ten niewidzialny mur. Nienawidziłem tego, ale nie potrafiłem temu

zaradzić. Znów poczułem się jak gówniarz, co gorsza, moje oczy zaszkły łzami.

— Kurwa... — tyle z siebie wydusiłem i odwróciłem się w kierunku legionisty.

— Wiem, że możesz być wściekły z powodu Abi Rabki, ale taki jest ten jebany świat. Nie mieliśmy większego wyboru, to on miał przewagę. Obiecałem ci jednak, że ten człowiek umrze i możesz być pewien, że tak się stanie, tak samo, jak jego synowie. Ale w tej chwili musimy zrozumieć i zaakceptować nasze położenie.

Zawiesił głos i zerknął na tylne siedzenie. Monika najwyraźniej zasnęła, miała zamknięte oczy i oddychała miarowo, na jej kolanach giowę położył Amir, on też już spał. Mieli prawo być wyczerpani. Upewniając się, że jego siostra nie jest świadoma tego, co zaraz miał powiedzieć, znów odwrócił się w moim kierunku.

— Zaraz po przyjeździe na miejsce mam zamiar skontaktować się z Abi Rabką i zaproponować mu wymianę Michała za Amira. Ale nie tutaj, bo w tej chwili to my możemy stawiać warunki. Mamy jego syna, a to jest dla niego jeszcze większym dyshonorem niż fakt... no wiesz... chodzi mi o Nawal...

Wiedziałem, co ma na myśli, ale najwyraźniej chciał być wobec mnie bardzo delikatny, szczególnie biorąc pod uwagę, że naprawdę niewiele brakowało, abym zaraz pękł i rozbeczał się jak dzieciak. Nienawidziłem w sobie tej słabości. Potrafiłem skupić się na zadaniu, gdy nacierała na mnie masa uzbrojonych i rozwścieczonych muzułmanów, a nie byłem w stanie zachować kontroli w ciepłej i bezpiecznej taksówce, gdy rozmawialiśmy o Nawal i jej ojcu. Nie panowałem nad emocjami, namiętności, które mną targały, były silniejsze. Figur kontynuował:

— Dziś zostawimy Afgana i wrócimy do Polski, to twardy chłopak i sobie poradzi, a póki syn Abi Rabki będzie w naszych rękach, włos mu z giowy nie spadnie. U siebie poczekamy na tego gnoja i bandę jego popapranych synów. Nie będzie miał wyjścia i ruszy naszymi śladami, a gdy w końcu dotrze do granicy, zasadzimy się na niego i zabijemy wszystkich.

Ostatnie zdanie wręcz wysyczał. Patrzyłem w jego oczy, też gorały nienawiścią. Był szkolonym żołnierzem, który zwykle doskonale potrafił ukrywać nawet skrajne emocje, tym razem pozwolił mi jednak zajrzeć w głąb własnej duszy. Na ten krótki moment otworzył się, a ja utwierdziłem się w przekonaniu, że to, co zrobili jego siostrze ci zwyrodniały, nie może pozostać bez odpowiedzi, przynajmniej póki on żyje. Zależało mu na śmierci

każdego z nich równie mocno jak mnie. Nie byłem sam — To mi pasuje — rzekłem, zaraz potem spłynęło na mnie ciepłe odprężenie.

— Dziękuję ci, bracie — odparł zupełnie niespodziewanie mój serdeczny przyjaciel i wyciągnął dłoń, aby przyklepać tę chwilę konkretną piątką. Nasze dłonie spotkały się w prostym, męskim geście. — Dziękuję, że pomogłeś mi odzyskać siostrę. Nigdy ci tego nie zapomnę, Kuba. Nigdy.

Słowa tego żołnierza znaczyły dla mnie więcej niż całe złoto świata. Zrobiło się jednak cholernie pompatycznie, a ja znów zacząłem odczuwać, że emocje biorą górę. Spuściłem głowę i wysiliłem się na sztuczny uśmiech, aby ukryć niechciane łzy. Myślę, że on też się wzruszył, czułem to.

— Dobra, dobra — chrząknąłem, aby trochę rozluźnić atmosferę. — Powiedz lepiej, co z tym całym „Lecu”...

— Chuj mu w dupę.

— Znaczy co? Nie rozumiem — No nic, niech zdycha, szmaciarz.

— Nie dasz mu tego antidotum?

— Nie zasłużył, żeby żyć.

Po tej podniosłej chwili wróciliśmy na ziemię. Odpowiedź Krzyśka mocno mnie zaskoczyła, bo byłem przekonany, że jest słownym człowiekiem i jeśli coś komuś obiecuje, nawet zatwardziałemu bandycie, który jednak nam pomógł, ba, może nawet uratował wszystkim życie, to danego słowa dotrzyma. Tymczasem złamanie obietnicy przyszło mu z zadziwiającą łatwością. Mój przyjaciel wciąż był dla mnie zagadką i nie potrafiłem rozgryźć, co mu w duszy gra.

— Nie to, że bronię tego gnojka, ale myślałem, że jednak damy mu tę fiołkę. Naprawdę chcesz go skazać na takie cierpienie? — ciągnąłem temat.

Musiałem poznać faktyczny powód decyzji mojego przyjaciela, byłem niemal pewny, że za tym kryje się jakieś drugie dno. Nie myliłem się.

— Niech zdycha w męczarniach, skurwiel jebany — burknął Figur i wyciągnął z kieszeni spodni smartfon, następnie chwilę w nim pogrzebał i mi go podał. — Obejrzyj sobie, przestaniesz mieć wątpliwości — powiedział i odchylił głowę do tyłu, wygodniej układając się w siedzeniu.

Wzięłem aparat i włączyłem ustawiony już film Wkrótce po policzkach pociekły mi łzy.

KRZYSIEK

Do celu dojechali po trzeciej. Powietrze było rześkie i przesiąknięte zapachem świeżego siana. Wciąż było ciemno, ale ptaki już świergotały, przypominając, że za chwilę świat zacznie budzić się do życia. Liście okolicznych drzew szumiały pod naporem podmuchów wiatru, który przyniosła ze sobą niedawna burza. Zrobiło się chłodniej.

Przywitanie z Mateuszem nie należało do wylewnych — mocny, męski uścisk, poklepanie po plecach, to w zupełności wystarczyło. Oczywiście, jego uwagi nie umknęła blizna na szyi Kuby, ale po jej wnikliwym obejrzeniu i wysłuchaniu krótkiej relacji zrozumiał, że na dłuższe opowieści przyjdzie jeszcze czas. Wszyscy cuchnęli potem, stęchlizną i śmiercią, więc pierwszym miejscem, w jakie się udali, była toaleta. Następnie pozbyli się garniturów i przebrali w wygodne ciuchy, które zaoferował kuzyn Kuby. Był z niego kawał chłopca, więc Krzysiek i Franco (Włoch uprzednio opatrzył powierzchowną ranę na lewym ramieniu) jakoś zdołali zmieścić się w obszerne dresy, dla Kuby, a przede wszystkim dla Moniki były za duże, więc jedyna kobieta w towarzystwie wyglądała jak raperka z lat dziewięćdziesiątych. Nikt nie był natomiast przygotowany na obecność dodatkowego gościa, więc siostra Krzyśka postanowiła wziąć Amira do łazienki i porządnie umyć, co tymczasowo musiało wystarczyć. Chłopak wpadł w rodzaj swoistej katatonii, przestał płakać, nic nie mówił, jego wzrok był nieobecny, ale smutny.

Kabina ciężarówki była na tyle przestronna, że każdy mógł znaleźć w niej miejsce dla siebie. Małe łóżko, stolik i minisofa pozwalały zmieścić się z tyłu trzem osobom, co prawda ściśniętym jak sardynki w puszcze, ale dla żołnierzy Legii Cudzoziemskiej i dwójki biednych studentów nie był to problem nie do przeskoczenia, przecież żyło się i sypiało w gorszych warunkach. Z przodu znajdowały się natomiast wygodne siedzenia dla kierowcy i pasażera. Wszyscy byli głodni, więc Mateusz otworzył słoiki i podgrzał gołąbki oraz bigos. Jako jedyny opory miał Amir, ale ostatecznie przełamał się i skosztował obu potraw, które w końcu zaczął pałaszować ze smakiem. Posilając się, dyskutowali o sytuacji w Paryżu, słuchali radia i komentowali doniesienia z kraju. Gdy napełnili żołądki, dochodziła już czwarta.

Krzysiek wyciągnął telefon i wybrał podany mu przez „Lecu” numer. Po drugiej stronie rozbrzmiał zachrypnięty, zmęczony głos. Przywitał się w języku

arabskim — Muhammad Chał i 1 Abi Rabka?

Cisza. Tylko płytkie nerwowe dyszenie.

— Czy rozmawiam z Muhammadem Abi Rabką? — powtórzył po francusku Krzysiek.

— Kto mówi? — wychrypiał głos z słuchawki.

— Mam twój ego syna, Arabie.

Dyszenie wzmoгло się. Nikt nie był w stanie ujrzeć twarzy człowieka po drugiej stronie, ale wszyscy usłyszeli, jak z każdym kolejnym oddechem wypełnia go złość. Coś zatrzęszczało.

— Kim jesteś?

— Człowiekiem, który ma twojego syna Amira i jeśli nie zrobisz, czego żądam, już nigdy więcej go nie zobaczysz.

Mężczyzna zaczął sapać, z trudem opanowując wściekłość.

— Znasz moje imię, wypowiedz swoje.

— Porywając Monikę, popełniłeś największy błąd swojego życia, Muhammadzie Abi Rabka. Jestem tym, który ci ją odebrał i który prędzej czy później usłyszysz, jak błagasz o życie.

W słuchawce rozległo się rżenie, które po chwili znów zmieniło się w ciężkie dyszenie.

— Nie doceniłem cię... — Zawiesił na chwilę głos. — Zabiłeś mi wielu ludzi...

— Jeszcze nie skończyłem...

— Zamilcz, niewierny! — warknął stary Arab. — Wiem, czego chcesz. Twój pies żyje. Gdzie i kiedy chcesz dokonać wymiany?

— Daj mi go do słuchawki.

Znów nastąpiło kilka trzasków, a mężczyzna po drugiej stronie wydał gwałtowne polecenia.

— Chcę usłyszeć mojego syna — wycedził do słuchawki.

Krzysiek przystawił telefon do ucha Amira i najspokojniej jak mógł poprosił go, aby przywitał się z tatą. Młody pokręcił przecząco głową, miał łzy w oczach. Dopiero gdy usłyszał głos ojca, rozplakał się i wyjąkał coś w swoim języku. Legionista zabrał słuchawkę i kazał Monice uciszyć dzieciaka.

— Masz swój dowód, Abi Rabi'a, teraz twoja kolej.

Z słuchawki dobiegały nerwowe głosy, Krzysiek założył, że stary Arab ponaglał swoich ludzi, aby pospieszyli się z przyciągnięciem Michała.

W końcu ktoś kaszlnął do słuchawki, oddychał bardzo ciężko.

— Afgan? — spytał Figur, nie chcąc zdradzać prawdziwego imienia Michała.

— Macie... Monikę? — wydukał głos po drugiej stronie, Krzysiek z doświadczenia wiedział, że taki ton świadczy o tym, że jeniec został ciężko pobity.

— Mamy. Trzymaj się, brachu, wkrótce cię... — Nie zdążył dokończyć, gdy w słuchawce znów rozbrzmiał zachrypnięty głos Abi Rabbi.

— Szlag— zaklął po cichu. — Daj mi go jeszcze, chcę wiedzieć, co mu zrobiliście.

— Żyje, niewierny — odparł Arab. — Chcesz tego psa z powrotem, to oddaj mi syna.

Krzysiek nabrał powietrza i zagryzł usta, aby się uspokoić. Nie mógł pokazać rywalowi, że traci kontrolę nad rozmową. To on był tu człowiekiem, który miał stawiać warunki.

— Wkrótce się odezwę. Przygotuj się do podróży, Abi Rabi'a — wysyczał, po czym rozłączył rozmowę, wyciągnął z telefonu kartę i rozgniół ją butem na podłodze.

Przeciągnął dłonią po twarzy i głęboko odetchnął. Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali na relację z rozmowy i dalsze instrukcje. Ciszę przerwał Kuba.

— Ico?

— Michał żyje, ale nie jest w najlepszej formie. Nie wiem, co mu zrobili, bo nie dał mi z nim dłużej porozmawiać.

Kuba z Moniką odetchnęli z ulgą, siedzący na miejscu pasażera Zaccherini nawet nie drgnął, Mateusz z nerwowym grymasem na twarzy przysłuchiwał się, ale jakby stracił rezon. Milczał.

— A więc jaki mamy plan?

— Jedziemy do Polski. Gdy przekroczymy granicę, zadzwonię do Abi Rabbi i powiem mu, że gdzie i kiedy dokonamy wymiany. Oczywiście, wcześniej odwieziemy Monikę do Zielonej Góry.

— Nie chcę oddać Amira w ręce tych bandytów — włączyła się do rozmowy siostra Krzyśka. Powiedziała to tonem tak zdecydowanym, że zaskoczyła nie tylko brata, ale wszystkich obecnych.

— Zrobimy co trzeba, aby uwolnić Michała. Bez dyskusji.

Zapadła śmiertelna cisza. Wszyscy prócz Franco wbili spojrzenia

w zmęczone oblicze Figura. Atmosfera w jednej chwili zgęstniała.

— Jak chcesz oddać im Amira, skoro zamierzasz ich wszystkich zabić? — spytała po kilku sekundach Monika.

Trafiła w punkt. „Dobre pytanie” — pomyślał. Złapał się na tym, że akurat tego nie wziął pod uwagę. Znała go zbyt dobrze i nie było sensu jej okłamywać. Próbował coś wykoncytować na poczekaniu, ale nic nie przyszło mu do głowy. No bo co wtedy zrobi z Amirem?

— Zbierajmy się. Nic tu po nas — zakomenderował, zostawiając wszystkich z rzuconym w przestrzeń pytaniem, na które chyba nikt nie potrafił znaleźć sensownej odpowiedzi.

Chwilę później Mateusz odpalił silnik i powoli ruszyli w drogę powrotną. Do domu.

LECU

Dochodziła trzecia. Poczł pierwsze ukłucie bólu. Odbezpieczył broń. W rękach trzymał swój telefon. Był coraz bardziej zniecierpliwiony. Nie mógł zapanować nad drżącym ciałem, którym raz za razem wstrząsały zimne dreszcze. Wpatrywał się w ekran z nadzieją, że w końcu pojawi się oczekiwana wiadomość. Pomyślał, że jest głupi. Jak mógł zaufać temu pieprzonemu legionście? Ale czy miał inny wybór? Nadzieja wciąż się tliła.

W murach starego magazynu było chłodno i cuchnęło grzybem. Do jego uszu dochodziły stłumione odgłosy wznieconej rebelii. Bolało go krocze. Coraz mocniej. Każdy najdrobniejszy ruch powodował, że paliło jak ogień piekielny. Bał się tam spojrzeć. Czarne krosty pod pachami zaczynały pękać i czuł, jak po ramionach spływa kleista maź. To było jego ciało. Gniło. Tam też.

Przygryzł usta, próbując opanować nerwy i narastający ból. Zapięły jak diabli, a w zębach został kawałek skóry. Były spuchnięte i miały inną konsystencję. Śmierdziały.

Spojrzał na zegarek. Minęła trzecia. Jego oczy wypełniły się łzami, które spływały po policzkach. W wyświetlaczu dostrzegł, że mają ciemną barwę. Z trudem uniósł dłoń i wytarł je. Płakał brunatną krwią.

Wtem smartfon zadrżał. Nadzieja powróciła. Odebrał wiadomość od legionisty. Uruchomił wideo, na którym ujrzał własną twarz. Widział już ten film wielokrotnie. Sam go nagrał...

Zrozumiał, że to koniec.

Włożył lufę do ust i nacisnął spust.

KUBA

Droga do przejścia granicznego z Niemcami na szczęście nie była zakorkowana. Najbardziej obawialiśmy się ewentualnej kontroli, bo praktyczny rozkład układu z Schengen generował spore utrudnienia, szczególnie że mieliśmy pod opieką młodego chłopaka bez dokumentów, a na dodatek o arabskich rysach Prawda była taka, że staliśmy się porywaczami, ten oczywisty fakt w świetle ostatnich wydarzeń nie robił jednak na mnie większego wrażenia. Najbardziej ryzykował Mateusz, który był kierowcą i to na nim spoczywała odpowiedzialność, ale kuzyn kategorycznie odrzucił inne opcje przekroczenia granicy i zdecydował, że podejmie ryzyko. Myślę, że chciał nam pomóc za wszelką cenę, może nawet trochę się popisać, pokazać, a ponieważ zawsze był narwany, czasem zdarzało mu się robić głupoty. Zazwyczaj gdy popił, wtedy stawał się agresywny, zwłaszcza wobec koczujących na postojach imigrantów, których wielokrotnie gonił z pałą, za co dostał już kilka mandatów, a nawet jeden drobny wyrok, gdy przesadził w Belgii. Twierdził jednak, że niemieccy policjanci prawie zawsze puszczały go wolno, a nawet poklepywali po plecach, bo w zdecydowanej większości sami pałali nienawiścią wobec wiecznie roszczeniowych, bezkarnych, niemających szacunku do prawa muzułmanów. Chwalił się też, że zna z widzenia większość celników, a do tego jest mistrzem w ściemnianiu. Nie mieliśmy podstaw, by mu nie ufać, tym bardziej że przekroczenie granicy na piechotę wcale nie było mniej ryzykowne. Na naszą korzyść działał też fakt, że rozpad układu z Schengen przez wiele krajów był traktowany według własnego widzimisie, ale Francuzi i Niemcy na szczęście podchodzili do przywrócenia granic wyjątkowo liberalnie. Młodego ukryliśmy więc pod łóżkiem, Krzysiek musiał go solidnie nastraszyć, aby był cicho, dlatego z początku się rozpłakał, ale ostatecznie siedział jak mysz pod miotłą. W końcowym rozrachunku udało się, owszem, musieliśmy odstać swoje, bo władze zareagowały natychmiast i wzmożono kontrole, ale akurat tiry nie należały do najbardziej podejrzanych pojazdów, więc po niecałych dwóch godzinach oczekiwania, jedynie zerknąwszy na kierowcę, znany Mateuszowi celnik nas przepuścił. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

Byłem zmęczony i zwinięty w kłębek, podobnie jak Krzychu na ziemi, przespałem się dwie godzinki, a raczej przełamałem, bo tak naprawdę większość czasu zachowałem czujność. Nie mogłem opędzić się od obrazów,

jakie nawiedzały mnie od momentu, gdy obejrzałem nagrania z telefonu „Lecu”. Ludzie przybijani do krzyży, przerynani piłami na pół, paleni w klatkach — wszyscy w pełni świadomi tego, co się z nimi dzieje. Chłonałem te obrzydlistwa nie wiedząc czemu, jakbym pragnął, aby raz na zawsze utrwaliły mi w głowie obraz barbarzyńców z ISIS, abym po wieki mógł ich nienawidzić i nigdy nie szukać przebaczenia. Każdy ma jednak swoją granicę, a ja pękłem w momencie, gdy ujrzałem, jak „Lecu” gwałci kilkunastoletnią dziewczynkę na oczach ojca i matki, a jego kompan w czasie stosunku podrzyna jej gardło, a następnie odcina giowę. To było ponad moje siły, myślę, że ponad siły każdego człowieka.

„Lecu” już nie był dla mnie człowiekiem Potworem? To za mało. Nie znałem słowa, aby opisać postawę tego zwyrodnialca. Osobnicy jego pokroju nie mieli litości ani żadnych ludzkich odruchów. Napędzało ich czyste, pierwotne zło. Cieszyłem się, że umrze w bólu. Na nic więcej nie zasługiwał.

Gdy mineliśmy granicę, zdecydowałem się w końcu otworzyć oczy. Pomimo tych wszystkich koszmarnych wizji poczułem się nieco lepiej, a gdy zatrzymaliśmy się na jednej ze stacji pod Kaiserslautern i wypiliśmy porządną kawę, siły wróciły i stanąłem na nogi. Mateusz zaszedł na stacji do sklepu i kupił kilka ciuchów dla Amira, który pomimo kąpieli wciąż cuchnął katakumbami i własnym moczem, gdyż najwyraźniej musiał w pewnym momencie popuścić w majtki. Po przerwie zmieniłem się na miejscu pasażera z Franco, fotel był duży, miękki i bardzo wygodny. Nie znałem języka niemieckiego, którego naukę porzuciłem już na początku liceum, więc słuchając radia, polegałem na tłumaczeniu Matiego. Kuzyn miał język opanowany w stopniu przyzwoitym i choć sam twierdził, że wysławia się raczej kiepsko, to rozumiał wszystko. Informacje nie napawały optymizmem, bo według spikerów zamieszki przeniosły się również na teren Niemiec. Na razie były to jedynie drobne incydenty, ale w największych miastach policja już nie mogła sobie poradzić i wszyscy zastanawiali się, czy rząd nie zdecyduje się na pomoc wojska. Najgorzej było podobno w Hamburgu, Kolonii, Monachium i Berlinie, czyli w miastach, gdzie społeczność muzułmańska była najliczniejsza. W tym pierwszym doszło nawet do serii wybuchów, ale nikt nie był w stanie określić, czy były efektem zaplanowanego wcześniej zamachu, czy wszczętych na ulicach zamieszek. To z kolei spowodowało, że na wschodzie Niemiec podniosły się środowiska prawicowe i neonazistowskie, których lider już w porze śniadaniowej

otwarcie zachęcił ludzi do walki z „muzułmańskim robactwem”. Zawrzało w Dreźnie i Lipsku — miastach najmocniej sprzeciwiających się niekończącej się fali imigrantów. Co gorsza, w jednym ze znajdujących się przy autostradzie ośrodków doszło do jakiegoś strasznego incydentu, który spiker nazwał „nieopisaną rzezią”, a w którym spłonęło przynajmniej kilkudziesięciu przybyszów, głównie z Syrii, Afganistanu i Iranu, a co za tym idzie, droga została zablokowana. Zresztą nie tylko tam, bo zaczynały korkować się kolejne główne arterie i pojawiły się obawy, czy aby na pewno zdołamy jeszcze dziś dotrzeć do Polski.

Mati uchylił okno i odpalił papierosa. Zerknął na nawigację, gdzie co minutę mapy aktualizowały natężenie ruchu i ewentualne zmiany na trasie.

— Pojedziemy na Kassel, a potem na Lipsk— burknął pod nosem Nie byłem pewny, czy mówi to do siebie, czy do mnie. Miałem wrażenie, że stracił rezon i nie był już tak otwarty i wygadany, jak zwykle. A przecież nie wiedział jeszcze o wielu rzeczach...

— Znasz Niemców, jak oni na to zareagują? — spytałem, nie odrywając wzroku od przedniej szyby.

— Jak to jak? Zesrają się jak zwykle i pójdą na układy. To cipy — odparł i mocno się zaciągnął. — Ciapuchy dadzą im popalić, znów spalą kilka samochodów i wybiją parę witryn sklepowych, a władza odpuści, aby ich bardziej nie drażnić. Wiesz... od czasu szalonej kanclerz tak naprawdę nic się tu nie zmieniło. Gdy sześć lat temu, zamiast jej podziękować, znów wybrali tę wariatkę, wiadomo było, że będzie szła w zaparte. Na nic zdały się protesty obywateli, a gdy rok później system rejestracji imigrantów rozsypał się jak domek z kart, rząd jeszcze bardziej dokręcił śrubę. Ludzie naprawdę się wkurwili, łysi wyszli na ulice i zaczęli pałować muslimów, ale napotkali twarde opór ze strony państwa i wylądowali w więzieniach. Gdy rok temu doszło do zmiany władzy, było już za późno. Bo co zrobisz, jak masz w kraju prawie dwadzieścia milionów muzułmanów? Kuba, tutaj co czwarta baba nosi szmatę na pysku...

Mateusz wyglądał na zrezygnowanego.

— Po listopadowym zamachu w berlińskim metrze zapowiadali, że zabronią chodzić z zasłoniętymi twarzami — skontrowałem Pamiętałem, że rozgorzała wtedy ogólnoeuropejska dyskusja, bo zamachowcami okazały się dwie kobiety, które pod nikabami ukryły ładunki wybuchowe i odpaliły je w środku pędzącego pociągu. Zginęło ponad dwieście osób.

— No i co? Chuja zakazali. Całe Niemczmy, tylko gadać potrafią. Poszli na układ i przystali na noszenie tych czadorów czy jak to się tam nazywa, wiesz, tych z odsłoniętą twarzą. Oczywiście mówimy o strefach memuzułmańskich, bo w ich zasranych gettach nic się nie zmieniło. Ale i tak po kilku miesiącach wszystko wróciło do normy, bo jakaś ciapata poszła do sądu i oskarżyła wlepiającego jej mandat policjanta o rasizm, islamofobię, straty moralne i chuj wie co jeszcze. Wygrała i dostała pięćdziesiąt tysięcy euro odszkodowania, czujesz to? Potem już żaden pies nie chciał ryzykować podobnej akcji i sobie odpuścili.

— Powiem ci szczerze, że byłem daleko od tego wszystkiego i nawet nie przypuszczałem, że dzieją się takie rzeczy. Wiesz, plaża, laski i te sprawy.

— A ty miałaś tam chyba jakąś Arabkę, co nie? — spytał kąśliwie.

Do tej pory nie powiedzieliśmy mu o śmierci Nawal, a jedynie o porwaniu Moniki. Łzy niemal natychmiast napłynęły mi do oczu, kompletnie nie mogiem nad tym zapanować. Mój kuzyn dostrzegł to i głośno nabrałem powietrza. Chciałem jak najszybciej opanować narastający żal, ale nic z tego nie wyszło. Twierdząco pokiwałem głową.

— Zabili ją? — Chyba nietrudno było się domyślić po mojej reakcji.

— Miała na imię Nawal i nosiła moje dziecko — odparłem i wierzchem dłoni wytarłem łzy, które spłynęły mi po policzkach.

— Przykro mi, stary...

— Spoko, daję radę — wystękałem, choć tak naprawdę wcale nie było „spoko”. — I wiesz co jeszcze? — dodałem, musiałem to z siebie wyrzucić, czułem nieodpartą potrzebę kontynuowania tego niezwykle trudnego dla mnie tematu. — To była jego córka, a ten skurwysyn oblał ją kwasem Na moich oczach! Widziałem, jak jej twarz spływa z czaszki jak wosk z manekina. Kurwa mać... — Ukryłem twarz w dłoniach.

— Jezuuus Maria — wydusił z siebie Mateusz, miał swoje za uszami, ale był bardzo empatycznym i rodzinnym człowiekiem. Wiem, że szczerze mi współczuł.

Pozwoliłem, aby pociekły łzy, chyba po prostu musiałem wyrzucić z siebie nagromadzone w ciągu ostatnich dni emocje. Przecież całe moje życie rozsypało się jak domek z kart. Mój przyjaciel stał się zakładnikiem, ja zostałem porywaczem i — choć jeszcze ani razu nie pociągnąłem za spust — mordercą, a przynajmniej współnikiem. Wszystkie moje plany runęły, a pomimo tego w zasadzie nawet nie zbliżyłem się do mojego głównego celu

— zemsty na tym pieprzonym staruchu Abi Rabki. Nawet go nie ujrzałem
Miałem wrażenie, że żyję w jakimś cholernym matriksie.

— Cholera, przepraszam — odezwałem się po chwili, wycierając łzy. —
Zachowuję się jak cipa — dodałem, próbując wymusić głupkowaty uśmiech.

Wtedy poczułem na ramieniu ciężką grabę.

— Nie jesteś cipą — rzekł Krzysiek. — Zapewniam cię, że faceci też
mogą płakać. Ja w Afryce wylałem morze łez.

— Przestań... Nie musisz mnie pocieszać, Krzychu.

— Uwierz mi, że w mojej jednostce prawie wszyscy beczeli, widząc
okrucieństwa pod Malakal. I nikt nikomu nie mówił, że jest z tego powodu
cipą. Szczere łzy to dowód, że jesteś prawdziwym mężczyzną.

— Ech... — zachnąłem się, wciąż miałem wrażenie, że tylko tak gada, nie
potrafiłem sobie wyobrazić Figura beksy. — Daj mi lepiej to mazidło na moją
szyję. Jest w schowku nad łóżkiem Krzysiek wręczył mi maść.

— Nie płaczą tylko ci, którzy nie mają sumienia — dodał, przyjacielsko
poklepując mnie po ramieniu.

Mateusz wyrzucił kiepa i zamknął okno.

— Ktoś chce siku? — zapytał.

— Dobry pomysł. Mój pęcherz zaraz eksploduje — rzucił zawadiacko
Figur, aby nieco rozluźnić atmosferę.

— Czy ktoś wspominał coś o sikaniu? — dopytał po angielsku Franco. —
Jestem jak najbardziej za.

Najwyraźniej pewne rzeczy w każdym języku były zrozumiałe dla każdego
faceta. Chwilę później Mateusz skręcił na mały parking przy lesie.

Oprócz nas stały na zajeździe jedynie dwa samochody: czarne
podrasowane bmw wersji pięć i kremowe sportowe audi. Zatrzymaliśmy się
w sporej odległości, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Na parkingu nie było
nawet toalety, a jedynie kilka ław, na których podróżni mogli się posilić. Na
jednej stał parujący termos i leżało jakieś zawiniątko.

Dochodziła druga po południu, było ciepło, ale pochmurno, korony
okolicznych drzew szeleściły pod naporem wzbierającego wiatru. Pachniało
igliwiami i leśną ściółką.

Opuszczając ciężarówkę, dostrzegłem, jak z lasu wychodzi trzech
mężczyzn. Mieli może około trzydziestki, dwóch nosiło dzinsy i letnie kurtki,
a jeden był w dresie. Ich język i rysy nie pozostawiały złudzeń, można było

obstawiać w ciemno, że są muzułmanami. Śmiali się i dokazywali do momentu, gdy nas spostrzegli. Wtedy ucichli i skierowali się do swojego samochodu.

Poczułem, że wzbiera we mnie gniew. Nienawidziłem ich i najchętniej coś bym do nich krzyknął, aby wypierdalali do siebie albo coś w tym stylu, ale z oczywistych względów powstrzymałem się. Mati z Krzyśkiem wyszli i zaczęli dyskutować przy samochodzie, kuzyn obchodził go i coś sprawdzał przy kołach i zawieszeniu. Figur wykorzystał tę chwilę i skupił się na stojącej już na włączonym silniku beemce.

Gdy ruszyliśmy z Franco na skraj lasu, aby się wysikać, kątem oka dostrzegłem, że drzwi tamtego samochodu otworzyły się i mężczyźni wyszli na zewnątrz. Zaccherini przystanął i też zaczął ich obserwować. Patrzyli na nas przez chwilę, ale ostatecznie z powrotem wsiedli do auta i z piskiem opon odjechali. Gdy zniknęli za zakrętem, Figur pomógł wysiąść Monice i Amirowi i razem z nimi poszedł w kierunku lasu, kilkanaście metrów dalej.

Wlażłem z Franco między drzewa. Dokoła walały się resztki papieru toaletowego i papierowych ręczników, do tego cuchnęło gównem Rozejrzałem się za najlepszym miejscem, w końcu odnalazłem słuszną sosnę i zacząłem sikać.

— Nie doceniłem cię, Kuba — wypalił nagle tubalnym głosem potężny Włoch. — Nie doceniłem was obu.

Zatkało mnie, tym bardziej że gdy jeszcze kilkanaście minut temu poryć żalem się, on już nie spał i wszystko widział.

— Wybacz, bo źle was oceniłem Zrobiliście wszystko jak należy i możecie być z siebie dumni. I nie martw się, odbijemy twojego przyjaciela z rąk tych gnojków.

— Dzięki, Franco. — Nic lepszego nie przyszło mi do głowy, bo akurat z jego strony podobnych słów się nie spodziewałem Pomimo całej tej „gównianej” otoczki były dla mnie bardzo cenne i sprawiły, że znów wstąpiła we mnie energia.

Wtedy usłyszałem trzask gałązki. Był donośny i obaj zwróciliśmy głowy w tę stronę. Kolejny szelest tylko potwierdził, że w niecce za drzewami coś się kryje, wgłębienie było jednak dość strome, więc z tej perspektywy nie byłem w stanie dostrzec, co to jest. Poprawiłem spodnie i instynktownie zrobiłem kilka kroków w tamtym kierunku. Mój włoski kompan podążył zaraz za mną. Głośno przełknąłem ślinę, gdy w końcu tajemniczy obiekt ujawnił się.

Spomiędzy gałęzi z igliwem wystawała kobieca ręka. Unoszona, co chwilę opadała, jakby jej właścicielce brakowało sił. Przez zielone nakrycie przesiąkała krew.

Zrobiliśmy trzy susy i zaczęliśmy odgarniać gałęzie. Zajęło to tylko chwilę i naszym oczom ukazała się prawie naga blondynka około czterdziestki, jeszcze niedawno musiała być bardzo ładna i zadbana. Jej nogi były nienaturalnie powykręcane, jakby ktoś wyrwał je ze stawów, broczyła krwią z ust, a okolice szyi i piersi przecinały głębokie rany. Na czole ktoś wyrwał nożem koślawy krzyż.

Franco natychmiast obrócił ją do pozycji bezpiecznej, jednocześnie przyciskając dłonią najbardziej niebezpieczne dla życia cięcia na szyi.

— Wołaj Krzyśka! Weź z auta apteczkę!

Pobiegłem ile sił w nogach, krzycząc do Figura i Matiego.

— Apteczka! Tam leży kobieta, ona umiera — poinformowałem Krzycha, gdy tylko wyskoczył zza krzaków.

Od razu ruszył w kierunku Franco, a Mati chwycił apteczkę z samochodu i pobiegł za nim Monika z Amirem jak wryci stali na skraju lasu, obserwując całą akcję.

Gdy wróciłem z Matim, legioniści klęczeli nad nieszczęśnicą, Franco właśnie puścił jej szyję, jego ręce aż po łokcie były zbryzgane krwią. Krzysiek opadł na poszycie i oparł się o pobliskie drzewo.

— Kurwaaa! — ryknął przeciągle, pełen bezsilności, a ja zrozumiałem, że już po wszystkim Kobieta była martwa.

Zakręciło mi się w głowie i omal nie straciłem równowagi. Przysiadłem, a Mati upuścił czerwone pudełko z krzyżykiem i zwymiotował. Kątem oka dostrzegłem, że zbliżają się Monika z Amirem, ale Figur natychmiast poderwał się na nogi i podbiegł do nich, zakazując się zbliżyć. Odeszli na bok.

Siedziałem bez siły, próbując zrozumieć, czego właśnie byłem świadkiem, ale nie potrafiłem tego wszystkiego ogarnąć. Mną też szarpnęły torsje i porzygałem się.

— Wstawaj, Kuba — zarządził Franco, który nagle pojawił się u mojego boku.

Wyciągnął rękę i pomógł mi wstać. Ubrudził mnie krwią tej biedaczki, co wzbudziło we mnie jeszcze większe obrzydzenie. Brzuch znów odmówił posłuszeństwa.

Przez chwilę chyba straciłem kontakt z rzeczywistością, bo następne, co

pamiętam, to moment, gdy wszyscy znajdowaliśmy się już przy ciężarówce. Mateusz wyciągnął baniak z wodą, aby wszyscy mogli obmyć się z krwi. Franco ściągnął upaprana czerwienią koszulkę.

— Musimy jechać — przemówił Krzysiek. — Mati, masz jakąś kartkę i długopis?

— Tak, w schowku.

— Daj mi i odpalaj silnik.

Kuzyn posłusznie zrobił to, o co został poproszony, ja na prośbę Figura już w kabinie próbowałem uspokoić spłoszoną Monikę. Chyba wciąż do końca nie wiedziała, co się stało i choć próbowała mnie wypytać, stanowczo odmawiałem Mati, przerażony, siarczyście kłął pod nosem i nerwowo sprawdzał wszystko przy kokpicie jak jakiś świeżo upieczony tirowiec. Musiał być w równie wielkim szoku jak ja, może nawet większym. Od teraz jego życie też znalazło się na poważnym zakręcie.

Krzysiek coś nabazgrał na kartce i pobiegł do sportowego audi. Wrzucił ją do środka przez uchylone okno i czym prędzej wrócił do kabiny. Wsiadł jako ostatni, na miejsce pasażera, a Mati wcisnął gaz. Silnik nienaturalnie głośno zawył, jakby kuzyn chciał wystartować z piskiem opon. Ciężarówka zaoponowała i dopiero po chwili mozolnie ruszyła do przodu. Dostrzegłem, jak ze skroni kierowcy obficie spływa pot.

— Ja pierdolę, ja pierdolę, ja pierdolę... — powtarzał w kółko Mateusz, jego ręce na kierownicy drżały.

— Uspokój się, przyjacielu — rzekł siedzący obok Figur. — To nie nasza wina.

— To te kurwy z beemki. Ja pierdolę... — mamrotał kuzyn.

— Nie ujdzie im to na sucho.

— A co chcesz zrobić? Co tam napisałeś? — włączyłem się do tej chaotycznej dyskusji, bojąc się kolejnych pomysłów Krzyśka.

— Numery blach. Zboczenie zawodowe. Zapamiętuję takie rzeczy. Policja ich znajdzie, a ślady DNA będą niepodważalnym dowodem.

— Jezu... a nasze? — spanikowałem, gdy pomyślałem, że przecież zwymiotowałem.

— Dojdą, że ktoś próbował jej pomóc. Nie będą nas szukać, gdy złapią tych skurwysynów.

— Ja pierdolę... — Mati dalej mamrotał jak w jakimś transie.

Gwałtownie sięgnął po paczkę fajek, która spadła z kokpitu gdzieś za

siedzenie. Chciał ją wyciągnąć, ale Figur go uprzedził.

— Skup się na drodze, Mati, i uspokój się, do cholery — skarcił go, po czym sam odpalił papierosa i podał mu do roztrzęsionej ręki. — Mamy jeszcze ponad czterysta kilometrów i chcę, abys wziął się w garść i dowiózł nas na miejsce w jednym kawałku, okej?

— Tak, Krzychu, okej, okej. — Kuzyn pokiwał głową i mocno się zaciągnął.

Zamilkłem. Wszyscy zamilkliśmy.

Usiadłem na podłodze i z podkurczonymi nogami obserwowałem Monikę i Amira. Chłopak przewracał kartki komiksu, popularnego „Thorgala”, którego od najmłodszych lat fanem był Mateusz i zawsze woził ze sobą całą kolekcję. Młody wyglądał na zafascynowanego i całkiem pochłoniętego lekturą. Pomyślałem, że ten niewinny dzieciak o twarzy cherubinka niedawno poderżnął mi gardło. To brzmiało jak kompletny absurd. Patrzyłem na niego i zastanawiałem się, czy za kilka lat stanie się taki jak oni. Jak ci trzej, co zgwałcili i pocięli przypadkową kobietę, jak zwyrodnialec „Lecu”, a przede wszystkim jak Muhammad Abi RabFa, krew z krwi.

Zwinałem się w kłębek i zamknąłem oczy. Dziś nie chciałem już myśleć o niczym więcej. Pragnąłem spokoju.

Z okolic Kassel ruszyliśmy w kierunku Lipska. Przez dłuższy czas jechaliśmy w milczeniu, ewentualnie z komórką w dłoni, a ja po chwilowym załamaniu namiętnie rozmyślałem. Próbowałem ułożyć sobie w głowie wszystkie ostatnie wydarzenia, ale coraz bardziej męczył mnie fakt, że w rękach Abi Rabki znajduje się mój przyjaciel. Zastanawiałem się, co teraz przeżywa, jak cierpi i co czuje. Nurtowały mnie tysiące pytań, na które nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi. Czy po powrocie do Polski skontaktować się z rodzicami, czy może poczekać na ostateczne rozstrzygnięcie? Czy będę miał odwagę, aby — jeśli będzie mi to dane — zabić Abi Rabkę? Czy w związku z tym nie narażę się w rodzimym kraju na srogą karę ze strony władz? Jak będzie wyglądało moje życie, gdy zemsta zostanie dokonana? A co jeśli coś nie wypali, Abi Rabka nie stawia się na umówione spotkanie i zabije Afgana albo ja najzwyczajniej w świecie spękam? Cała podróż, którą odbyłem z Krzyśkiem, Michałem i Franco, stawała się nierzeczywista, tak jakby wszystko, co przeżyliśmy, było jedynie iluzją, rodzajem fatamorgany, która zdawała się przedstawiać prawdziwe miejsca, ale tak naprawdę była jedynie

wytworem zmęczonego umysłu. Coraz bardziej zaczynała przypominać mi film, w którym wszystkie moje działania zdawały się pozbawione realnych skutków, tak jakby nie generowały żadnych konsekwencji. Porównałbym to do wypadu na Dzikie Zachód, gdzie prawo nie sięgało i człowiek mógł robić wszystko, na co tylko miał ochotę, bez obaw, że w związku z popełnionymi czynami poniesie jakąkolwiek karę. Byle miał colta przy pasku i konia, którym może uciec w razie zagrożenia.

Ten film powoli jednak zbliżał się do finału, po którym miała wrócić szara rzeczywistość. To wrażenie stawało się silniejsze z każdym kolejnym przebytym kilometrem, który przybliżał nas do polskiej granicy. Gdy to wszystko się skończy, co się ze mną stanie? Co będę robił? Uczył się? Szukał pracy? Nowej dziewczyny? Krzysiek z Franco zapewne wróca do swojej jednostki gdzieś na końcu świata, a ja z Moniką i — nie wyobrażałem sobie innej opcji — z Michałem zostaniemy w Polsce. Przecież to było bez sensu... Jak miałbym żyć? W ciągłym strachu czy nie przyjdzie po mnie policja, czy do chaty nie wpadnie Interpol? Jak by nie patrzeć, byłem współnikiem wielu przestępstw, a najgorsze miało dopiero przyjść w momencie, gdy stanę oko w oko z człowiekiem, który zamordował moją ukochaną kobietę i moje dziecko, i zniszczył wszystkie nadzieje na szczęśliwe życie. Wtedy mój los na zawsze zostałby przypieczętowany. Stałbym się mordercą.

Coraz częściej chodziło mi po głowie pytanie, czy poprosić Krzyśka o pomoc w złożeniu wniosku do Legii Cudzoziemskiej. Spełniałem wszystkie kryteria, byłem w dobrej formie fizycznej, miałem opanowanie z bronią, znałem języki, choć na pewno musiałbym podszkolić się z francuskiego. Słuchając jego wskazówek, powinienem przetrwać szkolenie i zdać testy. Tylko czy aby na pewno pragnąłem takiego życia? Czy chciałem zamknąć ten rozdział, odciąć się od znajomych i rodziny, porzucić życiowe plany, ba, zapomnieć o wyjściach na piwo, do kina, o serialach, graniu w gry komputerowe czy pierdzeniu w kanapę? W zamian tego wbić się w żołnierskie buty i poddać srogiemu rygorowi obcych mi ludzi? Obie wizje walczyły ze sobą, przedstawiając mi swoje argumenty, a ja coraz bardziej bałem się momentu, w którym będę musiał podjąć decyzję.

Nie wiedziałem jeszcze, że już wkrótce moje przeznaczenie wypełni się samo, a na świat runie huragan okropieństw, jakich ludzkość jeszcze nie doświadczyła w całej swej historii. Ogień i pożoga, śmierć i zgnilizna, ból i mrok — los nie będzie łaskawy dla żadnego z nas.

Kilkadziesiąt kilometrów przed Lipskiem, w którym doszło do zamieszek wywołanych przez ekstremistyczne prawicowe bojówki, obwodnica zakorkowała się i musieliśmy skrócić z autostrady w boczne drogi. Słuchaliśmy radia i przeglądaliśmy Internet, laptop Mateusza krążył z rąk do rąk, niedowierzanie stawało się coraz większe.

Chyba nikt nie spodziewał się podobnych reperkusji. Paryż i miasta francuskie w pełnym znaczeniu tego słowa zapłonęły. Pożary trawiły wiele bloków i kamienic, wojsko w najbardziej zapalnych punktach zdecydowało się używać ostrej broni, za co w odwecie ukryci w tamtejszych społecznościach bojownicy Państwa Islamskiego wdarli się do centrum i zaczęli prawdziwą rzeź, prując do bezbronnych ludzi pod Luwrem, wieżą Eiffla, katedrą Notre-Dame i w wielu innych popularnych turystycznie miejscach. Newsy mówiły o setkach zabitych i wielu tysiącach rannych w dzielnicach, które do tej pory uważane były za serce starego miasta. Nie lepiej było w innych metropoliach, szczególnie w Marsylii, gdzie kilkadziesiąt tysięcy zradykalizowanych mieszkańców muzułmańskich gett w wielu fragmentach przebiło się przez policyjne kordony i siało spustoszenie poza granicami należącymi do niepisanej strefy szariatu. Sytuacja we Francji wymknęła się spod kontroli, zapanował totalny chaos, także informacyjny, bo kolejne nagłówki stron internetowych przyprawiały o ból głowy, raz stwierdzając pewne fakty, aby zaraz później się z nich wycofać, a następnie wrócić z jeszcze ostrzejszym przekazem Zdjęcia i filmy pojawiały się w lawinowym tempie, na jednym z nich komentator telewizji France24 na oczach telewidzów został zaatakowany przez kilku napastników i prawdopodobnie — tego już kamera nie pokazała, bo jej operator także został powalony — załuczony na śmierć. Wszyscy zgodnie oczekiwali na zaplanowane na wieczór orędzie prezydenta, który według wszelkich prognoz miał ogłosić w kraju stan wojny.

Francja nie była jednak odosobniona i zamieszki wybuchły w większości europejskich metropolii. Gorąco było w Londynie, Birmingham, Brukseli, Rotterdamie, Berlinie, Hamburgu, Monachium, wspomniano nawet o Rzymie i Barcelonie. Nie licząc wielu innych miast, które obecnie były w cieniu, jak choćby Lipsk czy Drezno, w których dla odmiany wybuchły rozruchy zapoczątkowane przez bojówki skrajnie prawicowe. Nas teraz najbardziej interesował Berlin, w którym sytuacja coraz bardziej przypominała tę w miastach francuskich. Najświeższe informacje mówiły o olbrzymich zamieszkach w muzułmańskich gettach Neukölln, Kreuzberg, Moabit czy

Wedding, szczególnie w tej pierwszej, która od lat była uważana za najbardziej niebezpieczną. Niezduszone w zarodku przez policję, rozlały się na inne dzielnice. Arabskie gangi podobno jeździły samochodami po ulicach i strzelały do bezbronnych przechodniów, a mundurowi byli bezradni, nie potrafili zapanować nad wielotysięczną armią najbardziej zradykalizowanych wyznawców Allaha, którzy siali spustoszenie w całym mieście.

W wiadomościach mówiono, że rząd już poprosił o wsparcie wojska, ale dopiero teraz pierwsze oddziały były kierowane w najbardziej zapalne miejsca. Ta spóźniona reakcja spowodowała, że zaskoczona tak dramatycznym przebiegiem zdarzeń władza miała olbrzymie problemy z uspokojeniem nastrojów. W ich poczynania wkraść się chaos, tym bardziej że znajdujący się w niebezpieczeństwie mieszkańcy Berlina, sami zaczęli się bronić. Sytuację natychmiast wykorzystały też liczne prawicowe bojówki, które szybko zmobilizowały siły i zaczęły palić uliczne kebaby, niszczyć witryny sklepowe arabskich właścicieli i brać odwet na każdym przechodniu o bliskowschodnich rysach. Na ulicach niemieckiej stolicy nie było już bezpiecznie.

My nie kierowaliśmy się na Berlin, ale słuchaliśmy, czytaliśmy i staraliśmy się reagować po każdym kolejnym newsie. Najpierw zdecydowaliśmy przekroczyć granicę w Guben, ale ta została z niewiadomych — a w zasadzie można było się domyślić — przyczyn zamknięta, we Frankfurcie nad Odrą wytworzył się gigantyczny korek, sięgający połowy drogi do stolicy, a Zgorzelec odpadał, bo autostrady wokół Drezna nie dość, że były w remoncie, to dodatkowo strasznie się zakorkowały z racji wywołanych przez neonazistów zamieszek. To powodowało, że na tych przejściach spokojne przekroczenie granicy nie wchodziło w rachubę. Na szczęście, wciąż jako tako funkcjonowało to w Olszynie. Uznaliśmy, że to najlepsze, a w zasadzie jedyne rozsądne wyjście.

Jeszcze przed Lipskiem musieliśmy skrócić z autostrady i wbiliśmy się na boczne drogi, nawet nie krajowe czy międzylandowe, a dosłownie wiejskie jednopasmówki, na których z paroma wyjątkami byliśmy jedyną ciężarówką na trasie. Mijaliśmy kolejne miasteczka i wsie, które wyglądały na wymarłe. Sklepy z nielicznymi wyjątkami pozamykano na cztery spusty, kawiarnie świeciły pustkami, na placach zabaw pomimo przyjemnego popołudnia nie dokazywały żadne dzieci.

— Rzadko jeżdżę takimi zadupiami, ale nawet pomimo to jeszcze nigdy nie

widziałem czegoś takiego — skomentował w pewnym momencie Mateusz, nikt jednak nie podjął tematu.

Wjechaliśmy do wsi, która przypominała skansen po upadłym pegeerze. Rozpadające się chaty, dziurawe szopy, zniszczone płoty, odpadający tynk, aż dziw, że w Niemczech istniały jeszcze takie dziury. Przy zaniedbanych domostwach sporadycznie stały zaparkowane samochody, zazwyczaj stare graty, beemki lub audi z początku wieku. Zwolniliśmy, bo droga zrobiła się kręta, a na ulicy dostrzegliśmy leżące sztachety. Mój wzrok przykuł też niepasujący do reszty budynek, powstały zdecydowanie później niż reszta we wsi i zapewne za rządowe pieniądze. Znajdował się przy drodze, ale jednocześnie nieco na uboczu, w izolacji od pozostałych. To tu znajdowało się najwięcej śmieci, w tym spalona, wciąż jeszcze dymiąca kanapa i rozbity telewizor.

— Zdechniecie w piecach jak Żydy — mruknął pod nosem Mateusz i otworzył okno.

Zapachniało sianem i krowim łajnem — Co? — dopytałem, nie będąc pewny, czy usłyszałem dokładnie.

— Zdechniecie w piecach jak Żydy. Tak ktoś napisał na ścianie tego budynku — wyjaśnił Mateusz i aby wyminąć przeszkody, niemal zatrzymał się.

Rzeczywiście, murowany budynek pokrywało kilka paskudnych napisów, które nie pozostawiały wątpliwości co do swojego agresywnego charakteru. Farba musiała być stosunkowo świeża, bo na wyblakłym kremowym tle odznaczała się żywym, czerwonym kolorem. Ktoś położył ją bardzo niedbale i w wyraźnym pośpiechu, bo nadmiar emulsji spływał w kilku miejscach w dół, nadając literom groźnej i posępnej formy. Ponury widok tego przybytku dopełniało kilka wybitych okien i wyrwane z zawiasów drzwi, rozbite szkło wciąż leżało przy murze.

W oknach najbliższego domostwa ze skośnym, nadającym się już wyraźnie do remontu dachem, dostrzegłem ruch firanki. Ktoś nas obserwował. Po drugiej stronie ulicy na ganek wyszedł gospodarz. Miał na sobie spodnie na szelkach, biały, znoszony podkoszulek i beret. Mógł pochwalić się olbrzymim piwnym brzuchem i krzaczastymi wąsami, które w obecnych okolicznościach stwarzały wrażenie mało przyjaznego wyrazu twarzy. Mężczyzna zachłannie palił papierosa, a za płotem posiadłości ujadały dwa owczarki. Przyglądał się ciężarówce bardzo wnikliwie, ale prócz pociągania peta nie wykonał żadnego innego ruchu.

— Nie chcę wiedzieć, co tu się stało. Jedźmy, mamy swoje problemy — polecił Figur.

— Mile widziani to tu raczej nie jesteśmy — dorzucił Mateusz.

Skinął w kierunku jabłoni, która znajdowała się za płotem innego z gospodarstw. Jej uginające się od dojrzałych owoców gałęzie wystawały daleko poza drewniane ogrodzenie. W cieniu drzewa stał wysoki, choć nieco garbaty facet z siekierą w ręku. Też się nam bacznie przypatrywał.

— Jedź, Mati, nie mamy czasu — powtórzył Krzysiek.

— Taaa — mruknął i kręcąc wielką kierownicą, ominął zalegające na ulicy przeszkody.

Minęliśmy jeszcze kilka gospodarstw, aż dojechaliśmy do starej, zrujnowanej kurzej fermy albo innego drobiu. Składała się z kilku długich obiektów, z których każdy był w kompletnej ruinie. Tynk odchodził od ścian całymi płatami, mury w niektórych miejscach były wyraźnie skruszone, a lekko skośne dachy dziurawe. Fragmenty konstrukcji również pokryto jakimiś napisami, bo trudno było to nazwać graffiti. Za budynkami ciągnęły się pola kukurydzy.

— Kurwa! — krzyknął zniecierpliwiony kuzyn i z piskiem opon zahamował.

Nikt nie miał zapiętych pasów i choć jechaliśmy stosunkowo wolno, to siła dośrodkowa rzuciła wszystkich do przodu.

— Co jest? — spytałem, ale Figur już otworzył drzwi i zbierał się do wyjścia.

Wyskoczyłem z kabiny zaraz za nim, następnie Mateusz i Franco. Na drodze leżał mężczyzna i wyciągał ku nam ręce. Miał napuchniętą i zakrwawioną twarz i z początku trudno było ocenić jego wiek, ale na pierwszy rzut oka wyglądał na nie więcej niż czterdzieści lat. Dopiero po wnikliwszym przyjrzeniu się dostrzegłem, że ma ciemniejszą karnację i arabskie rysy.

— Co tu się, do cholery, dzieje? — Mateusz złapał się za głowę.

Facet jęczał coś po niemiecku.

— Co on mówi? — spytał Figur, ale nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do leżącego. — Angielski, francuski? — Uniósł mu głowę.

— Moja rodzina — wydukał łamaną angielszczyzną. — Zabrali je... moja żona, córki...

— Kto je zabrał?

— Ludzie.

— Jacy ludzie?

— Ze wsi... — Zakaszał krwią. — Nie chcą nas i...

— Gdzie je zabrali?

Arab wskazał palcem pola kukurydzy, w szczelnej ścianie zieleni widać było fragment wskazujący, że ktoś wszedł pomiędzy wysokie liściaste łodygi. Były w tym miejscu nienaturalnie zniekształcone i połamane.

Usłyszałem nadjeżdżający samochód.

— Zatrzymaj go! — rozkazał legionista.

Gdy jednak zatarasowałem drogę i wyciągnąłem ręce w górę, błyszczący SUV tylko zatrąbił, a następnie omal mnie nie rozjechał. Wyminął nas poboczem, a ja musiałem uskoczyć i zakląłem wściekle. Nie mogiem tego ogarnąć. Co dzieje się na tym pieprzonym świecie? Czy tylko my mamy takiego cholernego pecha? Najpierw martwa kobieta, a teraz półżywy Arab.

Figur zamienił kilka zdań z Franco, wpatrując się w pole kukurydzy, napomknął coś o Amirze i Monice, następnie wziął od Włocha jeden z kilku telefonów na kartę, jakie kupiliśmy na stacji jeszcze we Francji.

— Mateusz, zadzwoń na policję i powiedz, że doszło do zbrodni za miejscowością... Jak ona się nazywa?

— Kirchberg albo coś takiego...

— Powiedz im, że jest tu ranny człowiek i potrzebuje pomocy. My nie możemy mu jej udzielić, nie mamy czasu, a do tego to zbyt ryzykowne.

Mateusz, nerwowo kręcąc się w kółko, wykonał polecenie. Krzysiek jeszcze na chwilę pochylił się nad mężczyzną i szepnął mu coś do ucha, po czym wstał i zagonił wszystkich do kabiny. Odjechaliśmy, zostawiając go na poboczu, i mogiem jedynie domyślać się, co mu się stało. Nie było to wybitnie trudne, bo wnioski nasuwały się same. Zniszczony budynek socjalny, bałagan na ulicy, świeże napisy na murze i skatowany imigrant — wszystko w zabitej dechami wsi skrajnie prawicowego landu.

Zrobiło mi się wstyd, nawet pomimo tego że ofiarą był Arab. Zresztą chyba nie tylko mi, bo przez następne kilka minut wszyscy jechaliśmy w milczeniu. Ciszę przerwała Monika, która przez większość podróży praktycznie się nie odzywała i przesadnie skupiała uwagę na opiece nad Amirem — Co tam się stało?

— Ktoś pobił imigranta — odrzekłem — Skąd pochodził?

— Nie powiedział.

— Był muzułmaninem?

— Arabem, więc chyba tak.

— Pomogliście mu?

— Hm... — Nie byłem pewny, co odpowiedzieć, bo w pewnym sensie tak, chociaż zostawiliśmy go na poboczniaku potrąconego psa.

— Mam nadzieję, że nie — ucięła chłodno i z powrotem skupiła się na swoim podopiecznym, z którym czytała kolejny komiks o Thorgalu.

Nikt nie odważył się ciągnąć tego tematu. Do granicy mieliśmy niecałe pięćdziesiąt kilometrów.

Do wsi Bahren, która leżała tuż przy rozdzielającej oba państwa Nysie Łużyckiej, dotarliśmy około siódmej. Kilka kilometrów na północ od niej znajdowała się autostrada numer piętnaście, która prowadziła do przejścia granicznego w Olszynie, oddalonego o rzut kamieniem. Nie zaskoczyło nas to, że była całkiem zakorkowana. Po informacji, że prezydent Francji wprowadził stan wojenny, Niemcy z przerażeniem wyczekiwali, czy ich kanclerz może zdecydować się na taki sam ruch. W samym Berlinie naliczono już przynajmniej pięć tysięcy ofiar, a w całym kraju ponad dwadzieścia tysięcy i nic nie wskazywało, że ta szalona rebelia ma się szybko skończyć.

Dochodziła dziesiąta, niebo zasnuły chmury, przez co zdawało się jeszcze ciemniej niż zwykle o tej porze.

— Wysadź nas tu — polecił Figur.

— Jak to? — wyrwałem się, zaskoczony.

— Wiesz, że nie wjadę do Polski na swoich papierach. No, chyba że od razu za kratki.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że tu zostajesz? — Kątem oka dostrzegłem, że w odpowiedzi na te słowa Monika czujnie podniosła wzrok.

— Nie, granicę muszę przekroczyć wpływ.

— No... podobno mocno trzepią. W sumie...

— Zabieram ze sobą Amira. Nie muszę chyba tłumaczyć...

— To idę z wami — wcięła się Monika, tonem tak stanowczym, że nikt nie próbował oponować.

— W takim razie ja także — dodałem, nie widziałem sensu, aby w ostatniej fazie rozdzielać się.

— Rzeka ma nie więcej niż dwadzieścia metrów szerokości, a do tego stan wody jest niski, więc może nawet przejdziemy po dnie — skomentował Figur i zwrócił się do Zaccheriniego, w kilku zdaniach tłumacząc mu plan. Włoch

jedynie skinął głową i sięgnął po nieodłączną beretkę. — Ale ty, Kuba, pojedź z Matim Nie chcę, aby ktokolwiek zostawał teraz sam. Zresztą co dwie głowy, to nie jedna. Zorientujcie się, jak wygląda sytuacja na trasie, pogadajcie z innymi kierowcami, dowiedzcie się czegoś, może podpytajcie celników, jakie są prognozy na najbliższe godziny.

— Jesteś pewny?

— Kuba, to tylko mała i płytka rzeczka. Przeżyjemy. — Mój przyjaciel uśmiechnął się i klepnął mnie w ramię.

— Może nam zejść kilka godzin, może nawet dłużej — wtrącił się Mateusz, odpalając papierosa.

— Nie ma pośpiechu, my też poczekamy do zmroku. Spotkamy się po drugiej stronie — rzekł mój przyjaciel i bez przedłużania otworzył drzwi.

Wyszedłem za nim, chciałem przynajmniej rozprostować kości. Za mną kabinę opuścili Monika, Amir i Franco. Staliśmy na rozdrożu, po lewej rozciągało się skoszone i naszpikowane snopkami pole pszenicy, które w pewnym momencie spotykało się ze ścianą lasu, po mojej prawej ręce znajdowała się łąka i niewysoki wał, a za nim rzeka. W powietrzu unosił się znajomy zapach starej, dobrej, polskiej wsi. Przyjemna woń siana, dzikich kwiatów i gnojówki była jedyna w swoim rodzaju. Brzęczenie trzmieli, szelest traw i klekot bocianów spowodował, że poczułem się jak w domu, bo choć zawsze byłem raczej zwierzem typowo miejskim, to ten wyjątkowy klimat urzekł mnie. Aż tak bardzo tęskniłem? A może robiłem się sentymentalny? Dostrzegłem, jak Krzychu nadyma swoją potężną klatkę piersiową i z równie wielką radością celebryje ten moment. Polska ziemia leżała nie więcej niż dwieście metrów stąd w linii prostej. Myślę, że on tęsknił dużo mocniej...

— Widzimy się za kilka godzin — rzekł mój przyjaciel, po czym przybił mi piątkę. — I nie zapomnij o broni — dorzucił, wyciągając drugą dłoń.

Wręczyłem mu mojego glocka, idiotycznie byłoby wpaść na granicy z takiego głupiego powodu.

— Nie inaczej — odparłem i skinąłem w kierunku Moniki i Franco.

Nie było sensu silić się na ckliwe pożegnania. Ta rzeczka to był dla nich pryszcz, nawet z Moniką i Amirem, nawet jeśli ostatecznie musieliby ją przepłynąć, a nie przejść po dnie. Prąd był tu słaby, woda snuła się leniwie, znałem te tereny, bo nieraz przyjeżdżałem tu na ryby. Biorąc pod uwagę fakt, że legionieści byli doskonałymi pływakami i jeszcze lepszymi ratownikami, nie musiałem się zamartwiać, że coś pójdzie nie tak. W ich obecności nawet

ludzie cierpiący na hydrofobię mogli czuć się w stu procentach bezpieczni.

Wsiadłem z powrotem do kabiny, a Mati kilkoma manewrami zawrócił ciężarówkę. Minęliśmy parę gospodarstw i znów wyjechaliśmy na otoczoną z obu stron lasem asfaltówkę. Po kilku minutach dostrzegłem na horyzoncie wielobarwnego węża złożonego z setek samochodów. To była zakorkowana „piętnastka”. Dotarliśmy do wjazdu i po kilku nieudanych próbach w końcu beczelnie wcisnęliśmy się na główną drogę dojazdową do granicy. Panowało tu prawo dżungli, a my byliśmy „duzi”, więc pozostali uczestnicy ruchu drogowego mogli nam co najwyżej naskoczyć. Czuć było nerwowość i niepewność, w oczach niektórych czaił się strach. W pewnym momencie opuściłemabinę i przeszedłem się wzdłuż sznura samochodów. Zdecydowaną większość stanowiły auta na polskich blachach, ale dostrzegłem też Niemców, Czechów, Słowaków czy Ukraińców, trafiły się też rodziny z Holandii, Belgii czy Anglii. Pogadałem z kilkoma osobami, ale rozmowa jakoś w ogóle się nie kleiła, więc zaniechałem kolejnych prób i wróciłem do Matiego.

— Popatrz na to — rzucił podniecony, gdy tylko wszedłem do środka.

Ustawił laptop w moją stronę i odpalił wrzucone na YouTube nagranie. W filmie z komórki powiewał czarny sztandar z szahadą, niekwestionowany symbol Państwa Islamskiego. Zajmował na mocnym zbliżeniu cały wyświetlacz, a autor amatorskiego filmiku próbował łapać ostrość, bo przed ekranem raz za razem przemykały jakieś cienie. Wtem flaga zaczęła się oddalać, a ja dostrzegłem znajomą rzeźbę, której nie mogłem jednak w pierwszej chwili przyporządkować do konkretnej nazwy. Gdy zoomcofnął się jeszcze trochę i ujrzałem wyłaniające się kolumny, zrozumiałem, co mam przed oczami. Bogini Wiktoria na rydwanie zaprzężonym w cztery konie pędziła przed siebie, dzierżąc w dłoni wielki sztandar Państwa Islamskiego. Symbol pokojui wolności, symbol wielkiego Berlina, został zbrukany. Na szczycie słynnej Bramy Brandenburskiej powiewała szahada, a z tysięcy gardeł zebranych pod nią ludzi grzmiało donośne *Allahu Akbar*.

Opuszczając niemiecką ziemię, zrozumiałem, że to nie koniec. Pojąłem, że została przekroczona cienka czerwona linia, która utrzymywała ten kontynent we względnym spokoju. Nie miałem jednak pojęcia, że właśnie wkraczamy w czasy ponure i okrutne, że od dziś już nic nie będzie takie jak kiedyś.

Wiedziałem jedno...

Skończył się czas pokoju.

Zaczął się wojna.

Epilog. NIEWIERNY

30 października 2033 roku, zgliszcza Brukseli, Belgia

Człowiek jest stworzeniem doprawdy jedynym w swoim rodzaju. Dziwnym, a jednocześnie niesłuchanie giupim Bo jak to jest, że bezgranicznie wierzy w coś, czego nigdy nie widział, nie słyszał i nie poczuł, a nie jest w stanie uwierzyć w to, co dzieje się na jego oczach, co dociera do jego uszu, co odczuwa na własnej skórze? Czyż nie to nazywamy skrajną głupotą?

Sami się zgładziliśmy. Wkroczyliśmy do JEGO królestwa na własne życzenie. Śmiał się nam w twarz przez lata, a my udawaliśmy, że to nieprawda. Widzieliśmy szkaradny grymas, słyszeliśmy nikczemny rechot, współczuliśmy ofiarom JEGO plugawych uczynków i bezlitosnych napaści na naszych braci i siostry.

Mimo to człowiek wciąż nie wierzył.

Przynosiliśmy kwiaty w miejsca kaźni, wypowiadaliśmy piękne słowa, składaliśmy obietnice walki, której nigdy nie podjęliśmy. W miejscach, gdzie ginęli nasi pobratymcy, płonęły znicze, a dzieci malowały kolorowe rysunki, dorośli zatrzymywali się, aby w zadumie pochylić się nad losem wybrańców śmierci.

Mimo to człowiek wciąż nie wierzył.

JEGO wysłannicy nie pozostawiali złudzeń. Mówili o zniszczeniu i zagładzie, zapowiadali gwałt i śmierć, pragnęli zetrzeć z map całe nacje. Nie robili tego w ukryciu, nawoływali w pełni świadomie poprzez wszystkie media, ba, bezczelnie utrwalali to zapisem cyfrowym, abyśmy mogli patrzeć i słuchać. I się bać.

Mimo to człowiek wciąż nie wierzył.

Dokonywali okrutnych egzekucji, gwałcili, mordowali, pastwili się nad naszymi pobratymcami, a później puszczały dowody zbrodni w legendarną sieć. Straszili, grozili i zapowiadali, że przyjdą do naszych domów. I przychodzili. I mordowali. Strzelali, szlachtowali, rozjeżdżali ciężarówkami, wysadzali się w tłumie bezbronnych i niewinnych.

Mimo to człowiek wciąż nie wierzył.

Jak dzieci we mgle powtarzaliśmy, że nie damy się zastraszyć i dalej godziliśmy się na nieuchronną śmierć naszych braci, która przychodziła coraz częściej i zbierała coraz większe żniwo. Powtarzaliśmy sobie, że to normalne i musimy się do tego przyzwyczaić, bo to znak naszych czasów. Bo taki jest

świat.

W końcu wszystko się zmieniło.

Tego dnia narodziłem się na nowo. W samym sercu JEGO legowiska, w matni zła, które przywłókł ze sobą z praźródła cywilizacji, zła, które już wkrótce miało rozlać się na świat i skąpać go w morzu niewyobrażalnego okrucieństwa. I nawet gdy w końcu wypuścił w bój swoich wiernych siepaczy, człowiek wciąż nie chciał wierzyć...

Wtedy nie potrafiłem tego zrozumieć, nie rozumiem do dziś. Wciąż szukam odpowiedzi.

I tymrazemniej nie znajdę. Morze rozkładających się trupów nie pozwala mi skupić się na lekturze. Cuchną zgnilizną jak ten, którego szukamy.

Zamykam książkę, zapach starych kartek na chwilę oddala ponure myśli.

Układam się do snu. Wiem jednak, że będzie niespokojny i pełen koszmarów.

Jak nasz świat.

Świat, w który człowiek nie chciał uwierzyć...

Posłowie

Radykalni. Terror to tylko moja własna wizja, mroczna, ale wciąż tylko wizja Europy i tego, co może wydarzyć się w ciągu kilku czy kilkunastu najbliższych lat. I tak tę książkę należy traktować.

Pisząc *Radykalnych. Terror*, zależało mi na realizmie, dlatego prawie wszystkie miejsca, które opisałem w pierwszym tomie, są prawdziwe i kiedyś miałem okazję je odwiedzić. Oczywiście wiele z nich, zwłaszcza poszczególne dzielnice czy ulice Paryża, na potrzeby powieści zobrazowałem inaczej, czasem dokonałem wręcz drastycznych zmian, mimo wszystko każda z lokalizacji ma swój pierwowzór w rzeczywistości.

Sam temat szeroko pojętego islamu poznałem stosunkowo dobrze, a przynajmniej bliżej niż przeciętny Kowalski. Miałem okazję mieszkać i pracować z wieloma muzułmanami w Anglii, Hiszpanii czy Francji. W życiu miałem styczność z tymi o zdroworozsądkowym podejściu do otaczającej nas rzeczywistości, ale także z bardzo religijnymi, a nawet o poglądach zdecydowanie radykalnych. Z wieloma z nich toczyłem długie dysputy na temat religii, polityki czy kultury. Czasem, choć rzadko, kończyły się one konkretnymi konkluzjami, bywało, że kłótniami, a nawet groźbami śmierci, gdy według nich pozwalałem sobie na zbyt wiele, komentując treści zawarte w Koranie czy Sunnie. Mieszkanie pod jednym dachem z radykalnymi wyznawcami islamu pozwoliło mi też poznać ich zachowania, nawyki, przyzwyczajenia, sposób myślenia, odprawiania modłów czy patrzenia na świat z perspektywy człowieka wychowanego w wierze absolutnej. To niezwykle doświadczenie nie tylko ubogaciło mnie jako człowieka, ale dzięki niemu mogłem lepiej zrozumieć problem szeroko pojętego islamu i mechanizmy rządzące jego niezwykle różnorodnością i złożonością.

Drogi Czytelniku, na koniec chciałbym Ci serdecznie podziękować, że zdecydowałeś się na przeczytanie pierwszego tomu *Radykalnych. Terror* i mam nadzieję, że zamykając ostatnią stronę, jesteś usatysfakcjonowany lekturą, a mnie udało się zasiać w Tobie ziarno niepewności i swoistego niepokoju. Historia od lat uczy nas, że niczego nie można wykluczyć i nawet najbardziej nieprawdopodobne scenariusze z czasem stają się realnym koszmarem Oby nie tym razem...

Drugi tom już wkrótce!

Pozdrawiam serdecznie, *PRZEMEK PIOTROWSKI*

Podziękowanie

Ta książka nigdy by nie powstała, gdyby nie moja ukochana rodzina i szereg przyjaciół, którzy byli nie tylko inspiracją, ale także pomagali i wspierali mnie w chwilach zwątpienia.

W pierwszej kolejności chciałbym podziękować ukochanej żonie Kasi oraz rodzicom, za wspieranie mnie w procesie tworzenia. Zwłaszcza żonie, która rozumie proces twórczy, gdy staję się nieosiągalny pomimo tego, że jestem w pokoju obok, ale także za to, że w tym czasie potrafi być moim sterem na wzburzonym oceanie. Dziękuję Ci, Kasiu.

Bardzo pragnę podziękować moim przyjaciołom, którzy stali się inspiracją do stworzenia bohaterów powieści. Dziękuję zatem: Michałowi Dorniakowi, Krzysztofowi Figurze, Mateuszowi Nykielowi i Franco Antonio Zennie za to, że są tak wyjątkowi, że zawsze można na nich liczyć i mogiem „podkraść” nieco ich charakteru, aby główni bohaterowie stali się ludźmi z krwi i kości. Szczególnie mocno chciałbym podziękować pierwszemu z nich, który namówił mnie na wyjazd na studia do Hiszpanii, gdzie spędziłem kilka genialnych lat. Bez niego ta książka nigdy by nie powstała.

Dziękuję też przepięknej Marokance Asali, która otworzyła przede mną swoją duszę i przybliżyła masę problemów, z jakimi musi się mierzyć młoda muzulmanka starająca się znaleźć własną ścieżkę w Europie, często żyjąca między młotem a kowadłem, obwarowana kulturowymi i religijnymi zakazami, pomimo że mieszka w świeckim państwie, narażona na szydercze, czasem podszyte groźbą spojrzenia swoich krajanów i braci w wierze. Wiem, że Twoje łzy były szczere...

Dziękuję również Hamzie, Amirowi, Mustafie, Jusufowi, Muhammadowi i innym chłopakom, z którymi miałem okazję pracować i żyć pod jednym dachem, dzielić troski życia codziennego, pić ich niesamowitą herbatę i prowadzić długie dysputy na tematy religii, polityki czy różnic międzykulturowych. Wielu z nich to wspaniali, przemili ludzie i na pewno tak ich zapamiętam. Dziękuję także i tym, którzy udowodnili, że ich radykalne poglądy są w totalnej sprzeczności z kulturą Zachodu i otworzyli mi oczy na niewątpliwe zagrożenia z tym związane.

Dziękuję Patrycji i Abdallahowi za długie dyskusje oraz niezwykle cenne uwagi merytoryczne. Dziękuję pracownikom Wydawnictw Videograf: Ewie Leśny (marketing, promocja), Darkowi Kocurkowi (okładka), a w

szczególności redaktorze, Annie Seweryn, która wykonała ogrom pracy, wykraczającej poza zakres jej obowiązków. Dziękuję, Aniu, za zaangażowanie i wkładane w pracę serducho. Podziękowana składam również Sebastianowi Sokołowskiemu, człowiekowi orkiestrze, który przyjął na siebie ogrom zadań związanych z promocją i marketingiem. Dziękuję też wszystkim, których nie wymieniłem z imienia i nazwiska, a którzy przyczynili się do powstania powieści *Radykalni. Terror* w jej ostatecznej wersji.

Jeszcze raz wszystkim Wam dziękuję.

Table of Contents

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Prolog

KUBA

KUBA

MONIKA

NIEWIERNY

KRZYSIEK

KUBA

MONIKA

KUBA

NIEWIERNY

MONDRAGON

MONIKA

KUBA

MONDRAGON

KUBA

MONDRAGON

MONIKA

NIEWIERNY

KRZYSIEK

KUBA

MONIKA

NIEWIERNY

KUBA

NIEWIERNY

KUBA

MONIKA

KUBA

KRZYSIEK

KUBA

NIEWIERNY

KUBA

MATEUSZ

MONIKA

KUBA

NIEWIERNY

MONIKA

KUBA

MONIKA

KRZYSIEK

MONIKA

MICHAŁ

KRZYSIEK

KUBA

KRZYSIEK

MONIKA

KUBA

KRZYSIEK

MONIKA

KUBA

NIEWIERNY

KRZYSIEK

KUBA

KRZYSIEK

LECU

KUBA

Epilog. NIEWIERNY

Posłowie

Podziękowanie